

Tami
Hoag

Czarny koń

Przełożyła
Maria Micielica

Wydawnictwo Dolnośląskie

© 2002 by Indelible Ink, Inc.

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Dolnośląskie,

Wrocław 2006

Redakcja Maria Derwich

Korektor

Dorota Sideropulu

Redaktor techniczny

Jacek Sajdak

Pełna oferta Wydawnictwa Dolnośląskiego

jest dostępna w księgarni

internetowej : www.najlepszy prezent.pl

Dział Handlowy: tel. (071) 7859054,

Promocja: (071) 7859050

www.wd.wroc.pl

Wrocław 2006

Wydawnictwo Dolnośląskie Sp, z o.o,

ul. Podwale 62 50-010 Wrocław

ISBN 83-7384-465-1 ISBN 987-83-7384-465-0

Od autorki

Witajcie w moim drugim świecie.

Gdy wstaję od biurka, jestem ambitną amazonką. Prawdę mówiąc, jeżdżę konno dłużej, niż piszę książki. Od wielu lat konie są moją radością, odpoczynkiem, terapią, wybawieniem i pociechą. Uprawiałam niemal wszystkie końskie sporty, od *barrel racing* do skoków. Kiedy miałam trzynaście lat, koleżanki zarabiały jako opiekunki do dzieci, a ja uczyłam chodzić pod siodłem młode konie, które specjalnie w tym celu sprowadzał mój ojciec.

Przed kilku laty zajęłam się dresażem (ujeżdżaniem). Dresaż to połączenie kontroli, precyzji i mistrzowskiego opanowania sygnałów, jakie wzajemnie wysyłają sobie jeździec i zwierzę. Przypomina balet zaskakuje elegancją i pozorną łatwością, ale wymaga tyleż wysiłku fizycznego i sprawności umysłowej, co *power yoga*.

W 1999 roku zaczęłam występować w zawodach w ujeżdżaniu. Jak zwykle, nie dałam sobie taryfy ulgowej. Kiedy już się czemuś oddaję, to całkowicie. Od olimpijczyka, jeźdźca Guntera Seidla, kupiłam wspaniałego, ale trudnego konia imieniem d'Artagnan i w ciągu roku przeszłam całą drogę od pierwszych zawodów w ujeżdżaniu do pozycji amatora-zawodnika zrzeszonego w U.S. Dressage Federation (Federacji Jeździeckiej USA). Pod koniec pierwszego sezonu moja trenerka, mentorka i przyjaciółka Betsy Steiner (światowej rangi jeździec) zachęciła mnie do zabrania d'Artagnana razem z kilkoma innymi końmi z jej stajni na sezon zimowy na Florydę.

Co roku najlepsi jeźdźcy ze Wschodniego Wybrzeża, Środkowego Zachodu, Kanady i Europy udają się do Wellington w Palm Beach na trzymiesięczny trening połączony z uczestnictwem w cieszących się wielkim prestiżem pokazach dresażu i skoków. Tysiące koni i setki jeźdźców tworzą fascynujący świat rządzony przez dreszcz zwycięstwa, cierpienie porażki i duże pieniądze. Spotyka się w nim bogaczy i biedaków, członków rodów królewskich i znane postaci, ale też zwykłych ludzi, którzy cały rok oszczędzają, aby „zaliczyć sezon”;

nie brakuje filantropów, dyletantów, zawodowców, amatorów, oszustów i kryminalistów. Tych, którzy kochają konie, i tych, którzy uwielbiają tamtych wykorzystywać. To świat olśniewający z wierzchu i brutalny pod spodem. Yin i yang. Pozytyw i negatyw.

Pod koniec tego pierwszego sezonu na Florydzie moja wyobraźnia zaczęła gwałtownie pracować, starając się połączyć moje dwa światy. Rezultatem jest *Czarny koń*, klasyczna powieść detektywistyczna osadzona w scenerii międzynarodowych pokazów skoków przez przeszkody. Mam nadzieję, że spodoba wam się rzut oka na ciemną stronę mojego drugiego świata.

Po lekturze książki możecie pomyśleć, że wszyscy koniarze są zepsuci do szpiku kości. Uwierzcie mi, nie jest tak źle. Są wśród nich najwspanialszy, najbardziej życzliwi i wielkoduszni ludzie, jakich znam. Niestety z tego samego środowiska pochodzą też najbardziej nikczemni, występni i obmierzli, jakich spotkałam w życiu. Tutaj łatwo o sytuacje krańcowe i zdumiewające przygody. Moje własne konie padały ofiarą otruciu i kradzieży. Pewnego razu za granicą musiałam sobie sama radzić z handlarzem socjopata, który odwołał zabukowany przeze mnie, transport powrotny. Kiedy indziej udawałam stajennego i leciałam w ładowni samolotu frachtowego razem z koniem, który uparł się mnie zabić. Ale takie rzeczy nie zdarzają się codziennie. Codziennie za to idę do stajni i doświadczam przyjaźni, partnerstwa i uspokojenia duszy.

W tej książce pojawiają się moje własne konie, które umieściłam w stajni Sena Avedona. Ale - odpowiadam tu na nieuniknione pytanie - Elena to nie ja (gdyby moje życie było tak ekscytujące, kiedy miałabym czas na pisanie?). Jednak zgadzam się z nią, kiedy mówi: „jazda konna była moim azylem, na koniu czułam się bezpiecznie”.

AKT I

Scena I

Światło.

Miejsce: centrum jeżdżieckie w Palm Beach późnym wieczorem.

Krajobraz na zachodzie wypełniają pola i nieużytki. Widać drogę gruntową, która prowadzi do terenów jeżdżieckich na północy i do kilku odległych, małych stadnin na południu. Wokół nie ma żywego ducha. Pola są puste. Żadnych ludzi, żadnych koni. Niedzielny wieczór, wszyscy poszli do domów.

Erin stoi nieopodal tylnej bramy. Czeka na kogoś. Jest zdenerwowana. Myśli, że przyszła tu na potajemne spotkanie. Myśli, że tej nocy zmieni się jej życie.

I tak będzie.

Niecierpliwie patrzy na zegarek. Boi się, że on nie przyjdzie. Nie zdaje sobie sprawy z filmującej ją kamery. Myśli, że jest sama.

Zastanawia się, czy on pojawi się na umówionym spotkaniu, czy może pomyliła się co do jego uczuć.

Stara, porzewiała furgonetka zbliża się od południa. Erin, zniecierpliwiona, obserwuje ją. Na ogół nikt nie jeździ tędy o tej porze. Bramę centrum jeżdżieckiego zamknięto już przecież na noc.

Furgonetka zatrzymuje się. Wyskakuje z niej zamaskowana postać.

ERIN

Nie!

Zaczyna biec w stronę bramy. Napastnik łapie ją od tyłu za ramię i obraca w swoją stronę. Erin kopie go. On mocno uderza ją w twarz, tak że Erin traci

równowagę. Uwalnia się od jego chwyty i znów próbuje uciekać, ale płaczą jej się nogi. Napastnik powala ją i przyciska do ziemi kolanem. Z kieszeni kurtki wyciąga strzykawkę i wbija igłę w jej ramię. Ona jęczy z bólu i zaczyna płakać.

On podnosi ją z ziemi i wrzuca do furgonetki. Zatrząskuje drzwi, wsiada. Samochód zawraca i odjeżdża w stronę, z której przyjechał.

Życie zmienia się w ciągu jednego uderzenia serca.

Światło gaśnie.

I

Życie może się zmienić w ciągu jednego uderzenia serca.

Wiedziałam to od zawsze, od kiedy przyszłam na świat. Czasem przeczuwam moment zmiany, już z daleka widzę, że nadchodzi, jakby otaczała go świetlista aura. Taka chwila zbliża się właśnie teraz. Adrenalina krąży w moich żyłach jak paliwo rakietowe. Serce uderza jak tłok. Jestem gotowa do startu.

Mam czekać, stać w miejscu i się nie ruszać - ale wiem, że to zła decyzja. Jeśli wejdę pierwsza, będzie po nich. Bracia Golam sądzą, że mnie znają, ich czujność będzie uśpiona. Pracowałam nad tą sprawą trzy miesiące. Wiem, co robię. Wiem, że mam rację. Wiem, że Golamowie już nie mogą usiedzieć w miejscu. Ten nalot jest mój - wiem, że na niego zasłużyłam. I wiem, że jest tu porucznik Sikes, który przyjechał na przedstawienie i czeka tylko, aż przyjadą wozy telewizyjne. Potraktuje ten sukces jak swój, wykorzysta go w walce o stanowisko szeryfa.

Ustawił mnie na rogu przyczepy i kazał czekać. Gównu wie. Nie wie nawet, że Golamowie najczęściej używają bocznych drzwi. Podczas gdy Sikes i Ramirez pilnują przodu domu, braciszki właśnie pakują pieniądze do walizek i planują czmychnąć bokiem. Ciężarówka Billy'ego Golama stoi pięć metrów dalej, cała w błocie. Jeśli będą uciekać, wezmą ciężarówkę, a nie

corvette zaparkowaną przed domem. Można nią zjechać z ubitej drogi.

Sikes traci cenny czas. W przyczepie Golamów znajdują się dwie dziewczyny, które w razie potrzeby mogą stać się zakładniczkami. Chyba że wejdę teraz, kiedy nie mają się na baczości...

Pieprzyć Sikesa. Wchodzę, zanim tym świorom zacznie odbijać.

Ta sprawa jest moja. Wiem, co robię.

Włączam radio.

- To bez sensu. Oni zaraz wskoczą do ciężarówki i odjadą. Wchodzę.

- Niech to szlag, Estes...! - Sikes.

Wyłączam radio i rzucam je w chwasty rosnące obok przyczepy. To moja sprawa. Mój nalot. Wiem, co robię.

Podchodzę do bocznych drzwi i pukam tak, jak pukają wszyscy stali klienci: dwa uderzenia - potem jedno - i znowu dwa.

- Hej, Billy, tu Ele... Potrzebuję trochę.

Billy Golam szarpnięciem otwiera drzwi, obrzuca mnie dzikim spojrzeniem, jest naćpany metamfetaminą domowej produkcji, swoim własnym Kryształem. Ciężko oddycha. W ręce ma pistolet.

Cholera.

Frontowe drzwi z hukiem wlatują do środka.

Słyszę krzyk jednej z dziewczyn.

Buddy Golam wrzeszczy: „Głiny!”

Billy mierzy ze swojej trzystasiedemdziesiątkipiątki prosto w moją twarz. Nabieram powietrza. To mój ostatni oddech.

Otworzyłam oczy i na samą myśl, że jeszcze żyję, zrobiło mi się niedobrze. Od dwóch lat zaczynałam w ten sposób każdy swój dzień. Wspomnienie tamtych wydarzeń wracało do mnie już tyle razy, że czułam, jakbym ciągle oglądała ten sam film - film, w którym nic się nie zmienia, ani słowo, ani jeden obraz. Sama zresztą bym na to nie pozwoliła.

Leżałam w łóżku, myśląc o podcięciu żył. Nie w odległy, abstrakcyjny sposób. Bardzo konkretnie. Przyglądałam się swoim nadgarstkom w łagodnym świetle lampy; były takie delikatne - kości drobne jak u ptaka, skóra cienka niczym papier, pod nią niebieski szlak naczyń. Żyły są jak znaki demarkacyjne.

Jak linie pomocnicze: „Tu naciąć”.

Wyobraziłam sobie ostry czubek kuchennego noża, blask lampy odbity w jego ostrzu. Krew na powierzchni skóry w chwilę po tym, gdy nóż prześlizgnie się wzdłuż żyły. Czerwona. Mój ulubiony kolor.

Nie przeraziła mnie ta wizja. Prawdy bałam się bardziej.

Spojrzałam na zegarek - wpół do piątej, Jak co noc miałam za sobą cztery godziny niespokojnego snu. Próba ponownego zaśnięcia była działaniem skazanym na porażkę.

Drżąc na całym ciele, zmusiłam się do przesunięcia nóg na krawędź łóżka. Wstałam i narzuciłam na ramiona ciemnoniebieski, kordonkowy szal. Materiał był wytwornie delikatny, a jednocześnie ciepły. Zanurzyłam się w tym doznaniu. Wszystko, co czujemy, nabiera tym większej intensywności, im bliżej ocieramy się o śmierć.

Ciekawe, czy Hector Ramirez poczuł to samo w momencie, który poprzedził kres jego życia.

Zastanawiałam się nad tym każdego dnia.

Upuściłam szal i weszłam do łazienki.

- Dzień dobry, Elena. Wyglądasz fatalnie.

Za chuda, na głowie czarne, splątane włosy. Oczy zbyt duże i ciemne, jakby za nimi nie było nic, co mogłoby nadać im blask. Sedno mojego problemu: brak treści. Od pewnego czasu moją twarz cechowała niewielka asymetria; przypominała rozbity wazon, który ktoś z wysiłkiem złożył z powrotem. Przedmiot podobny, a jednak inny. Twarz przypominająca tę, z którą się urodziłam - a jednak nie ta sama. Lekko przekrzywiona i dziwnie pozbawiona wyrazu.

A kiedyś byłam naprawdę ładna.

Sięgnęłam po grzebień leżący na toalecie, strąciłam go i zamiast niego chwyciłam szczotkę. Trzeba zacząć od dołu i powoli posuwać się w górę. Tak czesze się ogon konia, delikatnie rozdzielając splątane włosy. Ale byłam już zmęczona patrzeniem na siebie w lustrze. Zalała mnie fala niechęci i złości. Mocno szarpnęłam, ściągając włosy w jeden wielki kołtun, w którym szczotka utkwiała na dobre.

Mocowałam się z nią dłuższą chwilę, próbując wydobyć z płataniny. Szarpałam za rozczochrane włosy, nie zważając na to, że wrywam je sobie z głowy z korzeniami. Klęłam na głos, dłonią okładając lustro i własne odbicie.

W napadzie szalu zmiotłam z blatu kubek i mydelniczkę; z trzaskiem rozbiły się o kafelki podłogi. Z furją wysunęłam szufladę w poszukiwaniu nożyczek. Znalazłam.

Wściekła i roztrzęsiona ledwo łapałam oddech. Jednym cięciem uwolniłam szczotkę - spadła na podłogę owinięta masą włosów. Napięcie w okolicy serca zelżało. Odrętwienie spłynęło na mnie jak nagły deszcz. Spokój.

Bez emocji ścinałam włosy, w parę minut zmieniając je w krótką, poszarpaną fryzurę, à la palec do kontaktu. W „Vogue” widywałam gorsze.

Uprzątnęłam z podłogi porozrzucone włosy i rozbite szkło, wrzuciłam wszystko do kubła i wyszłam z łazienki.

Odkąd pamiętam, miałam długie włosy.

Poranek był chłodny, nisko nad ziemią unosiła się gęsta mgła, a powietrze nasiąkło zapachami południowej Florydy: wonią roślin i stęchlizną kanału znajdującego się tuż za domem. Czuć było błoto, nawóz i konie. Stałam przed domem gościnnym, w którym mieszkałam już od jakiegoś czasu, i oddychałam głęboko.

Przybyłam na tę farmę jako uciekinierka. Nie miałam pracy ani domu. Zostałam wyklęta z policyjnego świata. Nikt mnie nie kochał, nikt mnie nie potrzebował, wszyscy mnie opuścili. Sama sobie na to zasłużyłam. Od dwóch lat nie pracowałam, większość tego czasu spędzając w szpitalach, gdzie lekarze robili wszystko, by naprawić zniszczenia, jakim uległo moje ciało podczas wypadku w przyczepie Golumów. Składali roztrzaskane kości, zszywali rozerwane ciało, starali się na nowo poskładać moją twarz, jak trójwymiarową układankę. Nieco gorzej poradzili sobie z moją psychiką.

Potrzebowałam zajęcia do czasu, w którym zdecyduję się sięgnąć po nóż kuchenny, więc odpowiedziałam na ogłoszenie zamieszczone w „Sidelines”, lokalnym dwutygodniku jeździeckim: „Zatrudnimy stajennego”.

Życie jest zadziwiające. Nie twierdzę, że wszystko jest z góry przesądzone, bo musiałabym wierzyć w istnienie jakiejś okrutnej siły wyższej, która decyduje zarówno o wykorzystywaniu dzieci, gwałtach i AIDS, jak i o śmierci dobrych ludzi na służbie. Jednak niespodziewany zbieg okoliczności każe mi czasem myśleć, że fatum jednak istnieje.

Numer telefonu podany w ogłoszeniu należał do Seana Avadona. Poznałam Seana dawno temu, w czasach młodszej fascynacji jeździectwem. Byłam wtedy zepsutą i obrażoną na cały świat nastolatką, a Sean zepsutym i czarującym dwudziestoparolatkiem, trwoniącym okazały majątek pozostawiony mu przez rodzinę na konie i zabawy w towarzystwie urodziwych młodzieńców z Europy. Byliśmy przyjaciółmi, a Sean zwykł powtarzać, że bez niego nie przetrwałabym w świecie, z racji mojego wrodzonego braku poczucia humoru i dobrego smaku.

Mieszkaliśmy parę domów od siebie, na długiej, wąskiej wyspie na jeziorze Worth. Ojciec Seana był grubą rybą w handlu nieruchomościami, mój - doradcą prawnym najbogatszych oszustów południowej Florydy. Pan na błotach i krętać, obydwaj dochowali się niewdzięcznego potomstwa. Seana i mnie połączyła niechęć do rodziców i miłość do koni.

Te wspomnienia wydawały się odległe jak sen, którego prawie nie mogłam sobie przypomnieć. Od tego czasu zdarzyło się bardzo wiele. Wyjeżdżając z Palm Beach, porzuciłam świat mojego dzieciństwa, by - mówiąc metaforycznie - żyć i umrzeć w świecie całkiem innym. A potem odpowiedziałam na ogłoszenie w gazecie.

Nie dostałam tej pracy. Rozmawiając z Seanem przy drinku w klubie „The Players”, nie mogłam nie zauważyć litości w jego oczach. Byłam ponurym cieniem dziewczyny, którą Sean znał dwadzieścia lat temu, cieniem tak żalonym, że nie znalazłam dość dumy, by przynajmniej udawać, że wszystko ze mną w porządku. Sięgnęłam wtedy dna. Myślę, że tamtej nocy mogłabym wrócić do wynajmowanego mieszkania i bez zastanowienia sięgnąć po nóż.

Stało się jednak inaczej. Sean przygarnął mnie jak bezdomnego kota; ten motyw parokrotnie przewijał się w moim życiu. Umieścił mnie w domku dla gości na terenie swojej rozległej farmy i poprosił, abym zajęła się przygotowaniem jego dwóch koni do sezonu zimowego. Twierdził, że potrzebuje mojej pomocy: jego ostatni trener i kochanek uciekł właśnie do Holandii ze stajennym, zostawiając Seana na lodzie. Zachowywał się tak, jakby naprawdę dawał mi pracę, jednak tym, co podarował mi naprawdę, było odroczenie wyroku.

Od tamtego wydarzenia minęły trzy miesiące. Fantazjowałam jeszcze czasem na temat samobójstwa i każdego wieczoru wyjmowałam z nocnej szafki fiołkę

vicodinu*. Wysypywałam tabletki, przyglądałam się im i liczyłam, myśląc o tym, że nawet jedna może łatwo uśmierzyć ból, który nie opuszczał mojego ciała od dnia „tego incydentu”, jak zwykł mawiać mój adwokat; czyż nie brzmi to schludnie, niemal sterylnie? Incydent - małe, nieprzyjemne zajście, epizod, który można gładko oddzielić od reszty życiorysu. Jakże inne znaczenie miał dla mnie ten moment, jedna tabletka może przynieść ulgę w bólu. Trzydzieści może go skończyć na zawsze. Miałam w zapasie trzysta sześćdziesiąt.

* Mocny środek przeciwbólowy (wszystkie przypisy od tłumaczki).

Przyglądałam się im każdego wieczoru tylko po to, by wsypać je z powrotem do fiołki, a fiołkę odstawić. Mój prywatny wieczorny rytuał.

Mój rytuał dzienny polegał zaś na siedzeniu w stajni Seana w towarzystwie jego koni.

Obydwa dawały mi ukojenie, choć z bardzo odmiennych przyczyn. Tabletki oznaczały śmierć, i każda noc, którą udawało mi się przeżyć, była zwycięstwem. Konie wiązały mnie z życiem i każda godzina spędzona przy nich przynosiła ulgę i przybliżała mnie do życia.

Bardzo wczesnie odkryłam, że istota mojej duchowości dostępna jest tylko mi, skrywa się głęboko w odległym i cichym zakątku mojego wnętrza. Niektórzy docierają do tego miejsca dzięki medytacji, jodze lub modlitwie. Ja znajduję je, gdy siedzę w siodle. Tego, co innym daje sztuka zen, ja doświadczam dzięki ujeżdżeniu.

Dyscyplina ta zrodziła się na polach bitewnych starożytności. Konie bojowe uczono precyzji ruchów, tak, by umiały wspomóc jeźdźca nie tylko w unikaniu ciosów, lecz również w ich zadawaniu. Z biegiem lat sprawność ta przestała być przydatna w walce i treningi dresażu przeniosły się na czworobok, a ujeżdżenie stało się czymś w rodzaju konnego baletu.

Widzowi niewtajemniczonemu sport ten może się wydawać pełnym wdzięku tańcem, eleganckim i niewymagającym wysiłku - sprawny jeździec pozostaje bowiem tak spokojny i niewzruszony, że niemal stapia się z tłem. Jednak w rzeczywistości jest to sport wyczerpujący umysłowo i fizycznie, zarówno dla ujeżdżającego, jak i dla konia. Człowiek musi być wyczulony na każde stąpanie zwierzęcia, na najmniejszą zmianę w ułożeniu jego ciała, a także na każdy własny ruch. Nawet lekkie przesunięcie w siodle, niezauważalny gest ręki lub

napięcie łydki mogą zepsuć cały występ. Konieczne jest absolutne skupienie. Wszystko inne staje się nieważne.

W latach wczesnej młodości, gdy często czułam, że życie wymyka mi się spod kontroli, jazda konna była moim azylem, na koniu czułam się bezpiecznie. Kiedy pracowałam w policji, pomagała mi uwolnić się od stresu. A kiedy nie zostało mi już nic innego, stała się moim wybawieniem. Na koniu czułam się pełna, bogatsza o tę najważniejszą część mnie, do której na ogół nie miałam dostępu. W czasie jazdy mój wewnętrzny chaos przycichał.

Czułam, jak d'Artagnan łagodnie porusza się pode mną po wysypanej piaskiem ujeżdżalni w ostatnich smugach porannej mgły. Jego mięśnie nabrzmiewały z wysiłku, a kopyta, niczym metronom, wybijały regularny rytm.

Lekko ściągnęłam cugle w lewo, odchyliłam się do tyłu i ścisnęłam boki konia łydkami. Napięcie w jego ciele przesunęło się wzdłuż kręgosłupa ku przodowi. Zaczął wyżej podnosić kolana, przechodząc w powolny klus, tak zwany pasaż. Poruszał się tak łagodnie, że miałam wrażenie, iż pode mną odbija się duża, miękką piłka. Wyobraziłam sobie, że jeśli tylko wyszeptam magiczne zaklęcie, koń uniesie się nad ziemię.

Zatrzymaliśmy się w środku czworoboku. Byłam przepelniona spokojem i radością.

Zarzucałam d'Artagnanowi wodze na szyję i poklepałam go po grzbiecie. Schylił łeb i ruszył przed siebie, lecz po chwili zatrzymał się, zaskoczony niespodziewanym widokiem.

Na białym płocie otaczającym ujeżdżalnię siedziała mała dziewczynka i wpatrywała się we mnie, a z całej jej postaci biło oczekiwanie. Choć wcześniej jej nie zauważyłam, byłam przekonana, że czeka już od dłuższego czasu. Oceniałam ją na jakieś dwanaście lat. Długie, proste, brązowe włosy miała zaczesane do tyłu i spięte po bokach wsuwkami. Nosila okulary w okrągłych, czarnych oprawkach, przez co wyglądała nad wiek poważnie. Podjechałam w jej kierunku z niejasnym wahaniem, niczym jeszcze nieuzasadnionym.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? - zapytałam.

D'Ar parsknął, gniewnie wydymając nozdrza, gotowy zerwać się do ucieczki i wybawić nas oboje od niechcianego gościa. Powinnam była mu na to pozwolić.

- Przyszłam spotkać się z panią Estes - odparła dziewczynka gładko, jakbyśmy były umówione na spotkanie.

- Z Eleną Estes?

- Tak.

- A ty jak się nazywasz?

- Molly Seabright.

- Widzisz, Molly Seabright, pani Estes akurat nie ma.

- Przecież to pani - zaprotestowała. - Poznaję pani konia. Nazywa się d'Artagnan, jak w „Trzech muszkietierach”.

Zmrużyła oczy.

- Ścięła pani włosy - zauważyła z dezaprobatą.

- Czy my się znamy?

- Nie.

- To skąd tyle o mnie wiesz?

Niepokój narastał we mnie i jak żółć podchodził do gardła. Mogła być krewną Hectora Ramireza, która przyszła tu, by dać wyraz swej nienawiści. Może została przysłana jako wabik przez jednego ze starszych krewnych, który zaraz wyskoczy z ukrycia, by do mnie strzelić, obrzucić mnie obelgami albo oblać mi twarz kwasem solnym.

- Z „Sidelines”.

Poczułam się tak zaskoczona, jakbym nagle znalazła się na planie nieznanego mi filmu, w którym na dodatek gram główną rolę. Molly Seabright zlitowała się nade mną, ostrożnie zesłała z ogrodzenia - drobna, schludnie ubrana w proste, czarne spodnie i błękitny podkoszulek ozdobiony wokół kołnierzyka małymi, haftowanymi stokrotkami. Z obawą zbliżyła się do d'Artagnana i powoli wyciągnęła do mnie rękę z magazynem otwartym na środkowej stronie.

Kolorowe zdjęcie przedstawiało mnie i d'Artagnana przecinających w galopie delikatne pasma porannej mgły. Słońce sprawiało, że jego sierść błyszczała niczym nowa jednocentówka. Moje włosy były spięte w gruby koński ogon.

Nie przypominałam sobie, by ktoś robił mi takie zdjęcie. Z pewnością nie udzielałam również żadnego wywiadu, choć autor artykułu wydawał się wiedzieć o mnie rzeczy, które nawet dla mnie były tajemnicą. Nagłówek informował: „Prywatny detektyw Elena Estes i jej d'Artagnan rozkoszują się

poranną przejażdżką na terenie posiadłości Seana Avadona w Palm Beach Point”.

- Przyszłam, żeby panią wynająć - oznajmiła Molly.

Odwróciłam się w kierunku stajni i zawołałam Irinę, naszą oszłamiająco piękną rosyjską stajenną, która ubiegła mnie w staraniach o tę posadę. Stała w drzwiach z miną obrażonej księżniczki. Grzecznie poprosiłam ją, by była tak łaskawa i wzięła ode mnie konia. Wydeła usteczka, od niechcenia chwyciła lejce i leniwym krokiem modelki odeszła, ciągnąc zwierzę za sobą.

Nie zdejmując rękawiczki, przeczesałam dłonią włosy i zdziwiłam się, że tak szybko się kończą. Poczułam, jak mój żołądek kurczy się nerwowo.

- Przyszłam do pani, bo moja siostra zaginęła - powtórzyła Molly.

- Rozumiem, ale nie mogę ci pomóc. Nie jestem prywatnym detektywem. To jakaś pomyłka.

- To czemu tak napisano w magazynie? - zapytała, a na jej twarz powrócił wyraz surowej dezaprobaty. Nie ufała mi. Już raz ją okłamałam.

- Nie wiem.

- Mam pieniądze - pospieszyła z zapewnieniem. - To, że mam dwanaście lat, nie znaczy, że nie mogę pani zatrudnić.

- Nie możesz mnie zatrudnić dlatego, że nie jestem prywatnym detektywem.

- No to kim pani jest?

Załamana, pozbawioną zajęcia, żalosaną byłą policjantką. Odwróciłam się tyłem do świata, w którym mnie wychowano, a ten, który sama sobie wybrałam, odwrócił się ode mnie. Kim zatem byłam?

- Nikim - odpowiedziałam, podając dziewczynce magazyn. Nie wzięła go.

Podeszłam do rzeźbionej parkowej ławki stojącej na tyłach czworoboku i pociągnęłam potężny łyk wody z butelki.

- Mam przy sobie sto dolarów - oświadczyła Molly. - Jako zadatek. Spodziewam się, że ma pani stałą dzienną stawkę i żąda pokrycia związanych ze sprawą wydatków. Jestem pewna, że jakoś się dogadamy.

Z drugiego końca stajni wyszedł Sean, stanął nieopodal bokiem i zapatrzył się w dal. Stał z niedbałym wdziękiem, ugiąwszy jedną nogę; zza pasa brązowych

bryczesów wyciągnął rękawiczki z jeleniej skóry - przystojny i wysportowany, żywa reklama Ralpa Laurena.

Ruszyłam w jego kierunku, przecinając czworobok, wrząc z gniewu, pod którym już narastało uczucie paniki.

- Co to, do cholery, jest!?! - napadłam na niego, uderzając go gazetą w pierś.

Zrobił krok w tył, patrząc na mnie z urazą.

- Podejrzewam, że to „Sidelines”, ale nie potrafię czytać sutkami, więc nie mogę tego stwierdzić z pewnością. Chryste, Ele. Coś ty zrobiła ze swoimi włosami?

Uderzyłam go jeszcze raz, chcąc sprawić mu ból. Wyrwał mi magazyn, cofnął się jeszcze o krok i spojrzał na okładkę.

- Ogier Betsy Steiner. Widziałaś go? Jest boski.

- Powiedziałaś reporterowi, że jestem prywatnym detektywem!

- Pytali mnie, kim jesteś. Coś im musiałem odpowiedzieć.

- Wcale nie!

- To tylko „Sidelines”, na miłość boską!

- Moje imię ukazało się w pieprzonym magazynie, czytany przez tysiące ludzi. Tysiące ludzi wie teraz, gdzie mnie znaleźć. Dlaczego po prostu nie zawieszisz mi tarczy strzelniczej na szyi?

Sean zmarszczył brwi ze zniecierpliwieniem.

- Tylko ludzie zajmujący się ujeżdżeniem czytają poświęconą mu sekcję. I tylko po to, żeby sprawdzić, czy w tabelach wyników są ich nazwiska.

- Tysiące ludzi myśli teraz, że jestem prywatnym detektywem.

- A co miałem im powiedzieć? Prawdę? - zapytał tonem, z którego wynikało, że to bardzo kiepski pomysł. Zrozumiałam, że ma rację.

- A co powiesz na „bez komentarza”?

- Mało ciekawe.

Wskazałam na Molly Seabright.

- Ta dziewczynka właśnie przyszła mnie wynająć. Myśli, że jestem w stanie pomóc jej w odnalezieniu siostry.

- Może jesteś.

Nie pozwoliłam sobie na stwierdzenie oczywistego: że nie jestem w stanie pomóc nawet samej sobie.

Sean obojętnie wzruszył ramionami i leniwym gestem podał mi magazyn.

- A poza tym, czy masz coś lepszego do zrobienia ze swoim wolnym czasem?

W drzwiach stajni ukazała się Irina, prowadząc Olivera - wysoki, elegancki i piękny, był końską wersją Seana. Sean odszedł w kierunku podestu.

Molly siedziała na ławce z rękami złożonymi na kolanach. Odwróciłam się i ruszyłam do stajni, mając nadzieję, że po prostu sobie pójdzie. Uzda d'Artagnana wisiała na czterozębnym haku tuż obok starodawnej, mahoniowej szafki, pełnej sprzętu do czyszczenia skóry. Wybrałam małą, wilgotną gąbkę, potarłam nią glicerynowe mydło i zaczęłam czyścić uzdę, starając się skupić myśli na ruchach, których ta czynność wymagała.

- Jest pani bardzo nieuprzejma.

Widziałam ją kątem oka: mierząca zaledwie półtora metra wzrostu, starała się wyprostować jak najwyżej i mocno, nerwowo zaciskała usta.

- Owszem. Korzyść z bycia mną jest między innymi taka, że nic mnie to nie obchodzi.

- Nie ma pani zamiaru mi pomóc?

- Nie mogę. Nie jestem tym, kogo potrzebujesz. Jeśli twoja siostra naprawdę zaginęła, rodzice powinni zawiadomić policję.

- Byłam już w biurze szeryfa. Tam też nie chcieli mi pomóc.

- Ty byłaś? A rodzice? Nie obchodzi ich, że coś mogło przytrafić się twojej siostrze?

Po raz pierwszy Molly wydawała się wahać.

- To skomplikowane.

- Co w tym skomplikowanego? Albo zaginęła, albo nie.

- Erin z nami nie mieszka.

- Ile ma lat?

- Osiemnaście. Źle się dogaduje z rodzicami.

- O, to coś nowego.

- Nie żeby była niegrzeczna czy zła - Molly pospieszyła z wyjaśnieniem. - Nie wpadła w narkotyki, nic takiego. Ona tylko ma własne zdanie, to wszystko. No i jest ono zawsze inne niż zdanie Bruce'a...

- Kim jest Bruce?

- To nasz ojczym. Mama zawsze trzyma jego stronę, choćby nie wiem jak głupio się zachowywał. Erin to strasznie złości, więc się wyprowadziła.

- Tak więc Erin jest praktycznie dorosła, mieszka sama i może robić cokolwiek jej się podoba - podsumowałam. - Ma chłopaka?

Molly pokręciła głową, ale unikała mojego wzroku. Albo nie była pewna odpowiedzi, albo doszła do wniosku, że kłamstwo może lepiej posłużyć sprawie.

- Czemu uważasz, że Erin znikła?

- Miała po mnie przyjechać w poniedziałek rano, to jej wolny dzień. Pracuje w stajni na terenach pokazowych, u Dona Jade'a. On trenuje konie do skoków. Nie miałam w ten dzień lekcji i planowałyśmy pojechać na plażę, ale ona nie przyjechała ani nie zadzwoniła. Zostawiłam jej wiadomość na automatycznej sekretarce, ale nie odpowiedziała.

- Pewnie jest zajęta - stwierdziłam, przeciągając gąbką wzdłuż uzdy. - Stajenni ciężko pracują.

W chwili gdy wypowiadałam ostatnie zdanie, spojrzałam na Irinę. Siedziała na podeście z twarzą zwróconą do słońca i powoli wydmuchiwała ku górze dym z papierosa. Cóż, większość stajennych ciężko pracuje.

- Ale zadzwoniłaby do mnie! - upierała się Molly. - Następnego dnia, to znaczy wczoraj, sama poszłam na tor Dona Jade'a. Jakiś mężczyzna w stajni powiedział mi, że Erin już tam nie pracuje.

Stajenni odchodzą, są wyrzucani z pracy. Stajenni pewnego dnia postanawiają zostać kwiaciarzami, a następnego decydują, że jednak wolą być neurochirurgami. Z drugiej strony zdarzają się trenerzy z reputacją właścicieli niewolników, chimeryczne primadonny, które stajennych traktują jak jednorazowe maszynki do golenia. Znałam trenerów, którzy konia cenili dużo wyżej niż człowieka i żądali na przykład, by stajenni spędzali wszystkie noce w boksie, śpiąc obok psychotycznego ogiera. Znałam trenerów, którzy potrafili wylać pięciu stajennych w ciągu tygodnia.

Wyglądało na to, że Erin Seabright była kłótniwa i uparta, być może lubiła mężczyzn. Miała osiemnaście lat i po raz pierwszy kosztowała smaku wolności... Nie mogłam zrozumieć, dlaczego w ogóle się nad tym zastanawiam. Chyba z przyzwyczajenia. Kto raz był gliną... Ale nie byłam na służbie już od dwóch lat - i nigdy więcej nie będę.

- Erin najwyraźniej żyje własnym życiem. Może nie ma teraz czasu dla młodszej siostry.

Twarz Molly pociemniała.

- Powiedziałałam już pani, że Erin nie jest taka. Nie odeszłaby tak po prostu.

- Z domu odeszła.

- Ale nie odeszła ode mnie. Nigdy by tego nie zrobiła.

Wreszcie mówiła jak dziecko, a nie jak czterdziestodziewięcioletnia biegła księgowa. Niepewna, przestraszona, mała dziewczynka, oczekująca ode mnie pomocy.

- Ludzie się zmieniają, dorastają - stwierdziłam bez ogródek, zdejmując uzdę z haka. - Może i ty powinnaś.

Słowa, niczym pociski, trafiły w dziesiątkę. Za okularami à la Harry Potter zaświeciły łzy. Stłumiłam w sobie poczucie winy. Nie chciałam ani pracy, ani klienta. Nie chciałam, by ktoś wkraczał w moje życie ze swoimi oczekiwaniami.

- Myślałam, że będzie pani inna.

- Nie rozumiem, czemu miałybyś tak myśleć?

Spojrzała na leżący pośród przyrządów do czyszczenia magazyn, w którym płynęliśmy z d'Artagnanem przez kartkę niczym postaci ze snu, ale nic nie powiedziała. Jeśli miała jakieś wytłumaczenie swych oczekiwań, powstrzymała się od podzielenia się nim ze mną.

- Molly, nie jestem niczym bohaterem. Przykro mi, jeśli odniosłaś takie wrażenie. Jestem pewna, że skoro rodzice i policja nie martwią się o twoją siostrę, to nie ma się czym przejmować. Nie potrzebujesz mnie. I wierz mi, nie chciałabyś, żeby tak było.

Nawet na mnie nie popatrzyła. Stała tak przez chwilę, zbierając się w sobie, potem z saszetki przypiętej do pasa wyjęła czerwoną portmonetkę, a z niej dziesięciodolarowy banknot, który położyła na magazynie.

- Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas - powiedziała uprzejmie, odwróciła się i powoli odeszła.

Nie pobiegłam za nią. Nie próbowałam oddać jej pieniędzy. Patrzyłam, jak idzie, i myślałam, że jest bardziej dorosła ode mnie.

W drzwiach stajni pojawiła się Irina. Oparła się o framugę, jak gdyby nie była w stanie stać o własnych siłach.

- Chcesz, żebym osiodłała Feliki?

Erin Seabright najprawdopodobniej rzuciła pracę. Bawiła się teraz gdzieś na Keys, ciesząc się dopiero co zdobytą wolnością w objęciach jakiegoś przystojniaka,

z którym nic dobrego ją nie czeka. A Molly nie chciała w to uwierzyć, gdyż oznaczałoby to ogromną zmianę w jej stosunkach ze starszą siostrą, którą wyraźnie idealizowała. Życie jest pełne rozczarowań. I Molly nauczy się tego jak wszyscy inni: doznając zawodu od osoby, którą kocha i której zaufała. Irina westchnęła teatralnie.

- Tak - powiedziałam - osiodłaj Feliki.

Zacząła już iść w stronę stajni, gdy zadałam jej pytanie, na które wolałabym nie dostać odpowiedzi.

- Irina, wiesz coś o trenerze skoczków nazwiskiem Don Jade?

- Tak - odpowiedziała od niechcenia, nawet na mnie nie patrząc. - To morderca.

II

Świat ludzi zajmujących się końmi dzieli się na dwa obozy: tych, którzy kochają konie, i tych, którzy wykorzystują zarówno konie, jak i ludzi, którzy je kochają. Yin i yang. Każda dobra rzecz na tym świecie znajduje przeciwieństwo w rzeczy zlej. Osobiście zawsze uważałam, że dobra jest akurat tyle, by ocalić nas przed utonięciem w oceanie rozpacz. Taka właśnie jestem.

Znałam wielu wspaniałych ludzi związanych ze środowiskiem jeździeckim - ludzi troskliwych, gotowych poświęcić siebie i własną wygodę dla dobra zwierząt, które były od nich zależne. Ludzi dotrzymujących słowa. Ludzi honoru. I wielu najbardziej odrażających, pełnych nienawiści, wynaturzonych osobników, których dane mi było poznać, również należało do tej samej branży. Ci dla najmniejszej korzyści kłamali, kradli i sprzedaliby własną matkę. Potrafili uśmiechać się do ciebie i, poklepując po ramieniu jedną ręką, drugą wbić nóż w plecy. Z tego, co powiedziała mi Irina, wynikało, że Don Jade należy właśnie do tej drugiej grupy.

W niedzielny poranek - dzień przed tym, jak Erin Seabright nie pojawiła się, by zabrać swą siostrę nad morze - w stajni Dona Jade'a znaleziono martwego skoczka. Podobno zwierzę przez przypadek doznało w swoim boksie porażenia

prądem. Tylko że - jak głosi plotka - gdy w sprawę wplątany jest Don Jade, o przypadku nie może być mowy.

Próbowałam się czegoś o nim dowiedzieć, przeglądając artykuły zamieszczone w sieci, na horsesdaily.com i paru innych stronach poświęconych tematyce jeździeckiej. Jednak żeby poznać historię w wersji nieocenzurowanej, musiałam sięgnąć do innego źródła - i wiedziałam dokładnie, dokąd się udać.

Jeśli Don Jade był typowym przedstawicielem gorszej z dwóch opisanych przeze mnie kategorii, to doktor Dean Soren uosabiał wszystkie cechy człowieka należącego do tej pierwszej. Znałam go od niepamiętnych czasów. Nie było takiej rzeczy w końskim świecie, o której by nie wiedział. Rozpoczął karierę dawno temu, jako weterynarz na torze wyścigowym, potem przerzucił się na konie pokazowe. Każdy w tej branży znał go i szanował. Kilka lat temu przeszedł na emeryturę i teraz zabawiał gości w barze na terenie własnej, wielkiej stadniny, położonej tuż pod Pierson.

Gdy tam zadzwoniłam, telefon odebrała prowadząca bar kobieta. Powiedziałam jej, kim jestem, i poprosiłam doktora Deana. Słyszałam, jak głośno go zawołała, na co odkrzyknął:

- Czego, do cholery, chce?
- Proszę powiedzieć doktorowi, że mam do niego parę pytań.
- To niech ruszy tyłek i przyjdzie zadać mi je osobiście! - odkrzyknął ponownie. - Czy może uważa się za tak cholernie ważną, że nie chce jej się odwiedzić starego przyjaciela?

Taki już był doktor Dean. Słowa „uprzejmie” i „uroczo” nie należały do jego ulubionych, jednak był najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam. Brak delikatności nadrabiał z nawiązką uczciwością i szlachetnością.

Nie chciałam do niego jechać. Don Jade interesował mnie jedynie ze względu na to, co powiedziała Irina. Byłam ciekawa, nic więcej. A ciekawość nie była wystarczającym bodźcem, bym mogła zapragnąć kontaktu z ludźmi. Nie miałam najmniejszej ochoty opuszczać mojego sanktuarium, zwłaszcza po tym, jak zobaczyłam swoje zdjęcie w „Sidelines”.

Krążyłam po domu, obgryzając resztki paznokci. Znaliśmy się z Deanem Sorenem, co prawda z przerwami, przez całe moje życie. Gdy miałam dwanaście

lat, przez cały sezon zimowy zabierał mnie ze sobą na cotygodniowy objazd weterynaryjny i pozwalał grać rolę swej asystentki. Mieszkałyśmy wtedy z mamą w domku na terenach klubu polo, a ja miałam prywatnego nauczyciela, aby szkoła nie kolidowała z codziennymi treningami. W każdy poniedziałek - dzień wolny dla wszystkich jeźdźców - udawało mi się przekupić nauczyciela i wyrwać z doktorem Deanem, który pozwalał mi trzymać tacę z narzędziami i wyrzucać zużyte bandaże. Mój własny ojciec nie spędził tak ze mną ani jednego dnia. Nigdy później nie czułam się tak ważna jak wtedy.

Wspomnienie tamtej zimy dotknęło we mnie niezwykle czułego punktu. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio czułam się dla kogoś ważna. Nie mogłam sobie też przypomnieć, kiedy po raz ostatni chciałam tak się czuć. Pamiętałam jednak bardzo wyraźnie jazdę u boku doktora w jego ogromnym lincolnie, przerobionym na weterynaryjną klinikę na kółkach. Być może to właśnie sprawiło, że wzięłam kluczyki i pojechałam.

Na terenie wspaniałej posiadłości doktora Deana znajdowały się dwie wielkie stajnie. Jedna należała do trenujących skoczki i konie do polowań, druga służyła ćwiczącym ujeżdżenie. Pomiędzy nimi stał mniejszy budynek, w którym mieściło się biuro, prywatna stajnia doktora i kawiarnia na otwartym powietrzu, z barem pod palmowym baldachimem. Tam go znalazłam. Siedział przy stole na samym środku baru, w rzeźbionym drewnianym fotelu - niczym stary król na swym tronie - i popijał coś ze szklanki z parasolką.

Poczułam zawrót głowy, kiedy szłam w jego kierunku, częściowo przestraszona na myśl o spotkaniu z nim - lub raczej obawiając się jego reakcji na spotkanie ze mną - częściowo zaś przerażona wizją ludzi wyłaniających się zewsząd, by zapytać mnie, czy naprawdę jestem prywatnym detektywem. Ale bar był pusty, nie licząc Deana Sorena i kobiety przecierającej kieliszki. Nikt nie biegł od strony stajni, żeby się mi przyjrzeć.

Doktor Dean uniósł się z fotela, a jego czujne oczy przeszły mnie jak dwa lasery. Był wysokim, postawnym mężczyzną, z głową pokrytą gęstymi, białymi włosami, i pociągłą, poorly zmarszczkami twarzą. Musiał mieć już osiemdziesiąt lat, jednak nadal wyglądał na silnego i pełnego pasji.

- Co, do diabła, z tobą się stało? - zapytał w ramach powitania. - Jesteś na chemioterapii? Stąd ta fryzura?

- Mnie też miło pana widzieć, doktorze - powiedziałam, ściskając jego dłoń. Spojrzał w kierunku kobiety za barem.

- Marion! Cheesburger dla tej dziewczyny! Wygląda jak wychudły pies! Marion, niewzruszona, zabrała się do roboty.

- Na czym teraz jeździsz? - zapytał doktor Dean.

Usiadłam. Tanie, składane krzeselko wydawało się za niskie i sprawiało, że czułam się jak dziecko. A może taki efekt wywoływała obecność doktora po drugiej stronie stołu.

- Ujeżdżam dwa konie Seana.

- Nie wyglądasz, jakbyś mogła sobie dać radę z kucykiem.

- Mam się świetnie.

- Gówno prawda - stwierdził. - Kto jest teraz weterynarzem Seana?

- Paul Geller.

- Idiota.

- Nie jest taki, jak pan, doktorze - odpowiedziałam dyplomatycznie.

- Geller powiedział Margo Whitaker, że jej klacz potrzebuje terapii dźwiękowej. Margo nakłada teraz biednemu zwierzakowi słuchawki i przez dwie godziny dziennie puszcza mu odgłosy natury.

- Przynajmniej Margo ma coś do roboty.

- Koń potrzebuje braku obecności Margo w swoim otoczeniu. To byłaby właściwa terapia - mruknął ze złością. Pociągnął łyk swojego kolorowego drinka, patrząc na mnie uważnie. - Dawno cię nie widziałem, Elena. Dobrze mieć cię tu z powrotem. Powinnaś przebywać z końmi. One dają ci oparcie. Człowiek zawsze wie dokładnie, na czym stoi, gdy jest z końmi. Życie nabiera sensu.

- Tak - odpowiedziałam, zdenerwowana pod jego czujnym wzrokiem, przestraszona, że będzie chciał rozmawiać o mojej pracy i o tym, co się stało, ale darował sobie. Zamiast tego wypytywał mnie o konie Seana. Powspominaliśmy konie, na których Sean i ja jeździliśmy w przeszłości. Marion przyniosła mojego cheesburgera, a ja grzecznie zjadłam.

Gdy skończyłam, zapytał:

- Mówiłaś przez telefon, że masz pytanie.

- Wie pan coś o Donie Jadzie? - spytałam bez ogródek.

Oczy doktora Deana wyraźnie się zwięzły.

- Czemu się nim interesujesz?

- Przyjaciółka przyjaciółki jest zamieszana w jakąś mglistą sprawę z Donem Jade'em. Coś mi się w tym nie podoba.

Jego gęste, białe brwi uniosły się. Spojrzał w kierunku stajni skoczków. Na parcourze* para jeźdźców pokonywała kolorowe przeszkody. Konie z daleka wyglądały tak zgrabnie i lekko, jak jelenie biegnące przez łąkę. Fizyczna sprawność zwierząt jest prosta i czysta. Dopiero sport, w którym wykorzystujemy konie, jest skażony przez ludzkie uczucia, potrzeby, zachłanność - stąd mało w nim tej pierwotnej prostoty i czystości.

* Parcours - obszar z przeszkodami w konkursach skoków przez przeszkody.

- Cóż - odpowiedział. - Don zawsze sprawiał wrażenie ślicznego obrazka o nieco wystrzępionych krawędziach.

- Co to znaczy?

- Przejdźmy się - zaproponował. Podejrzewałam, że nie chciał, by ktokolwiek podsłuchał naszą rozmowę. Poszłam za nim do tylnego wyjścia, które prowadziło w głąb budynku, pomiędzy dwa rzędy boksów, z których trzy były zajęte przez konie.

- Moje projekty - wyjaśnił doktor. - Dwa niewytłumaczalne przypadki słabości i jeden poważny wrzód żołądka.

Oparł się o balustradę i spojrzął na zwierzęta, które najprawdopodobniej uratował przed rzeźnią. Pewnie miał ich tu jeszcze z pół tuzina, ulokowanych gdzie tylko się dało.

- Dają z siebie wszystko - powiedział - by sprostać naszym oczekiwaniom. Naszym żądaniom. A w zamian pragną jedynie, byśmy właściwie się nimi opiekowali i otaczali je troską. Wyobrażasz sobie, jak by było pięknie, gdyby wszyscy tak postępowali?

- Wyobrażam - odpowiedziałam automatycznie, lecz tak naprawdę nie potrafiłam. Byłam policjantką przez dwanaście lat. Moja praca, ludzie i zdarzenia, z którymi kazała mi się zetknąć, pozbawiły mnie tych szczątkowych pokładów idealizmu, jakie kiedykolwiek mogłam w sobie nosić. Historia Dona Jade'a, którą zaraz miałam usłyszeć, umocniła jedynie moje niskie mniemanie o rodzaju ludzkim.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat jego imię dwukrotnie pojawiło się w powiązaniu z próbami wyłudzenia pieniędzy od towarzystw ubezpieczeniowych. Przekręt polegał na tym, by zabić drogiego, pokazowego konia, który nie spełniał oczekiwań właściciela; właściciel zgłaszał następnie stratę do ubezpieczyciela, utrzymując, że koń zginął śmiercią naturalną, i zgarniał zgrabną sumkę. Szwindel był stary jak świat, a uwagę mediów przyciągnął w latach osiemdziesiątych, kiedy przyłapano na nim parę czołowych postaci świata jeździeckiego. Kilku trafiło za kratki z wieloletnimi wyrokami - wśród nich trener o międzynarodowej sławie i pewien hodowca, dziedzic nieprawdopodobnie wielkiej fortuny, którą jego przodkowie zbili, inwestując w telefony komórkowe. Bogactwo nikogo jeszcze nie powstrzymało przed zachłannością.

Postać Jade'a pojawiła się w owym czasie gdzieś na drugim planie afery; był asystentem trenera w stajni, w której konie ginęły w niewyjaśnionych okolicznościach. Nigdy nie postawiono mu zarzutów ani nie powiązano jego nazwiska bezpośrednio ze zgonami. Kiedy wybuchł skandal, Jade porzucił swego pracodawcę i wyjechał do Francji, gdzie przez kilka lat trenował i współzawodniczył na europejskiej arenie. W końcu szum wokół sprawy ucichł, Don Jade powrócił do Stanów i znalazł paru bogatych klientów, dzięki którym znów stanął na nogi.

Wydaje się nie do pomyślenia, by człowiek o reputacji Dona Jade'a mógł z powodzeniem wrócić do branży. Zawsze jednak znajdują się nowi właściciele, którzy albo nie znają wydarzeń sprzed lat, albo nie dają wiary opowieściom, albo chętnie patrzą przez palce na mroczną przeszłość trenera, jeśli zwęszyli okazję do zdobycia pieniędzy lub sławy. W ten oto sposób stajnia Jade'a przyciągnęła kilku zamożnych właścicieli, skłonnych wiele zapłacić za prowadzenie koni podczas Zimowego Festiwalu Jeździeckiego na Florydzie.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych jednym z koni pod opieką Jade'a był Tytan, zwierzę utalentowane, lecz o niestałym charakterze. Koń kosztował małą fortunę, a wydawał się nieustannie sabotować własne starania, by zapracować na utrzymanie. Zdobył reputację niewdzięcznego drania i narwańca. Pomimo umiejętności Tytana jego wartość spadała na łeb na szyję. Tak się złożyło, że jego właściciel, makler z Wall Street nazwiskiem Warren Calvin, stracił w tym

czasie okazały majątek na giełdzie. Wkrótce potem Tytana znaleziono martwego, a Calvin mógł złożyć wniosek o wypłacenie dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów odszkodowania.

Oficjalne wyjaśnienie podane przez Dona Jade'a i głównego stajennego brzmiało następująco: późno w nocy Tytan czegoś się przestraszył, zaczął szaleć w swoim boksie, w amoku złamał przednią nogę, a w końcu padł z wycieńczenia i utraty krwi. Jednak były pracownik Jade'a mówił co innego - utrzymywał, że śmierć Tytana nie była wypadkiem, że Jade go udusił, a złamanie nogi było efektem paniki, w jaką zwierzę wpadło, nie mogąc złapać oddechu.

Historia była paskudna. Firma ubezpieczeniowa natychmiast zażądała sekcji zwłok, a Warren Calvin stał się obiektem zainteresowania prokuratora stanu Nowy Jork. Wycofał wniosek o odszkodowanie i śledztwa zaniechano - jeśli nie ma wyludzenia, nie ma i zbrodni. Sekcji nigdy nie przeprowadzono. Warren Calvin zaprzestał interesów w branży konnej.

Don Jade przetrzymał falę plotek i spekulacji i kontynuował działalność. Miał wiarygodne alibi na noc, której zabito Tytana: jego pracownica, dziewczyna o imieniu Allison, poświadczyła, że był z nią w tym czasie w łóżku. Jade przyznał się do romansu, stracił żonę, ale utrzymał pozycję jako trener. Starzy klienci albo mu uwierzyli, albo odeszli, a nowi ciągnęli do niego jak muchy do lepu, niczego nieświadomi.

Niektóre fragmenty tej historii znalazłam już z własnych poszukiwań w Internecie, inne z plotek Iriny. Byłam pewna, że zdanie Iriny na temat Jade'a jest wynikiem opowieści zasłyszanych od innych stajennych - w pewnym stopniu opartych na faktach, lecz równie suto doprawionych złośliwością i niechęcią. W światku jeździeckim pleni się kumoterstwo. Wewnątrz poszczególnych dyscyplin - skoków, ujeżdżenia, i tak dalej - wszyscy wszystkich znają, a połowa z nich pieprzy drugą, dosłownie lub w przenośni. Zawiść i pragnienie zemsty są zjawiskami powszechnymi. Plotki potrafią być naprawdę okrutne.

Jednak jeśli historia wyszła z ust Deana Sorena, wiedziałam, że mogę w nią wierzyć.

- Wielka szkoda, że taki mętny typ wciąż siedzi w tym interesie - stwierdziłam.

Doktor Dean skinął głową i wzruszył ramionami.

- Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć. Don jest czarującym gościem, a poza tym potrafi dokonać cudu na parcourze. Sukces jest wartością samą w sobie, Elena, i z tym trudno się spierać. Zwłaszcza w tej branży.

- Irina, stajenna Seana, powiedziała mi, że Jade stracił konia w zeszłym weekend.

- Stellara - potwierdził doktor Dean, kiwając głową. Jego pacjentka z wrzodem żołądka podeszła do nas i łagodnie podsunęła chrapy pod rękę swego wybawcy, prosząc o pieśczętę. - Podobno przegryzł kabel od wiszącego w boksie wiatraka, kopnięcie prądu go zabiło.

Klacz podeszła bliżej i przełożyła cały łeb poza ogrodzenie boksu. Podrapałam ją po karku z roztargnieniem, z uwagą obserwując Deana Sorena.

- A co pan myśli?

Położył starą, pokrytą bruzdami dłoń na głowie zwierzęcia tak delikatnie, jakby dotykał dziecka.

- Myślę, że nasz Stellar miał więcej serca niż talentu.

- I myśli pan, że dlatego Jade go zabił?

- To, co ja myślę, nie ma znaczenia - odpowiedział. - Liczy się tylko to, co można udowodnić.

Spojrzał na mnie jak robił to od wielu lat, oczami, które niejedno potrafiły we mnie zobaczyć.

- A co ma na ten temat do powiedzenia twoja przyjaciółka?

- Nic - odpowiedziałam, czując, jak robi mi się niedobrze. - Prawdopodobnie zaginęła.

W poniedziałkowy poranek Erin Seabright, pracownica Dona Jade'a, miała przyjechać po swoją młodszą siostrę i zabrać ją na plażę. Od tamtej pory nie pojawiła się ani nie próbowała skontaktować się z rodziną.

Chodziłam w tę i z powrotem po domku gościnnym, obgryzając resztki panokcia na kciuku. Policjanci z biura szeryfa nie dzielali obaw dwunastoletniej dziewczynki. Mało prawdopodobne, by mieli coś na Dona Jade'a i by jego osoba w ogóle ich zajmowała. Rodzice Erin najwidoczniej też nic o Jadzie nie wiedzieli, inaczej Molly nie byłaby jedynym Seabrightem szukającym pomocy.

Dziesięć dolarów, które dała mi Molly, leżało na biurku, obok laptopa. W środku zwiniętego banknotu znalazłam własnoręcznie wykonaną wizytówkę dziewczynki: jej imię i adres wypisane na prostokątnej naklejce z przegowanym kotkiem, przyklejonej do niebieskiego kartonika. Na samym dole dziecięcym pismem wykaligrafowała swój numer telefonu.

Pięć lat temu, gdy został zabity Tytan, Don Jade sypiał z jedną ze swoich pracownic. Zastanawiałam się, czy pieprzenie stajennych było jego zwyczajem. Nie byłby to pierwszy trener z takimi skłonnościami. Pomyślałam o tym, w jaki sposób Molly unikała mojego wzroku, gdy mówiła, że Erin nie ma chłopaka.

Odeszłam od biurka, zaniepokojona i zdenerwowana. Po co w ogóle poszłam do doktora Deana? Po co wypytywałam go i dowiedziałam się tych wszystkich okropnych rzeczy o Jadzie? Moje życie było w rozsypce i nie potrzeba mi było dodatkowych kłopotów. Miałam ich wystarczająco dużo bez Molly Seabright i jej problemów rodzinnych. Powinnam poświęcać czas na rozplątywanie zawłości mojego własnego życia, odpowiadanie na wewnętrzne pytania, odnajdywanie siebie - a może na to, by w końcu zdać sobie sprawę z faktu, że nie ma we mnie nic wartego znalezienia.

Jeśli nie potrafiłam odnaleźć siebie, jak niby miałam odnaleźć zaginioną Erin? Nie chciałam wpadać w tę króliczą jamę. Mój kontakt z końmi miał być ukonjeniem. Nie chciałam mieć nic wspólnego z ludźmi pokroju Dona Jade'a, którzy potrafili porazić zwierzę prądem, jak Stellara, lub udusić, wypychając mu piłeczki pingpongowe do nozdrzy, tak jak zrobili Tytanowi Warrena Calvina.

W taki właśnie sposób dusi się konia: wkładając mu do nosa piłeczki. Poczulałam, jak zaciska mi się gardło na myśl o zwierzęciu wpadającym w panikę, rzucającym się o ściany boksu w bezsilnej walce z przeznaczeniem. Widziałam szeroko otwarte oczy, wzrok wodzący wokoło z przerażeniem. Słyszałam krótki kwik, gdy koń gwałtownie rzuca się w tył, uderzając w ścianę, odgłosy bezładnej szamotaniny i potworny dźwięk pękającej kości. Ten koszmar wydawał się niemal realny, a jego odgłosy rozchodziły się echem po mojej głowie. Zrobiło mi się słabo i niedobrze. Nie mogłam oddychać. Chciałam to wszystko z siebie wykrztusić.

Wysłałam na małe patio z tyłu domu; drżałam, mokra od potu. Myślałam, że zaraz zwymiotuję. Zastanawiałam się, jak to o mnie świadczy, skoro przez wszystkie lata pracy w policji nigdy nie zrobiło mi się niedobrze na widok krzywd, które człowiek potrafi wyrządzić drugiemu człowiekowi, a sama myśl o okrucieństwie wobec zwierzęcia była dla mnie nie do zniesienia.

Pod wpływem chłodnego powietrza wieczoru koszmarnie obrazy powoli rozwiąły się.

Sean miał towarzystwo. Z daleka widziałam ich, jak siedzą przy stole, pogrążeni w rozmowie, roześmiani. Światło lamp wylewało się przez wysokie okna i odbijało w ciemnej powierzchni stawu. Sean chciał, żebym do nich dołączyła, ale stanowczo odrzuciłam zaproszenie - wciąż byłam na niego wściekła za ogłoszenie w „Sidelines”. Pewnie teraz, kiedy ja tu stoję, gapiąc się na nich przez okno, on właśnie opowiada swoim koleżkom o pani detektyw, która mieszka u niego na podwórku. Pieprzony dyletant. Wykorzystuje mnie, żeby zabawić jakichś chłoptasiów z Palm Beach. Nawet nie pomyśli, że igra z moim życiem.

Mniejsza o to, że wcześniej je ocalił.

Nie chciałam o tym pamiętać. Nie chciałam też myśleć o Molly Seabright i jej siostrze. To miejsce miało być moim schronieniem, a w tej chwili czułam, jak ze wszystkich stron ciągną mnie niewidzialne ręce, czepiają się mojego ubrania, szczypią skórę. Próbowалам im się wyrwać, ruszając przez mokrą trawę w kierunku stajni.

Stajnia Seana Avadona została zaprojektowana przez tego samego architekta, który zaplanował główny budynek mieszkalny i domek gościnny. Mauretańskie luki tworzyły galerie po obu stronach. Dach pokryty był zieloną dachówką, a sufit - drewnem tekowym. Elementy oświetlenia w stylu art déco zdobiące środkową nawę pochodziły ze starego hotelu w Miami. Większość ludzi mieszka w domach tańszych niż ta stajnia.

Była to cudowna przestrzeń, piękne miejsce, do którego często przychodziłam w nocy, szukając ukojenia. Mało rzeczy daje mi takie poczucie spokoju i pewności, jak towarzystwo koni skubiących wieczorną porcję siana. Ich życie jest proste. Wiedzą, że są bezpieczne. Ich dzień właśnie się kończy, a one wierzą, że słońce jutro znowu wstanie. I bezgranicznie ufają swoim opiekunom. Są niewymownie bezbronne.

Oliver przerwał jedzenie, podszedł do ogrodzenia, wystawił za nie głowę i trącił chrapami mój policzek. Schwycił między zęby kołnierzyk mojej starej, dżinsowej koszuli i wydawał się uśmiechać, ucieszony, że udała mu się psota. Wtuliłam się w jego wielki łeb i zanurzyłam w ciepły zapach zwierzęcego ciała. Kiedy się odsunęłam, wydobywając kołnierzyk, spojrział na mnie oczami tak dobrymi i niewinnymi jak oczy małego dziecka.

Mogłabym się rozplakać, gdybym była do tego fizycznie zdolna - ale nie jestem.

Wróciłam do domku gościnnego, ponownie rzucając okiem na przyjęcie u Seana. Wyglądało na to, że wszyscy cudownie się bawią, uśmiechnięci, zadowoleni, skąpani w złotym blasku. Zastanowiłam się, jaki widok ujrzałabym za oknami domu Molly Seabright. Matka i ojczym przechodzą obok niej, zajęci szczegółami przyziemnej codzienności, Molly, tak różna od nich w swej bystrej inteligencji, zastanawia się, do kogo teraz zwrócić się o pomoc, całkiem sama w swej trosce o siostrę.

Gdy weszłam do domu, kontrolka automatycznej sekretarki mrugała na czerwono. Nacisnęłam guzik i przygotowałam się na dźwięk głosu Molly. Poczulałam coś na kształt rozczarowania, gdy w słuchawce zabrzmiała prośba mojego adwokata, bym łaskawie oddzwoniła kiedyś w tym stuleciu. Dupek. Toczyliśmy batalię o moją rentę inwalidzką od czasu, kiedy opuściłam biuro szeryfa. Nie potrzebowałam tych pieniędzy, ale wedle mojego adwokata miałam do nich prawo, gdyż uległam wypadkowi na służbie. Mniejsza o to, że sama byłam sobie winna, i o to, że moje rany były niczym w porównaniu z tym, co stało się z Hectorem Ramirezem. Czego, do cholery, on jeszcze nie wiedział po takim czasie!? Czemu uważał, że jestem mu do czegoś potrzebna?

Dlaczego ktokolwiek mógł myśleć, że jestem mu do czegoś potrzebna?

Poszłam do sypialni, usiadłam na łóżku i wysunęłam szufladę nocnej szafki. Wyjęłam brązowe, plastikowe opakowanie vicodinu i wysypałam tabletki na blat. Popatrzyłam na nie, przeliczyłam, dotykając każdej z nich. To żalosne, że taki rytuał może przynosić mi ulgę, że myśl o przedawkowaniu leku - lub nadzieja, że tej nocy znów uda mi się przezwyciężyć słabość - tak mnie uspokaja.

Jezu Chryste, kto przy zdrowych zmysłach mógłby myśleć, że mnie potrzebuje?

Pełna niesmaku do samej siebie, wyspałam tabletki z powrotem do fiołki i wrzuciłam ją do szuflady. Nienawidziłam siebie za to, że nie byłam taka, za jaką zawsze się uważałam: silna. Ostatecznie jednak długo brałam własne zepsucie i rozpuszczenie za siłę, arogancję za niezależność, a brawurę za odwagę.

Życie okazuje się mało warte, gdy w wieku trzydziestu lat odkrywasz, że wszystko, co w sobie uważałeś za prawdziwe i godne podziwu, jest zaledwie kłamstwem, służącym samozadowoleniu.

Zapędziłam się w ślepą uliczkę i teraz nie wiedziałam, jak się z niej wydostać. Nie byłam pewna, czy dam radę wymyślić sobie od początku. Nie sądziłam, bym miała na to wystarczająco dużo siły i woli. A chowanie się w wym własnym czyścicu żadnej siły nie wymagało.

Zdawałam sobie sprawę, jak bardzo byłam żałosna. W ciągu ostatnich dwóch lat spędziłam wiele nocy na rozważaniu, czy bycie martwą nie jest przypadkiem lepsze od bycia żałosną. Jak dotąd wciąż dawałam sobie odpowiedź przeczącą. Wierzyłam, że żyjąc, mam przynajmniej nikłą szansę naprawić swoje błędy.

Czy Erin Seabright myślała gdzieś teraz w podobny sposób? Ciekawe. Czy może było już za późno? Może znalazła się w takim położeniu, w którym śmierć jest wyborem lepszym, lecz nieosiągalnym?

Byłam gliną bardzo długo. Służbę w Palm Beach rozpoczęłam, patrolując dzielnicę, w której działalność przestępcza była popularną drogą do kariery, a narkotyki można było kupić na ulicy w środku dnia. Przepracowałam jakiś czas w Vice, przyglądając się z bliska środowisku prostytutek i handlarzy pornografią. Całe lata zajmowałam się narkotykami w biurze szeryfa.

Miałam głowę pełną ponurych scenariuszy - historii młodych dziewczyn, które znalazły się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze. Południowa Floryda pełna była miejsc, w których można pozbyć się ciała lub ukryć niewygodną tajemnicę. Wellington było oazą cywilizacji, ale poza ogrodzonym terenem osiedli znajdowały się ziemie zapomniane przez Boga. Bagna i lasy. Połacie kolczastych zarośli i pola trzciny cukrowej. Bite, piaskowe drogi i wiejskie osiłki, gangi motocyklowe produkujące metamfetaminę w przyczepach,

które dwadzieścia lat temu powinny być oddane na użytek szczyrom. Kanały i rowy pełne ciemnej mazi i aligatorów, które nie gardzą żadnym mięsem.

Czy Erin Seabright czekała gdzieś teraz, by ktoś przyszedł jej z pomocą? Czekala na mnie? Boże, miej ją w swej opiece. Nie chcę nigdzie iść.

Poszłam do łazienki, umyłam ręce i opłukałam twarz zimną wodą. Próbowalam zmyć z siebie poczucie obowiązku. Czułam wodę tylko po prawej stronie twarzy. Nerwy lewej części były uszkodzone, co znacznie ograniczało moje ruchy i doznania. Chirurdzy plastyczni nadali mojej twarzy wyraz neutralny, wykonując robotę tak świetną, że nikt nie potrafił dostrzec, by cokolwiek było ze mną nie tak - poza całkowitym brakiem emocji.

Spokojna, pozbawiona wyrazu twarz, która spoglądała na mnie z lustra, była kolejnym dowodem na to, że żadna część mnie nie była do końca normalna. I ja miałam wybawić Erin Seabright z kłopotów?

Uderzyłam w lustro pięścią, pragnąc, by mój obraz rozsypał się przed moimi oczami, tak jak rozsypał się w środku mnie dwa lata temu. Chciałam poczuć ostre szarpnięcie bólu, oczyścić się strumieniem lejącej się krwi. Chciałam krwawić, by wiedzieć, że jestem. I chciałam zniknąć, by uciec przed bólem. Dwie przeciwstawne siły zderzały się we mnie, wypełniały płuca, ścisnęły głowę.

Uciekłam do kuchni i przez chwilę patrzyłam na stojak z nożami i leżące obok nich kluczyki do samochodu.

Życie może się zmienić w ciągu jednego uderzenia serca, na przestrzeni cienkiej jak włos. Bez naszego przyzwolenia. Już dawno wiedziałam, że to prawda, ale tej nocy czułam to szczególnie wyraźnie. W tamtej chwili wołałam wierzyć, że chwytam kluczyki i wychodzę z domu, by uciec od dręczących mnie koszmarów. Ta myśl pozwalała mi dalej wierzyć we własny egoizm.

Prawda jednak jest taka, że wybór, którego dokonałam, nie był wcale bezpieczny. Zdecydowałam się ruszyć do przodu, przedkładając życie nad prywatny czyściec.

Zanim było po wszystkim, wiele razy bałam się, że będę żałować tej decyzji do końca życia - a nawet, że je stracę.

III

Centrum jeździeckie w Palm Beach jest jak państwo w państwie, z rodziną królewską i strażnikami przy bramie. Przy głównej bramie. Tylny wjazd, oddalony o pięć minut drogi samochodem od posiadłości Seana, jest otwarty przez cały dzień. Lokalni hodowcy często go używają, by przemyścić własne konie na wystawę bez płacenia za stajnię - opłata wynosi dziewięćdziesiąt dolarów za miejsce w cyrkowym namiocie przeznaczonym dla setki koni. Strażnik pełniący nocną służbę na ogół zamyka tylną bramę podczas obchodu. Najwyraźniej dzisiejszej nocy jeszcze go tu nie było.

Przejechałam przez bramę; na przednim lusterku zawiesiłam żółtą przepustkę, na wszelki wypadek skradzioną z mercedesa Seana. Zaparkowałam w rzędzie samochodów stojących pod płotem, naprzeciwko ostatniego z czterdziestu wielkich, stajennych namiotów.

Jechałam kupionym na aukcji u szeryfa bmw 318i - koloru morskiej wody, ze składanym dachem. Dach przeciekał podczas silnych deszczów, ale samochód miał ciekawy element wyposażenia, który nie pochodził z bawarskiej fabryki: mały, metalowy, wyłożony pianką schowek ukryty w drzwiach od strony kierowcy, duży na tyle, by zmieścić sporą paczkę kokainy albo niewielki pistolet. Na ogół chowałam tam mojego glocka kaliber dziewięć milimetrów; teraz wsuwałam broń za pasek spodni, zasłoniłam ją dołem koszuli i wysiadłam z samochodu.

W dni pokazów tereny klubu wypełniał obłądny tłum. Wózki golfowe i niewielkie motory gnały w tę i z powrotem między stajniami a areną, wymijając psy, ciężarówki i przyczepy, ciężki sprzęt, jaguary i porsche, dorosłych na koniach i dzieci na kucykach, a także stajennych prowadzących konie - z grzywami zaplecionymi w misterne warkoczyki, odziane w kaftany chłodzące w barwach swych stajni po dwieście dolarów za sztukę. Miejsce sprawiało wrażenie obozu dla uchodźców, ze stojącymi wszędzie przenośnymi toaletami, ludźmi napelniającymi wiadra wodą z przydrożnych pomp i nielegalnymi imigrantami wyrzucającymi łajno na szybko rosnące hałdy, które raz dziennie były wywożone przez wielkie ciężarówki. Instruktorzy szkolili konie na każdym wolnym skrawku

ziemi, trenerzy wykrzykiwali polecenia, słowa zachęty i obraźliwe uwagi pod adresem swoich podopiecznych. Z megafonów co chwilę płynęły kolejne ogłoszenia.

W nocy miejsce całkiem się zmieniało. Było ciche i opustoszałe. Czasem gdzieś przemknął strażnik robiący obchód terenu, czasem pojawił się stajenny z rutynową kontrolą lub trener doglądający chorego zwierzęcia. Niektóre stadniny zostawiały w udekorowanych siodlarniach własnych strażników - niańki zwierząt wartych miliony.

Pod osłoną ciemności mogło zdarzyć się wiele złego. Rywale mogli stać się wrogami. Zazdrość mogła przerodzić się w zemstę. Znałam kobietę, której koni zawsze pilnował ochroniarz, odkąd jednemu z jej zwierząt ktoś podał LSD w noc przed zawodami, gdzie pula nagród wynosiła pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Na terenach pokazowych udałooby mi się pewnie dokonać paru niezłych nalołów w czasach, kiedy pracowałam jeszcze w wydziale narkotyków. Handlowano tu wszystkim - prochami dla zwierząt i ludzi, zapewniającymi poprawę zdrowia, formy i humoru - trzeba było jedynie wiedzieć, kogo i jak pytać. Potrafiłabym łatwo wtopić się w ten światek, w końcu znałam go od podszewki. Pozostawiałam z dala od niego na tyle długo, że nikt mnie już nie znał, jednak wciąż potrafiłam udawać, że jestem stąd. Miałam tylko nadzieję, że mały żart Seana w „Sidelines” nie pozbawił mnie anonimowości.

Oстрыm łukiem obeszłam tereny położone na tyle klubu, eufemistycznie zwane łąkami. W rzeczywistości było to getto dla koni goszczących w Palm Beach jedynie przez kilka dni w sezonie. Od tych namiotów do centrum terenów pokazowych idzie się około dwudziestu minut. Po drodze zauważyłam sprzęt do robót ziemnych, stojący tuż przed dużą połącją świeżo rozkopanego gruntu pośrodku krzaczastego zagajnika. Znowu powiększono obszar centrum.

W namiotach paliły się światła. Przez nocne powietrze popłynął melodyjny, kobiecy śmiech, zawtórował mu drugi - męski, stłumiony. Dostrzegłam ich w głębi namiotu numer dziewiętnaście. Przed wejściem wymyślnie uformowana zieleń okalała jasno oświetloną, zieloną tablicę, na której złotymi literami wypisano jedno słowo: JADE.

Przeszłam obok. Teraz, gdy wiedziałam już, gdzie Jade trzyma swoje konie, nie miałam pomysłu, co dalej robić. Mój plan nie wybiegał tak daleko w przód.

Skręciłam za następnym namiotem i obchodząc go wkoło, znalazłam się na tyłach namiotu numer dziewiętnaście. Posuwałam się powoli, aż w końcu usłyszałam ich głosy.

- Słyszałaś coś? - zapytał męski głos o dziwnym akcencie, holenderskim, a może duńskim.

Wstrzymałam oddech.

- Odgłosy trawienia - odpowiedziała kobieta. - Klacz ma się już lepiej, ale zrobimy jej rutynowe badania. Nie chcę, by ktoś oskarżał nas o brak troski po tym, co się zdarzyło Stellarowi.

Mężczyzna wydał z siebie krótki, pozbawiony wesołości śmiech.

- Ludzie już zdecydowali, co o tym myśleć. Wierzą w to, w co chcą wierzyć.

- Czyli w najgorsze - odpowiedziała kobieta. - Dziś zadzwoniła Jane Lennox z wiadomością, że myśli o przeniesieniu Park Lane do innego trenera. Na szczęście udało mi się ją od tego odwieść.

- No pewnie, że ci się udało, Paris. Jesteś niezwykle przekonująca.

- Jesteśmy w Ameryce. Tu jesteś niewinny, dopóki ci czegoś nie udowodnią.

- Lub zawsze wtedy, gdy jesteś bogaty, piękny albo uroczy.

- Don jest piękny i uroczy, a wszyscy wydają się sądzić, że jest winny.

- Tak jak O.J. Simpson. Bo grał w golfa i pieprzył się z białymi kobietami.

- Jak możesz?

- Ależ to prawda! Jade ma stajnię pełną koni. Amerykanie... - urwał, z wyrazem lekceważenia na twarzy.

- Vi! Ja też jestem Amerykanką - jej głos się zaostrzył. - Mnie też chcesz nazwać głupią?

- Ależ, Paris... - skrucza z wazeliną.

- Ci głupi Amerykanie kupują od ciebie konie i napychają ci kieszenie. Powinieneś okazywać więcej szacunku. Czy może właśnie dlatego sądzisz, że jesteśmy głupi?

- Paris... - więcej wazeliny. - Nie gniewaj się. Nie chcę, byś była na mnie zła.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo nie chcesz.

Zza rogu, węsząc, wyszedł mały terier, popatrzył na mnie, podniósł tylną łapkę i zrobił siusiu na belę siana, rozważając jednocześnie, czy wydać moją

kryjówkę. Opuścił łapę i zaczął ujadać, jakby ktoś włączył alarm samochodowy. Zamarłam w bezruchu.

- Milo, Milo! Chodź tu! - zawołała psa kobieta.

Ale Milo nie dawał za wygraną. Przy każdym szczeknięciu podskakiwał do góry jak nakręcana zabawka.

Kobieta wychyliła się zza rogu, zaskoczona mym widokiem. Była śliczną blondynką, miała na sobie bryczesy i zielone polo, spod którego wystawał złoty naszyjnik. Posłała mi promienny uśmiech z reklamy pasty do zębów, który nie był niczym więcej jak napięciem mięśni żuchwy.

- Przepraszam za psa. Myśli, że jest rottweilerem - powiedziała, biorąc teriera na rękę. - Czy mogę w czymś pomóc?

- Sama nie wiem... Szukam kogoś. Słyszałam, że pracuje dla Dona Jade'a. Może zna pani Erin Seabright?

- Erin? Czego pani od niej chce?

- Czuję się trochę niezręcznie - odpowiedziałam. - Słyszałam, że szuka innej pracy, a mój przyjaciel pilnie potrzebuje stajennego. Rozumie pani, jak to jest, środek sezonu...

- Jeszcze jak! - dramatycznie westchnęła, przewracając wielkimi, brązowymi oczami. Aktorka. - Sami szukamy kogoś do pomocy. Erin niestety odeszła.

- Naprawdę? Kiedy?

- W niedzielę. Zostawiła nas na lodzie. Dostała ciekawszą propozycję gdzieś w Ocala, o ile dobrze pamiętam. Don próbował ją od tego odwieść, ale powiedziała, że już podjęła decyzję. Naprawdę przykro było mi to słyszeć. Lubiłam Erin, ale wie pani, jak niestałe potrafią być te dziewczyny.

- Cóż, jestem zdziwiona. Z tego, co zrozumiałam, zależało jej na tym, by zostać w okolicy Wellington. Zostawiła może adres, na który moglibyście wysłać jej czek z ostatnią wypłatą?

- Don zapłacił jej, zanim wyjechała. A tak przy okazji... jestem Paris Montgomery, asystentka trenera. - Wciąż trzymając psa przy piersi, wyciągnęła rękę. Miała mocny uścisk. - A pani jest...?

- Elle Stevens. - Używałam tego imienia w zeszłym życiu, kiedy pracowałam jako tajniak. Samo wyszło mi z ust, bez chwili wahania. - Więc odeszła w niedzielę... Przed czy po śmierci Stellara?

Uśmiech przysł.

- Czemu pani o to pyta?
- No... Odchodzi od was niezadowolony pracownik i nagle tracie konia...
- Stellar przegryzł przewód elektryczny. To był wypadek.
Wzruszyłam ramionami.
- No nie wiem. Ludzie różne rzeczy gadają.
- Ludzie głównie wiedzą!
- Co się dzieje, Paris? Czy jest jakiś problem? - Dołączył do nas mężczyzna. Pięćdziesiąt parę lat, wysoki i elegancki; siwe skronie podkreślały czerń bujnych włosów. Miał surową twarz arystokraty, jasne spodnie z kantem, różową koszulę Lacoste i czarną apaszkę wokół szyi.
- Skądże - odpowiedziałam. - Szukam kogoś.
- Pani szuka Erin - wyjaśniła Paris Montgomery.
- Erin?
- Erin. Stajennej. Tej, która właśnie odeszła.
Zrobił kwaśną minę.
- Ach, tej dziewczyny. Do niczego się nie nadaje. Czemu pani jej szuka?
- To nieistotne - odpowiedziałam - skoro odeszła.
- Kim jest pani przyjaciel? - zapytała Paris. - W razie gdybym słyszała o wolnym stajennym.
- Sean Avadon. Z Avadonis Farm.
Zimne, niebieskie oczy mężczyzny zalśniły cieplejszym blaskiem.
- Ma parę całkiem niezłych koni - zauważył.
- Tak, to prawda.
- Pracuje pani dla niego? - zapytał.
Musiałam wyglądać jak najemny pracownik, z moimi obstrzępionymi włosami, w starych dżinsach i ciężkich butach.
- To stary przyjaciel. Jeżdżę na jednym z jego koni, dopóki nie znajdę dla siebie czegoś odpowiedniego.
Mężczyzna uśmiechnął się, pokazując rząd olśniewająco białych zębów; przypominał teraz zadowolonego kota, który właśnie zapędził mysz do rogu. Handlarz końmi. Trzecia z najstarszych profesji na świecie. Przodek dealera używanych samochodów.
Przy końcu namiotu zatrzymała się ciężarówka, a Paris Montgomery przewróciła oczami.

- To doktor Ritter, muszę iść.

Przywołała na twarz promienny uśmiech i ponownie uścisnęła mi dłoń.

- Miło było cię poznać, Elle - stwierdziła, jakby przed chwilą nie doszło między nami do nieprzyjemnej wymiany zdań. - Powodzenia w poszukiwaniach!

- Dziękuję!

Postawiła psa i ruszyła za rozszczekaną bestią w kierunku nawołującego ją doktora Rittera. Mężczyzna wyciągnął do mnie rękę.

- Tomas Van Zandt.

- Elle Stevens.

- Ogromnie mi miło - trzymał moją dłoń nieco zbyt długo.

- Powinam już iść - powiedziałam, odsuwając się o krok. - Trochę późno na szukanie wiatru w polu.

- Pozwól, że cię odwiozę na parking - zaproponował. - Piękna kobieta nie powinna chodzić tu w nocy sama. Nigdy nie wiadomo, jacy ludzie mogą kręcić się po okolicy.

- To prawda, ale dziękuję za troskę. Kobieta nie powinna również wsiadać do samochodu z mężczyzną, którego przed chwilą poznała.

Zaśmiał się i położył rękę na sercu.

- Jestem dżentelmenem, Elle. Nieszkodliwym. Bez żadnych zamiarów. Nie chcę od ciebie nic prócz uśmiechu.

- Chętnie sprzedałbyś mi konia i pozbawił fortuny.

- Ale jakiego konia! Znajdę dokładnie to, czego potrzebujesz, za świetną cenę - obiecał. - Twój przyjaciel Avadon zdaje się lubić konie. Może mogłabyś nas ze sobą poznać?

Ci handlarze... Przewróciłam oczami i posłałam mu lekki uśmiech.

- Może jednak dam się podwieźć do samochodu.

Wyraźnie usatysfakcjonowany zaprowadził mnie do stojącego przed wejściem czarnego mercedesa sedana i otworzył przede mną drzwiczki.

- Masz chyba wielu zadowolonych klientów, skoro stać cię na wynajęcie takiego wozu - powiedziałam.

Tym razem Van Zandt uśmiechnął się jak kot, który dostał i mysz, i śmietankę.

- Moi klienci są tak zadowoleni, że jeden z nich pożyczył mi ten samochód na cały sezon.

- Niech mnie! Gdyby mój były facet tak mnie uszczęśliwił, może nadal mówiłabym o nim w czasie teraźniejszym.

Van Zandt zaśmiał się.

- Gdzie zaparkowałaś, panno Elle?

- Przy tylnej bramie.

Kiedy ruszyliśmy w kierunku łąk, zapytałam:

- Znasz tę dziewczynę, Erin? Mówiłeś, że nie była dobrą pracownicą.

Skrzywił usta, jakby poczuł nieświeży zapach.

- Złe podejście. Wygadana. Flirtowała z klientami. Amerykańskie dziewczyny nie są dobrymi stajennymi. Są zepsute i leniwe.

- Ja jestem amerykańską dziewczyną.

Zignorował mnie.

- Znajdź sobie jakąś Polkę. Są silne i tanie.

- A można je dostać w Wal-Marcie? Zatrudniam teraz Rosjankę, która myśli, że jest carycą.

- Rosjanki są aroganckie.

- A jacy są Holendrzy?

Zatrzymał samochód tam, gdzie mu wskazałam, tuż przy mojej beemce.

- Jestem z Belgii - poprawił. - Tam, skąd pochodzę, mężczyźni są czarujący i wiedzą, jak należy traktować kobiety.

- A mnie wydają się niezłymi draniami - powiedziałam. - Kobiety powinny się mieć na baczności, gdy w pobliżu kręci się jakiś Belg.

Zachichotał.

- Twarda z ciebie sztuka, Elle Stevens!

- Trzeba czegoś więcej niż uśmiech i zagraniczny akcent, by zwalić mnie z nóg. Musisz na to solidnie zapracować.

- O! Wyzwanie? - zapytał uradowany.

Wysiadłam z samochodu, nie czekając, aż otworzy mi drzwi z drugiej strony, i wyjęłam kluczyki z tylnej kieszeni. Wierzchem dłoni musnęłam kolbę pistoletu zatkniętego za pasek spodni.

- Dzięki za podwiezienie - powiedziałam.

- To ja dziękuję, Elle Stevens. Uczyniłaś ten nudny wieczór interesującym.

- Nie pozwól, by Paris Montgomery usłyszała, co mówisz.

- Paris... Ostatnio jest strasznie ponura. Ciągłe mówi o tym zdechłym walu-
chu.

- Utrata konia wartego tyle pieniędzy mnie także popsułaby humor.

- To nie były jej pieniądze.

- A może lubiła tego konia?

Wzruszył ramionami.

- Zawsze może być następny.

- Którego z pewnością chętnie sprzedasz niepokieszonemu właścicielowi za ładną sumkę?

- Oczywiście. Czemu nie? To dobry interes - dla mnie i dla niego.

- Ależ ty jesteś sentymentalny....

W jaskrawym świetle alarmowej lampy, która właśnie zapaliła się nad nami, zobaczyłam, jak mięśnie twarzy Van Zandta napinają się.

- Siedzę w tym interesie od trzydziestu lat, Elle Stevens - odrzekł. W jego głosie słyhać było nutę zniecierpliwienia. - Nie jestem bez serca, ale z punktu widzenia profesjonalistów konie po prostu przychodzą i odchodzą. Szkoda, że walu-
ch zdechł, ale w naszym świecie sentymentalny głupiec jest po prostu głup-
cem. Życie toczy się dalej, także dla właściciela. Ubezpieczenie pokryje stratę, a on kupi nowego konia.

- Którego ty chętnie znajdziesz.

- Z pewnością. Już mam na oku jedno belgijskie чудо: prześwietlenie bez za-
rzutu, wyniki dwa razy lepsze niż tego, który właśnie strzelił kopytami.

- I za jedyne milion osiemset tysięcy dolarów może znaleźć się w posiadaniu
jakiegoś szczęśliwego Amerykanina, a Don Jade będzie na nim jeździł.

- Dobry koń kosztuje, ale również wygrywa.

- A pozostałe mogą przegryzać się przez przewody elektryczne w środku nocy
i do woli smażyć się na śmierć? - zapytałam. - Uważaj, komu to mówisz, Van
Zandt. Jakiś agent ubezpieczeniowy mógłby cię usłyszeć i pomyśleć coś złego.

Nie zlekceważył mojej uwagi. Poczulałam, jak rośnie w nim napięcie.

- Nie powiedziałem, że ktoś zabił tego konia - powiedział napiętym, zniżo-
nym głosem. Był na mnie zły. Nie powinnam wykazywać się inteligencją. Mia-
łam być kolejną Amerykanką z dużym portfelem i niemądrą główką, którą on
oczaruje, a potem zabierze na zakupy do Europy.

- Nie powiedziałaś, ale Jade ma taką reputację, czyż nie?

Van Zandt podszedł bliżej. Plecami oparłam się o dach samochodu. Musiałam unieść głowę, by popatrzeć mu w twarz. W okolicy nie było żywej duszy. Za bramą kilometrami ciągnęły się niezamieszkałe tereny. Sięgnęłam za plecy i dotknęłam pistoletu.

- Ty jesteś tą osobą od ubezpieczeń, Elle?

- Ja? - zaśmiałam się. - Boże, nie. Ja nie pracuję - ostanie zdanie wypowiedziałam z należytą pogardą, tonem, którego nie powstydziliby się moja matka. - Myślę, że to ciekawa historia, nic więcej. „Don Jade: Niebezpieczny mężczyzna z tajemnicą”. Znasz nas, mieszkańców Palm Beach. Nie możemy się oprzeć urokowi skandalu. Moja jedyna troska to znaleźć teraz następnego konia. A wszystko, co wiąże się z waszymi pokazami i konkursami, jest dla mnie po prostu źródłem plotek.

Rozluźnił się, najwyraźniej uspokojony myślą, że jestem całkowicie zaabsorbowana własną osobą. Podał mi swoją wizytówkę, z powrotem przyjmując pozę czarującego amanta. Chciwość wzięła górę nad złością.

- Zadzwoń do mnie, Elle. Znajdę ci konia, o którym marzysz.

Spróbowałam się uśmiechnąć, wiedząc, że i tak jedynie połowa moich ust uniesie się w górę.

- Może skorzystam z pańskiej oferty, panie Van Zandt.

- Mów mi Vi - jego głos przybrał dziwnie intymną barwę. - Vi jak wiktoria, jak wygrana, jak wspaniałe konie.

Jak wymioty.

- Od dziś jesteśmy przyjaciółmi - oznajmił. Pochylił się i pocałował mnie w prawy policzek, potem w lewy i jeszcze raz w prawy. Jego usta były zimne i suche.

- Trzy razy, po belgijsku - znów mówił do mnie Pan Nienaganne Maniery.

- Zapamiętam to sobie - odpowiedziałam. - Jeszcze raz dziękuję za podwiezienie.

Wsiadłam do samochodu i ruszyłam. Tylne bramy były zamknięte. Zawróciłam i pojechałam drogą obok namiotu dziesiętnastego. Van Zandt jechał za mną aż do wyjazdu dla ciężarówek. Światła naszych samochodów odbiły się od ścian czterech dużych stajni po prawej stronie. Przy bramie, w budce pomiędzy dwoma pasami ruchu, stał strażnik; radio ustawione na blacie grało głośno

reggae. Pomachałam strażnikowi, a on gestem nakazał mi jechać dalej, nie zatrzymując mnie, o nic nie pytając. Cała jego uwaga skupiona była na wielkiej, osiemnastokółowej ciężarówce wiozącej konie, która właśnie wtaczała się do środka po równoległym pasie. Mogłam mieć bagażnik pełen kradzionych siodel. Mogłam w nim wieźć zwłoki. Mogłam być przestępcą, który przed chwilą zrobił coś bardzo złego. Z tą niepokojącą myślą jechałam do samego domu.

Skręciłam w prawo na Pierson. Van Zandt skręcił w prawo na Pierson. Obserwowałam go w lusterku, zastanawiając się, czy uwierzył mi, gdy powiedziałam, że nie prowadzę dochodzenia w imieniu agencji ubezpieczeniowej. Zastanawiałam się, jaka byłaby jego reakcja, gdyby zobaczył moje zdjęcie w „Sidelines” i skojarzył fakty.

Ale ludzie w dziwny sposób dają się zwieść dużo łatwiej, niż można by przypuszczać. Nie wyglądałam jak ta kobieta na zdjęciu. Miałam krótsze włosy. Podałam inne nazwisko. Jedynym łącznikiem między mną a nią była osoba Seana. Gdyby jednak ktoś przypadkiem wpadł na ów artykuł, słowa „prywatny detektyw” z pewnością by go zaalarmowały. Pozostawało mi więc wierzyć, że jest tak, jak mówi Sean - tylko ludzie zajmujący się ujeżdżeniem zagląдают do tej części magazynu.

Skręciłam w prawo na South Shore. Van Zandt skręcił w lewo.

Zgasiłam światła, zawróciłam i pojechałam za nim, trzymając się w pewnej odległości. Przejechaliśmy koło stadionu polo. Zjechał na drogę prowadzącą do klubu „The Players”. Wystawne kolacje przy winie należą do obowiązków służbowych handlarzy koni. Mój nowy przyjaciel, zamawiając drinki przy barze w takim miejscu, mógł sobie pozwolić na parę kieliszków za dużo i stracić samokontrolę.

Van Zandt mógł przywoicie zarobić na sprzedaży belgijskiego skoczka właścicielowi Stellara. Ten z kolei miał wkrótce odebrać okrągłą sumkę z agencji ubezpieczeniowej z racji śmierci konia, który i tak nie miał żadnej przyszłości. A Don Jade, który trenował i wystawiał Stellara, a wkrótce będzie trenował i wystawiał także następnego konia, czerpał zyski z obu stron. Wszyscy oni mogli teraz siedzieć razem w „The Players”, pijąc toast za odejście Stellara z tego świata w tak dogodnych okolicznościach.

A Erin Seabright nie dała znaku życia właśnie od nocy, w której zginął Stellar.

Porzuciłam myśl, by wejść do klubu. Nie byłam na to przygotowana. Dodałam gazu, zawróciłam raz jeszcze i pojechałam w kierunku domu.

Wkrótce miałam stać się prywatnym detektywem.

IV

Zastanawiam się, czemu nadal żyję.

Billy Golam celował ze swojej broni prosto w moją twarz. W koszmarze potwarzającym się niezliczoną liczbę razy patrzyłam w głąb lufy jego trzystapięćdziesiątkisiódemki i łapałam oddech, który miał być moim ostatnim. Ale Golam odwrócił się i wystrzelił w innym kierunku.

Czy życie miało być moją karą, czyśceniem? A może miałam sama je zakończyć, spłacając w ten sposób dług za swoją lekkomyślność? A może miałam po prostu ogromne szczęście, w które wciąż nie chciałam uwierzyć...?

Trzecia trzydzieści rano.

Leżałam w łóżku, wpatrując się w wolno obracające się skrzydła wiatraka na suficie. Wystrój domku gościnnego był dziełem projektanta z Palm Beach, który oszalał na punkcie stylistyki siedzib karaibskich plantatorów. Według mnie pomysł był oklepany, ale nikt mi nie płacił za dobieranie farb i ozdobnych poduszek.

O czwartej poszłam nakarmić konie. Przed piątą wzięłam prysznic. Od tak dawna nie musiałam poznawać nikogo nowego, przejmować się czyjąkolwiek opinią na swój temat, że zapomniałam, jak się przygotować na taką okazję. Nie mogłam pozbyć się myśli, że zostanę natychmiast odrzucona, jeśli nie przez wygląd, to ze względu na reputację. Właściwie to okropne zarozumiałstwo, sądzić, że każdy na świecie wie, co zrobiłam i jak zrujnowałam swoją karierę. Byłam tematem wieczornych wiadomości zaledwie przez parę dni. Krótkiego fragmentu wiadomości. Informacja na mój temat była podawana tylko dla wypełnienia czasu, który pozostał do prognozy pogody. Mało prawdopodobne, by ktoś niezwiązany bezpośrednio ze sprawą lub nie należący do policyjnego światka zwrócił na nią uwagę; większość zapewne ledwie rzuciła okiem. Zresztą mało

kto przejmuje się tak naprawdę tragedią innego człowieka. Na ogół poświęcamy jej tylko jedną myśl: „Co za szczęście, że to nie ja”.

Stałam w samej bieliźnie, przyglądając się sobie w lustrze. Nałożyłam na włosy trochę żelu, starając się nadać im wygląd zaplanowanej fryzury. Rozważałam przez chwilę, czy zrobić makijaż. Nie malowałam się od czasu, kiedy lekarze poskładali mi twarz, choć chirurg plastyczny polecił mi specjalistkę od makijażu pooperacyjnego - pourazową konsultantkę Avonu. Wyrzuciłam jej wizytówkę natychmiast.

Ubrałam się, odrzucając co najmniej dziesięć kolejnych wersji. W końcu zdecydowałam się na jedwabną bluzkę bez rękawów, w kolorze świeżo wylanego betonu, i brązowe spodnie, tak szerokie w pasie, że musiałam spiąć je agrafkami, żeby nie spadły. A kiedyś naprawdę troszczyłam się o strój...

Dla zabicia czasu poszperałam w Internecie, obgryzając paznokcie i robiąc notatki. Nie znalazłam nic interesującego na temat Van Zandta. Jego nazwisko nie pojawiało się nawet na stronie world-horsesales.com, której adres podał na wizytówce. Strona zawierała jedynie zdjęcia koni sprzedanych za pośrednictwem firmy Van Zandta. Były tam również telefony do jego biura w Brukseli, do agenta w Europie oraz do dwóch przedstawicieli firmy w Stanach. Jednym z nich okazał się Don Jade.

Znalazłam za to kilka artykułów na temat Paris Montgomery, pochodzących z „Chronicle of the Horse” i „Horses Daily”, opisujących jej ostatnie wygrane oraz nieśmiałe początki - jazdę na oklep na kucyku gdzieś w Pine Barrens w stanie New Jersey. Prasa opisywała jej drogę do kariery jako wytrwałe pięcie się ku górze: od skromnej posady stajennej, przez pracę z końmi w czasie studiów, aż do pozycji asystentki trenera; w oficjalnej wersji Paris zawdzięczała swój sukces ciężkiej pracy i naturalnemu talentowi. Poza tym miała jeszcze wdzięk. I urodę modelki.

Asystentką Dona była od trzech lat i wprost nie mogła wyrazić swej wdzięczności, że dał jej taką szansę, bla, bla, bla... Tak niewielu ludzi rozumiało, jak wspaniałym człowiekiem jest naprawdę Don. Na swoje nieszczęście wszedł w interesy z ludźmi, których etyka zawodowa okazała się pozostawiać wiele do życzenia, nie powinno się go jednak osądzać według znajomych, i tak dalej, i tak dalej... W jednym z artykułów pojawiała się wypowiedź Jade'a, mówiącego, że

przed Paris otwiera się wspaniała przyszłość, że ma ona ambicję i talent, które pozwolą jej zdobyć wszystko, czego zapagnie.

Dołączone do artykułów zdjęcia pokazywały Paris skaczącą przez przeszkodę na koniu o imieniu Park Lane i Paris w zbliżeniu, z promiennym uśmiechem na twarzy.

Ten uśmiech mnie irytował. Był zbyt promienny i zbyt łatwo pojawiał się na twarzy. Cały jej urok wydawał się fałszywy. Ale w końcu widziałam ją zaledwie przez dziesięć minut. Może nie podobała mi się tylko dlatego, że ja nie mogłam się tak uśmiechać i nie byłam ani trochę czarująca.

Zamknęłam laptopa i wyszłam z domku. Świt jaśniał już blado na wschodnim niebie, gdy przez drzwi ogrodowe weszłam do jadalni w domu Seana. Spał w łóżku sam, chrapiąc. Usiadłam obok i poklepałam go po policzku. Wolno uniósł powieki i popatrzył na mnie przekrwionymi oczami. Przetarł twarz dłonią.

- Miałem nadzieję, że to Tom Cruise - powiedział zachrypniętym głosem.

- Przykro mi, że cię rozczarowałam, Jeśli pojawi się tu handlarz końmi nazwiskiem Van Zandt, to ja nazywam się Elle Stevens, a ty potrzebujesz stajenego.

- Co? - Sean uniósł się i potrząsnął głową, żeby odegnać resztki snu. - Van Zandt? Tomas Van Zandt?

- Znasz go?

- Słyszałem o nim. Zajmuje drugie miejsce na liście największych oszustów Europy. Po co miałby tu przychodzić?

- Uważa, że możesz chcieć od niego kupić jakieś konie.

- Ale czemu miałby tak myśleć?!

- Wczoraj postarałam się, żeby w to wierzył.

- Elle...!

- Nie rób takiej urażonej miny - powiedziałam. - Podkreśla zmarszczki wokół ust.

Przez chwilę jeszcze patrzył na mnie z grymasem, potem podniósł ręce do twarzy i wykonał kilka szybkich ruchów wokół ust, w górę i na boki - dziesięciosekundowy lifting.

- Przecież wiesz, że mam już swój europejski kontakt, wiesz, że pracuję tylko z Toine'em.

- Wiem, wiem... „ostatni uczciwy handlarz na świecie”.

- Jedyne uczciwe w historii, o ile wiem.

- To pozwól Van Zandtowi myśleć, że odciąga cię od Toine’a. Dostanie orgazmu. Jeśli przyjdzie, udawaj, że jesteś zainteresowany. Jesteś mi to winny.

- Aż tyle ci winny nie jestem - stwierdził.

- Doprawdy? - zapytałam. - Dzięki tobie mam teraz klienta i sprawę, której nie chciałam.

- Jeszcze mi za to podziękujesz.

- Raczej jeszcze się odegram! - poklepałam go po szorstkim od zarostu policzku. - Miłego handlowania końmi!

Sean wydał niezadowolony pomruk.

- A tak przy okazji - zatrzymałam się przy drzwiach - Van Zandt sądzi, że jestem dyletantką z Palm Beach i że wypożyczam od ciebie d’Artagnana.

- I ja mam to potwierdzić?

Wzruszyłam ramionami.

- A masz coś lepszego do zrobienia ze swoim wolnym czasem? Byłam już prawie za drzwiami, kiedy odezwał się znowu.

- El...

Odwróciłam się w jego kierunku, z jedną ręką na klamce. Popatrzył na mnie z rzadką u niego powagą, a jednocześnie z dziwną łagodnością. Chciał powiedzieć coś miłego. A ja chciałam, żeby udawał, że ten dzień nie różni się niczym od pozostałych. Zналиśmy swoje myśli na wylot. Wstrzymałam oddech w oczekiwaniu. Uśmiechnął się kąciakiem ust w wyrazie aprobaty.

- Ładny strój - stwierdził.

Pomachałam mu i wyszłam.

Molly Seabright mieszkała w dwupiętrowym domu z ozdobną fasadą na skraju ekskluzywnego osiedla Binks Forest. Z tyłu pole golfowe. Biały lexus na podjeździe. W domu już paliły się światła - ciężko pracująca wyższa klasa średnia przygotowywała się do kolejnego dnia. Zaparkowałam kawałek dalej i czekałam.

O wpół do ósmej z okolicznych domów zaczęły wychodzić dzieci. Mijały mój samochód w drodze na przystanek szkolnego autobusu, znajdujący się na końcu

ulicy. W drzwiach domu Seabrightów pojawiła się Molly, ciągnąc za sobą torbę na kółkach pełną książek; wyglądała jak miniaturowa bizneswoman spiesząca się na samolot. Wysiadłam z samochodu i oparłam się o niego z założonymi rękami. Zauważyła mnie, gdy dzieliło nas zaledwie pięć metrów.

- Przemyślałam sprawę - powiedziałam, gdy podeszła bliżej. - Pomogę ci znaleźć siostrę.

Nie uśmiechnęła się. Nie podskoczyła z radości. Spojrzała na mnie i zapytała:

- Dlaczego?

- Ponieważ nie podoba mi się towarzystwo, w które wplątała się Erin.

- Myśli pani, że stało jej się coś złego?

- Coś z pewnością się stało - odpowiedziałam. - Erin nagle znikła. Musimy dopiero sprawdzić, co się za tym kryje.

Molly przytaknęła, najwyraźniej zadowolona, że nie próbowałam jej fałszywie pocieszać. Większość dorosłych traktuje dzieci jak istoty głupsze tylko dlatego, że żyją na tym świecie krócej od nich. Molly Seabright nie była głupia. Była inteligentna i odważna. Nie miałam zamiaru mówić do niej protekcyjnym tonem. Postanowiłam nawet, że nie będę jej okłamywać, o ile zdołam się powstrzymać.

- Ale jeśli nie jest pani prywatnym detektywem, na co może mi się pani przydać?

Wzruszyłam ramionami.

- A co w tym trudnego? Trzeba zadać parę pytań, wykonać parę telefonów - to nie zabieg neurochirurgiczny.

Rozważała moje słowa. A może zastanawiała się, czy wypowiedzieć zdanie, które za chwilę usłyszałam:

- Była pani kiedyś śledczym w biurze szeryfa.

Ogłuszyła mnie jak młotem. Mnie, która nigdy nie potraktowałaby dziecka protekcyjnie. Nie przyszło mi do głowy, że Molly przeprowadzi swoje małe śledztwo w Internecie. Nagle poczułam się obnażona w sposób, jaki do niedawna uważałam za mało prawdopodobny - zaskoczona przez dwunastolatkę.

Popatrzyłam w bok.

- Czy to nie twój transport?

Szkolny autobus zatrzymał się przy krawężniku i zebrane na przystanku dzieci zaczęły wspinać się do środka.

- Chodzę piechotą - odparła lakonicznie. - Znalazłam artykuł na pani temat w internetowym archiwum „The Post”.

- Tylko jeden? Czuję się urażona.

- Więcej niż jeden.

- Dobrze. Zatem mój mroczny sekret wyszedł na jaw. Pracowałam jako oficer śledczy w Palm Beach. Teraz już nie pracuję.

Zrozumiała, że lepiej nie ciągnąć tego wątku. Postąpiła mądrzej niż większość ludzi, których znalazła, na ogół trzy razy od niej starszych.

- Musimy porozmawiać o pani wynagrodzeniu - stwierdziła rzeczowo.

- Wezmę sto dolarów, które zaproponowałaś, a potem zobaczymy, co dalej.

- Doceniam to, że nie traktuje mnie pani z góry.

- Tak... właśnie wzięłam sto dolarów od dziecka. To chyba dość niski postęp.

- Nie - odpowiedziała, patrząc na mnie zbyt serio oczami powiększonymi przez szkła okularów. - Ja tak nie uważam - wyciągnęła rękę - dziękuję, że zajmie się pani moją sprawą.

- To brzmi tak serio, że chyba powinnyśmy podpisać jakąś umowę - powiedziałam, podając jej dłoń.

- Z technicznego punktu widzenia należałoby tak postąpić, ale zrobimy inaczej. Ufam pani.

- Dlaczego miałabyś mi ufać?!

Czułam, że ma gotową odpowiedź, ale uznała, że jest zbyt trudna, bym mogła ją zrozumieć, a poza tym nie chciała być ze mną aż tak szczerą. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie jest przypadkiem przybyszem z innej planety.

- Po prostu ufam - odpowiedziała.

Dziecięcy sposób na zbycie dorosłych, którzy i tak nie potrafią słuchać uważnie. Nie pytałam dalej.

- Będę od ciebie potrzebowała fotografii Erin i paru informacji - jej adresu, marki samochodu, tego typu rzeczy.

Zanim skończyłam, Molly schyliła się, rozpięła kieszeń torby i wyjęła szarą kopertę. Podała mi ją.

- Wszystko znajdzie pani tutaj.

- Oczywiście - nie powinnam być zaskoczona. - Jeszcze jedno. Z kim rozmawiałaś, gdy poszłaś do biura szeryfa?

- Z oficerem Landrym. Zna go pani?

- Słyszałam o nim.

- Był bardzo nieuprzejmy i protekcyjny.

- Tak jak ja ostatnio...

- Pani przynajmniej nie potraktowała mnie z góry.

Czarny jaguar wyjechał z garażu Seabrightów, za kierownicą siedział mężczyzna w garniturze. Założyłam, że to Bruce Seabright. Skręcił i, nie widząc nas, odjechał.

- Czy twoja mama jest w domu? - zapytałam. - Muszę z nią porozmawiać.

Nie spodobał się jej ten pomysł, wyglądała na zdegustowaną.

- Idzie do pracy na dziewiątą. Jest agentem nieruchomości.

- Naprawdę będę musiała z nią porozmawiać. Z twoim ojczymem także. Nie wspomnę o tobie, powiem, że prowadzę dochodzenie w imieniu firmy ubezpieczeniowej.

Kiwnęła głową, wciąż z wyrazem niesmaku na twarzy.

- Powinnaś już iść do szkoły. Nie chcę, żeby mnie aresztowali za przyczynienie się do wzrostu przestępczości nieletnich.

- Nie, pójdziemy razem - odpowiedziała i ruszyła z powrotem w kierunku domu, z podniesioną głową, ciągnąc za sobą z turkotem małą walizkę na kółkach. Wszyscy powinniśmy mieć tyle charakteru.

Gdy Molly i ja weszłyśmy do domu, Krystal Seabright rozmawiała przez telefon, oparta o stół w holu. Wpatrzona w rokokowe lustro próbowała długim, różowym paznokciem przykleić do powieki sztuczne rzęsy, jednocześnie opowiadając komuś o absolutnie cudownym domu jednorodzinnym w Sag Harbor Court. W czasie okazania nikt nie wskazałby jej jako matki Molly. Patrząc na Molly, wyobrażałam sobie jej matkę jako wyniosłą prawniczkę, lekarkę lub fizyka nuklearnego, choć z doświadczenia wiedziałam, że dzieci i rodzice nie zawsze do siebie pasują.

Krystal była tlenioną blondynką, która w swym trzydziestoparoletnim życiu zużyła stanowczo zbyt dużo farby - jej włosy były białe i kruche jak wata cukrowa. Makijaż miała odrobinę zbyt intensywny, różowa garsonka była trochę za

obcisła i nieco zbyt jaskrawa, a szpilki akurat ciut za wysokie. Dostrzegła nas kątem oka.

- ...prześle ci wszystkie informacje faksem, kiedy tylko dojadę do biura, Joan. Ale naprawdę musisz zobaczyć ten dom na własne oczy, żeby go w pełni docenić. Trudno znaleźć coś tak pięknego w połowie sezonu. Masz prawdziwe szczęście.

Odwróciła się od lustra i spojrzała na mnie, a potem na Molly z wyrazem „O co tym razem chodzi?”, ale nie przerwała rozmowy z niewidzialną Joan. Umówiła się na spotkanie o jedenastej, zapisując godzinę w niechlujnie prowadzonym notatniku. W końcu odłożyła słuchawkę.

- Molly, co się dzieje? - zapytała, patrząc na mnie, nie na córkę.

- To jest pani Estes - powiedziała Molly. - Jest detektywem.

Krystal popatrzyła na mnie, jakbym była z Marsa.

- Kim??

- Chce z tobą porozmawiać na temat Erin.

Twarz Krystal zapłonęła złością i zrobiła się czerwona aż po linię białych włosów.

- Na litość boską, Molly! Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś! Co z tobą jest nie tak?!

Ból w oczach Molly był tak wyraźny, że ja także go poczułam.

- Mówiłam ci, że stało się coś złego - nalegała Molly.

- Nic potrafię zrozumieć, dlaczego robisz takie rzeczy! - wymyślała córce Krystal. Niezadowolenie z zachowania Molly wyraźnie nie było dla niej niczym nowym. - Dzięki Bogu, że Bruce'a nie ma w domu!

- Pani Seabright - wtrąciłam - badam sprawę, która miała miejsce na terenie centrum jeździeckiego, a w którą może być zamieszana pani córka, Erin. Chciałabym pomówić z panią na osobności, jeśli to możliwe.

Popatrzyła na mnie oczami rozszerzonymi z wściekłości.

- Nie mamy o czym rozmawiać. Nie wiem nic o tym, co tam się dzieje.

- Ale mam... - zaczęła Molly, usilnie pragnąc wzbudzić w matce zainteresowanie i troskę.

Krystal rzuciła jej miazdzące, pełne goryczy spojrzenie.

- Jeśli naplotłaś tej kobiecie jakiś bzdur, to jesteś w prawdziwych kłopotach, moja panno! Nie pojmuję, czemu ciągle jest z tobą tyle problemów. Nie obchodzi cię nikt poza tobą!

Dwa nikle rumieńce zabarwiły białą jak kreda twarz Molly. Pomyślałam, że może się rozplakać.

- Martwię się o Erin - powiedziała cicho.

- Erin jest ostatnią osobą, o którą należy się martwić - odpowiedziała Kryształ. - Idź do szkoły. Natychmiast. Wyjdź z tego domu. Jestem na ciebie bardzo zła... A jeśli spóźnisz się do szkoły, masz tam za karę siedzieć całe popołudnie. I nie dzwoń, by mnie o tym powiadomić.

Miałam wielką ochotę chwycić za przeżarte farbą kłaki i potrząsać tak długo, aż ich nie powyrywam.

Molly obróciła się i wyszła, zostawiając drzwi wejściowe szeroko otwarte. Widok jej drobnej postaci, ciągnącej torbę z książkami, sprawił, że zabolowało mnie serce.

- Może pani wyjść od razu za nią - powiedziała Krystal Seabright. - Czy może mam zadzwonić po policję?

Obróciłam się, by spojrzeć jej w twarz. Przez chwilę nie byłam w stanie nic powiedzieć; próbowałam odzyskać zimną krew. Moje zdenerwowanie przypominało mi, dlaczego nie nadawałam się do patrolu, w którym pracowałam na początku służby - brakowało mi zdolności dyplomatycznych, koniecznych w rozwiązywaniu domowych konfliktów. Zawsze sądziłam, że niektórym należałoby po prostu spuścić tęgie lanie. Matka Molly była jedną z takich osób.

Kryształ drżała jak mały piesek. Sama wyraźnie miała problemy z opanowaniem nerwów.

- O ile mogę coś powiedzieć, pani Seabright, Molly nie ma z tym nic wspólnego - skłamałam.

- Doprawdy? Nie próbowała pani wmówić, że Erin zginęła i że należy poinformować policję, FBI i zadzwonić do telewizji?

- Wiem, że Erin nie dała znaku życia od niedzielnego popołudnia. Nie martwi to pani?

- Czy sugeruje pani, że nie troszczę się o swoje dzieci? - znów patrzyła na mnie wzrokiem pełnym udawanej zniewagi, co zawsze świadczy o niskim poczuciu własnej wartości.

- Nic nie sugeruję - odpowiedziałam.

- Erin jest dorosła. Przynajmniej tak uważa. Chciała zamieszkać osobno i sama się o siebie troszczyć.

- Nie zdaje sobie pani zatem sprawy, że Erin pracowała dla mężczyzny, który brał udział w próbach wyłudzenia pieniędzy od firm ubezpieczeniowych?

Wyglądała na zmieszaną.

- Pracuje dla trenera koni. Tak mówiła Molly.

- A pani nie rozmawiała z Erin?

- Gdy się wyprowadzała, bardzo wyraźnie zaznaczyła, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Prowadzenie przyzwoitego życia w pięknym domu było dla niej widocznie zbyt nudne. Po tym wszystkim, co zrobiłam dla niej i dla jej siostry...

Podeszła do stołu, sprawdziła swe odbicie w lustrze, zanurzyła dłoń w dużej, pomarańczowo-różowej torbie od Kate Spade i wyjęła z niej papierosa oraz wąską zapalniczkę, po czym podeszła do otwartych drzwi.

- Pracowałam tak ciężko, tak wiele poświęciłam... - mówiła w zasadzie do siebie, jakby przyjęcie roli bohaterskiej matki miało ją pocieszyć. Zapaliła papierosa i wydmuchnęła dym na zewnątrz. - Od nocy, której została poczęta, Erin była dla mnie jedynie źródłem cierpień.

- Czy ojciec Erin mieszka w pobliżu? Może pojechała spędzić trochę czasu w jego towarzystwie?

Krystal zaśmiała się głośno, ale bez cienia radości. Nie patrzyła na mnie.

- Nie. Tego na pewno nie zrobiła.

- A gdzie jest jej ojciec?

- Nie mam pojęcia. Nie kontaktował się ze mną od piętnastu lat.

- Zna pani jakiś przyjaciół Erin?

- Czego pani od niej chce? - zapytała. - Co tym razem przeskrobała?

- Nic, o czym mi wiadomo. Może posiadać pewne informacje. Chcę tylko zadać jej parę pytań na temat człowieka, dla którego pracowała. Czy Erin miała jakieś kłopoty w przeszłości?

Wychyliła się za drzwi i mocno zaciągnęła się papierosem, wydmuchując dym na krzak hibiskusa.

- Nie rozumiem, dlaczego moja rodzina jest przedmiotem pani zainteresowania.

- Czy Erin miała kiedykolwiek problemy z narkotykami?

Spojrzała na mnie gwałtownie.

- To o to chodzi, tak?! Erin zadaje się z jakimiś ćpunami? Boże! Tylko tego mi brakowało!

- Niepokoi mnie zniknięcie Erin - powiedziałam. - Tak się składa, że nastąpiło w tym samym czasie, co śmierć bardzo drogiego konia.

- Myśli pani, że zabiła konia?

Miałam wrażenie, że głowa pęknie mi na pół. Krystal wydawała się przejmować wszystkim, tylko nie losem swojej córki.

- Chciałabym tylko zadać Erin parę pytań na temat jej szefa. Czy nie domyśla się pani, dokąd ona mogła się udać?

Zrobiła krok na zewnątrz, strzepnęła popiół do doniczki i wróciła do środka.

- Erin myśli, że dorosłość polega na robieniu każdej pieprzonej rzeczy, na jaką przyjdzie ochota. Nie ma za grosz odpowiedzialności. Wyjechała pewnie do South Beach z jakimś chłopakiem.

- Ma chłopaka?

Zrobiła gniewną minę i popatrzyła w dół. W dół i na prawo: kłamstwo.

- A skąd mam wiedzieć? Przecież mi się nie opowiada.

- Molly mówiła, że nie udało jej się skontaktować z Erin przez komórkę.

- Molly. - Wydmuchnęła dym i próbowała odegnąć go ręką na ulicę. - Molly ma dwanaście lat i sądzi, że Erin jest super. Molly czyta zbyt wiele kryminałów i zbyt często ogląda A&E*. Jakie dziecko ogląda A&E, „Interwencję” i „Raport z dochodzenia”? Gdy ja byłam w jej wieku, oglądałam powtórki „Brady Bunch”.

* Amerykańska stacja telewizyjna nadająca programy o tematyce kryminalnej.

- Sądzę, że Molly ma powody, by martwić się o Erin, pani Seabright. Moim zdaniem powinna pani porozmawiać z kimś z biura szeryfa i zgłosić zaginięcie.

Krystal wyglądała na przerażoną. Nie tym jednak, że jej córka padła być może ofiarą przestępstwa, lecz tym, że ktoś mieszkający w Binks Forest miałby składać raport policji. Co powiedzą sąsiedzi? A co będzie, jeśli zaczną coś podejrzewać, poszperają i odkryją, że ona sama mieszkała kiedyś w jednopokojowej klitce bez kuchni?

- Erin nie zaginęła - upierała się Krystal. - Po prostu... gdzieś pojechała. I tyle.

W drzwiach na piętrze stanął nastoletni chłopak i z tupotem zbiegł ze schodów. Wyglądał na siedemnaście, może osiemnaście lat i widać było, że męczy go niezły kac. Twarz miał szarą i wymiętą, a ciemne, farbowane na końcach włosy stały nastroszone i brudne. Koszulka wyglądała, jakby w niej spał - i nie tylko. Nie przypominał Krystal ani jej córek. Domyśliłam się, że to syn Bruce'a, i zastanowiło mnie, dlaczego Molly o nim nie wspomniała.

Krystal przekłęła pod nosem i ukradkiem wyrzuciła niedopałek za drzwi. Chłopak obserwował jego lot, zanim spojrzął na Krystal. „Mam cię”, mówił wyraz jego twarzy.

- Chad? Co robisz w domu? - spytała całkiem nowym, nerwowo-służalczym tonem. - Źle się czujesz, kochanie? Myślałam, że jesteś w szkole.

- Jestem chory - mruknął.

- Och! Hm... Może zrobić ci grzankę? - zapytała promiennie. - Muszę lecieć do biura, ale mogłabym zrobić ci grzankę.

- Nie, dziękuję.

- Długo cię nie było zeszłej nocy - słodko szczebiotała Krystal. - Musisz po prostu dobrze się wyspać.

- Pewnie tak.

Krystal spojrziała na mnie gniewnie i zniżyła głos.

- Proszę posłuchać, nie jest tu pani do niczego potrzebna. Proszę sobie iść. Erin wróci, jak będzie czegoś potrzebować.

- Co z Erin? - wtrącił się Chad.

Wrócił właśnie do holu z dwulitrową butelką coli. Śniadanie mistrzów.

Krystal przymknęła oczy i ciężko westchnęła.

- Nic. Absolutnie nic. Wracaj do łóżka, kochanie.

- Muszę zadać jej parę pytań na temat gościa, dla którego pracuje - powiedziałam do chłopaka. - Wiesz może, gdzie mogę ją znaleźć?

Wzruszył ramionami i podrapał się po piersi.

- Nie, przykro mi. Dawno jej nie widziałem.

Gdy to mówił, na podjazd wjechał czarny jaguar. Krystal zamurowało. Chad wycofał się w głąb mieszkania. Mężczyzna, którego wcześniej uznałam za Bruce'a Seabrighta, wysiadł z samochodu i dużymi krokami zmierzał w kierunku drzwi. Facet z misją. Przysadzisty, rzednące włosy zaczesane gładko do tyłu, twarz pozbawiona wyrazu.

- Kochanie, czyżbyś czegoś zapomniał? - zapytała Krystal tym samym tonem, którym mówiła do Chada. Tonem nadgorliwej służącej.

- Dokumentów Fairfields. Dziś podpisuję ważną umowę w sprawie działki na tym terenie i nie mam dokumentów. Wiem, że położyłem je na stole w jadalni. Musiałaś przełożyć teczkę.

- Nie sądzę... Ja....

- Ile razy mam ci to powtarzać, Krystal? Nie ruszaj moich służbowych papierów. - W jego głosie pobrzmiwał protekcjonalny ton, na tyle niewyraźny, by nie można go było posądzić o nieuprzejmość. Jednak w podstępny, ledwie zauważalny sposób jego słowa były obraźliwe.

- Ja... przepraszam, kochanie - wykrztusiła Krystal łamiącym się głosem. - Pozwól, że ich poszukam.

Bruce Seabright popatrzył na mnie z lekką nieufnością, jakby obawiał się, że jestem wolontariuszem zbierającym datki na cele dobroczynne.

- Przepraszam, jeśli w czymś przeszkodziłem - powiedział grzecznie. - Mam bardzo ważne spotkanie.

- Domyśliłam się. Elena Estes - odparłam, podając mu rękę.

- Elena zastanawia się nad kupnem mieszkania w Sag Harbor Court - pośpiesznie przedstawiła mnie Krystal. W jej oczach dostrzegłam rozpaczliwą prośbę, bym wzięta udział w tej małej konspiracji.

- Moja droga, dlaczego miałabyś polecać Elenie mieszkanie w tej okolicy? Wartość tamtejszych lokali jest coraz niższa. Powinnaś pokazać jej coś w Palm Groves. Przyślij ją do mojego biura. Kathy pokaże jej zdjęcia.

- Oczywiście - odpowiedziała potulnie Krystal, przetykając krytykę i afront. Bez słowa sprzeciwu pozwoliła, by mąż sprzątnął jej sprzed nosa klientkę. - Przyniosę ci te dokumenty.

- Nie, moja droga, wolę znaleźć je sam. Nie chcę, żeby coś z nich wypadło i się zgubiło.

Jakiś przedmiot na ganku przyciągnął uwagę Bruce'a. Schylił się i podniósł niedopałek, który rzuciła tam Krystal. Trzymał go w dwóch palcach i patrzył na mnie.

- Przykro mi, ale palenie jest zabronione na terenie mojego domu.

- Przepraszam - odrzekłam, biorąc od niego niedopałek. - Okropny nałóg.

- Okropny, to prawda.

Wszedł do domu, by poszukać swojej ważnej teczki. Krystal pocierała czoło, wpatrując się w swoje zbyt jaskrawe sandaalki. Mrugała szybko, jakby walczyła z napływającymi Izami.

- Proszę, niech pani już idzie - powiedziała szeptem.

Wetknęłam niedopałek do doniczki i wyszłam. Cóż mogłam powiedzieć kobiecie, która była zdominowana przez męża do tego stopnia, że wołała porzucić własne dziecko, niż narazić się na jego niezadowolenie?

Po raz kolejny przekonałam się, że ludzie potrafią zaskakiwać - lecz rzadko w pozytywny sposób.

V

Nie jesteśmy w stanie tak naprawdę ocenić czyjegoś życia, a mimo to trudno nam oprzeć się pokusie wydawania sądów. Wiele kobiet patrzących z dystansu na życie Krystal Seabright stwierdziłoby pewnie, że jej się udało. Duży dom, świetny samochód, kariera agentki nieruchomości, mąż - zamożny deweloper. Brzmi dobrze. Był w tej historii nawet element bajki o Kopciuszku: samotna matka dwójki dzieci nagle przenosi się w świat luksusu.

W podobny sposób oceniać by można życie ludzi spotykanych w centrum jeździeckim, nadzianych posiadaczy koni za co najmniej cztery tysiące dolarów. Szampan i kawior codziennie na przystawkę. W każdym domu służąca, w każdym garażu rolls royce obok pięciu innych samochodów. Obraz jeździeckiego świata jest jednak bardziej złożony i mniej kolorowy, a losy ludzi w nim się obracających pełne są zdrady, cierpienia i niepewności. Wielu przybywa na południową Florydę z wielkimi marzeniami, lecz bez grosza przy duszy. Wynajmują w kilka osób skromne mieszkania, biorą parę drogich lekcji u trenera o znanym nazwisku i pokazują mierne umiejętności na czworoboku dla amatorów - wszystko to z miłości do sportu. Jest wielu drugorzędnych trenerów z zadłużonych farm gdzieś we wschodnim Buttercrack, kręcących się w pobliżu ważnych ludzi w nadziei na znalezienie lepszego klienta. Są handlarze

jak Van Zandt: hieny krążące wokół wodopoju w poszukiwaniu łatwej ofiary. Pod barwną powierzchnią kryje się wiele odcieni szarości. Poznać tę strefę cienia było teraz moim głównym zadaniem.

Doszłam do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli pokręcę się w pobliżu stajni Jade'a, zanim ktoś z jego otoczenia nie pójdzie do toalety z numerem „Sidelines” pod pachą i nie przeczyta artykułu o mnie, by wreszcie opowiedzieć tę pasjonującą historię wszystkim znajomym. Spędziłam wystarczająco dużo czasu, pracując jako tajniak w brygadzie antynarkotykowej, by wiedzieć, że prawdopodobieństwo rozpoznania mnie w podobny sposób jest nikle - pewne ryzyko jednak istniało. Choć ludzie zauważają na ogół tylko to, czego oczekują, i rzadko szukają dalej, życie tajnego agenta jest pełne nieustannej obawy przed zdemaskowaniem. Mogą cię przejrzeć w każdej chwili, a im głębiej wszedłeś w ten drugi świat, tym gorzej się to kończy.

Moja strategia w czasie potajemnych działań polegała na zebraniu w możliwie najkrótszym czasie jak największej liczby informacji oraz nakreśleniu udawanej postaci śmiało i wyraziście. Zmylić przeciwnika, podejść jak najbliżej, potem zadać mocny cios i szybko się wycofać. Szefom nie zawsze podobały się moje metody, zapożyczone raczej od profesjonalnych kanciarzy niż stróżów prawa, lecz rzadko narzekali na efekty.

Z biletem parkingowym Seana wciąż zawieszonym na przednim lusterku bez trudu przejechałam obok strażników przy głównej bramie wjazdowej i dostałam się na tereny pokazowe miasta Wellington, w sam środek szalonego wiru porannej krzątaniny. Jak okiem sięgnąć, wszędzie pełno było koni, ludzi, samochodów i wózków golfowych. Pokazy właśnie się zaczynały i miały trwać do niedzieli. W tym czasie konie i kucyki miały skakać przez przeszkody na sześciu parcoursach. Chaos działał na moją korzyść, jakbym rozkładała trzy karty na rogu Times Square: w zamieszaniu nikomu nie uda się skupić wzroku na tej czerwonej.

Zaparkowałam, przeszłam obok stałych zabudowań i kliniki weterynaryjnej, minęłam stanowiska rejestracyjne i znalazłam się na mniejszej wersji Piątej Alei, pośród przenośnych sklepów z uprzężą i drogich butików w specjalnie udekorowanych przyczepach. Biżuteria znanych projektantów, ubrania szyte na

miarę, antyki, wyszywanie monogramów, kawa i ciasteczka. Wpadłam do paru sklepików, by zaopatrzyć się w rekwizyty potrzebne do mej roli zamożnej dyletantki. Grunt to wizerunek.

Kupiłam słomiany kapelusz z szerokim rondem obszytym czarną tasiemką i od razu go nałożyłam. Mężczyźni nigdy nie biorą na serio kobiety w kapeluszu. Wybrałam parę jedwabnych bluzek i długich, zakładanych, hinduskich spódnic, przerabianych z prawdziwych sari. Postarałam się, by sprzedawcy znacznie nadużyli bibuły i papieru pakunkowego, tak, żeby moje torby z zakupami wyglądały na wypchane po brzegi. Kupiłam również parę niepraktycznych sandałków i kilka modnych bransoletek, które wsunęłam na rękę. Gdy doszłam do wniosku, że wyglądam wystarczająco frywolnie, wyruszyłam na poszukiwanie Dona Jade'a.

Przy stajniach Jade'a nie było ani jego, ani Paris Montgomery. Wychudzony Gwatemalczyk z pochyloną głową czyścił jeden z boksów, starając się nie zwracać na siebie uwagi, na wypadek gdyby następnym przechodniem okazał się oficer imigracyjny. Przód kolejnej zagrody usunięto, tworząc wygodne stanowisko do oporządzania koni, gdzie tłusta dziewczyna w zbyt wiele odkrywającej koszulce bez rękawów od niechcienia szczotkowała jabłkowitego konia. Dziewczyna miała małe, złośliwe oczka osoby, która za swe niepowodzenia obwinia wszystkich oprócz siebie. Pochwyliłam jej spojrzenie: patrzyła na mnie wrogo, z kwaśną miną.

Uniosłam głowę i popatrzyłam na nią z góry, spod ronda absurdalnego kapelusza.

- Szukam Paris. Jest tu gdzieś może?
- Ujeżdża Park Lane na torze szkoleniowym.
- A jest z nią Don? - Don, mój świetny kumpel, ma się rozumieć.
- Taa... - Nie wiedziałam, jak to rozumieć.
- A ty jesteś...?

Była zaskoczona, że mnie to interesuje, spojrzała podejrzliwie, w końcu jednak zadecydowała, że warto wykorzystać okazję.

- Jill Morone. Jestem główną stajenną pana Jade'a.

Najwyraźniej była jego jedyną stajenną, a po tym, jak anemicznie ruszała szczotką, widać było, że raczej kiepsko wypełnia swe obowiązki.

- Och, doprawdy? To pewnie znasz Erin Seabright?

Reakcje dziewczyny były powolne, jej umysł równie dobrze mógł się znajdować w innej strefie czasowej. Widziałam, jak myśli prześlizgują się jej przez głowę, gdy zastanawia się, co odpowiedzieć. Przeciągnęła szczotką po boku zwierzęcia. Koń postawił uszy i popatrzył na nią z wyrzutem.

- Ona już tu nie pracuje.

- Wiem, Paris mi mówiła. Nie wiesz, dokąd pojechała? Jeden z mych przyjaciół chciał ją zatrudnić.

Wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

- Nic nie wiem. Paris mówiła, że Erin pojechała do Ocala.

- Nie byliście przyjaciółkami, prawda? Wygląda, że niewiele o niej wiesz.

- Wiem, że była kiepską stajenną.

Przyganiał kociół garnkowi.

- Mam rozumieć, że ty jesteś świetna? - zapytałam. - A może chcesz zmienić pracę?

Wyglądała na zadowoloną z siebie, jakby ukrywała jakiś słodki sekret.

- O nie! Pan Jade traktuje mnie bardzo dobrze.

Pan Jade z pewnością ledwo pamiętał jej imię - chyba że stanowiła jego ostatnie alibi, w co mocno wątpiłam. Jade był jednym z tych facetów, których interesują dziewczyny ładne i użyteczne. Jill Morone do nich nie należała.

- No to masz szczęście - odpowiedziałam. - Powinnaś się cieszyć, że wciąż masz pracę po tym, co stało się Stellarowi.

- Ja niczemu nie jestem winna!

- Koń ginie w dziwny sposób. Okoliczności są podejrzane. Właściciele zaczynają się denerwować, dzwonią do innych trenerów... Interes może łatwo przestać się opłacać.

- To był wypadek.

Wzruszyłam ramionami.

- Widziałas to na własne oczy?

- Nie. Ale to ja go znalazłam - przyznała z błyskiem dumy w małych jak paciorki oczkach. Przypadkowa bohaterka mrocznych wydarzeń, będzie się płatać gdzieś na tyłach sceny przez półtora tygodnia. - Tak tam leżał z całkiem

wyprostowanymi nogami. I miał otwarte oczy. Myślałam, że się po prostu leni, to go zdziesiąłam po tyłku, żeby wstał. Ale się okazało, że był zdechły.

- Boże, to okropne! - Popatrzyłam na rząd boksów, było ich tuzin albo więcej i każdy miał obudowany wiatrak po zewnętrznej stronie drzwi. - Dziwię się w takim razie, że nie zdjęliście tych wiatraków.

Znów wzruszyła ramionami i kilka razy potarła grzbiet konia.

- Jest gorąco. Co mamy zrobić?

Koń zaczął, aż odsunęła się krok w tył, po czym smagnęła ją ogonem. W odpowiedzi uderzyła go w żebra szczotką.

- Nie chciałabym być w skórze tego, kto tak bezmyślnie pozwolił temu przewodowi zwiśać w boksie Stellara - powiedziałam. - Gdyby to o ode mnie zależało, taki stajenny już nigdy nie znalazłby pracy w zawodzie.

Ciastowata twarz znów przybrała niedobry, złośliwy wyraz.

- Ja się nim nie zajmowałam. To Erin. Widzi pani, co z niej za stajenna? Na miejscu pana Jade'a to bym ją zabiła.

Może pan Jade właśnie tak postąpił, pomyślałam, wychodząc z namiotu.

W pewnej odległości, na torze szkoleniowym, dostrzegłam Paris Montgomery. Jechała na pięknym koniu. Jej złote włosy falowały przy każdym ruchu, oczy skryte za okularami przeciwsłonecznymi uważnie śledziły drogę podczas skoków przez kolejne przeszkody. Poezja ruchu. Don Jade stał z boku z kamerą i nagrywał trening. Wokół niego krążył wysoki, chudy rudzielec i mówił coś, gestykulując gniewnie. Wyglądał jak wielki, wkurzony Howdy Doody. Podeszłam do ringu i stanęłam nieopodal dwóch mężczyzn, udając, że całą uwagę poświęcam koniom na ringu.

- Jeśli wyczuję w tym wszystkim choćby najłżejszy smród zgnilizny, Jade, to staniesz przed sądem - głośno mówił rudzielec. Nie przejmował się, że ktoś może go usłyszeć, wręcz chciał zwrócić uwagę stojących wokół ludzi. - I nie chodzi tylko o to, czy firma ubezpieczeniowa ci zapłaci, czy nie. Zbyt wiele razy uchodziło ci to na sucho. Najwyższy czas, by ktoś położył temu kres.

Jade nie odpowiedział. Nie złościł się ani nie próbował bronić, nie przestał nawet filmować Paris. Był szczupłym, dobrze zbudowanym mężczyzną z umięśnionymi ramionami zawodowego jeźdźca. Jego profil przywodził na myśl

twarze z rzymskich monet. Mógł mieć około trzydziestu pięciu lat, równie dobrze mógł mieć pięćdziesiąt; ludzie będą z zachwytem patrzeć na jego twarz nawet gdy będzie już stary.

Obserwował swoją asystentkę, prowadzącą Park Lane przez kombinację przeszkód. Skrzywił się, gdy koń zahaczył o jedną z nich przednimi kopytami i strącił drążek. Gdy Paris znalazła się bliżej, krzyknął do niej parę instrukcji, jak przed skokiem skłonić konia do uniesienia zadu wyżej.

Drugi mężczyzna nie mógł pogodzić się z tym, że jego groźby nie wywołują żadnej reakcji.

- Cwaniak z ciebie, Don. I nawet nie próbujesz temu zaprzeczać.

- Wolę nic nie mówić, Michael. Nie chcę, by oskarżano mnie jeszcze o twój zawal serca.

- Ty przebiegły gnojku... Myślisz, że ludzie zawsze będą całować cię po tyłku, a ty ich jeszcze przekonasz, że twoje dupsko pachnie różami.

- A może taka jest prawda, Michael? - spokojnie odpowiedział Jade, wciąż obserwując konia. - Ty jej nigdy nie poznasz, bo nie chcesz. Nie chcesz, bym był niewinny. Nienawiść do mnie sprawia ci zbyt dużą przyjemność.

- Nie tylko mi.

- Wiem. Bawi was obmawianie mnie. To jednak nie zmienia faktu, że jestem niewinny.

Rozmasował opalony kark, rzucił okiem na zegarek i westchnął.

- Na dziś jej wystarczy, Paris! - zawołał i wyłączył kamerę.

- Dziś będę rozmawiał z doktorem Amesem - powiedział Michael. - Jeśli dowiem się, że masz dojścia do ludzi z laboratorium, to...

- Jeśli Ames powie ci cokolwiek o Stellarze, straci licencję - spokojnie uciął Jade. - Nie żeby było coś do powiedzenia.

- O, mam pewność, że do opowiedzenia jest całkiem ciekawa historia, jak zawsze gdy chodzi o ciebie. Kogo zaciągnąłeś do łóżka tym razem?

- Jeśli nawet mam odpowiedź na to pytanie, Michael, to na pewno nie zamierzam ci jej udzielać.

- Już ja się postaram, żebyś musiał całemu światu wytłumaczyć, co stało się tamtej nocy.

- Masz obsesję - powiedział Jade, odwracając się w kierunku stajni, podczas gdy Paris zbliżała się do niej na Park Lane. - Gdybyś wkładał w swoją pracę tyle energii, ile wkładasz w nienawidzenie mnie, może w końcu do czegoś byś

doszedł. A teraz, wybacz mi, mam parę rzeczy do zrobienia.

Twarcz Michaela wykrzywił grymas, zmieniając ją w piegowatą maskę goryczy i złości.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, abyś wkrótce nie miał już nic do roboty.

Jade odszedł w stronę stajni, pozornie niewzruszony wymianą zdań z Michaeliem, który stał jeszcze przez chwilę, ciężko oddychając, po czym odwrócił się na pięcie i powoli odszedł. Wyglądał na zawiedzionego.

- Mój Boże, to było wstrętne - powiedziałam.

Tomas Van Zandt stał nie dalej niż trzy metry ode mnie. Obserwował rozmowę Jade'a z drugim mężczyzną tak jak ja, udając, że przygląda się koniom na parcourze. Popatrzył na mnie przelotnie i lekceważąco, po czym zaczął się oddalać.

- A słyszałam, że mężczyźni z Belgii są tacy czarujący...?

Zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na mnie ponownie, powoli kojarząc, kim jestem.

- Elle! Popatrz, popatrz... Wyglądasz wspaniale!

- Lubię se czasem szaspanować, jak mówią mieszkanki osiedla przyczep.

- Skąd wiesz? Przecież nigdy tam nie byłaś - zawyrokował, taksując mnie wzrokiem i rejestrując mój nowy strój.

- Oczywiście, że byłam. Odwiozłam kiedyś do domu służącą - odpowiedziałam, po czym ruchem głowy wskazałam na człowieka, który klócił się z Jade'em.

- Kto to był?

- Michael Berne, wielki mazgaj.

- Jest właścicielem czy kimś takim?

- To rywal Jade'a.

- Ależ ci skoczkiwie potrafią być dramatyczni! Wśród nas, ludzi zajmujących się ujeżdżeniem, tak ekscytujące zdarzenia rzadko mają miejsce.

- To może chciałabyś kupić ode mnie konia do skoków? - zasugerował Van Zandt, patrząc na moje wypchane torby z zakupami i oceniając moją zdolność kredytową.

- Nie wiem, czy jestem na to gotowa. Wydaje mi się, że to sport dla twardych facetów. Poza tym nie znam żadnego trenera.

Wziął mnie pod ramię w dworski sposób, znów grając dżentelmena.

- Chodź, przedstawię cię Jade'owi.

- Super! Najpierw kupię od ciebie konia, a potem Jade pomoże mi zgarnąć kasę z ubezpieczenia - dwa w jednym!

Jak za naciśnięciem guzika twarz Van Zandt z ugrzecznionej zmieniła się we wściekłą, jego szare oczy stały się zimne jak Morze Północne, a wzrok twardy i niechętny.

- Nie gadaj głupstw - warknął.

Odsunęłam się urażona.

- To był żart.

- Dla ciebie wszystko jest powodem do żartów - powiedział z niesmakiem.

- Jeśli nie masz poczucia humoru, Van Zandt, to spieprzaj - odparłam.

Obserwowałam, jak walczy ze sobą, by zamknąć pana Hyde'a z powrotem w pudelku. Zmiana nastroju nastąpiła w nim tak szybko, że dziwiłam się, iż nie zważyło go to z nóg. Otarł usta i potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem.

- W porządku, to był żart. Ha ha... - powiedział, wciąż wyraźnie zły. Zaczął iść w stronę namiotu. - Zapomnijmy o tym. Chodź.

Nie ruszyłam się z miejsca.

- Nie. Masz mnie przeprosić.

- Co? - popatrzył na mnie z niedowierzaniem. - Nie bądź niemądra.

- Wkopujesz się, Van Zandt. Gadam głupstwa i jestem niemądra. Co jeszcze?

Mięśnie twarzy zadrgały mu nerwowo, widziałam w jego oczach, że ma ochotę nazwać mnie suką albo jeszcze gorzej.

- Przepróż.

- Nie powinnaś była tak żartować - odparł. - A teraz chodź.

- A ty powinieneś przeprosić - nalegałam, ciekawa rozwoju sytuacji. Van Zandt nie był w stanie wykrztusić z siebie przeprosin, lecz jednocześnie fascynował go mój sprzeciw wobec niego.

- Jesteś uparta.

- Ja jestem uparta? - roześmiałam się głośno.

- Tak. Chodź.

- Nie rozkazuj mi, jakbym była koniem, którego możesz przestawiać z miejsca w miejsce - powiedziałam. - Możesz mnie albo przeprosić, albo pocałować w tyłek.

Czekałam, spodziewając się wybuchu, nie mając pojęcia, co stanie się potem. Van Zandt popatrzył na mnie, odwrócił wzrok, a gdy znów na mnie spojrział, miał na twarzy uśmiech, jakby nic się nie stało.

- Ależ z ciebie tygrysyca, Elle! Podoba mi się to. Masz charakter. - Pokiwał głową do samego siebie, nagle wielce uradowany. - To świetnie!

- Jest mi niezmiernie miło, że to doceniasz.

Zaśmiał się pod nosem i ponownie wziął mnie pod ramię.

- No chodźmy, przedstawię cię Jade'owi. Polubi cię.

- A ja jego?

Nie odpowiedział, mało go to interesowało. Nadal był podekscytowany tym, że mu się postawiłam. Z pewnością rzadko spotykał się z oporem. Większość znanych mu Amerykanek kobiet była zapewne bardzo uległa. Bogate, niezaspokojone klientki, których mężowie nie interesowali się ani żonami, ani ich końmi, obdarzały Van Zandta nadmiernym zaufaniem - jedynie dlatego, że pochodził z Europy i zwracał na nie uwagę. Niepewne, łatwe do manipulowania, oczarowane odrobiną wiedzy i kontynentalnej oglądy, wielkim ego i europejskim akcentem.

Już wcześniej zaobserwowałam to zjawisko. Kobiety pozbawione męskiej uwagi potrafią zrobić wiele głupstw, byle tylko zdobyć aprobatę pici przeciwnej - na przykład wydać sporą sumę pieniędzy. Tego typu klientela przynosiła nieuczciwym handlarzom duże zyski, a hienom pokroju Van Zandta pozwalała rzucać pogardliwe „głupi Amerykanie” za naszymi plecami.

Mieliśmy już wejść do namiotu, gdy ze środka wyszła Park Lane, ciągnąc za sobą stajenną, Jill Morone. Van Zandt warknął do dziewczyny, żeby uważała, jak idzie, niezbyt cicho zwracając się do niej per głupia krowo.

- Hej, D.J.! - krzyknął do Jade'a. - Dlaczego nie najmiesz dziewczyny, która w głowie ma choć trochę rozumu?

Jade stał przed drzwiami siodłami, w której przechowywano i konserwowano elementy uprzęży. Pomieszczenie było wyściełane zielonym suknem, jego

ściany udekorowano nagrodami z ostatnich zawodów. Jade spokojnie pociągnął łyk Diet Coke.

- To podchwytliwe pytanie?

Chwilę trwało, zanim Van Zandt zrozumiał żart i zaśmiał się. - Taaak...! Zagadka!

- Przepraszam bardzo - przerwałam im uprzejmie. - Odstawcie na bok te męskie żarty. Czy ja wyglądam, jakbym również miała fiuta?

- Nie, za to stoisz z dwoma - odpowiedziała Paris, wynurzając się z boksu.

Z gardła Van Zandt wydobył się cichy pomruk, ale nie przestał udawać, że jest w dobrym humorze.

- Paris! Ależ ty masz szybki język!

Paris uśmiechnęła się szeroko.

- Wszyscy chłopcy tak mówią!

Humor wysokich lotów. Jade nie słuchał ich i patrzył na mnie. Odpowiedziałam mu spojrzeniem i wyciągnęłam rękę.

- Elle Stevens.

- Don Jade. Jesteś znajomą tego jegomościa? - zapytał, ruchem głowy wskazując na Van Zandt.

- Niech to nie przemawia na moją niekorzyść. Spotkaliśmy się przypadkowo. Uśmiechnął się kącikiem ust.

- Tomas wykorzysta każdy nadarzający się przypadek.

Van Zandt zrobił nadąsaną minę.

- Nie czekam, by okazja przyszła do mnie i zapukała do drzwi. Sam zapraszam ją uprzejmie. A ta oto przyszła tu ukraść twoją stajenną - dodał, patrząc na mnie.

Jade wyglądał na zdezorientowanego.

- Tę ładną blondynkę - dorzucił Van Zandt.

- Erin - odpowiedziała Paris.

- Tę, która odeszła - Jade wciąż patrzył na mnie.

- Tak - odpowiedziałam. - Ale wygląda na to, że ktoś mnie uprzedził.

Jade puścił tę uwagę mimo uszu. Nie odwrócił wzroku, próbując nadać swojej twarzy wyraz smutku z powodu odejścia dziewczyny. Był niewzruszony.

- Właśnie! - zażartowała Paris. - Elle i ja zamierzamy założyć grupę wsparcia dla osób cierpiących na brak stajennych.

- Czemu szukałaś właśnie Erin? - zapytał Jade. - Nie miała zbyt dużego doświadczenia.

- Dziewczyna naprawdę dobrze się spisywała, Don - ujęła się za nią Paris. - Przyjąłabym ją z powrotem bez zastanowienia.

- Znajomy znajomego słyszał, że dziewczyna może szukać nowej roboty - powiedziałam do Jade'a. - Teraz, gdy sezon się zaczął, nie możemy być zbyt wybredni, nie sądzisz?

- Fakt. Masz tu swoje konie, Elle?

- Nie, choć Zi stara się temu zaradzić.

- Vi - poprawił mnie Van Zandt.

- Zi bardziej mi się podoba - odparłam. - Będę cię nazywać Zi. Van Zandt zaśmiał się.

- Uważaj na nią, Don. To tygrysyca.

Jade nie odrywał ode mnie spojrzenia. Patrzył głęboko, nie zwracał uwagi na przesadny strój i szalony kapelusz. Trudno było go zwieść. Ze zdumieniem odkryłam, że i ja nie chcę odwracać od niego wzroku. Emanował tak silnym magnetyzmem, że powietrze wokół niego wydawało się naładowane elektrycznością. Wydawało mi się, że czuję fale energii na mojej skórze. Zastanawiałam się, czy ma nad tym kontrolę, czy potrafi włączać i wyłączać ten mechanizm zależnie od woli. Zapewne tak. Nie udałoby mu się przetrwać w grze, którą toczył, gdyby nie był wprawnym zawodnikiem. Przez chwilę rozważałam, czy dam mu radę.

Zanim jednak zdołałam odpowiedzieć sobie na to pytanie, przede mną pojawił się inny problem wymagający natychmiastowego rozwiązania.

- Boże! Jaki sadysta ustalił mój trening na tak nieludzką godzinę?

Właściciel Stellara, Monte Hughes III, Trey dla znajomych i świty. Pierwszy playboy Palm Beach, rozpustnik i pijak. I moja pierwsza wielka miłość w czasach, gdy myślałam jeszcze, że rozpustni, wiecznie pijani playboye są ekscytujący i romantyczni.

Miał okulary przeciwsłoneczne, które z pewnością kryły przekrwione oczy, i srebrne, rozwichrzone włosy, przycięte à la Don Johnson z „Miami Vice”.

- A która tak w ogóle jest godzina? - zapytał, uśmiechając się zawadiacko. - I jaki mamy dzień?

Był pijany, coś brał, a może obie te rzeczy na raz. W przeszłości również widywałam go tylko w takim stanie. Przez lata ciągłej zabawy alkohol utrzymywał się w jego krwi na stałym poziomie. Trey Hughes: wesoły pijak, dusza każdej imprezy.

Gdy do nas podchodził, stałam prawie nieruchomo, starając się nie zwracać na siebie jego uwagi, choć w głębi duszy nie sądziłam, by mógł mnie rozpoznać. Byłam dzieciakiem, kiedy widział mnie po raz ostatni dwadzieścia lat temu, a jego wymoczony w alkoholu umysł raczej nie przechował wspomnień o mnie do dziś. Trey tak naprawdę nigdy bliżej mnie nie poznał, choć flirtował ze mną przy paru okazjach. Pamiętam, że byłam wtedy niezmiernie z siebie dumna, a fakt, że Trey podrywał każdą napotkaną ślicznotkę, niezbyt mi przeszkadzał.

- Paris, kotku, czemu oni mi to robią? - pochylił i pocałował ją w policzek.

- To spisek, Trey.

Zaśmiał się. Jego głos był szorstki i ciepły od nadmiaru whisky i papierosów.

- Tak. Kiedyś myślałam, że mam paranoję. A potem okazało się, że naprawdę wszyscy chcą uprzykrzyć mi życie.

Miał na sobie strój do jazdy konnej, płowe bryczesy, koszulę i krawat, na ramieniu torbę. Wydawał mi się taki sam, jak przed dwudziestu laty - atrakcyjny, pięćdziesięcioletni i zużyty. Oczywiście był wtedy młodszy, miał może trzydzieści lat, ale nadmiar słońca sprawił, że jego skóra ściemniała i pokryła się zmarszczkami, wcześniej też osiwił - cecha rodowa. Kiedyś wydawał mi się elegancki i wyrafinowany, teraz raczej żaloszny.

Nachylił się i zajrzał pod mój kapelusz.

- Wiedziałem, że ktoś tu się ukrywa. Jestem Trey Hughes.

- Elle Stevens.

- Czy my się znamy?

- Nie. Nie sądzę.

- Dzięki Bogu. Szczycę się tym, że nigdy nie zapominał pięknej buzi. Już się przestraszyłem, że to pierwsze objawy alzheimera.

- Trey, twój mózg jest tak nasączony alkoholem, że nic go nie tknie - sucho stwierdził Jade.

Hughes ledwie rzucił na niego okiem.

- Zawsze wszystkim mówiłem, że piję ze względów zdrowotnych. Może w końcu kuracja przyniesie jakieś efekty. A ty, kochanie, nie zwracaj na mnie uwagi - zwrócił się do mnie. - Ja sam rzadko to robię.

Popatrzył na mnie uważnie, ściągając brwi.

- Jesteś pewna, że ty i ja nigdy...

- Zdecydowanie. Moja twarz jest tu nowa - prawie zaśmiałam się z własnego żartu. - Chyba że byłeś kiedyś w Cleveland?

- Mój Boże, nie! Za jakie grzechy?!

- Przykro mi z powodu Stellara.

- No tak, cóż... - powiedział lekkim tonem, lekceważąco machnąwszy ręką - zdarza się. No nie, Donnie?

Jade wzruszył ramionami.

- Pech. Tak bywa w tym biznesie.

C'est la vie. C'est la mort.

Takie życie. Taka śmierć.

Jego żal nie był szczególnie głęboki.

- Niech Bóg błogosławi firmę ubezpieczeniową - Hughes wzniosł niewidzialny kieliszek. - Oczywiście jeśli zapłaci.

W jego słowach znów dało się wyczuć ukrytą sugestię, jednak Jade nie zareagował i tym razem.

- Kup belgijskiego konia - rzucił Van Zandt. - Za miesiąc nie będziesz pamiętał, że był w ogóle jakiś Stellar.

Hughes się zaśmiał.

- Nie wystarczy ci, że jeździsz moim mercedesem, Vi? Teraz chcesz jeszcze wydawać moje pieniądze - i to zanim jeszcze mam je w kieszeni!

- To chyba mądre posunięcie, jeśli wziąć pod uwagę twoją rozrzutność, nie sądzisz?

- Cała moja forsa idzie na nową stadninę - powiedział Hughes. - Nazwę ją „Wór bez dna”.

- Ale jaki sens ma posiadanie ekstrastajni, jeśli nie masz w niej ani jednego konia? - zapytał Van Zandt.

- Żeby ktoś taki jak nasz pan Jade mógł sprowadzić do niej najlepszych klientów, którzy spłacą moją hipotekę i dadzą mi kasę na nowy jacht. Tak robi połowa Wellington.

Hughes miał rację. Wielu mieszkańców Wellington sponałało roczną wysokość kredytu, wynajmując domy po niebotycznych cenach przez trzy lub cztery miesiące w sezonie zimowym.

- Trey, wsiadaj na konia - rozkazał Jade. - I mam nadzieję, że jesteś wystarczająco trzeźwy, by zrobić całe okrężenie.

- D.J., przecież wiesz, że jedynie alkohol jest w stanie utrzymać mnie w siodle. Na trzeźwo nigdy bym tego nie zrobił - Hughes rozejrzał się wokoło, szukając czegoś wzrokiem. - Erin, moja brzozkwinke! - zawołał. - Bądź kochana i przyprowadź tu mojego rumaka!

- Erin już tu nie pracuje, Trey, nie pamiętasz? - powiedziała Paris, zabierając od niego torbę i podając mu toczek.

- Ach, tak, pozbyliście się jej.

- Odeszła.

- No tak - popatrzył gdzieś przed siebie i uśmiechnął się zagadkowo. - A wydawało mi się, że przed chwilą ją widziałem.

Sprawdził, czy w pobliżu nie ma Jill Morone, i zwrócił się do Paris teatralnym szeptem:

- Nie mogliście zamiast Erin stracić tej małej krowy?

Paris przewróciła oczami.

- Wsiadaj na konia, Trey!

Zawołała po hiszpańsku, by Gwatemalczyk przyprowadził siwka, i cała świta zaczęła powoli przesuwac się do wyjścia. Chciałam pójść za nimi, lecz Jade wciąż stał przede mną, przyglądając mi się uważnie.

- Miło było cię poznać, Elle. Mam nadzieję, że będziemy cię tu często widywać, bez względu na to, czy Vi sprzeda ci konia, czy nie.

- Z pewnością będziecie. Jestem zaintrygowana.

- Jak ćma ogniem?

- Coś w tym rodzaju.

Podał mi rękę i znowu poczułam przepływający przeze mnie prąd.

Patrzyłam, jak cała paczka oddala się w kierunku ringu szkoleniowego. Van Zandt szedł przy koniu, namawiając siedzącego na nim Treya do kupna belgijskiego skoczka. Hughes w siodle nachylał się w jego kierunku. Paris spojrziała za siebie, oczekując, że Jade dołączy do reszty.

Ruszyłam do mojego samochodu, żałując, że nie mam czasu na powrót do domu i prysznic, który pozwoliłby mi zmyć z siebie ślady ich towarzystwa: miałam wrażenie, że moją skórę oblepia śliski osad. Jade i jego ludzie powinni

wydzielać jakiś specyficzny zapach, tak jak zawsze wierzyłam, że wydzielają go węże. Nie chciałam mieć z nimi nic wspólnego, ale było już za późno, koła zaczęły się obracać. W głowie mi szumiało od dobrze znanej, nerwowej ekscytacji. Znanej, co nie znaczy przyjemnej.

Długo trzymałam się na uboczu. Żyłam z dnia na dzień, nigdy nie wiedząc, czy pewnego ranka nie pocuję, że tyle już wystarczy. Teraz nie byłam pewna, czy w mojej głowie jest wystarczający porządek, bym dała radę zrobić to, co powinnam. Ale jeśli nie spróbuję, życie Erin Seabright może zawisnąć na włosku.

Jeśli Erin jeszcze żyła.

Trey Hughes powiedział „pozbyliście się jej”. W ustach człowieka, który nie wiedział nawet, jaki dziś dzień, brzmiało to jak niewinne, obrazowe stwierdzenie. A jednak było w tym coś niepokojącego.

Nie wiedziałam, czy mogę ufać swemu instynktowi, tak dawno go nie używałam. Przypomniałam sobie, co się stało ostatnim razem, gdy mu zaufałam. Mój instynkt, mój wybór - i jaki rezultat... Źle, wszystko źle.

Tym razem jednak to nie działanie mogło przynieść oplakane skutki, ale jego brak - także ze strony matki Erin i biura szeryfa.

Ktoś musiał coś zrobić. Ludzie, których znała Erin, zbyt lekko wyrażali się o jej zniknięciu. I zbyt nonszalancko traktowali temat śmierci.

VI

Zgodnie z adresem podanym przez Molly, mieszkanie Erin znajdowało się w dużym garażu, który ktoś ze zmysłem do biznesu przerobił na lokale do wynajęcia. W sensie geograficznym znajdowało się ono zaledwie parę mil od domu Seabrightów w Binks Forest. Pod każdym innym względem był to zupełnie odmienny świat - wiejskie tereny Loxahatchee, gdzie boczne drogi pokrywało błoto, a kanały ściekowe nigdy nie wysychały. Gdzie złamano wszystkie możliwe przepisy budowlane. Dziwna mieszanina ruin, nowych domów należących do klasy średniej i małych posiadłości jeździeckich. Miejsce, gdzie ludzie przybijali

do pni drzew najdziwniejsze ogłoszenia: od „Zarabiaj \$\$\$ w domu” do „Przerabiamy stare meble na trociny”.

Posesja, na której znajdowało się mieszkanie Erin, była porośnięta wysokimi sosnami i karłowatymi, krzaczastymi palmami. Główny budynek pochodził z połowy lat siedemdziesiątych i zbudowany był w stylu pseudohispańskiego rancza. Białe niegdyś ściany pokryła zielonkawa pleśń. Ogród składał się z piachu i suchej trawy. Stara czerwona honda waliła się na bok na podjeździe, brudna i upstrzona kroplami żywicy. Wyglądała, jakby od bardzo dawna nikt nią nie jeździł.

Podeszłam do drzwi frontowych i nacisnęłam dzwonek w nadziei, że w środku dnia nikogo tu nie zastanę i będę mogła swobodnie pobuszować w przerebionym na mieszkanie garażu. Miałam dość kontaktów z ludźmi jak na jeden dzień. Zabiłam komara, który usiadł mi na ramieniu, i zadzwoniłam ponownie.

Usłyszałam głos brzmiący jak dźwięk zardzewiałych zawiasów.

- Jestem z tyłu, za domem!

Małe, brązowe jaszczurki uciekały mi spod nóg, kryjąc się w nadmiernie wybijającej roślinności okalającej garaż. Na tyłach domu znajdował się obowiązkowy basen. Siatkowa klatka, która kiedyś osłaniała podwórko przed owadami, była w wielu miejscach porozdzierana, jakby za sprawą ogromnej łapy, uzbrojonej w potężne pazury. Oberwane drzwi zwisały szeroko otwarte.

Kobieta w nich stojąca dawno już przekroczyła wiek i rozmiary, w których jej widok w dwuczęściowym kostiumie kąpielowym sprawiałby komukolwiek przyjemność, niemniej taki właśnie strój miała na sobie. Tłusta, zwiotczała skóra zwisała z jej zdeformowanego ciała jak dziesiątki sflaczałych baloników.

- W czym mogę pomóc, kochana? - zapytała.

Po akcencie poznałam, że pochodziła z Nowego Jorku. Patrzyła na mnie przez gigantyczne okulary przeciwsłoneczne à la Jackie Onasis. Musiała dobijać do siedemdziesiątki i wyglądała, jakby przynajmniej sześćdziesiąt osiem lat swojego życia spędziła na słońcu. Jej skóra była brązowa i pokryta plamami, przez co przypominała mieszkające w jej ogrodzie jaszczurki. Palila papierosa, trzymając na smyczy dwa rude, spasiono koty. Widok zapierał dech.

- Szukam mojej siostrzenicy - wykrztusiłam w końcu. - Erin Seabright. Mieszka tu, prawda?

Skinęła głową, rzuciła niedopałek i przydepnęła go czubkiem błękitnego piankowego buta do nurkowania.

- Erin. Ta ładna. Nie widziałam jej od paru dni, kochana.

- Naprawdę? Jej rodzina też nie. Zaczynamy się trochę martwić.

Kobieta skrzywiła usta i machnęła lekceważąco ręką.

- Phi! Pewnie wyjechała z tym chłopakiem.

- Chłopakiem? Nie wiedzieliśmy, że ma chłopaka.

- Też mi niespodzianka - powiedziała z przekąsem. - Nastolatka, która nic nie mówi swojej rodzinie. Ale myślałam, że się pokłócili. Słyszałam, jak krzyczeli na siebie któreś nocy tu, w ogrodzie.

- Kiedy to było?

- W zeszłym tygodniu. Nie pamiętam. W czwartek lub piątek - wzruszyła ramionami. - Jestem na emeryturze, nie zauważam, jak mijają dni. Wszystkie są podobne. Przypominam sobie, że wyszłam następnego ranka, żeby wyprowadzić maleństwa, i zobaczyłam, że cały bok samochodu Erin był porysowany. Mam bramę, żeby nie włączyły tu żadne męty, ale mojemu synkowi nie chce się ruszyć i jej naprawić. Pewnie ma nadzieję, że ktoś mnie zgwałci i zabije, a on wszystko po mnie odziedziczy.

Zaśmiała się zduszonym chichotem i popatrzyła na rude kociska, jakby telepatycznie dzieląc z nimi swój mały żart. Jedno ze zwierząt leżało na grzbiecie w pyle, z wyciągniętymi tylnymi łapami. Drugie rzuciło się na jej stopę, kładąc uszy po sobie.

- Fe! Cecil! Nie gryź mamusi! - skarciła go. - Ostatnio dostałam takiej infekcji! Myślałam, że umrę!

Pacnęła kota, a ten w odpowiedzi zamachnął się łapą, po czym uciekł tak daleko, jak pozwalała mu smycz, przysiadł i miauknął wściekle. Ważył pewnie ze dwadzieścia kilo.

- Czy mogłabym zajrzeć do pokoju Erin? - zapytałam grzecznie. - Może wpadnę na jakiś trop, który podpowie mi, dokąd się udała. Jej matka pochorowała się ze zmartwienia.

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie. Czemu nie? W końcu jest pani z rodziny.

Tacy właściciele mieszkań to marzenie każdego policjanta. Czwarta poprawka do konstytucji? Jaka czwarta poprawka*?

* Zapis w Konstytucji Stanów Zjednoczonych gwarantujący „prawo osoby do bezpieczeństwa osobistego oraz ochronę domu, dokumentów i własności przed nieuzasadnionym przeszukiwaniem i zawłaszczeniem”.

Uwiązała koty do klamki urwanych drzwi, zanurzyła rękę w saszetce zawieszanej na pasku i wyciągnęła z niej pęk kluczy, papierosa i jaskraworóżową zapalniczkę Bic. Zapaliła papierosa i poszliśmy do garażu. W przedniej ścianie, w miejscu wjazdu, wstawiono okna. Po obu stronach okien znajdowały się drzwi prowadzące do dwóch mieszkańek.

- Kiedy przerabiałam garaż na pokoje, zrobiłam dwa osobne wejścia, choć łazienka jest wspólna. Osobne wejście daje wrażenie większej prywatności. Dzięki temu biorę więcej za pokój. Siedemset pięćdziesiąt miesięcznie za każdy.

Siedemset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie za mieszkanie w garażu i dziele nie łazienki z kimś obcym.

- A tak w ogóle to jestem Eva - powiedziała, podnosząc okulary. - Eva Rosen.

- Ellen Stuart.

- Niepodobna pani do Erin - zauważyła Eva, patrząc na mnie z ukosa, gdy weszliśmy do środka.

- Tak, to prawda. Wszłam do rodziny przez małżeństwo.

Mieszkanie składało się z pojedynczego pokoju z obskurnym linoleum na podłodze i zbieraniną brzydkich, tanich mebli. Kącik do gotowania tworzyły mały zlew pełen brudnych naczyń, po których biegały mrówki, dwupalnikowa kuchenka, kuchenka mikrofalowa i miniaturowa lodówka. Łóżko w głębi pokoju było nie pościelone.

Poza łóżkiem nic nie świadczyło, że ktoś tu mieszka. Nie było widać ubrań, butów, żadnych osobistych rzeczy.

Eva rozglądała się wokoło z niedowierzaniem, papieros zwiślał z jej otwartych ust.

- Wygląda na to, że się wyprowadziła - stwierdziłam. - Nie widziała pani, jak Erin wynosiła bagaże do samochodu?

- Nie! Nikt mi nic nie mówił o żadnej wyprowadzce! A te brudne naczynia? To niby ja mam je myć? Dajesz ludziom takie porządne mieszkanie i oto, jak ci się odwdzięczają!

- Czy widziała pani, żeby pojawiał się tu ktoś obcy w ciągu ostatnich dni?
- Nie, tylko ta druga dziewczyna. Grubaska.
- Jill Morone?
- Ona jest taka niedobra! I te małe oczka. Nigdy nie zostawiłabym z nią moich kocetzków.
- To ona mieszka w drugim pokoju?
- Ktoś mi za to odpowie - Eva mruzczała do siebie. - Mówiły, że wynajmują na cały sezon. Muszą zapłacić.
- Kto płaci za wynajem?
- Czeka są z Jade Farms. A ta miła dziewczyna, Paris, zawsze sama je do mnie przywozi. Ona jest taka urocza! Nie mogę uwierzyć, że pozwoliła, by stało się coś takiego!

Gniewnie sapiąc, łapczywie zaciągała się papierosem. Podeszła do zlewu i puściła wodę. Rury zatrzęsły się i zabulgotały. Kiedy w końcu poleciała z nich woda, była koloru ziemi.

- Nie można tak po prostu wyprowadzić się w środku nocy i myśleć, że w ten sposób uniknie się płacenia. Mój beznadziejny syn do jednego się przydaje: zna różnych ludzi. Zajmuje się ściąganiem długów.

Pospieszyłam za Eva, która otworzyła drzwi do wspólnej łazienki i przeszła na drugą stronę garażu, do mieszkania Jill Morone. Na podłodze łazienki leżał stos mokrych ręczników, drzwi kabiny prysznicowej były czarno-czerwone od grzyba i rdzy.

- Ta druga wciąż tu jest - wymamrotała Eva. - Wstrętna bałaganiara. Proszę spojrzeć na ten chlew!

Pokój Jill wyglądał, jakby ktoś go przeszukiwał i wyrócił wszystko do góry nogami - domyśliłam się jednak, że był to jej sposób na utrzymanie porządku. Wszędzie walały się ubrania i kolorowe magazyny. Na małym stoliku stała popielniczka pełna niedopalków. Na podłodze zauważyłam wydanie „Sidelines”, w którym znajdował się artykuł o mnie. Na wszelki wypadek kopnęłam magazyn pod łóżko.

- Nie pozwoliłabym mieszkać w takich warunkach nawet psom - powiedziała Eva, bez zahamowania grzebiąc w rzeczach Jill. - Skąd ona to wszystko bierze? Ubrania z Bloomingdale. Jeszcze mają metki. Mogę się założyć, że kradnie. Wygląda mi na taką.

Nie zaprzeczyłam. Przejrzałam splątaną masę biżuterii na toaletce, zastanawiając się, czy coś z tego mogło tu przywędrować z sąsiedniego pokoju - w zamian za brudne naczynia.

- Była tu pani w niedzielę, pani Rosen?

- Panno Rosen. Byłam przez cały dzień.

- A w nocy?

- W niedzielne wieczory wychodzę z moim przyjacielem, Sidem, do tajskiej restauracji przy A1. Zjadłam curry z kurczaka. Było tak ostre, że miałam po nim zgałę przez tydzień!

- O której pani wróciła?

- Co to za pytanie? Nie powinno to pani interesować!

- Pani Rosen, proszę! To może być ważne.

Przez chwilę udawała twardą, potem przechyliła głowę i wzruszyła ramionami.

- Sid jest moim wyjątkowym przyjacielem, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Byłam w domu dopiero w poniedziałek. Chyba koło południa.

Wystarczająco dużo czasu, żeby Erin mogła się spakować - lub żeby ktoś zrobił to za nią.

- Na pewno uciekła z tym chłopakiem - stwierdziła Eva, gasząc papierosa w przepelnionej popielniczce. - Nie chcę urazić pani rodziny, ale na taką mi wyglądała, w tych swoich obcisłych bluzeczkach, z pępkiem na wierzchu.

I to mówi siedemdziesięcioletnia babka w bikini.

- Czy może mi pani coś powiedzieć o tym chłopaku? - zapytałam. - Może wie pani, jakim samochodem jeździ?

- Przez sześćdziesiąt siedem lat mieszkałam w Queens. Co ja mogę wiedzieć o samochodach?

Starłam się oddychać powoli. Kolejną moją słabą stroną było to, że jako gliniarz nie umiałam w dyplomatyczny sposób obchodzić się z ludźmi. Strasznie mnie denerwowali.

- Kolor? Wielkość? Jakikolwiek szczegół, który mogłabym przekazać policji?

- Czarny, chyba. Albo ciemnoniebieski. Widziałam go tylko raz, właśnie wtedy, i było ciemno.

- A chłopak? Może mi pani coś o nim powiedzieć?

- O co chodzi z tym przesłuchaniem? - zapytała, udając urażoną. - Jestem w jakimś programie? Może w „Dochodzeniu”? A pani jest prokuratorem okręgowym czy kimś takim? I co, zaraz z ukrycia wyjdzie Sam Waterston?

- Po prostu martwię się o swoją siostrzenicę, panno Rosen. Boję się, że coś mogło jej się stać. Nikomu nie powiedziała, że się przeprowadza. Jej rodzina nic nie wie o tym chłopaku, jak możemy być pewni, że pojechała z nim dobrowolnie?

Eva rozważyła moje słowa, jej oczy zalśniły na myśl o potencjalnym skandalu, potem machnęła ręką, udając obojętność.

- Nie przyjrzałam mu się. Usłyszałam klótnię, więc popatrzyłam przez rolety i zobaczyłam tył jego głowy.

- Był wysoki czy niski? Starszy czy raczej młodszy?

Wzruszyła ramionami.

- Przeciętny. W każdym razie jego plecy takie się wydawały.

- A czy spotkała pani kiedyś mężczyznę, dla którego Erin pracowała?

- Jakiego mężczyznę? Myślałam, że pracowała dla Paris.

- Dona Jade'a, mężczyznę w średnim wieku, raczej drobnej budowy, bardzo przystojnego.

- Nie znam go. Znam tylko Paris. Ona jest taka miła! Zawsze znajdzie czas, żeby zapytać o moje maleństwa. Jestem przekonana, że nic nie wie o ucieczce Erin, bo z pewnością by mi o tym powiedziała.

- Tak, tak, zapewne - odpowiedziałam. - Panno Rosen, a czy pamięta pani jakikolwiek szczegół dotyczący tego chłopaka? Cokolwiek, naprawdę.

Eva Rosen potrząsnęła głową.

- Przykro mi, moja droga. Pomogłabym pani, gdybym umiała. Sama jestem matką. A pani ma dzieci? - zapytała, podejrzliwie zerkając na moją fryzurę.

- Nie, nie mam.

- Sprawiają, że szalejesz ze zmartwienia, i przynoszą same rozczarowania. Dopust boży!

- Czy słyszała pani kiedyś, by Erin zwracała się do swojego chłopaka po imieniu?

Zastanawiała się przez chwilę, szukając w pamięci.

- Może... Słyszałam chyba jego imię tamtej nocy. Tak. Brzmiało jak z tele-
noweli. Brad? Tad?

- Chad?

- Tak! Właśnie to.

Chad Seabright.

Zakazana miłość. Zastanawiałam się, czy ten szekspirowski romans przyczynił się do wyprowadzki Erin z domu rodzinnego. Jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, by Bruce Seabright miał przyzwolić na romans swojego syna z przyrodnią córką, nawet jeśli nie łączyły ich więzy krwi. A jeśli coś nie podobało się Bruce'owi, nie zgadzała się na to i Krystal.

Nie wiedziałam, dlaczego Molly nie powiedziała mi o Chadzie i Erin - dlaczego w ogóle nie wspomniała o Chadzie? Może obawiała się, że i ja wyrażę dezaprobatę? Jeśli taki był powód, to stanowczo mnie przeceniała. Sprawa nie angażowała mnie do tego stopnia, bym miała wyrabiać sobie opinię na temat moralności jej siostry. Życie miłosne Erin interesowało mnie tylko ze względu na rolę, jaką jej kochanek odegrał w jej zniknięciu.

Pojechałam z powrotem do domu Seabrightów. Chad - biedny, chory Chad - mył na podjeździe czarną toyotę pickupa. Śliczny amerykański chłopak w spodniach koloru khaki i białym podkoszulku. Popatrzył na mnie przez szkła lustrzanych okularów przeciwsłonecznych, splukując pianę z kół.

- Piękna historia - powiedziałam, podchodząc do niego. - Eva Rosen wszystko mi opowiedziała.

- Kim jest Eva Rosen?

- Właścicielką mieszkania, które wynajmowała Erin. Nic nie ujdzie uwagi starej Ewy.

Chad wstał, zapominając o samochodzie.

- Przepraszam - powiedział uprzejmie. - Nie usłyszałem pani imienia.

- Elena Estes. Szukam twojej przyrodniej siostry.

- Tak jak mówiłem rano, pani Estes, nie widziałem jej.

- To zabawne, bo Eva powiedziała mi, że parę dni temu byłeś w jej ogrodzie.

Wydaje się wiedzieć parę interesujących rzeczy na wasz temat - na temat ciebie i Erin.

Wzruszył ramionami i potrząsnął głową, a na koniec dodał jeszcze uśmiech w stylu Matta Damona, osiągając pełny obraz chłopięcego uroku.

- Przykro mi. Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

- Daj spokój, Chad - powiedziałam przymilnie. - Nie żyję na tym świecie od wczoraj. Nie przeszkadza mi, że ty i Erin macie romans. To, że posuwasz swoją przyrodnią siostrę, nie robi na mnie wrażenia.

Skrzywił się na to oskarżenie.

- To dlatego Erin odeszła z domu? - zapytałam. - Twój ojciec nie był zadowolony, że robicie to tuż pod jego nosem?

- Nie jesteśmy razem - z naciskiem powiedział Chad.

- Eva mówiła, że niedawno kłóciliście się na jej podjeździe. Co się wtedy stało, Chad? Erin cię rzuciła? Pozwól, że zgadnę: nie byłeś już dla niej taki pociągający, od kiedy Krystal i Bruce przestali się wam przyglądać?

Odwrócił wzrok, kalkulując, jak najlepiej to rozegrać. Powiedzieć prawdę, wpaść w gniew, iść w zaparte czy zachować spokój? Jak dotąd wybierał tę ostatnią opcję, ale moja bezczelność zaczynała wyprowadzać go z równowagi.

- Nie wiem, kim pani jest - powiedział, wciąż starając się udawać dobry humor - ale jest pani szalona.

Znalazłam suchy kawałek na przednim zderzaku, oparłam się o samochód i skrzyżowałam ręce na piersi.

- Dla kogo cię rzuciła, Chad? Dla starszego faceta? Może dla swojego szefa?

- Nie wiem, z kim spotyka się Erin - odpowiedział szorstko - i wcale mnie to nie obchodzi.

Wylał wodę z pianą na podjazd, wziął wiadro i poszedł do garażu. Pospieszyłam za nim.

- Dobra, może całkiem się myłę. Może wasza kłótnia dotyczyła czegoś całkiem innego - zaproponowałam ugodowo. - Sądząc po twoim porannym kacu, lubisz się zabawić. Z tego, co słyszałam, Erin też potrafi nieźle zaszaleć. Znalazła pracę na terenach jeździeckich i otworzył się przed nią nowy świat, raj ćpunów i handlarzy. Może o to kłóciliście się przed domem Ewy Rosen: o narkotyki?

Chad cisnął wiadro na półkę, gdzie akcesoria samochodowe leżały poukładane jak na sklepowej półce.

- Teraz naprawdę pani przesadziła!

- Próbowала odsunąć cię od interesu? To dlatego wróciłeś później i porysowałaś jej samochód?

- Kim pani w ogóle jest? - zapytał ostrzej. - I co pani tu robi? Ma pani jakiś nakaz?

Stałam bardzo blisko niego i z pewnością chciał się odsunąć.

- Nie potrzebuję nakazu, Chad - odpowiedziałam zniżonym głosem, patrząc mu prosto w oczy. - Moja praca ma nieco inny charakter.

Nie wiedział, co mam na myśli, ale moje słowa sprawiły, że zrobił się jeszcze bardziej nerwowy. Oparł ręce na biodrach, przestępując z nogi na nogę. Skrzyżował ramiona na piersi. Popatrzył na ulicę.

- Gdzie jest Erin? - zapytałam.

- Już pani mówiłem, że nie wiem. Nie widziałem jej.

- Od kiedy? Od piątku? Od nocy, w której się sprzeczaście? Tej, której porysowałeś jej samochód?

- Z tym nie mam nic wspólnego! Niech pani porozmawia z tą grubą krową, z którą pracuje Erin - powiedział. - Jill Morone. To pewnie ona zabiła Erin. A potem ją zjadła.

- Skąd znasz Jill Morone? Skąd miałbyś wiedzieć cokolwiek na temat ludzi, z którymi pracuje Erin, skoro się z nią nie kontaktowałeś, od kiedy tu nie mieszka?

Zamarł w bezruchu i popatrzył za drzwi.

Mam cię. Przyjemnie było się przekonać, że wciąż mam ten dryg.

- O co klóciliście się piątkowej nocy, Chad? - spytałam ponownie i cierpliwie czekałam, aż zdecyduje się na odpowiedź.

- To ja ją rzuciłem - powiedział, odwracając się w kierunku półek. Wybrał jedną z białych ściereczek, starannie poukładanych jedna na drugiej. - Nie trzeba mi kłopotów.

- Taa, pewnie. Gówno prawda. Nie rzuca się dziewczyny, żeby zaraz wrócić i porysować jej samochód. To nie ma sensu, jeśli nie ty zostałeś rzucony.

- Nie porysowałem jej cholernego samochodu!

- Jakoś ci nie wierzę.

- Cóż, to chyba nie mój problem, tylko pani.

- To mało prawdopodobne, że ty ją rzuciłeś. Erin miała z głowy Krystal i Bruce'a po tym, jak się wyprowadziła, ale ty wciąż mogłeś wykorzystywać wasz związek, żeby czasem wkurzyć tatusia.

- Nic pani nie wie o mojej rodzinie!

- Doprawdy? - Rozejrzałam się po garażu. Wszystko miało tu swoje miejsce i na nim pozostawało. - Twój stary jest sztywniakiem, który chce sprawować nad wszystkim kontrolę. To, czego on chce, ma być dla was święte. Tylko jego poglądy są słuszne. Zadaniem całej reszty jest spełniać jego zachcianki i nieustannie poświadczać jego wyższość. I co, jak na razie dobrze mi idzie?

Naburmuszony podszedł do pickupa i białą ściereczką zaczął wycierać ślady po kropkach wody, które zdążyły już wyschnąć.

- Da ci nieźle popalić, jeśli nie wytrzesz tych śladów, mam rację, Chad? - powiedziałam, postępując za nim krok w krok naokoło samochodu. - Nie wypada mieć zacieków na lakierze. Co by sąsiedzi pomyśleli? A wyobrażasz sobie, co by było, gdyby dowiedzieli się o tobie i Erin? Co za hańba, robić takie rzeczy z przyrodnią siostrą! To w zasadzie kazirodztwo! Ty naprawdę znalazłeś czuły punkt tatusia.

- Paniusiu, wkurzasz mnie.

Nie zamierzałam mu tłumaczyć, że taki właśnie był plan. Deptałam mu po piętach, gdy szedł na drugą stronę samochodu.

- Powiedz mi to, co chcę wiedzieć, a zostawię cię w spokoju.

- Nie mam nic do powiedzenia. Nie wiem, gdzie jest Erin, i gównu mnie to obchodzi.

- Ale będzie cię obchodzić, gdy zaczniesz za tobą łązić policja. Bo może za zniknięciem Erin kryje się jakaś narkotykowa afera. Powiem ci z własnego doświadczenia, że gościom z wydziału narkotyków mało co sprawia taką przyjemność, jak dobranie się do skóry bogatemu dzieciakowi z dobrej rodziny. A co będzie, kiedy ktoś zacznie wypytywać o wasz związek twojego tatusia? Na pewno będziesz się świetnie bawił...

Odwrócił się do mnie z rękami podniesionymi do góry, jakbym mierzyła do niego z pistoletu.

- Dobrze, już dobrze! Jezu! Niezła z pani agentka! - pokręcił głową.

Czekałam.

- Dobra - powiedział jeszcze raz, wzdychając. - Erin i ja kiedyś byliśmy razem. Myślałem, że to coś ważnego, ale dla niej nasz związek nic nie znaczył. Rzuciła mnie. I tyle. To wszystko. Ta historia nie ma nic wspólnego z narkotykami, handlem czy czymś takim. Po prostu mnie rzuciła. Tylko tyle.

Wzruszył ramionami, opuścił ręce bezwładnie wzdłuż ciała, jakby to wyznaczenie zabrało całą jego energię. Męskie ego jest rzeczą delikatną, tak w wieku lat siedemnastu, jak i siedemdziesięciu.

- Podać jakiś powód? - zapytałam cicho. - Nie pytałabym - dodałam, widząc, jak jego napięcie wraca - ale coś się wydarzyło w miejscu pracy Erin, a teraz nigdzie nie można jej znaleźć.

- Ma jakieś kłopoty?

- Nie wiem. Może.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Mówiła, że jest ktoś inny. Jakiś „mężczyzna”, jakbym ja był dwunastolatkiem.

Potrząsnął głową z wyrazem niesmaku na twarzy.

- Mówiła, kto to taki?

- Nie pytałem. To znaczy, niby dlaczego miałyby mnie to obchodzić?! Wiem, że latała za swoim szefem, ale on ma chyba z pięćdziesiąt lat czy coś koło tego.

- A czy powiedziała ci, dokąd się wybiera? Wspominała coś o zmianie pracy lub przeprowadzce?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie mówiła nic o wyjeździe do Ocala?

- Ocala? Czemu miałyby tam jechać?

- Jej szef powiedział mi, że rzuciła pracę u niego i przeniosła się do nowej roboty właśnie tam.

- Pierwszy raz o tym słyszę - powiedział. - Nie. Nie zrobiłaby tego. To nie ma najmniejszego sensu.

- Dzięki za informacje - wyciągnęłam z kieszeni kawałek papieru, na którym zapisałam swój numer. - Jeśli się do ciebie odezwie, czy mógłbyś zadzwonić pod ten numer i zostawić wiadomość?

Chad wziął ode mnie kartkę i gapił się na nią.

Wróciłam do samochodu i siedziałam w nim przez chwilę na końcu podjazdu Seabrightów. Rozejrzałam się po okolicy. Cicho, ładnie i drogo. Za płotem gracje w golfa ćwiczyli uderzenia. Amerykański sen.

Pomyślałam o Seabrightach. Majętni ludzie sukcesu, neurotyczni, skłócenii, pełni skrywanej urazy. Amerykański sen w krzywym zwierciadle.

Zaparkowałam na chodniku przed szkołą, obok mam czekających w samochodach na swoje pociechy. W kościelnym chórze czułabym się bardziej na swoim miejscu. Dzieciaki zaczęły wybiegać ze szkoły, pędząc w stronę autobusów lub rzędu samochodów.

Nie zauważyłam nigdzie Krystal Seabright; wcale się zresztą jej nie spodziewałam. Zdążyłam się już zorientować, że Molly była dla Krystal osobą mało istotną, która przypadkiem mieszkała z nią pod jednym dachem. Molly wyrosła na fajnego dzieciaka, ale tylko dzięki odrobinie szczęścia, instynktowi samozachowawczemu i oglądaniu A&E. Obserwowała zapewne dramat ciągłych kłótni pomiędzy Erin i rodzicami i świadomie zdecydowała się obrać inną strategię, by zyskać ich aprobatę.

To ciekawe, pomyślałam, że Molly była taka, jaka byłyby pewnie moja młodsza siostra, gdybym ją miała. Zostałam adoptowana. Rodzice dali sobie spokój z następnymi dziećmi - byłam dla nich wystarczającym ciężarem. Dużo stracili. Dziewczynka, która uczyłaby się na moich błędach, mogłaby okazać się córką, jakiej zawsze pragnęli.

Wysiadłam z samochodu, gdy dostrzegłam wychodzącą ze szkoły Molly. Nie zauważyła mnie od razu. Szła ze spuszczoną głową, ciągnąc za sobą swoją czarną walizczkę na książki. Choć otaczał ją tłum innych dzieci, wydawała się samotna, głęboko pogrążona w myślach. Zawołałam ją, kiedy już miała skręcić i pójść w kierunku domu. Gdy mnie zobaczyła, jej twarz rozjaśniła się powstrzymanym oczekiwaniem.

- Już ją pani znalazła?

- Nie, jeszcze nie. Spędziłam dzień na zadawaniu pytań. Być może Erin jest w Ocala - odpowiedziałam.

Molly pokręciła głową.

- Nie wyprowadziłyby się, nic mi nie mówiąc ani nawet nie dzwoniąc.

- Erin wszystko ci mówi? - zapytałam i otworzyłam przed nią drzwi samochodu. Rozejrzałam się, by sprawdzić, czy ktoś mnie nie podejrzewa o molestowanie nieletnich. Nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi.

- Tak.

Przeszłam na stronę kierowcy, wsiadłam do samochodu i uruchomiłam silnik.

- A mówiła ci, że ona i Chad byli ze sobą?

Spuściła wzrok i skuliła się w fotelu.

- Nie wiem, nie pamiętam - wymamrotała. - Wolałabym zapomnieć, że Chad w ogóle istnieje.

Albo o tym, że Erin przeistoczyła się z siostry w kobietę mającą potrzeby seksualne, pomyślałam, gdy wiozłam Molly w kierunku domu. Erin była dla niej wzorem i jedynym opiekunem. Gdyby Erin ją opuściła, Molly zostałaby już całkiem sama w chorym świecie Seabrightów.

- Chad był w mieszkaniu Erin w piątkową noc - powiedziałam. - Pokłócili się. Wiesz coś na ten temat?

Molly wzruszyła ramionami.

- Może ze sobą zerwali.

- Czemu tak sądzisz? Czy Erin interesowała się kimś innym?

- Szalała za swoim szefem, ale on jest dla niej za stary.

To już rzecz gustu. Z tego, co o niej wiedziałam, wynikało, że Erin mogła zainteresować się mężczyzną wystarczająco starym, by być jej ojcem. A jeśli wziąć pod uwagę wydarzenia z przeszłości, Don Jade nie odmówiłby jej.

- Czy był ktoś jeszcze?

- Nie wiem - powiedziała Molly poirytowanym głosem. - Erin lubiła flirtować, ale ja nie zwracałam na to uwagi. Nie chciałam o tym słuchać.

- Molly, to bardzo ważne - powiedziałam, zatrzymując samochód na początku jej ulicy. - Gdy zadaję ci pytania na temat Erin lub jakikolwiek inny, musisz mi mówić prawdę. Nie ukrywaj spraw, które ci się nie podobają, dobrze?

Zmarszczyła się, ale przytaknęła.

- Musisz mi zaufać - powiedziałam i poczułam, jak przeszywa mnie paraliżujący strach.

Molly popatrzyła na mnie tym spokojnym, zbyt dorosłym i zbyt mądrym spojrzeniem.

- Już mówiłam, że pani ufam.

Tym razem nie zapytałam, dlaczego.

VII

Stoję z boku przyczepy braci Golam. Mam czekać, stać w miejscu i się nie ruszać - ale wiem, że to zła decyzja, jeśli wejdę pierwsza, będzie po nich. Bracia Golam sądzą, że mnie znają, ich czujność będzie uśpiona. Pracowałam nad tą sprawą trzy miesiące. Wiem, co robię. Wiem, że mam rację. Wiem, że Golamowie już nie mogą usiedzieć w miejscu. Ten nalot jest mój - wiem, że na niego zasłużyłam. I wiem, że jest tu porucznik Sikes, który przyjechał na przedstawienie i czeka tylko, aż przyjadą wozy telewizyjne. Potraktuje ten sukces jak swój, wykorzysta go w walce o stanowisko szeryfa.

Ustawił mnie na rogu przyczepy i kazał czekać. Gównu wie. Nie wie nawet, że Golamowie najczęściej używają bocznych drzwi. Podczas gdy Sikes i Ramirez pilnują przodu domu, braciszkanie właśnie pakują pieniądze do walizek i planują czmychnąć bokiem. Ciężarówka Billy'ego Golama stoi pięć metrów dalej, cała w błocie, jeśli będą uciekać, wezmą ciężarówkę, a nie corvette'ę zaparkowaną przed domem. Można nią zjechać z ubitej drogi.

Sikes traci cenny czas. W przyczepie Golamów znajdują się dwie dziewczyny, które w razie potrzeby mogą stać się zakładniczkami. Chyba że wejdę teraz, kiedy nie mają się na baczności...

Pieprzyć Sikesa. Wchodzę, zanim tym świram zaczniesz odbijać.

Ta sprawa jest moja. Wiem, co robię.

Włączam radio.

- To bez sensu. Oni zaraz wskoczą do ciężarówki i odjadą. Wchodzę.

- Niech to szlag, Estes...! - Sikes.

Wylłączam radio i rzucam je w chwasty rosnące obok przyczepy. To moja sprawa. Mój nalot. Wiem, co robię.

Podchodzę do bocznych drzwi i pukam tak, jak pukają wszyscy stali klienci: dwa uderzenia - potem jedno - i znowu dwa.

- Hej, Billy, tu Ele... Potrzebuję trochę.

Billy Golam szarpnięciem otwiera drzwi, obrzuca mnie dzikim spojrzeniem, jest naćpany metamfetaminą domowej produkcji, swoim własnym Kryształem. Ciężko oddycha. W ręce ma pistolet.

Cholera.

Frontowe drzwi z hukiem wlatują do środka.

Słychać krzyk jednej z dziewczyn.

Buddy Golam wrzeszczy: „Gliny!”

Billy mierzy ze swojej trzystasiedemdziesiątkipiątki prosto w moją twarz. Nabieram powietrza. To mój ostatni oddech.

Nagle Billy odwraca się gwałtownie i strzela. Dźwięk wystrzału jest ogłuszający. Pocisk trafia w twarz Hectora Ramireza i rozwala mu czaszkę. Krew i kawałki mózgu lądują na koszuli stojącego za nim Sikesa.

Obraz powoli blaknął, a budynek, do którego zmierzałam, zaczął wyraźniej rysować się przed moimi oczami.

Kompleks zabudowań należących do Sądu Hrabstwa Palm Beach stał pośród starannie zaprojektowanej zieleni, na tyłach ulicy Gun Club, w pobliżu parku rozciągającego się nad jeziorem Lytal. Mieścił biuro szeryfa, gabinet lekarza sądowego, sale rozpraw oraz więzienie. Jedno miejsce dla przestępców i ich ofiar.

Siedziałam na parkingu, patrzyłam na budynek, w którym niegdyś pracowałam, i czułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Od bardzo dawna nie przepięłam tych drzwi. Przestraszony głos powtarzał mi, że każdy tam od razu mnie rozpozna i że wszyscy pałają do mnie żywą nienawiścią. Logika podpowiadała jednak, że to nieprawda. Nienawidziła mnie jedynie połowa z nich.

Zbliżał się czas rozpoczęcia drugiej zmiany. Jeśli nie uda mi się złapać Jamesa Landry’ego teraz, będę musiała czekać do jutra. A chciałam już dziś wbić mu do głowy imię Erin - jak cierni, który nie pozwoli mu spokojnie spać.

Nogi ugięły się pode mną, gdy szłam w kierunku wejścia. Więźniowie w ciemnoszarych uniformach pracowali przy klombach, pilnowani przez ciemnoskórego strażnika w spodniach moro, czarnym podkoszulku z nadrukiem i w kapeluszu na głowie. Wymieniał bzdurne uwagi z dwoma policjantami palącymi papierosy na chodniku. Żaden z nich nawet na mnie nie spojrział.

Weszłam do budynku i skierowałam się do recepcji. Nikt nie krzyknął mojego imienia, nikt nie ruszył do mnie z zamiarem uderzenia mnie w twarz. Może to dzięki nowej fryzurze.

Recepcjonistka siedząca za kuloodporną szybą miała okrągłą buzię, dwucentymetrowe czerwone paznokcie i głowę Meduzy pokrytą czarnymi, splątanymi warkoczykami.

- Chciałabym rozmawiać z inspektorem Landrym - powiedziałam.

- W jakiej sprawie?
- W sprawie zaginięcia.
- Pani godność?
- Elena Estes.

Nie skojarzyła mojego imienia. Nie obrzuciła mnie stekiem wyzwisk. Nie znałam jej, ona mnie też nie. Zadzwoiła do Landry'ego i poprosiła mnie, bym usiadła i zaczekała. Wołałam jednak nie siadać. Stałam z założonymi rękami, prawie nie oddychając, i wpatrywałam się w ciężkie, szare drzwi prowadzące w głąb budynku. Wydawało mi się, że upłynęła godzina, zanim w końcu ktoś je otworzył.

- Pani Estes?

Landry skłonił się w geście zaproszenia.

Był dobrze zbudowanym, wysportowanym mężczyzną po czterdziestce, z wyraźnym zamiłowaniem do czystości i porządku. Jego koszula wciąż nosiła ślady krochmalu, mimo że była już prawie czwarta. Włosy miał bardzo krótkie, ogolone prawie przy skórze, niegdyś zapewne czarne, teraz mocno przyprószone siwizną. Jego wzrok wydał mi się przenikliwy i lekko niechętny. Może po prostu byłam przewrażliwiona.

Znałam kilku z siedemnastu inspektorów pracujących w wydziale zabójstw, ale Landry'ego akurat nie. Ze względu na charakter pracy, ludzie z wydziału narkotyków trzymają się - lub są trzymani - z dala od reszty, a z innymi pracownikami biura spotykają się okazjonalnie nad zwłokami.

W milczeniu weszliśmy schodami na drugie piętro. W przeszklonym holu prowadzącym do biura wydziału zabójstw nie było nikogo. Landry otworzył drzwi kartą magnetyczną.

Połączone ze sobą stalowe biurka tworzyły wyspy na dużej powierzchni pokoju. Większość z nich była pusta, a wśród paru obecnych w biurze osób nie rozpoznałam nikogo. Oczy skierowane w moją stronę spod ledwie uniesionych powiek były puste i zimne - patrzyły na mnie wzrokiem ludzi, którzy nikomu nie ufają i każdego o coś podejrzewają. Spojrzenia policjantów są zawsze takie same. Zauważyłam jednak, że niektóre z nich pozostały na mnie nieco zbyt długo.

Usiadłam na wskazanym przez Landry'ego miejscu. Siadając, wygładził ręką krawat, a jego oczy nawet na chwilę nie oderwały się od mojej twarzy. Włączył komputer i założył okulary do czytania na sam czubek nosa.

- Jestem inspektor Landry - powiedział, stukając w klawiaturę. - Spiszę pani zeznania. Rozumiem, że chce pani zgłosić zaginięcie?

- Ta osoba już została zgłoszona, oficerze Landry. To Erin Seabright. Jej siostra rozmawiała z panem parę dni temu. Molly Seabright. Powiedziała mi, że zachował się pan w sposób nieuprzejmy i protekcyjny oraz odmówił jej pomocy.

Kolejny rozdział do książki „Elena Estes radzi, jak zdobywać przyjaciół i porozumiewać się z ludźmi”.

Landry zdjął okulary i znów popatrzył na mnie uważnie.

- Ta dziewczynka? Ona ma dwanaście lat.

- Czy to w jakiś sposób zmienia fakt, że jej siostra zaginęła?

- Nie przyjmujemy wniosków od dzieci. Rozmawiałem przez telefon z jej matką. Nie chciała zgłosić zaginięcia. Twierdzi, że jej córka po prostu wyjechała.

- Może to ona zabiła dziewczynę? - powiedziałam. - A pan nie będzie jej szukał, bo morderczynie nie chce złożyć wniosku?

Jego brwi złączyły się, gdy zmarszczył czoło.

- Ma pani jakieś podstawy, by twierdzić, że matka zabiła dziewczynę?

- Nie. W ogóle tak nie uważam. Chcę tylko zaznaczyć, że odmówił pan zajęcia się sprawą, nie wiedząc, czy tak przypadkiem się nie stało.

- Więc przyszła pani się ze mną pokłócić? - zapytał z niedowierzaniem. - Jest pani umyślowo chora? Czy ma pani coś wspólnego z tymi ludźmi? To pani krewni?

- Nie, Molly jest moją znajomą.

- Dwunastoletnią znajomą?

- Poprosiła mnie o pomoc. Sądzę, że Molly ma wystarczające powody, by sądzić, że jej siostra zaginęła.

- I jakie są te powody?

- Po pierwsze, jej siostra od niedzieli nie dała znaku życia.

Wprowadziłam go następnie w zawiloci historii Dona Jade'a i podzieliłam się z nim informacjami o niedawnej śmierci Stellara. Landry był na mnie wściekły. Zniecierpliwienie aż z niego parowało. Nie podobało mu się, że odwaliłam za niego tę robotę, nawet jeśli nie wierzył, by należało ją wykonać. Gliniarze mają silny instynkt obrony swego terytorium.

- Więc myśli pani, że coś stało się dziewczynie, bo padł jakiś koń? - zapytał, jakby był to najbardziej nieprawdopodobny pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszał.

- Ludzie giną z powodu butów - powiedziałam. - Albo dlatego, że skręcili w nieodpowiednią ulicę. Ten martwy koń jest wart ćwierć miliona dolarów, które wypłaci firma ubezpieczeniowa. Sprzedaż konia, który go zastąpi przyniesie komuś drugie tyle, samej prowizji. Nie wydaje mi się aż tak nieprawdopodobne, że ktoś mógł uciec się do przemocy, by tyle zarobić - a panu?

- Ale trener twierdzi, że dziewczyna po prostu rzuciła pracę i przeniosła się do Ocala.

- Trener, który najprawdopodobniej sam zabił tego konia i teraz zaciera ręce, czekając na swój udział w zyskach z następnej sprzedaży.

- Czy wie pani na pewno, że dziewczyny nie ma w Ocala? - zapytał Landry.

- Nie, ale szanse na to są nikłe.

- Była pani w jej mieszkaniu. Są tam ślady walki?

- Tak, byłam w jej mieszkaniu i nic tam nie znalazłam.

- Wszystko wygląda tak, jakby dziewczyna się stamtąd wyprowadziła? - zasugerował.

- Może i tak. Ale nie będziemy tego pewni, dopóki ktoś jej nie odnajdzie. Mógłbyś zasięgnąć informacji u kolegów w Ocala, Landry.

- Albo ty mogłabyś tam się przejechać i sama poszukać dziewczyny, Estes.

- Albo ty mogłabyś zadzwonić na tamtejszy posterunek, czy coś tam mają!

- I zapytać o co? Czy przyjechała tam dziewczyna i podjęła pracę? Ma osiemnaście lat i może robić, co chce, do cholery!

- Mógłbyś podać im dane jej samochodu.

- Niby czemu? Ktoś go ukradł?

Wstałam. Byłam bardziej wkurzona niż on i cieszyłam się, że nie może dojrzeć tego w mojej twarzy.

- Dobra, Landry. Gównu cię obchodzi, że dziewczyna znikła, masz w dupie to, że może już nie żyć, i nie jesteś zainteresowany milionowym przekrętem ubezpieczeniowym. Powiedz mi, za co ja w takim razie płacę podatki?

- Wyłudzenie ubezpieczenia nie jest wyłudzeniem, dopóki nie stwierdzi tego firma ubezpieczeniowa. A dziewczyna nie zaginęła, jeżeli ma osiemnaście lat i dobrowolnie wyjechała - dopóki jej rodzina nie zgłosi zaginięcia.

- Jej rodzina zgłosiła zaginięcie. Zrobiła to jej siostra. Pomińmy jednak ten fakt. Z tego, co mówisz, wynika, że jeśli dziewczyna nie pozostaje w bliskich relacjach z rodziną, to jedyną osobą, która może zgłosić jej zaginięcie, jest ona sama. To absurd. Pozwolisz, by stało jej się Bóg wie co tylko dlatego, że jej matka jest pustą i bezmyślną kobietą, która w zasadzie cieszy się, że ma córkę z głowy. Chyba rozumiem, o co tu chodzi - powiedziałam z przekąsem. - Wykonanie paru telefonów i zadanie paru pytań mogłoby zabrać ze dwie godziny twego cennego czasu, który jest ci tak potrzebny na poszukiwanie wszystkich skradzionych torebek.

Landry teraz też wstał. Jego twarz zrobiła się czerwona pod opalenizną. Wszyscy w biurze patrzyli na nas. Kątem oka widziałam, że sierżant wyszedł ze swojego gabinetu, by przyjrzeć się kłótni. Gdzieś w tle dzwonił telefon, którego nikt nie odbierał.

- Czy próbujesz mówić mi, jak mam wykonywać swoją pracę, Estes?

- Robiłam kiedyś to, co ty, Landry. To nie takie trudne.

- Doprawdy? Nie widzę, żebyś dalej tu pracowała. Może powiesz nam, dlaczego?

Telefon przestał dzwonić. Cisza, która zapanowała w pomieszczeniu, przypominała ciszę panującą w przestrzeni kosmicznej - była absolutna.

Pół tuzina właściwych odpowiedzi krążyło po mojej głowie. Żadnej z nich nie dałam, bo dla ludzi zebranych w tym pokoju i dla mnie liczyła się tylko jedna. Już tu nie pracowałam, ponieważ spowodowałam śmierć jednego z naszych - a właściwie jednego z ich ludzi. Tej prawdy nic nie przebiję.

W końcu kiwnęłam głową.

- Dobra. Wygrałeś - powiedziałam cicho. - Nagrodę dnia za tani chwyt otrzymuje oficer Landry. Podejrzewałam, że okażesz się dupkiem, i nie zawiodłam się. Ale Erin Seabright zaginęła i ktoś musi się tym zająć. Skoro wypada na mnie - dobrze, niech tak będzie. Ale jeśli dziewczynie stanie się coś złego, ponieważ nie dotrę do niej na czas, a ty, który miałeś taką możliwość, olałeś sprawę, to będziesz ją miał na sumieniu, Landry.

- Jakiś problem? - zapytał sierżant, zbliżając się do nas.

- O tak. Właśnie na niego patrzę - odpowiedział Landry. Podeszedł do mnie i spojrział mi w oczy. - Masz tupet, Estes, żeby pojawiać się w tym budynku.

- Proszę o wybaczenie. Nie zdawałam sobie sprawy, że zgłaszanie przestępstw odbywa się teraz za specjalnym zaproszeniem.

Droga od biurka Landry'ego do drzwi zdawała się wydłużać. Moje nogi były jak z waty. Trzęsły mi się ręce. Gdy zeszałam na dół, wpadłam do damskiej łazienki i zwymiotowałam do kibla.

Przez dłuższą chwilę klęczałam oparta o ścianę, z zamkniętymi oczami i twarzą ukrytą w dłoniach. Spływał po mnie pot, zalewały fale gorąca, z trudem łąpałam oddech. Byłam wyczerpana. Ale żyłam, dosłownie i w przenośni. Byłam w jaskini lwów i wyszłam stamtąd bez szwanku. Powinnam być z siebie dumna.

Zmusiłam się do wysiłku i wstałam. Podeszłam do umywalki, umyłam twarz i przepłukałam usta. Staralam się skupić na mojej malej wygranej. James Landry nie pozbędzie się dziś zbyt łatwo myśli o Erin Seabright - nawet jeśli stanie się tak tylko dlatego, że stawiałam mu czoło. Jeśli awantura, jaką zrobiłam mu w jego gabinecie, przyniesie efekt w postaci choćby jednego telefonu, a ten z kolei zaowocuje choćby najmniejszą poszlaką, to awantura ta okaże się warta mojego wysiłku i emocji.

W drodze do samochodu zastanawiałam się, czy sprawa Erin pomoże mi odnaleźć poczucie sensu życia. Tyle czasu minęło, od kiedy miałam je po raz ostatni, że nie pamiętałam już, jak to jest.

Wsiadłam do bmw i czekałam. Właśnie dochodziłam do wniosku, że Landry musiał wyjść, gdy ja przytulałam się do porcelanowej muszli, kiedy pokazał się w drzwiach. Oczy skrywał za szklami okularów przeciwsłonecznych, przez ramię przerzucił sportową marynarkę. Obserwowałam, jak wsiada do srebrnego pontiaka i wyjeżdża z parkingu. Włączyłam się do ruchu tuż za nim, pozwalając, by rozdzieliły nas dwa samochody. Chciałam dowiedzieć się, z kim mam do czynienia. Czy pojedzie prosto do żony i dzieci? Nie nosił obrączki, nie wiedziałam więc, czy mogę spodziewać się po nim ojcowskiego zainteresowania zaginięciem Erin.

Pojechał prosto do policyjnego baru na Military Trail, co mnie rozczerowało, takie było przewidywalne. Nie weszłam za nim, widząc, że przyjęto by mnie tam

z otwartą wrogością. Było to miejsce, gdzie funkcjonariusze wszystkich rang i specjalności narzekali na przełożonych, cywilów, byle partnerki lub partnerów. Landry z pewnością będzie narzekał na mnie. I to było w porządku. Nie obchodziło mnie, co myśli na mój temat James Landry... tak długo jak myślenie o mnie przypominało mu o Erin Seabright.

VIII

Inaczej niż mnie, Seana wciąż bawiło wprawianie swej szacownej rodziny w zażenowanie. W tym celu od czasu do czasu pokazywał się na balach charytatywnych, w sezonie zimowym stanowiących sens życia lokalnej śmietanki towarzyskiej. Zawsze są one przesadnie wystawne, a koszt zorganizowania balu zwykle dorównuje sumie, którą udaje się zebrać w jego trakcie na różne cele dobroczynne. Ilość pieniędzy, jaka wpływa później na konto organizacji charytatywnej, może okazać się szokująco niska. Darczyńcy jednak świetnie się przy okazji bawią, jeśli oczywiście komuś w smak tego typu rozrywka - wytworne kreacje, droga biżuteria, najnowsze osiągnięcia chirurgii plastycznej, pozy i uszczypliwe uwagi nieprzyzwoicie bogatych ludzi. Choć wychowałam się w tym świecie, nigdy nie miałam do niego cierpliwości.

Znalazłam Seana w jego garderobie - obszerniejszej niż sypialnie większości znanych mi ludzi - we fraku od Armaniego. Właśnie wiązał muszkę.

- Jaka jest choroba dnia? - zapytałam.

- Zaczyna się na p.

- Pryszcze.

- Parkinson. Bardzo ostatnio popularny w wyższych sferach. Będzie dziś więcej młodych twarzy niż przy innych chorobach.

Sean uporał się w końcu z muszką i teraz podziwiał swoje odbicie w trój-skrzydłowym lustrze.

Oparłam się o marmurowy blat toaletki i obserwowałam ten pokaz próżności.

- Wkrótce zabraknie wam chorób do świętowania.
 - Ostrzegłem już matkę, że mam w planie zorganizować bal na cel leczenia opryszczki narządów rodnych.
 - Połowa populacji Palm Beach mogłaby na tym skorzystać.
 - A druga połowa złapać choróbsko na prywatce po balu. Idziesz ze mną?
 - Żeby dostać opryszczki?
 - Nie... Na dzisiejszy bal, kopciuszku. Z pewnością będą tam twoi rodzice.
- Dwa razy większy skandal - dwa razy lepsza zabawa.

Wizja spotkania z matką i ojcem była jeszcze mniej pociągająca niż pomysł odwiedzin w biurze szeryfa. Spotkanie z Landrym mogło przynajmniej wywołać jakiś pozytywny efekt.

Moja matka odwiedziła mnie parę razy, gdy leżałam w szpitalu - niewątpliwy znak poczucia obowiązku macierzyńskiego u kobiety całkowicie pozbawionej matczyńskich uczuć. Powód, dla którego mnie adoptowała, nie miał nic wspólnego z miłością do dzieci. Byłam koniecznym dodatkiem do życia, jakie prowadziła - jak torebka czy mały piesek.

Byłam jak piesek ze schroniska, gdyż ojciec kwestionował moją przynależność do rodziny i prawo do dziedziczenia za każdym razem, gdy zachowałam się w sposób, który on uznawał za nieodpowiedni - a zdarzało się to nader często. Nie mógł znieść mojego wtargnięcia w jego życie. Swym istnieniem przypominałam mu, że nie był w stanie spłodzić własnych dzieci. Pogarda, jaką wywoływały we mnie jego uczucia, tylko podsyciała ogień mojego buntu.

Nie rozmawiałam z ojcem od ponad dziesięciu lat. Wyrzekł się mnie, gdy porzuciłam studia, by zostać zwykłą policjantką. Uznał to za osobisty afront. Słusznie. Ale prawdą było także, że dzięki mojej decyzji zdobył zgrabną wymówkę, by wyłgać się od odpowiedzialności za związek ze swoim dzieckiem. Związek, który miał podobno przetrwać wszystko. I on, i ja tak to zostawiliśmy.

- Och, tak mi przykro! - Szeroko rozłożyłam ręce. - Chyba nie jestem odpowiednio ubrana.

Sean krytycznym okiem przyjrzał się starym džinsom i czarnemu golfowi.

- Co się stało z dziewczyną z żurnala, którą widziałem tu dzisiejszego ranka?

- Ma za sobą długi dzień spędzony na wkurzaniu ludzi.
- I co? Opłacało się?
- Jeśli ponaciskasz wystarczająco dużo przyszczy, jeden z nich z pewnością pęknie.
- Przemawia przez ciebie mądrość ludowa.
- Był tu dziś Van Zandt?
- Przewrócił oczami.
- Kochanie, ludzie pokroju Van Zandt są powodem, dla którego mieszkam za murem. Jeśli był, nic mi o tym nie wiadomo.
- Pewnie jest zbyt zajęty namawianiem Treya Hughesa, by wydał u niego parę milionów dolarów na konie.
- Trey będzie ich potrzebował. Widziałaś stajnię, którą stawia? Wellingtonski Taj Mahal.
- Coś o tym słyszałam.
- Pięćdziesiąt boksów o zdobionych wrotach, na miłość boską! Cztery apartamenty dla stajennych na górze. Kryty czworobok. Wielki parcours.
- Gdzie mieści się to cudo?
- Dziesięć akrów najdroższej ziemi na tych nowych terenach obok Grand Prix Village, w Fairfields.
- Na dźwięk tej nazwy doznałam szoku.
- Fairfields?
- Tak - odparł, poprawiając mankiety i ponownie przyglądając się sobie w lustrze. - To będzie wielkie, jarmarczne paskudztwo, które z właściciela uczyni przedmiot zawiści wszystkich dżokejów i skoczków na Wschodnim Wybrzeżu. Muszę lecieć, kochanie.
- Zaczekaj. Miejsce, o którym mówisz, będzie kosztować tyle, co cała Ziemia.
- Plus Słońce i Księżyc.
- Nie wierzę, że Trey wyciąga aż tyle z funduszu powierniczego.
- Nie musi. Matka zostawiła mu prawie całą posiadłość Hughesów do dyspozycji.
- Sallie Hughes nie żyje?
- Zmarła w zeszłym roku. Spadła ze schodów we własnym domu i rozbiła głowę. Tak w każdym razie głosi plotka. Elle, naprawdę powinnaś bardziej interesować się starymi znajomymi - pogroził mi palcem, pocałował w policzek i wyszedł.

Fairfields. Przecież Bruce Seabright tego ranka miał w planie sfinalizować transakcję sprzedaży ziemi właśnie w Fairfields.

Nie lubię zbiegów okoliczności, nie wierzę w nie. W czasie studiów poszłam kiedyś na wykład znanego guru filozofii New Age, który dowodził, że każdy element świata na poziomie molekularnym jest czystą energią. Uważam, że można do tej tezy sprowadzić wszystkie myśli i uczucia i całe nasze życie uznać za energię - jej poszukiwanie, tracenie i pozyskiwanie. Gdy spotykamy innych ludzi, jesteśmy w stanie na nich wpływać dzięki energii naszych intencji i pragnień, które są jak naturalna siła, zdolna zmienić kształt rzeczywistości. Zatem coś takiego jak zbieg okoliczności nie istnieje, nic w życiu nie jest przypadkowe. Choć lepiej chyba w nic nie wierzyć, niż żyć z takim przekonaniem.

Kiedy przyglądałam się ludziom obecnym w życiu Erin, musiałam założyć, że cokolwiek działo się z nią teraz, nie było to nic dobrego. Matka wydawała się nie mieć pojęcia, z kim pracuje jej córka, i byłam w stanie uwierzyć, że mówi prawdę. Kryształ nie przejęłaby się nawet gdyby Erin pracowała dla samego diabła, tak długo, jak tylko nie miało to wpływu na jej mały, poukładany światek. Prawdopodobnie wolała zapomnieć, że Erin w ogóle jest jej córką. Jednak co z Bruce'em Seabrightem? Czy znał Treya Hughesa? Jeśli tak, to czy znał także Jade'a? A jeśli znał ich obu - jaki to miało wpływ na życie Erin?

Przypuścmy, że Bruce chciał pozbyć się Erin z domu ze względu na jej związek z Chadem. Jeśli znał Hughesa - a przez niego miał dojścia do Jade'a - mógł załatwić jej pracę w stajni. Ważniejsze wydało mi się jednak, czy Bruce brał pod uwagę, co stanie się z Erin po tym, jak opuści jego dom. Jeśli tak, to czy jego troska była dla Erin rzeczą pozytywną, czy negatywną? A jeżeli Bruce chciał pozbyć się jej na dobre?

Tego typu myśli wypełniły całe moje popołudnie. Chodziłam po domu, gryząc resztki paznokci. Z głośników sączył się łagodny jazz - nastrojowy podkład do ponurych scenariuszy, które jeden za drugim pojawiały się w mojej głowie. Wykreśliłam numer komórki Erin. Automat po drugiej stronie poinformował mnie, że w jej skrzynce brak miejsca na nowe wiadomości. Gdyby po prostu przeniosła się do Ocala, normalnie odbierałaby telefony. I zadzwoniłaby do Molly.

Nie chciałam tracić całego dnia na jechanie do Ocala - mój instynkt podpowiadała mi, że nic tam nie znajdę. Postanowiłam zadzwonić nazajutrz na tamtejszy

posterunek, poinformować oficera dyżurnego o moich podejrzeniach i bezczelnie poinstruować go co do koniecznych działań. Jeśli Erin faktycznie pracowała w centrum pokazowym w Ocala, wiedziałabym o tym w ciągu najbliższych dwóch dni. Zażądałabym, by oficer pojechał tam i wezwał ją z biura na terenie centrum pod pretekstem ważnego telefonu. Gdyby ktoś zgłosił się na wezwanie, oficer mógłby od razu sprawdzić, czy to Erin. Prosty plan. Landry mógł zrobić to samo w jeszcze prostszy sposób, drogą służbową.

Dupek. Miałam nadzieję, że przewraca się w łóżku, nie mogąc zasnąć.

Było już po północy. Nie miało sensu czekać na sen. Nie przespałam całej nocy od lat, częściowo z powodu okropnego stanu psychicznego, częściowo zaś za sprawą niewielkiego, lecz uciążliwego bólu, który towarzyszył mi nieprzerwanie od czasu wypadku. Nie zastanawiałam się, jaki wpływ brak snu wywiera na moje ciało i umysł. Mało mnie to obchodziło. Przyzwyczyłam się. Przynajmniej dzisiejszej nocy nie roztrząsałam dawnych błędów i nie zastanawiałam się, jak powinnam za nie zapłacić.

Porwałam kurtkę i wybiegłam z domu. Noc była chłodna, od strony Everglades nadciągała burza. Daleko na zachodnim niebie błyskawice rozświetlały pasmo ciężkich chmur.

Przejechałam przez Pierson, obok głównego wjazdu na teren centrum jeździeckiego, minęłam ekstrawaganckie stajnie w Grand Prix Village, skręciłam i znalazłam się przed kamienną bramą Fairfields. Tablica z planem terenu pokazywała osiem działek wielkości od pięciu do dziesięciu akrów. Przy trzech parcelach widniał znaczek „sprzedane”. Reklama obiecywała niepowtarzalne piękno terenów jeździeckich i podawała numer telefonu do Gryphon Development.

Zbudowano już kamienne kolumny i postawiono budkę strażniczą, żelazna brama nadal jednak czekała na zamontowanie. Wjechałam na kręty podjazd, światła mojego samochodu prześlizgiwały się po trawie i krzakach. Na dwóch rozpoczętych budowach dla bezpieczeństwa paliły się jasne światła. Nawet w środku nocy nie miałam problemu ze stwierdzeniem, która z posiadłości należy do Treya Hughesa.

Budynek stajni już wzniesiono. Na tle nieba jego sylwetka przypominała duży supermarket. Ogromna, prostokątna konstrukcja stała równolegle do drogi, dominując nad otoczeniem. Od siatkowego płotu otaczającego teren

budowy dzieliło ją może trzydzieści metrów. Brama wjazdowa była zamknięta na łańcuch i kłódkę.

Podjechałam pod samo ogrodzenie i próbowałam dostrzec jak najwięcej szczegółów. W świetle przednich reflektorów widziałam ciężkie maszyny do robót ziemnych, rozkopany grunt i hałdy żwiru. Za stacją majaczyła przyczepa szefa budowy. Z przodu stał duży billboard reklamujący firmę budowlaną, z dumą ogłaszającą swój udział w tworzeniu Farmy pod Szczęśliwym Psem.

Mogłam ocenić wartość tej inwestycji jedynie w przybliżeniu. Dziesięć akrów ziemi w tak niewielkiej odległości od centrum jezdzieckiego samo w sobie było warte fortunę. Koszt budowy tego, co planował Hughes sięgał zapewne dwóch albo i trzech milionów. Te wszystkie pieniądze szły jedynie na zabudowania i obiekty dla koni. Tak jak w Grand Prix Village, w Fairfields nie miały powstać żadne większe domy mieszkalne. Właściciele tych terenów posiadali już luksusowe rezydencje w Polo Club, na wyspie lub w obu tych miejscach. Hughesowie szcycili się okazałą posiadłością na Blossom Way, tuż nad morzem, niedaleko ekskluzywnego kompleksu basenowego Palm Beach Bath oraz klubu tenisowego. Od kiedy pamiętam, Trey miał też własną rezydencję w Polo Club. Teraz wszystko należało do niego, za sprawą jednego niefortunnego kroku Sallie Hughes.

Doprawdy, szczęśliwy pies. Jeden mały wypadek i ma z głowy matkę, o której zwykł mało przychylnie się wyrażać, a także zyskuje wolny dostęp do nieprzyzwoicie wielkiej kasy. Ta myśl nie dawała mi spokoju, jak wąż czający się w mroku.

Po rozmowie z Seanem szukałam w Internecie artykułów na temat śmierci Sallie Hughes, ale nie znalazłam nic prócz nekrologu - żadnego sprawozdania z dochodzenia.

Lecz, oczywiście, nie mogło go być. Cóż za niestosowny pomysł: pozwolić, by prasa zajmowała się tego typu brudnymi sprawami, jak z pewnością powiedziałyby moja matka. Gazety na wyspie miały zamieszczać informacje towarzyskie i ogłoszenia, a nie podejmować tematy śmierci i policyjnych dochodzeń. Pisma, które czytała moja matka, były drukowane na błyszczącym papierze, farbą, która nie brudziła rąk - czyste pod każdym względem.

„The Post”, wydawany w West Palm Beach - tam, gdzie mieszkali prości ludzie - informował, że Sallie Hughes zmarła w swoim domu w wieku osiemdziesięciu dwóch lat.

Jakkolwiek do tego doszło, Trey był teraz bardzo tłustą kurą znoszącą złote jajka. Z pewnością znalazłoby się wielu, którzy pomogliby mu pozbyć się konia, wykazując przy tym więcej zapału niż talentu. I nie miało znaczenia, jak dużo pieniędzy Trey już miał - kolejne ćwierć miliona zawsze się przyda.

Don Jade był z pewnością na samym szczycie listy gorliwych pomocników Treya. Ten układ bardzo mu się opłacał - praca w nowej stajni Hughesa przywróciłaby mu dobre imię i pozwoliła przyciągnąć jeszcze więcej klientów z grubymi portfelami.

Zastanowiłam się, co mogło oznaczać napięcie, jakie zauważyłam pomiędzy Hughesem i Jade'em dzisiejszego ranka. Treya stać teraz było na najlepszych trenerów, dlaczego więc pozostawał przy Donie Jadzie? Jego imię kojarzyło się przecież raczej ze skandalem niż sukcesami, miał opinię człowieka, któremu każdy przekręt ujdzie na sucho...

Don Jade był w uprzywilejowanej pozycji, ciekawe tylko, jak sobie na nią zasłużył. Z pewnością czyniło to z niego obiekt zazdrości wielu zgorzkniałych nieudaczników.

Do głowy od razu przyszedł mi Michael Berne. Rozpoznałam jego imię bez problemu, gdy Van Zandt wspomniał je dziś rano. Wzmianka o Berne pojawiła się w notatce o śmierci Stellara, którą znalazłam w internetowym magazynie „Horses Daily”. Jeździł na Stellarze bez większych sukcesów, dopóki koń nie przeszedł pod opiekę Jade'a. Razem z koniem Jade'owi dostał się jego właściciel-milioner i kariera trenera w owym ósmym cudzie świata, jaki stawiał Hughes. Nic dziwnego, że Berne się wkurzył. Gdy Stellar opuścił jego stajnię, nie stracił jakiegś marnej wypłaty, ale czek na grube miliony.

Berne nie był jedynie rywalem Jade'a, jak nazwał go Van Zandt. Był jego wrogiem.

A wróg mógł się okazać cennym źródłem informacji.

Pojechałam z powrotem do centrum jeździeckiego. Chciałam tam trochę powęszyć bez obawy, że zaraz spotkam kogoś z paczki Jade'a. I chciałam odszukać stajnię Berne'a. Gdyby udało mi się znaleźć na drzwiach numer jego telefonu, mogłabym zadzwonić i umówić się na spotkanie z dala od miejsc, gdzie mógłby nas nakryć ktoś znajomy.

Z budki przy bramie wyszedł strażnik, znudzony i przybity.

- Jest bardzo późno - powiedział z wyraźnym obcym akcentem.

Westchnęłam.

- Niech mi pan nawet nie mówi. Mamy tu konia z kolką, a ja wyciągnęłam najkrótszą zapalkę.

Popatrzył na mnie krzywo, podejrzewając, że mówię coś obraźliwego.

- Nasz koń jest chory - wyjaśniłam. - A ja mam dziś nocny dyżur, tak jak pan.

- Aha. Dobrze - pokiwał głową. - Rozumiem. Bardzo mi przykro. Powodzenia!

- Dziękuję.

Nie uznał za konieczne pytać mnie, jak mam na imię, w której stajni mieszka mój chory koń-widmo. Miałam bilet parkingowy i zgrabną historyjkę. To wystarczyło.

Zaparkowałam daleko, przy łąkach, żeby nie zwracać uwagi na samochód. Z latarką w ręce i pistoletem za paskiem ruszyłam między namiotami stajennymi, wypatrując nazwiska Berne'a i licząc, że nie wpadnę na czyjegoś stajennego lub na nocnego strażnika.

Burza była coraz bliżej. Wiatr się wzmaczał, szarpiąc i nadymając dachy namiotów, płosząc konie. Trzymałam latarkę nisko, kierując ją tylko na tablice stajni i umieszczone na nich numery alarmowe. Pomimo to obudziłam parę zwierząt i teraz kręciły się nerwowo w malej przestrzeni boksów, pokazując białka przerażonych oczu. Kilka innych chrapnęło w nadziei, że dam im jakiś przysmak.

Zgasiłam latarkę w drodze do następnej grupy namiotów. Gdyby los mi dopisał, znalazłabym stajnię Berne'a nieopodal namiotu Jade'a. Ich sprzeczka miała miejsce koło toru szkoleniowego położonego najbliżej stajni Jade'a. Może trenował tam też Berne. Jeśli zaś miałam pecha, Berne pokonał kawał drogi specjalnie po to, by na niego nawrzeszczyć, i będę musiała przejść jeszcze ze czterdzieści stajni, zanim znajdę tę właściwą.

Podmuch zachodniego wiatru zakołysał drzewami. Po niebie przetoczył się grzmot. Dałam nura do namiotu numer dwadzieścia dwa i zaczęłam sprawdzać imiona.

Po przejściu mniej więcej jednej czwartej pierwszego korytarza przystanęłam i nasłuchiwałam. Te same odgłosy, co w pozostałych namiotach: stąpanie koni,

ciche rżenia, uderzenia kopyt o barierki okalające boksy. Tylko tym razem zamieszanie nie było wywołane moją obecnością - hałasy rozlegały się kilka rzędów przede mną. Skrzypnięcie i zgrzyt otwieranych drzwi boksu. Szuranie kopyt w głębokiej ściółce. Jedno ze zwierząt zarżało głośno. Koń w boksie tuż przede mną rzucił się na drzwi i odpowiedział mu nerwowo.

Zapaliłam latarkę i w jej świetle ujrzałam gnidosza z wysoko postawionymi uszami i szeroko otwartymi oczami wpatrzonymi w coś za mną, po drugiej stronie korytarza. Koń zarżał ponownie i obrócił się wokół własnej osi. Zwierzę w następnym boksie poszło w jego ślady. Zgasiłam światło i przekradłam się do tylnej ściany namiotu, trzymając latarkę w dłoni niczym pałkę - ważyła półtora kilo. W czasie służby użyłam jej kiedyś przeciwko stutrzydziestokilogramowemu, naćpanemu motocykliście, który wskutek uderzenia wylądował w szpitalu z pękniętą czaszką.

Nie wyciągnęłam pistoletu. Przyszłam tu obserwować, nie walczyć. Po glocka zamierzałam sięgnąć tylko w ostateczności.

Wiatr zawył i nadął wierzchołek namiotu, który wyglądał jak mający zaraz odlecieć balon. Grube sznury trzymające stelaż jęknęły pod napięciem. Prześliźnęłam się za tylnymi boksami, wciąż blisko ściany, za którą ziemia osuwała się ostro w dół, w kierunku wypalonego, oczyszczonego gruntu przygotowanego pod kolejne namioty i rozprężalnie. Teren przypominał krajobraz księżycowy. W powietrzu unosił się zapach popiołu.

Gdy zaczęłam ostrożnie przesuwać się w kierunku następnego rzędu stanowisk, usłyszałam skrzypnięcie otwieranych drzwi i ostry, wyraźny dźwięk, którego nie mogłam skojarzyć, dopóki nie stało się to, co się stało.

Niczym zjawa z krainy cieni wielki, szary koń zaczął pędzić wprost na mnie. Już prawie dosięgnął mnie kopytami, gdy zmusiłam się do reakcji. Próbowałam wprawić stopy w ruch, usunąć się z pola rażenia. Prawą nogą zahaczyłam jednak o słupek namiotu, straciłam równowagę i z impetem upadłam na ziemię. Zakryłam głowę i zwinęłam się w kłębek, a każdy cal mojego ciała z trwogą oczekiwał strasznego uderzenia stalowych podków i półtonowego ciężaru zgniatającego kości. Ale siwek przeskoczył nade mną i poszybował ponad krawędzią ogrodzenia. Podniosłam się na kolana i patrzyłam z przerażeniem, jak

potyka się o wyboistą krawędź wykopu, jak uginają się pod nim przednie nogi, podczas gdy tylne nadal pędzą w biegu. Kwiknął ze strachu, rzucając się w poszukiwaniu oparcia, w końcu podniósł się i pobiegł w noc.

Stając na nogi, spojrzałam w głąb namiotu, skąd pędził kolejny koń. Ciemny, ze strzałką na głowie, gnat za siwkim. Odskokczyłam na bok, gdy przebiegał koło mnie.

Uderzenie w zad.

To ten dźwięk słyszałam wcześniej! Kłaśnięcie otwartej dłoni o zad konia.

Wbiegłam do namiotu. W całej stajni panował teraz chaos, rżenie koni mieszało się z uderzeniami ciała o ściany boksów. Delikatne przegrody z metalowych rurek i płótna trzęsły się, pobrzękując. Cały namiot kołysał się pod naporem wiatru. Krzyknęłam, mając nadzieję, że sprawca wystraszy się i zacznie uciekać.

Kolejny koń wypadł z otwartego boksu, zobaczył mnie, parsknął i pognął na zewnątrz, wgniatając mnie w drzwi. W chwilę później te same drzwi otworzyły się gwałtownie, popychając mnie tak mocno, że upadłam na kolana. Podczołgałam się do przodu, wyciągając ręce do drzwi po drugiej stronie korytarza, żeby się podnieść. Z boksu za mną wybiegł koń, wierzgając niczym na rodeo, rżąc dziko i wyrzucając kopyta; wyraźnie mnie atakował. Poczulałam za uchem powiew powietrza, gdy końskie kopyto chybiło celu zaledwie o centymetr.

Zanim dotarłam do drzwi, moją głowę ogarnęła cuchnąca, duszna ciemność. Ktoś narzucił mi derkę na głowę. Próbowałam ją ściągnąć, ale nie mogłam podnieść ramion. Zabrakło mi powietrza. Chciałam uwolnić się i stanąć do walki z przeciwnikiem, który potrzasał mną gwałtownie.

Zakreśliło mi się w głowie, zachwiałam się i osunęłam. Potem poczułam mocny cios w plecy, który sprawił, że zobaczyłam gwiazdy. Po trzecim uderzeniu upadłam na twarz i leżałam bez ruchu. Mój oddech przeszedł w płytkie rżenie. Nie słyszałam nic prócz echa w głowie i rozważałam, czy zdążę się podnieść, zanim następny koń przebiegnie i rozgniecie mnie na miazgę. Staralam się podźwignąć, lecz nie mogłam. Sygnał wysyłany z mózgu gubił się, zanim docierał do reszty ciała. Poczulałam gwałtowny ból w plecach, zaczęłam się krztusić i kaszleć.

Potrzebowałam powietrza, lecz nie byłam w stanie wziąć głębszego oddechu. Minęła chwila. Nie stratował mnie żaden koń. Nie przeszły mnie widły. Domyśliłam się, że mój przeciwnik uciekł, co stawiało mnie w bardzo złej sytuacji - wszędzie w koło biegały konie, więc gdyby ktoś przyszedł i znalazł mnie tutaj...

Ponownie spróbowałam zebrać siły i udało mi się ściągnąć derkę z głowy. Łączywie wciągając powietrze i walcząc ze słabością złapałam się drzwi boksu i stanęłam na nogi. Miałam zawroty głowy, a ziemia przede mną falowała. Z trudem doszłam na koniec namiotu i znów upadłam.

Latarka leżała tam, gdzie ją upuściłam, gdy uderzył mnie pierwszy koń. Jej światło żółtym promieniem omiało ciemność. Podniosłam ją, chwyciłam się liny i wstałam.

Konie biegały po rozkopanej ziemi, niektóre gonili między namiotami. Wiatr nasilił się i przyniósł pierwsze krople deszczu. W oddali usłyszałam krzyki. Najwyższy czas, by stąd spadać.

Weszłam do namiotu i zaświeciłam w głąb najbliższego otwartego boksu: „W razie potrzeby proszę dzwonić do Michaela Berne’a...”.

- Stać! Nie ruszać się. Rzuć latarkę.

Głos dochodził z tyłu, razem ze światłem, które oblało moje ramiona. Nie wypuściłam latarki, ale odsunęłam rękę od tułowia.

- Usłyszałam, że coś się dzieje - powiedziałam, obracając się lekko. - Ktoś tu był i pootwierał drzwi boksów.

- Tak, pewnie - głos brzmiał sarkastycznie. - Ciekawe kto. Proszę rzucić latarkę.

- To nie byłam ja - znów trochę się obróciłam. - Próbowałam go powstrzymać. Na dowód mogę pokazać niezłe siniaki.

- Nie będę powtarzał. Proszę rzucić latarkę.

- Chcę zobaczyć, kim pan jest. Skąd mam wiedzieć, że nie jest pan tym, kto to zrobił?

- Jestem z ochrony.

Nie uspokoilo mnie to wyjaśnienie. Ochrona na terenach pokazowych była w rękach prywatnej firmy, która przetarg na tę robotę wygrała w karty. Jej pracownicy z pewnością mieli za sobą szkolenie równie dobre jak ochrona lotnisk, która wypuszcza na pokład samolotu wariatów z nożami i pistoletami. Z tego, co

wiedziałam, połowa z tutejszych ochroniarzy to byli skazańcy. Odwrócona plecami, nie wiedziałam nawet, czy ten za mną nosi mundur.

- Muszę pana zobaczyć.

Westchnął niecierpliwie. Zanim zdążył powiedzieć „nie”, odwróciłam się do niego i zaświeciłam latarką prosto w twarz.

Po chwili zauważyłam, że ma mundur. Jednak najpierw zobaczyłam jego pistolet.

- Czy to część umundurowania? - zapytałam.

- Tak, mojego umundurowania - wykonał ruch pistoletem. - Wystarczy tych pytań. Proszę wyłączyć latarkę i mi ją podać. Idziemy.

Zrobiłam, co mi kazał. Przede wszystkim musiałam wydostać się na otwartą przestrzeń, gdzie spodziewałam się zobaczyć więcej ludzi. Porzuciłam pomysł, by wyrwać się i uciec. Nie chciałam, żeby poszukiwano mnie listem gończym, a moja podobizna znalazła się na pierwszej stronie jutrzejszych gazet. Nie chciałam też dostać strzału w plecy. Zgoda na współpracę mogła pozwolić mi zdobyć dodatkowe informacje.

Wyszliśmy z namiotu. Zewsząd dobiegały krzyki ludzi i rzenie koni. Słysząc było uderzenia kopyt o ubitą ziemię. Ochroniarz zaprowadził mnie do wózka golfowego zaparkowanego obok namiotu numer dziewiętnaście - stajni Jade'a.

Zastanawiałam się, od jak dawna wózek tam stoi. Ciekawe, ile kosztowałoby namówienie ochroniarza do otwarcia paru boksów. Praca na nocnej zmianie za grosze przy pilnowaniu koni - z których każdy jest wart więcej niż zarobki przeciętnego człowieka w ciągu całego życia - może zmienić pojmowanie dobra i zła.

Zajęłam miejsce od strony pasażera, na ławeczce mokrej i śliskiej od coraz silniejszego deszczu. Strażnik prawą ręką zapalił i poprowadził wózek, z drugiej nie wypuszczając pistoletu. Zmieniłam pozycję, odwróciłam się twarzą w jego stronę, a ręką ukradkiem sięgnęłam do tyłu i dotknęłam glocka, który wciąż tkwił za spodniami, przysłonięty kurtką.

- Dokąd jedziemy?

Nie odpowiedział. Jego przymocowane do paska walkie-talkie trzeszczało - inni ochroniarze wymieniali informacje o zbiegłych koniach. Nie włączył się do rozmowy, by zawiadomić innych o złapaniu podejrzanego, co trochę mnie zaniepokoiło. Ruszyliśmy w kierunku głównych zabudowań terenów pokazowych,

które o drugiej nad ranem przypominały miasto duchów.

- Będę chciała porozmawiać z pańskim przełożonym - powiedziałam władczo. - Ktoś powinien także zadzwonić do inspektora Jamesa Landry'ego z biura szeryfa.

To zwróciło jego uwagę.

- Dlaczego?

Tym razem to ja pozwoliłam sobie na milczenie. Niech się zastanawia. Przejeżdżaliśmy obok strażników i innych ludzi biorących udział w zabawie w łapanie sześciu narwanych, pijanych wolnościami koni.

Jechaliśmy przez labirynt namiotów, potem wzdłuż pozamykanych sklepików. Lato teraz jak z cebra. Coraz bardziej oddalaliśmy od źródła pomocy. Serce zaczęło mi bić szybciej. Adrenalina we krwi działała jak narkotyk, a potencjalne niebezpieczeństwo upajało mnie i podniecało. Spojrzałam na ochroniarza i pomyślałam, co by zrobił, gdyby zdawał sobie z tego sprawę.

Zatrzymał wózek pod ścianą jednej z dużych przyczep, w których mieściły się biura pokazów. Weszliśmy po metalowych schodkach i strażnik popchnął mnie lekko do środka. Za stalowym biurkiem stał zwalisty mężczyzna i przysłuchiwał się dźwiękom płynącym z krótkofalówki o rozmiarach cegły. Miał szyję jak stara ropucha - fałd skóry większy od jego głowy wylewał mu się zza kołnierzyka. Tak jak mój strażnik, on również miał na sobie niebieski uniform ochroniarski, ozdobiony na piersi paroma gwiazdkami więcej. Domyśliłam się, że było to wyróżnienie za chwalebne siedzenie na tyłku i dyrygowanie wszystkimi naokoło.

- To ona - powiedział mój strażnik. - Złapałam ją, gdy otwierała drzwi bok-sów.

Popatrzyłam mu prosto w oczy i zwróciłam się do niego na tyle dobitnie, by uczynić moje słowa całkowicie jednoznacznymi:

- Ma pan jeszcze jakieś tego typu niespodzianki w zanadrzu?

Schował broń. Widziałam, jak dociera do niego, że dał plamę, pokazując mi pistolet. Miałam teraz na niego haka. Nie wolno mu było nosić broni na służbie. Pewnie nawet nie miał na nią pozwolenia. Jeśli się nie myliłam, mogłam zgłosić ten fakt policji. Istniało duże prawdopodobieństwo, że co najmniej straci pracę. Wyraz jego twarzy zdradzał, że myśli o tym samym.

Gdyby był mądrzejszy, nie musiałby w mundurze najemnego stróża węszyć tu po nocach za psie pieniądze.

- Kiedy mnie pan złapał, stałam w stajni z latarką w ręce - sprostowałam. - Staralam się pomóc, tak jak pan.

- Ma pani coś przeciwko Michaelowi Berne'owi? - zapytał ropuch. Przeciągał samogłoski w sposób typowy dla biednych mieszkańców Florydy z pogranicza Sunshine State i głębokiego południa.

- Nigdy nie spotkałam Michaela Berne'a, choć dziś rano słyszałam, jak głośno i bardzo ostro klócił się z Donem Jade'em. Może powinien pan sprawdzić, gdzie jest teraz Jade.

Starszy ochroniarz przyjrzał mi się uważnie.

- Berne właśnie tu jedzie. Razem z dwoma policjantami. Proszę usiąść, pani...?

Nie odpowiedziałam i nie usiadłam, choć plecy bolały mnie niemiłosiernie od razów, które dostałam przed chwilą.

- Będzie musiał pan powiedzieć policjantom, by potraktowali tamtą stajnię jak miejsce zbrodni - powiedziałam. - Osoba, której będą szukać, nie tylko uwolniła konie, ale również pobiła mnie, gdy starałam się jej przeszkodzić. Policja pewnie znajdzie tam widły, może miotłę - coś z długim trzonkiem, na czym mogą być odciski palców. A ja z pewnością wniosę skargę. Chcę natychmiast pojechać na obdukcję, zrobić zdjęcia ran. Prawdopodobnie pozwę was do sądu. Co to za miejsce, gdzie nie są bezpieczni ani ludzie, ani zwierzęta!

Ropuch popatrzył na mnie tak, jakby pierwszy raz widział kogoś mego pokroju.

- Kim pani jest?

- Nie mam zamiaru się przedstawiać.

- Potrzebuję pani imienia do raportu.

- No to macie problem, bo ja wam go nie podam - powiedziałam. - Nic wam nie muszę mówić. Nie jest pan oficerem sądowym ani rządowym, nie ma pan więc prawa żądać ode mnie jakichkolwiek informacji.

- Policja już tu jedzie - w jego głosie zabrzmiała pogrożka.

- To świetnie. Chętnie się z nimi zabiorę, choć nie mają podstaw, by mnie aresztować. Przebywanie w stajni nie jest zbrodnią, o ile mi wiadomo.

- Bud mówi, że wypuściła pani tamte konie.

- Myślę, że powinien pan zapytać Buda raz jeszcze, co dokładnie widział.

Bud wyglądał, jakby go zatkało. Nie był w stanie wykrztusić kłamstwa, którym chciał się posłużyć, by chronić własny tyłek lub żeby przypisać sobie odrobinę chwały i zyskać w oczach szefa.

- Ona tam była.

- Pan także - zauważyłam. - Skąd mam wiedzieć, że to nie pan pootwieriał te boksy?

- To bez sensu - wtrącił ropuch. - Po co Bud miałby robić coś takiego?

- Mogę tylko zgadywać. Dla pieniędzy. Ze złośliwości. Może z powodu choroby psychicznej?

- A może wszystkie te motywy można przypisać pani?

- Nie w tym przypadku.

- Trzyma pani tu jakieś konie, pani...?

- Dość. Skończyłam rozmowę z panami - oznajmiłam. - Mogę zadzwonić po swojego adwokata?

Zerknął na mnie zmrużonymi oczami.

- Nie!

Siedziałam wyprostowana na krześle obok biurka. Krótkofalówka grubasa zaskrzeczała i głos strażnika poinformował, że zastępcy szeryfa właśnie zatrzymali się przy bramie. Miałam szczęście. Nie chciałam spotkać Michaela Berne'a w takich okolicznościach. Ropuch poinstruował strażnika, by przysłał ich do biura ochrony.

- Wypuszczanie koni z boksów to poważne przestępstwo - zagadał do mnie. - Może za to pani pójść siedzieć.

- Nie, nie mogę, bo to nie ja je wypuściłam. A ten, kto to zrobił, może być oskarżony najwyżej o wyrządzenie złośliwej szkody, czyli wykroczenie, za które grozi kara grzywny oraz praca społeczna. To nic w porównaniu z - powiedzmy - nielegalnym posiadaniem broni - spojrzałam wymownie na wkurzonego Buda.

- Mówiła pani, że z nami nie gada - powiedział.

Przyglądziłam mokre włosy i wstałam, gdy na zewnątrz usłyszałam trzaśnięcie drzwiczek samochodu. Do środka wszedł policjant. Wyglądał jakby przed chwilą wyrwano go z głębokiego snu.

- O co chodzi, Marsh? Ktoś wypuścił jakieś szkapy? To ona?
- Była w pobliżu, panie Saunders - powiedział ropuch. - Może coś wiedzieć o przestępstwie.

Policjant popatrzył na mnie bez śladu zainteresowania.

- Wie coś pani?

- Będę rozmawiać tylko z inspektorem Landrym - odrzekłam.

- A jak się pani nazywa?

Podeszłam do drzwi, po drodze rzucając okiem na jego identyfikator.

- Porozmawiamy w samochodzie, panie zastępco szeryfa. Jedźmy już.

Popatrzył na ropucha, który pokręcił głową i powiedział:

- Powodzenia z tą małą, synu. Ostra z niej babka.

IX

- I dlatego wyciągnęliście mnie z łóżka? - Landry wodził wzrokiem między mną i Saundersem. W oczach miał niesmak, jaki zazwyczaj wzbudza zepsute jedzenie.

- Nie chce rozmawiać z nikim innym - wytłumaczył Saunders.

Szliśmy razem korytarzem biura szeryfa. Landry burczał pod nosem.

- No to szczęściarz ze mnie. Nie mam pojęcia, co my tu wszyscy robimy. Chryste, Saunders, mogłeś załatwić sprawę na miejscu w pół godziny.

- Zostałam zaatakowana - wtrąciłam. - To chyba zasługuje na uwagę oficera?

- Tak. Jakiegokolwiek oficera pełniącego służbę. Powinnaś to wiedzieć, Estes.

- Ale z tobą nawiązałam już pewien kontakt w tej sprawie.

- Nie nawiązałaś ze mną żadnego kontaktu, bo nie ma żadnej sprawy! To, o czym rozmawialiśmy wczoraj, nie jest sprawą.

Weszliśmy to biura oddziału przez recepcję. Landry wrzucił broń i odznakę do szuflady i przekazał je stojącemu za kuloodporną szybą strażnikowi. To samo uczynił Saunders. Wyjęłam zza paska glocka i włożyłam go razem z kluczami do

pojemnika. Landry wbił we mnie wzrok.

Wzruszyłam ramionami.

- Mam pozwolenie.

Landry odwrócił się do Saundersa.

- Pieprzony idioto. Mogła w samochodzie odstrzelić ci ten pusty łeb.

- Ależ, panie inspektorze - zagruchałam słodko, wślizgując się za nim w drzwi, które otwały się przed nami z brzęczeniem. - Jestem grzeczną dziewczynką.

- Spadaj stąd, Saunders - warknął Landry. - Jesteś mniej więcej tak użyteczny jak zwiotczały fiut.

Zostawiliśmy za sobą Saundersa. Samotnie stojąc w korytarzu, wyglądał jak zbity pies. Landry wyprzedził mnie, nerwowo zaciskając szczęki. Przeszliśmy obok jego biurka do pokoju przesłuchań. Przytrzymał mi drzwi.

- Tutaj.

Weszłam i niepewnie usiadłam na krześle. Ból pleców nie pozwalał mi głębiej zaczerpnąć powietrza. Przeszło mi przez głowę, że może faktycznie powinienam pojechać na pogotowie.

Landry z hukiem zatrzaskał drzwi.

- Co ty do cholery wyrabiasz, Estes?

- To dość obszerne pytanie, więc skupię się na rzeczach najważniejszych: pojechałam do centrum jeździeckiego szukać wskazówek na temat zaginięcia Erin Seabright.

- Ale nie poszłaś do stajni, w której pracowała Erin, prawda? Zatrudniał ją jakiś Jade, więc co robiłaś w stajni Berne'a?

- Michael Berne jest wrogiem Jade'a. Dziś rano byłam świadkiem, jak Berne próbował go zastraszyć.

- Zastraszyć? W jaki sposób?

- Wykrzykując coś w stylu „jeśli dowiem się, że to ty zabiłaś tego konia, to masz przesrane”.

- Aha. Więc potem ten Jade wślizgnął się do jego namiotu i wypuścił jego konie. Wielka sprawa.

- To jest wielka sprawa dla gościa, którego kariera opiera się na zdrowiu tych zwierząt. I to byłaby wielka sprawa dla trenera, który musiałby wytłumaczyć właścicielowi jednego z koni, jak doszło do tego, że zwierzę warte ćwierć

milionu złamało nogę, biegnąc jak oszalałe w środku nocy po wybojach.

Landry westchnął ciężko i pokręcił głową w taki sposób, iż pomyślałam, że zaraz skręci sobie kark.

- I naprawdę po to wyciągnęłaś mnie z łóżka?

- Nie, zrobiłam to dla zabawy.

- Jesteś wrzodem na dupie, Estes. I chyba nie pierwszy raz to słyszysz.

- Słyszałam już gorsze rzeczy. Przestałam się nimi przejmować. Sama nie mam o sobie zbyt dobrego mniemania - odpowiedziałam. - Myślisz pewnie, że jestem bezczelna. Trudno. Nie musisz mnie lubić, Landry. Chcę tylko, żebyś miał świadomość, że wokół Jade'a dzieje się coś złego. A to właśnie on był szefem Erin Seabright. Erin zaginęła. Widzisz tu jakieś powiązanie?

Potrząsnął głową.

- Powiedziano mi, że złapano cię w stajni tego drugiego gościa. Skąd mam wiedzieć, że to nie ty wypuściłaś konie, żeby zwrócić naszą uwagę? Tak bardzo zależy ci, żeby ktoś przyjrzał się Jade'owi, że zaaranżowałaś ten mały spektakl...

- Zgrabnie powiedziane. I zapewne sama obilaś sobie plecy widłami? Mogę cię zapewnić, że nie jestem aż tak wysportowana.

- Nie wyglądasz mi na poważnie ranną, nie przesadzaj. Jakoś chodzisz.

Zdjęłam kurtkę i wstałam.

- Na ogół nie robię tego przy pierwszym przesłuchaniu, lecz jeśli obiecasz, że nie nazwiesz mnie dziwką...

Odwrociłam się plecami i podciągnęłam sweter aż do samej szyi.

- Nie wiem, czy te siniaki wyglądają tak źle, jak bolą...

- Jezu.

Wymówił to słowo delikatnie, jakby nagle uszła z niego cała złość. Podejrzałam, że była to reakcja nie tyle na ślady uderzeń, jakie napastnik pozostawił na moich plecach, ile na koszmarny obraz mozaiki przeszczepów od dwóch lat zastępującej mi skórę.

Nie taki efekt chciałam osiągnąć. Zdecydowanie nie. Nosilałam te blizny tak długo, że stały się częścią mnie. Nie pokazywałam ich nikomu, bo i tak z nikim się nie widywałam. Nie myślałam o tym, jak wyglądam, nie przyglądałam się

ranom i szwom. W dziwny sposób zniekształcenia mojego ciała były dla mnie nieważne - w ogóle mało samą siebie obchodziłam.

A teraz nagle te ślady na skórze stały się bardzo istotne. Poczułam się emocjonalnie obnażona i bezbronna.

Opuściłam sweter i podniosłam marynarkę z krzesła, wciąż stojąc tyłem do Landry'ego.

- Nieważne. Zapomnij o tym - powiedziałam zawstydzona i zła na siebie. - Idę do domu.

- Chcesz wnieść oskarżenie?

- Przeciw komu? - zapytałam, odwracając się do niego. - Przeciw dupkowi, którego tobie nie chce się szukać, ani tym bardziej przesłuchiwać, bo nie obchodzi cię, co dzieje się w tym zaszranym końskim świątku - przynajmniej dopóki ktoś nie zginie?

Nie znalazł żadnej mądrej odpowiedzi.

Uniosłam kącik ust w grymasie, który musiał wyglądać jak gorzki uśmiech.

- O, proszę! Masz jednak na tyle ludzkich uczuć, by poczuć zażenowanie? Dobrze to o tobie świadczy, Landry.

Przeszłam obok niego, kierując się do drzwi.

- Idę o zakład, że Saunders siedzi w samochodzie na dole, wciąż próbując dojść do siebie. Na pewno z chęcią podrzuci mnie do domu. Do zobaczenia, Landry. Dam ci znać, kiedy znajdę jakiegoś trupa.

- Estes, poczekaj - nie patrzył mi w oczy, kiedy ponownie się do niego odwróciłam. - Powinnaś pojechać na pogotowie. Możesz mieć pęknięte żebro czy coś takiego...

- Zdarzały mi się gorsze rzeczy.

- Chryste, musisz być taka twarda?

- Przestań! Nie potrzebuję twojej opieki, rozumiesz? Nie potrzebuję twojego współczucia. Nie chcę, żebyś mnie lubił czy się mną przejmował. Chcę tylko, żebyś wykonał swoją robotę. I najwyraźniej proszę o zbyt wiele. Wyjdę sama, znam drogę.

Szedł za mną aż do recepcji. Nie powiedzieliśmy ani słowa, gdy strażnik oddawał nam broń. Przez całą drogę po schodach zachowywałam się tak, jakby Landry przestał istnieć.

- Jestem dobry w tym, co robię - powiedział, gdy dochodziliśmy już do drzwi.

- Doprawdy? W czym takim? Pracujesz na drugi etat jako zawodowy dupek?
- Jesteś niemożliwa.
- Jestem taka, jaka muszę być.
- Nie, nieprawda - odrzekł. - Jesteś chamska i zachowujesz się jak najgorsza suka. I myślisz, że to czyni cię lepszą od nas.

Deszcz ciągle padał. Krople wyglądały na białe, gdy wpadały w zasięg ostrych świateł lamp parkingowych. Saundersa już nie było.

- Świetnie - powiedziałam. - Chyba jednak będę musiała zgodzić się na twoje towarzystwo w drodze do domu.

Landry zerknął na mnie z ukosa, stawiając kołnierz płaszcza.

- Spieprzaj, Estes. Zamów sobie taksówkę.

Patrzyłam, jak wsiada do samochodu, i stałam w deszczu, dopóki nie odjechał. Później weszłam z powrotem do budynku, żeby skorzystać z telefonu.

Trzeba przyznać, że sama się o to prosiłam.

Taksówka nadjechała po dłuższej chwili. Kierowca próbował do mnie zagadywać, był ciekawy, dlaczego wracam z posterunku policji o czwartej nad ranem. Powiedziałam mu, że mój chłopak został aresztowany za morderstwo. Nie zadawał już więcej pytań.

Opadłam na tylne siedzenie i do samego domu zastanawiałam się, jak tę noc spędza Erin Seabright.

AKT II

Scena I

Światło.

Miejsce: Stara przyczepa mieszkalna.

Noc. Panujący w przyczepie mrok rozjaśnia pojedyncza, goła żarówka. Wi- dać brudne okno bez firanki, zardzewiałą ramę łóżka, poplamiony materac bez pościeli. Na nim siedzi Erin, wciśnięta w kąt, przerażona, naga, przykuta za nadgarstek. Jej włosy są w nieładzie. Rozmazany tusz tworzy ciemne plamy wokół oczu. Dolna warga krwawi, przecięta.

Jest w pełni świadoma obecności kamery i reżysera. Stara się ukryć swoją nagość. Płacze cicho, chowając twarz.

REŻYSER

Patrz w kamerę, suko. Powiedz swoją kwestię.

Erin potrząsa głową, wciąż pochylona.

REŻYSER

Mów! Chcesz, żebym ci pomógł?

Erin znów potrząsa głową, podnosi się i patrzy w kamerę.

ERIN

Pomóż mi.

Światło gaśnie.

X

Landry przewracał się z boku na bok. Wszystkiemu winna była Estes. Po pierwsze, to przez nią obudzili go w środku nocy. Po drugie, gdy w końcu udało mu się dotrzeć do domu, za cholerę nie mógł zasnąć. Gdy tylko zamykał oczy, miał przed sobą jej plecy, poorane liniami szwów tam, gdzie nowa skóra pokrywała starą. Siniaki, które dopiero zaczynały nabierać koloru po wypadku na terenach jeździeckich, były bez znaczenia - blade cienie na powierzchni dawnych zniszczeń.

Zniszczenia. Pomyślał o Estes i zastanowił się, co o niej wie. Ich ścieżki nigdy się nie przecięły, gdy pracowała jeszcze w biurze szeryfa. Ludzie od narkotyków chodzili własnymi drogami. Według niego zbyt dużo czasu spędzali pod przykrywką. Przez to stawali się nerwowi i nieprzewidywalni. Taka opinia utrwaliła się po wypadku, który zakończył karierę Estes - i życie Hectora Ramireza. Wiedział o tym zdarzeniu tyle co wszyscy: Estes wyciągnęła spluwę, olała rozkazy

i sama weszła do akcji. Wtedy rozpętało się piekło.

Nigdy nie poświęcił Estes specjalnej uwagi, poza prostą konstatacją, że ma, na co zasłużyła. Wiedział, że była ranna, długo leżała w szpitalu, a teraz procesuje się z biurem szeryfa o rentę inwalidzką - co wydawało się kurewsko bezcelne, biorąc pod uwagę, że to ona była tu winna. Ale w zasadzie nic go to wszystko nie obchodziło. Estes oznaczała kłopoty. Domyślał się tego już wcześniej, teraz wiedział na pewno.

Arogancka suka. Będzie mówić mu, jak ma wykonywać swoją robotę.

Zastanowił się przez chwilę nad tym, co przytrafiło się jej w centrum jeździeckim i czy miało to związek ze zniknięciem dziewczyny...

Przypuśćmy, że dziewczyna naprawdę zaginęła. W takim razie dlaczego jedyną osobą, która uważa za konieczne zgłosić to policji, jest dwunastoletnie dziecko? Czemu nie rodzice? Dlaczego nie jej pracodawca?

Rodzice, którzy mogli chcieć się jej pozbyć.

Pracodawca, który jest prawdopodobnie wpłątany w poważną aferę, a dzisiejszej nocy mógł obić plecy Estes widłami.

Znów zobaczył jej plecy, szachownicę źle dopasowanych kawałków skóry, ciasno opinającą kości pod spodem.

O piątej trzydzieści wstał z łóżka, nałożył sportowe spodenki, zrobił sto pompek i sto brzuszków i rozpoczął swój dzień - po raz kolejny.

Stoję z boku przyczepy braci Golam. Mam czekać, stać w miejscu i się nie ruszać - ale wiem, że to zła decyzja. Jeśli wejdę pierwsza, będzie po nich. Bracia Golam sądzą, że mnie znają, ich czujność będzie uśpiona. Pracowałam nad tą sprawą trzy miesiące. Wiem, co robię. Wiem, że mam rację. Wiem, że Golamowie już nie mogą usiedzieć w miejscu. Ten nalot jest mój - wiem, że na niego zasłużyłam. I wiem, że jest tu porucznik Sikes, który przyjechał na przedstawienie i czeka tylko, aż przyjadą wozy telewizyjne. Potraktuje ten sukces jak swój, wykorzysta go w walce o stanowisko szeryfa.

Ustawił mnie na rogu przyczepy i kazał czekać. Gównu wie. Nie wie nawet, że Golamowie najczęściej używają bocznych drzwi. Podczas gdy Sikes i Ramirez pilnują przodu domu, braciszkwowie właśnie pakują pieniądze do walizek

i planują czmychnąć bokiem. Ciężarówka Billy'ego Golama stoi pięć metrów dalej, cała w błocie. Jeśli będą uciekać, wezmą ciężarówkę, nie corvette zaparkowaną przed domem. Można nią zjechać z ubitej drogi.

Sikes traci cenny czas. W przyczepie Golamów znajdują się dwie dziewczyny, które w razie potrzeby mogą stać się zakładniczkami. Chyba, że wejdę teraz, kiedy nie mają się na baczności...

Pieprzyć Sikesa. Wchodzę, zanim tym świram zacznie odbijać.

Ta sprawa jest moja. Wiem, co robię.

Włączam radio.

- To bez sensu. Oni zaraz wskoczą do ciężarówki i odjadą. Wchodzę.

- Niech to szlag, Estes...! - Sikes.

Wyłączam radio i rzucam je w chwasty rosnące obok przyczepy. To moja sprawa. Mój nalot. Wiem, co robię.

Podchodzę do bocznych drzwi i pukam tak, jak pukają wszyscy stali klienci: dwa uderzenia - potem jedno - i znowu dwa.

- Hej, Billy, tu Ele... Potrzebuję trochę.

Billy Golam szarpnięciem otwiera drzwi, obrzuca mnie dzikim spojrzeniem, jest naćpany metamfetaminą domowej produkcji, swoim własnym Kryształem. Ciężko oddycha. W ręce ma pistolet.

Cholera.

Frontowe drzwi z hukiem wlatują do środka.

Słyszę krzyk jednej z dziewczyn.

Buddy Golam wrzeszczy: „Głiny!”

Billy mierzy ze swojej trzystasiedemdziesiątki prosto w moją twarz. Nabieram powietrza. To mój ostatni oddech.

Nagle Billy odwraca się gwałtownie i strzela. Dźwięk wystrzału jest ogłuszający. Pocisk trafia w twarz Hectora Ramireza i rozważa mu czaszkę. Krew i kawałki mózgu lądują na koszuli stojącego za nim Sikesa.

Wyciągam broń. Billy rzuca się na zewnątrz, strącając mnie ze schodów.

Biegnie w kierunku ciężarówki, podczas kiedy ja próbuję stanąć na nogi.

Słyszę warkot odpalanego silnika.

- Billy! - krzyczę, biegnąc do ciężarówki.

- Kurwa! Kurwa! Kurwa! - żyły na jego szyi nabrzmiewają, gdy w furii wrzuca wsteczny bieg i cofa z impetem.

Rzucam się na drzwi od strony kierowcy, łapię za lusterko. Jedna z moich stóp osuwa się ze schodka. Billy wrzuca jedynekę i rusza, aż żwir pryska spod kół.

Ze wszystkich sił walczę o to, by nie spaść. Próbuję złapać za kierownicę.

Samochód zjeżdża na chodnik, Billy odbija kierownicą mocno w lewo. Jego twarz przypomina wykrzywioną maskę, ma szeroko otwarte usta i dzikie oczy. Próbuję go dosięgnąć. Otwiera drzwi, gdy ciężarówka wiruje w poślizgu.

Wiszę w powietrzu.

Spadam.

Ulica miażdży mi plecy.

Mój lewy policzek rozgniatą się o ziemię jak skorupka jajka.

Potem przesuwam się nade mną czarny cień samochodu Billy'ego Golama - i umieram.

I budzę się.

Jest piąta trzydzieści rano. Po dwóch godzinach niespokojnej drzemki, z której co chwila wyrывało mnie wrażenie, że złamane żebra przebijają mi płuca, wyczołgałam się z łóżka i zmusiłam do rozciągnięcia mięśni.

Poszłam do łazienki, stanęłam nago przed lustrem i spojrzałam na swoje ciało. Za chude. Na obu udach prostokątne blizny tam, skąd wycięto skórę na przeszczepy. Głębokie szramy pokrywające całą lewą nogę.

Obróciłam się i starałam obejrzeć w lustrze moje plecy. Ujrzałam to, co wczoraj musiał zobaczyć Landry, i raz jeszcze pożałowałam swojej głupoty.

Jedyną pożyteczną rzeczą, jakiej nauczył mnie ojciec, było nigdy nie okazywać słabości, pod żadnym pozorem nie ujawniać czułych punktów.

Ślady uderzeń na moich plecach wyglądały jak rdzawe pręgi. Bolało mnie, gdy oddychałam.

O szóstej piętnaście, po tym, jak nakarmiłam konie, sama zawiozłam się na pogotowie. Prześwietlenie nie wykazało żadnych złamanych kości. Lekarz dyżurny, którego zaczerwienione oczy zdradzały, że spał jeszcze mniej niż ja, wypytywał mnie o przyczynę siniaków, najwyraźniej nie wierząc w moją historijkę o upadku ze schodów. Cały personel patrzył na mnie nieufnie znużonym wzrokiem. Dwa razy spytali, czy chcę rozmawiać z policją. Podziękowałam uprzejmie i odmówiłam. Nikt nie starał się dalej mnie przekonywać, co każało mi się zastanowić, ile pobitych kobiet stąd wypuszczono, pozwalając im wrócić do ich prywatnego piekła.

Lekarz dyżurny wylał z siebie potok terminów medycznych, starając się onieśmielić mnie swą kosztowną wiedzą.

Jego przemowa nie zrobiła na mnie wrażenia.

- To znaczy, że mam obite żebra? - zapytałam.

- Tak. Ma pani poobijane żebra. Wypiszę pani receptę na jakieś środki przeciwbólowe. Proszę pójść do domu i odpocząć. Proszę powstrzymać się od cięższego wysiłku fizycznego przez najbliższe czterdzieści osiem godzin.

- Jasne.

Dał mi receptę na vicodin. Zaśmiałam się, gdy na nią spojrzałam. Wsadziłam ją do kieszeni wiatrówki i wyszłam z budynku. Moje ramiona i nogi pracowały odpowiednio, żadna kość nie przebijała skóry, nie krwawiłam. Nie potrzebowałam opieki szpitalnej, czyli wszystko było ze mną w porządku. Skoro zaś już wiedziałam, że nie umrę, należało porozmawiać z paroma osobami i pojechać w parę miejsc.

Pierwszy telefon wykonałam do Michaela Berne'a, a właściwie do jego asystentki - Michael był bardzo zajęтым człowiekiem. Nie mógł podejść do telefonu.

- Proszę zapytać go, czy ma za mało czasu, by porozmawiać z potencjalną klientką - powiedziałam. - Zawsze mogę zabrać swoje pieniądze do Dona Jade'a, jeśli Berne jest zbyt zajęty.

W cudowny sposób czas Michaela nagle się zwolnił i mógł podejść do telefonu.

- Tu Michael, jak mogę pomóc?

- Obrabiając tyłek swojemu znajomemu, niejakiemu Jade'owi - powiedziałam ściszym głosem. - Jestem prywatnym detektywem.

XI

Ubrałam się na czarno od stóp do głów, za pomocą solidnej porcji żelu gładko zaczesalam włosy, założyłam czarne, panoramiczne okulary przeciwsłoneczne i ukradłam Seanowi czarnego mercedesa. Wyglądałam jak postać z „Matriksa”. Poważna, tajemnicza i skryta. Nie było to przebranie - to był mundur. Wizerunek to podstawa.

Umówiłam się z Berne'em na parkingu koło restauracji Denny'ego w Royal Palm Beach, oddalonej od terenów pokazowych o piętnaście minut. Nie podobało mu się, że musi dokądś jechać, ale nie chciałam ryzykować, że zobaczy nas ktoś z centrum jeździeckiego.

Berne przyjechał hondą civic, która pamiętała lepsze czasy. Wyglądał na zdenerwowanego i niepewnie rozglądał się wokoło. Prywatny detektyw, potajemne spotkanie - mocna rzecz. Ubrany był jak do jazdy konnej, w poplamione szare bryczesy i czerwoną koszulkę polo, której kolor gryzł się z ognistą barwą jego włosów.

Opuściłam szybę mercedesa.

- Pan Berne? Byliśmy umówieni.

Zerknął na mnie nieufnie, niepewny, jak mnie oceniać. Agentka tajnej organizacji? Może spodziewał się Nancy Drew*?

* Postać przystojnej detektyw z gry komputerowej o tym samym tytule.

- Porozmawiamy tutaj - powiedziałam. - Proszę wsiąść do samochodu.

Zawahał się, jak dziecko, któremu ktoś obcy proponuje podwiezienie do domu. Jeszcze raz rozejrzał się po parkingu, jakby obawiał się, że to zasadzka, a z krzaków zaraz wyskoczą zamaskowani agenci i go aresztują.

- Jeśli ma mi pan coś do powiedzenia, proszę wsiadać - powiedziałam zniecierpliwiona.

Był tak wysoki, że musiał niemalże złożyć się wpół, by wsiąść do mercedesa, jakby wsiadał do samochodu cyrkowego klauna. Był doskonałym zaprzeczeniem przystojnego, eleganckiego Jade'a. Howdy Doody na hormonach wzrostu. Rudy i piegowaty, chudy jak tyczka. Naczytałam się o nim wystarczająco, by wiedzieć, że we wczesnych latach osiemdziesiątych był zawodnikiem średniej klasy w międzynarodowych zawodach skoków przez przeszkody. Jeździł wtedy na koniu

o imieniu Irokez. Jego największym dokonaniem była podróż do Europy z drugim składem amerykańskiej reprezentacji olimpijskiej. Potem właściciel Irokeza sprzedał go wprost spod Berne'a i od tego czasu Berne nie dosiadł już żadnego czempiona.

Gdy Trey Hughes pojawił się w jego stajni, Berne mówił w wywiadach, że Stellar zawiezie go z powrotem na arenę międzynarodową. Lecz Stellar przeszedł do stajni Jade'a, a gwiazda Michaela Berne'a znów przygasła.

- Mówiła pani, że dla kogo pracuje? - zapytał, przyglądając się drogiemu wozowi.

- Nie mówiłam.

- Jest pani z agencji ubezpieczeniowej? Z policji?

- Ilu zna pan gliniarzy, którzy jeżdżą mercedesem, panie Berne? - pozwoliłam, by w moim głosie pojawiła się nutka rozbawienia. Zapaliłam jednego z francuskich papierosów Seana i wydmuchnęłam dym na przednią szybę. - Jestem prywatnym detektywem. Tak, prywatny to właściwe słowo. Nie musi się pan niczym martwić, panie Berne. Oczywiście pod warunkiem, że nie zrobił pan czegoś złego.

- Nic złego nie zrobiłem - powiedział obronnym tonem. - Prowadzę uczciwy biznes. O mnie nie krążą plotki, że zabijam konie, by wyłudzić pieniądze z ubezpieczalni. To działka Jade'a.

- Myśli pan, że to on zlecił zabicie Stellara?

- Wiem, że to zrobił.

Śledziłam go kątem oka, a gdy odezwała się, użyłam bezbarwnego, rzeczowego tonu.

- Ma pan coś na poparcie swych słów? Jakież dowody?

Jego usta wykrzywił gorzki grymas.

- Jade jest na to za sprytny. Zawsze zaciera ślady. Na przykład zeszłej nocy. Nikt nie powie, że zrobił to Jade, ale to on wypuścił moje konie z boksów.

- Czemu miałby to zrobić?

- Bo mu wygarnąłem. Wiem, co to za jeden. To przez takich jak on branża końska ma złą reputację. Oszukane kontrakty, wykradanie klientów, zabijanie koni. I nikt nic nie zauważa, dopóki sam nie padnie ofiarą. Ktoś musi zrobić z tym porządek.

- Czy Trey Hughes kiedykolwiek proponował panu, żeby zlikwidował pan Stellara?

- Nie. Dobrze prowadziłem tego konia. Robił postępy. Myślałem, że mamy nawet niezłe szanse w Pucharze Świata. A zresztą i tak nigdy bym się nie wplątał w taki przekręt.

- Dlaczego Hughes zabrał konia z pańskiej stajni?

- Jade go wykradł, ciągle zabiera ludziom klientów.

- I nie miało to związku z faktem, że pan nie miał na koncie żadnych wygranych?

Berne rzucił mi gniewne spojrzenie.

- Mogliśmy zejść daleko. To była tylko kwestia czasu.

- Ale Hughes nie chciał czekać.

- Jade pewnie powiedział mu, że może zrobić to szybciej.

- Tak... Ale teraz Stellar gdzie już nie zajdzie.

- A co z autopsją?

- Sekcją.

- Słucham?

- W wypadku konia nie mówi się o autopsji.

Nie lubił, gdy się go poprawiało.

- Więc co wykazała?

- Nie jestem upoważniona, by ujawniać szczegóły tej sprawy, panie Berne. Czy słyszał pan jakieś plotki przed zgonem Stellara? Podobno nie był zdrowy.

- Był coraz starszy. A starsze konie wymagają dobrej opieki - zastrzyków wzmacniających stawy, odżywek, tego typu rzeczy. Ale Stellar był silny. Miał mocne serce i zawsze dawał z siebie wszystko.

- Nikt nie sugerował, że w stajni Jade'a dzieje się coś podejrzanego?

- O Jadzie zawsze krąży opowieści. Już wcześniej robił takie rzeczy, wie pani.

- Tak. Przeszłość pana Jade'a jest mi znana. Jakie pogłoski krążyły o nim ostatnio?

- Te co zwykle - ludzie opowiadali sobie, na jakich dragach chodzą jego konie. Na czyich poluje klientów. Jak trzyma Treya Hughesa za jaja - za przeproszeniem.

- Na jakiej podstawie ktoś mógłby tak sądzić?

- No wie pani... - znów przyjął postawę obronną - Jade musi coś na niego mieć. A za co niby miałby dostać pracę w tej stajni, którą buduje Hughes?

- Za zasługi? Za dobre uczynki? W imię przyjaźni?

Żadna z moich sugestii nie przypadła mu do gustu.

- Pracował pan dla Hughesa - powiedziałam. - Jakiego haka może na niego mieć Jade?

- Może pani wybierać: Jade wie, jaki narkotyk obecnie bierze Hughes, z czyją żoną ostatnio się przespał...

- W jaki sposób tak szybko doczekał się spadku? - zasugerowałam.

Berne odsunął się i przez chwilę próbował mnie wybać. Minę miał bardzo podobną do tej, którą widziałam u Jill Morone, kiedy zastanawiała się, jaką wobec mnie przyjąć strategię.

- Myśli pani, że Hughes zabił swoją matkę? - zapytał w końcu.

Rozważył coś i głośno się zaśmiał.

- Trey nigdy by się na to nie odważył. Jąkał się za każdym razem, gdy mówił o Sallie. Srał w portki na samą myśl o niej.

Nie wyjaśniałam mu, że jedyne, na co musiałby odważyć się Trey, to zlecenie komuś tej roboty. Delegowanie innych z pewnością przychodziło z łatwością facetowi, który całe życie spędził na unikaniu wszelkiej odpowiedzialności.

- Nie słyszał pan żadnych historii na ten temat?

- Ludzie opowiadają sobie różne żarty za plecami Hughesa, ale nikt naprawdę tak nie myśli. Dla niego dotrzeć jakoś do końca dnia to sukces. Nie umie utrzymać porządku we własnym portfelu, a co dopiero zaplanować morderstwo i na dodatek nie dać się złapać. A poza tym był z kimś, gdy zadzwonili do niego z wiadomością o śmierci matki.

- Naprawdę? Z kim?

Popatrzył w bok.

- A co za różnica?

- Taka, że ten ktoś jest być może współnikiem mordercy.

- Nie, to nie tak.

- Dotrę do tej informacji tak, czy inaczej, panie Berne. Chce pan, żebym chodziła po terenach pokazowych, zadając pytania? Rozdrapywała stare rany, przypominała stare plotki?

Berne gapił się za okno.

- Mam zacząć zgadywać? Może to był pan? To dopiero dodałoby smaku dawnej aferze, nieprawdaz?

- Nie jestem pedziem!

- To chyba nie jest rzadkość w środowisku jeździeckim - powiedziałam z lekkim znużeniem. - Z tego, co widziałam, może jeden facet na trzech jest hetero. Niech pan pomyśli o tych wszystkich nowych kumplach, których może pan mieć, jeśli przyzna się pan do swej orientacji. A może już pan to zrobił? Mogłabym znaleźć pańskiego byłego chłopaka...

- To była moja żona.

Którą wolał raczej wydać w ułamku sekundy, niż pozwolić obcej osobie myśleć, że jego zainteresowania seksualne są nieco odmienne.

- Pańska żona była z Hughesem w noc, kiedy zginęła jego matka? Była z nim - w sensie biblijnym?

- Tak.

- Za pańskim przyzwoleniem czy bez niego?

Twarz Berne'a stała się purpurowa.

- Co to za pytanie, do cholery?

- Jeśli obawiał się pan stracić klienta, może pan i pańska żonka uknułiście mały spisek, żeby go zatrzymać?

- Co za chory pomysł!

- Świat to pokręcone miejsce, panie Berne. Proszę nie brać mi tego za złe, ale niewiele wiem o pańskiej osobie. Nie wiem, po pierwsze, czy jest pan godny zaufania. Moja osoba i charakter mojej pracy muszą pozostać tajemnicą. Z doświadczenia wiem, że ludzie są bardziej skorzy do zachowania tajemnicy, jeśli sami jakąś mają. Czy zaczyna pan rozumieć, o co mi chodzi, panie Berne? Czy mam być bardziej dosłowna?

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Czy pani mi grozi?

- Wolę stwierdzenie, że zależy mi, by porozumieć się z panem w sprawie zachowania dyskrecji. Dochowam pańskiego sekretu, jeśli pan dochowa mojego.

- Nie pracuje pani dla firmy ubezpieczeniowej - głośno myślał Berne. - Phil by mi coś powiedział.

- Phil?

- Phil Whilshire. Rzeczoznawca roszczeniowy. Znam go. Powiedziałby coś o pani.

- Rozmawiał z nim pan o sprawie Stellara?

- Tak. Bo chcę, by Jade został złapany, by za wszystko zapłacił - powiedział, przywołując pełen poczucia własnej nieomyślności, oburzony ton. - Powinno się go na dobre wykurzyć z tego interesu. Jeśli mogę w tym celu cokolwiek zrobić, to zrobię to.

- Cokolwiek? - zapytałam znacząco. - Na pańskim miejscu bardziej uważałabym na słowa - przestrzegłam. - Łatwo można by wysunąć podejrzenie, że nie nawidzi pan Jade'a tak mocno, że zabił pan Stellara, a teraz stara się zrzucić odpowiedzialność na Jade'a, by go zrujnować. Jego kariera legnie w gruzach, układ z Treyem Hughesem się rozpadnie, a wtedy może panu uda się znów nawiązać z Hughesem dobre relacje i wróci pan do gry.

Berne wybuchł gniewem.

- Poprosiła mnie pani o spotkanie, żeby mnie oskarżyć? Co z panią nie tak? Jest pani nienormalna?!

- Powinien pan ćwiczyć panowanie nad złością, szkodzi zdrowiu.

Widziałam, że chce na mnie nawrzeszczeć, aż dławił się niewykrzyczanymi słowami.

- W odpowiedzi na pańskie pytanie: nie, nie jestem nienormalna. Jestem bezpośrednia. Muszę zabezpieczyć wszystkie pozycje i nie mam czasu na zabawę w kotka i myszkę. Nie znajduję w ten sposób przyjaciół, ale dostaję odpowiedzi, których szukam. Może jest pan niewinny jak baranek, panie Berne. Jak mówiłam wcześniej, nie znam pana. Jednak z mojego doświadczenia większość zbrodni opiera się na jednym z trzech motywów: pieniądze, seks, zazdrość. A pan zdobywa punkty we wszystkich kategoriach. Więc oczyścimy pana teraz z wszelkich podejrzeń i będę mogła skupić się na Jadzie. Gdzie pan był, gdy umarł Stellar?

- W domu. W łóżku. Z moją żoną.

Zaciągnęłam się papierosem, długo wciągając dym, potem wypuściłam go z delikatnym uśmiechem.

- Powinna zmienić imię na „Alibi”.

Berne podniósł ręce.

- Tego już za dużo. Mam tego dość, więcej z panią nie gadam. Z dobrego serca przyszedłem pani pomóc...

- Berne, niech pan sobie nie pochlebia. Oboje wiemy, z jakiego powodu pan się tu znalazł. Pragnie pan klęski Jade'a. Mnie to nie przeszkadza. Ale mam swój własny cel.

- Jaki?

- Dobro mojego klienta. Może obydwoje osiągniemy to, czego chcemy. Jak długo po śmierci Sallie Trey przeniósł konie do Jade'a?

- Po dwóch tygodniach.

- A kiedy po raz pierwszy usłyszał pan, że Trey kupił posiadłość w Fairfield's?

- Miesiąc później.

Czułam, jakby ktoś wepchnął mi głowę w imadło. Wcale nie chciałam znać tych wszystkich odrażających szczegółów życia Berne'a, Hughesa, Jade'a. Chciałam tylko odnaleźć Erin Seabright. Na moje nieszczęście dziewczyna żyła w puszcze Pandory.

Wyciągnęłam jej zdjęcie z tylnej kieszeni spodni i podałam Berne'owi.

- Czy kiedykolwiek widział pan tę dziewczynę?

- Nie.

- Pracowała dla Jade'a aż do ostatniej niedzieli. Była stajenną.

Berne skrzywił się.

- Stajenni przychodzą i odchodzą. Z trudem udaje mi się upilnować własnych.

- Ta dziewczyna nagle znikła. Proszę przyjrzeć się jej uważnie. Nigdy nie widział jej pan z Jade'em?

- Wokół Jade'a zawsze kręca się jakieś kobiety. Osobiście nie rozumiem, co je w nim tak pociąga.

- Mówi się, że Jade sypia ze wszystkimi pracownikami.

- Z pracownikami, klientkami, cudzymi klientkami. Żadnej nie przepuści. Nie ma takiej rzeczy, do której by się nie zniżył.

- Tego właśnie się obawiam, panie Berne - powiedziałam, podając mu gładką, białą wizytówkę z numerem telefonu. - Jeśli będzie miał pan cokolwiek interesującego do dodania, proszę zadzwonić pod ten numer. Ktoś się z panem skontaktuje. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas.

Landry zaparkował samochód pomiędzy masywnymi terenówkami, bmw i jaguarami. Wysiadł, od razu patrząc uważnie pod nogi, by w coś nie wdepnąć.

Wychował się w mieście. Wszystko, co wiedział o koniach, to to, że brzydko pachną.

Dzień był słoneczny i ciepły. Spokojnie rozejrzał się wokół przez ciemne szkła okularów. Miejsce wyglądało jak jakiś cholerny obóz dla uchodźców - wszędzie pełno było zwierząt i namiotów. I ludzi na rowerach i skuterach. Spod kół przejeżdżających co chwila ciężarówek wzbijały się tumany kurzu.

Zobaczył znak stajni Jade'a, wszedł do namiotu i zapytał pierwszą spotkaną osobę, gdzie może go znaleźć. Latynos z widłami pełnymi nawozu w rękach ruchem głowy wskazał za namiot.

Landry wyszedł na zewnątrz. W połowie drogi do następnego namiotu mężczyzna w stroju do jazdy sączył kawę z papierowego kubka, beznamietnie przysłuchując się atrakcyjnej blondynce, która wyglądała na zdenerwowaną.

- Pan Jade?

Obie pary oczu zwróciły się na niego. Podszedł, wyciągając odznakę.

- Detektyw Landry z biura szeryfa. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

- Mój Boże! Wiedziałaam, że w końcu cię złapią. Mówiłam ci, że nie należy kraść tego ręcznika z hotelu! - posłała Landry'emu wielki uśmiech. - Jestem Paris Montgomery, asystentka trenera.

Landry nie odpowiedział uśmiechem. Trzy godziny snu to za mało, by tracić energię na pustą kokieterię. Ominął kobietę wzrokiem.

- To pan jest Jade?

- O co chodzi? - zapytał, wycofując się w kierunku namiotu. Starał się odciągnąć Landry'ego od miejsca, gdzie mógł ich zobaczyć przypadkowy przechodzień.

- Czy wie pan, co zaszło tu wczorajszej nocy? Niedaleko stąd wypuszczono konie.

- To konie Michaela Berne'a - pospieszyła z wyjaśnieniem Paris Montgomery. - Oczywiście, że wiemy. To potworne. Trzeba natychmiast zrobić coś z ochroną. Czy wyobraża pan sobie, ile te zwierzęta są warte?

- Podobno są na wagę złota - rzekł Landry, ze znudzeniem wysłuchując kolejny raz tego samego. Czemu, do diabła, koń jest wart milion dolców, skoro nawet nie startuje w wyścigach?

- Będzie próbował cię w to zrobić - zwróciła się Paris do swojego szefa. - Wiesz dobrze, że Michael powie każdemu, kto tylko zechce go wysłuchać, że zrobiłeś to osobiście albo zleciłeś tę robotę.

- Czemu tak pani sądzi, pani Montgomery? - zapytał Landry.

- Bo taki właśnie jest Michael: zgorzkniały i mściwy. Obwinia Dona o wszystko, może z wyjątkiem swojego braku talentu.

Jade popatrzył na Paris spod półprzymkniętych powiek.

- Wystarczy, Paris. Wszyscy wiemy, że Michael jest zazdrosny.

- O co? - zapytał Landry.

- O Dona - powiedziała kobieta. - Don ma wszystko to, czego brakuje Michaelowi, i kiedy klienci Michaela to widzą i go zostawiają, Berne obwinia Dona. Pewnie sam wypuścił te konie, tylko po to, żeby móc publicznie go oskarżyć.

Landry nie spuszczał wzroku z Jade'a.

- To musi być wkurzające. Czy nie miewa pan czasem ochoty jakoś go przytknąć?

Wyraz twarzy Jade'a nie zmienił się. Był chłodny, spokojny, opanowany.

- Już dawno nauczyłem się nie zwracać uwagi na ludzi pokroju Michaela Berne'a.

- Powinieneś zagrozić, że pozwiesz go o zniesławienie.

- Pomówienie - poprawił ją Jade. - Zniesławienie jest na piśmie.

- Nie zgrywaj waśniaka - odgryzła się Paris. - Robi wszystko, co może, by zrujnować twoją reputację. A ty sobie spokojnie siedzisz, jakbyś uważał, że jesteś nietykalny. Myślisz, że on nie może ci zaszkodzić? Nie wiesz, że przy każdej okazji szepcze Treyowi różne paskudztwa na twój temat?

- Nie powstrzymam Michaela przed sąceniem jadu, i nic nie poradzę na to, że ktoś tego słucha - odpowiedział Jade. - Jestem poza tym przekonany, że detektyw Landry nie przyszedł tu wysłuchiwać naszych żali.

- Nie jestem tu również w sprawie koni - powiedział Landry. - Kobieta została ranna podczas próby powstrzymania tego, kto je wypuścił - ktokolwiek to był.

Brązowe oczy Paris rozszerzyły się ze zdumienia.

- Jaka kobieta? Stella? Żona Michaela? Jest ranna?

- Wiem, że wczoraj pomiędzy panem a panem Berne'em doszło do kłótni - powiedział Landry. - Czy mógłby pan powiedzieć mi, gdzie był wczoraj o drugiej w nocy?

- Nie, nie mógłbym - szorstko uciął Jade i stanął obok konia uwiązanego w otwartym boksie. - A teraz, jeśli pan wybaczy, mam tu konia, którego chciałbym potrenować.

- Może zatem wołałby pan porozmawiać na ten temat na posterunku? - zaproponował Landry. Nie lubił, gdy zbywano go jak służącego.

Jade przyjrzał mu się wyniośle, co było widać nawet zza okularów przeciwsłonecznych.

- A może raczej pan wołałby przedyskutować tę sprawę z moim adwokatem?

- Niech pan oszczędzi sobie kosztów i zachodu, panie Jade. Wszystko, co musi mi pan powiedzieć, to gdzie był pan wczoraj. A to tylko zawołowane pytanie o to, czy był pan tutaj w czasie wypadku.

- Byłem z przyjaciółką. Nie tutaj.

- Czy ta przyjaciółka ma imię?

- Nie dla pana.

Mocniej zaciągnął popręg. Koń postawił uszy. Landry rozglądnął się za miejscem, w które mógłby uskoczyć, gdyby potwór rzucił się na niego. Wyglądał na złośliwego, jakby mógł ugryźć, Jade odpiął taśmę, która trzymała zwierzę w boksie.

- Uważam naszą rozmowę za skończoną - zakomunikował Jade. - I jeśli poza pogłoskami, że ja i Michael za sobą nie przepadamy, nie znajdzie pan czegoś, co wiąże mnie z wczorajszymi wydarzeniami - a wiem, że nic takiego znaleźć pan nie może - spotykamy się po raz ostatni.

Wprowadził konia z boksu i skierował się do wyjścia. Landry przywarł do ściany i wstrzymał oddech, co w ogóle było dobrą decyzją w tym miejscu: smród nawozu, moczu i Bóg wie czego jeszcze wisiał w powietrzu jak smog. Gdy koń odszedł na tyle daleko, że Landry był poza zasięgiem jego kopyt, podążył za odchodzącymi.

- A czy pani ma coś do powiedzenia, pani Montgomery?

Jade rzucił jej znaczące spojrzenie. Dziewczyna odwróciła się do Landry'ego.

- To, co powiedział Don. Był z przyjaciółką.

Wyszli na słońce, Jade dosiadł konia.

- Paris, przynieś mój rajtok i toczek.

- Już się robi.

Jade nie czekał na nią, zawrócił konia i zaczął oddalać się w kierunku ringu szkoleniowego.

- Czy to znaczy, że Jade był z panią? - zapytał Landry, idąc za Paris do namiotu.

- Nie! Boże, nie! - zaprzeczyła. - Dyryguje mną przez cały dzień. Nie chciałabym znosić tego jeszcze w nocy.

- Ma charakterek.

- Stał się taki. Życie go nie oszczędzało.

- Może na to nie zasługuje?

Wszedł za nią do pomieszczenia wyłożonego zielonym sukniem, z perskim dywanem na podłodze i oprawnymi w bogate ramy obrazami na ścianach. Otworzyła zabytkową szafę i ze środka wyjęła jasnozieloną marynarkę i brązowy aksamitny toczek.

- Nie zna go pan.

- A pani tak. I jak pani myśli, z kim był wczoraj w łóżku?

Zaśmiała się i potrząsnęła głową.

- Don nie wtajemnicza mnie w swoje życie prywatne. Dziś pierwszy raz usłyszałam, że się z kimś spotyka.

Więc mało prawdopodobne, by tak było, pomyślał Landry. Zdążył się zorientować, że ci ludzie żyli jeden na drugim. Pomijając kwestię fizycznej bliskości, łączyło ich także bogactwo, prawdziwe lub udawane. A jedyną rzeczą, którą bogaci robili chętniej od pieprzenia, było wzajemne obgadywanie.

- Jest bardzo dyskretny - dodała Montgomery.

- Zgaduję, że to właśnie dyskrecja uratowała go przed więzieniem. Pani szef przekroczył granicę prawa niejeden raz.

- Nigdy nie został skazany. A teraz muszę uciekać. Lepiej mu to zaniosę, bo inaczej mnie zabije - uśmiechnęła się oszalałmiająco. - A wtedy naprawdę będzie pan miał coś do roboty.

Landry wyszedł z nią z namiotu. Wskoczyła za kierownicę zielonego wózka golfowego z logo Jade'a na przedzie, ułożyła marynarkę na przednim siedzeniu, a toczek wrzuciła do kosza.

- A jak to jest u pani? Czy w pani życiu jest jakiś mężczyzna?

- Och, tak! - odpowiedziała, mrugając rzęsami z fałszywą skromnością. - Ale nie mówię o tym nikomu. Takimi opowieściami dziewczyna może sobie tylko zaszkodzić.

Włączyła wózek i odjechała, machając po drodze do mijanych ludzi. Popularna dziewczyna.

Landry stał przez chwilę z rękami na biodrach, zdając sobie sprawę, że z wnętrza namiotu przygląda mu się para oczu należąca do młodej kobiety. Widział ją kątem oka: gruba, zaniedbana, w obcisłym podkoszulku ukazującym wiele fałdek, które dużo lepiej byłoby pozostawić wyobraźni.

Landry chciał już wsiąść do samochodu i odjechać. Estes miała rację, głównie go obchodziło, co ci ludzie robili sobie nawzajem. Musiał jednak złożyć raport porucznikowi o tym, co zaszło wczorajszej nocy w jego biurze - o całym tym zamieszaniu z Estes żądającą widzenia tylko jego, odmawiającą złożenia pisemnych zeznań i wniesienia sprawy. Porucznik nie przyjął do wiadomości tego, że Estes nie wniosła oskarżenia, nie pozwolił tego tak zostawić. I teraz Landry musiał się tym zajmować.

Westchnął, odwrócił się i spojrzął na dziewczynę.

- Pracujesz tutaj?

Jej małe oczka rozszerzyły się. Wyglądała, jakby nie potrafiła się zdecydować, czy zesrać się w gacie, czy mieć orgazm. Kiwnęła głową.

Landry wszedł z powrotem do stajni, wyciągając z kieszeni notatnik i długopis.

- Nazwisko?

- Jill Morone. M-O-R-O-N-E. Jestem główną stajenną pana Jade'a.

- Mhm. A gdzie byłaś wczoraj około drugiej w nocy?

- W łóżku - powiedziała, zadowolona ze swojej tajemnicy, którą bardzo chciała się podzielić. - Z panem Jade'em.

XII

Biura Gryphon Development mieściły się w eleganckiej willi imitującej styl hiszpański, na Greenview Shores, naprzeciwko zachodniej bramy klubu poło. Zaparkowałam na kopcach dla odwiedzających, tuż koło jaguara Bruce'a Seabrighta.

Plakat reklamujący Fairfields zasłaniał przednie okno. W dolnym rogu plakatu widniało zdjęcie Seabrighta. Jego uśmiech mówił „jestem skurwielem, pozwól, że sprzedam ci coś po zawyżonej cenie”. Na niektórych najwidoczniej to działało.

Profesjonalnie urządzone biuro miało wyglądać drogo i gościnnie. Skórzane kanapy, meble z mahoni. Na ścianie wisiały zdjęcia czterech mężczyzn i trzech kobiet, ich tytuły zawodowe wryto na mosiężnych tabliczkach przybitych do ram. Nie znalazłam wśród nich Krystal Seabright.

Za to recepcjonistka była do niej bardzo podobna. Zbyt dużo biżuterii i lakieru do włosów. Zastanowiłam się, czy właśnie w ten sposób Bruce i Krystal się poznali. Szef i jego sekretarka. Banalny scenariusz, ale bardzo powszechny.

- Dzień dobry. Jestem Elena Estes i przychodzę do Bruce'a Seabrighta - zwróciłam się do sekretarki. - Mam parę pytań na temat Fairfields.

- Cudowne miejsce - powiedziała, posyłając mi uśmiech adeptki handlu nieruchomości. - Trwa tam budowa paru wyśmienitych stajni.

- Tak, wiem. Przejeżdżałam tamtędy.

- A posiadłość Treya Hughesa?! - dodała, bliska ekstazy. - Czyż nie jest to miejsce, za które można by umrzeć?

- Sądzę, że tak.

Zadzwoiła do Seabrighta. W chwilę później w odległym końcu holu otworzyły się drzwi i wychylił się zza nich Bruce Seabright, wisząc na klamce. Miał na sobie nienaganny, jasnobrązowy lniany garnitur i krawat w prążki. Jak na południową Florydę, ojczyznę hawajskich koszul i japonek, był to strój bardzo formalny.

- Pani Estes?

- Tak. Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.

Minęłam go, wchodząc do gabinetu, i zajęłam pozycję na samym końcu pokoju, tyłem do mahoniowego regału.

- Proszę spocząć - powiedział, siadając za biurkiem. - Czy mogę zaoferować pani coś do picia? Wodę? Może kawę?

- Nie, dziękuję. To miło z pańskiej strony, że przyjął mnie pan bez zapowiedzi. Jestem pewna, że jest pan bardzo zajęтым człowiekiem.

- Z przyjemnością stwierdzam, że tak - uśmiechnął się jak na plakacie. - Interes kwitnie. Wellington, nasz mały skarb, w końcu został odkryty. Ziemia tu jest tak cenna, jak w dowolnym miejscu południowej Florydy. A ceny terenów,

którymi się pani interesuje, są tego wybitnym przykładem.

- Właściwie nie przyszedłem tu kupować ziemi, panie Seabright.

Uśmiech zbladł, a jego miejsce zajęło delikatne zakłopotanie. Rysy miał ostre i drobne, jak u szczura.

- Nie rozumiem. Mówiła pani, że chce zadać parę pytań na temat Fairfields.

- I taka jest prawda. Prowadzę dochodzenie, panie Seabright. Badam sprawę wypadku na terenach jezdzieckich, w którą zaplątany jest pański klient, Trey Hughes.

Seabright usiadł głębiej w fotelu, niezadowolony z takiego obrotu sprawy.

- Oczywiście znam Treya Hughesa. To żadna tajemnica, że zainwestował w Fairfields. Z pewnością jednak nie będę rozmawiał na temat moich klientów, pani Estes. Etyka zawodowa.

- Nie szukam informacji na temat życia osobistego. Bardziej interesuje mnie jego projekt w Fairfields. Od kiedy ziemie w Fairfields były na sprzedaż? Kiedy pan Hughes kupił swoją działkę?

- Te informacje są podane do publicznej wiadomości - odparł Seabright. - Mogła pani pójść do biura hrabstwa i tam je znaleźć.

- Mogłam, ale pytam pana.

Podejrzliwość wzięła górę nad zmieszaniem.

- O co tu chodzi? Jaki „wypadek” pani bada?

- Pan Hughes stracił niedawno bardzo drogiego konia. Musimy sprawdzić każdy szczegół, rozumie pan.

- Ale co posiadłość pana Hughesa ma wspólnego z jakimś koniem?

- Rutynowo sprawdzamy tło całej sprawy. Posiadłość, którą zakupił pan Hughes, była bardzo droga, a jej zabudowa...

- Trey Hughes nie potrzebuje pieniędzy - powiedział Seabright. - Każdy pani powie, że w zeszłym roku odziedziczył ogromny spadek.

- Przed zakupem ziemi w Fairfields czy już potem?

- A co to za różnica? - zapytał poirytowanym głosem. - Od dawna interesował się tą posiadłością i nabył ją zeszłej wiosny.

- Przed czy po śmierci matki?

- Nie podoba mi się to, co pani sugeruje, pani Estes. Nie podoba mi się cała ta rozmowa - wstał z krzesła, o włos od wyrzucenia mnie za drzwi.

- Czy zdaje sobie pan sprawę, że pańska córka pracowała dla trenera, którego zatrudnia Hughes?

- Erin? A co ona ma z tym wspólnego?

- Też chciałabym to wiedzieć. Wydaje się, że Erin zaginęła.

Poziom zdenerwowania Seabrighta podniósł się o kolejny stopień.

- Kim pani jest? Dla kogo dokładnie pani pracuje?

- To poufna informacja, panie Seabright. Ja też przestrzegam zasad etyki zawodowej - powiedziałam. - Czy miał pan coś wspólnego z załatwieniem pracy Erin?

- Nie wiem, czemu miałyby to panią interesować.

- Czy wie pan, że prawie od tygodnia nikt nie jest w stanie się z nią skontaktować?

- Erin trzyma się z dala od rodziny.

- Słyszałam, że trzymała się całkiem blisko z pańskim synem.

Bruce Seabright zrobił się czerwony i zaczął mi grozić palcem.

- Żądam numeru pani licencji!

Uniosłam jedną brew - tę, którą mogłam unieść - i założyłam ręce, opierając się o regał.

- Dlaczego tak się pan irytuje, panie Seabright? Wydawało mi się po prostu, że ojciec powinien bardziej przejąć się dobrem córki niż klienta.

- Ja nie jestem... - zrozumiał swój błąd i ugryzł się w język.

- Jej ojcem? - skończyłam za niego. - Nie jest pan jej ojcem, więc nie musi pan się o nią troszczyć?

- Nie martwię się o nią, bo sama bierze za siebie odpowiedzialność. Jest dorosła.

- Ma osiemnaście lat.

- I nie mieszka pod moim dachem. Robi to, na co ma ochotę.

- I to zawsze był problem, prawda? To, co sprawiało przyjemność Erin, nie było po pańskiej myśli. Nastolatki... - Pokręciłam głową z udawanym współczuciem. - Życie bez Erin jest pewnie prostsze?

Wydawało mi się, że trzęsie się od wstrzymywanej z trudem złości. Wpatrywał się we mnie, jakby chciał dobrze zapamiętać moją twarz, by móc ją sobie przypominać i wzbudzać w sobie nienawiść jeszcze długo po moim wyjściu.

- Wynocha z mojego biura - powiedział niskim, napiętym głosem. - A jeśli jeszcze raz zobaczę panią w tym miejscu, wezwę policję.

Niespiesznie odsunęłam się od regalu.

- I co pan im powie, panie Seabright? Że trzeba mnie aresztować, bo bardziej niż pan przejmuję się losem Erin? Jestem pewna, że wyda im się to dość zastanawiające.

Bruce Seabright szarpnięciem otworzył drzwi i na cały głos zawołał do recepcjonistki:

- Doris, dzwoni do biura szeryfa!

Doris popatrzyła na nas wytrzeszczonymi oczami.

- I niech pani poprosi detektywa Landry'ego z wydziału zabójstw - poradziłam. - Proszę podać mu moje nazwisko. Z przyjemnością wpadnie złożyć wam wizytę.

Seabright zmrużył oczy, próbując ocenić, czy blefuję.

Niespiesznie opuściłam siedzibę Gryphon Development, wsiadłam do samochodu Seana i odjechałam - na wypadek, gdyby Bruce Seabright nie blefował.

XIII

- Mój Boże, El! Wyglądasz jak z jednego z tych babskich bandów Roberta Palmera, które tak namiętnie produkował w latach osiemdziesiątych.

W drodze do domu opuściłam dach, licząc na to, że chłodny powiew ukoi moje nerwy. Zamiast tego słońce rozpało mi głowę, a wiatr rozczochrał włosy, upodabniając mnie do malowniczego tapira. Potrzebowałam drinka i drzemki nad brzegiem basenu, wiedziałam jednak, że na żadną z tych rzeczy nie mogę sobie pozwolić.

Sean nachylił się, by pocałować mnie w policzek, po czym skarcił mnie, lekko poirytowany.

- Ukradłaś mój samochód.

- Pasował mi do stroju.

Wysiadłam z mercedesa i oddałam mu kluczyki. Był w bryczesach i wysokich butach, na górę włożył obcisły, czarny podkoszulek z podwiniętymi rękawkami, by lepiej uwidocznić bicepsy wielkości grejpfrutów.

- Od razu widać, że masz lekcję z Robertem - powiedziałam.
- Dlaczego tak mówisz? - zapytał z irytacją w głosie.
- Masz koszulkę do eksponowania mięśni. Mój drogi, doprawdy, można przejrzeć cię na wylot.
- Miauu... Jesteśmy dziś złośliwym koteczkiem?
- Porządne lanie zawsze tak na mnie działa.
- Jestem pewien, że na nie zasłużyłaś. Następnym razem mnie zaprosz. Z przyjemnością popatrzę.

Przeszliśmy razem obok stajni w kierunku domku dla gości. Sean przyjrzał mi się kątem oka i zmarszczył czoło.

- Czy wszystko w porządku?

Zamiast rzucić zwykłą, nic nieznaczącą odpowiedź, zastanowiłam się, jak w zasadzie się czuję. Nie był to może najlepszy moment na refleksję, ale zatrzymałam się na chwilę i rozważyłam, jak jest naprawdę.

- Tak - odpowiedziałam w końcu. - Wszystko jest w najlepszym porządku.

Choć sprawa zaczynała robić się coraz bardziej skomplikowana i choć ja byłam bardzo niechętnym jej uczestnikiem, dobrze było znów korzystać ze swoich umiejętności. I dobrze było czuć się potrzebną.

- To świetnie - powiedział Sean. - A teraz, mój kopciuszku, biegnij przypudrować noski i przemienić się w księżniczkę. Twoje alter ego będzie mieć gości.

- Kogo?

- Van Zandta - wypluł to imię, jakby było czymś bardzo gorzkim z ohydą pestką w środku. - I nie mów później, że nigdy się dla ciebie nie poświęciłem.

- Moja własna matka tyle by dla mnie nie zrobiła.

- O, tu z pewnością masz rację, kochana. Twoja matka nie wpuściłaby tego worka gówna nawet wejściem dla służby. Biegnij już. Początek przedstawienia za dwadzieścia minut.

Wzięłam prysznic i przebrałam się w jeden z kupionych w centrum jeździeckim strojów. Zdecydowałam się na jaskrawoczerwoną zakładaną spódnicę z hinduskiego sari, żółtą, lnianą bluzeczkę, do tego mnóstwo bransoletek, sandały na grubej podeszwie i okulary przeciwsłoneczne w szylkretowych oprawkach - i przeistoczyłam się w Elle Stevens dyletantkę.

Van Zandt przyjechał, gdy w drodze na parking mijałam zabudowania stajenne. Jego strój patriarchy z Palm Beach był obliczony na robienie wrażenia - różowa koszula, beżowe spodnie, błękitna marynarka i znak szczególny: apaszka pod szyją.

Gdy mnie dostrzegł, zaczął iść w moim kierunku z szeroko rozpostartymi ramionami. Mój dawno niewidziany, stary, dobry przyjaciel.

- Elle!

- Zi!

Przetrwałam rytuał całowania na dzień dobry, opierając ręce na jego piersi tak, by nie mógł mnie objąć.

- Trzy razy - przypomniał mi, robiąc krok w tył. - Jak Belgowie.

- Wygląda mi to na pretekst dla obłapywania - powiedziałam z półuśmiechem. - Ty cwany rozpustniku. Jakie inne tradycje narodowe okradasz, by załapać się na macanko pod pozorem dobrych manier?

Posłał mi jeden ze swoich wazelinarsko-władzidupnych uśmiechów.

- To wszystko zależy od chęci damy.

- A ja myślałam, że przyszedłeś obejrzeć moje konie - powiedział Sean. - A może służę tu tylko za brodę?

Van Zandt popatrzył na niego zdumiony.

- Brodę? Przecież ty nawet nie masz brody.

- To taka figura retoryczna, Zi - wytłumaczyłam. - Musisz się przyzwycząić, Sean taki już jest. Jego matka posyłała go na obozy aktorskie w dzieciństwie. To silniejsze od niego.

- Aha, aktor!

- Czyż nie wszyscy nimi jesteśmy? - niewinnie zauważył Sean. - Poprosiłem moją pomocnicę, by osiodłała Tino, tego wałacha, o którym ci wspominałem. Chciałbym za niego dostać osiemdziesiąt tysięcy. Jest naprawdę niezły, ale mam już za dużo utalentowanych koni. Jeśli któryś z twoich klientów szuka...

- To możliwe - przerwał mu Van Zandt. - Przyniosłem kamerę. Nagram go i wyślę kasetę klientce, która wkrótce przyjeżdża z Wirginii. A gdy ty będziesz szukał czegoś dla siebie, z chęcią pokażę ci najlepsze konie Europy. I zabierz ze sobą Elle. Będziemy świetnie się bawić.

Popatrzył na mnie, zatrzymał wzrok na spódnicy.

- Nie będziesz dziś jeździć, Elle?

- Zabalowałam wczorajszej nocy - odparłam. - Ciągle dochodzę do siebie. Sean i ja byliśmy na balu na rzecz zapalenia spojówek.

- Elle nie potrafi oprzeć się słusznej sprawie - powiedział Sean. - Ani lampce szampana.

- Minęły was takie atrakcje na terenach pokazowych! - powiedział Van Zandt, zadowolony, że może podzielić się najświeższymi plotkami. - Uwolnione konie biegały jak szalone, ktoś został pobity. Wprost nie do wiary!

- I ty tam byłeś? - zapytałam. - W środku nocy? Będą cię przesłuchiwać?

- Oczywiście, że mnie tam nie było - odpowiedział poirytowany. - Jak możesz myśleć, że zrobiłbym coś takiego?

Wzruszyłam ramionami.

- Zi, nie mam pojęcia, co mógłbyś, a czego nie mógłbyś zrobić. Wiem jednak na pewno, że nie znasz się na żartach. Te twoje zmiany nastrojów zaczynają być męczące, a znam cię dopiero od dwóch dni - powiedziałam, pozwalając sobie na okazanie zdenerwowania. - Oczekujesz, że będę chciała odbyć podróż po Europie z tobą i gromadką twoich osobowości w jednym samochodzie? Wolalabym już raczej zostać w domu i uderzać się młotkiem w kciuk raz za razem.

Zasłonił pierś dłonią, jakbym go zraniła.

- Jestem wrażliwą osobą. Pragnę dobra dla wszystkich. Nie biegam po okolicy, oskarżając ludzi dla zabawy.

- Nie traktuj tego osobiście, Tomas - wtrącił Sean, gdy zbliżaliśmy się do stajni. - Elle codziennie rano ostrzy sobie język na osełce.

- Tylko po to, by móc ostrzej się z tobą zabawić, mój drogi.

Van Zandt popatrzył na mnie, wciąż nadęty.

- Z takim językiem nie znajdziesz sobie męża.

- Męża? Czemu miałabym go szukać? - zapytałam. - Miałam już jednego. Wykopałam go za drzwi.

Sean wyszczerzył zęby.

- Po co być czyjąś żoną, skoro można sobie poszaleć?

- Super jest być rozwódką - zgodziłam się. - Masz połowę kasy i żadnego zwracania głowy.

Van Zandt pogroził mi palcem, zbierając szczątki poczucia humoru.

- Potrzebna ci tresura, panno tygrysico. Inaczej byś zaśpiewała.

- Do tego potrzebne są bacik i stołek - podsunął Sean.

Van Zandt miał minę, jakby już sobie wyobraził to, a potem jeszcze coś więcej. Znow się uśmiechał.

- Dobrze wiem, jak radzić sobie z kobietami.

Kątem oka zobaczyłam nadchodzącą Irinę. Błysk długich, gołych nóg i szuranie wysokich pionierek. Widziałam, że ma coś w ręce. Wyglądała na rozgniewaną i mylnie założyłam, że wkurza się na Seana: że znow jest spóźniony, że rujnuje jej plan dnia lub popełnił jedno z pięćdziesięciu innych wykroczeń, które na ogół wprawiają Irinę w złość. Zatrzymała się dwa metry od nas, wrzasnęła coś wściekle po rosyjsku i cisnęła tym, co miała w ręce.

Van Zandt krzyknął zdumiony, ledwo zdążył się zasłonić ramieniem przed podkówną lecącą prosto w jego głowę.

Sean odskoczył przerażony.

- Irina!

Nasza stajenna rzuciła się na Van Zandta z prędkością pocisku, krzycząc:

- Ty świni! Ty brudny wieprzu!

Stałam jak wryta, patrząc z niedowierzaniem, jak Irina okłada go pięściami. Była chuda jak patyk, lecz silna jak kierowca ciężarówki, na co wskazywały mięśnie, wyraźnie zarysowujące się pod skórą. Van Zandt próbował unikać ciosów, niezgrabnie uciekając do tyłu i na boki, lecz Irina przyczepiła się do niego jak rzep.

- Ty głupia suko! Zabierzcie ją ode mnie! Zabierzcie ją!

Sean doskoczył do szamoczącej się pary, jedną ręką chwycił dziewczynę za włosy, drugą przytrzymał jej ramię z furią okładającą Van Zandta.

- Irina! Przestań!

- Skurwiel! Śmierdzący skurwysyn! - wykrzykiwała, podczas gdy Sean starał się ją odciągnąć na bok. Obrzuciła Belga kolejną wiązaną rosyjskich przekleństw, po czym splunęła na niego z impetem.

- To wariatka! - uniósł się Van Zandt, ocierając krew z pękniętej wargi. - Powinno się ją zamknąć!

- Jak mniemam, spotkaliście się już wcześniej - powiedziałam beznamiętnie.

- Widzę ją pierwszy raz w życiu. Głupia ruska dziwka.

Irina wierzgnęła w objęciach mocno trzymającego ją Seana, jej twarz wyrażała czystą nienawiść.

- Następnym razem rozerwę ci gardło i nasram do płuc, psie. Za Saszę.

Van Zandt cofnął się, jakby się czegoś przestraszył. Jego nienagannie zazwyczaj ułożone włosy sterczały na wszystkie strony.

- Irina! - Sean nie ukrywał wzburzenia.

- Może zostawimy panów na chwilę samych? - zaproponowałam, biorąc Irinę pod ramię i lekko popychając ją w kierunku domu.

Irina skrzywiła się i wykonała w kierunku Van Zandta wulgarny gest, ale zgodziła się pójść ze mną.

Weszliśmy do baru wyłożonego mahoniem, z barkiem i skórzanymi fotelami. Irina krążyła po pokoju, miotając przekleństwa. Wyjęłam z lodówki butelkę stolicznej i nalalam porządną porcję do kryształowej szklanki.

- Twoje zdrowie, dziewczyno - wzniosłam toast i podałam szklankę Irinie. Wypiła jej zawartość, jakby to była woda. - Jestem pewna, że Van Zandtowi od dawna się zbierało, ale może wytłumaczysz mi, o co dokładnie wam poszło?

Zawrzała i wylała z siebie potok wyzwisk, potem westchnęła i w sekundzie była opanowana.

- To nieprzyjemny facet - oznajmiła.

- Cóż, facet, który dostarcza paszę, też nie jest przyjemny, dla niego jednak nigdy tak się nie starałaś. Kim jest Sasza?

Wyjęła papierosa z pudełka stojącego na barze, zapaliła go i mocno się zaciągnęła. Powoli wydmuchiwała dym, elegancko przechylając głowę. W zeszłym życiu mogła być Greta Garbo.

- Sasza Kulak. Moja przyjaciółka z Rosji. Pojechała pracować do tej belgijskiej świni, po tym jak naobiecował jej tysiące różnych rzeczy. Miał jej płacić, dawać jeździć na najlepszych koniach, mieli być jak partnerzy, a on zrobiłby z niej gwiazdę pokazów. Fałszywy śmierdziel. Chciał tylko mieć ją dla siebie. Ściągnął ją do Belgii i traktował jak swoją własność. Uważał, że powinna się z nim pieprzyć, kiedy tylko on będzie miał na to ochotę, i jeszcze być wdzięczna. A ona powiedziała „nie”. To była piękna dziewczyna. Czemu miałyby spać z takim staruchem jak on?

- Czemu ktokolwiek miałby to robić...

- Był dla niej potworem. Trzymał ją w przyczepie bez ogrzewania. Musiała korzystać z toalety w jego stajni, gdzie podglądał ją przez dziurę w ścianie.

- Czemu nie odeszła?

- Miała osiemnaście lat i bardzo się bała. Była w obcym kraju, nie знаła ludzi i nie mówiła w ich głupim języku. Nie wiedziała, co począć.

- Nie mogła pójść na policję?

- W końcu poszła z nim do łóżka - powiedziała, wzruszając ramionami w sposób nie do podrobienia przez jakąkolwiek Amerykankę. - Ale wciąż traktował ją okropnie. Zaraził ją opryszczką. Po jakimś czasie Sasza ukradła mu trochę pieniędzy i uciekła, kiedy on oglądał jakieś konie w Polsce. Zadzwoił do jej rodziny i groził im z powodu tych pieniędzy. Nakłamał im o Saszy. Gdy dotarła do domu, ojciec wyrzucił ją na ulicę.

- Uwierzył Van Zandtowi, a nie własnej córce?

Zrobiła grymas.

- Są do siebie bardzo podobni.

- I co stało się z Saszą?

- Zabiła się.

- Mój Boże, Irina. Tak mi przykro.

- Sasza była delikatna, jak porcelanowa laleczka - palila przez chwilę, rozmyślając. - Gdyby jakiś facet zrobił mi coś takiego, nie popełniłabym samobójstwa. Obciąłabym mu fiuta i dała go świniom do zjedzenia.

- Ciekawy pomysł.

- Potem bym go zabiła.

- Gdyby lepiej ci wyszedł rzut podkową, już dziś mogło ci się to udać.

Irina nalała sobie kolejną porcję wódki i powoli ją sączyła, a ja zastanawiałam się nad tym, co powiedziała. Van Zandt wykorzystujący swą przewagę, by zdominować młodą dziewczynę. Większość dorosłych ludzi z trudem znosiła jego zmienne nastroje, dla niej musiało to być o wiele za dużo. Zastługiwał dokładnie na to, co wymyśliła dla niego Irina.

- Wiedz, że z chęcią bym go przytrzymała, żeby łatwiej ci było kopać. Ale Sean na pewno zażąda, żebyś go przeprosiła.

- Może mnie pocałować w mój rosyjski tyłek.

- Nie musisz przecież być szczerą.

Zastanowiła się nad tym. Gdybym była na jej miejscu, z pewnością powiedziałabym Seanowi, żeby całował mnie w tyłek. Ale w obecnej sytuacji nie mogłam zrazić Van Zandt, szczególnie w świetle tego, co przed chwilą usłyszałam od Iriny. Jej przyjaciółka Sasza nie żyła. Lecz może dla Erin Seabright wciąż była szansa.

- No, dawaj - chciałam uprzedzić jej ewentualną odmowę. - Miej to za sobą. Zabijesz go, gdy będziesz miała dzień wolny.

Poszłam przodem. Sean i Van Zandt stali na trawniku nieopodal podestu do wsiadania. Van Zandt wciąż był czerwony na twarzy i rozcierał miejsce na ramieniu, gdzie trafiła go podkova.

Irina odczepiła Tino z haka w stajni i wyprowadziła konia na zewnątrz.

- Sean, przepraszam za mój wybuch - powiedziała, podając mu lejce. - Przykro mi, że przyniosłam ci wstyd.

Popatrzyła na Van Zandt z zimną pogardą.

- Przepraszam, że zaatakowałam cię na terenie posiadłości Seana.

Van Zandt nic nie odpowiedział, stał tylko, wlepiając w nią wzrok.

Dziewczyna zerknęła na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz, jaka z niego świnia?”. Oddaliła się w kierunku altany po drugiej stronie czworoboku, wspięła się po schodach i wygodnie usiadła w ogrodowym fotelu.

- Nasza caryca - powiedziałam.

- Mógłbym zadzwonić na policję - z urazą oznajmił Van Zandt.

- Ale nie sądzę, żebyś chciał.

- Powinno się ją zamknąć.

- Tak jak jej przyjaciółkę Saszę? - zapytałam niewinnym tonem, pragnąc wbić mu nóż między żebra.

Zatrzęsły mu się usta, jakby zaraz miał wybuchnąć płaczem.

- Uwierzyłaś w jej oszczerstwa? Nie zrobiłem nic złego. Dałem tej dziewczynie pracę, mieszkanie...

Opryszczkę.

- A ona mnie okradła - kontynuował Van Zandt. - Traktowałem ją jak córkę, a ona okradła mnie, a potem obrabiała mi dupę, opowiadając na mój temat niestworzone kłamstwa!

Znów pozował na ofiarę. Wszyscy zwrócili się przeciw niemu. Jego motyw zawsze były czyste. Nie chciałam mu wyjaśniać, że jeśli w Ameryce ktoś tak potraktowałby swoją córkę, skończyłby w więzieniu, z którego wyszedłby jako zarejestrowany przestępca seksualny.

- Co za brak wdzięczności - zauważyłam.

- Uwierzyłaś jej - rzucił oskarżycielskim tonem.

- Wierzę tylko w pilnowanie swojego nosa. Twoje życie seksualne mało mnie interesuje.

Założył ręce, zrobił nadąsaną minę i popatrzył w dół, na swoje mokasyny z frędzlami. Sean dosiadł konia i teraz rozgrzewał się na arenie.

- Zapomnij o Irinie - powiedziałam. - To tylko najemna pracownica. Kogo obchodzi, co sądzą stajenni? Powinno się ich traktować jak dzieci - widzieć, ale nie słyszeć.

- Te dziewczuchy powinny znać swoje miejsce - wymamrotał z groźbą w głosie, wyciągając kamerę z torby. - Albo ktoś będzie musiał im je pokazać.

Po kręgosłupie przeszedł mi dreszcz, jakby ktoś przejechał po nim zinnym, kościstym palcem.

Gdy staliśmy, patrząc na starania Seana, wiedziałam, że ani ja, ani on nie skupiamy uwagi na umiejętnościach konia. Dobry humor Van Zandta rozwiął się bezpowrotnie. Z pewnością zastanawiał się, jak uratować reputację. Wiedział, że Irina rozsiewe plotki o Saszy po całym Wellington, ja może również, a on zacznie tracić klientów. A może po prostu fantazjował na temat uduszenia Iriny gołymi rękami, wyobrażając sobie delikatne kości szyi, które trzaskają jak suche gałązki. Irina siedziała w altanie, paliła, machała nogą przerzuconą przez oparcie dużego, wiklinowego fotela i ani na sekundę nie zdejmowała z Van Zandta przeszywającego wzroku.

Moje myśli biegły w inną stronę. Zastanawiałam się, czy Tomas Van Zandt uznał, że Erin Seabright również powinna z wdzięcznością przyjąć jego zaloty, i „pokazał jej właściwe miejsce”. Rozważyłam moje wcześniejsze podejrzenie, że to Erin rzuciła Chada dla starszego mężczyzny, i pomyślałam, że może Van Zandt lub ktoś w jego typie złożył jej wiele pięknych obietnic, które potem złamał w najokrutniejszy sposób. Zastanawiało mnie również, czy do tej tragedii mogło dojść za przyzwoleniem Bruce’a Seabrighta.

Erin nigdy nie pasowała do jego ideału córki, a teraz miał ją z głowy. Gdyby znaleziono ją martwą, czy choć przez moment poczułby wyrzuty sumienia? Gdyby nigdy jej nie odnaleziono, czy czułby się przynajmniej częściowo odpowiedzialny? Czy byłby raczej zadowolony z dobrze wykonanej roboty?

Przypominałam sobie mego ojca. Czy on także poczułby ulgę, gdyby dowiedział się, że jego niewdzięczna córka po prostu znikła? Pewnie tak. Głośno przeciwstawiałam się wszystkiemu, czym był i w co wierzył. Zagrałam mu na nosie i podjęłam pracę polegającą na łapaniu ludzi, których on bronił w sądzie, ludzi, którzy z własnych kieszeni płacili za luksus mego dzieciństwa. Lecz patrząc na to z drugiej strony, może dla niego znikłam już dawno. Nie widziałam go ani nie rozmawiałam z nim od lat. Przestałam dla niego istnieć.

Przynajmniej to nie mój ojciec skazał mnie na nieszczęście i porażkę - moje klęski były moją własną zasługą.

Jeśli Bruce Seabright wystawił Erin Hughesowi, a ten Jade'owi, przez które Erin zetknęła się z Van Zandtem, to dziewczyna od początku nie miała nic do powiedzenia w sprawie własnego przeznaczenia. Ironią losu było to, że Erin wierzyła, iż porzucając dom, zyskuje niezależność i kontrolę nad własnym życiem. Lecz teraz, im dłużej nie potrafiliśmy jej znaleźć, tym mniejsze były szanse, że w ogóle wyjdzie z tego żywa.

Zanim Sean skończył pokaz, przyjechał jego trener i musiałam sama odprowadzić Van Zandta za bramę.

- Czy myślisz, że twoja klientka z Wirginii będzie zainteresowana? - zapytałam.

- Lorinda Carlton? - po europejsku wzruszył ramionami. - Powiem, że ma być, to będzie - oświadczył. Oto słowa Van Zandta, amen. - Nie jest dobrym jeźdźcą, ale ma do wydania sto tysięcy dolarów. Wszystko, co muszę zrobić, to przekonać ją, że ten koń to jej przeznaczenie, i wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Wszyscy oprócz kobiety, która wyda fortunę na konia, ale nie będzie potrafiła nad nim zapanować. Wtedy Van Zandt będzie mógł ją przekonać, by go sprzedała i kupiła następnego. Zarobi na obu transakcjach i biznes będzie się kręcił.

- Nie powinienesz zdradzać swoich sekretów handlowych - powiedziałam. - Bo cały czar prysnie.

- Jesteś inteligentną kobietą, Elle. Wiesz, jak działa ten koński światek. To twarda gra. Ludzie nie zawsze są dla siebie mili. Ale ja dbam o swoich klientów. Jestem wobec nich lojalny i tego samego oczekuję od nich. Lorinda mi ufa. Pozwala mi nawet mieszkać w swoim domu, gdy przyjeżdżam do miasta w pełni sezonu. Widzisz, jak wdzięczni są moi przyjaciele?

- To tylko twoje zdanie - powiedziałam sucho.

Bez chwili wahania zdradziłby swoją świetną przyjaciółkę Lorindę, jeśli miałby na widoku bardziej dochodowy układ z Seanem Avadonem. Przyznał się do tego bez mrugnięcia okiem, a już w następnym zdaniu mówił o lojalności, jakby był ucieleśnieniem wszelkich cnót.

- Jesteś wolna dziś wieczorem, Elle? Mógłbym zabrać cię na kolację do „The Players” i opowiedzieć ci o koniu, którego ci znajdę. Co ty na to?

Propozycja była odrażająca. Wyczerpana, obolała, po dziurki w nosie miałam tego obrzydliwego typu wraz z jego biegunowymi skokami nastrojów. Miałam ochotę zrobić to, co Irina: rzucić się na niego z pięściami i wylać na niego kubek pomysł. Zamiast tego powiedziałam:

- Nie dziś, Zi. Boli mnie głowa.

Znów wyglądał na urażonego i niezadowolonego.

- Nie jestem potworem. Mam swoje zasady. Mam charakter. Ludzie w tym biznesie wciąż na siebie napadają i rozsiewają plotki. Powinnaś być mądrzejsza i nic wierzyć we wszystko, co słyszysz.

Podniosłam rękę.

- Przestań. Po prostu przestań, dobrze? Jezu! Jestem zmęczona. Boli mnie głowa. Mam ochotę spędzić wieczór w jacuzzi. I nie chcę, żeby ktokolwiek cokolwiek do mnie mówił. Pewnie trudno ci to zrozumieć, ale nie chodzi tu w ogóle o ciebie.

Nie uwierzył, lecz przynajmniej zmienił ton. Wyprostował się i kiwnął głową.

- Przekonasz się, Elle Stevens. Zadbam o ciebie. Zrobię z ciebie zwycięzcę - powiedział. - I wtedy zobaczysz, jakim naprawdę jestem człowiekiem.

Jak się miało okazać, była to jedyna obietnica, której dotrzymał.

XIV

Jill stała naprzeciw taniego, dużego lustra, nie mając na sobie nic poza makiżajem, koronkowym stanikiem i stringami. Oglądała się z każdej strony, ćwicząc różne role. Nieśmiała, potulna, seksowna. Najbardziej podobała się jej seksowna. Pasowała do stanika.

Stanik był za mały o parę rozmiarów i wpijał się w boki, ale sprawiał, że pierśi wydawały się jeszcze większe, co uznała za dobry efekt. Tak jak u kobiet z „Hustlera”, wydawały się wylewać z miseczek. Z łatwością wyobraziła sobie, jak Jade zatapia twarz w rowek między nimi. Ta myśl sprawiła, że poczuła przyjemne łaskotanie pomiędzy nogami, co skierowało jej uwagę na stringi.

Też były na nią za małe. Cieniutkie paseczki wrzynały się w tłuszcz na jej biodrach. Włosy łonowe wystawały kępkami po obu stronach koronkowego trójkątka. Obróciła się i spojrzała na swój tyłek, nagi, biały, szeroki i pokryty dołeczkami. Nie podobało jej się, że pasek z tyłu tak mocno wpija się w szczelinę między pośladkami, ale pomyślała, że lepiej będzie, jeśli się do tego przyzwyczai. Stringi są seksowne. Faceci na nie lecą. Żałowała tylko, że ta suka Erin musiała być taka chuda. Może gdyby majtki przewidziane były dla normalnej osoby, nie byłyby takie niewygodne.

Cóż. Przynajmniej nic jej nie kosztowały. W zasadzie nawet trochę podniecało ją, że bielizna należała do kogoś innego. Ona, Jill, zajęła teraz miejsce Erin - w stajni, w całym świecie. Teraz, gdy nie ma już Erin, Jill mogła być tą zabawną i kokieterijną. Jill mogła być tą mądrą.

Ale wciąż będzie pozostawać w cieniu Paris Montgomery.

Ta dziwka!

Jill zmarszczyła brwi na wspomnienie Paris. Z lustra spojrzała na nią bardzo brzydka dziewczyna.

Nienawidziła Paris. Nienawidziła jej uśmiechu, wielkich oczu, jej blond włosów. Nienawidziła Paris nawet bardziej niż Erin. A ich dwóch razem nienawidziła bardziej niż czegokolwiek na świecie. Razem były jak dwie najpopularniejsze dziewczyny w szkole: zbyt fajne, by trzymać z kimś takim jak Jill. Zawsze miały te swoje niezrozumiałe żarty i znaczące spojrzenia. Przynajmniej nie

musiała już więcej znosić tego gówna. Ale została Paris.

Mężczyźni zabijali się, by być w pobliżu Paris. Sprawiała, że wszyscy robili to, czego chciała. Nikt nie zauważał, że jest pełna fałszu. Wszyscy myśleli, że jest taka fajna, słodka i miła. A wcale nie jest miła. Gdy nikt nie patrzy, jest twarda, chamaska i złośliwa. Zawsze robiła zjadliwe uwagi na temat tego, że Jill za dużo je, że Jill powinna ćwiczyć, że Jill nie wie, jak się ubrać.

Jill zmierzyła swoje odbicie z góry na dół i nagle zobaczyła to, co widziała Paris Montgomery. Nie seksowną kobietę w seksownej bieliźnie, ale tłustą twarz z małymi, świńskimi oczkami i brzydko wykrzywionymi, zgorzkniałymi ustami; ramiona wypchane tłuszczem; grube nogi z dołeczkami w kolanach; ciało, którego nienawidziła tak bardzo, że czasami wyobrażała sobie, że bierze nóż i odcina je wielkimi kawałami. Była ohydna i żalсна w tej swojej za malej, kradzionej bieliźnie.

Łzy popłynęły jej spod zaciśniętych powiek, a twarz pokryła się czerwonymi plamami. To nie jej wina, że jest gruba. Matka pozwoliła, by taka się stała, kiedy była jeszcze dzieckiem. Teraz nie mogła nic poradzić, że jadła wtedy nieodpowiednie rzeczy. I to nie jej wina, że nie uprawia sportu. Pod koniec dnia jest zawsze zmęczona - bez względu na to, że ta suka Paris wciąż oskarża ją, że nie pracuje dość ciężko.

A dlaczego miałyby pracować ciężiej dla Paris? Paris nie daje jej żadnej zachęty, by miała bardziej się starać, więc to wina Paris. I to nie wina Jill, że nie ma ładnych ubrań. Nie płacą jej tyle, żeby mogła kupować sobie ładne rzeczy. Musi je kraść w sklepach. A zasługuje na nie tak samo jak wszyscy - nawet bardziej, bo przecież wszyscy są dla niej tacy źli.

Ale ona jeszcze pokaże Paris, myślała, grzebiąc w stercie ubrań leżącej na rozwalonym łóżku. Zajmie miejsce Paris Montgomery, tak jak zajęła miejsce Erin Seabright.

Jill wiedziała, że może być równie dobrym jeźdźcem, jak Paris, jeśli tylko ktoś da jej szansę. Nigdy nie miała wystarczająco dobrego konia, to wszystko. Ojciec kupił jej lichą, taną appaloosę. Jak miała cokolwiek osiągnąć na czymś takim? Napisała raz do brata swojej matki, czy nie kupiłby jej prawdziwego konia. Nie rozumiała, dlaczego nie miały tego zrobić. Był w końcu bogaty. Co to

dla niego siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt tysięcy? Ale nigdy nawet jej nie odpowiedział. Skąpy dziad.

Jemu też pokaże. Wszystkim pokaże. Będzie bogata, będzie miała najlepsze konie i pojedzie na olimpiadę. Wszystko już zaplanowała. Potrzebuje zmiany i wie dokładnie, jak się za to zabrać.

Ze sterty ubrań, które zostawiła Erin, wybrała białą, obcisłą, koronkową bluzeczkę, przez którą wszystko było świetnie widać. Jill wzięła sobie te rzeczy. Czemu nie? To nawet nie była kradzież, jeśli ona tak po prostu je zostawiła. Z trudem wbiła się w bluzeczkę. Choć była elastyczna, rozchodziła się na piersi między guzikami. Jill rozpięła trzy górne, pokazując rowek między piersiami i koronki czarnego stanika. Pomogło. To było naprawdę seksowne. Tak właśnie ubiera się Britney Spears. I dlatego Erin to kupiła. Erin zawsze nosiła krótkie, obcisłe bluzeczki i spodnie zawieszane nisko na biodrach. I faceci zawsze się na nią gapili - nawet Don.

Jill przerzuciła kolejną stertę ubrań. Wydobyła z niej fioletową, obcisłą mini-spódniczkę, którą ukradła z Wal-Martu. I tak była wyprzedaż. Sklep dużo nie stracił. Schyliła się i przełożyła spódniczkę przez stopy, a potem skręcała się, wila i podskakiwała, aż w końcu udało się jej w nią wcisnąć. Linia zbyt ciasnych stringów wyraźnie odznaczała się na biodrach, lecz Jill doszła do wniosku, że to nawet dobrze - wyglądało jak w reklamie.

Para dużych, okrągłych kolczyków, naszyjnik, który zabrała z pokoju Erin, garść brzęczących bransoletek wyniesionych z Bloomingdale i była gotowa. Włożyła sandały na grubej podeszwie i wyszła. Dzisiejszej nocy miała zamiar wszystkim pokazać. Dziś miała rozpocząć nowe życie.

Landry siedział przy biurku, przewijając strony na monitorze komputera i czując się jak dupek. Była piątkowa noc, a on spędzał ją właśnie w ten sposób.

To wina Estes, pomyślał, gniewnie marszcząc twarz. Te słowa były dziś jego mantrą. Zalaża mu za skórę jak cierń. To przez nią siedział tu teraz, przeglądając stare artykuły.

Sala odpraw była prawie pusta. Kilku chłopaków z nocnej zmiany odwalalo papierkową robotę. Czas pracy Landry'ego dawno się skończył, a czterej jego

kumple poszli do domu, do swoich dziewczyn, żon i dzieci, a może siedzieli w ulubionym pubie, pijąc i przeklinając cały świat, czego zresztą świat się po nich spodziewał.

Landry próbował wygrzebać coś na temat całej tej końskiej bandy. Jade i jego asystentka nie byli notowani. Stajenna, która podobno pieprzyła się z Jade'em, została parę razy złapana na kradzieży w sklepie i raz na prowadzeniu po pijanemu. Od razu się domyślił, że to nie jest porządna dziewczyna, i miał rację. Nie wierzył, że była z Jade'em w czwartkową noc, ale z jakiegoś powodu chciała dać mu alibi. Landry musiał się jeszcze zastanowić nad jej motywem.

Może dziewczyna wiedziała, że Jade był zamieszany w uwolnienie koni Berne'a? A może sama to zrobiła i dając alibi Jade'owi, dawała je również sobie? Może Jade zażądał, by wykonała dla niego tę robotę? Wydawał się zbyt cwany, by samemu pakować się w coś takiego. Jeśli ktoś przyłapałby dziewczynę, Jade mógł zawsze oświadczyć, że nie ma z tym nic wspólnego. Mógłby zeznać, że dziewczyna próbowała w chybiony sposób zasłużyć na jego uznanie.

Michael Berne był święcie przekonany, że za incydem stoi Jade. Gdy Landry przesłuchiwał go po południu, był pewien, że Berne rozplacze się lub udławi, kiedy oskarżał Jade'a o wszystkie porażki swojego życia. Jak to nazwała Paris Montgomery? Że Berne obwinia Jade'a o wszystko z wyjątkiem własnego braku talentu. Berne był bliski uznania Jade'a za antychrysta końskiego świata, przyczynę całego zła.

Może nie do końca się mylił.

Estes powiedziała mu o przeszłości Jade'a za pierwszym razem, gdy do niego przyszła i wspomniała o zabijaniu koni w celu wyłudzenia pieniędzy od firm ubezpieczeniowych. Ale nikt nie potrafił facetowi nic udowodnić. Jade wywijał się niczym piskorz.

Przekrety ubezpieczeniowe, zabójstwa koni - co o tym wszystkim mogła wiedzieć Erin Seabright, zastanowił się Landry. I czemu nie było jej w pobliżu, by mogła odpowiedzieć na wszystkie pytania?

Po południu zadzwonił do Ocala, z prośbą o zlokalizowanie dziewczyny. Postawił też w stan pogotowia służby drogowe w całym okręgu Palm Beach - będą szukać samochodu Erin. Pewnie opuściła miasto z powodu nowej pracy lub chłopaka, ale wolał się zabezpieczyć w razie gdyby było inaczej.

A jeśli ktoś go zapyta, co on do cholery wyprawia, powie, że to wszystko wina Estes, pomyślał ze złością.

Wypił łyk kawy i obejrzał się przez ramię. Chłopaki z nocnej zmiany nadal siedzieli w papierach. Landry wstukał kluczowe słowa, by znaleźć raport prasowy z wpadki w przyczepie Golamów sprzed dwóch lat. Czytał go już wcześniej tego dnia, wiedział, co w nim znajdzie, i wiedział, na którym fragmencie zatrzyma się jego wzrok: na akapicie, w którym opisano, jak oficer śledczy z wydziału narkotyków Elena Estes uczepliła się drzwi ciężarówki Billy'ego Golama, by następnie spaść pod nią. Przez pięćdziesiąt metrów samochód ciągnął ją po Okeechobee Boulevard. W czasie gdy powstawał artykuł, leżała w szpitalu w stanie krytycznym.

Próbował sobie wyobrazić, przez co musiała przejść od czasu tamtych wydarzeń, ile dni, tygodni, miesięcy spędziła w szpitalnym łóżku. Nie mógł pojąć, co ją opętało, by rzucić się na tę ciężarówkę i próbować siłą odebrać kierownicę Billy'emu Golamowi.

Goście od narkotyków. Banda kowbojów, wszyscy co do jednego.

Mińły dwa lata. Ciekawe, co Estes robiła w tym czasie. I dlaczego zdecydowała się wyjść z ukrycia dla tej sprawy? Zastanowił się, jak to się stało, że ich ścieżki w końcu się przecięły.

Był pewny jak cholera, że nie chce kłopotów, które przynosi ta kobieta. Ale było już za późno. Połknął haczyk. Prowadził tę sprawę.

Wszystkiemu winna była Estes.

Jill wybiegła frontowymi drzwiami klubu „The Players”, łkając i z trudem łapiąc powietrze. Z jej oczu płynęły rzęsiste łzy, zostawiając na policzkach czarne zacieki rozmazanego tuszu.

Dwóch mężczyzn z obsługi parkingu stało nieopodal, gapiąc się bez słowa. Żaden z nich nie zapytał, czy przyprowadzić jej samochód - patrząc na nią, łatwo można było się domyślić, że nie ma samochodu, który warto parkować. Oni parkowali jedynie samochody ludzi bogatych, pięknych i szczupłych.

- Na co się gapiacie? - warknęła Jill. Popatrzyli na siebie, uśmiechając się z wyższością. - Pieprzcie się! - krzyknęła i z płaczem pobiegła przez parking. W biegu jej stopa osunęła się z wysokiego koturnu i Jill poczuła ból w zwichniętej kostce. Potykając się, upuściła wyszywaną koralikami torebkę ukradzioną w

sklepie Neimana Marcusa. Jej zawartość rozsypała się po chodniku.

- Niech to szlag! - padła na kolana, chwyciła szminkę i paczkę kondomów, łamiąc przy tym paznokieć. - Kurwa...!

Ślina, łzy i smarki spływały z jej twarzy na beton chodnika. Jill kucnęła, zwinęła się w kłębek i zawyla okropnym, pełnym bólu głosem. Bo była okropna, tak jak jej ubranie i głos. Ból urósł w niej jak wielki wrzód i pękł, powodując następny potok łez.

Dlaczego? Przez całe życie tysiące razy zadawała sobie to pytanie. Dlaczego musiała być tą grubą, brzydką dziewczyną, której nikt nie lubił, nie mówiąc o kochaniu? To niesprawiedliwe. Dlaczego musiała ciężko pracować, by się zmienić, podczas gdy suki takie jak Erin lub Paris miały to wszystko za darmo?

Wytarta twarz rękawem białej bluzki, zebrała resztę swoich rzeczy i spróbowała się podnieść. Elegancka para starszych ludzi wysiadających ze swego jaguara popatrzyła na nią ze zgrozą. Jill pokazała im środkowy palec. Kobieta wydała stłumiony okrzyk strachu, a mężczyzna opiekuńczo otoczył ją ramieniem i poszli do klubu.

Jill otworzyła samochód, rzuciła na siedzenie pasażera torebkę i jej zawartość. Siadła ciężko za kierownicą, zatrzasnęła drzwi i ponownie wybuchnęła płaczem. Uderzała pięściami o kierownicę, o szybę i znów o kierownicę. Przypadkiem nacisnęła klakson, a jego nagły dźwięk ją przestraszył.

Jej wielki plan. Jej noc uwodzenia. Boże, jaka ona była śmieszna!

Poszła do „The Players”, bo wiedziała, że będzie tam Jade. Myślała, że może zaprosi ją na drinka, a wtedy ona zacznie z nim flirtować i mimochodem wspomni, jak dziś uratowała go przed dalszymi pytaniami tego policjanta. Jade miał okazać podziw dla jej błyskotliwości i być wdzięczny za lojalność. Aż w końcu pojechaliby do niego, gdzie wygrzmociłby ją tak, że nie wiedziałaby, jak się nazywa. To miała być faza pierwsza pozbywania się Paris.

Ale wszystko poszło źle, ciągle miała pecha. Cały bezsensowny świat sprzyścił się przeciwko niej. Gdy przyjechała, Jade’a jeszcze nie było i szef klubu chciał wyrzucić ją za drzwi. Po tym, jak mierzył ją wzrokiem, domyśliła się, że uznał ją za tanią dziwkę czy coś w tym stylu. Nie uwierzył, gdy powiedziała, że jest tu z kimś umówiona. A kelnerka i barman gapili się na nią i coś do siebie

szeptali, podczas gdy ona siedziała przy stole jak idiotka, pijąc colę light, bo nie chcieli uznać jej fałszywego dowodu i sprzedać jej alkoholu. Później przyplątał się ten pajac Van Zandt, prawie kompletnie zalany, i się do niej przysiadł.

Co za palant. Zawsze mówił o niej same najgorsze, najohydniejsze rzeczy, a teraz wyobrażał sobie, że może po prostu udawać miłego i w ten sposób dobrać się do jej majtek. Przez piętnaście minut nie odrywał oczu od jej cycków. A kiedy powiedziała mu, że czeka na kogoś innego, był na tyle bezczelny, by zgrywać urażonego. Jakby ona w ogóle kiedykolwiek mogła mieć ochotę na seks z takim obleśnym staruchem. I co z tego, że postawił jej parę drinków? To nie znaczy, że od razu jest mu winna obciążanie, czego wyraźnie się domagał. Jeśli miała dzisiaj ssać czyjś fiuta, to na pewno nie jego.

No a potem w końcu pokazał się Jade. I popatrzył na nią z takim obrzydzeniem, że chciała zniknąć jak bańka mydlana. Jego pełne złości słowa wciąż dzwoniły jej w uszach, jakby je do niej wykrzyczał, choć w rzeczywistości cicho poprosił, by wyszła z nim do holu, a potem mówił do niej prawie szeptem.

- Co ty sobie wyobrażałaś, przychodząc tu ubrana w ten sposób? - zapytał oskarżycielsko. - Jesteś moją pracownicą. To, co robisz publicznie, ma wpływ na mój wizerunek.

- Ale ja tylko...

- Nie chcę, by kojarzono moją stajnię ze słowami „uliczna dziwka”.

Jill krzyknęła cicho, jakby ją uderzył. Właśnie wtedy w holu pojawił się Michael Berne. Widziała kątem oka, jak udawał, że dzwoni, w rzeczywistości im się przyglądając.

- Spotykam się tu z moimi klientami - ciągnął Jade. - Prowadzę interesy.

- J-ja... chciałam tylko z p-panem się zobaczyć - oddech grzął jej w gardle, do oczu napłynęły łzy. - Chciałam panu powiedzieć o- o...

- Co z tobą jest nie tak? Na jakiej podstawie wyobrazasz sobie, że możesz przyjść tu i zakłócać mój wieczór?

- Ale... m-muszę panu powiedzieć... ja... j-ja wiem o Stellarze...

- Jeśli chcesz ze mną o czymś porozmawiać, możesz zrobić to w stajni, w czasie pracy.

- A-ale...

- Czy wszystko w porządku? - zapytał Michael Berne, wtrącając się, jakby cokolwiek go to obchodziło. Piegowaty idiota.

- Michael, to ciebie nie dotyczy - powiedział Jade.

- Ta młoda dama wydaje się zdenerwowana.

Lecz kiedy spojrział na nią, Jill wiedziała, że ona i jej zmartwienia nic go nie obchodzą. Patrzył na nią tak, jak wszyscy mężczyźni tej nocy - jakby wystawiała się na sprzedaż i powinna obniżyć cenę.

Popatrzyła na niego wściekle przez mgłę załzawionych oczu i powiedziała:

- Spadaj, gościu. Nie potrzebujemy cię tutaj ani nigdzie indziej.

Berne zaczął się oddalać.

- Powinieneś prać swoje brudy w domu, Jade - rzucił na odchodnym tonem nadętego pedzia. - To naprawdę mało profesjonalne.

Jade zaczął, aż Berne zniknął z pola widzenia, i ponownie zwrócił się do niej, jeszcze bardziej wkurzony.

- Spływaj stąd. Wynoś się, zanim przyniesiesz mi więcej wstydu. Porozmawiamy o tym jutro z samego rana. Jeśli będę mógł na ciebie patrzeć.

Równie dobrze mógłby dźgnąć ją nożem. Poczowała ból tak dojmujący i głęboki, jakby rzeczywiście to zrobił.

Pieprzyć go, pomyślała Jill. Don Jade jest jej szefem, a nie ojcem. Nie ma prawa jej mówić, jak powinna się ubierać i dokąd chodzić. I nie może bezkarnie nazywać jej dziwką.

Po tym, jak ciężko dla niego pracowała, potraktował ją w ten sposób. A ona chciała zostać jego partnerką - w łóżku i poza nim. Byłaby lojalna. Zrobiłaby wszystko. Ale on nie zasługuje ani na nią, ani na jej wierność i oddanie. Zasługuje na to, by ludzie zdradzali go i wbijali nóż w plecy. Zasługuje na wszystko, co najgorsze.

Gdy tak siedziała w samochodzie, w jej głowie powoli zaczął klarować się pomysł. Nie musi godzić się na takie traktowanie. Nie musi wysłuchiwać, jak ktoś obrzuca ją wyzwiskami. Może dostać pracę w każdej innej stajni. Pieprzyć Dona Jade'a.

Wyjechała z parkingu i skręciła w lewo na South Shore, zmierzając do centrum jeździeckiego i nie zwracając uwagi na samochód, który ruszył tuż za nią.

XV

Molly słyszała podniesione głosy matki i Bruce'a. Nie potrafiła odróżnić poszczególnych słów, jednak ton ich rozmowy nieomylnie wskazywał na kłótnię. Leżała na podłodze swojego pokoju, koło ujścia przewodu wentylacyjnego. Jej pokój był tuż nad gabinetem Bruce'a, do którego często wzywał mamę, Chada lub Erin, by wrzeszczeć na nich za najmniejsze wykroczenie przeciw ustanowionym przez niego zasadom. Molly już dawno nauczyła się pozostawać niezauważalna dla mężczyzn, z którymi spotykała się jej matka. Nie zrobiła wyjątku dla Bruce'a, pomimo iż teraz teoretycznie był jej ojcem. Nie myślała o nim w ten sposób - był jedynie osobą, w której domu przyszło jej mieszkać.

Kłótnia dotyczyła Erin. Imię jej siostry wyróżniało się na tle wznoszących się i opadających głosów. Coś się musiało zdarzyć. Matka była zdenerwowana już kiedy Molly przyszła ze szkoły - chodziła w tę i z powrotem po domu, biegając co chwila do tylnych drzwi na papierosa. Na obiad była pizza. Krystal nie zjadła ani kęsa. Za to Chad pochłoniął porcję zdolną zadławić wilka, po czym wypadł z domu przed powrotem ojca.

Gdy tylko Bruce przekroczył drzwi, Krystal poprosiła go o rozmowę w jego gabinecie.

Żołądek Molly skręcał się ze strachu. Usłyszała imię Erin i słowo „policja”. Głos jej matki przeszedł od rzeczowego do nerwowego, potem do histerycznego, a w końcu zmienił się w płacz. Bruce był po prostu zły. Pomiędzy głosami tych dwojga przewijał się mechaniczny dźwięk przypominający przewijanie kasety wideo - włączanie, wyłączanie i ponowne przewijanie. Molly nie mogła wyobrazić sobie, co mogło to oznaczać. Może Krystal znalazła kasetę porno w pokoju Chada. Lecz jeśli tak, to dlaczego w kółko powtarzali imię Erin?

Z bijącym sercem Molly wyszła z pokoju i zeszła na dół bocznymi schodami. Cały dom był ciemny, światło paliło się jedynie w gabinecie Bruce'a. Przeszła przez hol na palcach, wstrzymując oddech. Gdyby drzwi gabinetu otworzyły się w tej chwili, zostałaaby nakryta. Salon znajdował się tuż obok pokoju Bruce'a. Jeśli da radę tam się wślizgnąć... Schowała się w kącie za fikusem i przykucnęła pod ścianą.

- Nie zadzwonimy na policję, Krystal - powiedział Bruce. - Po pierwsze nie wierzę, że to prawda. To pewnie jakiś kawał...

- A co, jeśli nie?

- Powiedzieli, by nie wzywać policji.

- Mój Boże, nie wierzę, że to dzieje się naprawdę - powiedziała Krystal łamiącym się głosem.

- Nie rozumiem dlaczego - odparł Bruce. - Znasz swoją córkę. Wiesz dobrze, że zawsze były z nią same kłopoty.

- Jak możesz mówić coś takiego?

- Bardzo łatwo. To przecież prawda.

- Potrafisz być tak kurewsko okrutny - powiedziała Krystal. - Bruce! Au, to boli!

W oczach Molly zebrały się łzy. Objęła kolana ramionami, przyciągnęła je do piersi i próbowała powstrzymać łkanie.

- Mówiłem ci, żebyś nie używała wulgarnego języka. Nigdy nie będziesz damą, jeśli będziesz kłać jak szewc.

Krystal pospieszyła z przeprosinami.

- Przepraszam. Wybacz mi. Jestem zdenerwowana. Nie to miałam na myśli.

- Zachowujesz się kompletnie irracjonalnie, Krystal. Musisz się kontrolować. Przemyśl to jeszcze raz. Taśma wyraźnie mówi: żadnej policji.

- Co zrobimy?

- Ja się wszystkim zajmę.

- Ale ja myślę...

- Czy ktoś cię prosił, żebyś myślała?

- Nie.

- Kto podejmuje decyzje w tym domu, Krystal?

Krystal nabrała powietrza.

- Osoba, która jest najlepiej przygotowana do ich podejmowania.

- Czyli kto?

- Ty.

- Dziękuję. A teraz zostaw to mnie. Idź, zażyj tabletkę i połóż się do łóżka.

Dziś w nocy nic więcej nie zrobimy.

- Tak - miękko odpowiedziała Krystal. - Właśnie tak zrobię.

Molly wiedziała, że matka weźmie więcej niż jedną tabletkę i że popije je wódką. Ucieknie w swój własny świat i będzie udawać, że wszystko jest w

porządku. Molly czuła, że jej niedobrze. To, co usłyszała, przerażało ją. Co zrobiła Erin tym razem? Chyba coś strasznego, skoro Krystal chciała wzywać policję.

- Przejadę się. Muszę przewietrzyć głowę - powiedział Bruce. - Miałem okropny dzień, a teraz jeszcze to.

Molly siedziała nieruchomo, modląc się, by któreś z nich nie weszło z jakiegoś powodu do salonu. Usłyszała stukanie obcasów matki na kafelkach w holu. Krystal używała głównych schodów, bo były śliczne, a ona zawsze chciała mieć śliczny dom. Bruce minął drzwi do salonu w drodze do kuchni. Molly nie ruszyła się z miejsca, dopóki nie usłyszała, że wychodzi drzwiami do garażu. Zaczekała na dźwięk zapalnego silnika i zamykanej bramy, a potem jeszcze chwilę dłużej. Gdy była pewna, że sobie pojechał, wyczołgała się spod fikusa i poszła do jego pokoju.

Nikomu nie wolno było tam wchodzić, gdy Bruce'a nie było w domu. Oczekiwał, że wszyscy będą przestrzegać jego prawa do prywatności, pomimo że sam regularnie łamał to prawo w stosunku do innych. To był jego dom i nie pozwalał im o tym zapomnieć.

Molly włączyła stojącą na biurku lampkę i rozejrzała się wokół, po półkach z książkami i ścianach pokrytych zdjęciami Bruce'a ściskającego ręce ważnych ludzi oraz dyplomami Bruce'a za osiągnięcia w pracy i zasługi dla lokalnej społeczności. Wszystko w tym pokoju było rozmieszczone zgodnie z życzeniem Bruce'a i od razu by się zorientował, gdyby choć jeden przedmiot zmienił położenie o ułamek milimetra.

Molly obejrzała się za siebie, biorąc do ręki pilota od telewizora i magnetowidu. Nacisnęła czerwony guzik i drżąca z niecierpliwości czekała, aż obraz pojawi się na ekranie.

Film rozpoczął się bez napisów i tytułu. Dziewczyna stoi przy bramie na ciemnej, bocznej drodze. To Erin. Molly patrzyła z przerażeniem, jak do bramy podjeżdża furgonetka, z której wyskakuje zamaskowany mężczyzna, łapie Erin i wrzuca ją na tył samochodu.

Z głośników popłynął dziwny, mechaniczny głos: „Mamy waszą córkę. Nie wzywajcie policji”.

Ze łzami zalewającymi szkła okularów Molly zatrzymała taśmę, weszła na krzesło i sięgnęła, by wyciągnąć kasetę z odtwarzacza. Chciała wybuchnąć płaczem. Chciała zwymiotować. Nie zrobiła żadnej z tych rzeczy.

Kurczowo trzymając kasetę, pobiegła przez dom do holu, chwyciła kurtkę i zawinęła w nią kasetę, a następnie obwiązała się kurtką w pasie. Trzęsła się tak mocno, że nie była pewna, czy da radę zrobić to, co było konieczne. Wiedziała jedynie, że musi spróbować.

Otworzyła bramę garażu, wsiadła na rower i odjechała w noc, pedałując z całej siły.

XVI

Pomimo iż prawie każdy policjant w hrabstwie Palm Beach mnie nienawdził, miałam jeszcze parę kontaktów z dawnymi lat. Zadzwoiłam do agenta FBI, którego znałam z West Palm. Armedgian i jeszcze jeden agent kontrolowali kiedyś akcję, w której brał udział nasz wydział. Sprawa dotyczyła dealerów z West Palm Beach handlujących heroiną przemycaną z Francji. Armedgian koordynował współpracę między naszymi biurami, oddziałem FBI w Paryżu, władzami francuskimi i Interpolem. Sprawa ciągnęła się sześć miesięcy i przez ten czas Armedgian stał się nie tylko cennym kontaktem, ale i kolegą. Tego typu kolegą, do którego wciąż mogłam zatelefonować i poprosić o informacje.

Zadzwoiłam do niego pod wieczór i przypomniałam, kim jestem:

- Tu Estes, pamiętasz mnie? Zawsze będziemy mieć Paryż...

- Oczywiście - odpowiedział, jednak zanim to zrobił, w słuchawce przez chwilę panowała cisza. Gdy już się odezwał, w jego głosie słychać było napięcie.

Poprosiłam, by wydobył dla mnie z Interpolu jakieś informacje na temat Tomasa Van Zandta i jego firmy. Znów cisza w słuchawce. Wróciłam do akcji? Myślał, że rzuciłam robotę po tym, jak... cóż, po tym...

Wy tłumaczyłam mu, że pomagam przyjacielowi zaplątanemu w interesy z tym człowiekiem, o którym słyszałam, że jest oszustem. Nie chciałam wiedzieć nic poza tym, czy Van Zandt ma założoną kartotekę. Nie proszę chyba o zbyt wiele, prawda?

Armedgian tradycyjnie ponarzekał na kłopot, jaki mu to sprawi, i na niebezpieczeństwo odkrycia. Agenci federalni zachowują się czasem jak te dzieciaki w szkole, które naprawdę wierzą, że jeśli pójdą do ubikacji bez pozwolenia, będą

to miały na zawsze wpisane do akt i tracą szansę na jakąkolwiek karierę w przyszłości. Ale w końcu dał się uprosić.

Tomas Van Zandt nie stał się tym, kim był teraz, z dnia na dzień. Wydawało się całkiem możliwe, że skoro zastraszył i wykorzystał jedną dziewczynę, robił to samo i z innymi. Może któraś z nich odważyła się powiadomić policję. Z drugiej strony było to mało prawdopodobne - przynajmniej Van Zandtowi udało się zniewolić Saszę Kulak po części dlatego, że znalazła się w obcym kraju, w którym na dodatek przebywała nielegalnie. Historie innych dziewczyn mogły być podobne.

Sama myśl o tym przyprawiała mnie o furję. Van Zandt był krwio pijcą wykorzystującym bezbronne kobiety - czy to pracownice, czy klientki. To, co wkurzało mnie jednak najbardziej w tej sytuacji, to fakt, że kobiety najczęściej nie chciały uwierzyć, że mężczyźni typu Van Zandta rzeczywiście są niebezpieczni, a jeśli już poczuły to na własnej skórze, przyjmowały rolę ofiary, wmawiając sobie, że cierpienie jest ich przeznaczeniem. A psychopata pokroju Van Zandta wyczuwał to na kilometr.

Popatrzyłam na jego wizytówkę. Było już późno, mogłam jednak zadzwonić do niego na komórkę, jeszcze raz przeprosić za zachowanie Iriny i zaprosić na drinka... Jeśli będę miała szczęście, może przed końcem wieczoru zmusi mnie do obrony koniecznej.

Sięgałam po telefon, gdy coś uderzyło z hukiem w moje drzwi. Ręka automatycznie powędrowała w stronę glocka, którego położyłam na stole, by go wyczyścić. Mój umysł w ułamku sekundy analizował możliwe scenariusze. Wtedy rozległo się pukanie do drzwi i dobiegł zza nich dziecięcy głos:

- Elena! Elena!

Molly.

Otworzyłam gwałtownie drzwi, a mała wpadła do środka jakby wepchnięta silnym podmuchem wiatru. Jej włosy były mokre od potu. Skórę miała białą jak pergamin.

- Molly, co się stało?!

Zaprowadziłam ją do krzesła, na które opadła bezwładnie. Była tak zdyszana, że z trudem walczyła o każdy oddech.

- Jak się tu dostałaś?
- Mój rower.
- Mój Boże. Jest środek nocy. Dlaczego nie zadzwoniłaś, jeśli chciałaś się ze mną spotkać?
- Nie mogłam. Bałam się.
- Czy masz jakieś wieści od Erin?

Zdjęła kurtkę, którą ciasno obwiązała się w pasie, i szukała czegoś w fałdach materiału. Ręce trzęsły się jej gwałtownie, gdy podawała mi kasety wideo.

Włożyłam ją do odtwarzacza, przewinęłam i włączyłam. Patrzyłam na rozgrywający się dramat i myślałam o tym, jak musiała przeżyć to Molly. Widziałam jednak o wiele więcej od niej, ze względu na to, ile sama przeżyłam, i co było mi dane zobaczyć wcześniej. Patrzyłam, jak siostra Molly zostaje przewrócona na ziemię i wrzucona na tył białej furgonetki. A potem usłyszałam głos, mechanicznie zmieniony dla niepoznaki lub wzmocnienia efektu grozy, lub z obu tych powodów: „Mamy waszą córkę. Jeśli zadzwonicie na policję, zginie. Trzysta tysięcy dolarów. Instrukcje później” . .

Obraz zatrzymał się. Wyłączyłam magnetowid i popatrzyłam na Molly. Nie było już Molly małej bizneswoman. Dorosła Molly w ciele dziecka znikła. Przy moim stole siedziała mała, krucha istotka, dwunastoletnia dziewczynka przerażona losem starszej siostry. Łzy zbierające się za okularami Harry'ego Pottera jeszcze powiększały strach w jej oczach.

Bardzo starała się pozostać dzielna, kiedy tak czekała na jakiś ruch z mojej strony. Przeraziło mnie to niemal tak bardzo, jak nagranie na kasecie.

Kucnęłam przed nią, opierając ręce na brzegach krzesła.

- Skąd to masz, Molly?
 - Usłyszałam, jak mama i Bruce kłócą się o Erin - odpowiedziała szybko. -
- Gdy wyszli z jego gabinetu, ja tam weszłam i znalazłam to.
- Oni widzieli kasety?
- Kiwnęła głową.
- I co zrobili?

Zza oprawek okularów popłynęły łzy i potoczyły się po jej policzkach. Odpowiedziała bardzo, bardzo cicho:

- Nic.

- Nie zadzwonili na policję?

- Bruce powiedział, że wszystkim się zajmie. A potem posłał mamę do łóżka - potrzęsła głową z niedowierzaniem. Czułam, jak narasta w niej gniew, przywracając kolor jej policzkom. - A on pojechał na przejażdżkę samochodem, bo miał zły dzień! Nienawidzę go! - krzyknęła, uderzając małą piastką w stół. - Nienawidzę go! Nic nie robi, bo nie chce, żeby Erin wróciła! Erin przez niego umrze!

Łzy popłynęły teraz strumieniami, a ona przytuliła się do mnie i zarzuciła mi ręce na szyję.

Nigdy nie umiałam pocieszać ludzi. Pewnie dlatego, że nikt mi nie pokazał, jak to się robi. Ale może dlatego, że zawsze przeżywałam swój ból tak głęboko, że nie pozwalałam nikomu do siebie się zbliżyć. Lecz cierpienie Molly było wszechogarniające, nie dała mi innego wyboru, jak tylko przeżywać je razem z nią. Objęłam ją mocno i pogłaskałam po włosach.

- Molly, to nie od niego zależy. Masz mnie, pamiętasz?

W tym momencie poczułam prawdziwy strach. To nie była jakaś tam sprawa, której nie chciałam się podjąć, co i tak prawdopodobnie nie miałoby większego znaczenia. Nie była to nawet kwestia porządnego wykonania roboty. Między mną a tym dzieckiem, które trzymałam w ramionach, istniała więź. Miałam wobec niej zobowiązanie - ja, która nie chciałam niczego więcej, jak tylko zaszyć się gdzieś z moim cierpieniem do czasu, gdy znajdę siłę, by postanowić, co dalej.

Przytuliłam ją mocniej - nie dla niej, dla mnie samej.

Zrobiłam kopię kasety, schowałyśmy rower Molly do bagażnika mojego samochodu i pojechaliśmy do Binks Forest. Była już prawie północ.

XVII

Jill weszła do siodłami Jade'a i zapaliła małą lampkę stojącą na zabytkowej skrzyni. Wzięła z półki słoje oleju do czyszczenia skóry, zdjęła nakrętkę, otworzyła szufladę z jego wyjściowymi bryczesami i oblała je zawartością słoja. Z katalogów,

które nieraz oglądała, wiedziała, że każda para kosztuje co najmniej dwieście dolarów. Otworzyła szafę, wyjęła z niej dwie szyte na miarę marynarki i oblała je, po czym to samo zrobiła ze świeżo wyprasowanymi, oryginalnymi koszulami.

Ale to ciągle za mało. Pragnęła większej satysfakcji.

Wieczorem miała wyczyścić boksy, ponieważ Javier musiał wyjść wcześniej. Ale Jill nie lubiła przewalać gówna, więc tylko rozrzuciła po wierzchu trochę ściółki, żeby je przykryć. Przeprowadziła siwka Treya Hughesa do boksu, w którym wcześniej mieszkał Stellar. Zaśmiała się z uciechy, biorąc widły, by odkopać pokłady nawozu i plamy uryny spod świeżej ściółki. Smród amoniaku szczywał w nosie, ale napawał złośliwą satysfakcją.

Odstawiła widły na bok i wróciła do siodłami po następną porcję ubrań Jade'a.

Jade dostanie zawału, jak zobaczy cały ten bajzel. Domyśli się, że to ona zrobiła, ale nigdy jej tego nie udowodni. A rano ma występować na pokazie! Nie będzie miał co na siebie włożyć, a jego konie będą nieoporządzone. Będzie miotał się ze wściekłości. A Jill będzie sobie leżeć na plaży, pracować nad opalenizną i rozglądać się za jakimś gorącym facetem.

Rozrzuciła ubrania po całym boksie, wybierając świeże kupki nawozu i plamy uryny, a potem, ciężko stąpając, przeszła wkoło, metodycznie wdeptując drogie ciuchy Jade'a w odchody. To go nauczy, żeby nie traktować ludzi jak służących. Niech wie, że upokarzanie jej nie ujdzie mu na sucho. Co za dupek! Jeszcze pożałuje, że postąpił z nią w taki sposób. Mogła być jego współniczką, jego szpiegiem. A teraz Jade może najwyżej pocałować ją w dupę.

- Pieprz się, Don Jade! Pieprz się, Don Jade! - powtarzała rytmicznie, krążąc po boksie.

Nie bała się, że Jade ją przyłapie. Siedział teraz w tym ważniackim klubie dla bogaczy, próbując zrobić wrażenie na jakimś kliencie albo na jakiejś babce. Paris miała tej nocy wpaść i doglądnąć koni, ale Jill wiedziała, że rzadko to robi.

Jill nie przyszło do głowy, że może pojawić się ktoś z innej stajni lub że strażnik zajrzy tu podczas rutynowego obchodu. Rzadko łapano ją na gorącym uczynku. Na przykład wtedy, gdy porysowała samochód Erin kluczem, wszyscy pomyśleli, że to Chad, bo Chad był tej nocy u Erin i wszyscy słyszeli ich kłótnię.

Jill pracowała też kiedyś w Wal-Marcie i kradła tam wszystko, tuż pod nosem menedżera. I dobrze im tak, zasłużyli sobie na to, skoro byli na tyle głupi, by zatrudnić takiego debila jak ten gość.

- Pieprz się, Don Jade! Pieprz się, Don Jade! - skandowała, z radością wgniatając ubrania Jade'a w łajno.

I wtedy światła w stajni zgasły.

Jill zamarła. Słyszała, jak wali jej serce. Przez ten głos w uszach nie mogła usłyszeć, czy ktoś się zbliża. Gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, Jill zaczęła odróżniać kształty, wciąż była jednak pogrążona w ciemności - boksy znajdowały się w głębi namiotu, gdzie nie dochodziło światło latarni z podwórza.

Jedne konie zaczęły się kręcić, inne rżały - nerwowo, jak wydało się Jill. Po omacku przesuwiała się wzdłuż ściany, szukając wideł, które zostawiła w drugim końcu boksu. Chwyliła je, odwracając się tyłem do drzwi.

To stało się tak szybko, że nie miała czasu zareagować. Ktoś był już tuż przy niej. Słyszała szelest ściółki, poczuła obecność drugiej osoby. Zanim zdążyła krzyknąć, czyjaś ręka zakryła jej usta. Jill rozpaczliwie zacisnęła ręce na trzonku i próbowała wyślizgnąć się z uścisku napastnika. Wyrwała się, zrobiła krok w tył i zatoczyła szeroki łuk widłami, w coś uderzając. Chwyliła trzonek zbyt blisko końca, co dało jej ograniczoną kontrolę nad siłą zamachu, i widły wyślizgnęły jej się z rąk, uderzając o płócienną ścianę boksu.

Wtedy spróbowała krzyknąć, ale nie mogła. Tak jak w koszmarze, głos zamarł jej w gardle. W ułamku sekundy zrozumiała, że umrze.

Jednak spróbowała pobiec do drzwi. Nogi miała ciężkie jak z ołowiu. Stopy zaplątały się w ubrania na podłodze, które niczym lasso owinęły się wokół kostek i powaliły ją na ziemię. Upadek na brzuch pozbawił ją powietrza. Napastnik przygniótł ją od tyłu.

Rozległ się jakiś dźwięk - ludzki głos - ale nie mogła go usłyszeć. Zagłuszył go łomot w uszach i jej własny, pełen bólu jęk, który wydobywał się z ust, gdy próbowała jednocześnie złapać oddech, łkać i błagać o litość. Poczuli, jak napastnik zadziera jej spódniczkę do góry i grzebie między jej nogami, ciągnąc za zbyt małe stringi.

Chciała się podnieść. Czuli okropny ucisk pośrodku pleców, a potem z tyłu głowy. Czyjaś ręka z całą siłą wciskała jej twarz w gnój, którego nie chciało jej

się wcześniej wynieść. Nie mogła oddychać. Usiłowała obrócić głowę. Próbowwała wciągnąć powietrze i jej usta napelniły się łajnem; chciała zwymiotować i poczuła potworne palenie w płucach. A potem nie czuła już nic więcej.

XVIII

Okolica, w której mieszkali Seabrightowie, była cicha. W uroczych domkach wokół pogasły już światła, a ich mieszkańcy spali błogo, nie zdając sobie sprawy z tragedii, jaka rozgrywała się tuż obok. W oknach na parterze domu Seabrightów paliły się światła. Piętro było ciemne. Zastanawiałam się, czy Krystal mogła naprawdę pójść spać.

Bruce „posłał ją do łóżka”, jak powiedziała Molly. Jakby Krystal była dzieckiem. Porwano jej córkę, a mąż mówi, żeby poszła spać. On się wszystkim zajmie. Ciekawe, czy - gdyby Krystal nie znalazła kasety - Bruce nie wyrzuciłby jej po prostu do kubła, jak wyrzuca się niechcianą ulotkę zapychającą skrzynkę.

Molly otworzyła frontowe drzwi i zaprowadziła mnie do gabinetu Bruce'a - miejsca, z którego dochodziło światło. Bruce przeszukiwał szafkę koło telewizora, mamrocząc coś pod nosem.

- Tego pan szuka? - zapytałam.

Obrócił się gwałtownie.

- Co pani tutaj robi? Jak pani weszła do mojego domu?

Spojrzeniem odnalazł Molly, na wpół schowaną za mną.

- Molly? To ty wpuściłaś tę osobę?

- Elena może nam pomóc...

- Pomóc w czym? - zapytał, udając, że nic się nie stało, choć przecież stałam przed nim z nagraniem porwania Erin w ręce. - Nie potrzebujemy niczyjej pomocy.

- Myśli pan, że sam sobie da z tym radę? - zapytałam, rzucając kasetę na biurko.

- Myślę, że powinna pani w tej chwili opuścić mój dom. Albo wezwę policję.

- Ta groźba na mnie nie działa. Myślałam, że pojął to pan dzisiejszego ranka. Ściągnął usta w ciasny ryjek i popatrzył na mnie spod zmrużonych powiek.
- Elena była kiedyś oficerem śledczym w biurze szeryfa - powiedziała Molly, wychodząc z ukrycia. - Wie wszystko o ludziach, z którymi pracowała Erin, i...
- Molly, do łóżka - sucho rozkazał Bruce. - Tobą zajmę się jutro, moja panno. Podsluchiwanie rozmowy rodziców, wchodzenie do mojego gabinetu bez wezwania, przyprawienie tej osoby do mojego domu... Masz wiele do wyjaśnienia.

Molly, z podniesioną głową, posłała Bruce'owi długie spojrzenie.

- Ty również - powiedziała, po czym obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju z godnością królowej.

Seabright zamknął drzwi.

- Skąd Molly wiedziała, jak się z panią skontaktować?

- Może pan wierzyć lub nie, ale ludzie mieszkający w pańskim domu potrafią żyć i myśleć samodzielnie. Czasem pozwalają sobie na niezależne decyzje, nie prosząc pana o pozwolenie. Choć jestem przekonana, że pan teraz, kiedy już o tym wie, położy kres tej niesubordynacji.

- Jak pani śmie krytykować sposób, w jaki prowadzę swój dom? Nic pani nie wie o mojej rodzinie.

- O! Wiem o niej wszystko - odpowiedziałam, słysząc gorycz we własnym głosie. - Jest pan półbogiem, a śmiertelnicy krążą wokół pana jak planety wokół słońca.

- Jakim prawem mówi pani do mnie w ten sposób? - zapytał, podchodząc bliżej, starając się zmusić mnie do wycofania, dosłownie i w przenośni. Nawet nie drgnęłam.

- To nie ja powinnam się tłumaczyć, panie Seabright. Pańska pasierbica została porwana, a Molly jest jedyną osobą, która troszczy się o to, by zobaczyć jeszcze Erin żywą. Co pan na to powie?

- Nie muszę pani nic mówić. Nic z tego, co się tutaj dzieje, nie jest pani sprawą.

- Tak się składa, że zdecydowałam się zrobić z tego moją sprawę. Kiedy, gdzie i jak dotarła tu ta kasetka?

- Nie muszę odpowiadać na pani pytania - minął mnie lekceważąco, podszedł do otwartej szafki na telewizor i zamknął ją.

- Wolałby pan odpowiedzieć na pytania kogoś z biura szeryfa? -zapytałam.

- Powiedzieli „żadnej policji” - przypomniał mi, przesuwając książki na półce o dwa milimetry. - Chce pani wziąć na siebie odpowiedzialność za śmierć dziewczyny?

- Nie. A pan?

- Oczywiście, że nie - ustawił grzbiety paru książek w idealnym pionie, a jego oczy przesunęły się po pokoju w poszukiwaniu kolejnych elementów królestwa, których porządek ktoś śmiał naruszyć. Wyglądał na zdenerwowanego.

- Ale jeśli Erin po prostu nigdy by nie wróciła, raczej nie przywdziałyby pan żalobnych szat?

- Cóż za ohydna uwaga.

- Tak, cóż...

Przestał porządkować i przywołał na twarz wyraz urażonej cnoty.

- Za jakiego człowieka mnie pani uważa?

- Nie sądzę, żeby chciał pan usłyszeć odpowiedź. Kiedy otrzymał pan tę taśmę, panie Seabright? Erin nie dała znaku życia od prawie tygodnia. Porywacze na ogół żądają pieniędzy natychmiast. Na tym to właśnie polega. Im dłużej przetrzymują ofiarę, tym bardziej prawdopodobne, że coś pójdzie nie tak.

- Taśma przysłała dopiero co - powiedział, ale nie patrzył mi w oczy. Mogłam się założyć, że trzymał ją tu już od paru dni.

- I porywacze nie dzwonili?

- Nie.

- Jak dostarczono przesyłkę?

- Razem z pocztą.

- Do domu czy do pańskiego biura?

- Do domu.

- Zaadresowaną do pana czy do żony?

- Ja... nie pamiętam.

Czyli do Krystal. A on nie przekazał jej paczki. Pewnie zawsze przeglądał jej pocztę, wścibski kutas. A kiedy już zobaczyła kasetę, on wysłał ją do łóżka, a sam pojechał na przejażdżkę.

- Chciałabym zobaczyć kopertę - powiedziałam.
- Wyrzuciłem ją.
- Powinna zatem być w pańskim kubku. Poszukajmy jej. Mogą być na niej odciski palców, pieczętka poczty może wiele nam powiedzieć.
- Nie mam jej.
- Jak to nie ma pan? Przecież śmieci wywożono wczoraj. Jeśli kasetka dotarła dzisiaj...

Nie potrafił na to odpowiedzieć, skurwieli jeden. Westchnęłam z obrzydzeniem i próbowałam dalej.

- Dzwonili do pana?
- Nie.
- Jeśli pan kłamie, Seabright, niech Bóg ma pana w opiece. Jego twarz poczerwieniała.

- Jak pani śmie nazywać mnie kłamcą?!

- Przecież nim jesteś.

Obydwoje odwróciliśmy się do drzwi, skąd dobiegi nas głos Krystal. Wyglądała jak starzejąca się, naćpana dziwka: twarz blada i mizerna, wokół oczu rozmazany tusz. Sprane włosy sterczały jak peruka klauna. Miała na sobie krótki, różowy szlafroczek obszyty kępkami piór wokół dekoltu i mankietów, pasujący do kłapek na wysokim obcasie.

- Jesteś kłamcą - powtórzyła, wpatrując się w męża szklistymi oczami.

- A ty jesteś pijana - oskarżycielskim tonem powiedział Bruce.

- Chyba tak. Inaczej przecież nie odezwałabym się bez pozwolenia.

Obserwowałam Seabrighta. Był wściekły, aż trząśł się ze złości. Nie wiem, co mógłby zrobić, gdyby mnie tu nie było. Ale z drugiej strony, gdyby nie moja obecność, Krystal nie odważyłaby się czegokolwiek powiedzieć. Zwróciłam się do niej; z bliska zobaczyłam rozszerzone źrenice i rozmazaną szminkę:

- Pani Seabright, kiedy po raz pierwszy zobaczyła pani kasetę?

- Zobaczyłam pudełko. Miało moje imię wypisane na grzbiecie. Nie wiedziałam, czemu Bruce mi go nie dał. Myślałam, że to coś, co zamówiłam pocztą.

- Krystal... - Bruce przeszył ją wzrokiem.

- Jaki to był dzień?

Jej usta zadrżały.

- Środa...

Dwa dni temu.

- Nie widziałem potrzeby, żeby cię tym martwić - powiedział Seabright. - Sama zobacz, co się teraz z tobą dzieje.

- Znalazłam ją dzisiaj - zwróciła się do mnie. - Moja córka została porwana. Bruce nie uważał za stosowne mi o tym powiedzieć.

- Mówiłem ci przecież, że się tym zajmę - wydusił przez zaciśnięte zęby.

Krystal spojrzała na mnie - tragiczna, żałosa, przerażona.

- W naszej rodzinie zostawiamy decyzje osobie najlepiej przygotowanej do ich podejmowania.

Popatrzyłam twardo na Bruce'a Seabrighta. Wrzał. Wiedział, że może zastraszyć kobietę typu Krystal, ale ze mną mu się to nie uda.

- Zapytam pana ostatni raz. I niech pan wie, że biuro szeryfa może dostać od firmy telekomunikacyjnej listę pańskich połączeń telefonicznych z ostatnich dni i sprawdzić prawdziwość odpowiedzi. Czy porywacze do pana dzwonili?

Zakrył dłonią usta i popatrzył w sufit, rozważając wszystkie za i przeciw odpowiedzi negatywnej. Nie był typem faceta, który otwarcie postawi się gliniarzom. Jeśli uwierzył mi na słowo w sprawie zapisu połączeń i zastanawiał się, co by było, gdyby w sprawę wmieszało się biuro szeryfa... Publiczny wizerunek mógłby ulec zniszczeniu... Wstrzymałam oddech.

- Wczoraj w nocy.

Krystal wydobyła z siebie krzyk bólu, padając na oparcie skórzanego fotela, jakby ktoś ją postrzelił.

Seabright nadął się jak wściekły gołąb, próbując usprawiedliwić swoje postępowanie.

- Po pierwsze myślę, że to jakiś kawał. To tylko Erin próbuje mnie upokorzyć...

- Mam na dziś dość mężczyzn wygłaszających swoje teorie spiskowe - powiedziałam. - Nie chce mi się wysłuchiwać jeszcze pańskich. Widziałam taśmę. Wiem, z jakiego pokroju ludźmi zadawała się Erin. Nie kładłabym jej życia na szali tylko dlatego, że boi się pan upokorzenia. Kto dzwonił? Mężczyzna? Kobieta?

- Głos brzmiał jak ten z taśmy - powiedział z irytacją. - Był zniekształcony.
- Co powiedział?

Nie chciał odpowiedzieć. Usta znowu ściągnął w ten wąski ryjek, w który miałam ochotę chlasnąć z całej siły.

- Dlaczego miałbym cokolwiek pani mówić? Nic o pani nie wiem. Nie wiem, dla kogo pani pracuje. Skąd mam mieć pewność, że nie jest pani jedną z nich?

- Na miłość boską, powiedz jej! - wrzasnęła Krystal. Zsunęła się z oparcia na fotel i zwinęła się w kłębek.

- A skąd mam wiedzieć, że pan nie jest? Skąd ma to wiedzieć pańska żona?

- Niech pani nie będzie śmieszna - odgryzł się Seabright.

- „Śmieszny” nie wydaje mi się określeniem na miejscu, panie Seabright. Erin przez długi czas była przyczyną pańskiej irytacji. Może w końcu znalazł pan sposób, by pozbyć się problemu.

- O mój Boże! - krzyknęła Krystal, zakrywając usta rękami.

- To absurd! - Seabright podniósł głos.

- Nie sądzę, żeby policja była podobnego zdania - powiedziałam. - Byłoby więc lepiej, gdyby zaczął pan przypominać sobie szczegóły.

Westchnął jak zdradzony patriarcha.

- Głos zażądał, by włożyć pieniądze do kartonowego pudełka i zostawić w konkretnym miejscu na terenach pokazowych posiadłości jeździeckich gdzieś w Loxahatchee.

Znałam te tereny. Oddalone dwadzieścia minut od Wellington, stanowiły strefę nadal nierozwiniętą, w większości niezabudowaną, z terenami pokazowymi wykorzystywanymi zaledwie parę razy w roku.

- Kiedy?

- Dziś o piątej po południu.

- Zostawił pan pieniądze?

- Nie.

Krystal załkała.

- Zabieś ją! Zabieś ją!

- Na litość boską, Krystal, przestań natychmiast! - rzucił ostro. - Jeśli naprawdę ją porwali, to tak szybko jej nie zabijają. Jaki miałyby to sens?

- Jedynym ich celem są pieniądze - powiedziałam chłodno. - Będą chcieli je dostać bez względu na to, czy Erin żyje, czy nie. Czy obiecali, że pokażą panu Erin na miejscu dostawy? Czy powiedzieli, gdzie będzie mógł pan ją odebrać, jeśli przywiezie pan pieniądze?

- Nie.

Nie było żadnej gwarancji, że Erin jeszcze żyje. Jeśli porywacze byli dość bezwzględni, mogli zabić ją bardzo szybko, żeby pozbyć się ewentualnego świadka i ułatwić sobie życie. Albo taki był plan od samego początku - pozbyć się Erin, uzurpując porwanie dla niepoznaki.

- Czy dzwonił od tamtej pory?

- Nie.

- Trudno mi w to uwierzyć. Liczyli na to, że o piątej dostaną trzysta tysięcy. Nie dostali ich - chyba chcieliby wiedzieć, co się stało?

Podniósł ręce i podszedł do okna, gdzie półprzymknięte drewniane okiennice pozwalały zobaczyć ciemność za oknem. Przyglądałam mu się, próbując ocenić, jak bardzo jest wyrachowany. Czy na tyle, by świadomie popchnąć swą pa-sierbicę w objęcia seksualnego potwora? Może.

Jedyna rzecz, która wydawała mi się mało prawdopodobna, to by Seabright dobrowolnie oddał kontrolę nad sytuacją komuś innemu, skazując się w ten sposób na bezradność. Ale w innym wypadku musiałby ubrudzić sobie ręce, a tego już całkiem nie umiałam sobie wyobrazić. Udział w spisku był mniejszym ziem. W razie czego łatwo mógłby się wszystkiego wyprzeć.

Mój wzrok padł na biurko Seabrighta. Panował na nim idealny porządek. Li-czyłam, że znajdę tam teczkę z napisem „Porwanie Erin”. Zamiast tego dostrze-głam bezprzewodowy telefon firmy Panasonic z wyświetlaczem numeru dzwo-niącego. Taki sam był w domku dla gości u Seana. Podeszłam do biurka, usia-dłam na dyrektorskim skórzanym krześle i podniosłam słuchawkę.

- Co pani robi?! - zawołał Bruce i ruszył w moją stronę.

Nacisnęłam guzik „szukaj” i na wyświetlaczu pojawił się numer.

- Korzystam z dobrodziejstw współczesnej techniki. Jeśli porywacz dzwonił do pana z numeru, który nie jest zastrzeżony, numer będzie zachowany w pa-mięci pańskiego telefonu i będzie go można odszukać. Czyż to nie wspaniały wynalazek?

Zapisałam pierwszy numer na kartce jego nieskazitelnego notatnika, przewinęłam do następnego numeru i ten również zapisałam. Chciał wyrwać mi telefon z ręki, widziałam, jak jego mięśnie twarzy napinają się nerwowo.

- Na ten numer dzwonią moi klienci i współpracownicy - powiedział. - Nie pozwolę, by ich pani w to mieszała.

- A czy jest pan pewien, że ktoś z nich nie jest porywaczem?

- To chore! To bogaci i szacowni ludzie.

- Może wszyscy prócz jednego.

- Nie chcę, by wciągała pani w to bagno kogokolwiek z nich.

- Czy ma pan jakiś wrogów, panie Seabright?

- Oczywiście, że nie.

- Nigdy pan nikogo nie wkurzył? Deweloper z południowej Florydy, który ze wszystkimi żyje w przyjaźni? To dopiero sensacja.

- Pani Estes, jestem szanowanym biznesmenem.

- I jest pan mniej więcej tak lubiany, jak rozwolnienie - powiedziałam. - Nie wierzę, że nie ma pan gotowej listy ludzi, którzy chcieliby zobaczyć, jak pan cierpi. A myślę tylko o pańskiej najbliższej rodzinie.

Och, jak on mnie nienawidził. Widziałam to w jego małych, złośliwych oczkach. Sprawilo mi to przyjemność. Jego uczucie było odwzajemnione.

- Żądam numeru pani licencji - powiedział napiętym głosem. - Mam zamiar jutro donieść na panią odpowiednim władzom.

- W takim razie byłabym głupia, podając panu mój numer, nieprawdaż? - powiedziałam, zapisując na kartce kolejny telefon. Od ostatniego kasowania zapisało się ich w pamięci telefonu dziewiętnaście. - Poza tym sądzę, że w pańskiej sytuacji nie powinien pan składać na mnie żadnej skargi. Wiem o panu zbyt wiele rzeczy, których nie chciałby pan przeczytać w gazecie.

- Czy pani mnie straszy?

- Zawsze mnie dziwi, że ludzie uważają za konieczne zadać to pytanie. Czy jest pan komuś winny pieniądze?

- Nie.

- Czy jest pan hazardzistą?

- Nie!

- Czy zna pan człowieka o nazwisku Van Zandt?

- Nie. Kto to taki?

- Czy to pan znalazł Erin pracę u Dona Jade'a?

Zanotowałam ostatni z zachowanych w telefonie numerów i popatrzyłam na Bruce'a Seabrighta.

- A co to ma za znaczenie? - zapytał.

- Zrobił to pan?

Znów wydał się zdenerwowany. Przesunął stojące na biurku pudełko na cygara o pół milimetra.

- Byłby to ciekawy zbieg okoliczności, gdyby Erin dostała pracę u trenera pracującego dla klienta, któremu pan właśnie sprzedał bardzo drogą posiadłość.

- A jaki to ma z czymkolwiek związek? - zapytał. - Możliwe, że wspomniałem, że szuka pracy przy koniach. I co z tego?

Potrząsnęłam głową, wydarłam z notatnika kartkę z numerami i wstałam. Popatrzyłam na Krystal, która nadal siedziała skulona w skórzanym fotelu, z pustką w szklistych oczach, zamknięta w swym prywatnym piekle. Chciałam zapytać, ile to wszystko było dla niej teraz warte - dom, ubrania, samochód, pieniądze - lecz cierpiała wystarczająco i bez oskarżeń o sprzedaż własnego dziecka. Podałam jej wizytówkę z moim numerem, drugą położyłam na biurku.

- Sprawdzę te numery i zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć - powiedziałam. - Proszę zadzwonić do mnie niezwłocznie, jeśli porywacz się odezwie. Zrobię, co w mojej mocy, ale uważam, że powinni państwo skontaktować się z wydziałem śledczym biura szeryfa i poprosić o rozmowę z oficerem Jamesem Landrym.

- Ale powiedzieli „żadnej policji” - powiedział Seabright. Nieco zbyt chętnie zgadzał się z tym żądaniem.

- Cywilne ubranie, cywilny samochód i nikt się nie dowie, że to nie świadek Jehowy.

Seabright znów się zaperzył.

- Nikt nie będzie mówił mojej rodzinie, co ma robić.

- Nie? Cóż, wbrew pańskiemu wygórowanemu mniemaniu najwidoczniej nie jest pan osobą, która umie podejmować właściwe decyzje - odparłam. - Potrzebuje pan profesjonalnej pomocy. A jeśli nie chce się pan zgodzić na nią dobrowolnie, to wepchnę ją panu do gardła.

XIX

O drugiej trzydzięci w nocy Bruce Seabright wciąż nie mógł zasnąć. Nawet nie próbował. Nie miał najmniejszej ochoty dzielić dziś łóżka z Krystal, mimo że spała nieprzytomnie. Był zbyt podniecony, by móc zasnąć, nie mógł nawet usiedzieć w miejscu. Przez godzinę porządkował swój gabinet, ścierał odciski palców z mebli, wycierał do czysta każdą rzecz na biurku, czyścił słuchawkę telefonu lizolem. Jego sanktuarium zostało zabezpieczone.

Krystal weszła tu bez jego wiedzy i szperała po biurku, pomimo że mówił jej wyraźnie, by nigdy tego nie robiła. To on zawsze rozdzielał pocztę. Molly też tu przyszła i zabrała taśmę. Spodziewał się po nich czegoś więcej. Zawód był gorzki. Porządek jego świata został naruszony, a teraz jeszcze ta suka, prywatny detektyw, chce mu odebrać kontrolę. Nie zgodzi się na to. Dowie się, dla kogo pracuje, i sprawi, że już nigdy nie znajdzie roboty.

Chodził po pokoju w tę i z powrotem, wciągając zapach olejku cytrusowego i środka odkażającego.

Nie powinien był żenić się z Krystal. To był błąd. Wiedział, że jej starsza córka w końcu zacznie sprawiać kłopoty - i teraz proszę, spełniły się jego obawy.

Otworzył szafkę z telewizorem, wziął z półki kasetę, wsunął do magnetowidu i nacisnął guzik „play”.

Erin goła, przykuta do łóżka, stara się ukryć swą nagość.

- Patrz w kamerę, suko. Powiedz swoją kwestię.

Erin potrząsa głową, wciąż pochylona.

- Mów! Chcesz, żebym ci pomógł?

Erin znów potrząsa głową, podnosi się i patrzy w kamerę.

- Pomóż mi.

Bruce wyciągnął kasetę i włożył ją z powrotem do kartonowego opakowania. Podszedł do małego sejfu ukrytego w ścianie za rzędem książek na temat prawa handlu nieruchomościami. Otworzył go, włożył kasetę i zamknął. Nikt inny nie zobaczy tej taśmy. Taka była jego decyzja. Był najlepiej przygotowany do jej podjęcia.

XX

Nigdy nie dałam się zwieść przeświadczeniu, że ludzie są z natury dobrzy. Z doświadczenia wiem, że są egoistyczni i często okrutni.

Spałam trzy godziny, gdyż moje ciało nie pozwoliło mi na więcej. Obudziłam się, ponieważ mózg nie dawał mi dłużej odpocząć. Wstałam, nakarmiłam konie, potem wzięłam prysznic i siadłam przed komputerem w podkoszulku i majtkach. W internetowej książce telefonicznej zaczęłam sprawdzać numery, które wczoraj spisałam z telefonu Bruce'a.

Z trzynastu numerów sześć posiadających prefiks Wellington nie było zarejestrowanych, cztery wróciły z nazwiskami, jeden należał do pizzerii Domino, a dwa telefony wykonano z tego samego numeru w Royal Palm Beach, który również nie był zarejestrowany. Seabright mówił, że porywacze dzwonili tylko raz, ale nie wierzyłam mu. Nie dostarczył przesyłki. Porywacze z pewnością chcieliby się z nim skontaktować po czymś takim.

Wykręciłam numer do Royal Palm Beach, lecz usłyszałam tylko sygnał nieodebranego telefonu. Żadnego powitania: „Dzień dobry, tu porywacze”.

Następnie zadzwoniłam pod pozostałe niezarejestrowane numery. Po drugiej stronie odzywały się automatyczne sekretarki, służące, a także zrzędenie kilku obudzonych osób, które z pewnością rano zgłoszą się do Bruce'a Seabrighta, żeby poskarżyć się na jego nową sekretarkę.

Potem wybrałam numer biura szeryfa i meandrując od jednej recepcjonistki do drugiej, w końcu dotarłam do informacji głosowej pod numerem Landry'ego. Sprawdziłam jednocześnie, czy w skrzynce nie mam listu od mojego kontaktu w FBI w sprawie kartoteki Van Zandta w Interpolu. Na razie nic. Odsłuchując wiadomość zostawioną przez Landry'ego, zanotowałam numer jego pagera. Przez chwilę wahałam się, czy nie zadzwonić do Armedgiana i trochę go nie pogonić, ale postanowiłam nie nadużywać szczęśliwej passy. Jakakolwiek informacja z zagranicy będzie jedynie dodatkiem - i tak doskonale wiedziałam, że Van Zandt jest mętem na skalę światową.

Czy byłby na tyle odważny, żeby spróbować porwania? Czemu nie? Był od tego o krok, gdy „zajmował się” przyjaciółką Iriny, Saszą Kulak. Jeśli Bruce Seabright załatwił Erin pracę przez Treya Hughesa, Van Zandt mógł się dowiedzieć, że Erin jest powiązana z człowiekiem, który sprzedaje ziemie w Fairfields. Mógł dojść do wniosku, że deweloperzy mają dużo pieniędzy. Czemu on nie miałby trochę dostać? Motyw: chciwość. Znał dziewczynę, znał tereny pokazowe, wiedział, kiedy kręcą się tam ludzie, a kiedy tereny są wyludnione. Miał okazję to zrobić.

Środki? Wiedziała, że Van Zandt ma kamerę, więc mógł nakręcić film. Urządzenie do zmiany głosu zatarłoby jego akcent. A co z białą furgonetką? Skąd pochodziła? I jeśli Van Zandt trzymał kamerę, to kim był facet w kominiarce?

Swój znajdzie swego. W ciemnych zakamarkach terenów pokazowych czaiło się wiele szumowin gotowych za pieniądze zrobić niemal wszystko. Ludzie uczciwi mogli mieć problem z ich odszukaniem, ale Tomas Van Zandt człowiekiem uczciwym nie był.

Moją jedyną prawdziwą wątpliwość co do Van Zandt'a w roli porywacza wzbudzała jego ewentualna współpraca z Bruce'em Seabrightem, który nie zareagował na żądanie okupu. Jeśli Seabright był uwikłany w porwanie, to dlaczego przesyłkę z kasetą zaadresowano do Krystal? I dlaczego Bruce chciał ją przed nią ukryć? Jeśli celem było pozbycie się Erin w sposób, który wyglądałby na porwanie, to Bruce Seabright potrzebował Krystal, żeby wywołać takie wrażenie. Chowanie przed nią kasety nie miało żadnego sensu.

Bez względu na motyw, Bruce Seabright był winny zaniechania. Mogłam się założyć, że pomimo moich gróźb dalej nic nie zrobi.

Wykręciłam numer pagera Landry'ego i zostawiłam mu numer mojego telefonu. Pod nazwą dzwoniącego przeczyta Avadonis Farm. W ten sposób miałam większe szanse, że oddzwoni. Gdyby zobaczył moje nazwisko, bez namysłu wykasowałby numer.

Nalałam sobie kawy; czekając na dzwonek telefonu, chodziłam w kółko po pokoju i rozważałam inne możliwości. Erin opiekowała się Stellarem, a Stellar nie żył; w jakiś sposób była powiązana z Jade'em, którego przeszłość pełna była ciemnych sekretów. Erin spotykała się z Chadem Seabrightem i widziano, jak kłócą się dwa dni przed jej zniknięciem. Wedle Chada Erin rzuciła go dla starszego

mężczyzny. Molly mówiła, że Erin podobał się jej szef.

Zadzwoił telefon. Zerwałam się i podniosłam słuchawkę.

- Tu detektyw James Landry, dzwoniło do mnie z tego numeru.

- Landry, tu Estes. Erin Seabright została porwana. Jej rodzice dostali taśmę z nagraniem i żądaniem okupu.

Po drugiej stronie panowała cisza.

- Dalej sądzisz, że nie ma żadnej sprawy?

- Kiedy otrzymali żądanie?

- W czwartek. Jej ojczym miał dostarczyć pieniądze wczoraj. Olał sprawę.

- Słucham?

- To długa historia. Spotkajmy się gdzieś. Zapoznam cię z faktami, a potem zawiozę do nich.

- To nie będzie konieczne - odparł. - Poznam szczegóły od rodziców. Dziękuję za wskazówkę, ale nie chcę cię tam widzieć.

- Nie interesuje mnie, co chcesz, a czego nie - powiedziałam kategorycznie. - Będę tam.

- Utrudniając prowadzenie policyjnego śledztwa?

- Jak na razie „utrudnianie” było twoją specjalnością - powiedziałam. - Gdyby nie ja, nie byłoby żadnego dochodzenia. Jej ojczym nie ruszy palcem. Najchętniej powiedziałby „cóż, trudno” i poczekał, aż sprawcy wrzucą ciało dziewczyny do kanału. Mam nad tobą trzy dni przewagi i dojścia do ludzi, z którymi Erin pracowała.

- Nie jesteś już gliną.

- I potrzebuję ciebie, żebyś mi o tym przypomniał. Pieprz się, Landry.

- Mówię tylko, jak jest. Nie ty dyktujesz warunki, Estes. Chcesz kogoś tyranizować, najmij sobie jakiegoś dzieciaka. Nie pracuję ani dla ciebie, ani z tobą.

- Jak chcesz. W takim razie zatrzymam to, co wiem, dla siebie. Zobaczymy, jak sobie poradzisz, dupku.

Odłożyłam słuchawkę i poszłam się ubrać.

Mało jest na świecie stworzeń tak upartych jak gliniarze. I wiem, co mówię, sama jestem jednym z nich. Może nie noszę już odznaki, ale to nie jest jedyna rzecz, która czyni glinę. Glina zawsze będzie gliną, bez względu na stopień, mundur, agencję czy wiek.

Rozumiałam Landry'ego, bo łączyło nas powołanie. Nie lubiłam go, ale go rozumiałam. Na tym poziomie on także rozumiał mnie. Nie przyznałby się do tego i mnie nie lubił, ale rozumiał moje stanowisko.

Włożyłam jasne spodnie i czarny podkoszulek bez rękawów. Telefon zadzwonił, gdy zakładałam zegarek.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał.

- Nie chcę, żebyś przyjeżdżał do mojego domu.

- Czemu? Handlujesz prochami? Przechowujesz kradzione telewizory? Czego tak się obawiasz?

Nie chciałam, by ktoś przekroczył próg mojego sanktuarium, ale tego nie mogłam mu powiedzieć. Nigdy dobrowolnie nie okazuj słabości swemu przeciwnikowi. Moja niechęć i tak za wiele już mówiła. Podałam mu adres, przeklinając siebie, że pozwoliłam mu na to małe zwycięstwo.

- Będę za pół godziny - powiedział i odłożył słuchawkę.

Wpuściłam go przez bramę po dwudziestu trzech minutach.

- Niezła chata - rzucił, patrząc na dom Seana.

- Jestem tu tylko gościem - powiedziałam i zaprowadziłam go przez parking, koło stajni, do mojego lokum.

- Warto znać ludzi, którzy nie śpią w kartonach i nie szukają jedzenia w ku-
błach.

- Czy z tego kręgu wywodzą się twoi znajomi? - spytałam. - Mógłbyś mierzyć nieco wyżej. W końcu mieszkasz w całkiem ładnej dzielnicy portowej.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, urażony faktem, że wiem coś o nim bez jego zgody.

- Skąd to wiesz?

- Sprawdziłam cię. Sam rozumiesz, para beczynnych rąk i nieograniczony dostęp do Internetu...

Wcałe mu się to nie podobało. I dobrze. Niech wie, że jestem od niego mądrzejsza.

- Masz grupę krwi AB minus i głosowałeś na republikanów w ostatnich wyborach - dodałam, otwierając drzwi wejściowe. - Kawy?

- A wiesz, jaką piję? - zapytał z przekąsem.

- Bez mleka, dwie łyżeczki cukru.

Spojrzał na mnie skonfundowany. Wzruszyłam ramionami.

- Szczęśliwy traf.

Stał po drugiej stronie kuchni z założonymi rękami. Nadawał się na plakat rekrutacyjny. Świeżo krochmalona biała koszula w delikatny bordowy prążek, krwiste czerwony krawat, policyjne okulary i wojskowa postawa.

- Wyglądasz, jakbyś był z federalnych - skomentowałam. - O co chodzi? Masz jakiś kompleks?

- Dlaczego moja osoba tak cię interesuje? - zapytał z irytacją.

- Wiedza daje władzę.

- To jakaś gra?

- Skądże znowu. Po prostu lubię mieć pojęcie, z kim się zadaje.

- Wiesz tyle, ile powinnaś, i więcej się nie dowiesz - odparł. - Wprowadź mnie w to, co wiesz od Seabrightów.

Puściłam taśmę i opowiedziałam mu, co się stało poprzedniej nocy w ich domu. Nie mrugnął powieką na żadną z moich rewelacji.

- Myślisz, że jej ojczym maczał w tym palce? - zapytał, gdy skończyłam.

- Nie mam wątpliwości co do tego, jakie uczucia żywi do Erin, a poza tym, jak dotąd, zachowywał się dość dziwnie. Ale jeśli porwanie jest tylko przykrywką i to on za nim stoi, dlaczego nie pokazał nikomu taśmy? Tego nie mogę zrozumieć.

- Może chciał zachować nad wszystkim kontrolę - powiedział Landry, przewijając kasetę i puszczając ją jeszcze raz. - Może czekał, aż będzie już po wszystkim i dziewczyna zginie. Wtedy pokazałby kasetę żonie, mówiąc, jak bardzo chciał uchronić ją przed okropną prawdą i sam starał się zająć sprawą najlepiej jak potrafił.

- Ach, tak. Decyzje w rodzinie podejmuje osoba najlepiej do tego przygotowana.

- Co takiego?

- Nic. Motto rodziny Seabrightów. Bruce Seabright ma niezłego fioła na punkcie kontroli. To wręcz patologia - jest egoistycznym despotą, który znęca się psychicznie nad swoją rodziną. Rodzina jak z dramatu Tennessee Williamsa.

- No to wszystko pasuje.

- Tak. Jest tylko taki problem, że dziewczyna żyła w prawdziwej jaskini lwów i mogę ci wymienić jeszcze co najmniej trzech innych podejrzanych.

- No to wymień.

Powiedziałam mu o Chadzie Seabrightcie i, jeszcze raz, o Donie Jadzie.

- Czekam też na wiadomość od znajomego na temat danych Interpolu o niejakim Tomasie Van Zandcie. Ma na koncie złe traktowanie młodej kobiety i wedle wszelkich danych bardzo szemrany z niego gość.

- Uroczę towarzystwo z tych koniarzy - zauważył Landry.

- Świat ludzi zajmujących się końmi to mikrokosmos - są dobrzy i źli, piękni i brzydcy.

- Bogaci i biedni. I dzięki temu więzienia wciąż są pełne - powiedział Landry.

- Zazdrość, chciwość i seksualne wyuzdanie.

- Tak, to one sprawiają, że świat się kręci.

Landry westchnął i jeszcze raz przewinął taśmę.

- A jaka jest twoja rola w tym bałaganie, Estes?

- Już ci mówiłam, pomagam młodszej z sióstr.

- Dlaczego? I dlaczego przyszła właśnie do ciebie?

- To długa historia, która tak naprawdę nie ma znaczenia. Jestem w to wciąż gniewna i zostanę do samego końca. Przeszkadza ci to?

- Tak, i to bardzo - powiedział, patrząc w telewizor. - Ale jestem przekonany, że to cię nie powstrzyma.

- Masz rację.

Nacisnął pauzę i wpatrzył się w ekran.

- Widzisz jakieś numery na tablicy rejestracyjnej?

- Nie. Próbowalam. Nie widziałam też nic na oryginalnej taśmie. Będziesz potrzebował niezłego technika obrazu. Słuchaj, Landry - dodałam po chwili. - Zdążyłam już wejść w otoczenie Jade'a. Byłabym szczęśliwa, gdybym mogła ci pomóc. A ty byłbyś głupi, odrzucając moją propozycję. Masz wiele wad, ale, jak mi się wydaje, głupota nie jest jedną z nich.

Długo mi się przyglądał, próbując dojrzeć coś więcej, niż zamierzałam mu zdradzić.

- Ja też odrobiłem swoje zadanie - powiedział. - Jesteś jak naładowany pistolet, który nie wiadomo kiedy wypali. Z tego, co wiem, zawsze taka byłaś. Mnie

to nie odpowiada. Mówisz, że Seabright jest świrem na punkcie kontroli. Moim zdaniem to zaleta. Gdy ja prowadzę sprawę, posiadam ją na własność. Koniec, kropka. Nie chcę jej prowadzić i zastanawiać się cały czas, w co się właśnie pakujesz. I mogę cię zapewnić, że nikt w biurze szeryfa nie zgodzi się na twój udział. Jeśli mój porucznik dowie się, że ty maczasz w tym palce, dobierze mi się do tyłka.

- Nic na to nie poradzę. Siedzę w tym i tak zostanie. Powiedziałam, że mogę pracować z tobą - ale nie będę pracować dla ciebie. Nie masz nade mną władzy, Landry. Jeśli takie jest twoje podejście, to mamy problem. Jest tylko jeden cel: wydostać Erin Seabright żywą. Jeśli uważasz, że to jakieś zawody, to od razu ci mówię, trzymaj fiuta w spodniach. Jestem pewna, że twój jest największy na świecie, ale i tak nie chcę go oglądać. Ale dzięki za propozycję.

Landry wytrzymał moją krytykę, po czym ruszył w kierunku drzwi.

- Prowadź. Mam nadzieję, że nie będę tego żałować.

Odwzajemniłam jego spojrzenie i jego obawę.

- No to jest nas dwoje.

Bruce Seabright nie ucieszył się na mój widok. Sam otworzył nam drzwi, z pewnością wcześniej zakazując wszystkim innym do nich się zbliżyć. Był ubrany do golfa, w spodnie koloru khaki i pomarańczową koszulkę polo. Miał takie same mokasyny z frędzlami jak Van Zandt. Była ósma piętnaście rano.

- Panie Seabright, to jest detektyw Landry z biura szeryfa - powiedziałam, a Landry pokazał mu odznakę. - Powiedział mi, że nie otrzymał od pana telefonu.

- Jest sobota - powiedział Seabright. - Nie wiedziałem, jak wcześniej mogę dzwonić.

- Więc pomyślał pan, że dobrze będzie zaczekać do osiemnastej, zanim pan spróbuje? - zapytałam.

- Pani Estes powiedziała mi, że pańska pasierbica została porwana - przerwał mi Landry.

Seabright wgapił się we mnie.

- Porywacze powiedzieli, żeby nie powiadamiać policji, więc nie dzwoniłem. Mam nadzieję, że pani Estes nie wpędziła Erin w większe niebezpieczeństwo, przyprowadzając tu pana.

- Nie sędzę, by to mogło zaszkodzić Erin bardziej niż zignorowanie dostarczenia okupu - zauważyłam. - Możemy wejść?

Niechętnie nas wpuścił i szybko zamknął za nami drzwi, na wypadek gdyby jakiś sąsiad patrzył zza firanek.

- Czy otrzymał pan kolejną wiadomość od porywaczy? - zapytał Landry, gdy Seabright prowadził nas do swojej prywatnej świątyni. Nigdzie nie było widać Krystal. Dom był cichy jak mauzoleum. Zauważyłam Molly przykucniętą w holu na górze, spoglądającą na nas przez barierki.

- Nie.

- Kiedy miał pan od nich ostatni telefon?

- W czwartek w nocy.

- Dlaczego pan nie zapłacił, panie Seabright?

Seabright zamknął za nami drzwi gabinetu i szykował się, by zasiąść za biurkiem, lecz Landry już zajął pozycję i stanął tam z dłońmi na oparciu krzesła.

- Zapewne pani Estes wspomniała panu, że nie jestem przekonany, czy cała ta sprawa nie jest jedynie żartem.

- Jest pan wystarczająco przekonany, by nie zadzwonić na policję ze strachu przed tym, co mogłoby się stać Erin, ale nie na tyle, by zapłacić okup? - zapytał Landry. - Chyba nie do końca pana rozumiem.

Seabright przemierzał drugi koniec pokoju z rękami na biodrach.

- Przykro mi, nie znam protokołu postępowania ofiar porwania. To mój pierwszy raz.

- Ma pan pieniądze?

- Mogę mieć.

- Nawet w sobotę?

- Jeśli będę musiał. Prezes mojego banku jest moim bliskim przyjacielem. Prowadzę z nim bardzo duże interesy.

- Dobrze - powiedział Landry. - Niech pan do niego zadzwoni. Proszę mu powiedzieć, że możliwe, że będzie pan musiał prosić go dziś o przysługę. Potrzebuje pan trzystu tysięcy dolarów wznaczonych banknotach. Pański przyjaciel będzie potrzebował czasu, żeby zebrać taką sumę. I proszę mu powiedzieć, że ktoś z biura szeryfa przyjedzie do banku, by asystować przy wypłacie.

Seabright wyglądał na zszokowanego.

- A-ale... nie mamy chyba zamiaru naprawdę dać im tych pieniędzy, prawda?
- Będziemy musieli, jeśli kiedykolwiek chce pan jeszcze zobaczyć swoją pa-sierbicę - powiedział Landry. - A chce pan tego, prawda, panie Seabright?

Seabright zamknął oczy i westchnął.

- Chcę. Oczywiście.

- Dobrze. W ciągu godziny będą tu moi ludzie i założą podsłuch w pańskim telefonie. Następnym razem, gdy zadzwonią porywacze, będziemy mogli wysle-dzić, skąd dzwonią. Umówi się pan z nimi na spotkanie. Powie pan, że przywie-zie pieniądze, ale oni muszą przywieźć Erin i ją panu pokazać, inaczej nie zo-stawi pan pieniędzy. Wiedzą już, że nie mają do czynienia z naiwnym mięczar-kiem. Jeśli jeszcze jej nie zabili, to wezmą ją ze sobą. Chcą pieniędzy, nie dziew-czyni.

- Nie wierzę, że to naprawdę się dzieje - wymamrotał Seabright. - A wy? Bę-dziecie na miejscu?

- Tak. Rozmawiałem już z moim przełożonym na temat pańskiej sytuacji. Wkrótce zadzwoni, żeby porozmawiać z panem osobiście.

- A FBI? Czy nie pojawiają się przy każdym porwaniu?

- Nie automatycznie. Ale możemy ich wezwać, jeśli takie jest pańskie życze-nie.

- Nie. Proszę tego nie robić. Już i tak za dużo się dzieje. Powiedzieli, żebym nie dzwonił na policję, a za chwilę mój dom będzie was pełen.

- Będziemy bardzo dyskretni, panie Seabright - powiedział Landry. - Chciał-bym porozmawiać ze wszystkimi domownikami.

- Moja żona jest pod wpływem środków uspokajających. Prócz Krystal w domu jestem ja, mój syn Chad i młodsza córka Krystal, Molly.

- Detektyw Landry już wie o relacjach seksualnych między Erin a pańskim synem - powiedziałam. Zaczął robić się purpurowy od szyi w górę, jakby w ter-mometrze podniosła się czerwona rtęć. - Z pewnością będzie chciał pomówić z Chadem.

- Mój syn nie ma z tym nic wspólnego.

- Czemu? Bo pan tak twierdzi? - zaatakowałam go. - Pański syn miał wiele wspólnego z Erin. Widziano, jak kłócił się z nią przed jej mieszkaniem dwa dni przed tym, jak została porwana.

- To wszystko jej wina - gorzko zaprotestował Seabright. - To ona wpędziła go w ten związek tylko po to, by zrobić mi na złość.

- Nie sądzi pan, że Chad mógłby sam chcieć zrobić panu na złość?

Seabright podszedł do mnie i zaczął wyrażać paluchem tuż przed moją twarzą.

- Mam dość pani i pani oskarżeń. Nic mnie nie obchodzi, dla kogo pani pracuje, i nie chcę pani tu więcej widzieć. Sprawą zajmie się teraz biuro szeryfa. Jestem przekonany, że oni również nie życzą sobie, by kręcił się tu jakiś prywatny detektyw. Prawda, panie oficerze?

Seabright popatrzył na Landry'ego, Landry popatrzył na mnie. Jego twarz była tak nieprzenikniona jak moja.

- Właściwie - powiedział Landry - współpraca z panią Estes jest dla nas bardzo ważna. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie ona.

Dobry glina, zły glina. Prawie się uśmiechnęłam.

- Właśnie. Może zechciałby pan to wyjaśnić przełożonemu detektywa Landry'ego? - rzuciłam.

Chciał chwycić mnie za gardło i udusić. Widziałam to w jego oczach.

- Jestem pewna, że będzie bardzo zainteresowany pańską relacją, jak to nie przejął się pan porwaniem własnej pasierbicy - ciągnęłam, odsuwając się od niego. - Wie pan, detektywie Landry, może powinien pan powiadomić FBI. Mam znajomego w lokalnym biurze, z którym mogłabym pana skontaktować. W końcu sprawa może mieć wydźwięk międzynarodowy, jeśli jest w nią zamieszany któryś z obcokrajowców rezydujących w centrum jezdzieckim. A może trop zaprowadzi nas do jednego z zagranicznych kontrahentów pana Seabrighta. Nawet jeśli Erin została wywieziona jedynie poza granicę stanu, to już jest to sprawa dla FBI.

Wystarczyło wspomnieć o interesach Seabrighta, by mięśnie jego twarzy skrzyły się w ciasny supeł.

- Nie lubię, jak mi się grozi - rzeki urażony.

Znów do niego podeszłam i nachyliłam się do jego ucha.

- I oto chodzi - wymruczałam.

- Powinien pan skupić się na Erin, panie Seabright - powiedział Landry. - Narzekanie na osoby, które najwyraźniej troszczą się o nią bardziej niż pan,

nie stawia pana w dobrym świetle. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Jeśli dobrze rozumiem, to chyba lepiej będzie, jeśli zadzwonię po adwokata.

- Ależ proszę. Niech pan dzwoni, skoro rozmowa ze mną budzi pańskie obawy.

To kazało mu się zamknąć. Potarł twarz rękami i spojrzął w sufit.

- Bierzecie mnie pod uwagę jako podejrzanego? - zapytał.

- Dochodzenia w sprawach tego typu zawsze idą dwutorowo, panie Seabright. Rozważamy podejrzenia co do osób z rodziny i z zewnątrz. Chciałbym teraz porozmawiać z pańskim synem. Czy jest w domu?

Seabright podszedł do interkomu i nacisnął guzik.

- Chad, pozwól do mojego gabinetu.

Wyobraziłam sobie, jak to jest - znajdować się w innym miejscu domu i słyszeć głos Bruce'a płynący ze ścian. Wszystko, czego jeszcze potrzebował, to krzak płonący na pilota - i jego boski wizerunek byłby kompletny.

- Czy Chad miał jakieś kłopoty z prawem, panie Seabright? - zapytał Landry.

Seabright wyglądał na urażonego.

- Mój syn jest wzorowym uczniem, ostatnią klasę kończył z wyróżnieniem.

Rozległo się grzeczne pukanie do drzwi i Chad Seabright wetknął głowę przez drzwi, potem wślizgnął się do środka z miną nieśmiałego, pragnącego się przypodobać pieska. Był schludnie ubrany w spodnie koloru khaki i granatową koszulkę polo od Tommy'ego Hilfigera. Wyglądał jak idealny kandydat do Partii Republikańskiej.

- Chad, to są detektyw Landry i pani Estes - przedstawił nas Seabright. - Chcą zadać ci parę pytań na temat Erin.

Chad zrobił wielkie oczy.

- O kurczę, pewnie. Rozmawiałem już z panią Estes. Wie, że nie widziałem się z Erin. Żałuję, że nie mogę być bardziej pomocny.

- Ty i Erin byliście razem.

Chad wydawał się zawstydzony.

- To skończyło się jakiś czas temu. Przyznaję, że źle postąpiłem. To jakoś samo się stało. Erin potrafi być bardzo przekonująca.

- Pokłóciliście się w zeszłym tygodniu. O co poszło?

- Zerwaliśmy ze sobą.

- Chad! - krzyknął Bruce Seabright. - Powiedziałeś, że jest po wszystkim, kilka miesięcy temu, gdy Erin wyprowadziła się z domu!

Chad popatrzył w podłogę.

- Bo było... prawie. Przepraszam, tato.

- Chad, gdzie byłeś w zeszłą niedzielę między czwartą a szóstą po południu?

- zapytał Landry.

Chad rozejrzał się wokoło, jak gdyby odpowiedź była wypisana gdzieś na ścianie.

- Niedziela... byłem chyba...

- Byliśmy w kinie - pomógł mu Bruce Seabright. - Pamiętasz, Chad? To nie w niedzielę poszliśmy na ten nowy film z Bruce'em Willisem?

- To była niedziela? No tak! - Chad pokiwał głową, patrząc na Landry'ego. - W kinie.

- Na jakim filmie?

- „Osaczony”. Naprawdę świetny. Widział pan?

- Nie chodzę do kina - odparł Landry.

- Nie zachowałeś przypadkiem biletu? - zapytałam Chada.

Chad zaśmiał się głupekowato.

- A kto by trzymał coś takiego? Chyba tylko gość z zatwardzeniem!

- Zatem zapytam pana. Wygląda mi pan na osobę, która zatrzymałaby stary bilet i jeszcze go zalaminowała - powiedziałam.

- Nie tym razem.

- Poza tym jest pan typem człowieka, który zachęciłby własne dziecko, by kłamało w twarz oficerowi policji - dodałam.

- Czy byliście ze znajomymi? - zapytał Landry, nie zważając na moje uwagi. - Czy jest ktoś, kto mógłby potwierdzić, że byliście w kinie?

- Nie - odparł Bruce. - Byliśmy we dwóch. Tylko ojciec i syn.

- W którym kinie?

- W tym dużym przy stanowej drodze numer siedem.

- O której zaczął się seans? - zapytałam.

Seabright z trudem się kontrolował.

- Późno po południu - popatrzył gniewnie na Landry'ego. - Dlaczego stoicie tu i nas przepytujecie? Jeśli ktoś porwał Erin, prawdopodobnie znalazł ją z

centrum jeżdżenie. Czy wśród wszystkich pracujących tam ludzi nie ma żadnych mętów? Czy to nie im właśnie powinniście zadawać pytania?

- A czy pan kontaktował się z kimś z centrum? - zapytałam, patrząc mu w oczy. - Załatwił pan Erin pracę przez Treya Hughesa. Czy rozmawiał pan z nim ostatnio? Zapytał go pan, czy widział Erin lub czy coś o niej słyszał?

Usta Seabrighta poruszyły się, ale nie wyszedł z nich żaden dźwięk.

- Po tym, jak zobaczył pan taśmę i dowiedział się, że Erin została zabrana z terenów pokazowych, nie zadzwonił pan do jedynej znanej panu osoby, która miała jakiś kontakt z Erin?

- Cóż... Ja... Trey nic by na ten temat nie wiedział - wyjąkał. - Erin była w końcu tylko stajenną.

- Dla Hughesa. Dla pana jest pasierbicą.

Zadzwonił telefon Landry'ego. Landry przeprosił i wyszedł z gabinetu, zostawiając mnie samą w pokoju z męskimi członkami rodziny Seabrightów, gapiącymi się na siebie. Pomyślałam, że obu należałoby powiesić za jaja i wychłostać trzciniowymi witkami, ale taka kara nie obowiązuje nawet w południowej Florydzie.

- Miałam w życiu do czynienia z wieloma bezzwłędnymi i zepsutymi ludźmi, panie Seabright - powiedziałam. - Ale pan powinien zostać królem tej sterty gówna. Wyjdę teraz. Czuję, że za chwilę mogę mieć problem z panowaniem nad sobą.

Landry stał blisko drzwi wejściowych, miał ściągnięte brwi i mówił coś cicho do telefonu. Popatrzyłam do góry i zobaczyłam Molly siedzącą u szczytu schodów. Była taka mała i tak bardzo samotna. Musiała czuć się całkiem porzucona w tym wielkim domu. Krystal nie stanowiła dla niej żadnej pociechy, a Bruce i jego synalek byli praktycznie wrogami.

Chciałam wejść po schodach, sięść obok, objąć ją ramieniem i powiedzieć, że rozumiem, jak się czuje. Ale Landry właśnie skończył rozmawiać.

Wyraz jego twarzy sprawił, że poczułam skurcz w żołądku.

- O co chodzi? - zapytałam cicho, przygotowana na najgorsze. I właśnie to usłyszałam.

- W centrum jeżdżenie znaleziono ciało dziewczyny.

XXI

Nic tak nie uczy pokory zadeklarowanego cynika, jak nagły cios, przeżycie, które dotyka tak mocno, że aż tracisz oddech. Czulałam dosłownie, jak krew ucieka mi z serca, gdy usłyszałam słowa Landry'ego. Zostawił mnie stojącą bez ruchu przy drzwiach, a sam poszedł powiadomić Bruce'a Seabrighta.

Czy to Erin? Jak zginęła? Czy zmarła dlatego, że ją zawiodłam? Co za samolubna myśl. Jeśli Erin naprawdę nie żyła, wina ciążyła przede wszystkim na sprawcy zbrodni, potem na Seabrightcie. Jeśli chodzi o ranking zaniedbań, znajdowałam się na dole listy. Pomyślałam, że to na pewno nie Erin, a chwilę potem, że nie mógł to być nikt inny.

- Co się stało?

Molly nagle pojawiła się przy moim boku. Język, który na ogół działał szybciej niż głowa, stanął mi kołkiem.

- Czy chodzi o Erin? - zapytała przerażona. - Czy ktoś ją znalazł?

- Nie wiemy - odpowiedziałam zgodnie z prawdą, ale mnie samej wydało się to kłamstwem i musiało brzmieć podobnie. Molly odsunęła się ode mnie o krok.

- Powiedz mi. Mam prawo wiedzieć. Nie jestem jakimś... jakimś głupim dzieciakiem, któremu każdy może rozkazywać i mówić bzdury! - powiedziała ze złością.

- To prawda, Molly, nie jesteś głupim dzieciakiem - powiedziałam. - Ale nie chcę straszyć cię, zanim nie poznam faktów.

- Już mnie przestraszyłaś.

- Przepraszam - wzięłam głęboki oddech, żeby zyskać na czasie i znaleźć najlepszy sposób na przekazanie jej wiadomości. - Detektyw Landry właśnie otrzymał telefon od swojego kapitana. W centrum jezdzieckim znaleziono ciało.

Jej oczy zrobiły się ogromne.

- Czy to Erin? Czy ona nie żyje? To wszystko przez policję. Na taśmie mówili, żeby nie dzwonić na policję!

- Nie wiemy, kto to jest, Molly - powiedziałam, biorąc ją za ramiona. - Ale musisz wiedzieć, że nikt nie zabiłby Erin dlatego, że jest tu Landry. Porywacze nie mieli możliwości dowiedzieć się, że pracuje w policji.

- Skąd wiesz? - dopytywała się gorączkowo. - Może obserwują dom? Może jesteście na podsłuchu?!

- Nie, Molly. Dom nie jest na podsłuchu i nikt go nie obserwuje. Tak zdarza się tylko w filmach. W prawdziwym życiu przestępcy są leniwi i głupi. A kimkolwiek jest martwa osoba, nie żyje dłużej, niż Landry był w tym domu - powiedziałam. - Jadę teraz na tereny pokazowe. Dam ci znać, gdy tylko dowiem się, co się stało.

- Jadę z tobą - powiedziała z uporem.

- Absolutnie nie!

- Ale to moja siostra!

- A ja wykonuję swoją robotę. Nie mogę cię mieć przy sobie, Molly, z wielu powodów. I z równie wielu nie chcę.

- Nie mogę tak tutaj siedzieć - przekonywała. - Erin ma kłopoty. Chcę jej pomóc.

- Jeśli chcesz pomóc, to zostań tutaj i miej oczy otwarte na wszystkie dostarczane do domu listy. Jeśli porywacze wyślą następną taśmę, musimy o tym wiedzieć w chwili, gdy znajdzie się w waszych drzwiach. Oto twoje zadanie, dobrze?

Rozumiałam jej frustrację. Była osobą, która jako pierwsza podjęła starania, by odnaleźć Erin, a teraz czuła się bezradna.

- No dobrze - powiedziała z westchnieniem.

Zaczęłam odwracać się w kierunku wyjścia.

- Elena?

- Tak?

Popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Naprawdę się boję.

Położyłam rękę na jej głowie takim ruchem, jakbym udzielała błogosławieństwa. Tak bardzo chciałam mieć moc, która nadałaby temu gestowi prawdziwej siły.

- Wiem. Ale musisz się trzymać. Robimy wszystko, co w naszej mocy.

Landry wyszedł z gabinetu. Bruce Seabright się nie pokazał. Zastanawiałam się, czy przez interkom przekazuje Krystal wiadomość o znalezieniu ciała.

- Zadzwoń, jak tylko czegoś się dowiem - powiedziałam do Molly i wyszłam. Landry szedł tuż za mną.

- Czy wiesz, gdzie jest stajnia numer czterdzieści? - zapytał.

- Tak, to na tyłach centrum. Jedź za mną. Poprowadzę cię tylnym wjazdem, tak będzie dużo szybciej. Znasz już jakieś szczegóły?

Pokręcił głową.

- Nic z tego nie rozumiem. Porucznik powiedział, że ktoś ją odkopał. Nie wiem, co to znaczy: czy to świeże ciało, czy szkielet.

- Wkrótce sami sprawdzimy - powiedziałam, przechodząc przed maską mojego samochodu. Moje słowa znów brzmiały jak kłamstwo. Każda minuta niepewności wydawała się trwać godzinę - z powodu Molly. Modliłam się, bym nie musiała jej mówić, że jej siostra nie żyje.

Z Binks Forest wybrałam drogę przez Aeroklub - osiedle stworzone z myślą o ludziach posiadających własne samoloty - do Palm Beach Point, a dalej polną drogą prowadzącą do tylnej bramy centrum jeździeckiego. Tej samej, spod której prawie tydzień temu porwano Erin. Stajnia numer czterdzieści znajdowała się na łąkach, tuż za bramą.

Tak jak w każdy weekend sezonu, miejsce pełne było jeźdźców, stajennych, psów i dzieci, a także samochodów, ciężarówek, wózków golfowych i motocykli. Największy tłum zebrał się jednak naokoło żółtego, zardzewiałego podnośnika i śmieciarki, zaparkowanych w pobliżu pojemnika na nawóz - jednego z wielu betonowych kontenerów, zabudowanych z trzech stron, stojących przed każdym namiotem. Dostrzegłam parę niebieskich koszul - ochroniarze. Białozielony radiowóz stał w błocie na skraju drogi.

Wjechałam na parking naprzeciwko zbiegowiska, sięgnęłam na tylne siedzenie po słomkowy kapelusz i wysiadłam z samochodu. Landry zatrzymał się obok mnie i opuścił szybę. Nachyliłam się w jego kierunku.

- Nie znasz mnie - powiedziałam.

Przewrócił oczami.

- Moje najszczęśliwsze życzenie.

Pojechał dalej i zaparkował za radiowozem.

Serce biło mi mocno, gdy zbliżałam się do miejsca, w którym zebrał się gapię. Zapytałam blondynkę z kucykiem wystającym spod bejsbolowej czapki, czy wie, co się tu stało. Wyglądała na podekscytowaną.

- Ktoś znalazł zwłoki.

- Boże. Czyje?

- Ktoś mówił, że jakaś stajenna. Nic więcej nie wiem.

Przeszłam dalej, torując sobie drogę przez tłum. Ochroniarze powtarzali ludziom, by wracali do swoich zajęć. Kierowca śmieciarki siedział na zderzaku, zwiesiwszy ręce między kolanami, z twarzą pozbawioną wyrazu. Operator podnośnika stał obok swojej maszyny i żywo gestykulował, opowiadając o czymś stojącym przed nim ludziami: ochroniarzowi, jednemu z policjantów i Landry'emu.

Dotarłam na sam przód zbiegowiska. Za ładownicą widać było do połowy rozkopaną stertę nawozu. Spod gnoju wystawała ręka. Kobieca ręka, z czerwonymi paznokciami i nadgarstkiem obwieszonym bransoletkami, które błyszczały w promieniach słońca. Derka, którą przykryto ciało, zasłaniała całą resztę.

- Proszę pani? - Landry podszedł do mnie. - Strażnik twierdzi, że może nam pani pomóc. Pozwoli pani...?

- Ja? Och! No nie wiem... Raczej nie bardzo... - wyjąkałam ze względu na zebranych wokół ludzi. Przyglądali mi się, zastanawiając, kim do diabła jestem.

Landry wziął mnie za łokieć i opierającą się poprowadził w kierunku sterty łajna. Gdy byliśmy już poza zasięgiem słuchu gapiów, powiedział:

- Wykopał ją człowiek, który opróżnił kontener. Leżała w gównie. To się nazywa szacunek dla zmarłych. Gość mówi, że kontener nie był opróżniany od czwartku, ale wtedy wybrano wszystko, do samego dna.

- Jeśli to Erin, to żądam dziesięciu minut sam na sam z Bruce'em Seabrightem. I tępym nożem - powiedziałam.

- Ja go potrzymam, ty wyniesz serce.

- Umowa stoi.

Krzywiąc się od smrodu uryny i nawozu, Landry pochylił się nad ciałem i uchylił rąbek koca.

Spięłam wszystkie mięśnie, przygotowując się na najgorsze. Ciało było białe i sztywne. Rozmazany tusz, niebieski cień do powiek i różowa szminka upodabniały twarz do makabrycznego dzieła sztuki. Na policzku widniała niewielka, podłużna blizna. Usta lekko rozchylone, z ich środka wysypywały się kawałki suchego nawozu.

Wypuściłam długo wstrzymywane powietrze. Poczulałam jednocześnie ulgę i obrzydzenie.

- To Jill Morone.

- Znałaś ją?

- Tak. I zgadnij, dla kogo pracowała?

Landry zmarszczył brwi.

- Dla Dona Jade'a. Wczoraj mówiła mi, że z nim sypia. - Wczoraj?! A co ty tu robiłaś wczoraj? - zapytałam, zapominając o otaczających nas ludziach i roli, którą powinnam grać. Wyglądał nieswojo i nie chciał spojrzeć mi w oczy.

- Badalem sprawę twojego pobicia.

- Rany! A ja myślałam, że nic cię to nie obchodzi!

- Obchodzi mnie za to bardzo, że mam przez ciebie kupę papierkowej roboty - zmienił ton na obrażony. - No już, Estes, spadaj stąd. Idź i graj dyletantkę. Może do czegoś się przydasz.

Stojącym wokół pokazałam zasmuconą minę i pobiegłam do samochodu, żeby zadzwonić do Molly z wiadomością, że jej siostra żyje - przynajmniej z tego, co było mi wiadomo. Następnie ruszyłam do stajni Dona Jade'a szukać zabójcy.

XXII

Gdy dotarłam na miejsce, w boksach Jade'a trwały wielkie porządki. Paris nadzorowała pracę Gwatemalczyka, który zbierał z ziemi ubrania, wynosił je na zewnątrz i wrzucał na wózek służący do wywożenia nawozu. Paris przerywała chwilami pokrzykiwanie na swego pracownika, by wrzasnąć coś do osoby po drugiej stronie słuchawki.

- Jak to ubrania nie są wliczone? Ma pan jakiegokolwiek pojęcie, ile te rzeczy kosztują?

Popatrzyłam na stertę leżącą na wózku: białe i płowe bryczesy, oliwkowozielony wełniany rajtok, prawdopodobnie szyty na zamówienie, koszule na miarę. Wszystko to faktycznie sporo warte. I wszystko uwalane nawozem.

- Co tu się stało? - zapytałam.

Paris zatrzasnęła klapkę telefonu. Była wściekła, jej ciemne oczy aż płonęły ze złości.

- To ta wstrętna, paskudna, głupia, tłusta dziewczucha!

- Wasza stajenna?

- Nie tylko wczoraj nie oporządziła koni i nie wyczyściła boksów po wyjściu Javiera. Zrobiła jeszcze to! - wskazała palcem na kupę zniszczonych ubrań. - Złośliwa, okropna, mała...

- Ona nie żyje - przerwałam Paris.

Paris zatrzymała się w połowie tyrady i popatrzyła na mnie, jakby nagle wyrosła mi druga głowa.

- Co? O czym ty mówisz?

- Nie słyszałaś? Znaleźli ciało w stercie nawozu koło stajni numer czterdzieści. To Jill.

Znów popatrzyła na mnie uważnie, potem rozejrzała się wokół, jakby szukała ukrytej kamery.

- Żartujesz, prawda?

- Nie. Wjechałam tylną bramą. Jest tam teraz policja. Z pewnością wkrótce przyjdą tutaj. Wiedzą, że pracowała dla Jade'a.

- No to świetnie - powiedziała, bardziej przejęta perspektywą spotkania z policją niż śmiercią dziewczyny. Zreflektowała się i szybko przybrała odpowiedni wyraz twarzy. - Nie żyje. To straszne. Nie mogę w to uwierzyć. Co się jej stało? Miała wypadek?

- Nie sądzę, żeby sama przypadkowo zakopała się w końskim gównie - odpowiedziałam. - Musiała zostać zamordowana. Na twoim miejscu niczego bym tu nie ruszała. Bóg wie, co pomyślą sobie policjanci.

- Cóż, nie będą chyba myśleć, że zabił ją ktoś z nas - powiedziała z urazą w głosie. - Była ostatnią stajenna, jaka nam została.

Tak jakby był to jedyny powód, by jej nie zabijać.

- Jak myślisz, dlaczego narobiła tyle bałaganu? - zapytałam, wskazując na ubrania.

- Żeby się zemścić, jestem pewna. Don wspomniał, że widział ją wczoraj w „The Players” i o coś ją upomniał. O mój Boże! - powiedziała, nagle przestraszona. - Nie sądzisz chyba, że została zabita tutaj?

Wzruszyłam ramionami.

- A gdzie indziej mogłoby to się stać?

- No nie wiem. Może spotykała się z kimś z innej stajni, na przykład z jakimś chłopakiem?

- Miała chłopaka?

Paris skrzywiła się.

- Ciągłe opowiadała o facetach, jakby była wiejską dziwką. Ale nie wierzyłam, że kogoś ma.

- Wczoraj w nocy najwyraźniej kogoś miała - powiedziałam. - Życie skoczków jest doprawdy ekscytujące: morderstwa, awantury, intrygi...

Javier spytał Paris po hiszpańsku, czy uprzątnąć boks. Paris zajrzała do środka przez barierki, ja także. Panował tam okropny bałagan, podłogę pokrywał nawóz, ściółka i olej do konserwacji skóry.

- Czy to krew? - spytałam, wskazując palcem czerwone krople na białych wiórkach trocin. Krew mogła należeć do martwej dziewczyny albo do zabójcy. Ale mogła to być również krew stojącego tu na ogół zwierzęcia. Tylko laboratorium mogło stwierdzić to z pewnością. Kto wie, jakie dowody Javier uprzątnął już wcześniej.

Paris gapiła się we wskazany przeze mnie punkt.

- Może to krew. Nie wiem. To wszystko jest zbyt potworne, żeby o tym choćby mówić.

- Gdzie jest Don?

- Pojechał kupić coś do ubrania. Ma dzisiaj pokaz.

- Nie liczyłam na to. Spotkał Jill zeszłej nocy. Potem ona przyszła tutaj, narozrabiała, a teraz nie żyje. Myślę, że gliniarze będą chcieli z nim porozmawiać.

Paris podeszła do reżyserskiego krzesła z imieniem Jade'a wyhaftowanym na oparciu.

- Elle, to po prostu okropne - powiedziała, siadając ciężko, jakby nagle zabrakło jej sił. - Nie myślisz chyba, że Jade mógłby...

- To, co ja myślę, nie ma znaczenia. Prawie go nie znam. A ty, jak sądzisz? Potrafiłby coś takiego zrobić?

Zapatrzyła się w jakiś odległy punkt.

- Chciałabym móc powiedzieć, że nie. Nigdy nie widziałam, by zachowywał się agresywnie. Zawsze jest taki opanowany...

- Słyszałam, że wpadł w kłopoty, gdy zabił parę koni dla pieniędzy z ubezpieczenia.

- Nigdy mu tego nie udowodniono.

- A co ze Stellarem?

- To był wypadek.

- Jesteś pewna? Co powiedział rzeczoznawca?

Na chwilę schowała twarz w dłoniach, po czym przyglądała włosy. Na prawej ręce miała piękny, stary pierścionek, wysadzany szmaragdami i diamentami. Musiał być wart fortunę.

- Firma ubezpieczeniowa zawsze znajdzie powód, żeby nie zapłacić - powiedziała z niechęcią. - Dlatego, że w sprawę wplątany jest Don. Dopóki właściciele płacą ogromne składki, wszystko jest dobrze. Ale nie daj Boże, żeby któryś z nich zażądał odszkodowania.

- Ale jeśli to faktycznie był wypadek...

- Rzeczoznawca zadzwonił dziś rano i powiedział, że sekcja Stellara wykazała we krwi obecność środka uspokajającego. To bez sensu, ale jeśli znaleźli jakiś powód, żeby oddalić wniosek, nie wypłacą odszkodowania. Trey będzie wściekły, gdy się o tym dowie.

A Jade stracił posadę w stajni wartej miliony dolarów. Nawet jeśli Hughes pragnął pozbyć się konia, z pewnością nie chciał być zamieszany w próbę wyłudzenia pieniędzy. Winą obciążą Jade'a i wyrzuci go z pracy.

- Był jakiś powód, dla którego koń mógł mieć tę substancję w organizmie? - zapytałam.

Paris pokręciła głową.

- Nie. Oczywiście trzymamy tu różne środki uspokajające, każda stajnia je posiada. Kiedy koń ma kolkę, podajemy mu finadin, a jeśli za bardzo wierzga przy zakładaniu podkowy - trochę sedalinu. To nic wielkiego. Ale nie było powodu, żeby któryś z tych środków podawać Stellarowi.

- Myślisz, że Jill mogła coś na ten temat wiedzieć?

- Nie sądzę. Jill bardzo słabo przykładała się do pracy. Z pewnością nie przyszłyby do stajni w środku nocy, a o takiej porze zginął Stellar.

- Wczoraj była tu dość późno - zauważyłam.

Paris popatrzyła na koniec korytarza, gdzie właśnie pojawił się Jade.

- Cóż, chyba nigdy do końca nie znamy ludzi, z którymi pracujemy.

Jade w obu rękach trzymał torby z zakupami. Paris zerwała się z reżyserkiego krzesła i pobiegła za nim do siodłami, by przekazać mu wiadomość o śmierci Jill. Wyteżałam uszy, ale nie udało mi się usłyszeć z ich rozmowy nic poza nerwowym tonem, pojedynczymi słowami i podniesionym głosem Jade'a powtarzającego Paris, by się uspokoiła.

Spojrzałam na Javiera, który wciąż stał na progu i czekał na dalsze instrukcje. Zapytałam go po hiszpańsku, czy nie sądzi, że to zwariowane miejsce. Tak,

bardziej niż może sobie pani wyobrazić, odparł, wziął widły i poszedł sprzątać boks kawalek dalej.

Samochód Landry'ego zatrzymał się przed wejściem do namiotu. Musiał poczekać na przyjazd ekipy zabezpieczającej miejsce zbrodni oraz ludzi koronera. Z pewnością wezwał też paru oficerów więcej, by wypytali pracowników okolicznych stajni, czy ktoś widział Jill zesłej nocy. Wszedł do namiotu w towarzystwie drugiego policjanta w cywilnym ubraniu. W tej samej chwili bocznym wejściem wtargnął Michael Berne, cały czerwony.

Zatrzymał się przy siodłami, uchylił zasłonę i zajrzał do środka.

- Już po tobie, Jade - powiedział głośno, w jego głosie słychać było podniecenie. - Mam zamiar powiedzieć policji o tym, co widziałem wczorajszej nocy. Wiele rzeczy może ujść ci na sucho, ale nie morderstwo.

Sprawiał wrażenie uszczęśliwionego czyjaś śmiercią. - A co ty tak naprawdę widziałeś, Michael? - zapytał Jade, zdenerwowany. - Wszystko, co widziałeś, to moja rozmowa z pracownicą.

- Widziałem, jak się z nią klóć, a teraz ona nie żyje.

Landry wraz z towarzyszącym mu oficerem weszli w odpowiednim momencie, by usłyszeć ostatnią z rewelacji Berne'a. Landry machnął mu legitymacją przed nosem.

- Dobrze się składa - powiedział Berne. - Mam wielką ochotę z panem porozmawiać.

- Porozmawia pan z detektywem Weissem - odparł Landry, mijając go na progu siodłami. - Panie Jade, proszę ze mną.

- Jestem aresztowany? - spokojnie zapytał Jade.

- Nie. A powinien pan być?

- Powinien, i to już dawno - wtrącił się Berne.

Landry zignorował go.

- Mamy podstawy, by sądzić, że znaleźliśmy zwłoki pańskiej pracownicy. Chciałbym, by udał się pan ze mną na miejsce wypadku, zidentyfikował ciało i odpowiedział na parę rutynowych pytań.

- Niech go pan zapyta, co z nią robił wczoraj w „The Players” - powiedział Berne.

- Panno Montgomery, z panią także chcemy zamienić kilka słów - kontynuował Landry. - Myślę, że wszystkim nam będzie wygodniej na posterunku.

- Mam sprawy, którymi muszę się zająć - powiedział Jade.
- Don, na miłość boską, dziewczyna nie żyje - warknęła Paris. - Z tego, co wiemy, mogła zostać zabita właśnie tu, w naszej stajni. Wiesz, że była tu wczoraj w nocy, a teraz...

- Co robiła tu wczoraj w nocy? - zapytał Landry.

Jade nie odpowiedział. Paris zamknęła usta, a wyraz jej twarzy mówił „O cholera, co ja zrobiłam”. Landry spojrzał na nią.

- Panno Montgomery?

- No cóż... Więc... Ktoś był w stajni wczoraj późno w nocy i zniszczył kilka rzeczy. Założyliśmy, że to Jill, ponieważ jako jedna z niewielu osób знаła kod elektronicznego zamka w drzwiach do siodłami.

Landry popatrzył na Weissa, komunikując mu coś telepatycznie. Weiss poszedł do samochodu, by zadzwonić po ekipę badającą miejsce zbrodni i wezwać paru innych policjantów do popilnowania stajni Jade'a do chwili przybycia techników.

Berne wskazał palcem na Jade'a.

- Widziałem, jak wczoraj w nocy w „The Players” kłócił się z tą dziewczyną, która nie żyje.

Landry powstrzymał go gestem dłoni.

- Pańska kolej przyjdzie później.

Zawiedziony brakiem zainteresowania ze strony Landry'ego Berne wycofał się z pomieszczenia i zwrócił do mnie.

- Byli razem w barze - powiedział głośno. - A ona wyglądała jak dziwka.

Ponownie zajrzał do środka.

- Tym razem nie uda ci się wywinąć, Jade. Słyszałem, jak dziewczyna mówi, że wie, co stało się ze Stellarem. Zabiłeś ją, żeby zamknąć jej usta.

- To niedorzeczne. Nic takiego nie zrobiłem.

- Chodźmy, panie Jade. Ludzie koronera będą chcieli zabrać ciało.

- Chyba nie chce pan, żebym oglądał je tutaj, na miejscu? - zapytał Jade. - Nie mam zamiaru robić z siebie widowiska.

Kiepska reklama dla firmy: Don Jade stojący nad ciałem martwej pracownicy.

- Spotkajmy się zatem w kostnicy.

- Czy nie możemy umówić się na później, gdy skończę pracę?

- Panie Jade, dziewczyna nie żyje. Została zamordowana. Wydaje mi się, że jest to nieco ważniejsze niż pańskie codzienne obowiązki - powiedział Landry, - Pojedzie pan teraz z nami dobrowolnie albo nie. Jak pan sądzi, czy widok pana w kajdankach będzie korzystny dla pańskiej reputacji?

Jade westchnął teatralnie.

- Paris, zadzwoń do klientów i powiadom ich o tym, co się dzieje. Nie chcę, żeby dowiedzieli się o tym z nieodpowiedniego źródła - powiedział, patrząc znacząco na Berne'a. - A później wpadnij do biura i wykreśl nas z listy pokazów na dzisiaj.

- Wykreśl go na resztę życia - powiedział Berne ze złośliwym uśmiechem. - Nic nie mogłoby bardziej mnie uszczęśliwić.

Patrzyłam, jak wychodzą z namiotu: Landry, Jade i Paris, za nimi Berne, któremu wciąż nie zamykały się usta. Zastanowiłam się nad tym, co powiedział. Wkurzyłam go wczoraj sugestią, że to on zabił Stellara w celu zrujnowania Jade'a. Może jednak coś w tym było. Berne był przekonany, że Jade pozabawił go marzeń o lepszym życiu, gdy przeciągnął Hughesa do swojej stajni. Ile było dla niego warte odzyskanie tego, co stracił? Życie zwierzęcia? Życie człowieka? Zdrość potrafi być silnym bodźcem.

Stellar w chwili śmierci był pod wpływem leku uspokajającego. A, jak mówiła Paris, tego typu środki znajdowały się w każdej siodlarni na terenie centrum - bez wątpienia także u Berne'a.

Koń zmarł wskutek porażenia prądem, metody chętnie stosowanej przez zabójców koni, ponieważ nie zostawia oczywistych śladów i przypomina śmierć z powodu kolki, choroby częstej i niejednokrotnie śmiertelnej. Zadanie wykonać mogła jedna osoba dysponująca paroma przewodami i źródłem prądu. Jeśli zbrodnię starannie zaplanowano i wykonano, bardzo trudno było dowieść, że śmierć nie nastąpiła w naturalny sposób.

Jeśli plotki o jego przeszłości były prawdziwe, to Jade musiał wiedzieć to wszystko. Ale na pewno wiedział też, że wielkim błędem było pozwolić, by sekcja wykazała obecność środka uspokajającego. Gdyby to on zabił Stellara, nie dopuściłby, by we krwi zwierzęcia znalazła się jakakolwiek substancja wykrywalna w teście toksykologicznym.

Poza tym, jeśli to Jade dokonał zbrodni, dlaczego nie utrzymywał, że koń zmarł na kolkę? Dlaczego po prostu nie powiedział, że nie wiedział, co się stało? Skąd historia o przypadkowym porażeniu prądem? Z pewnością musiały być na to jakieś dowody. Szkoda, że osoba, która znalazła Stellara, nie mogła już nikomu o nich opowiedzieć.

„Słyszałem, jak dziewczyna mówi, że wie, co stało się ze Stellarem”.

Berne powiedział to, by pogrążyć Jade’a, ale jeśli to on zabił Stellara, a Jill o tym wiedziała i miała zamiar powiedzieć swojemu szefowi... Motyw.

Berne widział dziewczynę w „The Players”. Mógł zobaczyć, jak wychodzi. Mógł przyjechać za nią tutaj... Możliwość.

Zagłębiłam się w reżyserskie krzesło Dona Jade’a i zaczęłam analizować, jak w ten scenariusz wpisuje się porwanie Erin Seabright.

- W cudownym towarzystwie się obracasz - wymamrotał Landry, zjawiając się ponownie w namiocie. - Dziewczyna zostaje zamordowana, a jedyne, o czym myślą ci ludzie, to jak bardzo jest to dla nich niewygodne.

- Przyjrzyj się dokładnie Berne’owi - powiedziałam cicho, gdy podszedł do mnie. - Jeśli śmierć dziewczyny jest w jakiś sposób powiązana z zabójstwem konia, to jest on tak samo podejrzany jak Jade. Stracił życiową szansę, gdy właściciel Stellara przeniósł swoje konie pod opiekę Jade’a.

- Dobra. Może wytłumaczysz mi to później. Znam tych ludzi mniej niż dziesięć minut, ale jestem gotów uwierzyć, że są zdolni do wszystkiego. A co z tym gościem z Belgii?

- Nie widziałam go, ale z pewnością wkrótce się pojawi. W boksie może być krew - powiedziałam, pokazując palcem na ślady. - Powiedz o tym swoim specom od miejsca zbrodni.

Kiwnął głową.

- OK. Zabieram teraz Jade’a na przesłuchanie. Weiss zajmie się Berne’em. Technicy i mój porucznik są teraz u Seabrightów, zakładają podsłuch w telefonie.

- Boże. Mam nadzieję, że nie jest za późno.

Poczułam mrowienie w prawym boku. Nieznacznie się obróciłam i kątem oka dostrzegłam Van Zandta. Nie miałam pojęcia, jak długo tam stoi.

- Naprawdę nic nie wiem, panie oficerze - powiedziałam. - Znałam dziewczynę tylko z widzenia, to wszystko.

Odwrociłam się w stronę Van Zandta.

- Zi! Widziałeś wczoraj Jill?

Wyglądał, jakby miał problemy z żołądkiem i podły nastrój.

- Jaką Jill?

- Jill. Stajenną. Stajenną Dona.

- Dlaczego miałbym ją widzieć? - warknął poirytowany. - Powinien ją wyrzucić. Do niczego się nie nadaje.

- Dziewczyna zginęła - powiedział Landry.

Van Zandt wydawał się zmieszany.

- Zginęła? Jak zginęła?

- To wyjaśnia już lekarz sądowy. A moim zadaniem jest wyjaśnić, dlaczego została zabita. I przez kogo. Czy widział ją pan wczorajszej nocy?

- Nie zwracam uwagi na stajennych - odparł Van Zandt z niesmakiem i wszedł do siodłami.

- Muszę pana prosić, by niczego pan nie dotykał - powiedział Landry.

Van Zandt właśnie otwierał drzwiczki minilodówki. Zamknął je i popatrzył na Landry'ego z wyższością.

- A kim pan jest, by o cokolwiek mnie prosić?

- Detektyw Landry z biura szeryfa. A pan?

- Tomas Van Zandt.

- Co wiąże pana z Donem Jade'em?

- Prowadzimy wspólne interesy.

- I nie wie pan na temat Jill Morone nic poza tym, że nie nadawała się do niczego?

- Nie.

W namiocie pojawili się specjaliści od zabezpieczania miejsca zbrodni i wygonili nas na dwór, gdzie oślepił nas blask słońca. Landry wszedł do samochodu z Jade'em i odjechał.

- Aresztują Jade'a? - zapytał Van Zandt. W naturalnym świetle jego twarz wyglądała ciastowato i niezdrowo. Na szyi miał czerwono-niebieską chustkę, umiejętnie dobraną do niebieskiej koszuli. Może odcinała mu dopływ krwi do głowy.

- Nie. To rutynowe przesłuchanie. Jego pracownica została zamordowana. Nie wydaje ci się to szokujące? Nigdy nie znalazłam nikogo, kto został zabity.

Van Zandt wzruszył ramionami. W najmniejszym stopniu nie wyglądał na wzburzonego czy choćby poruszonego.

- Dziewczyna zachowywała się jak dziwka, zawsze gadała o jakichś chłopakach. Ubierała się też jak dziwka. Nic dziwnego, że w końcu spotkało ją nieszczęście.

- Twierdzisz, że się o to prosiła?

- Twierdę, że jeśli igrasz z ogniem, to możesz się sparzyć.

- No proszę. Lekcja dla nas wszystkich.

- Kurewskie słońce - poskarżył się Van Zandt, nakładając okulary. Z taką łatwością zmienił temat, jakby tragiczna śmierć dziewczyny miała mniejsze znaczenie niż nieudana seria skoków.

- A tobie co się stało, Zi? - zapytałam. - Wyglądasz jak śmierć. Bawiłeś się wczoraj w nocy beze mnie?

- Zjadłem coś niedobrego. Nie miewam kaca - podkreślił z naciskiem. - Nigdy się nie upijam.

- Dlatego, że nie próbujesz, czy jesteś po prostu lepszy od nas wszystkich?

Zmusił się do lekkiego uśmiechu.

- To drugie, Elle Stevens.

- Doprawdy? A ja sądziłam, że to Niemcy tworzą wyższą rasę.

- Tylko Niemcy tak myślą.

- Widzę, że wszystko to już sobie przemyślałeś. Chodź, Zi - powiedziałam - kupię ci alka-seltzer, a ty opowiesz mi o nowym porządku świata.

XXIII

- Spotkał ją pan wczoraj w „The Players”. Pokłóciliście się.

- To nie była kłótnia - spokojnie odpowiedział Jade. - Była nieodpowiednio ubrana...

- A czemu to pana obchodziło? Czy byliście tam razem?

- Nie, ale jest moją pracownicą. To, jak zachowuje się w miejscach publicznych, wpływa na mój wizerunek.

- Nie był pan tam, żeby się z nią spotkać?

- Nie. Powtarzam - to moja pracownica. Nie utrzymywałem z nią kontaktów towarzyskich.

Landry uniósł brwi.

- Naprawdę? To dziwne, bo wczoraj powiedziała mi, że z panem sypia.

- Co?! To kłamstwo!

Wreszcie jakaś ludzka reakcja. Landry zaczął już podejrzewać, że ciało Jade'a pozbawione jest systemu nerwowego. Siedzieli po przeciwnych stronach stołu w pokoju przesłuchań. Jade - aż do tego momentu - był całkowicie niewzruszony, każdy jego włos pozostawał na swoim miejscu, śnieżnobiała koszula z monogramem na mankiecie podkreślała opaleniznę.

Michael Berne siedział w sąsiednim pokoju z Weissem. Blondynka starała się ochłoniąć w poczekalni. Jill Morone leżała na stole w kostnicy, z wieloma drobnymi stłuczeniami, jednak bez wyraźnych ran śmiertelnych. Landry brał pod uwagę uduszenie albo zadławienie. Wydawało się również, że została zgwałcona.

Landry kiwnął głową, gryząc kanapkę z tuńczykiem.

- Powiedziała, że była z panem w czwartek, tej nocy, gdy ktoś wypuścił konie Michaela Berne'a.

Jade potarł twarz rękami.

- Co za głupia dziewczyna - wymamrotał. - Myślała pewnie, że mi pomaga.

- Pomaga, dając panu alibi? Dlaczego sądziła, że go pan potrzebuje? Była tam przecież, gdy mówił mi pan, że z kimś był. Czyżby Jill wiedziała, że to nieprawda?

- Oczywiście, że nie. Jill nie wiedziała nic o niczym. Była głupią, żalostną dziewczyną ze zbyt wybujałą wyobraźnią.

- Podobał jej się pan.

Jade westchnął ciężko.

- Tak, podejrzewam, że coś do mnie czuła. I dlatego była wczoraj w klubie. Czekala na mnie, zapewne chcąc mnie uwieść.

- Ale pan nie chciał jej widzieć?

- Kazałem jej wyjść. Robiła z siebie pośmiewisko.
- I z pana również.
- Tak - przyznał Jade. - Moi klienci to bogaci, wykształceni ludzie, panie oficerze. Chcą być reprezentowani w odpowiedni sposób.
- A Jill nie pasowała do obrazka.
- Javiera również nie zaprosiłbym do „The Players”, nie znaczy to jednak, że chciałbym go zabić.
- No i on nie opowiada, że go pan posuwa - powiedział Landry, znów sięgając po kanapkę. - Przynajmniej z tego, co mi wiadomo.
- Jade wyglądał na rozdrażnionego.
- Musi pan być taki dosadny?
- Nie.
- Landry oparł się wygodnie i powoli przeżuwał swój lunch. Bardziej z chęci zirytowania Jade’a niż z głodu.
- Więc... - powiedział, celowo udając, że powoli układa fakty w całość. - Jill wystroiła się i poszła do „The Players” żeby się z panem spotkać... Licząc, że przypadkiem będzie pan akurat zainteresowany?
- Jade wykonał nieokreślony gest dłonią i zmienił pozycję na krześle. Był znużony.
- Daj spokój, Don. Była w pobliżu, miała ochotę i zrobiłaby to za darmo. Nie mów, że nigdy nie wykorzystales takiej okazji.
- Pańska sugestia jest obraźliwa.
- Dlaczego? Raz już pieprzyłeś się ze swoją pracownicą.
- Uwaga trafiła w sedno. Jade skrzywił się, jakby kopnął go prąd.
- Miałem raz romans ze stajenną. To nie była Jill Morone. W każdym razie dostałem nauczkę i od tego czasu przyjąłem zasadę, by nigdy nie wiązać się z pracownicami.
- Nawet z Erin Seabright? To nie była Jill Morone, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.
- Erin? A co ona ma z tym wspólnego?
- Dlaczego Erin już z tobą nie pracuje, Don?
- Jade’owi nie spodobała się ta nutka zażyłości. Jego oczy zwężyły się nieznacznie za każdym razem, gdy Landry wymawiał jego imię.
- Odeszła. Powiedziała mi, że znalazła pracę gdzie indziej.
- Z tego, czego się dotychczas dowiedziałem, jesteś jedyną osobą, którą o tym poinformowała - powiedział Landry. - Nowa praca, przeprowadzka do nowego

miasta. To duża zmiana w jej życiu. Nie powiadomiła o niej nawet własnej rodziny. Dziwne, że powiedziała o tym właśnie tobie. I od tego czasu nikt nie miał od niej żadnych wieści.

Jade gapił się na niego przez chwilę bez słowa. Dotarło do niego, że milczenie bywa złotem. W końcu wstał.

- Nie podoba mi się kierunek, w jakim zmierza ta rozmowa. Czy pan mnie o coś oskarża, detektywie Landry?

Landry nie ruszył się z miejsca. Odchylił się i położył ręce na oparciach.

- Nie.

- W takim razie chciałbym już stąd pójść.

- Cóż... Mam jeszcze tylko parę pytań.

- Odpowiem na nie w obecności mojego adwokata. Jest dla mnie oczywiste, że pańskie dążenia nie są po mojej myśli.

- Staram się tylko zrozumieć, co dzieje się w waszym świątku. To część mojej pracy: nakreślić plan miejsca, w którym żyła ofiara, poskładać wszystkie kawałki w jedną całość. Nie chcesz, bym odkrył prawdę na temat zabójstwa Jill Morone?

- Oczywiście, że chcę.

Landry rozłożył ręce.

- W czym zatem problem?

Jade popatrzył w bok, rozważając możliwości. Landry wiedział, że wytrzyma jeszcze najwyżej pięć minut. Jego przełożony siedział parę pokoi dalej i obserwował przesłuchanie dzięki umieszczonym w sali przesłuchań kamerom, patrzył na odczyt programu do komputerowej analizy głosu, tropił kłamstwa.

- Śmiało, niech pan dzwoni po adwokata, jeśli pan chce - zachęcał Landry wspaniałomyślnie. - Możemy na niego poczekać...

- Nie mam na to czasu - burknął Jade i wrócił do stołu. - Co jeszcze?

- Pan Berne twierdzi, że słyszał, jak Jill mówiła panu, że wie coś na temat Stellara - tego konia, który zdechł. Co takiego wiedziała?

- Nie mam pojęcia, o czym mówiła. Koń padł w środku nocy, to był wypadek. Nie mogła nic wiedzieć.

- Mogła wiedzieć bardzo dużo, jeśli to nie był wypadek.

- Ale to był wypadek.

- Był pan tam, gdy to się stało?
- Nie.
- Więc nie wie pan na pewno, co się wydarzyło. Jeśli to był wypadek, to dlaczego koń miał środek uspokajający we krwi?
- Jade wpatrywał się w Landry'ego.
- Skąd pan o tym wie?
- Landry popatrzył na niego jak na idiotę.
- Jestem detektywem.
- Śmierć Stellara nie miała w sobie nic z przestępstwa.
- Ale właściciel ma dostać czek na pokaźną sumę od firmy ubezpieczeniowej, prawda?
- Firma musiałaby najpierw zdecydować o przyznaniu odszkodowania, co teraz jest mało prawdopodobne.
- Czy dostałby pan część tych pieniędzy?
- Jade znowu wstał.
- Wychodzę.
- O której godzinie opuścił pan wczoraj „The Players”?
- Około jedenastej.
- Dokąd pan poszedł?
- Do domu. Do łóżka.
- Nie przejechał pan koło terenów pokazowych, żeby zajrzeć do swoich koni?
- Nie.
- Nawet po tym, co stało się poprzedniej nocy?
- Paris miała wczoraj nocny dyżur.
- I nie zauważyła niczego? Nie widziała zniszczeń, całego bałaganu?
- Najwidoczniej była w stajni, zanim do tego doszło.
- Więc pojechał pan do domu i poszedł do łóżka. Sam?
- Nie.
- Z tą samą przyjaciółką, co czwartkowej nocy?
- Jade ponownie westchnął i zapatrzył się w ścianę.
- Posłuchaj, Don - poufale zaczął Landry, wstając z krzesła - powinieneś być ze mną szczerzy. To poważna sprawa. Nie chodzi tu już o jakieś szkapy biegające dziko w środku nocy. Dziewczyna nie żyje. Rozumiem, że w twoim świecie nie była wiele warta, ale w moim świecie morderstwo to duża rzecz. Każdy, kto ją

znał, kto miał z nią jakiś zatarg, będzie musiał wypowiadać się z tego, gdzie był w porze morderstwa. Jeśli masz świadka, który potwierdzi twoje zeznanie, lepiej, żebyś o nim powiedział. W przeciwnym razie będę musiał zmarnować dużo więcej twojego cennego czasu.

Landry pomyślał, że jego arogancja mogła śmiało sprowokować Jade'a do wyjścia. Ale Jade nie był głupi. Landry wyobraził sobie, jak jego umysł sortuje teraz dane, niczym komputer obliczając najlepsze rozwiązanie. Jade odezwał się po chwili:

- Susannah Atwood. To jedna z moich klientek. Wolałbym, żeby nie wspominał pan o nas pozostałym.

- Każda chciałaby być pupilkiem trenera, he? Niezły interes, Don. Najpierw ujeżdżasz konie, a potem ich właścicielki.

Jade podszedł do drzwi.

- Będę potrzebował jej adresu, a także informacji na temat bliskich Jill Morone - powiedział Landry.

- Niech pan zapyta o to Paris. Ona zajmuje się takimi szczegółami.

Takimi szczegółami, pomyślał Landry, patrząc za odchodzącym Jade'em. Tym było dla niego życie dziewczyny - szczegółem.

- Dziękuję za pański czas, Don Jade.

- Jade powinien bardziej dbać o swoje interesy - oświadczył Van Zandt.

Staliśmy sami, oparci o barierkę parcoursu, i patrzyliśmy na małą dziewczynkę pokonującą na kucyku szereg niskich, bogato zdobionych przeszkód. Z obu postaci było absolutne skupienie, ich oczy rozjaśniał błysk determinacji i płomień woli walki. Zgrany zespół: jeździec i kucyk przeciwko reszcie świata.

Dobrze pamiętałam to uczucie. Ja i ognistorudy konik o imieniu Party Manners, mój najlepszy towarzysz i powiernik. Nawet gdy byłam już za duża, by na nim jeździć, opowiadałam mu o wszystkich swoich problemach, a on cierpliwie słuchał. Gdy padł, dożywając sędziwego wieku dwudziestu pięciu lat, opłakiwałam jego stratę bardziej niż jakąkolwiek inną śmierć w moim życiu.

- Słuchasz mnie? - zapytał Van Zandt, poirytowany.

- Myślałam, że to stwierdzenie retoryczne.

Chciałam zaprosić go na lunch, ale odmówił. Zaproponowałam, że kupię nam po shake'u, na co powiedział, że będę gruba. Dupek. Sobie i tak kupiłam.

- Tak - dorzuciłam. - Morderstwo odstrasza potencjalnych klientów.

Van Zandt skrzywił się w grymasie niezadowolenia.

- Nie jestem w nastroju do twoich żartów.

- Myślisz, że chciałam być zabawna? Jedna ze stajennych znika, drugą znajdują martwą...

- Znika? Pierwsza z nich odeszła.

- Nie sądzę, Zi. Ten policjant o nią wypytywał.

Obrócił się gwałtownie i spojrzał na mnie groźnie.

- Coś mu powiedziałaś?

- Nie, nic. Nie widziałam tej dziewczyny na oczy. Chciałam po prostu, żebyś wiedział. Pewnie ciebie też przesłucha.

- Nie mam na jej temat nic do powiedzenia.

- Ostatnio miałaś, i to całkiem sporo: flirtowała z klientami, była wygadana... W zasadzie te same rzeczy, które wygadywałaś o Jill. Wiesz, że nie powinno się mówić źle o zmarłych, zwłaszcza gdy w pobliżu kręci się policja.

- Nie mają prawa mnie przesłuchiwać.

- Oczywiście, że mają. Znałeś obie dziewczyny. I - szczerze mówiąc - żadnej z nich nie darzyłeś sympatią.

Nadał się z oburzenia.

- Czy ty mnie oskarżasz?

- Och, na miłość boską - powiedziałam, przewracając oczami. - Zachowuj się w ten sposób przy glińiarzach, a od razu oskarżą cię o morderstwo, po prostu żeby zrobić ci na złość. A ja zgłoszę się na ochotnika, żeby popchnąć tłok, gdy już wbiją ci igłę w ramię.

- O czym ty mówisz? Jaką igłę?

- W tym stanie obowiązuje kara śmierci. A morderstwo jest najwyższym karnym przestępstwem.

- To barbarzyństwo - stwierdził, wysoce oburzony.

- Tak samo jak zakopywanie dziewczyny w kupie gówna.

- I myślisz, że ja mógłbym zrobić coś tak potwornego? - na jego twarzy pojawił się wyraz takiego bólu, jakby go właśnie zdradził najlepszy przyjaciel.

- Tego nie powiedziałam.
- To wszystko przez tę rosyjską dziwkę...
- Uważaj, Van Zandt - powiedziałam, by ostudzić jego wojowniczy zapał. -
Tak się składa, że lubię Irinę.
Wydął usta i popatrzył w bok.
- Jesteście kochankami?
- Nie. Próbujesz mnie w ten sposób obrazić? Sugerując, że jestem lesbijką?
Skrzywił się lekceważąco.
- To żalotne - powiedziałam. - Założę się, że mówisz tak o każdej kobiecie,
która nie chce z tobą pójść do łóżka.
Jego twarz zabarwił lekki rumieniec, ale nic nie powiedział. Rozmowa nie
toczyła się po jego myśli. Znowu.
- To nie twoja sprawa - powiedziałam, gdy dziewczynka na kucyku skończyła
serię skoków i publiczność oklaskiwała ich występ - ale powiem ci, że jestem
szczęśliwą heteroseksualistką.
- Szczęśliwą? Nie wydaje mi się.
- Dlaczego? Bo nie miałam przyjemności znaleźć się w łóżku w twoim towa-
rzystwie?
- Bo nigdy się nie uśmiechasz, Elle Stevens - powiedział. - Myślę, że życie nie
przynosi ci radości.
- Z pewnością nie przynosi mi jej to, że próbujesz zbliżyć się do mnie. I do
moich majątek.
- Brakuje ci poczucia sensu życia - oświadczył. Sądził, że odzyskał kontrolę
nad sytuacją i że teraz będę go słuchać tak jak wiele innych, słabych kobiet. -
Musisz znaleźć sobie cel. Coś, o co będziesz walczyć. Jesteś osobą, która kocha
wyzwania, a ich nie ma.
- Nie powiedziałabym - mruknęłam półgębkiem. - Rozmowa z tobą jest wy-
starczającym wyzwaniem.
Zmusił się do śmiechu.
- Masz tupet, żeby wygłaszać na mój temat jakiegokolwiek opinie - dodałam
spokojnie. - Nie wiesz o mnie nic, uwierz mi.
- Jestem świetnym sędzią ludzkich charakterów - odparł. - Moja praca od
dawna polega na ocenianiu ludzi i ich potrzeb.
- Może powinnam za swój cel obrać rozwiązanie zagadki morderstwa Jill -
powiedziałam, zmieniając temat na jego niekorzyść. - Albo zbadać zniknięcie

tej drugiej dziewczyny. Mogę zacząć od przepytania ciebie. Kiedy po raz ostatni widziałeś Erin Seabright żywą?

- Miałem raczej na myśli, że przydałby ci się koń, na którym mogłabyś trenować - Van Zandt nie wydawał się rozbawiony.

- Dawaj, Zi, pobawmy się - drażniłam go. - Może dzięki tobie rozpocznę nową karierę. Słyszałeś, by Erin mówiła, że odchodzi, czy to tylko historyjka Dona Jade'a? Dociekliwe umysły chcą wiedzieć.

- Przez ciebie boli mnie głowa.

- Może została porwana - powiedziałam, udając zaaferowanie i jednocześnie uważnie mu się przyglądając. - Może teraz jest trzymana gdzieś w zamknięciu jako seksualna niewolnica? Co o tym myślisz?

Van Zandt patrzył na mnie z twarzą pozbawioną wyrazu. Dużo bym dała, żeby poznać jego myśli. Co sobie wyobrażał? Czy myślał o Erin, ukrytej gdzieś i spełniającej jego perwersyjne zachcianki do czasu, gdy nie zgarnie okupu? Czy wspominał Saszę Kulak? Czy brał pod uwagę mnie jako swoją kolejną ofiarę?

Zadzwoił jego telefon. Odebrał i rozpoczął rozmowę w płynnym francuskim. Pociągnęłam łyk shake'a i nadstawiłam uszu.

Europejczycy zakładają, na ogół słusznie, że Amerykanie ledwo posługują się własnym językiem, a co dopiero obcym. Van Zandtowi nie przyszło do głowy, że odebrałam w przeszłości kosztowne wykształcenie i na dodatek miałam talent do języków. Przysłuchując się tylko jednej stronie konwersacji, dowiedziałam się, że Van Zandt próbował oszukać kogoś w interesach i wkurzał się, że ten ktoś nie okazał się kompletnym idiotą. Powiedział swojemu rozmówcy, by odwołał transport koni do Stanów. Miało to kogoś nauczyć, że nie warto zadzierać z Van Zandtem.

Rozmowa zesłała potem gładko na temat transportu kilku koni z Brukseli na Florydę przez Nowy Jork oraz odesłania dwóch innych z powrotem do Brukseli.

Handel końmi to w Europie poważny interes. Jako nastolatka leciałam raz z Niemiec ze świeżo kupionym koniem. Tym samym samolotem do swoich nowych właścicieli w Stanach podróżowało dwadzieścia jeden innych koni. Co tydzień odbywały się takie loty.

Van Zandt zakończył rozmowę i schował telefon do kieszeni.

- Mój agent do spraw transportu, Phillipe - powiedział. - Paskudny z niego oszust.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo to prawda. Zawsze prosi mnie, żebym coś mu stąd wysłał. Praktycznie każdą rzecz można spakować ze sprzętem i wraz z końmi wysłać samolotem. Ciągle to robię - powiedział niefrasobliwie. - Nikt nie sprawdza załadunku.

- I złościsz się, że przez niego oszukujesz celników?

- Nie bądź naiwna. Kto by płacił cło? Tylko głupiec. Wkurzam się, bo nigdy nie oddaje mi pieniędzy. Wciąż jest mi winien pięćset dolarów za ręcniki od Ralpa Laurena, które posłałem mu ostatnio. Jak można ufać komuś takiemu?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Stałam być może obok seryjnego gwałci-ciel, porywacza i zabójcy, którego największym zmartwieniem było to, że został oszukany na pięćset dolców przy przemyście ręczników.

Uwolniłam się od niego, gdy podszedł do nas kolejny handlarz i panowie zaczęli rozmowę o interesach. Powiedziałam, że wyruszam na poszukiwanie sensu życia, i oddaliłam się, machając im na pożegnanie.

Wspólną cechą wszystkich socjopatów jest umiejętność przejrzenia na wylot normalnego człowieka, odkrycia jego słabości i wykorzystania ich. Dzięki niej wielu dyrektorów wielkich korporacji umieściło swoje firmy na „liście pięciuset” publikowanej przez „Fortune”, a wielu oszustów wypchało kieszenie. I wielu seryjnych morderców znalazło swoje ofiary...

Van Zandt nie był inteligentny, ale był cwany. Dzięki swojej przebiegłości zdołał zwabić do Belgii przyjaciółkę Iriny i zmusić ją do pracy. Zastanawiałam się, jak mógłby wykorzystać swój instynkt hieny w kontaktach z Erin i Jill. Nie odpowiadał mi sposób, w jaki wypowiadał się na mój temat, stawiając tezę, że nie jestem szczęśliwa. Chciałam sprawiać na nim wrażenie beztroskiej dyletantki. Nie podobała mi się myśl, że widział we mnie coś innego. Nie chciałam, by ktokolwiek mógł zajrzeć w głębi mnie, gdyż zawstydzalo mnie, że tak mało tam jest do zobaczenia.

Mylił się jednak co do jednej rzeczy. Miałam cel. I jeśli Van Zandt pojawi się na muszce, z przyjemnością go ustrzelę.

Wróciłam pieszo do stajni Jade'a. Żółta taśma broniła wstępu na obu końcach korytarza. Pomimo wypisanego na niej ostrzeżenia Trey Hughes wszedł do środka, wygodnie usiadł na krześle, nogi oparł o siodło i popijał piwo, w drugiej ręce trzymając zapalonego papierosa.

Spojrzał na mnie i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Znam cię!

- Nie do końca - przypomniałam mu. - Jesteś elementem miejsca zbrodni?

- Kochanie, jestem jednoosobowym, chodzącym miejscem zbrodni. Co tu się dzieje? Czuję się jak w cholernej kostnicy!

- Cóż, może dlatego, że dokonano tu morderstwa.

- Ale to było ładne parę dni temu.

- Co było parę dni temu?

Jego myśli plątały się niezdarnie w nasączonej piwem głowie.

- Chyba coś mnie ominęło - powiedział w końcu.

- To mnie coś chyba ominęło, skoro mówisz, że kogoś tu zamordowano wcześniej. O kim mówisz? Erin?

- To Erin nie żyje?

Schyliłam się i przeszłam pod taśmą. Usiadłam naprzeciwko niego.

- Kto jest pierwszy?

- Nie wiem.

- Trzecia baza.

Hughes odchylił głowę i się zaśmiał.

- Boże, muszę być pijany.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Bystra jesteś. Ellie, tak?

- Prawie dobrze.

Zaciągnął się papierosem i strzepnął popiół na ziemię. Z pewnością nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby w ten sposób podpalić stajnię pełną koni.

- To kto umarł?

- Jill.

Usiadł, trzeźwiejąc na tyle, na ile to było możliwe.

- Żartujesz, prawda?

- Nie. Ona nie żyje.

- Na co zmarła - na podłość, na brzydotę?

- Poczciwa z ciebie dusza.

- Nigdy nie musiałaś przebywać w jej towarzystwie. Cholera. Naprawdę nie żyje?

- Ktoś ją zamordował. Jej ciało znaleziono dziś przy stajni numer czterdzieści.

- Jezu - mruknął pod nosem, przeciągając dłonią z papierosem po włosach. Pomimo złośliwych uwag wyglądał na zmartwionego.

- Jak dotąd nikt za nią nie tęskni - powiedziałam. - Biedactwo. Słyszałam, że była napalona na Jade'a, może przynajmniej jemu będzie przykro.

- Nie sądzę - Hughes odchylił głowę i przymknął oczy. - Sam dawno by się jej pozbył, gdyby wiedział, że to takie łatwe.

- Sprawiała problemy?

- Za dużo gadała, za mało myślała.

- Kiepska kombinacja, zwłaszcza w tym fachu. Słyszałam, że wczorajszej nocy była w „The Players” i mówiła, że wie, co się stało ze Stellarem.

Z trudem zogniskował na mnie szklisty wzrok.

- Co ona mogła wiedzieć?

Wzruszyłam ramionami.

- A jest coś do wiedzenia?

- Nie wiem. Zawsze dowiaduję się ostatni.

- Dobrze dla ciebie. Inaczej mógłbyś skończyć jak Jill.

- Ktoś ją zabił - powiedział do siebie. Pochylił się do przodu i zgasił papierosa o podeszwę buta. Siedział ze spuszczoną głową i rękami zwisającymi między udami, jakby czekał, aż przejdzie mu atak nudności.

- Gliny przesłuchują Dona - powiedziałam. - Myślisz, że mógłby kogoś zabić?

Oczekiwałam natychmiastowego zaprzeczenia. Zamiast tego Hughes siedział cicho tak długo, iż pomyślałam, że wpadł w katatonię. W końcu się odezwał:

- Ludzie są zdolni do wszystkiego, Ellie. Zrobią nawet najbardziej popapraną rzecz.

Paris Montgomery siedziała, wpatrując się w niego dużymi, brązowymi oczami. Nie przypominała jednak wystraszonej sarny w światłach samochodu, pomyślał Landry. Na jej twarzy malowało się raczej skupienie niż strach. Gdy on przesłuchiwał Jade'a, uczesała się i nałożyła szminkę.

- O której godzinie widziała pani wczoraj Jill po raz ostatni?

- Około szóstej. Narzekała, że musi zostać dłużej. Przez cały dzień robiła aluzje do tego, że ma poważne plany na wieczór.

- Pytała ją pani, co to za plany?
- Nie. Wolałabym nie mówić źle o zmarłych, ale muszę przyznać, że nie lubiłam jej. Miała złe nastawienie i bez przerwy kłamała.
- Kłamała? Na jaki temat?
- Na każdy. Że wykonała pracę, której nie wykonała, że знаła ludzi, których nie znała, że trenowała ze sławnymi ludźmi, spała z tyloma chłopakami...
- Czy wymieniła imię kogoś z tych chłopaków?
- Nie chciałam tego słuchać. Wiedziałam, że to nieprawda. To było chore i żalodne. Szukałam kogoś, by ją zastąpił, ale trudno znaleźć dobrego pracownika w środku sezonu.
- Zatem wyszła po szóstej. Czy zdawała sobie pani sprawę z tego, że coś łączyło ją z pani szefem?
- Z Donem? Boże, nie! To znaczy wiem, że się w nim podkochiwała, ale to nie miało znaczenia. Don nalegał, żebym się jej pozbyła. Nie ufał jej. Paplała z każdym, kto tylko chciał jej słuchać.
- O czym?
- Zamrugnęła nerwowo, zastanawiając się, jak dużo powinna mu powiedzieć.
- O wszystkim, co działo się w naszej stajni. Na przykład, gdy jakiś koń był w słabszej formie albo...
- ...albo martwy? - zasugerował Landry.
- To bardzo plotkarski interes, panie oficerze - powiedziała z powagą. - Plotki tworzą i rujnują reputacje. Dyskrecja jest pożądaną cechą pracowników.
- Więc jeśli by latała w kółko, plotąc bez opamiętania o jakimś zdechłym koniu, pani z pewnością by się wkurzyła.
- Tak. Zdecydowanie.
- A Don?
- Byłby wściekły. Śmierć Stellara była dla niego koszmarem. Nie ścierpiałby, że jego własna pracownica dolewa oliwy do ognia - urwała i zmarszczyła brwi. - Ale nie twierdzę, że zrobiłby jej krzywdę. W to nie uwierzę. Na pewno nie.
- Nie jest porywczy?
- Nie do tego stopnia. Potrafi się opanować, jest profesjonalistą. Bardzo go za to szanuję.

Landry pochylił się nad notatkami, pocierając czoło.

- Nie widziała już pani Jill później wczorajszej nocy?

- Nie.

- Miała pani wczoraj w nocy doglądnąć koni. O której...

- Nie, nie miałam - przerwała mu. - Don miał dyżur. Zaproponowałam, że ja to zrobię, ale nalegał. Po tym, co stało się w stajni Michaela Berne'a noc wcześniej, powiedział, że kobieta nie powinna sama chodzić tam po nocy.

- Powiedział mi, że wczoraj ten obowiązek przypadł pani.

Śliczne czołko Paris Montgomery zmarszczyło się.

- To nieprawda. Musiał zapomnieć. Boże, gdyby któreś z nas było tam wczoraj w nocy, może udałoby się zapobiec temu, co się stało!

A może któreś z nich było tam wczoraj w nocy i właśnie wzięło udział w tym, co się stało.

- O której Don byłby w stajni, gdyby o tym nie zapomniał?

- Na ogół doglądamy koni około jedenastej.

Jade zeznał, że był o tej porze w „The Players”. Gdyby później pojechał do stajni, z pewnością zauważyłby rozgardiasz, może nawet złapałby dziewczynę na gorącym uczynku. Nietrudno sobie wyobrazić, że doszłoby między nimi do kłótni, sprawa mogłaby wymknąć się spod kontroli...

- Gdzie była pani wczoraj w nocy?

- W domu. Malowałam paznokcie, porządkowałam rachunki, oglądałam telewizję. Nie lubię wychodzić, gdy rano mamy pokaz. Byłam sama. Tylko ja i Milo, mój pies. Sprzeczałyśmy się o pilota - powiedziała z zalotnym uśmiechem.

- Mam nadzieję, że nie obudziliśmy sąsiadów.

Landry nie odwzajemnił uśmiechu. Zbyt długo pracował w tej robocie, by dać się łatwo oczarować. Jego zdaniem taki urok maskował nieszczerłość.

Powinno to oznaczać, że Estes była dziewczyną w sam raz dla niego. Nie znał nikogo tak bezpośredniego jak Elena.

- Czy zauważyła pani ostatnio, by ktoś obcy kręcił się w pobliżu waszej stajni?

Paris zrobiła minę.

- Na terenie centrum spotkać można wielu dziwnych ludzi. Nikt konkretny nie zwrócił mojej uwagi.

- Więc teraz zostaliście całkiem bez pomocy? Słyszałem, że wasza druga stajenna odeszła tydzień temu.

- Tak. Erin. Nagle, odeszła z dnia na dzień i podjęła pracę gdzie indziej.

- Czy zdradziła pani powód tak nagłego odejścia?

- Nie rozmawiała o tym ze mną. Nie wspomniała nawet, że myśli o odejściu. W niedzielę po pracy powiedziała Donowi, że jedzie pracować gdzie indziej - i pojechała.

- Nie zostawiła adresu?

Pokręciła głową.

- Muszę panu powiedzieć, że naprawdę zabolalo mnie, gdy porzuciła nas w ten sposób. Lubiłam Erin. Miałam nadzieję, że zostanie z nami na długo. Często mówiła o tym, jak fajnie będzie, gdy już przeprowadzimy się do nowej stajni. Cieszyła się na nasz wspólny wyjazd do Europy na wiosnę. Nigdy nie podejrzewałam, że odejdzie.

- Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

- W niedzielę po południu. Około trzeciej pojechałam do domu, miałam migrenę.

- Czy wszystko było z nią w porządku, gdy się wtedy widziałyście?

Już chciała dać zdawkową odpowiedź, ale powstrzymała się i przez chwilę zastanowiła.

- Wie pan, wydaje mi się, że przez ostatni tydzień Erin była trochę rozkojarzona. Kłopoty sercowe. Rozstała się z chłopakiem w swoim wieku i miała oko na kogoś starszego. Nie wiem, kto to był. Ktoś, kto nie jest dzieckiem, jak mówiła Erin. Potem jakiś palant porysował jej w nocy samochód. Martwiła się tym. Założyłabym się, że to robota Jill. Była strasznie zazdrosna o Erin. - Znów się zawahała. - Ale dlaczego pyta pan o Erin?

- Wydaje się, że zaginęła.

- Cóż, myślę, że po prostu jest w Ocala...

- Nie. Tam jej nie ma.

Mrugnęła nerwowo wielkimi, brązowymi oczami, przyjmując to do wiadomości.

- Mój Boże - powiedziała cicho. - Nie myśli pan chyba... O mój Boże.

Landry podał jej przez stół swoją wizytówkę i podniósł się z krzesła.

- Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas, panno Montgomery. Proszę zadzwonić, jeśli przypomni pani sobie cokolwiek, co mogłoby być ważne dla śledztwa.

- To koniec?

- Na razie tak - powiedział Landry, podchodząc do drzwi. - Będę jeszcze chciał panią prosić, by zadzwoniła pani do nas i podała numer telefonu krewnych Jill Morone.

- Tak, oczywiście.

- A. I jeszcze numer Susanny Atwood i waszych pozostałych klientów, ale najpierw pani Atwood.

- Susanny? Dlaczego akurat jej?

- Wygląda na to, że Don przeprowadzał wczoraj swój nocny obchód właśnie u niej w domu - powiedział Landry, ciekawy jej reakcji. Spodziewał się zazdrości. Spotkał go zawód.

Paris uniosła brwi.

- Don i Susannah? - Rozbawienie spowodowało, że kącik jej ust uniosł się w nieznacznym uśmiechu. - Codziennie dowiaduję się czegoś nowego.

- Myślałem, że trudno utrzymać taką rzecz w sekrecie w waszym małym światku.

- O, zdziwiłby się pan, detektywie Landry - powiedziała, przysuwając się zbyt blisko, opierając rękę na krawędzi otwartych drzwi tuż poniżej jego dłoni. - Świat koniarzy pełen jest sekretów i kłamstw. Cała sztuka polega na tym, by odróżnić jedno od drugich.

XXIV

„Ludzie są zdolni do wszystkiego, Ellie. Zrobią nawet najbardziej popapraną rzecz”.

Przeblýsk mądrości z ust Monte Hughesa III. Może pod powierzchnią zapatrzonego w siebie, wiecznie pijanego narcyza krył się jednak ślad charakteru. Z pewnością również gdzieś w wyniszczonym umyśle kryła się tajemnica, coś, co potrafiło przebić się przez mgłę zamroczenia i wprawić go w niepokój.

„- ...może dlatego, że dokonano tu morderstwa.

- Ale to było ładne parę dni temu”.

Byłam przekonana, że mówił o Stellarze i w ten sposób przyznawał, że koń został zabity. Jednocześnie jednak nie mogłam zapomnieć widoku trupa Jill Morone. Związek między śmiercią Jill i zniknięciem Erin nie dawał mi spokoju. Jeśli Jill mogła zostać zamordowana, to czemu Erin nie?

Nienawidziłam tego wszystkiego, co działo się teraz w świecie, który od zawsze był moją oazą. Ale ludzie są tylko ludźmi. Nawet najcudowniejsze otoczenie nie wybawi nas od pospolitych grzechów - zazdrości, chciwości, pożądania i gniewu. Aktorzy tego przedstawienia mogliby zostać przeniesieni w inną scenografię, a historia potoczyłaby się tak samo.

Zostawiłam Treya Hughesa i wyruszyłam na poszukiwanie jedynej osoby, której jak dotąd nikt nie przesłuchał, a która, jak sądziłam, mogła mieć coś wartościowego do dodania. Osoba zawsze obecna w stajni Jade'a, choć prawie niezauważalna. Javier.

Nieznajomość angielskiego nie czyniła go ślepy, głuchy ani umyślowo niepełnosprawnym, dawała mu jednak wygodną otoczkę anonimowości. Kto wie, co Javier zaobserwował pośród pracowników i klientów Dona Jade'a. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, przypominano sobie o nim jedynie, by wydać polecenie.

Ale Javier zniknął tego ranka, gdy w stajni pojawił się Landry, i nie mogłam go teraz znaleźć. Latynoscy pracownicy sąsiednich stajni nie mieli wiele do powiedzenia eleganckiej pani zadającej za dużo pytań, nawet jeśli ta pani mówiła w ich języku.

Nie wiedziałam, co ze sobą począć. Po raz pierwszy tego dnia przyznałam sama przed sobą, że znów chciałabym mieć odznakę, móc siedzieć w pokoju przesłuchań, ciągnąć za język i przyciskać do muru ludzi, którzy znali Jill Morone i jej nie lubili, którzy znali Erin Seabright i mogli wiedzieć, gdzie przebywa. Znałam tych ludzi i rozumiałam ich tak, jak nigdy nie zrozumieją ich policjanci prowadzący przesłuchania.

Chciałam przynajmniej znaleźć się w sąsiednim pokoju i móc podsuwać Landry'emu odpowiednie pytania. Wiedziałam jednak, że nikt nie dopuści mnie do śledztwa. Co więcej, pomimo moich gróźb pod adresem Bruce'a Seabrighta, będę teraz całkowicie odsunięta od śledztwa w sprawie porwania. Nie mogłam

siłą wtargnąć do domu Seabrightów - kręciła się wokół niego połowa detektywów wydziału śledczego hrabstwa Palm Beach. Nie mogłam nawet zadzwonić do Molly, gdyż wszystkie rozmowy z ich domem były namierzone i nagrywane.

Zostałam skazana na rolę informatora i to mi się nie podobało, choć przecież sama niemal na siłę wciągałam Landry'ego do tej sprawy.

Ja, która za nic nie chciałam się nią zająć.

Z bezsilności zgrzytając zębami, opuściłam tereny pokazowe i pojechałam do centrum handlowego, gdzie znalazłam sklep z telefonami komórkowymi i kupiłam tani aparat na kartę. Planowałam jakoś dostarczyć go Molly, byśmy mogły pozostać w kontakcie i uniknąć sytuacji, w której słuchałoby nas całe biuro szeryfa.

Pomyślałam o osobie, która jako jedyna spośród wielu rozmówców z listy dzwoniła do Bruce'a Seabrighta dwa razy - ciekawe, czy porywacze byli na tyle sprytni, by zrobić to, co ja właśnie robiłam. Czy mieli telefon, którym mogli posługiwać się bez ryzyka? Kupiony za gotówkę? Na fałszywy dowód?

Dałam listę numerów Landry'emu, który był w stanie dotrzeć do wszystkich właścicieli przez firmę telekomunikacyjną. Wątpiłam, że będziemy mieli na tyle szczęścia, że któryś z nich okaże się Van Zandtem, Donem Jade'em lub Michałem Berne'em. Landry wiedziałby o tym jeszcze dzisiaj. Zastanawiałam się, czy cokolwiek by mi powiedział. Teraz, kiedy siedział w sprawie po uszy, ciekawa byłam, czy zamierza mnie do niej włączyć. Poczulałam rosnący w moim żołądku kłębek strachu na myśl, że przecież śmiało mógłby mnie odsunąć.

Gdy wjechałam na dziedziniec, Sean przywołał mnie gestem do stajni. Wieczór ześlizgiwał się po zachodnim niebie. Niebo było pomarańczowe, z czarną smużką dymu snującą się nad horyzontem. To farmerzy wypalali rżyska po zbiorach trzciny cukrowej. Irina podawała koniom ich wieczorny posiłek. Wciągnęłam zapach zwierząt, melasy i siana. Działał na mnie lepiej niż valium. D'Artagnan wyciągnął łeb ponad ogrodzeniem boksu i zarżał łagodnie na mój widok. Podeszłam do niego, pogłaskałam go po głowie, oparłam o nią swój policzek i powiedziałam mu, jak bardzo za nim tęskniłam.

- Przychodzisz w samą porę na koktajl, moja droga. Chodź ze mną.

Sean poprowadził mnie do naszego baru, wciąż jeszcze w bryczesach i butach do jazdy.

- Przepraszam, że ostatnio w ogóle ci nie pomagam - powiedziałam. - Masz zamiar mnie zwolnić i wyrzucić na ulicę?

- Nie bądź niemądra. Wplątałaś mnie w międzynarodową intrygę. Będę rozrywany w towarzystwie przez długie lata. - Podeszedł do barku i nalał sobie kieliszek merlota. - Masz ochotę? Krwiście czerwone. Powinno cię to zachęcić.

- Nie, dziękuję, będzie mi się kręcić w głowie.

- To by dopiero był widok!

- Tonik z cytryną brzmi świetnie.

Gdy przyrządził mi drinka, wdrapałam się na wysoki stółek i usiadłam, zmęczona i cała obolała.

- Rozmawiałem dziś ze znajomymi w Holandii - powiedział. - Już słyszeli o tym, że Van Zandt był w mojej stajni.

- Poczta pantoflowa działa.

- Jak widać, Van Zandt nie tracił czasu. Szybko rozesłał wici, że może zacząć dla mnie sprzedawać i kupować.

- Oczywiście, że to zrobił. Jesteś wymarzonym klientem, moja brzoskwinko. Masz świetny gust i mnóstwo pieniędzy. Z pewnością chciał, by ta wiadomość dotarła do twojego stałego agenta tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Tak. Dzięki Bogu zadzwoniłem do Toine'a wcześniej, by go uprzedzić, że poświęcam się dla szczytnej sprawy. Inaczej wsiadłby w pierwszy samolot odlatujący z Amsterdamu, by wyrwać mnie ze szponów Van Zandta.

- A co inni twoi przyjaciele mieli do powiedzenia na temat złego Zi?

- Że jest pariasem. Został odsunięty od najlepszych farm w Holandii. Po prostu nie będą z nim robić interesów.

- Ale wielu innych będzie.

Wzruszył ramionami.

- Dealerzy zawsze znajdują klientów. A ludzie, którzy chcą sprzedać konie, potrzebują tych, którzy je od nich kupią. Gdyby nikt nie robił interesów z takimi kreaturami jak Van Zandt, w świecie końskim niewiele by się działo.

- Przekażę mu twoją opinię przy dzisiejszej kolacji.

Skrzywił się.

- Jesz z nim kolację? Powinnaś kupić opakowanie lizolu.

- Do picia?

- Nie, żeby się w nim później wykąpać. Ale na serio, Elle - powiedział, marszcząc czoło - bądź ostrożna z tym wariatem. Irina powiedziała mi, co zrobił jej przyjaciółce. A teraz jeszcze to morderstwo na terenach pokazowych. Czy on ma z tym jakiś związek? To tam byłaś przez cały dzień, prawda?

- Nie wiem, czy jest w to zamieszany. Inni także mieli powody, by życzyć tej dziewczynie śmierci.

- Jezu, Elle.

- Wiem, co robię. Poza tym w sprawę włączyła się policja.

- Ach, więc to gliniarz był tutaj dzisiaj rano? - zapytał, a w jego oczach pojawiły się iskierki chytrego rozbawienia. - Ten przystojniak w srebrnym wozie?

- Oficer śledczy - poprawiłam go. - Naprawdę jest przystojny? Nie zauważyłam.

- Kochanie, jeśli tego nie zauważyłaś, musisz natychmiast udać się do okulisty.

- Tak czy inaczej, jego charakter pozostawia wiele do życzenia.

- Tak jak twój - zauważył, starając się powstrzymać uśmiešek. - Mogłoby się okazać, że stanowicie dobraną parę.

- Mogłoby się okazać, że potrzebujesz badania głowy - odparłam. - Wpako wałam się, w dużej mierze przez ciebie, w niezłe zamieszanie. Dzieją się naprawdę paskudne rzeczy. Romans nie wchodzi w grę, nawet gdybym była zainteresowana - a nie jestem.

Sean zanucił coś pod nosem, myśląc sobie coś, czego z pewnością nie chciałam wiedzieć. Źle się czułam, wiedząc, że ktoś może traktować mnie jako istotę posiadającą seksualność, ponieważ sama przestałam o sobie myśleć w ten sposób dwa lata temu.

Moje blizny sięgały głębiej niż zniszczenia na moim ciele. Świadomość bycia pełnowartościową osobą została mi wydartą w owym dniu, gdy Hector Ramirez zginął, a ja wpadłam pod koła ciężarówki Billy'ego Golama.

Pomimo iż chirurdzy spędzili całe dwa lata na naprawianiu fizycznych uszkodzeń mojego ciała - składając połamane kości, przeszczepiając skórę tam,

gdzie została wytarta o asfalt drogi, odbudowując roztrzaskaną część mojej twarzy - nie sądziłam, bym kiedykolwiek odzyskała poczucie pełni. Istotne części mnie uległy zniszczeniu - części mojej duszy, mojego ja. Może ubytki w końcu się wypełnią. Może ten proces już się zaczął. Ale przede mną jeszcze długa droga, a przeważnie wątpiłam, czy mam wystarczająco dużo siły i woli, by w nią wyruszyć. Za to byłam przekonana, że nie chcę, by ktokolwiek był na tyle blisko mnie, by przyglądać się temu procesowi. A już z pewnością nie James Landry.

- Nigdy nie mów nigdy, moja droga. - Sean dopił wino i wyszedł, by przygotować się na nocne szaleństwa w Palm Beach. Ja poszłam do domku dla gości sprawdzić swoją pocztę internetową.

Agent specjalny Armeđgian, mój kontakt w lokalnej komórce FBI w West Palm, przekazywał mi informacje wydobyte z archiwów Interpolu. Z tego, co pisał Armeđgian, Van Zandt nie był nigdy aresztowany, ale Interpol miał jego teczkę, co już wiele mówiło. Namieszał przy niejednej transakcji, często mijając się z prawem, ale nigdy go nie łamiąc - a w każdym razie nie dając się złapać.

Nie było wzmianki o tym, by podejrzewano go o przestępstwa na tle seksualnym. Byłam rozczarowana, ale niezaskoczona. Jeśli były jakieś inne ofiary jego wątpliwych zalotów, mogły znajdować się w podobnej sytuacji jak przyjaciółka Iriny: były młode, niedoświadczone, samotne w obcym kraju, pełne obaw, by komuś się zwierzyć.

Potrzebowałam odświeżyć głowę przed wieczornymi gierkami z Van Zandtem, wskoczyłam więc w kostium kąpielowy i poszłam popływać w basenie. Ciepła, delikatna woda powoli łagodziła ból ciała i oczyszczała mój umysł.

Słońce już zaszło, ale granatową toń rozjaśniały znajdujące się pod wodą światła. Nie myślałam o niczym, leniwie płynąc w tę i z powrotem, nawracając pod wodą przy krańcach basenu. Spłynęło ze mnie całe napięcie i przez chwilę byłam po prostu zwinnym, wodnym zwierzęciem - kości, mięśnie i instynkt. Dobrze było poczuć się istotą tak pierwotną i nieskomplikowaną.

Gdy miałam już dość, przewróciłam się na plecy i unosiłam na wodzie, patrząc w punkciki gwiazd na czarnym, aksamitnym niebie. A potem w polu mojego widzenia pokazał się Landry, który stanął nad brzegiem basenu.

Zanurkowałam i wypłynęłam, strząsając wodę z włosów.

- Detektywie, ma pan nade mną przewagę - powiedziałam, brnąc przez wodę.

- Jestem pewien, że rzadko się to zdarza.

Nadal był w tym samym ubraniu co rano, poluzował jedynie krawat i podwinął rękawy koszuli.

- Sama jestem sobie winna, nie trzeba było ci podawać kodu do bramy wjazdowej - powiedziałam. - Masz pewnie za sobą ciężki dzień spędzony na przykręcaniu śruby?

- Długi.

- Szkoda, że tyle mnie ominęło. Nikt nie gra złego gliny lepiej niż ja.

- W to nie wątpię - powiedział, uśmiechając się lekko. - Nie zaprosisz mnie do basenu? Nie powiesz, że woda jest bardzo przyjemna?

- To byłby banał, a ja nie znoszę być przewidywalna.

Podpłynęłam do drabinki i wyszłam, siłą powstrzymując się, by nie pobiec jak najprędzej do miejsca, w którym leżał mój ręcznik, i nim się nie okryć. Nie chciałam, by wiedział, że czuję się tak bardzo bezbronna. Wyobrażałam sobie, że nawet w nikłym świetle okalającym basen Landry jest w stanie dojrzeć każdą bliźnę, każdą niedoskonałość. Złościło mnie, że tak się tym przejmuję.

Wytarłam się i osuszyłam włosy ręcznikiem, po czym owinęłam się nim w pasie, by ukryć podziurawioną, pokrytą bliznami skórę ud. Landry przyglądał mi się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Nic w tobie nie jest przewidywalne, Estes.

- Potraktuję to jako komplement, choć nie sądzę, byś akurat ty uznawał nieprzewidywalność za zaletę. Masz jakieś dobre wieści? - zapytałam, prowadząc go do domku dla gości.

- Znaleźliśmy samochód Erin Seabright - odpowiedział. - Był zaparkowany pod pięcioma centymetrami kurzu w rogu pierwszego parkingu na terenie centrum jezdzieckiego, tuż przy wjeździe dla ciężarówek.

Stałam z ręką na klamce, wstrzymując oddech, czekając, aż powie, że w bagażniku było ciało Erin.

- Eksperci szukają w nim teraz odcisków palców i innych wskazówek.

Odetchnęłam z ulgą.

- Gdzie stał?

- Na pierwszym parkingu, zaraz kolo wjazdu dla ciężarówek, niedaleko pralni.

- Czemu akurat tam? - zapytałam, nie oczekując odpowiedzi. - Zaparkowałyby przecież blisko stajni Jade'a, a nie pół mili dalej. Skąd jej samochód wziął się właśnie tam?

Landry wzruszył ramionami.

- Może odwoziła rzeczy do pralni?

- I potem poszła pieszo do stajni Jade'a? A następnie do tylnej bramy, by spotkać się z kimkolwiek sądziła, że się spotka? To nie ma sensu.

- Nie miałyby również sensu, by porywacze go tam przestawili - powiedział Landry. - W końcu ją porwali. Dlaczego mieliby przejmować się tym, gdzie stoi samochód?

Zastanowiłam się nad tym, gdy wchodziliśmy do domu.

- Żeby zyskać na czasie? Poniedziałek był dla Erin dniem wolnym. Gdyby nie Molly, nikt by nie zauważył jej zniknięcia aż do wtorku rano.

- A wtedy też nikt by o nią nie pytał, bo Jade twierdziłyby, że pojechała do Ocala - dokończył naszą teorię Landry.

- Jak zniósł przesłuchanie?

- To wszystko było dla niego bardzo niewygodne. Zarówno przesłuchanie, jak i morderstwo.

- Puściły mu nerwy?

- Nie tak, żeby miał o czym opowiadać.

- Cóż, facet zarabia, skacząc przez przeszkody wyższe niż ja. Nie jest to gra dla ludzi o słabych nerwach.

- Morderstwo jest podobną grą,

Przeiętnemu człowiekowi trudno by było w ten sposób pomyśleć o morderstwie lub porwaniu, ale w pewien makabryczny sposób była to gra. Gra z bardzo wysokimi poprzeczkami.

- A porywacze? Odezwali się?

Landry rozparł się w krześle, ręce trzymając w kieszeni. Potrząsnął głową.

- Nie. Telefony w domu Seabrightów są na podsłuchu. Kazałem paru moim ludziom sprawdzić sąsiadów, ale ten trop donikąd nas nie zaprowadził.

- W komodzie pod telewizorem jest barek - powiedziałam, gestem zapraszając go do salonu. - Wyglądasz, jakbyś potrzebował czegoś mocniejszego. Zrób sobie drinka, a ja w tym czasie się przebiorę.

Kazałam mu czekać, podczas gdy sama wzięłam szybki prysznic, a następnie przez pięć minut stałam przed lustrem, gapiąc się na swoje odbicie, starając się odczytać swój zagadkowy wyraz twarzy.

Nie podobał mi się radosny niepokój narastający w moim żołądku. Niedawny strach zastąpiło uczucie, o którego istnieniu niemal całkowicie zapomniałam - nadzieja. Nie chciałam, by tak dużo znaczył dla mnie fakt, że Landry wrócił, że wprowadzał mnie w szczegóły sprawy, że pozwalał mi myśleć, iż biorę w niej udział.

- Powiedziałaś Seabrightowi, że jesteś prywatnym detektywem - powiedział. Jego głos brzmiał mocno i wyraźnie: musiał stać tuż za drzwiami sypialni. - Jesteś?

- Nie do końca.

- Więc jesteś winna oszustwa.

- Nie, jedynie kłamstwa - poprawiłm go. - To byłoby oszustwo, gdybym fałszywie się przedstawiła i na tej podstawie wyciągnęła od Seabrighta pieniądze. A tego nie zrobiłam.

- Byłabyś cholernie dobrym prawnikiem.

To samo powtarzał mój ojciec i dlatego zostałam policjantką. Nie chciałam być taka jak on, naginać prawa, jakby było z gumy, i zaspokajać w ten sposób potrzeby ludzi zepsutych nadmiernym bogactwem. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że jako glina również będę naginać prawo na tysiące sposobów, by usprawiedliwić własne działania, które, jak wierzyłam, podejmowałam dla słusznej sprawy. A jednak byłam inna niż mój ojciec. I to było najważniejsze.

- Sprawdziłem kartotekę dzieciaka Seabrighta - powiedział Landry. - Nigdy nie wpadł w żadne kłopoty. To dobry uczeń, mnóstwo nadprogramowych zajęć.

- Takich jak pieprzenie przyrodniej siostry?

- Oraz klub matematyczny.

- Nie podoba mi się, że kłamie na temat tego, gdzie był ostatniej niedzieli - powiedziałam.

- Jaki ojciec, taki syn.

Założyłam czarną bieliznę, sprawdzając przez ramię, czy nie stoi za mną Landry, niemalże spodziewając się, że zobacze go w drzwiach. Nie było go tam.

- Seabright stanie murem za własnym synem - powiedziałam, Włożyłam białą, garniturową koszulę i proste, czarne spodnie. - Nigdy w życiu nie pozwoli, by Chad został zamieszany w tę sprawę.

- Tak jest, jeśli założymy, że to ojciec daje alibi synowi. Ale pamiętaj, że to działa w dwie strony.

Zawiązałam koszulę w pasie i wyszłam z sypialni. Landry stał oparty o blat kuchenny ze szklanką whisky w dłoni. Przyjrzał mi się spod półprzymkniętych powiek.

- Nie musiałaś się dla mnie tak stroić.

- To nie dla ciebie. Nie wyobrażam sobie, że Bruce Seabright mógłby brać udział w porwaniu. Nawet jeśli chciał pozbyć się Erin, nigdy nie ubrudziłby sobie rąk. To zbyt ryzykowne. Czemu więc miałby potrzebować alibi? Poza tym to Chad był z nią związany.

- Ale to Erin ma policyjną kartotekę - powiedział Landry. - Drobne kradzieże i posiadanie.

- Posiadanie czego?

- Ecstasy. Wpadła na imprezie. Przymknęli ją. Mam kogoś w wydziale dla nieletnich. Sprawdza, z kim ją wtedy aresztowano. I skontaktowałam się z gościem w wydziale narkotyków, którego znam. Próbuje zlokalizować dealera.

- A kogo znasz w narkotykach?

- Nazywa się Brodie. Kojarzysz go?

Popatrzyłam na swoje stopy i przytaknęłam. Stałam na przeciw Landry'ego, opierając się o drugi blat, z założonymi rękami. Pomieszczenie było małe, moje nagie stopy prawie stykały się z czubkami jego sznurowanych butów z brązowej skóry. Dobrej jakości. Ten facet nie włożyłby mokasynów z frędzlami.

Matt Brodie był kiedyś moim przyjacielem. A przynajmniej tak mi się wydawało. Żałowałam, że zadałam to pytanie. Landry czekał teraz, aż się odezwę.

- Jest w porządku - powiedziałam w końcu.

- Z pewnością ucieszyłby się z tej opinii - skomentował Landry z nutą oschłego sarkazmu.

Ciekawe, co na mój temat powiedział mu Brodie. Nie, żeby miało to dla mnie znaczenie. Landry mógł sobie myśleć, co chciał.

- Jade jako jedyny twierdzi, że dziewczyna po prostu spakowała się i wyjechała - powiedział. - Jest ostatnim człowiekiem, który ją widział. Myślę, że to było tak: Erin wiedziała coś o śmierci tamtego konia. Jade chciał się jej pozbyć. Wymyślił porwanie, żeby na całej tej hecy dodatkowo zarobić. A dziewczyna jest już pewnie tak martwa, jak ta w stercie gówna.

- Mam nadzieję, że w tym ostatnim się mylisz - odparłam, wiedząc, że może mieć rację. Mnie samej ta myśl przyszła już do głowy.

- Słuchaj, Estes, jestem ci winny przeprosiny - powiedział. - Dlatego tu jestem. Może jeśli posłuchałbym cię za pierwszym razem, gdy do mnie przyszłaś, Jill ciągle by żyła. Może odnaleźlibyśmy już Erin.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem, co ci odpowiedzieć.

Nazwał rzecz po imieniu, oboje o tym wiedzieliśmy. Nie miałam zamiaru usprawiedliwiać go w banalny sposób, zachowując się jak dobra żona wybacząca mężowi jego małe grzeszki. Nie chciałam też wygarnąć mu prawdy prosto w twarz. Podjął decyzję, która była zła. A ja byłam ostatnią osobą, która mogłaby go za to krytykować.

- Nie cała wina leży po twojej stronie - odezwałam się w końcu. - Ja pierwsza zajęłam się tą sprawą. Nie zapobiegłam zamordowaniu Jill, nie znalazłam Erin. Czasem sprawy po prostu same układają się tak, a nie inaczej.

- Wierzysz w to?

- Muszę. Inaczej musiałabym się obwiniać o wszystko, co poszło nie tak w moim życiu, a wiem, że ponoszę odpowiedzialność jedynie za dwie trzecie niepowodzeń.

Popatrzył na mnie przez moment, który wydawał się ciągnąć w nieskończoność. Chciałam odwrócić się albo poruszyć, ale nie zrobiłam tego.

- Więc... czy Jade miał alibi na wczorajszą noc? - zapytałam.

- Tak. Był z kobietą. Ze swoją klientką. Susannah Atwood.

- Potwierdziła to?

Przytaknęła.

- A czy ktoś potwierdził jej zeznanie?

Przewrócił oczami.

- Pewnie. Jade. Czemu? Znasz ją?

- Wiem co nieco na jej temat. Sean ją zna. Ma reputację pierwszej modliszki okolicznej society.

- Nie masz na myśli motyla?

- Nie.

Uniósł brwi.

- Znam ten typ - powiedziałam. - Susannie może wydawać się, że dostarczenie alibi zabójcy to niczym seks oralny nowego tysiąclecia. Nie ufałabym jej. Z drugiej strony, ja nie ufam nikomu.

Spojrzałam na zegarek i odsunęłam się od blatu.

- Muszę cię teraz wyrzucić, Landry. Mam dziś randkę z diabłem.

- Którym?

- Van Zandtem.

Ruszyłam na poszukiwanie butów, opowiadając mu jednocześnie o tym, czego dowiedziałam się od Seana i z Interpolu dzięki pomocy Armedgiana. Miałam spotkać się z Van Zandtem o ósmej w „The Players”. Dobrze zrobiłam, nie pozwalając mu po mnie przyjechać.

Landry stał na progu mojej garderoby z rękami opartymi na biodrach.

- Mówisz, że ten gość może być seksualnym potworem, a ty wybierasz się z nim na romantyczną kolację?

- Tak.

- A co jeśli to on zabił Jill? Jeśli więzi Erin w jakiejś komórce?

- Jeśli tak jest, to mam nadzieję dowiedzieć się czegoś, co pomogłoby nam go przymknąć.

- Czy ty jesteś na prochach? - zapytał z niedowierzaniem. - A może po prostu jesteś głupia?

- Van Zandt nie będzie próbował ze mną niczego głupiego - powiedziałam, wychodząc z garderoby w jednej szpilce, drugą trzymając w ręce. - Po pierwsze: wie, że się go nie boję i nie dam sobą sterować. Po drugie: jestem dla niego więcej warta jako klientka niż jako ofiara.

- A jeśli jest po prostu zбочonym świrem, który chce cię zgwałcić i podciąć ci gardło?

- Wtedy przyznam, że zrobiłam poważny błąd w ocenie jego charakteru - ale tak nie będzie.

- Estes, z tego, co nam wiadomo, to on mógł wczoraj zabić tę dziewczynę. Skłamał, że się z nią nie widział. Był w „The Players”. Barman i kelnerka zeznali, że rozmawiał z nią, cały się śliniąc. Zatrzymalibyśmy go już dawno, gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie jest.

- O której opuścił wczoraj bar?

- Nikt nie potrafił podać dokładnej godziny.

- Więc go zgarnij i całą noc ciągnij po rozżarzonych węglach, jeśli masz ochotę - powiedziałam. Weszłam do łazienki i popatrzyłam na swoje włosy. Nic nie dało się z nimi zrobić. - Ja z chęcią zanurzę się w gorącej kąpieli i poczytam książkę. Ale jeśli trzyma Erin w jakiejś kryjówce, to na pewno ci o tym nie powie.

- A myślisz, że powie tobie? - zapytał Landry, stając w drzwiach. - Jakby to był jakiś cholerny element flirtu? Chodźmy do mnie, pokażę ci dziewczynę, którą ostatnio porwałem? Chryste!

- To za nami pojedźcie! Nie rozumiem, o co się tak wkurzasz!

Potrząsnął głową, obrócił się na pięcie i poszedł do sypialni.

- To dlatego nie chcę, żebyś brała udział w śledztwie - powiedział, celując we mnie palcem, gdy wyszłam z łazienki. - Nie mogę patrzeć na to, jak robisz jakieś własne plany, zabierasz się do sprawy ledwo przygotowana...

- To się odwróć! - poradziłam, odsuwając jego rękę sprzed mojej twarzy. Czułam, jak narasta we mnie zdenerwowanie. - Jestem prywatną osobą, Landry. Nie potrzebuję twojego pozwolenia ani twojej aprobaty. Jeśli zostanę zamordowana, będziesz przynajmniej wiedział, kogo aresztować. Rozwiążę za ciebie tę cholerną sprawę. Będziesz bohaterem całego biura szeryfa - za jednym zamachem pozbędziesz się mnie i złapiesz mordercę!

- To, że dasz się zabić, nie pomoże mi w prowadzeniu śledztwa!

- Wierz mi, skoro do tej pory sama się nie zabiłam, to nie pozwolę, by taki pojeb jak Van Zandt mnie w tym wyręczył!

Staliśmy tak blisko siebie, że nasze nosy prawie się stykały, a powietrze między nami aż iskrzyło od narastającej złości. Cokolwiek miał jeszcze do dodania, zachował to dla siebie. Może po cichu liczył do dziesięciu i tylko to powstrzymało go od uduszenia mnie gołymi rękami. Nie miałam pojęcia, o czym myśli. Ja myślałam tylko o tym, że stoję za blisko niego.

- Ja też byłam dobra - powiedziałam cicho. - W tym, co robiłam. Wiem, że nikt nie chce o tym dzisiaj pamiętać, ale byłam dobra. Byłbyś głupcem, gdybyś z tego nie skorzystał.

Przeminęła kolejna nieskończoność. Staliśmy, wpatrując się w siebie, jak para wkurzonych jeżozwierz z nastroszonymi kolcami. Landry pierwszy zamrugał oczami i cofnął się. Pomyślałam, że powinnam być dumna z tej wygranej; zamiast tego poczułam jednak coś na kształt zawodu.

- Van Zandt chce zrobić na mnie wrażenie - powiedziałam i wróciłam do garderoby po małą torebkę, do której mogłabym schować dyktafon. - Chce wyjść na ważniaka, więc gada więcej, niż myśli. Mogę sprawić, że powie więcej, niżby chciał. Nagram rozmowę. Zadzwoń do ciebie, kiedy już będzie po wszystkim.

- Po wszystkim, to znaczy po czym? - zapytał znacząco.

- Po kawie - odparłam. - Prostyuuuję się tylko do pewnych granic. Cieszę się, że masz o mnie tak wygórowaną opinię.

- A ja cieszę się, że znasz granice - mruknął.

Wyjął telefon z kieszeni, wykręcił numer i, nie zdejmując ze mnie oczu, stał i czekał, aż ktoś podniesie słuchawkę po drugiej stronie. Wiedziałam, co zamierza zrobić. Coś we mnie kazało mi go prosić, by zrezygnował. Ale nie pozwoliłam sobie na tę słabość, choć - jak na mnie - byłam tego bardzo bliska.

- Weiss? Tu Landry. Van Zandt jest w „The Players”. Zgarnij go.

Wciąż nie odrywając ode mnie oczu, rozłączył się i schował telefon do kieszeni.

- Dzięki za wskazówkę.

Chciałam powiedzieć, żeby poszedł do diabła, ale nie ufałam własnemu głosowi. Czułam się tak, jakby w gardle utknął mi kawałek gorącej skały. Wolalabym nie czuć niczego, niczym się nie przejmować i żyć z dnia na dzień. Jeśli nie masz oczekiwań, planów, celu, nigdy nie poczujesz się zawiedziony, nic cię nie zrani.

Landry odwrócił się i wyszedł, zabierając ze sobą informację, którą mu podałam, i moją nadzieję, że dziś uda mi się posunąć śledztwo do przodu. Czułam się jak skończona idiotka. Wydawało mi się, że przyszedł, by włączyć mnie do śledztwa, a on chciał jedynie oczyścić swoje sumienie. To była jego sprawa. Posiadał ją na własność.

„Dzięki za wskazówkę”.

Chodziłam po domu, starając się stłumić targające mną emocje. Musiałam coś zrobić. Potrzebowałam nowego planu. Nie zamierzałam siedzieć w domu i kontemplować własne uczucia. Poza tym nie miałam dobrej książki, z którą mogłabym położyć się w wannie.

W mojej głowie zaczął rodzić się pomysł. Zanim osiągnął stadium embrionalne, przebrałam się i wybiegłam za drzwi.

Moje życie byłoby prostsze, gdybym pojechała do Barnes & Noble.

XXV

Miejską rezydencją Lorindy Carlton był domek w zabudowie szeregowej na osiedlu Sag Harbor Court. Było mało prawdopodobne, że przesłuchanie zakończy się wydaniem nakazu przeszukania tego miejsca, chyba że Landry'emu udało by się wyciągnąć z Van Zandta jakieś przełomowe zeznania. Ale jeśli Van Zandt był zamieszany w morderstwo Jill albo porwanie Erin i zachował sobie po nich jakąś pamiątkę, z pewnością pozbędzie się jej tuż po powrocie z komisariatu.

Zaparkowałam na miejscu dla gości, przy samym końcu linii domów. W połowie domów paliły się światła, ale na zewnątrz panowała cisza i spokój. Nie spotkałam żadnych miłych sąsiadów toczących rozmowy na gankach i patrzących w nocne niebo.

Ze względu na specyficzny charakter miasta - podporządkowanego sezonowi jeździeckiemu - wiele domów Wellington nie ma stałych mieszkańców i służy jedynie do wynajęcia. Niektórzy ludzie z branży mają tu własne rezydencje, jednak większość co roku ląduje w innym miejscu. Wszyscy zresztą myślą przede wszystkim o zakwaterowaniu dla swych koni, a dopiero w ostatniej chwili o mieszkaniu dla siebie. Z tego powodu poczucie wspólnoty wśród mieszkańców Wellington nie jest zbyt mocne.

Domek należący do Carlton stał na samym końcu ślepej uliczki. We wszystkich jego oknach było ciemno. Zajrzałam przez szybę w drzwiach frontowych w poszukiwaniu alarmu. Jeśli był, to znajdował się poza ograniczonym zasięgiem mojego wzroku. Gdybym go uruchomiła, miałabym problem z dotarciem do

samochodu. Musiałabym ratować się ucieczką przez wysoki żywopłot otaczający tył posiadłości, w nadziei, że nikt mnie nie zauważy, i później okreśną drogą wrócić do samochodu.

Ułożywszy ten prowizoryczny plan, wyjęłam z kieszeni parę spinek i zaczęłam grzebać przy zamku. Każdy przechodzień z dużo mniejszą podejrzliwością patrzy na osobę próbującą wejść do domu przez drzwi frontowe niż na skradającą się do tylnego wejścia. Gdyby ktoś się mną zainteresował, mogłam go zbyć. Powiedziałabym, że zgubiłam klucz, lub opowiedziałabym historyjkę o tym, jak przyjechałam na weekend odwiedzić mojego przyjaciela Van Zandta, który wykazał się wielką nieuprzejmością, zapominając o mnie.

Wstrzymałam oddech. Otwieranie drzwi za pomocą spinki do włosów nie jest umiejętnością, którą można zdobyć w akademii policyjnej. Nauczyłam się tego, gdy miałam jedenaście lat, od jednego ze stajennych. Bobby Bennet przez długi czas pracował na torach wyścigowych południowej Florydy, aż pewnego dnia wskutek fatalnego nieporozumienia wylądował w więzieniu na trzy do pięciu lat z wyrokiem za włamanie. Po wyjściu twierdził, że porzucił złą drogę, wciąż jednak pamiętał stare sztuczki i nauczył mnie paru z nich. Byłam niezłym rozrabiaką i spędzanie czasu ze mną sprawiało mu dużą frajdę.

Dziękowałam Bogu za Bobby'ego Benneta, gdy zapadki zamka w końcu ułożyły się jak należy. Kiedy wchodziłam, serce waliło mi jak szalone. Wiele systemów alarmowych pozwala na otwarcie drzwi za pomocą klucza, ale wymaga wprowadzenia odpowiedniego kodu w ciągu minuty albo dwóch. Jeśli się tego nie zrobi, włącza się alarm, zarówno w domu, jak i w agencji, która go ochrania - czy to w prywatnej firmie, czy w biurze szeryfa.

Znalazłam panel sterujący alarmem tuż koło drzwi. Zielone, mrugające światełko informowało, że system nie został aktywowany.

Z ulgą przystąpiłam do zadania. Zapaliłam światło w salonie. Gdyby któryś z sąsiadów zwrócił na to uwagę, pomyślałby z pewnością, że zapalił je prawowity mieszkaniec domu - jaki złodziej zapala lampę?

Miejsce było dość zaniedbane i śmierdziało brudnym psem. Na podłodze leżał dywan, niegdyś zapewne biały. Ten sam kolor miały pewnie dawniej sofy ze sztucznej skóry, obskurne i popękane. Van Zandt powinien wybrać na swego gospodarza bogatszego klienta. Z pewnością taki był jego plan wobec Seana.

Może już obmyślał, jak załatwić sobie domek gościnnie w przyszłym sezonie.

Przeszłam przez kuchnię, po drodze rutynowo sprawdzając szuflady i szafki, w których nie znalazłam nic poza zwykłą zbieraniną sprzętów kuchennych, pudełkami płatków śniadaniowych i opakowaniami z proszkiem do prania. Van Zandt lubił heinekena i sok pomarańczowy z ekstraduzą zawartością mięszu. W zamrażalniku i lodówce nie było amputowanych kończyn. W suszarce znajdowała się mała kupka świeżo wypranych, pomiętych rzeczy - spodnie, skarpetki i bielizna. Tak, jakby zdjął z siebie wszystko i na raz wrzucił do pralki. Brakowało tylko koszuli. Zastanowiłam się, dlaczego.

Salon nie krył żadnej tajemnicy. Kilka filmów w szafce pod telewizorem. Science-fiction i romanse. Kolekcja Lorindy Carlton, jak zgadywałam. Nie mogłam wyobrazić sobie Van Zandta oglądającego „Titanica” i tkającego, gdy DiCaprio po raz trzeci ześlizguje się pod wodę. Ani śladu kamery, którą przyniósł ze sobą do Seana.

Weszłam po schodach na piętro. Tam znajdowały się dwie sypialnie - mniejsza, udekorowana pluszowymi pieskami, druga, większa, pełna tandetnych mebli pokrytych błyszczącym laminatem. W niej wyczulałam zapach wody kolońskiej Van Zandta. Łóżko było zaścielone, ubrania schludnie poukładane w szafie. Mógłby być dobrym mężem, gdyby nie jego nieszczęsne zapędy socjopaty i miżogina.

Kamera leżała na podłodze pod wieszakiem, tuż koło rzędu butów. Otworzyłam skórzaną walizkę i rzuciłam okiem na schowane w niej kasety, opisane imionami koni na sprzedaż. Van Zandt nagrywał ich występy, po czym kopiował filmy w taki sposób, by potencjalnym kupcom pokazać tylko najlepsze momenty. Wsunęłam jedną z kaset do kamery i nacisnęłam guzik startu. Na wyświetlaczu pojawił się szary koń skaczący przez serię przeszkód. Był w świetnej formie. Obraz zamazał się, a potem ostrość skupiła się na liściach kasztanowca. Wyłączyłam kasetę i wrzuciłam następną. Mniej więcej to samo. Van Zandtowi udawało się zawsze prócz konia uchwycić również jakąś słodką, młodą buzię znajdującą się w pobliżu - jeźdźca, stajennej, właścicielki. Nie było to jeszcze powodem do alarmu: mogłam co najwyżej przewracać oczami.

Na trzeciej kasecie zobaczyłam Paris Montgomery jadącą na czarnym walcu z białą gwiazdą na czole. Stellar.

Pękało mi serce, gdy oglądałam jego występ. Był pięknym zwierzęciem, z szelmowskim błyskiem w oku. Przy każdym skoku unosił ogon niczym flagę. Podchodził do przeszkód z entuzjazmem, ale jego skokom brakowało sprężystości i nie zawsze w porę podrzucał tylne nogi, tak, że często zahaczał o górną belkę. Ale widziałam w nim tę wolę, o której mówił doktor Dean. Gdy nie udało mu się gładko wykonać skoku, stawiał uszy do góry i potrząsał grzywą po wylądowaniu, jakby złościł się na siebie, że nie potrafi zrobić tego lepiej. Miał w sobie wiele zapału, ale zwierzę potrzebuje czegoś więcej niż zapału, by wygrać elitarne zawody lub osiągnąć zawrotną cenę sprzedaży.

Stojący za kamerą Van Zandt najwyraźniej znużył się koniem. Film zawierał stanowczo zbyt dużo zbliżeń Paris i jej olśniewającego uśmiechu. Zastanawiałam się, jak blisko było tych dwoje i czy Paris stawiała sobie jakieś granice, gdy chciała czegoś od mężczyzny.

Później nastąpiło długie ujęcie dziewczyny trzymającej konia za uzdę, przygotowującej go do bocznego ujęcia bez jeźdźca. Erin Seabright w przylegającej do ciała bluzeczce i szortach pokazujących szczupłe, opalone nogi. Gdy już ustawiła konia w pozycji najlepiej reprezentującej jego walory, Stellar szturchnęła ją głową tak, że śmiejąc się, niezdarnie poleciała do tyłu. Śliczna dziewczyna o ślicznym uśmiechu. Chwyliła konia za głowę i ucałowała go czule.

W tej scenie nie była twardą, wygadaną, złą dziewczyną, o której mi opowiadano. Widziałam jej związek z koniem: w jej głosie, gdy do niego mówiła, w jej dotyku, w geście dłoni spoczywającej na jego karku, gdy ustawiała go do zdjęć. Bez trudu wyobraziłam sobie, znając jej sytuację rodzinną, że czuła większe przywiązanie do zwierząt, którymi się zajmowała, niż do kogokolwiek z rodziny Seabrightów. Konie jej nie osądzały, nie krytkowały i nie zawodziły. Konie nie wiedziały, czy złamała zasady, i nie interesowało ich to. Pragnęły tylko, by była dla nich dobra i cierpliwa. Chciały, by przynosiła im smakołyki i wiedziały, gdzie lubią być drapane.

Wiedziałam te rzeczy o Erin Seabright, gdyż dawno temu byłam taką samą dziewczyną, która nie pasuje do modelu rodziny wybranego przez rodziców i która nie chce sprostać ich oczekiwaniom; dziewczyną, która znajomych wybiera na podstawie ich wad, a jedynych prawdziwych przyjaciół ma w stajni.

Ten film powiedział mi więcej o Erin niż o jego autorze. Przewinęłam kasetę i raz jeszcze spojrzałam na jej uśmiech. Chciałam mieć nadzieję, że kiedyś zobaczę go na własne oczy. Wiedziałam jednak, że nawet jeśli uda mi się wyciągnąć ją z tej tragedii, minie dużo czasu, zanim znów będzie potrafiła tak się cieszyć.

Wrzuciłam następną kasetę i na przewijaniu obejrzałam występy trzech kolejnych koni, aż w końcu na ekranie pokazał się Sean jadący na Tino. Włączyłam normalny tryb odtwarzania.

Stanowili piękny widok, gdy tak razem płynęli po arenie. Sean świetnie prowadził konia - z siłą, elegancją i skupieniem. Kasztanowy wałach, szczupły i długonogi, poruszał się z niespotykaną gracją. Kamera podążała za nimi, gdy ukosami przemierzali się w kierunku altany, przeciwległe nogi konia krzyżowały się w płynnym ruchu niczym nogi tancerza, ciało zwierzęcia wyginało się pod jeźdźcem niczym giętki łuk. Aż nagle znaleźli się poza kadrem.

Kamera zatrzymała się na altanie, robiąc najazd na Irinę. Dziewczyna patrzyła wprost na filmującego, z wyrazem zimnej nienawiści na twarzy. Zaciągnęła się papierosem i dmuchnęła dymem prosto w szklane oko. Nie wydawała się poruszona faktem, że Van Zandt się jej przygląda, co sprawiło, że dostałam gęsiej skórki. Miałam ochotę natychmiast udać się do jej mieszkania i zrobić jej wykład na temat zamykania drzwi na noc.

Elena Estes, opiekuńcza kwoka.

Odłożyłam kamerę tam, skąd ją wzięłam, i wróciłam do sypialni. Podeszłam do szafki z telewizorem i magnetowidem, obok których znalazłam kolekcję filmów pornograficznych. Kilka kobiet i jeden facet. Kilku facetów i jedna kobieta. Seks lesbijski. Mnóstwo lesbijskiego seksu. Geje. Niektóre z filmów wyglądały na brutalne, większość jednak nie.

Nasz Van Zandt był perwersiarzem uznającym równość mniejszości seksualnych.

Przeszukałam szuflady w komodzie i szafkach nocnych. Zajrzałam pod łóżko, ale znalazłam tam tylko kłębki kurzu i stare psie odchody. Przyjaciółka Van Zandta zdecydowanie powinna zmienić gosposię.

W pokoju nie było nagrań z porwaniem Erin, choć porywacz musiał je posiadać. Seabrightowi dostarczono zwykłą kasetę VHS, a większość nowoczesnych

kamer zapisywała obraz cyfrowo, na taśmę o szerokości ośmiu milimetrów, albo na miniaturowe kasety, takie jak te, które znalazłam w schowku Van Zandta. Nagranie należało następnie skopiować na normalną kasetę. Porywacz miał też dostęp do sprzętu bardziej zaawansowanego niż znajdujący się w domu Lorindy Carlton. Głos na kasecie został poddany mechanicznej obróbce. Jeśli Van Zandt był zamieszany w porwanie Erin, musiał trzymać kasety i sprzęt gdzie indziej.

Zawiedziona zgasiłam światła i zeszałam na dół. Mój wewnętrzny zegar powiadał mi, że czas stąd iść. Zbyt długo oglądałam występy koni. Wiedziałam, że Landry będzie się starał trzymać Van Zandta w pokoju przesłuchań najdłużej, jak się da, zdawałam sobie jednak sprawę, że przesłuchiwany może w każdej chwili wstać i po prostu wyjść. Z tego, co wiedziałam, nie był aresztowany. Zapewne w ogóle nie uważał, że prawo Stanów Zjednoczonych może w jakikolwiek sposób go obowiązywać.

Popatrzyłam na frontowe drzwi, ale do nich nie podeszłam. Myśl, że moja wyprawa może zakończyć się niepowodzeniem, nie mieściła mi się w głowie. Musiałam znaleźć coś bardziej obciążającego niż nawyk oglądania pornosów, coś - cokolwiek - czym można by się posłużyć w późniejszej fazie przesłuchań, choćby nawet nie łączyło to Van Zandta bezpośrednio z zabójstwem albo porwaniem.

Z kuchni przeszłam do garażu, dużego na tyle, by pomieścić samochód i szafki stojące wzdłuż jednej ze ścian. Ich drzwiczki były zabezpieczone kłódkami, których nie miałam już czasu otwierać. Na górze szafek spoczywała interesująca kolekcja przeróżnych maneli, styropianowa lodówka, nadmuchiwane zabawki na plażę, zgrzewka napoju Diet Rite i paczka taniego papieru toaletowego. Innymi słowy, nic ciekawego.

Pod przeciwległą ścianą ustawione były plastikowe kosze do segregowania śmieci. Zmarszczyłam nos i podeszłam do nich.

Śmietnik zbrodniarza może okazać się skarbnicą dowodów, często upapranych jajkiem i mocno śmierdzących, ale dowodów.

Podniosłam pokrywę pierwszego kubła i zajrzałam do środka. Jedyna żarówka oświetlająca garaż znajdowała się nad drzwiami prowadzącymi do kuchni. Była zbyt słaba, bym mogła cokolwiek zobaczyć. Żałowałam, że nie wzięłam z samochodu mojej latarki, ale teraz nie było już czasu, by po nią wracać.

Grzebałam w śmieciach, nachylając się nisko, by rozpoznać wszystkie przedmioty. Były tam ulotki reklamowe, opakowania po mrożonkach, plastikowe tacki po gotowych daniach do odgrzewania w kuchence mikrofalowej, pudełka po jajkach, skorupki jajek, biało jajek, pojemniki po chińskim jedzeniu na wynos i kartony po pizzy. Takie same śmieci mogłabym znaleźć w każdym domu. Żadnych potwierdzeń transakcji dokonanych za pomocą kart kredytowych, żadnych planów dnia z godziną porwania lub zabójstwa.

Znalazłam kartkę, na której wypisane były imiona koni, daty i godziny wylotów z Palm Beach, lądowania w Nowym Jorku oraz numery lotów do Brukseli. To konie, które Van Zandt wysyłał do Europy. Wsunęłam notatkę do kieszeni džinsów. Jeśli wywoził z kraju konie, mógł również sam się z nimi zabrać. Wsiadając do jednego z tych samolotów, raz dwa uwolniłby się spod jurysdykcji Landry'ego.

Otworzyłam kolejny kubek. Adrenalina uderzyła mi do głowy jak narkotyki.

Jedyną rzeczą w tym kubku była biała koszula. Ta sama, która nie została wyprana ze spodniami, skarpetkami i bielizną - resztą ubrań zdjętych w pośpiechu i wrzuconych razem do pralki.

Musiałam nachylić się głęboko do wnętrza kubła, by podnieść koszulę z dna. Smród uderzył mi w twarz, oczy zaczęły łzawić, a żołądek niebezpiecznie się skurczył. Ale wynurzyłam się z koszulą w dłoni i podniosłam ją do światła, by dokładniej się jej przyjrzeć.

Egipska bawełna dobrej jakości, paryski błękit. Szukałam monogramu - chciałam mieć wyraźny dowód na to, że należała do Van Zandta. Nie znalazłam, ale po lewej stronie kołnierzyka był ślad, który mógł równie dobrze zidentyfikować właściciela - ciemne smugi, przypominające zaschniętą krew. Na lewej piersi koszula była rozdarta i w tym miejscu znajdowało się jeszcze więcej krwi.

Serce waliło mi nieprzytomnie.

Van Zandt mógł zaciąć się przy goleniu, jak zapewne tłumaczyłby ślady krwi na kołnierzyku jego obrońca w sądzie. A czy sam dźgnął się również w pierś? - pytałby oskarżyciel. - Dowody wskazują na to, że mógł zostać ranny w czasie walki.

Z łatwością wyobraziłam sobie Jill Morone walczącą z napastnikiem, machającą rękami, próbującą dosięgnąć go szponiastymi paznokciami. Możliwe, że

podrapała go po szyi, co wyjaśniałoby krew na kołnierzyku. Jeśli autopsja wykaze obecność naskórka pod paznokciami... I jeśli Van Zandt ma na szyi ślady zadrapań... Nie zauważyłam ich, ale mógł je przecież ukryć pod swoją nieodłączną apaszką. Przypomniałam sobie boks w stajni Jade'a, ślady na ściółce, które wydały mi się kroplami krwi. Krew mogła pochodzić z drugiej rany. Jill mogła go czymś uderzyć, czymś zaciąć. Może w końcu to nie wczorajsze picie sprawiło, że był dziś rano taki blady.

Serce biło mi szybko, ręce się trzęsły. Zgarnęłam główną wygraną. W dawnych czasach po czymś takim poszłabym do baru i postawiłabym kolejkę wszystkim obecnym. Teraz nie mogłam przyznać się do sukcesu, a gdybym nawet mogła, to i tak w barze dla policjantów nikt nie cieszyłby się z mojego przyścia. Stałam w mroku garażu, próbując powstrzymać ekscytację, zmuszając się do pomyślenia, jakie kroki powinnam teraz podjąć.

To Landry musiał znaleźć tę koszulę. Choć ciśnienie mu jej w twarz sprawiłoby mi ogromną przyjemność, wiedziałam, że jeśli ją stąd wyniosę, nigdy nie znajdzie się wśród dowodów branych pod uwagę na procesie. Jako osoba prywatna nie potrzebowałam nakazu, by przeszukać czyjeś mieszkanie. Czwarta poprawka chroni nas przed agentami rządowymi, nie przed sobą nawzajem. Ale nie wolno mi było przebywać w tym domu wbrew woli lokatorów. Byłoby inaczej, gdyby Van Zandt zaprosił mnie do siebie, a ja bym w trakcie wizyty znalazła zakrwawioną koszulę, wciąż jednak sytuacja nie byłaby całkiem prosta. Skoro kiedyś pracowałam w policji, a teraz wiele łączyło mnie z dochodzeniem prowadzonym przez biuro szeryfa, dobry obrońca dowiódłby, że powinnam zostać potraktowana jako faktyczny współpracownik biura - i w ten sposób pozbawiłby mnie statusu zwykłego obywatela, a znaleziony przeze mnie dowód wykluczył ze sprawy.

Nie mogłam na to pozwolić. Musiałam działać zgodnie z prawem, ustalić porządek, w jakim należało zająć się koszulą. Po pierwsze, biuro szeryfa powinno zdobyć nakaz, by policjanci mogli przeszukać garaż. Anonimowy telefon z informacją o dowodzie rzeczowym, historia Van Zandta i jego powiązanie z Jill powinny wystarczyć.

Nie chciałam jednak wkładać koszuli z powrotem do kontenera. Nie mogłam ryzykować, że coś pójdzie źle, że Van Zandt przestraszy się po rozmowie z Landrym,

wróci do domu i pozbędzie się obciążającego dowodu. Musiałam schować ją tak, by Van Zandt jej nie znalazł.

Gdy tylko zaświtała mi w głowie ta myśl, usłyszałam odgłos samochodu zatrzymującego się na podjeździe i warkot mechanizmu otwierającego drzwi garażu.

Drzwi były już otwarte w jednej trzeciej, gdy rzuciłam się w stronę kuchni, a światła samochodu omiotły moją postać, jak reflektory szukające uciekającego więźnia.

Odezwał się ryk klaksonu.

Wpadłam do kuchni, zatrzasnęłam drzwi i zamknęłam je na zamek, zdobywając kilka cennych sekund. Panicznie rozglądałam się wokoło w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłabym ukryć koszulę.

Nie ma czasu. Nie ma czasu. Rzuć ją i uciekaj.

Wsadziłam koszulę na tył stojącej na podłodze kuchennej szafki, zamknęłam drzwiczki i wybiegłam w tej samej chwili, gdy w zamku rozległ się dźwięk przekręcanego klucza.

Jezu Chryste... A jeśli Van Zandt mnie rozpoznał?

Kiedy biegłam przez jadalnię, potrafiłam krzesło, potknęłam się i zachwiałam, walcząc ze wszystkich sił, by nie stracić równowagi. Utkwiłam wzrok w przesuwanych drzwiach prowadzących na oszkloną werandę.

Tuż za sobą usłyszałam szczekanie psa.

Dopadłam do drzwi i pociągnęłam za klamkę. Były zamknięte.

Głos - damski głos: „Bierz go, Cricket!”.

Warczenie psa. Kątem oka widziałam, jak biegnie - mały, czarny pocisk z zębami.

Niezdarnie szamotałam się z zamkiem przy drzwiach, w końcu udało mi się mocnym szarpnięciem otworzyć drzwi. W chwili gdy przeciskałam się na zewnątrz, poczułam, jak pies wgrzyza mi się w łydkę.

Szarpnęłam nogą. Pies zaskomlał, gdy spróbowałam zatrzasnąć drzwi na jego głowie.

Przebiegłam przez werandę do kolejnych drzwi, wpadłam na nie z impetem i przeleciałam dalej, gdy otworzyły się pod naporem mojego ciała. Byłam w ogrodzie na tyłach domu.

Dom Lorindy Carlton był ostatni z szeregu. Całość osłaniał wysoki żywopłot. Musiałam dostać się na drugą stronę. Za żywopłotem znajdował się rozległy,

niezabudowany teren należący do miasteczka Wellington, a dalej rynek i centrum handlowe.

Pobiegłam w kierunku żywopłotu. Pies wciąż gonił za mną, warcząc groźnie. Skręciłam ostro w prawo i biegłam teraz wzdłuż szpaleru krzewów, wypatrując przejścia na drugą stronę. Pies szarpał mnie za nogawki. W biegu zdjęłam kurtkę, jeden z rękawów owinęłam ciasno wokół prawej dłoni, pozwalając, by reszta ciągnęła się po ziemi.

Pies rzucił się na kurtkę i chwycił ją zębami. Złapałam oburącz za rękaw, który wcześniej owinęłam wokół dłoni, mocno zaparłam się jedną stopą i zaczęłam wywijać psem, przyczepionym do drugiego końca kurtki. Zrobiłam dwa zamachy, jak olimpijczyk rzucający młotem, i wypuściłam go z rąk.

Nie wiedziałam, jak daleko poniosły go prędkość i jego własny ciężar, ale zyskałam kilka sekund. Usłyszałam trzask i skowyt i wtedy znalazłam sposób, by przedostać się na drugą stronę.

Koło drugiego z domów położonych na końcu szeregu stał samochód dostawczy. Wdrapałam się na jego maskę, a stamtąd na dach i przeskoczyłam ponad żywopłotem.

Wylądowałam jak spadochroniarz - upadłam na nogi ugięte w kolanach, przewróciłam się i potoczyłam po ziemi. Ostry, rwący ból przeszył całe moje ciało, od stóp aż po czubek głowy. Przez moment nawet nie starałam się poruszyć, tylko leżałam zwinięta na piasku. Nie wiedziałam jednak, czy ktoś nie widział, jak przeskakuję przez żywopłot. I nie byłam wcale pewna, że ten wredny kundel, warcząc i szczerząc zęby, nie przeczołga się pod spodem, byle tylko mnie dopaść.

Podciągnęłam stopy pod siebie, zmusiłam się do wstania i ruszyłam dalej, trzymając się jak najbliżej żywopłotu. Po obu stronach mojego ciała, od kręgosłupa aż do kolan, z każdym krokiem rozchodził się piorunujący ból. Potłuczone żebra przypominały o sobie z każdym oddechem. Miałam ochotę głośno kląć, ale wiedziałam, że to też by bolało.

Jeszcze tylko pięćdziesiąt metrów i znajdę się w centrum handlowym.

Spróbowałam powoli biec, musiałam jednak wrócić do szybkiego marszu i z trudem szłam dalej. Pociłam się jak koń na wyścigach i musiałam cuchnąć śmietnikiem. Za sobą w pewnej odległości słyszałam wycie syreny. Zanim policja dotrze do domu Carlton i Van Zandta i sporządzi protokół z włamania, będę bezpieczna. Przynajmniej na jakiś czas.

Co za cholerny pech. Gdybym opuściła dom dwie minuty wcześniej... Gdybym nie zmarnowała tyle czasu, oglądając nagrania koni i studiując kolekcję pornosów Van Zandta... Gdybym nie poświęciła tych kilku dodatkowych minut na sprawdzenie garażu... Nigdy nie znalazłabym koszuli.

Musiałam zadzwonić do Landry'ego.

Szłam w kierunku światła na rynku. Była sobotnia noc. Ludzie stali na chodniku przed włoską restauracją w oczekiwaniu na stolik. Przeszłam obok ze schyloną głową, starając się wyglądać na zwykłego przechodnia i uspokoić oddech. Zza drzwi „Cobblestones”, kolejnej restauracji, popłynęła muzyka. Potem minęłam chińską restaurację, wdychając mocny zapach czegoś smażonego na głębokim oleju, który przypomniał mi, że nic dzisiaj nie jadłam.

Normalni ludzie spędzali właśnie przyjemny wieczór nad talerzem sushi lub kurczaka na ostro. W całym tym tłumie nie było zapewne drugiej kobiety, która kiedykolwiek włamała się do czyjś mieszkania, by szukać dowodu rzeczowego w sprawie morderstwa.

Zawsze byłam inna.

Na tę myśl miałam ochotę jednocześnie zaśmiać się i wybuchnąć płaczem.

W aptece na rogu kupiłam butelkę wody, baton, tani podkoszulek i czapkę bejsbolową, rozmieniając w ten sposób pieniądze na telefon. Na zewnątrz odebrałam metki od ubrań, włożyłam podkoszulek na moją przesiąkniętą potem, czarną bluzeczkę i nasadziłam czapkę na głowę.

Z kieszeni džinsów wyjęłam dwie zmięte kartki. Pierwszą był świstek znaleziony w kubie Van Zandta, na drugiej miałam numer Landry'ego. Zadzwoniłam na jego pager, zostawiłam numer budki, z której dzwoniłam, i odwiesiłam słuchawkę. Czekając, aż oddzwoni, zadreślałam się myślami. Zastanawiałam się, czy kobieta w garażu zdążyła mnie dokładnie obejrzeć, kim była, i czy Van Zandt przyjechał razem z nią.

Nie przypuszczałam, by udało jej się dużo zobaczyć. Do psa krzyknęła „Bierz go”. Dostrzegła pewnie krótkie włosy i założyła - jak zrobiłaby większość ludzi - że włamywacz jest mężczyzną. Policja będzie zatem szukać mężczyzny, jeśli w ogóle zajmie się sprawą. To było proste włamanie, nic nie zginęło i nikt nie został ranny. Nie sądziłam, by ktokolwiek się nim przejął. I miałam ogromną nadzieję, że się nie mylę.

Nawet jeśli podjęliby trud sprawdzania odcisków palców, to moich nie znajdą w kryminalnej bazie danych, a przy rutynowej kontroli nie brano pod uwagę innych katalogów. Moje odciski znajdowały się w kartotece policyjnej hrabstwa Palm Beach, jednak z dala od śladów łapsk regularnych opryszków.

Powinna jednak była nałożyć rękawiczki. Przynajmniej dla większego komfortu grzebania w kubie.

Jedząc baton, na wszelki wypadek trzymałam go w papierku.

Znajdą moją kurtkę - czy raczej to, co z niej zostało, gdy już skończył nad nią pastwić się pies. Jednak nic nie wiązało jej z moją osobą. To była zwykła, czarna wiatrówka.

Próbowałam sobie przypomnieć, co było w kieszeniach. Ochronna szminka do ust, napoczęte opakowanie mentosów, rachunek ze stacji benzynowej Shell. Dzięki Bogu, że nie zapłaciłam kartą. Co jeszcze? Kiedy po raz ostatni miałam tę kurtkę na sobie? Tego ranka, kiedy pojechałam na pogotowie.

Poczułam, jak skręcają mi się wszystkie wnętrności.

Recepta. Recepta na środki przeciwbólowe, której nie miałam zamiaru realizować. Włożyłam ją do kieszeni.

O, cholera.

Czy wyjęłam ją później? Czy wyrzuciłam ją i o tym zapomniałam? Wiedziałam, że nie.

Zrobiło mi się niedobrze.

Oparłam się o ścianę i starałam się myśleć spokojnie, pamiętając o równym oddechu. Na recepcie było moje prawdziwe nazwisko, Elena Estes, nie Elle Stevens. Dla Van Zandta nic ono nie znaczy. Chyba że widział zdjęcie w „Sidelines”. Zdjęcie z opisem informującym, że jeżdżę konno po farmie Seana Avadona. A jeśli tak się stało, ile czasu minie, zanim dopasuje wszystkie elementy układanki?

Głupi, niepotrzebny błąd.

Jeśli policjanci zapukają do moich drzwi, zaprzeczę, że byłam w Sag Harbor Court. Powiem, że zgubiłam kurtkę na terenach pokazowych. Nie znajdę świadka, który mógłby potwierdzić moje alibi. Ale - zapytam urażonym tonem - czemu, na miłość boską, miałabym potrzebować alibi? Przecież nie jestem przestępcą. Jestem porządnym obywatelem, dobrze wykształconym, z kupą forsy na

koncie. Nie jakimś ćpunem, który musi włamywać się do cudzych domów, by w ten sposób zarobić na następną działkę.

A oni pokażą moje zdjęcie Van Zandtowi, pytając, czy mnie rozpoznaje, i będą miała przesrane.

Do diabła, czemu Landry nie dzwoni? Zadzwoiłam ponownie na jego pager, jeszcze raz zostawiłam numer budki, tym razem dołączając dziewięćset jedenaście na końcu. Rozłączyłam się i zaczęłam chodzić w kółko.

Cholera, cholera, cholera. Miałam ochotę walić głową w betonową ścianę.

Nie ośmieliłabym się teraz wracać do domu Van Zandta. Mogłabym wprowadzić wykapać się, przebrać, zapukać do jego drzwi i udawać urażoną tym, że wystawił mnie do wiatru, nie przychodząc na umówioną kolację. Oświadczyłabym, że miałam nadzieję znaleźć go w domu i dać upust mojej złości. Nie mogłam jednak ryzykować, że rozpozna mnie ta kobieta lub że zrobi to sam Van Zandt, jeśli siedział wtedy przy niej w samochodzie. Na razie bałam się nawet wrócić do swojego samochodu.

Co za wpadka. Miałam takie dobre intencje, a istniało duże prawdopodobieństwo, że swoimi działaniami doprowadziłam do utraty koronnego dowodu i zdemaskowałam się przed Van Zandtem, a w takim razie i przed całą szajką Jade'a.

I dlatego właśnie nie powinnam była w ogóle brać się za tę sprawę - powiedział cichy, złośliwy głos w mojej głowie. Jeśli zbrodnia ujdzie mordercy na sucho, będą to miała na swoim sumieniu.

Spadnie na mnie kolejny ciężar. A jeżeli skutek tego wszystkiego coś przytrafi się Erin...

Dlaczego, do jasnej cholery, Landry dotąd nie zadzwonił??

Pieprzyć go, mruknęłam pod nosem. Podniosłam słuchawkę i wykręciłam dziewięćset jedenaście.

XXVI

Telefon po drugiej stronie pozostał bez odpowiedzi. Landry zaklął i się rozłączył. Dziewięćset jedenaście na końcu numeru kazało mu pomyśleć, że to Estes,

która zapewne wpadła aż po swój zgrabny tyłek w nie wiadomo jakie tarapaty. Mógł się spokojnie założyć, że nie została w domu i nie poszła do wanny z książką.

Nieźla była. Wydawało jej się, że pójście na kolację z potencjalnym seryjnym zabójcą to nic wielkiego. Landry pomyślał, że chyba jednak przesadnie zareagował na ten plan. Estes była w końcu gliniarzem - przynajmniej kiedyś. Nie znał też kobiety, która w mniejszym stopniu potrzebowałaby ochrony mężczyzny. On jednak czuł potrzebę zapewnienia jej ochrony. Jej niemal całkowity brak instynktu samozachowawczego wyzwał w nim silne uczucia opiekuńcze - wydawała mu się bezbronna. Nie mógł przestać myśleć, jak rzuca się na ciężarówkę Golama i próbuje wyrwać mu kierownicę z rąk... Jak spada pod ten cholerny wóz... I jak Golam ciągnie ją za sobą po asfalcie, niczym szmacianą lalkę.

Nie myślała o sobie, nie obchodziło jej, co się z nią stanie. I z pewnością nie była mu wdzięczna, że przejmował się nią. Wciąż pamiętał wyraz jej oczu, gdy patrzyła, jak dzwoni do Weissa i mówi mu, by zgarnął Van Zandta. Były pełne złości, bólu i zawodu - a wszystko to pod zewnętrzną powłoką bezwzględnej obojętności.

Stał w holu przed salą, w której przed chwilą zakończyła się sekcja zwłok Jill Morone. Prosto z przesłuchania Van Zandta przybiegł tutaj, by wypytać koronera o rezultat badania.

Van Zandt nie przekazał mu nic poza własną frustracją, przez piętnaście minut rozwodząc się nad niższością amerykańskiego systemu sprawiedliwości, po czym skorzystał ze swojego prawa do adwokata. I na tym zakończyło się przesłuchanie. Nie mieli nic, by uzasadnić konieczność aresztowania. A - jak ktoś mu ostatnio powiedział - bycie dupkiem nie jest niezgodne z prawem.

Tak naprawdę pokpił sprawę, ściągając Van Zandta na posterunek tak wcześnie. Gdyby zaczął przynajmniej na wyniki autopsji, miałby w zanadrzu parę faktów, które mógłby rzucić Van Zandtowi w twarz. A jeśli odrobinę podkoloryzowałby swoje podejrzenia i udałoby mu się go trochę przestraszyć, to - kto wie - może Van Zandt powiedziałby coś, czego teraz już z niego nie wyciągnie.

Landry powtórzył sobie, że powinien lepiej kontrolować sytuację i nie pozwolić, by Elena jeszcze bardziej przyczyniała się do całego zamieszania.

Ciekawe, w co wplątała się tym razem. W nic dobrego, to wiedział na pewno.

Będzie chciała poznać szczegóły z sekcji zwłok. Będzie chciała usłyszeć, że twarz Jill Morone została wciśnięta w podłogę boksu. Że w jej gardle, ustach i nosie znaleziono trociny i kawałki końskiego nawozu. Zmarła wskutek zadławienia. Ręka, która objęła jej szyję, naciskała na nią tak mocno, że na szyi pozostały sine ślady. Przez moment próbowała się bronić, łamiąc kilka paznokci. Ale nie znaleziono pod nimi żadnych pozostałości naskórka, krwi czy czegokolwiek innego.

Według Landry'ego to nie miało sensu. Jeśli walczyła na tyle zacięcie, by połamać paznokcie, coś powinno pod nimi być. Przygnieciono ją twarzą do podłogi. Powinni znaleźć przynajmniej fragmenty ściółki, ślady nawozu, które na pewno utkwily pod paznokciami, gdy próbowała odepchnąć się od ziemi. Ale nie było nic.

I chociaż jej ubranie było porwane w sposób, który sugerował czynności seksualne, ani na jej ciele, ani w środku nie znaleziono spermy. Dowody świadczące o gwałcie były bardzo nikłe. Zadrapania na udach i wargach sromowych owszem, ale żadnych otarć ani ran wewnątrz pochwy. Albo napastnik użył kondoma, albo stracił erekcję i nie był w stanie dokończyć aktu. A może próba gwałtu została upozorowana później, po to, by zwykle morderstwo wyglądało na coś innego.

Landry mógłby wykorzystać całą tę wiedzę przeciwko Van Zandtowi, zanim ten zażyczył sobie obecności prawnika. Szczególnie przydatna mogła się okazać informacja o prawdopodobnym nieudanym gwałcie. Mógł wprost zaatakować ego Van Zandta, wydrwić go i wyśmiać. I Van Zandt by pękł. Był na tyle arogancki, że nie pozwoliłby na kwestionowanie swojej męskości i z pewnością nie utrzymałby nerwów na wodzy. Okazał się jednak na tyle cwany, by zażądać adwokata, i teraz nie było już mowy o wypytywaniu, drażnieniu i wyśmiewaniu - chyba, że w obecności prawnika.

Ale kto tak naprawdę był zbyt arogancki?

Landry wciąż jeszcze przeklinał siebie, gdy w drzwiach prosektorium ukazał się Weiss. Weiss pochodził z Nowego Jorku. Był niskim mężczyzną, który zbyt dużo czasu spędzał na siłowni; w rezultacie górna część jego ciała wyglądała na napakowaną do granic wygody. Ramiona nie przylegały do klatki piersiowej. Syndrom niskich mężczyzn.

- Co o tym sądzisz?

- Myślę, że to kurewsko dziwne, że jej paznokcie były całkiem czyste - powiedział Landry. - Jaki wariat zabija dziewczynę w miejscu praktycznie pełnym ludzi, a potem, nie spiesząc, się czyści jej paznokcie?

- Inteligentny.

- Taki, który już raz został złapany lub ma wprawę.

- Albo ogląda kanał Discovery.

- I wie, że znaleźlibyśmy jakiś dowód.

- Co oznacza, że go podrapała - podsumował Weiss. - Czy Van Zandt miał jakieś ślady na skórze?

- Nie w miejscach, które mogłem zobaczyć. Nosił golf. Na Jadzie też nic nie zauważyłem. Nie przyjrzymy się im z bliska, jeśli nie znajdziemy jakichś mocnych argumentów za tym, by ich przymknąć. Jakies wieści, czy to, co zebraliśmy w stajni, to krew?

Weiss pokręcił głową, przewracając oczami.

- Jest sobotnia noc. Gdyby nie to, że doktor Felnick gości akurat swoich teściów, nie mielibyśmy dzisiaj nawet sekeji.

- Myślę, że jednak tak - odparł Landry. - Szefowie centrum jeździeckiego mają wysoko postawionych znajomych. Chcą, by ta sprawa została rozwiązana i zapomniana tak szybko, jak to tylko możliwe. Morderstwo źle działa na morale bogatych klientów.

- Przecież nie można zostać zamordowanym w Wellington.

- Po to trzeba się udać do West Palm.

- A co z tą sprawą koni wypuszczonych ze stajni czwartkowej nocy? - zapytał Weiss. - Myślisz, że ma to jakiś związek z morderstwem?

Landry zmarszczył brwi na wspomnienie siniaków na plecach Estes, choć tamtej nocy ledwo je zauważył - jego uwagę przyciągnęły blizny i szwy po przeczepach skóry.

Dostała wtedy niezłe lanie. Nie wspomniała jednak o żadnym podtekście seksualnym. Przyłapała kogoś na gorącym uczynku, jak wypuszczał konie z boksów. Była w złym miejscu o zlej porze. Teraz pomyślał, że Elena jednak miała szczęście - Jill znalazła się w takiej samej sytuacji, zaledwie dwa namioty dalej.

- Nie wiem - odpowiedział. - Co mówią ludzie z ochrony?

- Nic. Ich zdaniem to miejsce jest praktycznie wolne od przestępstw. Raz na jakiś czas zdarza się drobna kradzież. Żadnych poważnych zbrodni.

- Cóż, teraz w końcu mają coś poważniejszego. Estes twierdzi, że nie podobał jej się ten strażnik, którego spotkała tamtej nocy. Rozmawiałem z nim następnego dnia. Też nie przypadł mi do gustu. Miałem zamiar go sprawdzić, ale później...

- Estes? - Weiss popatrzył na niego, jakby się przesłyszał.

- Ofiara - wyjaśnił Landry.

- Jak ma na imię?

- A jakie to ma znaczenie? - obronnym tonem zapytał Landry.

- Nie Elena Estes przypadkiem?

- A jeśli tak, to co?

Weiss pokręcił głową, a jego potężna szyja chrupnęła przy tym tak, jakby ktoś miażdżył kości ciężkimi butami.

- To, że Estes oznacza problemy. Wielu ludzi cieszyłoby się, gdyby to ona teraz leżała na tamtym stole - powiedział, ruchem głowy wskazując na drzwi do prosektorium.

- I ty do nich należysz?

- Hector Ramirez był świetnym facetem. A ta suka sprawiła, że odstrzelili mu głowę. I ja mam z tym problem - powiedział Weiss, jeszcze bardziej się nadymając, tak, że jego ramiona uniosły się kolejny centymetr w górę. - Co ona tu robi? Słyszałem, że podkuliła ogon i weszła do swojej nory.

- Nic mi o tym nie wiadomo - warknął Landry. - Tkwi w tym po uszy, bo stara się komuś pomóc.

- Tak? Ja nie potrzebuję jej pomocy. Porucznik wie, że ona ma z tym coś wspólnego?

- Och, na miłość boską! Co to jest, Weiss? Przedszkole? Naskarżysz na nią? - sarkastycznie rzucił Landry. - W czwartek stłukli ją na kwaśne jabłko. Ciesz się z tego i skup się na swojej robocie. Mamy tu martwą dziewczynę, a drugą zaginęła.

- Czemu tak jej bronisz? - oskarżycielsko zapytał Weiss. - Pieprzysz się z nią czy co?

- Nie bronię jej. Prawie jej nie znam, a to, czego zdążyłem się dowiedzieć, sprawia, że już jej nie lubię. Po prostu robię, co do mnie należy. Czy od teraz mamy sobie wybierać ofiary? Ominęło mnie jakieś zebranie? Mam sobie zrobić wakacje na łódce do czasu, gdy znajdę ofiarę, którą uznam za godną moich

usług? Powiem szczerze, że to zdecydowanie umiliłoby mi pracę. Żadnych dziwek, białej biedoty...

- Nie podoba mi się po prostu, że ona jest zamieszana w tę sprawę - przerwał mu Weiss.

- I co z tego? Mnie też się nie podoba, że dziewczyna na tamtym stole została właśnie pokrojona jak kawałek wołowiny. Nie podoba ci się robota, to idź i zaczynij jeździć taksówką - powiedział Landry, odwracając się i zmierzając do wyjścia. - jeśli masz wątpliwości, czy nadajesz się do tej sprawy, powiedz o tym szefowi i zrób miejsce komuś, kto sobie poradzi.

Jego pager znów zadzwonił. Zaklął, sprawdził numer na wyświetlaczu i wrócił do telefonu, by oddzwonić.

- Tu Landry.

Wysłuchiwał wiadomości o anonimowym telefonie, w którym ktoś podał dokładną lokalizację dowodu rzeczowego w sprawie morderstwa Jill Morone. Szafka kuchenna w rezydencji zajmowanej przez Tomasa Van Zandta.

- Decyduj się, Weiss - powiedział, odwiesiwszy słuchawkę telefonu.

- Ja idę załatwić nakaz rewizji.

Nie mogłam sprawdzić, jaki efekt wywołał mój telefon na policję. Operatorka długo męczyła mnie pytaniami, najwyraźniej myśląc, że to jakiś żart, i starając się przetrzymać mnie przy słuchawce do czasu, gdy dotrze do mnie policyjny radiowóz. Staralam się nadać głosowi stanowczy ton i upierałam się przy tym, że wiem, iż Van Zandt zamordował „moją przyjaciółkę” Jill Morone w centrum jeżdżieckim i że detektyw Landry znajdzie zakrwawioną koszulę Van Zandta w szafce kuchennej w domu Lorindy Carlton, którego dokładny adres w Sag Harbor Court podałam operatorce. Opisałam koszulę najdokładniej, jak umiałam, po czym odwiesiłam słuchawkę, starłam z niej odciski palców i siadłam na ławce naprzeciwko chińskiej restauracji. Policjant pojawił się w okolicy budki telefonicznej chwilę później.

Miałam nadzieję, że informacja dotrze do Landry'ego. Jednak nawet jeśli tak się stanie, a Landry postanowi podjąć jakieś działania, minie dużo czasu, zanim uda mu się wejść do domu Van Zandta.

Nakaz rewizji nie jest czymś, co policjant może po prostu wydrukować na własnym komputerze. Nie wystarczy też, by poprosił o nakaz swego szefa. Musi

złożyć pisemne oświadczenie, w którym wymieni powody swojej prośby, szczegółowo opisze, co zamierza znaleźć, i określi prawdopodobny wynik przeszukania. Jeśli chce przeprowadzić rewizję w nocy, musi dodatkowo uzasadnić, że istnieje poważne ryzyko zniszczenia dowodów lub popełnienia kolejnej zbrodni, w innym bowiem wypadku zostanie z dużym prawdopodobieństwem oskarżony o nękanie obywateli. Oświadczenie zostaje przedstawione sędziemu, który decyduje o przyznaniu - bądź nie - stosownego zezwolenia.

To wszystko zabiera dużo czasu - czasu, w którym podejrzany może zakopać dowód, spakować się i uciec.

Czy Van Zandt był w samochodzie z kobietą? Nie umiałam tego stwierdzić. Pamiętałam, że samochód był ciemnego koloru, nie miałam jednak czasu, by zwrócić uwagę na markę i model. Mógł to być mercedes, którego Van Zandtowi użyczył Trey Hughes na czas trwania sezonu zimowego. A mógł to być całkiem inny wóz. Założyłam, że kobietą była Lorinda Carlton.

Miałam nadzieję, że jeśli ten, kto mnie widział, zauważył w mojej ręce koszulę, to pomyślał, że zabrałam ją ze sobą.

Spojrzałam na zegarek i zastanowiłam się, czy w okolicy domu Van Zandta i mojego samochodu chodzą teraz policjanci i pukają do sąsiednich domów. Gdybym po prostu pojawiła się tam z kluczykami do bmw w ręce, czy zadawano by mi jakieś pytania? Poszłam na stację benzynową, skorzystałam z toalety i nieco się odświeżyłam. Znow popatrzyłam na zegarek. Od czasu, gdy skakałam przez żywopłot, minęła ponad godzina.

Okreźną drogą wróciłam do Sag Harbor Court. Nie zobaczyłam tłumu gliniarzy i radiowozów z włączonymi kogutami. Zadawałam sobie pytanie, czy Carlton w ogóle wezwała policję, czy może głos syren, który słyszałam, rozlegał się w całkiem innym miejscu. Zastanawiałam się, kiedy na miejscu pojawił się Van Zandt, i czy możliwe było, że odwiódł Carlton od pomysłu wzywania glin, gdyż nie chciał, by banda mundurowych kręciła mu się po domu.

Nie umiałam odpowiedzieć sobie na te pytania. Wciąż jeszcze dostawałam gęsiej skórki na myśl, że ktoś mógłby odkryć, że to ja byłam w domu Van Zandta, i wolałam czym prędzej opuścić okolicę. Wsiadłam do samochodu i pojechałam do domu, nadkładając drogi, by przejechać przez Binks Forest.

Wzdłuż ulicy, na której stała willa Seabrightów, stało kilka samochodów. Dom był pod obserwacją pracowników biura szeryfa. W oknach paliły się światła.

Chciałam znaleźć się w środku, by sprawdzić poziom napięcia mieszkańców. I chciałam zobaczyć Molly, powiedzieć jej, że nie jest sama. Miała mnie po swojej stronie.

A ja właśnie zaliczyłam wpadkę stulecia, ryzykując, że zostanę zdemaskowana i że przypadnie dowód rzeczowy wiążący Van Zandta z morderstwem.

Tak, to z pewnością by ją pocieszyło. Pokazało, że stoję po jej stronie.

Wściekła i załamana pojechałam do domu - zebrać nowe siły i czekać na najgorsze.

- To skandal! To się w głowie nie mieści! - ciskał gromy Van Zandt. - Toż to prawdziwe państwo policyjne!

- Nie sądzę - odpowiedział mu Landry. - Gdyby faktycznie policja rządziła tym krajem, lepiej bym zarabiał.

- Jak ktokolwiek mógł pomyśleć, że Tommy zrobiłby coś tak okropnego? - włączyła się Lorinda Carlton.

Lorinda wyglądała na osobę, która w przeszłości bardzo chciała być hipisem, ale rodzice posiali ją do szkoły z internatem. Była po czterdzieście, nosiła długie włosy zaplecione w warkoczyki i koszulkę z jakimś bzdurnym hasłem w klimacie New Age. Z pewnością uważała, że wywodzi się z linii indiańskich szamanów albo że w poprzednim życiu była mieszkanką starożytnego Egiptu.

Stanęła za Van Zandtem i próbowała chwycić go za ramię. Odepchnął jej dłoń. Słodki Tommy.

- To nawet nie jest mój dom - powiedział. - Jak możecie wkraczać w taki sposób na teren posiadłości Lorindy?

Weiss po raz kolejny pokazał mu nakaz, odchylając głowę tak, by móc udawać, że patrzy z góry na faceta pół metra wyższego od siebie.

- Umie pan czytać po angielsku? Tu jest jej nazwisko i adres.

- On tu mieszka, tak? - zapytał Landry, wskazując na Van Zandta.

- To mój przyjaciel - kobieta odpowiedziała dramatycznie rozdartym głosem.

- Tak. Może pani to jednak przemyśli.

- To najwspanialszy, najmiłszy człowiek, jakiego znam.

Landry prawie złapał się za głowę. Ta kobieta powinna mieć słowo „ofiara” wytatuowane na czole. Jej mały, paskudny piesek kręcił się pod nogami, warcząc i poszczekując. Wyglądał jak mały, owłosiony pocisk z zębami. Bez wątpienia gryzł, gdy tylko nadarzała się okazja.

- Nie wiem, co chcecie tu znaleźć - powiedział Van Zandt. Weiss zajrzał pod zlew.

- Zakrwawioną koszulę. Podartą, zakrwawioną koszulę.

- Skąd miałbym w domu coś takiego? I czemu miałbym trzymać ją w tym miejscu? Myślicie, że jestem idiotą?

Zaden z policjantów nie odpowiedział.

Landry sięgnął, by ściągnąć z lodówki stos książek telefonicznych, i wzbil przy okazji chmurę kurzu. Anonimowy rozmówca powiedział wyraźnie, że koszula znajduje się w szafce kuchennej, ale Landry postarał się, by nakaz rewizji objął cały dom, spodziewał się bowiem, że Van Zandt może znaleźć i przenieść koszulę. Wyglądało na to, że tak właśnie zrobił. Przeszukali wszystkie szafki. Na górze funkcjonariusz sprawdzał szuflady, szafy i komody.

- Na jakiej podstawie dostaliście pozwolenie na rewizję? - zażądał wyjaśnienia Van Zandt. - Czy macie prawo prześladować tak wszystkich, którzy nie są obywatelami tego kraju?

- Sędzia stwierdził, że mamy wystarczające powody, by podejrzewać, iż owa rzecz znajduje się w pańskim posiadaniu, panie Van Zandt - odpowiedział mu Landry. - I mamy świadka. Wystarczy panu podstaw?

- To kłamstwo. Nie macie żadnego świadka.

Landry uniósł jedną brew.

- A skąd niby ma pan taką pewność, skoro nie był pan na miejscu zbrodni i nie zabił tej dziewczyny?

- Nikogo nie zabiłem. A poza tym, kto może wiedzieć cokolwiek o tym, co trzymam w tym domu? Nie było tu nikogo oprócz włamywacza. Ale to z pewnością was nie interesuje.

- Kiedy miało miejsce to włamanie? - mimochodem zapytał Landry, zaglądając do osłoniętej wnęki, w której stały pralka i suszarka.

- Dziś w nocy - odpowiedziała Lorinda. - Właśnie dotarłam do domu z lotniska. Ktoś był w garażu. Cricket pogonił za nim, ale włamywacz uciekł.

Pies szczeknęła na dźwięk swojego imienia.

- Czy coś zginęło?

- Z tego, co wiemy, nie. Ale to nie zmienia faktu, że ktoś się włamał do domu.

- Czy były jakieś ślady włamania?

Carlton ściągnęła brwi.

- Zadzwoń pani na policję?

Van Zandt zrobił minę.

- I co byście zrobili? Nic. Nic nie zostało zabrane. Powiedzielibyście, że mamy lepiej zamykać drzwi. Strata czasu. Powiedziałem Lorindzie, żeby nie zawracała sobie tym głowy.

- Ma pan dość stróżów prawa jak na jeden wieczór? - zapytał Landry. - Świetnie. Szkoda, że nie zastanowił się pan przez chwilę nad tym, że ta osoba być może niedawno kogoś zabiła, a dzięki panu wciąż jest na wolności.

- Powinniście ją w takim razie złapać, ale bez mojej pomocy - oświadczył Van Zandt.

- Taa. Pracujemy nad tym - powiedział Weiss, trącając Van Zandtą w drodze do salonu.

- Czy przyjrzała się pani włamywaczowi, pani Carlton? - zapytał Landry, myśląc jednocześnie, że będzie musiał zamknąć Estes w celi do czasu, gdy całe to zamieszanie się nie skończy. Gdyby Lorinda Carlton wykręciła dziewięćset jedenaście wtedy, kiedy należało, ta sprawa byłaby już załatwiona.

- Nie za bardzo - powiedziała i schyliła się, by złapać swojego psa. - Było ciemno.

- Mężczyzna? Kobieta? Biały? Latynos? Czarny?

Pokręciła głową.

- Nie wiem. Chyba biały. Ale może Latynos. Nie jestem pewna.

Drobnej budowy. W ciemnym ubraniu.

- Hmm... - mruknął Landry, przygryzając wargę. Chryste, Estes. Co ty sobie wyobrażałaś?

Zapewne to, że może znajdzie zakrwawioną koszulę. Ale została przyłapana w trakcie poszukiwań, a Van Zandt pozbył się dowodu, gdy Landry załatwił nakaz rewizji.

- Czy chce pani zgłosić włamanie?

Carlton wykonała niepewny gest, coś między wzruszeniem ramion i zaprzeczeniem.

- Cóż... Skoro nic nie zginęło...

A Van Zandt nie chciał, by policja skrupulatnie przeczesała to miejsce. Dlatego nie wezwali policji. Ale co, do cholery, myślała sobie ta kobieta? Jak mogła słuchać tego gościa, mówiącego jej, by w takiej sytuacji nie wzywać policji, jak mogła nie podejrzewać go, że ma coś do ukrycia?!

Sposób rozumowania seryjnej ofiary nigdy nie przestał go zadziwiać. Mógł się założyć, że Lorinda miała w przeszłości co najmniej jednego sadystycznego męża, a teraz dała się przekonać Van Zandtowi, że tak naprawdę dobry z niego gość, i pozwalała mu korzystać ze swojej hojności.

- Ta osoba mogła się tu dostać po to, by podłożyć dowody - zauważyła. Landry już wiedział, jak Van Zandt wyjaśnił jej obecność zakrwawionej koszuli w kuchennej szafce.

- Te dowody, których nie udaje nam się znaleźć? - zapytał Weiss.

- Poszukamy odcisków palców i sprawdzimy, czy nie należą do jakiegoś znanego nam przestępcy - powiedział Landry, patrząc na Van Zandta. - Oczywiście będziemy musieli pobrać państwa odciski, w celu eliminacji. Ten gość może okazać się seryjnym zabójcą. Może nawet jest poszukiwany na całym świecie.

Oczy Van Zandta zwięzły się. Patrzył na Landry'ego wzrokiem ostrym jak brzytwa.

- Pieprzone dupki - wykrztusił. - Dzwonię po adwokata.

- Niech pan to zrobi - powiedział Landry, przechodząc obok niego do garażu. - Niech pan wydaje pieniądze swoje albo kogokolwiek, kto funduje panu prawnika miary Berta Shapiro. Ale nawet on nie uniemożliwi nam tego przeszukania. I niech pan wie, że nawet jeśli nie znajdziemy tej koszuli, mamy próbki krwi z boksu, w którym zginęła Jill Morone. Nie jej krwi - pańskiej. W końcu się do pana dobierzemy.

- Nie mojej - oświadczył Van Zandt. - Proszę nie zapominać, że mnie tam nie było.

Landry zatrzymał się z ręką na klamce.

- W takim razie nie będzie pan miał nic przeciw temu, by poddać się oględzinom lekarskim i dowieść swojej niewinności?

- To jest napastowanie. Dzwonię do Shapiro.

- Tak jak powiedziałem - Landry uśmiechnął się paskudnie - to wolny kraj. Wie pan, co jest zabawne w tym morderstwie? Przypominało gwałt, ale w ciele nie było spermy. Lekarz nic nie znalazł. Co się stało, Van Zandt? Straciłeś na nią ochotę po tym, jak się udusiła? Wolisz, jak się rzucają i krzyczą? Czy po prostu nie chciał ci stanąć?

Van Zandt wyglądał, jakby zaraz miał eksplodować. Chwycił słuchawkę ze ściany, ale wypadła mu z ręki. Cały trząsł się z wściekłości.

Landry wyszedł. Przynajmniej zdążył mu dokopać.

Przeszukiwali posiadłość jeszcze przez czterdzieści minut - z czego dziesięć tylko po to, żeby bardziej wkurzyć Van Zandta. Jeśli kiedyś była tu jakaś zakrwawiona koszula, to znikła, zanim tu przyszli. Wszystko, co odkryli, to kolekcja pornosów i fakt, że w domu dawno nikt nie sprzątał. Landry był pewien, że czuje pechły gryzące go po kostkach.

Weiss odesłał policjanta, który im towarzyszył, i spojrzął na Landry'ego z pytającym wyrazem twarzy.

- A ten włamywacz - zagadnął Landry, gdy stali już w przedsionku. - Widzieli państwo, w którą stronę uciekł?

- Przez patio, a potem przez podwórko, wzdłuż żywopłotu - odpowiedziała Lorinda Carlton. - Cricket za nim pobiegł. Mój mały bohater. A potem usłyszałam potworny skowyt. Ten potwór musiał go kopnąć.

Pies popatrzył na Landry'ego i zawarczał. Landry też miał ochotę go kopnąć. Parszywy, zapchlony kundel.

- Rozejrzemy się tam - powiedział Landry. - Może włamywacz, uciekając, zgubił portfel. Czasem zdarza się takie szczęście.

- Nic nie znajdziecie - wtrącił Van Zandt. - Już tam byłem.

- Tak. Pewnie. Tylko nie jest pan dokładnie po naszej stronie ~ powiedział Weiss. - Sami sprawdzimy. Ale dzięki i tak.

Van Zandt uniósł się oburzeniem.

Weiss i Landry poszli do samochodu, wzięli latarkę i razem przeszukali tył rezydencji, świecąc po trawie i krzakach. Szli w kierunku wskazanym przez Lorindę Carlton, aż doszli do granicy posiadłości, nie znajdując nic poza papierkiem od gumy do żucia.

- To trochę dziwny zbieg okoliczności, że ktoś włamuje się do domu Van Zandta akurat wtedy, gdy jest on przesłuchiwany - zauważył Weiss, gdy wracali już do samochodu.

- Okazja czyni złodzieja.

- I nic nie zostaje skradzione.
 - Rabunek przerywany.
 - A tuż potem dostajemy ten dziwny anonimowy telefon...
- Landry wzruszył ramionami, otwierając drzwi samochodu po stronie kierowcy.
- Nie zaglądamy w zęby darowanemu koniowi. Lubią gryźć.

XXVII

Telefon zadzwonił o trzeciej dwanaście nad ranem.

Molly zabrała wcześniej słuchawkę z dołu do swojego pokoju i schowała ją pod gazetą na nocnej szafce. Nie wolno jej było mieć własnego telefonu, choć miały go wszystkie dziewczynki w jej klasie. Bruce uważał, że dziewczynka plus własny telefon równa się kłopoty.

Chadowi Bruce też nie pozwolił mieć telefonu, ale Molly wiedziała, że Chad ma komórkę i beepera, tak że on i jego beznadziejni kołesie mogli bez przerwy wydzwaniać do siebie, wysyłać SMS-y i sygnały, jakby byli nie wiadomo jak ważni. Bruce o niczym nie wiedział. Molly nie wydała sekretu, bo Bruce'a nie-nawidziła jeszcze mocniej niż Chada. Bruce uważał, że wszyscy domownicy, poza nim oczywiście, powinni korzystać z telefonu tylko w kuchni, gdzie każdy może słyszeć rozmowę.

Telefon zadzwonił trzy razy. Molly wpatrywała się w słuchawkę, którą kurczowo ścisnęła w dłoni, i wstrzymywała oddech. W drugiej spoconej ręczce miała dyktafon. Bała się, że Bruce prześpi telefon. Jego nie obchodziło, co stanie się z Erin. Gdy już zdecydowała się odebrać, dzwonicie ustało. Zacisnęła usta i na raz nacisnęła guzik słuchawki i dyktafonu.

Usłyszała ten sam głos, który był na kasecie wideo - przerażający, zniekształcony, jak głos z horroru. Słowa były rozwlekłe, każde z nich dobrano z rozmysłem, brzmiało metalicznie i złowieszczo. Oczy Molly napełniły się łzami.

- Złamaliście zasady. Dziewczyna poniesie karę.
- Nie rozumiem, o czym mówisz - powiedział Bruce.
- Złamaliście zasady. Dziewczyna poniesie karę.
- Nie miałem wyboru.

- Złamaliście zasady. Dziewczyna poniesie karę.
- Nie miałem wyboru. To nie ja wezwałem gliny. Co mam zrobić?
- Przynies pieniądze na miejsce. W niedzielę. O szóstej wieczorem. Żadnej policji. Bez detektywa. Tylko ty.

- Ile?

- Przynies pieniądze na miejsce. W niedzielę. O szóstej wieczorem. Żadnej policji. Bez detektywa. Tylko ty. Złamaliście zasady. Dziewczyna poniesie karę. Złamaliście zasady. Dziewczyna poniesie karę.

Rozmówca rozłączył się.

Molly wyłączyła telefon i dyktafon. Trzęsła się mocno i bała się, że zwymiotuje. „Złamaliście zasady. Dziewczyna poniesie karę”. Słowa dźwięczały bez końca tak głośno, że miała ochotę zakryć uszy rękami, by więcej ich nie słyszeć, ale to i tak by nie pomogło. Głos rozlegał się w jej głowie.

To wszystko przez nią. Myślała, że robi coś dobrego, że jest mądra. Myślała, że jest jedyną osobą, która stara się pomóc Erin. Podjęła decyzję. Poszła po pomoc. A teraz Erin mogła zginąć. I to z jej winy.

Z winy jej i Eleny.

„Złamaliście zasady. Dziewczyna poniesie karę”.

XXVIII

*W niepewną godzinę przed początkiem dnia
Prawie u kresu nieskończonej nocy**

* Przekład Maria Micielica

Dziwne rzeczy zapadają nam w pamięć, i z dziwnych powodów. Pamiętałam te linijki z wiersza Eliota, ponieważ gdy miałam osiemnaście lat i studiowałam na pierwszym roku w Duke College, obsesyjnie zabijałam się w moim wykładowcy literatury, Antonym Terrellu. Pamiętałam także gorącą dysputę na temat poezji Eliota w kafejce, nad filiżanką cappuccino. Terrell dowodził, że „Cztery Kwartety” dogłębnie eksplorują zagadnienia czasu i duchowej odnowy. Ja twierdziłam, że Eliot - jako osoba mająca na sumieniu powstanie broadwayowskiego musicalu „Koty” - zasługuje na wieczne zapomnienie.

Dowodziłabym wtedy, że słońce jest niebieskie, byle tylko móc spędzić trochę czasu w towarzystwie Antony'ego Terrella. Dyskusja była moim sposobem na flirt.

Nie myślałam jednak o Antonym, gdy siedziałam skulona na sofie i, gryząc resztki paznokcia na kciuku, wpatrywałam się w ciemność nieba tuż przed świtem. Myślałam o niepewności i o tym, co przyniesie kres niekończącej się nocy. Nie pozwoliłam sobie na kontemplację problemu duchowej odnowy. Prawdopodobnie dlatego, że byłam przekonana, iż właśnie przegrałam moją szansę na jakiegokolwiek odrodzenie.

Przeszył mnie dreszcz i zatrzęsłam się gwałtownie. Nie wiedziałam, czy dam radę żyć ze sobą, jeśli moja bezmyślność przyczyni się do utraty dowodu, który mógł wskazać na Van Zandta jako winnego morderstwa. A jeśli dodatkowo był zamieszany w porwanie Erin, a ja zaprzepąściłam szansę, by został o coś oskarżony i w toku przesłuchań podał informację na temat miejsca jej pobytu...

To dziwne. Dopóki nie usłyszałam o Erin, nie wiedziałam, jak żyć ze sobą po spowodowaniu śmierci Hectora Ramireza. Teraz zależało mi na rozwiązaniu tego problemu.

Nie wiem, w którym momencie całego zamieszania do mojej świadomości tylnymi drzwiami wkradła się nadzieja. Gdyby zapukała, gdybym wiedziała, że przychodzi, odeгнаłabym ją tak, jak zbywa się misjonarza domokrażcę. „Dziękuję bardzo, nie potrzebuję tego, z czym do mnie przychodzisz”.

„Nadzieja” jest tym upierzonym

Stworzeniem na gałązce

Duszy - co śpiewa melodie

*Bez słów i nie milknące -**

Emily Dickinson

* Przekład Stanisław Barańczak.

Nie chciałam dla siebie nadziei. Chciałam po prostu trwać.

Trwanie to egzystencja nieskomplikowana. Stawianie kroku za krokiem. Jęzzenie, spanie, funkcjonowanie. A życie, prawdziwe życie, ze wszystkimi emocjami i ryzykiem, jakie ze sobą niesie, to ciężka praca. Każda chwila może

zmienić się równie dobrze w sukces, jak i w porażkę. Każda emocja znajduje przeciwwagę w swoim przeciwieństwie. Strach nie mógłby istnieć bez nadziei, a nadzieja bez strachu. Nie chciałam doznawać żadnego z tych uczuć. Moim udziałem były obydwie.

Spojrzałam za okno. Na horyzoncie wstawał świt. Różowe pasmo oddzielające noc od ziemi przecięła lecąca czapla. Zanim zdążyłam uznać to za jakiś omen, wstałam i poszłam do sypialni, by przebrać się w strój do jazdy.

Policja nie dobijała się do moich drzwi w środku nocy, by wyjaśnić sprawę kurtki znalezionej w rezydencji Lorindy Carlton i Tomasa Van Zandta. Pojawiło się zatem pytanie: skoro kurtki nie znalazła policja, to kto? Czy pies zawłókł ją pod nogi Carlton jak trofeum wyniesione z bitwy? A może Carlton lub Van Zandt podążyli moim śladem i znaleźli ją na trawniku? Jeśli wreszcie w posiadaniu Van Zandta znalazła się recepta z moim nazwiskiem, jakie będą tego konsekwencje?

Niepewność to piekło każdego tajniaka. Zbudowałam domek z kart, prezentując się w dwóch środowiskach jako całkowicie inna osoba. Nie żałowałam decyzji o podjęciu tego zadania. Znałam związane z nim ryzyko. Sztuka polegała na tym, by teraz coś zyskać dla siebie, zanim misterna konstrukcja się posypie i karty polecą na wszystkie strony. Tymczasem nie czułam się ani trochę bliżej znalezienia Erin Seabright, a jeśli zdemaskowałam się przed ludźmi z centrum jeździeckiego, to możliwość dalszego działania właśnie się dla mnie skończyła - i zawiodłam Molly.

Nakarmiłam konie, rozważając, czy powinnam zadzwonić do Landry'ego, czy raczej poczekać, aż on odezwie się do mnie. Chciałam wiedzieć, jak poszło przesłuchanie Van Zandta i czy przeprowadzono sekcję zwłok Jill Morone. Nie wiem, dlaczego w ogóle sądziłam, że będzie chciał cokolwiek mi powiedzieć po tym, co zrobił poprzedniej nocy.

Stałam naprzeciw boksu Feliki, czekając, aż skończy jeść śniadanie. Klacz była mizernej postury i miała nieproporcjonalnie dużą głowę, ale siłą i pewnością siebie mogła równać się ze słoniem. Niejednokrotnie pokonywała zgrabniejsze od siebie zwierzęta i byłam pewna, że gdyby tylko potrafiła, pokazywałaby w takich momentach swym rywalom środkowy palec.

Postawiła uszy, potrząsnęła grzywą i popatrzyła na mnie, jakby chciała zapytać „I na co tak się gapisz?”.

Mimo woli zaśmiałam się - miłe zaskoczenie pośród morza nieprzyjemności. Z kieszeni wygrzebałam miętówkę. Na dźwięk odwijanego papierka zastrzygła uszami i wystawiła głowę za drzwi boksu, starając się wyglądać jak najwzdzięczniej.

- Niezłe z ciebie ziółko - powiedziałam.

Delikatnie wzięła smakołyk z mojej dłoni i od razu go schrupała. Podrapałam ją po szyi i wtedy już całkiem się rozplynęła.

- Tak - wymruczałam jej do ucha, gdy ona obwąchiwała mnie w poszukiwaniu jeszcze jednego cukierka. - Przypominasz mi mnie, ale ja nie mam nikogo, kto dawałby mi cokolwiek poza zmartwieniami.

Dźwięk samochodu wjeżdżającego na podjazd kazał mi wyjrzeć na zewnątrz. Przed stacją zatrzymał się srebrny pontiak.

- O wilku mowa - powiedziałam do klaczy. Nerwowo popatrzyła na samochód Landry'ego. Jak wszystkie klacze alfa, Feliki zawsze uważnie przypatrywała się obcym i błyskawicznie reagowała na niebezpieczeństwo. Obróciła się w kółko w swoim boksie, kwiknęła i kopnęła w ścianę.

Nie wyszłam Landry'emu na spotkanie. Równie dobrze on mógł podejść do mnie. Zamiast tego wyprowadziłam d'Artagnana z boksu do stanowiska, w którym oporządzaliśmy konie. Kątem oka obserwowałam, jak zbliża się Landry. Po jego stroju poznałam, że wybiera się do pracy. Poranna bryza ziała mu czerwony krawat na ramię.

- Wstałaś dość wcześnie jak na kogoś, kto wczoraj chodził na nocne łowy - powiedział.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - wzięłam do ręki szczotkę i zaczęłam czyścić sierść d'Artagnana pobieżnie, w sposób, jaki z pewnością doprowadziłby Irinę do pasji. Mogłam sobie wyobrazić, jak by mi wymyślała i klęła po rosyjsku - gdyby akurat dziś nie wypadła jej dzień wolny.

Landry stał oparty o słup, z rękami w kieszeniach. - I nie wiesz nic o włamaniu do domu Lorindy Carlton - domu, w którym mieszka Van Zandt?

- Nie. Co się stało?

- Dostaliśmy anonimowy telefon informujący o ukrytym tam dowodzie rzeczowym, który wiąże go z morderstwem Jill Morone.

- Wspaniale. I co? Znaleźliście go?

- Nie.

Poczułam ukłucie w sercu. Tylko jedna wiadomość mogłaby być gorsza - że znaleźli ciało Erin. Miałam nadzieję, że nie będzie to następna rzecz, jaką powie mi Landry.

- I ciebie tam nie było.

- Mówiłam ci, że idę do łóżka z książką.

- Mówiłaś, że idziesz do wanny z książką - poprawił mnie. - To nie jest odpowiedź.

- Bo nie zadałeś pytania. To było stwierdzenie.

- Dobrze. Czy byłaś wczoraj w nocy w rezydencji Lorindy Carlton?

- A czy masz powody, by mnie podejrzewać? Znalazłeś moje odciski palców? Coś, co mogło wypaść tylko z mojej kieszeni? Masz nagrania z kamer? Świadka?

- Wstrzymałam oddech, niepewna, jakiej odpowiedzi obawiam się najbardziej.

- Włamywanie się i wchodzenie do cudzego domu to przestępstwo.

- Wiesz, wydaje mi się, że pamiętam to jeszcze z czasów, gdy byłam na służbie. Były jakieś ślady włamania?

Nie wyglądał na rozbawionego moją celną ripostą.

- Van Zandt zdążył wrócić do domu, zanim dostałem nakaz. Jeśli koszula tam była, miał dużo czasu, by się jej pozbyć.

- Jaka koszula?

- Niech cię szlag, Estes.

Chwycił mnie za ramię i obrócił do siebie, płosząc d'Artagnana. Wałach szarpnął się i uderzył o poprzeczkę, skoczył do przodu, opadł na ziemię i cofnął się.

Uderzyłam Landry'ego mocno w klatkę piersiową, co przypominało walenie pięścią w pustak.

- Uważaj, co robisz, na litość boską - syknęłam na niego.

Puścił moje ramię i zrobił krok do tyłu, raczej ze strachu przed d'Artagnanem niż przede mną. Podeszłam do konia, by go uspokoić. D'Ar popatrzył podejrzliwie na Landry'ego, jakby nie był pewny, czy uspokajanie jest faktycznie mądrym posunięciem. On wybrałby zapewne paniczną ucieczkę.

- Nie spałem ani minuty - powiedział Landry w ramach przeprosin. - Nie jestem w nastroju do słownych igraszek. Nie zostałeś odpowiednio poinformowana o swoich prawach, więc nic, co powiesz, nie może zostać użyte przeciwko tobie. Poza tym ani Van Zandt, ani ta durna kobieta nie wniosą sprawy, gdyż -

jak zapewne wiesz - nic nie skradziono. Chcę wiedzieć, co tam zobaczyłaś.

- Jeżeli pozbył się dowodu, nie ma to już znaczenia. Poza tym jestem pewna, że miałaś dokładny opis tej rzeczy, bo inaczej nie dostałbyś nakazu. A może wyciągnęłaś z niego coś na przesłuchaniu? Ale wtedy byłbyś chyba na tyle mądry, żeby zatrzymać go aż do zdobycia nakazu.

- Nie było przesłuchania. Wezwał adwokata.

Zdjęłam uprząż d'Artagnana z haka i podeszłam, by mu ją założyć.

- Kogo?

- Berta Shapiro.

To ciekawe. Bert Shapiro stał na równi z moim ojcem, jeśli chodzi o liczbę nieprzyzwoicie bogatych klientów. Zastanowiłam się, który z wdzięcznych przyjaciół płacił rachunek Van Zandta.

- To bardzo niedobrze - powiedziałam. Szczególnie dla mnie. Shapiro znał mnie od urodzenia. Jeśli Van Zandt pokazał mu receptę, to już po mnie. - Szkoda, że nie zczekałeś z przesłuchaniem do czasu uzyskania wyników autopsji. Miałbyś w rękę coś, czym mógłbyś go podrażnić, zanim wypowiedział magiczne słowo na a.

Poruszyłam drażliwy temat, poznałam to po napinających się mięśniach jego twarzy.

- Czy autopsja wykazała coś interesującego? - zapytałam.

- Gdyby tak było, to nie stałbym teraz tutaj, tylko siedział w pokoju przesłuchań, wałkując tego gościa, z prawnikiem czy bez.

- Trudno mi sobie wyobrazić, że Van Zandt jest na tyle sprytny, by udało mu się zatuszować morderstwo.

- Chyba że ma jakieś wcześniejsze doświadczenia.

- Na niczym go nie przyłapano.

Wybrałam białą derkę z monogramem Seana wyhaftowanym na boku, przerzuciłam ją przez grzbiet d'Artagnana, podniosłam jego siodło ze stojaka i umieściłam je we właściwym miejscu. Czulałam, jak w Landrym narasta napięcie, gdy patrzy na mnie - a może było ono tylko we mnie.

Chodziłam naokoło konia, regulując popręg - w wypadku d'Artagnana czynność tę należało wykonywać ostrożnie i powolutku, gdyż, jak określała to Irina, był on niezwykle delikatnym kwiatuszkiem. Gdy już zaciągnęłam popręg, zapinając go na pierwszą dziurkę, schyliłam się, by założyć mu ochraniacze na nogi.

Patrzyłam, jak Landry przesuwają stopy, nerwowo zmieniając pozycję.

- Seabrightowie odebrali kolejny telefon - wydusił z siebie w końcu. - Porywacz powiedział, że dziewczyna będzie ukarana, bo Seabright złamał zasady.

- O Boże - usiadłam na piętach. - Kiedy dzwonił?

- W środku nocy.

Po mojej wpadce w domu Van Zandta. Po tym, jak Landry skorzystał z nakuwu rewizji.

- Wysłałeś kogoś, by obserwował Van Zandta?

Landry pokręcił głową.

- Porucznik nie może na to pozwolić. Shapiro już przez tę rewizję oskarża nas o nękanie jego klienta. Nic na niego nie mamy. Jak byśmy uzasadnili obserwację?

Potarłam dłonią czoło.

- To świetnie. Po prostu wyśmienicie.

Van Zandt mógł zatem robić, co mu się żywnie podobało. Ale nawet gdyby nie mógł, wiedzieliśmy, że przecież nie zorganizował sam porwania. Jedna osoba trzymała kamerę, druga zgarnęła dziewczynę. Nic nie mogło powstrzymać jego współnika od wyrządzenia krzywdy Erin, nawet gdyby Van Zandt pozostawał pod obserwacją dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Skrzywdzą ją dlatego, że wciągnęłam w to ciebie - powiedziałam.

- Po pierwsze, wiesz równie dobrze jak ja, że dziewczyna może już nie żyć. Po drugie, postąpiłaś jak należało, i to też wiesz. Bruce Seabright nie kiwnąłby palcem.

- Marna pociecha.

Podniosłam się i oparłam o szafkę ze sprzętem, ciasno splatając ręce na piersi. Gdy pomyślałam o tym, co teraz może dziać się z Erin, znów przeszedł mnie dreszcz. Erin Seabright będzie cierpieć z powodu moich decyzji i działań. Jeśli jeszcze żyje.

- Ustalili kolejną datę wypłacenia okupu - powiedział Landry. - Jeśli dopisze nam szczęście, złapiemy jego współnika jeszcze dziś.

Jeśli dopisze nam szczęście.

- Gdzie i kiedy?

Wystarczyło, by na mnie spojrział: za szklami okularów przeciwsłonecznych oczy pozbawione wyrazu, kamienny wyraz twarzy.

- Gdzie i kiedy? - zapytałam jeszcze raz, podchodząc do niego.

- Nie możesz tam iść, Elena.

Zamknęłam na chwilę oczy, dobrze wiedząc, dokąd zmierza ta rozmowa.

- Nie, to ty nie możesz mnie teraz odsunąć.

- To nie zależy ode mnie. Akcją kieruje mój szef. Myślisz, że on pozwoli ci się przyłączyć? A nawet jeśli mógłbym podjąć decyzję, myślisz, że bym cię dopuścił? Po tym popisie, który odstawiałaś wczorajszej nocy?

- Dzięki temu popisowi znalazłam podartą, poplamioną krwią koszulę w domu faceta podejrzanego o morderstwo!

- Koszulę, której nie mamy.

- To już nie moja wina.

- Dałaś się złapać.

- Nie doszłoby do tego, gdybyś ty nie przeżył muskułów i nie zgarnął Van Zandta za wcześniej - zaprotestowałam. - Pewnie wyciągnęłabym coś z niego w czasie kolacji. A ty miałbyś go dla siebie po sekcji zwłok. Mógłbyś go wtedy przytrzymać dłużej, zdobyć nakaz i samemu znaleźć koszulę. Ale nie, nie mogłeś tego tak rozegrać. I teraz gość biega wolno.

- Aha. Więc to moja wina, że włamałaś się do tego domu? - z niedowierzaniem zapytał Landry. - Domyślam się więc, że Hector Ramirez też sam był sobie winny, że wpakował się wprost na tamtą kulkę?

Zachłysnęłam się powietrzem, jakby uderzył mnie w twarz. Instynktownie chciałam się cofnąć, ale zdołałam pozostać na miejscu.

Przez długą, straszną chwilę staliśmy, gapiąc się na siebie, a ciężar słów wiślał w powietrzu. Potem obróciłam się, powoli i z rozważą, podeszłam do d'Artagnana i wróciłam do zakładania mu ochraniaczy.

- Jezu - wymamrotał Landry. - Przepraszam. Nie powinienem był tego mówić.

Nic nie powiedziałam. Skupiłam się na zapinaniu pasków, starannie je zaciągając.

- Przepraszam - powtórzył. - Ale ty po prostu doprowadzasz mnie do szaleństwa...

- Nie zwalaj tego na mnie - powiedziałam, zwracając twarz w jego stronę. - Mam na sumieniu wystarczająco dużo własnych win. Niepotrzebne mi twoje.

Popatrzył w bok, zawstydzony. Mogłam sobie darować tę małą wygraną. Odniosłam ją zbyt dużym kosztem.

- Jesteś skurwysynem, Landry - powiedziałam bez złości. Tym samym tonem mogłam powiedzieć, że ma krótkie włosy. Proste stwierdzenie faktu.

Kiwnął głową.

- Tak. Czasami jestem.

- Nie musisz przypadkiem zorganizować zrzucenia okupu? Bo ja mam tu konia, na którym chciałabym pojeździć.

Nie ruszył się z miejsca.

- Muszę ci zadać jeszcze jedno pytanie - powiedział. - Czy sądzisz, że współnikiem Van Zandta może być Don Jade? Mam na myśli porwanie.

Zastanowiłam się nad tym.

- Van Zandt i Don Jade byli powiązani ze Stellarem - koniem, który został zabity. Obydwaj dużo zarobią, jeśli Trey Hughes kupi tego skoczka z Belgii.

- W pewnym sensie i tak są więc partnerami?

- W pewnym sensie tak. Jade chciał się pozbyć Jill Morone, bo była leniwa i głupia, a może dlatego, że wiedziała coś o Stellarze. Erin była osobistą stajenną tego konia i również mogła wiedzieć za dużo. Czemu pytasz? Masz coś na Jade'a?

Zastanawiał się, czy podzielić się ze mną swoją wiedzą. W końcu wziął głęboki oddech, wypuścił powietrze i skłamał. Czulałam to. Poznałam po jego oczach, które nagle stały się puste i niewidzące. Oczy gliniarza.

- Nie... Staram się tylko połączyć wszystkie punkty - powiedział. - Jak na mój gust za dużo w tej sprawie przypadkowych powiązań i zbiegów okoliczności.

Potrząsnęłam głową i na wspomnienie Seana, który próbował nas swatać, uśmiechnęłam się moim gorzkim, ironicznym półuśmiechem. Tak, ja i Landry, para z piekła rodem.

- No dobrze, co w końcu wykazała sekcja zwłok? A może to również tajemnica wagi państwowej?

- Zmarła wskutek zadławienia.

- Została zgwałcona?

- W moim odczuciu on próbował ją zgwałcić, ale mu się nie udało. Przycisnął ją do ziemi, a ona udusiła się w trakcie, gdy próbował. Zachłysnęła się własnymi wymiocinami i końskim nawozem.

- Boże, biedna dziewczyna - powiedziałam.

Umiera w taki sposób i nikt, kto ją tu znalazł, nie żałuje jej śmierci.

- Możliwe też, że próba gwałtu została upozorowana, bo nigdzie nie znaleziono śladu spermy.

- Miała coś pod paznokciami?

- Nic, ani włoska, ani skrawka skóry.

Skończyłam poprawiać sprzączki uprząży, obróciłam się i spojrzałam na niego.

- Wyczyścił jej paznokcie?!

Landry wzruszył ramionami.

- Może nie jest tak głupi, na jakiego wygląda.

- Ależ to jest wyuczzone zachowanie - zaprotestowałam. - Facet nie myśli „O Boże, niechący udusiłem dziewczynę” i nie wpada w panikę, tylko czyści jej paznokcie. To *modus operandi* seryjnego mordercy. Musiał robić to już wcześniej.

- Moi ludzie grzebią już w bazie danych VICAP w poszukiwaniu podobnych przypadków. Dzwoniłem do Interpolu. Prosiłem władze belgijskie o przesłanie nam akt podobnych spraw.

Moje myśli pobiegły do Erin - co mógł dla niej oznaczać fakt, że nie jest w rękach przypadkowego porywacza, którego jedynym motywem są pieniądze, ale seryjnego mordercy, działającego z przyczyn znanych tylko sobie.

- To dlatego mają jego teczkę - powiedziałam do siebie. - A cała ta bajeczka o prowadzeniu brudnych interesów to wielka bzdura. Wiedziałam, że Interpol nie zainteresowałby się nim z tak błahego powodu. Armedgian, ty skurwielu - mruknęłam pod nosem.

- Kim jest Armedgian?

Przefiltrował informację z Interpolu. Jeśli się nie myliłam i Van Zandt ma udokumentowaną historię podejrzeń o gwałty, to mój dobry przyjaciel z FBI

zachował tę wiadomość dla siebie. I dobrze wiedziałam, dlaczego: nie byłam już członkiem jego klubu.

- Czy federalni kontaktowali się z twoim biurem? - zapytałam.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Mam nadzieję, iż to oznacza, że się myślę, a nie, że po prostu są dupkami.

- Och, oni są dupkami - powiedział Landry. - A jeśli będą wtykać nos w moją sprawę, to każdemu z nich dorobię drugą dziurę.

Popatrzył na zegarek.

- Muszę iść. Robimy rewizję w mieszkaniu Erin i Jill. Może natkniemy się na jakieś wskazówki.

- Wiele rzeczy Erin znajdziecie w pokoju Jill - powiedziałam, biorąc wodze do ręki.

- Skąd to wiesz?

- Bo na moim zdjęciu Erin nosi bluzkę, którą widziałam na trupie Jill Morone. Dlatego jej pokój wyglądał, jakby się wyprowadziła: Jill wszystko ukradła.

Wyprowadziłam d'Artagnana ze stajni w kierunku podestu, pozwalając, by Landry sam znalazł drogę do bramy. Kątem oka widziałam, że dalej stoi bez ruchu, z rękami na biodrach, patrząc, jak się oddalam. Za jego plecami otworzyły się drzwi do barku i stanęła w nich Irina. Miała na sobie błękitną pizamę, w dłoni kubek kawy. Obrzuciła Landry'ego jadowitym spojrzeniem, mijając go w drodze do swojego mieszkania nad barem. Landry jej nie zauważył.

Wsiadłam na konia i wolno pojechałam w stronę czworoboku. Nie wiem, jak długo jeszcze tam stał. Gdy chwyciłam wodze, oczyściłam umysł, zapominając o naszej rozmowie. Wdychałam zapach d'Artagnana, czułam, jak słońce ogrzewa mi skórę, wsłuchiwałam się w dźwięk gitary jazzowej Marca Antoine'a płynący z głośników. Byłam tu, żeby zapomnieć, skoncentrować się na sobie, znaleźć spokój. Czerpałam siłę z ruchu mięśni i strużki potu na plecach. Nawet jeśli nie zasłużyłam na tę chwilę pokrzepienia, zamierzałam wykraść ją losowi.

Gdy skończyłam, Landry'ego już nie było. Za to na scenie pojawił się ktoś nowy.

Tomas Van Zandt.

XXIX

- Więc to ją znaleziono martwą na terenach pokazowych?

Landry zerknął ukosem na starszą panią, ubraną w obcisłe, różowe getry, spadający z ramion sweter i włochate kapcie kąpielowe. Trzymała na rękach wielkiego, rudego kota, który wyglądał, jakby lubił gryźć.

- Naprawdę nie mogę o tym rozmawiać, proszę pani - powiedział, rozglądając się po malutkim mieszkaniu. Śmierdziało wilgocią i było brudne. I wyglądało, jakby przeszedł przez nie tajfun. - Czy od piątku ktoś tu wchodził?

- Nie, nikt. Siedziałam w domu. I przez cały czas był ze mną mój przyjaciel Sid - zwierzyła mu się z niewinnym rumieńcem. - Odkąd zauważyłam, że ta druga też znikła, postanowiłam bardziej na siebie uważać.

Landry wskazał gestem na pokój.

- Czemu tu tak wygląda?

- Bo straszna z niej świnią, ot co. Nie chcę mówić źle o zmarłej, ale... - spojrziała na poźółkły od nikotyny sufit, jakby spodziewała się zobaczyć tam samego Boga. - Była bardzo niedobra i taka złośliwa... Wiem, że próbowała kopnąć mojego Cecila.

- Pani kogo?

- Cecilia - podrzuciła kocura na ramieniu, a on miauknął przeciągle.

Landry grzebał w stercie ubrań leżącej na niepościelonym łóżku.

Wiele rzeczy wyglądało na zbyt małe dla Jill. Kilka wciąż miało metki.

- Myślę, że kradła - powiedziała Eva. - To jak zginęła?

- Nie wolno mi o tym mówić.

- Ale ktoś ją zamordował, prawda? Tak mówili w wiadomościach.

- Naprawdę?

- Czy to było morderstwo na tle seksualnym? - Najwyraźniej chciała usłyszeć, że tak.

Ludzie są zadziwiający.

- Nie wie pani, czy Jill miała chłopaka?

- Ta? - skrzywiła się Eva. - Nie. Tylko ta druga.

- Erin Seabright.

- Mhm. Mówiłam już pańskiemu małemu koledze, chłopak nazywał się Thad jakiś tam...

- Chad? - zapytał Landry, podchodząc do stolika zaśmieconego papierkami po cukierkach, z popielniczką pełną niedopalków stojącą na samym środku. - Chad Seabright?

Eva popatrzyła na niego z przerażeniem.

- Mieli takie samo nazwisko? Byli małżeństwem?

- Nie, proszę pani - przejrzał stos magazynów. „People”, „Hustler”, „Play-girl”. Chryste.

- O rety! Takie rzeczy pod moim dachem?

- Czy kiedykolwiek widziała pani, by ktoś wchodził tego mieszkania lub stąd wychodził? - zapytał Landry. - Przyjaciele? A może szef dziewczyn?

- Szef?

- Don Jade.

- Jego nie znam. Tylko Paris. Ładna blondynka, przemiła dziewczyna. Zawsze ma czas, żeby ze mną porozmawiać. Zawsze pyta o moje maleństwa.

- Maleństwa...?

- Cecil i Beanie. I to ona płaciła za wynajem. Paris. Taka miła dziewczyna.

- Kiedy była tu po raz ostatni?

- Już jakiś czas temu. Wie pan, jest bardzo zajęta. Jeździ na koniach. Hop! Przez przeszkody! - Podrzuciła grubego kota, jakby miała zamiar posłać go w powietrze. Zwierzak położył uszy po sobie i wydał dźwięk przypominający strażacką syrenę.

Landry podszedł do szafki nocnej i otworzył szufladę. Strzał w dziesiątkę.

Wyjął z kieszeni długopis i ostrożnie odsunął nim różowy wibrator, a potem wyjął swoją zdobycz. Zdjęcia. Don Jade siedzący na czarnym koniu z wstęgą zwycięzcy na szyi. Don Jade skaczący na koniu przez wysoką przeszkodę. I jego zdjęcie z dziewczyną, której twarz została wymazana ze zdjęcia.

Landry odwrócił zdjęcie. Pierwsza część dedykacji została zamazana długopisem, przyciskany tak mocno, że zostawił na papierze głębokie rysy, ale tak niedokładnie, że ciągle dało się ją przeczytać.

„Dla Erin z miłością. Don”.

XXX

- Musi być bardziej miękki na dole przy trawersach.

Van Zandt zaparkował ciemnoniebieskiego chevroleta - tym razem nie mercedesa - podszedł do czworoboku i obserwował mnie oparty o barierkę. Na jego widok przewróciło mi się w żołądku. Miałam nadzieję, że następnym razem zobaczę go w centrum jeździeckim, otoczonego mrowiem ludzi - jeśli nie w wiadomościach, prowadzonego do aresztu przez funkcjonariuszy policji.

Ostrożnie przeszedł ponad ogrodzeniem i wszedł na piasek. Oczy skrywał za lustrzanymi okularami przeciwsłonecznymi, a jego twarz miała dziwnie spokojny wyraz. Pomyślałam, że wciąż wygląda na chorego, nie wiedziałam tylko, czy to z powodu wyrzutów sumienia po zamordowaniu Jill, czy ze strachu przed aresztowaniem. A może tak wpływała na niego świadomość, że w jego otoczeniu znalazła się podejrzana osoba o niejasnych zamiarach - czyli ja.

Rzuciłam okiem na parking przy stajni. Samochód Iriny zniknął. Musiała odjechać, gdy ja byłam zaabsorbowana jazdą.

Sean od rana nie dał znaku życia. Jeśli wrócił do domu po nocnej eskapadzie, pewnie ją jeszcze odsypia.

- Musisz rozluźnić plecy, tak by koń poczuł, że może rozluźnić grzbiet - powiedział Van Zandt.

Zastanawiałam się, czy wie, a w fatalistycznym zakątku mojej duszy byłam przekonana, że tak. Przez głowę przelatywały mi możliwe scenariusze, które obmyślałam od czasu mojej wpadki w domu Carlton. Znalazł receptę i rozpoznał moje nazwisko z artykułu w „Sidelines” - albo rozpoznała je Lorinda. Może numer z moim zdjęciem leżał u niej w domu i razem mu się przyjrzeni. Van Zandt rozpoznał konia albo mój profil, być może skojarzył fakty ze względu na wzmiankę o farmie Seana. Albo pomyślał, że kurtka z receptą w kieszeni należała do policjantki biorącej udział w śledztwie, która podstępem przeszukiwała jego dom, podczas gdy on siedział na przesłuchaniu. Zadzwoił do Shapiro, a on bez trudu rozpoznał moje nazwisko.

To, jak mnie rozszyfrował, nie miało jednak dużego znaczenia. Ważne było, co zamierza zrobić teraz. Jeśli wiedział, że byłam u niego w domu w sobotnią

noc, to domyślił się również, że znalazłam jego zakrwawioną koszulę. Żałowałam teraz, że po prostu nie zabrałam jej ze sobą, olewając sprawę jej późniejszego wykorzystania w sądzie. Van Zandt zatrzymano by w areszcie przynajmniej na jakiś czas, a ja nie musiałabym teraz przebywać w towarzystwie kogoś, kto, jak sądziłam, jest seryjnym mordercą.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedział. - Popraw ten galop.

- Właśnie miałam kończyć.

- Amerykanie - powiedział z pogardą, stojąc na skraju czworoboku z rękami na biodrach. - Przecież koń nawet się jeszcze nie rozgrzał. To początek treningu. Zaczynaj jeszcze raz od galopu.

Moją naturalną reakcją był sprzeciw, ale czułam, że na koniu jestem bezpieczna. Gdy znajdę się z nim na tym samym poziomie, będzie miał nade mną przewagę dwudziestu centymetrów i trzydziestu kilogramów. Postanowiłam znieść jego trenerskie zapędy przynajmniej do czasu, gdy lepiej zorientuję się w jego zamiarach.

- Po dwudziestometrowym okręgu - instruował Van Zandt.

Ustawiłam konia na okręgu o średnicy dwudziestu metrów, starałam się spokojnie oddychać i skupić na jeździe, choć moje ręce zaciskały się na wodzach tak kurczowo, że czułam w nich własny puls. Zamknęłam na chwilę oczy, wydychając powietrze i pewniej sadowiąc się w siodle.

- Poluzuj ręce. Czemu jesteś taka spięta, Elle? - zapytał oślizgłym głosem, który sprawił, że po kręgosłupie przebiegł mi dreszcz. - Koń to czuje i też się spina. Więcej pracuj w siodle, mniej rękami.

Spróbowałam wykonać jego polecenie.

- Co sprowadza cię tu tak wcześniej? - zapytałam.

- Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

- Cieszyłabym się, gdybyś pojawił się na wczorajszej kolacji. Wystawiłeś mnie do wiatru. Masz u mnie krechę.

- Zostałem zatrzymany. I w żaden sposób nie mogłem się wyrwać.

- Zabranym na bezludną wyspę? W miejsce, gdzie nie ma telefonów? Nawet z komisariatu masz prawo zadzwonić.

- Sądzisz, że tam właśnie byłem? Na policji?

- Nie wiem ani mnie to nie obchodzi.

- Zostawiłem wiadomość u szefa sali. Nie mogłem do ciebie zadzwonić, bo nie dałaś mi swojego numeru - powiedział, a następnie zdecydowanie zmienił

ton. - Zbierz konia! Więcej energii i nie tak szybko. No, dawaj, dosiądz go porządnie.

Zebrałam konia, prawie zatrzymując go w miejscu. Kopyta rytmicznie uderzały o piasek.

- Starasz się mnie poderwać na darmową lekcję jazdy?

- Nic nie jest za darmo, Elle Stevens - odrzekł. - Przeprowadź go teraz do stępa. Niech idzie delikatnie, jak opadające piórko.

Staralam się postępować wedle jego wskazówek, ale z powodu mojego zderwienia efekt był marny.

- Nie pozwól mu gubić kroku w taki sposób! - krzyknął Van Zandt. - Chcesz, żeby stracił równowagę?

- Nie.

- To dlaczego pozwalasz, by tak się wybijał? - zapytał, dając mi do zrozumienia, że przyczyną jest moja głupota. - Dalej! Jeszcze raz do galopu! I więcej energii przy trawersach.

Powtarzaliśmy to samo ćwiczenie raz za razem. Przy każdym powtórzeniu coś było źle, zawsze z mojej winy. Pot pokrył masywną szyję d'Artagnana. Moja koszulka również była całkiem mokra. Rozbolały mnie mięśnie pleców, ramiona drżały mi ze zmęczenia.

Zaczęłam zastanawiać się, czy nie postradałam rozumu. Nie mogłam przecież siedzieć w siodle przez cały dzień, bo gdy Van Zandt skończy mnie torturować, osunę się na ziemię bezwładnie jak worek. Widziałam też, że pokrzykiwanie na mnie sprawia mu dużą przyjemność.

- ...i pozwól, żeby przeszedł w powolny chód tak, jak opada płatek śniegu.

Zwolniłam, wstrzymując oddech w oczekiwaniu na kolejny wybuch.

- Lepiej - przyznał niechętnie.

- Wystarczy - powiedziałam, wypuszczając wodze. - Próbujesz mnie zabić?

- Czemu tak sądzisz, Elle? Jesteśmy przyjaciółmi, czyż nie?

- Tak myślałam.

- Ja też tak myślałem.

Czas przeszły. Zastosowany celowo, pomyślałam, a nie wskutek błędu przy użyciu języka, pewnie trzeciego lub czwartego, jakim się biegle posługiwał.

- Wpadłem wczoraj do restauracji późnym wieczorem - powiedział. - Szef sali powiedział, że w ogóle się nie pojawiłaś.

- Ja tam byłem. To ciebie nie było, więc wyszłam - skłamałam. - Nie widziałam szefa sali. Może był w toalecie.

Van Zandt rozważył moją historyjkę.

- Dobra jesteś.

- W czym? - zapytałam, jadąc powoli po okręgu i czekając, aż oddech konia się uspokoi.

- W dresażu, ma się rozumieć.

- Właśnie spędziłeś pół godziny, wrzeszcząc na mnie i zmuszając mnie do wykonania jednego znośnego przejścia.

- Potrzebujesz ostrego trenera. Jesteś samowolna i nieposłuszna.

- Nie musisz mnie obrażać.

- Myślisz, że jestem nieuprzejmym dupkiem? - zapytał głosem wypranym z emocji, który nagle wydał mi się gorszy od jego zwykłego tonu. - Ja po prostu wierzę w dyscyplinę.

- I pokazujesz mi, gdzie jest moje miejsce?

Nie odpowiedział.

- Po co przyjechałeś tak wcześnie? - zapytałam ponownie. - Bo chyba nie po to, żeby przeprosić za wczorajszą noc?

- Nie mam powodu przeproszać.

- Nie rozpoznałbyś takiego powodu nawet gdyby uderzył cię w twarz. Przyjechałeś do Seana w sprawie Tino? Czy twoja klientka z Wirginii już przyjechała?

- Tak. Wczoraj w nocy. I wyobraź sobie jej zaskoczenie, gdy w domu zastała włamywacza.

- Ktoś włamał się do waszego domu? To straszne. Coś zginęło?

- Dziwne, ale nie.

- Nic się jej nie stało, mam nadzieję? Niedawno oglądałam w telewizji program o parze starszuchów, do których mieszkania wtargnęło dwóch Haitańczyków z maczetami.

- Nie, nie jest ranna. Włamywacz uciekł. Pies Lorindy gonił za nim, ale wrócił tylko z kurtką.

Znów poczułam ścisk w żołądku. Pomimo upału dostałam gęsiej skórki na ramionach.

- Gdzie twoja pomoc? - zapytał Van Zandt, patrząc w kierunku stajni. - Czemu jej tu nie ma, by zabrać konia?

- Ma przerwę na kawę - odparłam, żalując, że to nieprawda. Widziałam, jak Van Zandt spogląda na parking, gdzie samotnie stoi moje bmw.

- Kawa to dobry pomysł - powiedział. - Przywiąż konia. Napijemy się razem kawy i pomyślimy o dalszych planach.

- Muszę go wyczyścić.

- Niech Rosjanka to zrobi. To jej robota, nie twoja.

Rozważałam ściągnięcie wodzy i natarcie wprost na niego. Łatwiej jednak coś takiego wymyślić niż zrobić. Van Zandt był ruchomym celem, a na dodatek koń starałby się go ominąć, żeby nie zrobić mu krzywdy. Nawet gdybym zdołała powalić Van Zandta na ziemię, to co potem? Żeby uciec dalej, musiałabym przeskoczyć ogrodzenie, a nie byłam pewna, czy d'Artagnan zdecydowałby się na skok. Równie dobrze mógł zatrzymać się przed płotem, zrzucając mnie z siodła.

- Chodźmy - nakazał Van Zandt. Odwrócił się i poszedł w kierunku stajni.

Nie potrafiłam stwierdzić, czy ma przy sobie broń. Z pewnością ja jej nie miałam. Jeśli wejść z nim do budynku, zdobędzie nade mną dużą przewagę.

Zebrałam wodze i napięłam mięśnie nóg. Koń zatańczył pode mną, głośno parszkając.

Nagle moją uwagę zwróciła plama koloru w pobliżu ogrodzenia. Molly! Oparta rower o słup, przeszła na drugą stronę płotu i biegła teraz do mnie.

Przyłożyłam palec do ust, dając jej w ten sposób do zrozumienia, by nie zdradziła mojego imienia. Tak jakby miało to teraz jakieś znaczenie. Jako dziecko adwokata odebrałam jednak swoją lekcję: nigdy do niczego się nie przyznawaj. Zaprzeczaj, nawet w obliczu niezbitych dowodów.

Molly zatrzymała się, popatrzyła na mnie, a potem na Van Zandta, który dopiero teraz ją zauważył. Zesłam z konia i wyciągnęłam rękę w jej stronę.

- A oto i wspinała panna Molly! - wykrzyknęłam. - Z wizytą u cioci Elle.

W jej oczach pojawił się błysk niepewności, ale twarz pozostała niewzruszona. Najwidoczniej córka Krystal nauczyła się opanowywać zdziwienie na widok obcych facetów. Podeszła do mnie; oddychała ciężko, a czoło miała mokre od potu. Objęłam jej drobne ramiona i uściśniłam ją mocno, pragnąc uczynić niewidzialną. Była tu przeze mnie i przeze mnie znalazła się teraz w niebezpieczeństwie.

Van Zandt przyjrzał się jej z wyrazem dezaprobaty.

- Ciocia Elle? Masz tu w pobliżu rodzinę?

- Przyszywana ciocia - wyjaśniłam. Zwróciłam się do Molly, mocno zaciskając dłoń na jej ramieniu. - Molly Avadon, to jest mój przyjaciel, pan Van Zandt.

Nie chciałam, by Van Zandt skojarzył ją z Erin. Sądziłam także, że pozbycie się mnie przyszkodzi mu z łatwością, ale zastanowi się dwa razy, zanim skrzywdzi krewną Seana. Wierzył pewnie, z naiwnością socjopaty, że uda mu się z całej sprawy wyjść cało, unikając kary. W przeciwnym razie, pomyślałam, już dawno wsiadłby w samolot do Brukseli lub bliżej nieokreślonego miejsca daleko stąd. Jeśli cały czas wierzył, że wszystko ujdzie mu na sucho, to myślał też pewnie, że dalej będzie mógł prowadzić tu interesy, obracając się w towarzystwie ludzi bogatych i sławnych.

Molly jeszcze raz spojrzała na Van Zandta i przywitała się chłodno.

Van Zandt posłał jej błady uśmiech.

- Witaj, Molly.

- Obiecałam Molly, że pojedziemy dziś obejrzeć pokazy koni - powiedziałam.

- Lepiej przełóżmy tę kawę na kiedy indziej, Zi. Nie widzę w pobliżu Iriny, więc lepiej sama zajmę się koniem.

Zmarszczył czoło i rozważał swoje następne posunięcie.

- Dobrze. Pozwól w takim razie, że ci pomogę - powiedział, chwytając za wodze d'Artagnana.

Molly spojrzała na mnie z przestrawieniem. Pomyślałam, że muszę jakoś powiedzieć jej, by wymknęła się stąd i pobiegła po pomoc. Jednak Van Zandt odwrócił się w naszą stronę, zanim zdążyłam cokolwiek zrobić.

- Chodź z nami, panno Molly - powiedział. - Lubisz konie jak twój wujek?

- Trochę - odpowiedziała.

- Wspaniale. Zatem pomożesz nam zdjąć koniowi te buty.

- Nie - zaproponowałam. - Jeśli koń ją nadeprnie, będę musiała się tłumaczyć Seanowi.

Zajrzałam Molly w oczy, starając się telepatycznie przekazać jej moje myśli.

- Molly, kochanie, pobiegiesz do wujka Seana zobaczyć, czy już wstał?

- Nie ma go w domu - powiedział Van Zandt. - Dzwoniłem do niego w drodze tutaj i połączyłem się z automatem.

- To znaczy tylko tyle, że nie odbiera telefonu - zauważyła Molly.

Van Zandt skrzywił się i ruszył w kierunku stajni, prowadząc konia.

Nachyliłam się, jakbym chciała ucałować Molly w policzek, i wyszeptalam jej do ucha:

- Dzwon na policję.

Odwróciła się i pobiegła do domu. Van Zandt odwrócił głowę i patrzył na nią przez ramię.

- Czyż nie jest urocza?

Nie skomentował.

Weszliśmy do stajni. Zaprowadził d'Artagnana na stanowisko do czyszczenia, zdjął mu uzdę i nałożył kantar. Przeszłam za konia i przykucnęłam, by zdjąć mu ochraniacze. Kątem oka cały czas obserwowałam Van Zandta, gotowa w każdej chwili zerwać się na nogi.

- Jesteś mi winny kolację - powiedziałam.

- A ty jesteś mi winna za lekcję.

- No to jesteś mi kwita?

- Nie sądzę - powiedział. - Jeszcze nie skończyłem cię uczyć, Elle Stevens.

Zaczął zbliżać się w moim kierunku, ale uciekłam na drugą stronę konia i zajęłam się kolejnym ochraniaczem.

- To zależy tylko od mojej chęci.

- Są różne rodzaje lekcji - powiedział enigmatycznie.

- Niepotrzebny mi mistrz, ale dzięki za propozycję.

Podeszłam do szafy z przyrządami do czyszczenia i przezornie wyjęłam z niej nożyczki. Nie zawahałabym się wbić mu ich w pierś, gdyby wykonał jeden fałszywy ruch.

A może - pomyślałam - dźgnąć go już teraz? W końcu najlepszą obroną jest atak. To morderca. Czemu ryzykować, że skrzywdzi mnie lub Molly? Mogłam

podejść do niego i wepchnąć mu je w brzuch aż po sam uchwyt. Wykrwawiłby się na śmierć, zanim bym zauważyła.

Później mogłabym zeznać, że działałam w samoobronie. Telefon na policję, który Molly właśnie wykonywała, potwierdziłby, że czułam się zagrożona. Poza tym Van Zandt znany był już w biurze szeryfa jako główny podejrzany w sprawie morderstwa Jill.

Mogłabym poprosić mojego ojca, by bronił mnie w sądzie. Prasa uwielbia takie historie - wielkie pojednanie: ojciec ratuje marnotrawną córkę od kary śmierci.

Nigdy nikomu nie odebrałam życia z premedytacją. Ciekawe, czy czułabym jakieś wyrzuty sumienia, biorąc pod uwagę to, co wiedziałam o Van Zandcie.

- Ty i ja mogliśmy stworzyć świetny zespół - powiedział.

Znów do mnie podszedł, obchodząc konia z przodu.

Ścisnęłam nożyczki mocno w dłoni i patrzyłam, jak się zbliża. Ramiona trzęsły mi się ze zmęczenia i nerwów. Nie wiedziałam, czy starczy mi sił, by wbić ostrze w jego ciało.

- Mówisz tak, jakbyśmy mieli już nigdy się nie zobaczyć - powiedziałam. - Wybierasz się gdzieś? Czy może to ja dokądś jadę?

Wciąż miał na nosie okulary, przez które nie mogłam dojrzeć oczu. Jego twarz była pozbawiona wyrazu. Nie sądziłam, że będzie chciał mnie zabić tu i teraz. Nawet jeśli był zdecydowany zabić także Molly, nie miał pewności, czy Seana nie ma w domu.

- Ja się nigdzie nie wybieram - powiedział, podchodząc bliżej.

- Tomas! - rozległ się od strony wejścia głos Seana. Ulga spłynęła na mnie potężną falą, która zabrała ze sobą resztkę moich sił. - Myślałam, że do nas nie wrócisz! Mam nadzieję, że tym razem nikt nie próbował cię zranić.

- Tylko jego dumę - wtrąciłam, opierając się o szafkę i odkładając nożyczki. - Odmówiłam mu zaszczytu zostania moim osobistym trenerem.

- Mój Boże - zaśmiał się Sean. - Czemu chciałeś podjąć się tak niewdzięcznej roboty? Ostatniego trenera wypatroszyła i podała w sosie pomidorowym z fasolką i wyborynym chianti.

- Elle potrzebuje porządnej tresury - powiedział Van Zandt, zmuszając się do słabego uśmiechu.

- A ja - znowu mieć dwadzieścia lat. Cóż, obie te rzeczy są nieosiągalne - odparł Sean, podchodząc do mnie. Pocałował mnie w policzek i dla otuchy położył mi rękę na ramieniu. - Kochanie, Molly czeka na ciebie z niecierpliwością. Biegnij, a ja zajmę się d'Artagnanem.

- Przecież ty też się spieszysz - powiedziałam. - Idziesz dziś na ten charytatywny lunch, prawda?

- Tak - Sean przepaszająco popatrzył na Van Zandt. - Jeźdźcy w walce z reumatyzmem tyłka czy inny szczytny cel. Przykro mi, że cię wyganiem, Tomas. Zadzwoń do mnie jutro. Zjemy obiad albo coś takiego. Może, gdy przyjedzie twoja klientka z Wirginii pójdziemy gdzieś wszyscy razem?

- Oczywiście. Czemu nie? - powiedział Van Zandt.

Podszedł do mnie, położył mi ręce na ramionach i ucałował moje policzki. Prawy, lewy, prawy. Po belgijsku. Patrzył na mnie długo i wydawało mi się, że czuję nienawiść w jego wzroku, nawet pomimo zasłaniających oczy okularów.

- Do zobaczenia, Elle Stevens.

XXXI

Gdy patrzyłam w ślad za odjeżdżającym samochodem Van Zandt, zaczęłam się trząść. Mógł mnie zabić. Ja mogłam zabić jego. „Do zobaczenia...”.

- Co tu się, do cholery, działo? - zażądał wyjaśnień Sean. - Twoja mała znajoma przybiegła do mnie, mówiąc, bym dzwonił na policję.

- Ja ją o to prosiłam. Nie wiedziałam, czy jesteś w domu. Zadzwońłeś?

- Nie, natychmiast tu przybiegłem, żeby cię ratować! Na miłość boską, nie czekałbym przecież na pieprzonych gliniarzy, podczas gdy jakiś psychopata kroiłby cię tu na części!

Objęłam go i przytuliłam.

- Mój bohaterze!

- Wyjaśnij mi to proszę - powiedział twardo.

Odsunęłam się od niego i wyjrzałam na dwór, żeby się upewnić, że ten zbir nie zmienił zdania i właśnie tu nie wraca.

- Mam solidne podstawy, by sądzić, że to Van Zandt zabił tę dziewczynę na terenach pokazowych.

- Chryste! Elle! To czemu jeszcze nie siedzi w więzieniu? I co robił tutaj?!

- Nie siedzi w więzieniu, bo pozbył się dowodu. Ja go widziałam i zawiadomiłam policję. Ale gdy Landry dotarł na miejsce, dowodu już nie było. Myślę, że Van Zandt wie, że ja wiem.

Sean wpatrywał się we mnie zszokowany, starając się pojąć sytuację. Biedny chłopak. Nie zdawał sobie sprawy, w co się pakuje, kiedy przygarnął mnie pod swój dach.

- Wykorzystam ten moment ciszy, by ci przypomnieć, że to ty mnie w to wciągnąłeś - powiedziałam.

Popatrzył w sufit, w głąb korytarza między boksami, na d'Artagnana, który stał cierpliwie w kantarze.

- Podobno to jest szlachetny sport - powiedział Sean. - Piękne zwierzęta, uroczy ludzie, kulturalne współzawodnictwo...

- Każdy biznes ma swoją ciemną stronę. Wiedziałeś to już wcześniej.

Potrząsnął głową, poważny i smutny.

- Tak, widziałem oszustwa na zawodach czy przy sprzedaży koni. Słyszałem o ludziach, którym uszło na sucho jakieś nieczyste zagranie. Ale Elle, na litość boską. Morderstwo? Porwanie? To jest świat, którego nie znam.

- A ja siedzę w nim po same uszy - wyciągnęłam rękę i łagodnie poklepałam go po przystojnej twarzy. - Chciałeś, żeby w moim życiu wydarzyło się coś ciekawego...

- Gdybym miał pojęcie... Przepraszam, kochanie.

- Nie, to ja przepraszam - powiedziałam, nie bardzo wiedząc, jak przeproszać przyjaciela za sprowadzenie mordercy do jego domu. - Mogłam przecież odmówić Molly. Mogłam się wycofać, gdy sprawą zajęło się biuro szeryfa. Nie zrobiłam tego. Mój wybór. Ale nie powinnam była ciebie w to wciągać.

Staliśmy, oboje w szoku, wyczerpani. Sean objął mnie, przytulił i pocałował w czubek głowy.

- Proszę, bądź ostrożna, El - wymruczał mi do ucha. - Nie po to cię ocaliłem, żebyś teraz dała się zabić.

Ledwo pamiętałam, kiedy ktoś przytulał mnie po raz ostatni. Zapomniałam już, jak dobrze jest poczuć bliskość i ciepło drugiej osoby. Zapomniałam, jak cenną i kruchą rzeczą jest szczerą troską prawdziwego przyjaciela. Zrozumiałam, jakie mam szczęście - po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna.

Uśmiechnęłam się kącikiem ust, zadzierając głowę, by na niego spojrzeć.

- Za każdy dobry uczynek zostajemy w końcu ukarani.

Zobaczyłam, że Molly zagląda ostrożnie przez drzwi, a oczy ma szeroko otwarte ze strachu.

- Poszedł sobie - powiedziałam. - Już dobrze.

Podeszła do nas, przyjmując spokojny i rzeczowy wyraz twarzy, pozbywając się wyglądu przestraszonego dziecka, które biegło, by sprowadzić pomoc.

- Kto to był? - zapytała. - Jeden z porywaczy?

- Nie wiem jeszcze na pewno. Może tak. W każdym razie to zły człowiek. O tym jestem przekonana. Miałam szczęście, że się zjawiłaś. Dziękuję.

Spojrzała na Seana, przeprosiła go grzecznie i popatrzyła na mnie swym spojrzeniem młodej bizneswoman.

- Muszę z tobą porozmawiać na osobności, Elena.

Sean uniósł brwi.

- To ja może zajmę się d'Artagnanem - zaproponował. - Muszę zrobić coś, co ukoji nerwy, a na drinka jest chyba za wcześnie.

Podziękowałam mu i zabrałam Molly do baru. Pomieszczenie wypełniał zapach kawy zaparzonej przez Irinę. Zastanowiłam się przez chwilę, dlaczego, by to zrobić, zesłała na dół. Miała przecież w mieszkaniu na górze małą kuchnię. Ale teraz to było bez znaczenia. Wdzięczna, że coś zostało w dzbanku, nalałam sobie filiżankę kawy, podeszłam do barku i dodałam do niej zdrową porcję whisky.

Pieprzyć za wcześnie.

- Chcesz się czegoś napić? - zapytałam Molly. - Wody? Coli? Podwójną szkocką?

- Nie, dziękuję - odrzekła uprzejmie. - Zwalniam cię.

- Słucham?

- Przykro mi, ale muszę rozwiązać naszą umowę - powiedziała.

Przyjrzałam jej się uważnie, próbując zgadnąć, co kryje się za jej słowami. Przez mgłę zawoalowanych gróźb Van Zandta dotarło do mnie wspomnienie wcześniejszej rozmowy z Landrym.

- Wiem o ostatnim telefonie, Molly. Od Landry'ego.

Jej poważna buzia była biała z przerażenia. W dużych oczach za okularami pojawiły się łzy.

- Przeze mnie skrzywdzą Erin. Bo zatrudniłam ciebie, a ty ściągnęłaś tego detektywa.

Nigdy nie widziałam nikogo tak zrozpaczonego. Molly Seabright, w czerwonych spodniach i granatowej koszulce, z dłońmi splecionymi przed sobą, stała pośrodku pokoju i dzielnie walczyła, by się nie rozplakać. Zastanowiłam się, czy ja wyglądałam na równie przerażoną, gdy wcześniej użyłam tych samych słów w rozmowie z Landrym.

Wskazałam Molly jedno z obitych skórą krzesel, sobie przysunęłam drugie.

- Molly, nie obwiniaj się o to, co usłyszałaś w telefonie. Postąpiłaś właściwie, szukając pomocy. Co stałoby się z Erin, gdybyś do mnie nie przyszła? Co zrobiłby Bruce, by ją odnaleźć?

Łzy płynęły jej po policzkach.

- A-ale... Mówili... Żadnej policji... Może gdyby - gdybyś była tylko ty...

Mocno schwyciłam jej dłonie. Były zimne jak lód.

- To nie jest zadanie dla jednej osoby, która trochę się pokręci i przepytła parę osób, Molly. Do odnalezienia Erin i złapania porywaczy potrzebne nam są wszystkie dostępne środki. Biuro szeryfa ma dostęp do zapisów rozmów telefonicznych, do kartoteki kryminalnej. Policjanci mogą założyć podsłuch w telefonie, badać dowody. Nie zawiadomić ich byłoby dużym błędem. Nie zrobiłaś nic złego. Ja też nie. Jedynymi, którzy mogą czuć się winni, są porywacze.

- A-ale głos powtarzał, że... Że o-ona poniesie karę, bo z-złamali-śmy zasady...

Uwolniła ręce, by poszukać czegoś w saszetce, którą nosiła wokół pasa. Wyjęła dyktafon i podała mi go.

- Musisz tego posłuchać.

- Nagrałaś rozmowę?

Przytaknęła i jeszcze raz sięgnęła do saszetki, tym razem wyjmując z niej kartkę papieru.

- Zapisałam też numer.

Wzięłam od niej dyktafon i kartkę i włączyłam kasetę. Z małego głośniczka popłynął metaliczny, zniekształcony głos: „Złamaliście zasady. Dziewczyna poniesie karę”. Te słowa powtarzały się raz za razem, przerywane lakonicznymi zdaniem Bruce’a Seabrighta. A potem: „Przynieś pieniądze na miejsce. W niedzielę. O szóstej wieczorem. Żadnej policji. Bez detektywa. Tylko ty. Złamaliście zasady. Dziewczyna poniesie karę. Złamaliście zasady. Dziewczyna poniesie karę”.

Molly zakryła usta rękami. Po jej policzkach spływały strumienie łez.

Chciałam przewinąć taśmę i puścić ją jeszcze raz, ale nie mogłam zrobić tego przy niej. I tak będzie słyszeć ten głos w koszmarnych snach.

Zaczęłam analizować, co i w jaki sposób zostało powiedziane na nagraniu.

„Żadnej policji. Bez detektywa”.

Mieli na myśli Landry’ego? Czy może mnie? W każdym razie, skąd wiedzieli o detektywie? Do domu Seabrightów nie wysłano żadnego radiowozu ani policjanta w mundurze. Policja nie była w bezpośrednim kontakcie z porywaczami. Nawet jeśli porywacze obserwowali dom, mogli zobaczyć jedynie kilku mężczyzn pojawiających się o różnych porach dnia w sobotę.

„Żadnej policji. Bez detektywa”.

Landry i Weiss rozmawiali z większością osób z otoczenia Jade’a, wpytując o Jill Morone i Erin. W centrum jeździeckim wiadano zatem, że biuro szeryfa prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa. Ale mogłam się założyć, że ani Landry, ani Weiss nie wspomnieliby słowem o porwaniu. Mogli ewentualnie pytać o zniknięcie Erin i o to, czy ktoś jej nie widział.

„Żadnej policji. Bez detektywa”.

Po co wprowadzać to rozróżnienie, jeśli chodzi tylko o Landry’ego? A jeśli chodzi o mnie, kto wie, że oboje jesteśmy w to wplątani?

- O której zadzwonili? - zapytałam.

- O trzeciej dwanaście nad ranem.

Po mojej wpadce w domu Van Zandta.

Kto prócz niego wiedział, że biorę udział w śledztwie? Cała rodzina Seabrightów, Michael Berne i Landry. Mogłam wyeliminować Molly. I Krystal. Bruce odebrał telefon, więc on nie mógł zadzwonić. Nie oczyszczało go to jednak z podejrzeń o udział w porwaniu: wiedzieliśmy, że musiały w nim uczestniczyć dwie osoby i że Bruce kłamał na temat miejsca swojego pobytu w czasie, gdy miało ono miejsce.

Było mało prawdopodobne, by Van Zandt telefonował z domu Carlton, gdyż wiedział, że policja przygląda mu się w związku z morderstwem i wypytuje o Erin. Mógł wyjść z domu. Albo - co jeszcze bardziej prawdopodobne - zadzwonić z zacisza własnej sypialni, oglądając jeden z ulubionych filmów. A w pokoju obok spała Lorinda Carlton ze swym potwornym kundlem.

- Chciałam oddzwonić na ten numer, ale się bałam - powiedziała Molly. - Wiedziałam, że policjanci będą słuchać, i bałam się, że będą na mnie źli.

Wstałam, podeszłam do telefonu stojącego na blacie i wykręciłam numer, po czym przez chwilę słuchałam sygnału po drugiej stronie. Przyjrzałam się notatce Molly, jej starannemu pismu małej dziewczynki. Co za dzieciak - nagrała rozmowę, zapisała numer. Miała dwanaście lat, a zachowywała się bardziej odpowiedzialnie niż ktokolwiek w jej rodzinie.

Zastanawiałam się, co Krystal robiła w czasie, gdy Molly ratowała mi życie i próbowała pomagać swojej siostrze.

- Chodź ze mną - powiedziałam.

Poszłyśmy do mojego domku, gdzie wyjęłam listę numerów spisaną z telefonu Bruce'a Seabrighta. Porównałam ją z numerem na kartce Molly. Ten sam, który na liście pojawiał się dwukrotnie. Prefiks z Royal Palm Beach.

Dałam tę listę Landry'emu. Miał już zapewne nazwiska właścicieli telefonów - jeśli tylko dało się je odszukać.

„Czy sądzisz, że współnikiem Van Zandta może być Don Jade? Mam na myśli porwanie”.

Czy Landry odkrył, że ten numer należy do Jade'a? Czy to była ta informacja, którą zdecydował się zachować dla siebie?

Wydało mi się pozbawione sensu to, że Jade użył telefonu tak łatwego do namierzenia. Każdy głupiec wpadłby na to, by zadzwonić z budki albo telefonu komórkowego na kartę.

Jeśli rozmowę przeprowadzono z takiego właśnie telefonu - jaki zresztą sama kupiłam poprzedniego dnia - i, biuro szeryfa było w stanie dopasować jego numer do aparatu kupionego w konkretnym sklepie, to być może po rozmowie ze sprzedawcą udało im się ustalić, że kupił go Don Jade.

- Co teraz będzie? - zapytała Molly.

- Po pierwsze dostaniesz ode mnie to - powiedziałam, wręczając jej telefon razem z kartką, na której zapisałam moje numery. - To dla ciebie, żebyś mogła się ze mną skontaktować. Jest opłacony na godzinę rozmów, potem przestanie działać. To są moje numery. Jeśli zobaczysz albo usłyszysz cokolwiek, co dotyczy Erin, dzwoń od razu.

Popatrzyła na ten zwykły, tani telefon, jakbym dała jej sztabkę złota.

- Czy twoi domownicy wiedzą, że cię nie ma?

- Powiedziałam mamie, że jadę na rower.

- Była przytomna?

- Prawie.

- Odwiozę cię do domu - powiedziałam. - Nie chcemy, żeby funkcjonariusze zaczęli szukać także ciebie.

Ruszyliśmy już w stronę drzwi, gdy Molly odwróciła się i popatrzyła na mnie.

- Pojedziesz na miejsce doręczenia okupu?

- Nie pozwolą mi na to, ale mam parę innych tropów do zbadania. Tylko czy ja jeszcze dla ciebie pracuję?

Spojrzała niepewnie.

- A chcesz?

- Tak - odparłam. - Nawet gdybyś mnie zwolniła, i tak badałabym sprawę do końca. Chcę zobaczyć, jak Erin bezpiecznie wraca do domu.

Wciąż ściskając telefon w ręczce, Molly podeszła, otoczyła mnie w pasie rękami i mocno przytuliła.

- Dziękuję, Elena - powiedziała, poważna bardziej niż powinna być dwunastoletnia dziewczynka.

- I ja dziękuję, Molly - odpowiedziałam równie serio. Miałam nadzieję, że okażę się godna jej zaufania i wdzięczności.

- Jesteś wyjątkową osobą - powiedziałam, gdy odsunęła się ode mnie. - To zaszczyt cię znać.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nikt jej pewnie nie mówił takich rzeczy, nawet ci, którzy powinni otoczyć ją największą troską. Może to dobrze, że tak się

stało. Molly sama wychowała się o wiele lepiej, niż potrafiłaby to zrobić kobieta pokroju Krystal.

- Wolałabym nie musieć być taka wyjątkowa - wyznała miękko. - Chciałabym móc być normalna, mieć normalne życie i zwykłą rodzinę.

Doskonale rozumiałam, co ma na myśli. Też kiedyś miałam dwanaście lat i z całego serca pragnęłam mieć normalną rodzinę, w której nie czułabym się obco. Mężczyzna, który miał być moim ojcem, uważał mnie za zbędny element otoczenia. Dla kobiety, która miała być moją matką, stanowiłam niepotrzebny ciężar; zanim jeszcze skończyłam dwanaście lat, straciłam urok stylowego dodatku do jej życia.

Powiedziałam jedyne zdanie, które miało w tej chwili jakieś znaczenie:

- Nie jesteś sama, Molly. My, wyjątkowe dziewczyny, trzymamy się razem.

XXXII

- Zgarniamy go? - zapytał Weiss.

Wszyscy tłoczyli się w niewielkim pokoju porucznika: Landry, Weiss i dwóch innych detektywów, Michaels i Dwyer, oraz nieproszony gość, agent specjalny Wayne Armedgian, który właśnie dołączył do towarzystwa. Szef wydziału zabójstw, porucznik William Dugan, stał za swoim biurkiem z rękami opartymi na biodrach - wysoki, opalony, siwy mężczyzna. Marzył o przejściu na emeryturę i długiej wycieczce w towarzystwie seniorów z Klubu Zawodowych Graczy w Gอล์ฟ.

Dugan spojrzał na Landry'ego.

- Co o tym sądzisz, James?

- Myślę, że to, co na niego mamy, to same domysły i poszlaki, chyba że jego grupa krwi będzie pasować do próbki, którą znaleźliśmy w stajni, na miejscu zabójstwa Jill Morone. Ale to i tak byłoby za mało, żeby go zatrzymać. Gdybyśmy jeszcze znali jego grupę krwi... Ale on nam jej nie poda. Potrzebowalibyśmy nakazu sądowego, żeby ją dostać. Poza tym wiemy, że krew i tak przypuszczalnie należy do Van Zandta.

- Tak sądzisz? - zaoponował Weiss. - A ja wiem, że to Jade klócił się z Jill w „The Players”, i skłamał, że nie wrócił do centrum jeździeckiego.

- Skłamał, że nie miał tam wracać - sprostował Landry. - Tej nocy nie widzieli go ani strażnicy przy bramie, ani ochroniarze w pobliżu stajni.

- Van Zandta też nikt nie widział - powiedział Weiss.

Landry wzruszył ramionami.

- Obaj wiedzą o tylnej bramie. A Van Zandt dostawiał się do Jill Morone w „The Players”, zanim jeszcze dotarł tam Jade. No i mieliśmy to anonimowe zgłoszenie w sprawie zakrwawionej koszuli.

- Koszuli, której nie mamy - przypomniał mu Weiss. - Nie wiemy nawet, czy naprawdę istnieje. Wiemy za to, że Jill Morone zniszczyła sporo drogich rzeczy należących do Jade'a. Jeśli przyłapał ją na gorącym uczynku, mógł ją zabić w porywie złości, a potem upozorować próbę gwałtu, żeby zrzucić winę na Van Zandta. Może to on podrzucił koszulę i zadzwonił na dziewięćset jedenaście?

- Dobra, powiedzmy, że zrobili to razem. Można im będzie urządzić wspólną egzekucję.

- Co wiemy o tym anonimowym telefonie? - zapytał Dugan.

- Ktoś dzwonił z budki naprzeciwko domu handlowego w rynku, pięćset metrów od rezydencji, w której zatrzymał się Van Zandt - odpowiedział Weiss, patrząc na Landry'ego.

- Prawnik Van Zandta oskarża nas o nadużycie władzy i spisek - powiedział Dugan.

Landry wzruszył ramionami.

- Sędzia Bonwitt stwierdził, że mamy wystarczające podstawy, by przeszu-kać to mieszkanie. Bert Shapiro może nas całować w dupę.

- Spisek? Z kim? - zapytał Armedgian.

- Ktoś włamał się do Van Zandta, podczas gdy on siedział tutaj, na przesłuchaniu - wytłumaczył Weiss. - A potem dostaliśmy telefon z wiadomością o zakrwawionej koszuli w jego domu.

- W takim razie nie ma żadnego znaczenia, że jej nie znaleźliście - stwierdził Armedgian. - Pewnie i tak nie włączono by jej do procesu. Shapiro dowiódłby, że została podrzucona.

- Van Zandt powinien przeprowadzić się do Miami. On i O.J. Simpson mogliby zostać partnerami do golfa - zasugerował Weiss.

Wszyscy prócz Landry'ego zaśmiali się uprzejmie z kiepskiego żartu.

- Moglibyśmy też odmówić skurwielowi jego praw z powodu podejrzenia o morderstwo i przytknąć go do czasu, gdy rozwiążemy sprawę - powiedział Landry

- zamiast pozwalać, by biegał na wolności i w każdej chwili mógł wsiąść w dowolny samolot.

- Myślisz, że Van Zandt i Jade razem stoją za porwaniem? - zapytał Armedgian.

- To możliwe. Van Zandt odgrywa rolę zbrojeńca, a Jade jest mózgiem całej operacji. Ale może to być równie dobrze Jade i ktoś inny.

- Motyw?

- Seks i pieniądze.

- Co na niego macie?

- Jade jest ostatnią osobą, która widziała Erin Seabright. Twierdzi, że dziewczyna rzuciła pracę i opuściła miasto, ale nikt poza nim o tym nie słyszał.

Włączył się Dwyer.

- Rozmowy porywaczy z Seabrightem zostały przeprowadzone z telefonu komórkowego na kartę. Po numerze dotarliśmy do firmy, która go wyprodukowała, a od nich dostaliśmy numer seryjny aparatu. Telefon został kupiony w „Radio Shack” na Okeechobee w Royal Palm Beach. Sklep przechowuje dokumenty dotyczące sprzedaży, ale bez numerów seryjnych pojedynczych telefonów. W tygodniu poprzedzającym porwanie Erin Seabright sprzedali siedemnaście telefonów. Dotarliśmy do trzech nabywców, którzy płacili kartą kredytową. Pozostałe zostały kupione za gotówkę.

- Pokazaliśmy zdjęcie Jade’a sprzedawcom - dodał Michaels. - Żaden go nie rozpoznał, ale jeden powiedział, że nazwisko wydaje mu się znajome.

- Czy Jade posłużyłby się własnym nazwiskiem? - zapytał Armedgian.

- Możemy go tu ściągnąć i o to zapytać - powiedział Landry - ale już wcześniej groził, że wezwie adwokata. A jeśli ma kogoś tej klasy, co ten dupek broniący Van Zandta, to wyjdzie stąd po trzech minutach, a my narazimy całą akcję, nie dostając nic w zamian. Zbliży się godzina dostarczenia okupu, mogą stracić zimną krew i zabić dziewczynę - albo zrobić to tylko dlatego, że ich wkurzymy.

- A może uda się wam przytrzymać Jade’a, aż w końcu wyda swojego współnika - zasugerował Armedgian.

Landry spojrział na niego z pytaniem „Czy ktoś cię o coś pytał?” w oczach.

- Znasz tych ludzi? Rozmawiałeś z Donem Jade'em?
- No nie, ale...
- To kawał zimnego drania. Lód nie roztopiłby się nawet w jego tyłku. Do niczego się nie przyzna. Wystarczy, że się do niego zbliżymy, a od razu wezwie adwokata. Najlepszym dla nas wyjściem jest śledzić Van Zandta i Jade'a z bezpiecznej odległości i czekać, aż któryś pojedzie do dziewczyny albo na miejsce wypłaty okupu. I wtedy możemy zacząć działać. Będziemy mogli ich przycisnąć, a prawnicy będą skłonni iść na ugodę.

Armedgian poprawił węzeł krawata.

- Naprawdę sądzicie, że dojdzie do wymiany?
- A mamy inny wybór? - zapytał Landry. - Co ty proponujesz, Armageddon? Żebyśmy olali sprawę i poszli na małże do Chucka i Harold'sa?

- Landry - warknął Dugan.
- Co? Co ja takiego powiedziałem?
- Twój stosunek... Agent specjalny Armedgian jest tu po to, żeby nam pomóc.

- Już ja wiem, po co on tu jest...

Armedgian, w geście udawanego zdziwienia, uniósł brwi. Wydawało się, że ma tylko jedną, która niczym gruba, czarna gąsienica pełźnie w poprzek jego okrągłej jak piłka głowy.

- I jaki to powód?

Landry nachylił się do niego.

- Jesteś tu z powodu tego Belga, choć nie zawdzięczasz tego własnej przenikliwości. I gdybyś powiedział o nim wszystko, co wiesz, kiedy pytano cię po raz pierwszy, Jill Morone mogłaby dalej żyć.

Armedgian nie zmienił wyrazu twarzy.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Ja też nie - rzucił Dugan. - O czym ty mówisz, James?

- O tym, że federalni chcą dzięki naszej sprawie lyknać odrobinę międzynarodowej sławy. Van Zandt jest seryjnym mordercą i oni planują go przymknąć.

- Jedyne, co mamy na Van Zandta - powiedział Armedgian - to spekulacje jednej z europejskich agencji. To wszystko. W paru mniejszych sprawach został uwolniony od zarzutów. A pan, detektywie Landry, dowiedziałby się tego

samego, gdyby poprosił pan Interpol o informacje.

Landry miał ochotę rzucić mu w twarz, że ktoś już o to prosił, ale ten dupek wyciągnąłby nazwisko Estes i rozpętałoby się prawdziwe piekło. Weiss i tak już dziwnie mu się przyglądał.

- Nie kontaktowałeś się z nimi? - zapytał Dugan. - Myślałem, że to zrobiłeś.

- Bo zrobiłem - Landry wciąż patrzył na Armedgiana. - Dobra, teraz mój ruch. Co tu robią twoi ludzie? Nie chcę, żeby płatali się pod nogami i spieprzyli sprawę okupu.

Armedgian podniósł ręce w obronnym geście.

- To wasze przedstawienie. Ja tu jestem tylko po to, by dawać wskazówki i doradzać.

Już to widzę, pomyślał Landry.

- Pracowałem przy porwaniach - powiedział Armedgian. - Sprawdziliście miejsce dostarczenia okupu?

Landry zrobił wielkie oczy.

- Jezu! Naprawdę powinniśmy to zrobić?

- Landry... - rzucił ostrzegawczo Dugan.

- Słyszałem, że to otwarty teren - powiedział Armedgian.

- Nasz człowiek obserwuje punkt spotkania - powiedział Dugan. - Trudno monitorować to miejsce. Ukryliśmy go w przyczepie dla koni po drugiej stronie drogi.

- Jedna droga przechodzi przez posiadłości jeździeckie - dodał Michaels. - Jest też boczna droga, do której można dojechać przez bramę blisko miejsca zrzutu. Nie możemy jeździć tamtędy w tę i z powrotem.

On również posłał federalnemu twarde spojrzenie.

- Moi agenci mogą zająć się śledzeniem Van Zandta, porucznika - zaproponował Armedgian. - W ten sposób pańscy ludzie będą wolni od zarzutów o nadużycie władzy.

- Kurewsko wspaniałomyślne - warknął Landry.

Dugan popatrzył na niego wściekle.

- Wystarczy już, James! Albo osobiście podam cię Bertowi Shapiro na śniadanie.

Landry nie spuszczał wzroku z Armedgiana.

- Prawnicy albo federalni. W którą stronę się nie obrócić, zawsze ktoś z nich nas wydyma.

Miał tylko nadzieję, że to nie Erin Seabright zapłaci ostateczną cenę.

XXXIII

„Przynies pieniądze na miejsce. W niedzielę. O szóstej wieczorem”.

Jako że nie było dalszych instrukcji, założyłam, że porywacze mieli na myśli to samo miejsce, co za pierwszym razem.

Horse Park na terenach ośrodka jeździeckiego został otwarty w roku dwutyścym i początkowo był miejscem treningu amerykańskiej reprezentacji olimpijskiej w dresażu. W odróżnieniu od terenów pokazowych w wellingtonskim centrum jeździeckim, był to niewielki, ale funkcjonalny stadion mieszczący cztery piaskowe ujeżdżalnie i trzy rozprężalnie wokół rozległego trawnika. Tak samo jak w centrum, tu również większość stajni stanowiły duże namioty z ruchomymi boksami, zajęte przez zwierzęta tylko w czasie konkursów. Przez resztę roku miejsce wyglądało jak wielki, opuszczony plac zabaw pośrodku pustkowiec.

Na tyłach posiadłości znajdował się tylko jeden stały budynek: dostojny, dwupiętrowy dom z potężnymi kolumnami po obu stronach wejścia. Na pierwszym piętrze znajdowały się biura, a na drugim - pokój spikera ze sprzętem nagłaśniającym.

Z drugiego piętra widać było cały teren. Idealne miejsce dla snajpera, gdyby tylko dał tam radę wejść niezauważony.

Za budynkiem był już tylko kanał, który wyznaczał granicę posiadłości. Jego przeciwległy brzeg gęsto porastały drzewa. Za nimi biegła droga gruntowa, po której od czasu do czasu przejeżdżały ciężkie motory i wozy terenowe, ku wielkiemu niezadowoleniu trenerów. Hałas silników dodatkowo denerwował i tak niespokojne konie. Zza kanału można było zobaczyć, że na tyłach budynku znajdują się dodatkowe schody.

Porywacze z pewnością wiedzieli to wszystko - to oni wyznaczyli miejsce spotkania. Ale wybór wydawał mi się dziwny. Dochodziły tu zaledwie dwie drogi.

Będą mogli co prawda z daleka zobaczyć, że ktoś się zbliża, ale sami również zostaną natychmiast zauważeni. Osaczenie ich i złapanie to kwestia odpowiedniej liczby ludzi. Czemu nie zdecydowali się na jakieś ruchliwe miejsce, z którego łatwiej byłoby uciec?

„Żadnej policji. Bez detektywa. Tylko ty. Złamaliście zasady. Dziewczyna poniesie karę”.

Nie było możliwości, żeby akcja poszła dobrze.

Porywacze wiedzieli, że biuro szeryfa jest zaangażowane. Nie będą ryzykować pokazania się z Erin w tak otwartym miejscu. Nie mogłam też wyobrazić sobie, dlaczego sami mieliby się pojawić. Założyłam więc, że tego nie zrobią.

Szósta wieczorem w niedzielę. Dokładnie tydzień od porwania. Zastanawiałam się, czy data ma jakieś znaczenie. Może gdy wszyscy gliniarze będą czekać na porywaczy w ośrodku jeździeckim w Loxahatchee, porywacze podrzucą ciało Erin pod tylną bramę centrum jeździeckiego w Wellington - w miejsce, z którego została zabrana?

Puściłam taśmę z porwania w nadziei, że zobaczę coś, czego wcześniej nie udało mi się dostrzec, że doznam nagłego olśnienia.

Erin stoi przed bramą. Czeka. Na kogo? Na przyjaciela? Kochanka? Dealera narkotyków? Dona Jade'a? Tomasa Van Zandta? Nie wydaje się zdenerwowana, gdy zbliża się do niej biała furgonetka. Czy rozpoznaje samochód? Czy sądzi, że jedzie nim osoba, z którą ma się spotkać? I czy to jest ta osoba?

Landry powiedział, że kontaktował się z wydziałem do spraw narkotyków, by dowiedzieć się, czy aresztowanie Erin za posiadanie tabletek ekstazy było jednorazowym wydarzeniem. Byłam ciekawa rezultatu. Dwa lata temu, gdy sama pracowałam dla biura szeryfa, wiedziałabym dokładnie, do kogo zwrócić się z tym pytaniem; jednak dwa lata to w tym biznesie kawał czasu. Układy szybko się zmieniają. Dealerzy idą do więzienia, wyjeżdżają do Miami, zostają zabici. Największa rotacja panuje wśród dealerów dostarczających towar nastolatkom, ponieważ muszą być oni w wieku zbliżonym do wieku swoich klientów, inaczej nie zdobędą ich zaufania.

Trudno mi jednak było dać wiarę, że za porwaniem stoją narkotyki. Może gdyby wpadła w długi, ćpając heroinę lub kokę... Ale tabletki ekstazy? Jakie ich ilości musiałyby wyciągnąć od dealera, żeby zadłużyć się na trzysta tysięcy i

wkurzyć go do tego stopnia, by uknuł desperacki plan porwania. Erin zasłużyła sobie najwyżej na wyrok w sądzie dla nieletnich. Nie oskarżono jej przecież o handel, tylko o posiadanie.

Zastanowiło mnie, co na temat narkotykowych przygód Erin wiedział Chad Seabright, wzorowy uczeń. Ciekawe, jak dalece Erin udało się go zepsuć. W końcu nie miał wiarygodnego alibi na noc porwania.

Ale Landry nie zapytał mnie o Chada.

„Czy sądzisz, że współnikiem Van Zandta może być Don Jade? Mam na myśli porwanie”.

Landry nie zadał tego pytania bez powodu. Czy Erin czekała wtedy na spotkanie z Jade'em? Czy to właśnie on był tym starszym mężczyzną w jej życiu? Najprawdopodobniej tak. Ale w takim razie Jade miał nad nią kontrolę, a ona nie była dla niego zagrożeniem. Nawet jeśli wiedziała, co naprawdę stało się ze Stellarem.

Znów przypomniały mi się ten koń, sposób, w jaki zginął, a także wykryty w jego krwi środek uspokajający. Paris nie powiedziała, który, wskazała kilka możliwości - finadyna, acepromazyna, fluniksyna. Wszyscy wiedzieli, że Jade już wcześniej zabijał konie i że zawsze uchodziło mu to na sucho. Ale w takim razie on również musiał wiedzieć, że nie należy przedtem znieczulać konia. Nie podjąłby ryzyka, że sekcja wykaże jakieś nieprawidłowości.

A co, jeśli podejrzenia, którymi chciałam podrażnić Berne'a, były prawdziwe? Ciekawe... Co, jeśli Berne nienawidził Jade'a do tego stopnia, że pragnąc jego ruiny, potrafiłby doprowadzić nawet do śmierci ukochanego zwierzęcia, które sam kochał?

Berne, tak jak każdy inny, wiedział dobrze, że środek uspokajający we krwi zwierzęcia byłby jak wielki, czerwony znak „uwaga, przekręt” dla firmy ubezpieczeniowej, która z pewnością orzekłaby, że śmierć zwierzęcia nastąpiła wskutek nieczystych manipulacji i odmówiłaby wypłacenia odszkodowania. Trey Hughes straciłby ćwierć miliona dolarów. Jade skończyłby karierę, a może nawet trafił za kratki.

Jeśli tym, co Erin wiedziała o śmierci Stellara, był udział Berne'a, to Berne miał motyw, by się jej pozbyć. Dlaczego jednak miałby ryzykować porwanie? Czy aż tak zależało mu na pieniądzach? Ryzyko, że zostanie złapany, było stanowczo za wysokie - chyba że znalazł pewny sposób, by zwalić również to na Jade'a, nie mogłam jednak sobie wyobrazić, jak zamierzał to osiągnąć. A jeśli

jednym z porywaczy był Van Zandt, to co wiązało go z Berne'em?

Wstałam z krzesła i zaczęłam chodzić po pokoju, próbując rozsypać splątane nitki prawdy i spekulacji.

Byłam głęboko przekonana, że Van Zandt jest psychopata, kryminalistą i mordercą. Wydawało mi się prawdopodobne, że skoro był odpowiedzialny za śmierć jednej dziewczyny, mógł stać za zniknięciem drugiej. Miał na dodatek tupet i mógł sądzić, że uda mu się zorganizować porwanie dla okupu. Komu jednak zaufałby na tyle, by uczynić zeń swego współnika? I kto zaufałby jemu?

Sądziłam, że dla Jade'a to wszystko byłoby zbyt ryzykowne. On co prawda także mógł być psychopata, jednak między nim a Van Zandtem była ogromna różnica. Van Zandt był nieprzewidywalny. Jade - opanowany i metodyczny. Nie wziąłby udziału w projekcie, który w oczach świata czynił z niego oszusta i mordercę. Nie zabiłby Stellara w sposób, który ewidentnie wskazywał na jego winę. I nie ryzykowałby porwania Erin dla okupu.

Jeśli chciał się jej pozbyć, dlaczego po prostu jej nie zabił? Jeśli miał zamiar opowiadać bajeczkę o jej wyjeździe z miasta, dlaczego nie usunął z parkingu jej samochodu? Dlaczego zostawił go na terenach pokazowych - liczył, że nikt go nie będzie szukał?

Nie widziałam w tym sensu. Jednak Landry utrzymywał, że Jade jest w to wpłątany. Czemu?

Bo Erin była powiązana ze Stellarem.

Erin podobno powiedziała Jade'owi, że odchodzi. Jemu i nikomu więcej.

Jade był ostatnią osobą, która ją widziała.

Powiedział, że pojechała do Ocala, co było nieprawdą.

Dlaczego Jade wymyślił tak głupią historyjkę, tak łatwą do sprawdzenia?

To wszystko nie miało dla mnie sensu. Ale w jakiś sposób miało dla Landry'ego. Co on takiego wiedział, czego nie wiedziałam ja? Czy znalazł jakąś cienką nitkę, która powiązała Jade'a ze sprawą porwania Erin?

Numery rozmów przychodzących zarejestrowane w telefonie Seabrighta.

Wkurzałam się na samą myśl, że Landry ma dostęp do wiedzy, która dla mnie była nieosiągalna. To ja dałam mu te numery, ale tylko on mógł je sprawdzić. I to ja dałam mu kasetę z porwania, ale to on miał do dyspozycji techników, którzy mogli polepszyć jakość obrazu. Ja byłam pierwszą osobą, która starała się dotrzeć do informacji Interpolu na temat Van Zandta. Ale wiedziałam, że gdyby to Landry zapytał, nie ukryto by przed nim wiadomości, że Van Zandt jest podejrzewany o seksualne wykorzystywanie kobiet.

Frustracja wzbierała we mnie niczym wisząca w powietrzu burza. Odstawiono mnie na bok mojej własnej sprawy. Tylko mnie los tej dziewczyny obchodził na tyle, by chcieć jej pomóc. Ja odwaliałam najcięższą robotę. Jednak to właśnie mnie wykluczono, to przede mną ukrywano ważne informacje, do których dostęp miał każdy, komu były potrzebne do pracy. A mnie uznano za osobę, która ich nie potrzebuje.

I czyja to była wina?

Moja.

To moja wina, że wyrzucono mnie z policji.

I moja wina, że wciągnęłam w to Landry'ego. Zrobiłam dobrą rzecz, ale w konsekwencji straciłam dostęp do sprawy.

Moja sprawa. Moja sprawa. Te słowa huczały mi w głowie niczym rytm bębna, gdy chodziłam w kółko. Moja sprawa. Moja sprawa. Sprawa, której tak chciałam. Moja sprawa. Moja sprawa. Dzięki niej wróciłam do świata żywych. Do prawdziwego świata, z którego uciekłam. Do życia, z którego zrezygnowałam.

Sprzeczne uczucia zderzały się we mnie niczym krzeszące iskry kamienie, rozpalając mój temperament. Nie mogąc już znieść tego napięcia, chwyciłam pierwszy z brzegu przedmiot i cisnęłam nim o ścianę najmocniej, jak potrafiłam.

Poczułam się lepiej. Trzask brzmiał kojąco. Podniosłam jeszcze jedną kompletnie nieprzydatną rzecz - ciężką drewnianą kulę, jedną z kilku podobnych spoczywających w misie - i rzuciłam nią niczym piłką bejsbolową. Dziki, zwierzęcy warkot rozsadzał mi gardło. Krzyczałam tak długo, że skronie zaczęły pulsować mi z czystego wysiłku. Gdy skończyłam, poczułam się tak wyczerpana, jakbym pozbyła się z duszy demona.

Oparłam się o tył sofy, oddychając ciężko, i popatrzyłam na ścianę. Przedemną na wysokości głowy widniały dwa duże wgłębienia. Dobre miejsce na obraz.

Siadłam na krześle, głowę oparłam na rękach i przez dobre dziesięć minut o niczym nie myślałam. A potem wstałam, wzięłam kluczyki i pistolet i wyszłam z domu.

Niech mnie szlag, jeśli dam Landry'emu odsunąć się od tej sprawy. Była moja. Miałam zamiar być w niej do końca - mojego lub jej, którykolwiek przyjdzie pierwszy.

XXXIV

Nie ma lepszego sposobu na to, by sprawdzić, z której strony wieje wiatr, niż splunąć przed siebie.

Niedziela jest dniem szczególnym pokazów w Wellington. Podczas Zimowego Festiwalu Jeździeckiego najważniejsze konkursy skoków odbywają się właśnie w niedzielne popołudnia, przyciągając tłumy - i wielkie pieniądze.

Tuż za stadionem polo, na którym na ogół rozgrywany jest mecz, znajduje się wielki parcours, arena międzynarodowego turnieju skoków. Trybuny wokół niego są szczelnie wypełnione rzeszami fanów, właścicieli, jeźdźców i stajennych, którzy przybywają podziwiać najlepszych z najlepszych, pokonujących wybitnie trudny tor przeszkód w walce o nagrody od stu tysięcy dolarów wzwyż.

W kilku miejscach rozkładają się ekipy telewizji Fox Sports. Po obu stronach drogi łączącej parcours z czworobokami, gdzie odbywają się pokazy koni do polowań, znajdują się stragany. Do nich pchają się tłumy klientów zdecydowanych wydać pieniądze na cokolwiek - od lodów, przez diamentowe kolczyki, aż po szczenięta rasy jack russell terrier. Na sześciu mniejszych czworobokach odbywają się dodatkowe konkursy.

Przejechałam przez tylną bramę, minęłam rząd namiotów i zaparkowałam niedaleko stajni Jade'a. Nie miałam jak sprawdzić, czy Van Zandt zdążył mnie wydać jego znajomym, ale w pewnym sensie liczyłam na to. Kończyła mi się cierpliwość do dalszej gry.

Tego dnia zrezygnowałam ze stroju bogatej dyletantki. Założyłam dzinsy, tenisówki, czarny podkoszulek i czapkę bejsbolową. Kaburę z glockiem ukryłam pod luźną koszulą.

Obeszłam namiot, w którym znajdowały się boksy Jade'a, i wślizgnęłam się od tyłu, tak jak za pierwszym razem. Minęłam stanowiska należące do innego trenera i krzątających się przy nich nieznanym mi ludzi, którzy rozmawiali, śmiali się i pokrzykiwali, przygotowując się do treningu. Ktoś oporządzał konie i zaplatał grzywy, ktoś czyścił uprzęż, ktoś polerował buty. Nieco dalej, w boksach sąsiadujących ze stajnią Jade'a, stały konie kolejnego trenera; dwa z nich właśnie zakończyły występy, ich grzywy wciąż były poskręcane od warkoczyków, pozostałe najwyraźniej nie widziały dziś szczotki. W pobliżu nie dostrzegłam żadnego stajennego.

Z czapką zsuniętą na czoło chwyciłam za widły i wciągnęłam wózek na nawóz do jednego z boksów. Stojący w nim koń ledwie zwrócił na mnie uwagę. Z nisko pochyloną głową zaczęłam kopać w ściółce, posuwając się w kierunku tylnej ściany, by przez konstrukcję z płótna i stalowych rurek zajrzeć na drugą stronę. W sąsiednim boksie dziewczyna z nastroszonymi, czerwonymi włosami stała na wysokim stołku i zaplatała w warkoczyki grzywę Park Lane. Jej palce poruszały się szybko i z dużą wprawą. Związywała końce czarną nitką i starannie układała warkoczyki jeden obok drugiego, tak, by idealnie przylegały do szyi konia. W trakcie pracy rytmicznie kiwała głową do dźwięku muzyki płynącej ze słuchawek na uszach.

Jednym z fachów, na których da się zarobić podczas sezonu zimowego, jest zaplatanie grzyw i ogonów. Jako że na terenach pokazowych przebywa wtedy około czterech tysięcy koni, z których większość wymaga pełnego uczesania, a stajenni mają za dużo własnych obowiązków, sprawny koński fryzjer może dziennie zarobić całkiem pokaźną sumę. Znałam dziewczyny, które od bladego świtu chodziły po stajniach, plotąc warkoczyk za warkoczykiem, dopóki palce nie odmawiały im posłuszeństwa. Te sprawniejsze potrafiły zarobić w ten sposób i po paręset dolarów dziennie - w gotówce, jeśli klienci byli skłonni rozliczać się w ten sposób.

Dziewczyna czesząca konie Jade'a nie odrywała oczu od palców, które błyskawicznie ślizgały się po końskiej grzywie. Nie zauważyła mnie.

Paris chodziła w tę i z powrotem po korytarzu przed stanowiskiem do oporządzenia, mówiąc coś do telefonu. Była ubrana jak do jazdy, w bryczesy i szarzielony rajtok. W pobliżu nie dostrzegłam Dona Jade'a ani Van Zandta.

Wątpiłam, by Landry zatrzymał któregoś z nich. Nie wykonałby takiego ruchu przed dostawą okupu. Dopóki porywacze sądzili, że dostaną pieniądze, dopóty mieli powód, by trzymać Erin przy życiu - jeśli oczywiście dotąd jej nie zabili. Aresztowanie Jade'a stwarzałoby niepotrzebne ryzyko, chyba że Landry miał na niego coś naprawdę dużego. A na Van Zandta nie miał nic. Gdyby związał jednego z podejrzanych, drugi wciąż miałby wolną rękę. Mógłby zrobić z Erin wszystko, co tylko przyszłoby mu do głowy, lub - na wieść o aresztowaniu współnika - spanikować, zabić zakładniczkę i uciec. Landry mógł jedynie żywić nadzieję, że porywacze przyprowadzą Erin na miejsce spotkania, choć zdawał sobie na pewno sprawę, że szanse na taki rozwój wypadków są nikłe.

Nie rozróżniałam słów Paris, nie wyglądała jednak na zmartwioną. Ton jej głosu melodyjnie wznosił się i opadał. Kilka razy głośniej się zaśmiała, przywołując na twarz promienny uśmiech.

Nabrałam pełne widły gnoju i wrzuciłam na wózek, po czym przeszłam do następnego stanowiska, gdzie zrobiłam to samo. Przez szczelne ogrodzenia obserwowałam, jak z jednego z pomieszczeń Jade'a wynurza się Javier z siodłem Park Lane na ramieniu.

- Przepraszam! Przepraszam bardzo!

Wzdrygnęłam się, słysząc za sobą głos, odwróciłam się i zobaczyłam przed sobą przesadnie umalowaną starszą kobietę z hełmem sztywnych, pomarańczowych włosów na głowie i nadmierną ilością złotej biżuterii. Patrzyła na mnie surowym wzrokiem matrony wyższych sfer. Staralam się wyglądać na zmieszaną.

- Drogie dziecko, czy możesz mi powiedzieć, gdzie znajdę stajnię Jade'a?

- Stajnię Jade'a? - powtórzyłam z mocnym, francuskim akcentem.

- Stajnię Dona Jade'a - powiedziała jeszcze raz, głośno i bardzo wyraźnie.

Wskazałam na ścianę za moimi plecami i wróciłam do grzebania w łajnie. Kobieta podziękowała mi i oddaliła się w kierunku wyjścia z namiotu. Po chwili usłyszałam dźwięczny głos Paris Montgomery.

- Jane! Wspaniale cię widzieć!

A więc to była Jane Lennox, właścicielka Park Lane. Ta sama, która po śmierci Stellara chciała przenieść swojego konia do innego trenera.

Z ukrycia obserwowałam ich powitanie; Paris z trudem zdołała objąć obdarzoną bujnymi kształtami starszą panią.

- Tak mi przykro, że Don nie może tu z nami być, Jane. Zatrzymała go jakaś sprawa związana z morderstwem tej biednej dziewczyny. Właśnie dzwonił i powiedział, że nie zdąży przyjechać, by poprowadzić Park Lane do konkursu. Ja mam go zastąpić. Mam nadzieję, że nie jesteś rozczarowana. Zdaję sobie sprawę, że przeleciałaś kawał drogi z New Jersey specjalnie po to, by zobaczyć Dona na Park Lane...

- Paris, nie przepraszaj. Prowadzisz ją w cudowny sposób. Nie będę zawiedziona oglądając dziś ciebie.

Weszły do siodłami, a cienkie ściany stłumiły ich glosy. Udałam się do sąsiedniego boksu, by podsłuchać toczoną szeptem rozmowę, która ze wzrostem emocji osiągała chwilami poziom głośniejszego mruczenia.

- Paris, przecież wiesz, że ubóstwiam, jak jeździsz na Parkie, ale muszę ci coś powiedzieć... Bardzo mi się nie podoba to, co się tu ostatnio dzieje. Myślałam, że Don zostawił to wszystko za sobą, gdy wyjechał do Francji...

- Rozumiem, co masz na myśli, ale mam nadzieję, że to jeszcze przemyślisz, Jane. To taki cudowny koń, ma przed sobą wspaniałą karierę...

- Tak jak ty, moja droga. Musisz w tej sytuacji pomyśleć o swojej przyszłości. Wiem, że jesteś lojalna wobec Dona, ale...

- Przepraszam - głos za moimi plecami zabrzmiał ostro i nerwowo. - Kim pani jest? Co pani tu robi?

Obróciłam się w kierunku kobiety z gęstymi, siwymi włosami i opaloną twarzą przypominającą pomarszczony rodzynek.

- Co pani sobie wyobraża? - zapytała groźnie. - Wzywam ochronę!

Znów udałam konsternację, rozłożyłam ręce i po francusku zapytałam, czy to nie są boksy Michaela Berne'a. Miałam wyczyścić jego stajnię. Czy źle trafiłam? Nazwisko Berne'a było w mojej wypowiedzi jedyną rzeczą, którą kobieta zrozumiała.

- Michael Berne? - zapytała ze wściekłym wyrazem twarzy. - Co z nim?

- Mam dla niego pracować - odparłam, powoli składając słowa.

- To nie są jego konie! - warknęła. - Co z panią nie tak? Nie umie pani czytać? Jest pani w złej stajni!

- Złej...?

- W złej stajni. Michael Berne: tam! - machnęła ręką w bliżej nieokreślonym kierunku.

- Bardzo przepraszam - powiedziałam, wychodząc z boksu i zamykając drzwi za sobą. - Bardzo przepraszam.

Odstawiłam widły i wzruszyłam ramionami, starając się wyglądać na zagubioną.

- Michael Berne - prychnęła kobieta, wciąż śmiesznie wymachując ręką.

Kiwnęłam głową i zaczęłam wycofywać się w kierunku wyjścia.

- *Merci. Merci.*

Zgarbiona, ze schyloną głową i czapką nasuniętą głęboko na oczy, opuściłam namiot. Paris właśnie wyprowadzała Park Lane. Wyglądała jak dziewczyna z okładki „Town and Country”. Tuż za nią w wózku golfowym Jade’a jechała Jane Lennox; jej głowa podskakiwała na wybojach jak pomarańczowa kula waty cukrowej.

Wślizgnęłam się z powrotem do namiotu przez wejście Jade’a. Javier, który najwidoczniej awansował, prowadził siwka Treya Hughesa na stanowisko do oporządzenia. Zaczekałam, aż zacznie czyścić konia, po czym niezauważona weszłam do siodłami.

Ekipa badająca miejsce zbrodni dokładnie przeczesała pokój wczoraj. Powierzchnia mebli nadal nosiła ślady proszku do zdejmowania odcisków palców. Na framudze drzwi pozostały resztki żółtej policyjnej taśmy.

Nie podobało mi się to, że Jade’a nie ma w pobliżu, gdy do zapłacenia okupu zostało zaledwie kilka godzin. Jakiej sprawy związanej ze śmiercią Jill Morone musiał doglądnąć osobiście? Żał mu było kilku chwil na rozmowę z gliniarzami wykopującymi ciało dziewczyny spod sterty nawozu, a teraz jakiś szczegół związany z jej życiem miałby go odciągnąć od udziału w konkursie? Zajmowanie się tego typu detalami należało do obowiązków Paris, jego asystentki - czarna, niewdzięczna robota, trywialne szczegóły dnia codziennego, utrzymywanie kontaktów z mniej lub bardziej ważnymi ludźmi. Los asystentki trenera.

Ale nie dziś. Dziś Paris pojedzie na wspaniałym koniu, a jego bogata właścicielka będzie ją podziwiała z trybun. Uśmiech losu.

Zastanowiłam się, jak dalece Paris jest faktycznie lojalna wobec Jade'a. Głośno wygłasza pochlebne opinie na jego temat, jednak jej komplementy zawsze wydają się mieć jakieś drugie dno. Spędziła trzy lata, pracując w cieniu Jade'a, dbając o jego interesy, zajmując się jego klientami i trenując jego konie. Gdyby Jade nagle zniknął z pola widzenia, Paris mogłaby świetnie na tym wyjść. Z drugiej strony nie dała się jeszcze poznać na arenie międzynarodowej jako skoczek. Jej talent ciągle czekał na odkrycie, a pomoc kilku zamożnych klientów była do tego konieczna.

A za chwilę Paris miała poprowadzić Park Lane przez parcours - pod okiem Jane Lennox, która zamierzała opuścić tonący statek Jade'a.

Rozejrzałam się po boksie, co chwilę rzucając okiem na drzwi w obawie, że zaraz ktoś mnie nakryje. Paris zostawiła otwartą szafę, pełną czystych koszul i starannie rozwieszonych rajtoków. Dżinsy i podkoszulek leżały na podłodze. Skórzaną torbę, beztrzesko pozostawioną na wierzchu, jedynie częściowo przykrywała niedbale rzucona na wierzch bluza.

Nieustannie oglądając się na drzwi, kucnęłam i zabrałam się do przeszukiwania torby, ale nie znalazłam w niej niczego godnego uwagi: suszarka do włosów, plan turnieju, kosmetyczka. Żadnego telefonu ani portfela.

Do dna szafy, pod rzędem szuflad, przymocowany był mały, zamykany na klucz schowek. Pociągnęłam za jego drzwiczki - nie ustąpiły. Był to tani sejf, z kiepskimi, plastikowymi zawiasami, które wygięły się, gdy pociągnęłam mocniej. Zwykły złodziej zostawiłby go w spokoju i ruszył dalej, do innych otwartych stajni i pozostawionych w nich bez opieki setek portfeli. Ja jednak nie byłam zwykłym złodziejem.

Rzuciłam okiem na drzwi, po czym wróciłam do mocowania się ze schowkiem, szarpiąc i ciągnąc za drzwiczki od strony zawiasów. Drgnęły i zaczęły ustępować, dając nadzieję, że zaraz je otworzę. Wtedy usłyszałam melodyjkę z „Wilhelma Tella”. Komórka Paris Montgomery. Dźwięk nie dobiegał ze schowka, lecz z szuflady nad moją głową.

Skrawkiem koszulki starłam odciski palców ze schowka, wstałam i zaczęłam otwierać kolejne szuflady. Znalazłam. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko dzwoniącego: doktor Ritter. Wyłączyłam telefon, przyczepiłam go do paska

spodni i zasłoniłam brzegiem koszuli. Zasupełam szufladę i wyszłam z siodłami.

Javier stał z siwkim w stanowisku do oporządzania, oddany całkowicie czyszczeniu konia gumowym zgrzeblem. Zwierzę zapadło w drzemkę. Zabiegi najwyraźniej sprawiały mu przyjemność - taką, jaką człowiek czerpie z dobrego masażu.

Stanęłam na progu, grzecznie się przedstawiłam po hiszpańsku i zapytałam, czy Javier wie, gdzie mogę znaleźć pana Jade'a.

Popatrzył na mnie z ukosa i odparł, że nie.

Działo się tu ostatnio dużo złych rzeczy, powiedziałam.

O tak, bardzo złych.

To straszne, co stało się z Jill.

Okropne.

Czy policjanci pytali go, czy wie coś na ten temat?

Nie chce mieć nic wspólnego z policją. Nie ma nic do powiedzenia. W nocy, gdy to się stało, był u rodziny kuzyna. Nic nie wiedział.

Żle się stało, że señor Jade nie przyszedł wtedy na nocny obchód i nie powstrzymał mordercy.

Ani señora Montgomery, zauważył Javier, nie przerywając swojego zajęcia.

Oczywiście niektórzy ludzie pomyśleli, że to señor Jade dokonał zbrodni.

Ludzie zawsze myślą to, co najgorsze.

Słyszałam, że detektywi wypytawali też o Van Zandta; co Javier o tym myśli?

Javier myśli tylko o swojej pracy, której ma za dużo teraz, kiedy odeszły obie dziewczyny.

Tak, drugiej dziewczyny także już nie ma. Czy Javier znał dobrze Erin Seabright?

Nie znał. Nic dla tych dziewcząt nie znaczył, bo nie umiał za dobrze mówić po angielsku.

To utrudnia życie, powiedziałam. Ludzie cię nie szanują. Nigdy nie przyjdzie im do głowy, że ty tak samo mógłbyś patrzeć na nich, bo nie znają hiszpańskiego.

Młode dziewczyny myślą jedynie o sobie i o mężczyznach, których pragną.

Erin oglądała się za Donem Jade'em, prawda?

Tak.

A señor Jade również miał ochotę na Erin?

Żadnej odpowiedzi.

A może to Van Zandtowi się podobała?

Javier wykonuje tylko swoją pracę. Nie wtyka nosa w nie swoje sprawy.

I to jest najlepsze wyjście, powiedziałam. Po co martwić się problemami innych? Wystarczy spojrzeć na Jill. Powiedziała, że wie coś o śmierci Stellara, i patrzcie, co się z nią stało.

Martwi nie mogą już nic powiedzieć.

Wzrok Javiera przesunął się z mojej twarzy na coś za moimi plecami. Obejrzałam się i ujrzałam zbliżającego się Treya Hughesa. Był już bardzo blisko.

- Kurczę, Ellie. Jesteś kobietą o wielu talentach - powiedział. Wydawał się zgaszony, nie przypominał zwykłego, pijanego i beztroskiego Treya. - Znasz języki.

Przechyliłam głowę.

- Liznęłam trochę języka tu i tam. Nie umiem więcej niż przeciętna dziewczyna po szkole średniej.

- Mnie musi wystarczyć mój angielski.

- Nie jeździsz dzisiaj? - zapytałam, patrząc na jego strój. Drelichowe spodnie, koszulka polo i sandały.

- Paris go dziś poprowadzi - powiedział. Wyciągnął rękę i dotknął chrap siwka. - Może uda się jej wyleczyć go z rozstroju nerwowego, w jaki biedne zwierzę popadło wskutek moich popisów w zeszły piątek.

Spojrzał na mój ubiór i uniósł brew.

- Ty również wyglądasz dziś dość zaskakująco.

Rozłożyłam ręce.

- Tak wygląda moje przebranie za zwykłą śmiertelniczkę.

Uśmiechnął się sennie. Zastanowiłam się, czy ten spokojny nastrój zawdzięczał jakimś chemicznym wspomogaczom.

- Słyszałem ciekawą opowieść o tobie, moja panno - powiedział, patrząc na mnie kątem oka i jednocześnie podając swemu koniowi wiązkę siana.

- Doprawdy? Mam nadzieję, że była pełna pikanterii. Czy wdałam się z kimś płomienny romans? Może z tobą?

- Ze mną? To jest przekleństwo starości. Wciąż mogę używać życia, ale nic z tego nie udaje mi się zapamiętać.

- W takim razie każde przeżycie ma dla ciebie posmak nowości.

- We wszystkim można znaleźć coś pozytywnego.

- Ale powiedz, co takiego o mnie słyszałeś? - poprosiłam, bardziej zainteresowana tym, od kogo to usłyszał. Od Van Zandta? Od Bruce'a Seabrighta? Van Zandt podzieliłby się zdobytą na mój temat wiedzą, by nastawić przeciwko mnie pozostałych. Seabright uczyniłby to samo, ponieważ swego klienta cenił wyżej niż życie pasierbicy.

- Słyszałem, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz - powiedział Hughes.

- A czy ktokolwiek nim jest?

- Słuszna uwaga, moja droga.

Wyszliśmy z boksu i podeszliśmy do drzwi, żeby wyjrzeć na zewnątrz., Niebo zrobiło się stalowoszare, jego kolor wróżył rychły deszcz. Po drugiej stronie drogi srebrne wody laguny marszczyły się pod lekką bryzą.

- Kim zatem mam być, jeśli nie jestem tym, za kogo się podaję?

- Szpiegiem - odparł spokojnie Trey Hughes. Nie był zły, wręcz przeciwnie - dziwnie opanowany. Może on także był już zmęczony grą. Zastanawiałam się tylko, jak ważną był w niej figurą, czy grał rolę kluczową, czy dał się jedynie ponieść nurtowi rozgrywki prowadzonej przez kogoś innego.

- Szpiegiem? To ekscytujące - powiedziałam. - Dla innego kraju? Dla organizacji terrorystycznej?

Hughes przeciągle wzruszył ramionami, przekrzywiając głowę na bok.

- Wiedziałem, że skądś cię znam - powiedział cicho. - Nie mogłem tylko z niczym skojarzyć twojej twarzy. Stara głowa nie pracuje już tak szybko jak dawniej.

- Utrata sprawności umysłu jest wielką tragedią.

- Załatwiłbym sobie przeszczep, ale wciąż zapominam zadzwonić.

To naprawdę wielka strata, pomyślałam, gdy staliśmy tak obok siebie. Trey Hughes miał wszystko, czego trzeba, by zrealizować marzenia i zachcianki: świetny wygląd, błyskotliwy intelekt i pieniądze. I oto, kim się stał: podstarzałym, zapijaczonym utracjuszem.

To zabawne, pomyślałam, ale ludzie, którzy mieli okazję mnie poznać, mogliby mnie podobnie opisać: „Miała taki świetny start, pochodziła z takiej dobrej

rodziny. Rodzice dali jej wszystko, a ona rzuciła im to prosto w twarz. I po co jej to było? Spójrzcie na nią teraz. Co za szkoda!”

Nigdy nie poznamy serca drugiego człowieka, nie dowiemy się, co daje mu siłę, co go łamie, czym są dla niego odwaga, bunt, zwycięstwo.

- Jak odkryłeś, że mnie znasz?

- Znam twojego ojca. Kilka razy w życiu miałem sposobność korzystać z jego rad. Jego nazwisko sprawiło, że nagle skojarzyłem fakty. Estes - Elle - Elena Estes. Miałaś kiedyś cudownie gęste, piękne włosy - przypomniał sobie. Jego oczy zaszyły mgłą, gdy przedzierał się przez mrok pamięci. - A teraz mój przyjaciel mówi mi, że jesteś prywatnym detektywem. Niesamowite.

- To nieprawda. Zadzwoń do biura wydającego licencje i zapytaj. Nie figuruję w ich kartotece pod żadnym z tych nazwisk.

- To bardzo dobry zawód - powiedział, ignorując moje zapewnienia. - Bóg jeden wie, że przynajmniej w tym środowisku nigdy nie zabraknie sekretów, a ludzie za marny grosz zrobią wszystko.

- Zabijają konia? - zapytałam.

- Zabijają konia. Zniszczą komuś karierę. Zrujną małżeństwo.

- Zabijają człowieka?

Nie wyglądał na zszokowanego tą sugestią.

- Historia stara jak świat: zbrodnia z chciwości.

- Ta historia zawsze kończy się tak samo: źle dla zbrodniarza.

- Źle dla kogoś. Sztuka polega na tym, by nie być tym kimś.

- A jaką rolę ty grasz w tej historii, Trey?

Na jego twarzy pojawił się słaby uśmiech.

- Smutnego klauna. Wszyscy kochają smutnego klauna.

- Mnie interesuje tylko złoczyńca - powiedziałam. - Czy możesz mi go wskazać?

Próbował się zaśmiać, ale zabrakło mu energii.

- Pewnie. Wejdz do gabinetu luster i pójdz w lewo.

- Dziewczyna nie żyje, Trey. Erin Seabright została porwana. To już nie jest zabawa.

- Nie, to przypomina film.

- Jeśli coś wiesz, to teraz jest czas, byś to powiedział.

- Kotku - powiedział, wpatrując się w wodę. - Gdybym cokolwiek wiedział, nie byłoby mnie tu dzisiaj.

Wypowiedziawszy te słowa, odszedł, wsiadł do swego kabrioletu i powoli odjechał. Patrzałam w ślad za nim, dochodząc do przekonania, że byłam w błędzie od samego początku, gdy sądziłam, że cała sprawa kręci się wokół Jade'a. Wszystkie tropy prowadziły do Treya Hughesa - zakup ziemi u Seabrighta, praca Erin u Jade'a, Stellar. Wszystko miało związek z Treyem. Pojawiało się pytanie za milion: czy Trey znalazł się w oku cyklonu dlatego, że sam go wywołał, czy dlatego, że ktoś rozpętał go wokół niego?

Trey miał pociąg do dziewczyn. Nie była to żadna tajemnica. Skandal mógłby być jego drugim imieniem. Bóg jeden wie, ile romansów Trey zaliczył w całym życiu. Sypiał ze Stellą Berne w czasie, gdy Michael był jego trenerem. Był z nią tej nocy, gdy zginęła jego matka. Prawdopodobnie miał oko na Erin. Ale porwanie? Śmierć Jill Morone? Nie mogłam sobie tego wyobrazić - i nie chciałam. Monte Hughes III był przecież moim pierwszym wielkim zauroczeniem.

„Znam twojego ojca. Kilka razy w życiu miałem sposobność korzystać z jego rad”.

Co, u diabła, Trey miał na myśli? Do czego był mu potrzebny obrońca kalibru mojego ojca? I jak miałam się tego dowiedzieć? Zadzwoić do ojca - po tylu latach gorzkiego milczenia - i po prostu zapytać?

„Tato, zapomnijmy o tym, że walczyłam z tobą przy każdej okazji i porzuciłam studia, by zostać gliną. Zapomnijmy też, że byłeś marnym i oziębłym ojcem, że w ogóle się mną nie interesowałeś i lekceważyłeś mnie dlatego, że nie spłodziłeś mnie sam. To wszystko przeszłość. A teraz powiedz mi, dlaczego Trey Hughes potrzebował twojej cennej porady”.

Nie rozmawialiśmy ze sobą od dziesięciu lat. I nie zamierzałam tego teraz zmieniać.

Zastanawiałam się, czy Landry przesłuchał Treya, czy rutynowo przepuścił jego nazwisko przez system. Ale przecież Landry nie pytał mnie o Hughesa, tylko o Jade'a.

Poszłam do samochodu i wsiadłam z zamiarem poczekania na Treya. Paris niedługo bowiem dosiądzie jego siwka. Trey wróci z nią potem do stajni, by porozmawiać o występie. A gdy później opuści tereny pokazowe, ja pojedę tuż za nim.

Trey Hughes właśnie stał się dla mnie centrum świata. Wszystko kręciło się wokół niego. A ja miałam zamiar dowiedzieć się, dlaczego.

AKT II
Scena II
Światło.

Miejsce: Horse Park na terenach ośrodka jeździeckiego, o zachodzie słońca.

Z trzech stron otwarta przestrzeń. Na tyłach posiadłości drzewa i kanał. Z przodu utwardzona droga gruntowa. W zasięgu wzroku nie ma nikogo, ale policjanci są na miejscu, schowani.

Czarny samochód zbliża się i parkuje przed bramą. Wsiada z niego Bruce Seabright i rozgląda się wkoło. Wygląda na wkurzonego i zdenerwowanego. Myśli, że to pułapka.

I ma rację.

Otwiera bagażnik i wyjmuje dwie duże, niebieskie torby. Przerzuca je przez ogrodzenie, potem wspina się, przeskakuje na drugą stronę, podnosi torby i znów się rozgląda. Wypatruje osoby albo znaku. Może nawet spodziewa się ujrzeć Erin, choć byłby całkiem szczęśliwy, gdyby już nigdy jej nie zobaczył.

Powoli i niechętnie zaczyna iść w stronę zabudowań. Ma wyraz twarzy człowieka, który zleje się w portki ze strachu na dźwięk pierwszego niespodziewanego odgłosu.

W połowie drogi zatrzymuje się i czeka. Powoli obraca się wkoło. Zastanawia się, co teraz się zdarzy. Kładzie torby na ziemi i patrzy na zegarek.

Osiemnasta pięć.

Zbliża się noc, niebo ciemnieje. Z brzękiem zapala się latarnia. Z głośników płynie mechanicznie zniekształcony głos, ten sam, który pojawił się na kasetach.

GŁOS

Zostaw torby na ziemi.

BRUCE

Gdzie dziewczyna?

GŁOS

Zostaw torby na ziemi.

BRUCE

Chcę zobaczyć Erin!

GŁOS

W budce. Przy ujeżdżalni. W budce. Przy ujeżdżalni.

BRUCE

W jakiej budce? Przy jakiej ujeżdżalni?

Jest podenerwowany, nie wie, w którą stronę się odwrócić. Nie ma kontroli nad sytuacją. Nie lubi tego. Nie chce zostawiać pieniędzy. Patrzy na dwie piaskowe areny najbliższe budynku i wybiera tę po prawej stronie. Bierze torby, idzie i staje w rogu.

BRUCE

Jaka budka? Nie widzę żadnej budki!

Nadal stoi w miejscu, zniecierpliwiony. Z każdą minutą robi się ciemniej. Przez chwilę patrzy na stanowisko sędziego - mały, drewniany budynek przy końcu ujeżdżalni - i rusza w jego kierunku.

BRUCE

Erin? Erin!

Z obawą okrąża budkę. Ktoś mógłby z niej wyskoczyć i strzelić do niego lub dźgnąć go nożem. Mogłoby wypaść ciało Erin.

Nic się jednak nie dzieje.

Małymi krokami przysuwa się do drzwi, otwiera je i odskakuje.

Nic.

BRUCE

Erin? Jesteś tam?

Żadnej odpowiedzi.

Powoli kładzie torby na ziemi i znów zbliża się do budki, w końcu decyduje się wejść do środka. W budce nikogo nie ma. Na podłodze leży kasetka wideo. Czarnymi, dużymi literami napisano na niej jedno słowo: KARA.

GŁOS

Złamaliście zasady. Dziewczyna została ukarana.

Pojawiają się policjanci. Kilku z nich wbiega po schodach prowadzących do budynku. Rozwalają zamek, kopnięciem wyważają drzwi, wpadają do środka z krzykiem, machając bronią. Światła latarek omiatają wnętrze pomieszczenia. Nie ma tam nikogo.

Gdy podchodzą do konsoli sterującej sprzętem nagłaśniającym rozmieszczonym pod rzędem okien, zauważają prosty mechanizm zegarowy. To on uruchomił pozostałe urządzenia dokładnie pięć po szóstej.

Taśma wciąż jest włączona.

GŁOS

Złamaliście zasady. Dziewczyna została ukarana. Złamaliście zasady. Dziewczyna została ukarana.

Głos rozbrzmiewa echem w pustce nocy.

Światło gaśnie.

Trey Hughes nie wrócił już do stajni Jade'a.

Czekałam w samochodzie, co chwilę patrząc na zegarek. Zbliżała się szósta. Javier wyprowadził siwka, opatulonego derką z nadrukiem „Szczęśliwy Pies”, i za chwilę wrócił z Park Lane. Paris i Jane Lennox przyjechały wózkiem golfowym. Jane Lennox od razu wsiadła do swojego cadillaca i odjechała.

Jeszcze raz sprawdziłam godzinę. Była siedemnasta czterdzieści trzy.

Na innych terenach pokazowych, oddalonych o zaledwie kilka mil stąd, Landry ze swoimi współpracownikami z wydziału zabójstw czekał właśnie na przyjazd porywaczy.

Chciałam tam być i na własne oczy zobaczyć, jak poszło przekazanie okupu, ale wiedziałam, że nie dopuszczą mnie w pobliże akcji. Chciałam wiedzieć, gdzie byli Jade i Van Zandt, co robili, kto ich obserwował. Chciałam wiedzieć, dokąd udał się Trey Hughes. Chciałam prowadzić tę sprawę.

Jak za dawnych czasów czułam pulsującą w żyłach adrenalinę, sprawiającą, że w całym moim ciele gromadziła się energia elektryczna. Czułam w sobie życie.

Paris wyszła ze stajni przebrana w zwykły strój, wsiadła do ciemnozielonego infiniti i pojechała w kierunku wyjazdu dla ciężarówek. Uruchomiłam samochód i ruszyłam za nią, pozwalając, by między nami znalazła się furgonetka. Skręciła w lewo na Pierson i zaczęłyśmy kluczyć po przedmieściach Wellington w drodze przez Binks Forest.

Molly siedziała teraz zapewne w domu Seabrightów, wciśnięta w kącik niczym mysz, z szeroko otwartymi oczami, nadstawionymi uszami i wstrzymanym oddechem, w oczekiwaniu na jakąkolwiek wiadomość o tym, co dzieje się z Erin i jaki jest rezultat dostarczenia okupu.

Chciałam brać udział w dzisiejszej akcji także dla niej.

Zostałam nieco z tyłu, gdy Paris zatrzymała się przy skrzyżowaniu z drogą południową - ruchliwym traktem ze wschodu na zachód, prowadzącym w jedną stronę do Palm Beach, w drugą zaś na tereny wiejskie. Paris wjechała na boczną drogę wiodącą przez ciemny las w kierunku Loxahatchee.

Nie spuszczałam oka z tylnych świateł infiniti, coraz bardziej świadoma tego, że zbliżamy się do posiadłości jeździeckich.

Doznałam nieprzyjemnego uczucia déjà vu, które przyprawiło mnie o dreszcz. Kiedy ostatnio jechałam tymi bezdrożami po ciemku, byłam jeszcze śledczym wydziału do spraw narkotyków, a przyczepa braci Golamów stała nie-daleko stąd.

W infiniti zapaliły się światła stopu. Paris nie włączyła migacza.

Na tylnej szybie zauważyłam blask świateł jadącego za mną samochodu. Zwolniłam i spojrzałam w tylne lustro. Serce zaczęło mi bić odrobinę szybciej. Nie podobało mi się, że ktoś jedzie za mną. Ta droga nie była bardzo uczęszczana. Wybierali ją jedynie mieszkańcy pobliskich domów, pracownicy szkółki leśnej i mielarni kompostu.

Powróciło do mnie wrażenie z dzisiejszego ranka, ten dziwny skurcz żołądka, gdy Van Zandt pojawił się na farmie, a ja myślałam, że jestem z nim całkiem sama.

„Do zobaczenia”, powiedział, całując mnie w policzek.

Przed mną Paris skrzyła na podjazd przed swym domem. Mijając ją, rzuciłam na niego okiem. Jak większość posiadłości w tych stronach, dom Paris pochodził z lat siedemdziesiątych i stylem imitował ranczo z dżunglą zamiast ogrodu. Drzwi garażu uniosły się i Paris wprowadziła samochód do środka.

Zaciekawiło mnie, dlaczego zdecydowała się zamieszkać w takiej okolicy. Interes Jade'a świetnie prosperował, więc Paris pewnie dobrze zarabiała - wystarczająco, by zamieszkać w Wellington, blisko terenów pokazowych, i wynająć apartament na jednym z licznych osiedli stworzonych z myślą o jeźdźcach.

Co innego stajenni - miejsce było w sam raz dla nich, gdyż ceny mieszkań w Loxahatchee były relatywnie niskie. Ale Paris? Z jej ciemnozielonym infiniti i zabytkowym pierścieniem wysadzonym szmaragdami i diamentami?

Światła w tylnym lusterku zaświeciły mocniej, gdy jadący za mną samochód zmniejszył odległość.

Gwałtownie nacisnęłam hamulec i skrzyłam w kolejną boczną drogę. Nie była to jednak droga, lecz ślepa uliczka z rozpoczętymi po obu stronach budowami. Światła samochodu omiotły szkielety przyszlých domów.

Mój ogon skrecił za mną.

Zawróciłam na końcu zaułka, kierując się z powrotem na drogę, nacisnęłam hamulec i z piskiem opon zablokowałam wyjazd.

Niech mnie cholera jeśli pozwolę temu sukinsynowi węszyć za mną jak za jakimś zajacem!

Wyjęłam glocka ze skrytki. Kopnięciem otworzyłam drzwi w chwili, gdy drugi samochód zatrzymał się obok mojego, a szyba po stronie kierowcy zaczęła się opuszczać.

Podniosłam pistolet, celując prosto w twarz kierowcy, który siedział nieruchomo z szeroko otwartymi oczami i rozdziawionymi ustami.

Nie był to Van Zandt.

- Kim jesteś?! - wrzasnęłam.

- O mój Boże! O mój Boże! Nie zabijaj mnie!

- Zamknij się, do, kurwy nędzy! - wydarłam się na niego. - Pokaż dowód. W tej chwili!

- Ja tylko... la tylko... - jękał się z przerażenia. Wyglądał na czterdzieści lat, był szczupły i miał za dużo włosów.

- Wsiadaj z samochodu! Trzymaj ręce tak, żebym je widziała.

- O mój Boże! - jęczał. - Proszę, nie zabijaj mnie. Dam ci wszystkie pieniądze...

- Zamknij się. Jestem gliną.

- O Chryste.

Najwidoczniej przeraziłam go tym bardziej, niż gdybym była kryminalistą gotowym okraść go i zamordować.

Wysiadł z samochodu z rękami wyciągniętymi przed siebie.

- Jesteś lewo- czy praworęczny?

- Co?

- Jesteś lewo- czy praworęczny?

- Lewo.

- Dobrze. Prawą ręką wyciągnij portfel i połóż go na masce. Zrobił, co mu kazałam, i przesunął portfel w moją stronę.

- Jak się nazywasz?

- Jimmy Manetti.

Otworzyłam jego portfel i udawałam, że coś widzę w rozmytym blasku samochodowych świateł.

- Dlaczego mnie śledziłeś?

Próbował wzruszyć ramionami.

- Myślałem, że też szukasz.

- Szukam czego?

- Imprezy. U Kay i Lisy.

- Jakich Kay i Lisy?

- Nie wiem, jak się nazywają. Kay i Lisa. No te kelnerki. Z baru „Steamer’s”.

- Jezu Chryste - wymamrotałam, rzucając portfel z powrotem na maskę samochodu. - Czy zdajesz sobie sprawę, że jesteś kompletnym idiotą?

- Tak. Chyba tak.

Potrząsnęłam głową i opuściłam pistolet. Niedawny skok adrenaliny i myśl, że o mało nie zastrzeliłam niewinnego kretyna, sprawiły, że cała się trzęsłam.

- Następnym razem zachowaj większą odległość, na miłość boską - powiedziałam, idąc do samochodu. - Kolejna osoba, której będziesz deptał po piętach, może okazać się nie tak miła jak ja.

Zostawiłam Jimmy’ego z rękami wciąż w górze, wyjechałam ze ślepej uliczki i ruszyłam w drogę powrotną. Bardzo powoli. Staralam się uspokoić bicie serca i zebrać myśli.

W domu, do którego weszła Paris Montgomery, paliły się światła. Przed domem jej pies gonił własny ogon. Na podjeździe stał jakiś samochód.

Klasyczny kabriolet porsche z opuszczanym dachem i indywidualną tablicą rejestracyjną: LKY DOG.

Szczęśliwy Pies.

Trey Hughes.

XXXVI

- Z pewnością pojechali tam, ustawili taśmę i podłożyli kasetę, zanim jeszcze do państwa zadzwonili - powiedział Landry.

Zebrał się w sali konferencyjnej. Byli tam Landry, Weiss, Dugan i Armedgian. Do grupy dołączył major Owen Cathcart, szef wydziału dochodzeniowego,

który miał zdawać relację z ich poczynañ szeryfowi Sacksowi. Oprócz policjantów w pokoju znajdowali się Krystal i Bruce Seabrightowie oraz kobieta z Biura Ochrony Ofiar, której nazwiska Landry nie zapamiętał.

Obie kobiety usiadły na uboczu; Krystal trzęsa się jak szczeniak, miała zapadnięte oczy, a jej włosy przypominały utlenioną perukę klauna. Bruce wcale nie cieszył się z jej obecności na posterunku i nalegał, by poszła do domu i pozwoliła mu wszystkim się zająć. Krystal udawała, że go nie słyszy.

- Na terenie posiadłości w ciągu ostatnich trzech tygodni nie odbywał się żaden turniej - powiedział Weiss. - Miejsce jest zamknięte, ale mowa o kłódkach. Ze względu na lokację nigdy nie było potrzeby trzymać tam specjalnej ochrony. Włamanie na ten teren nie stanowi większego problemu.

- Znalaziono jakieś odciski palców? - zapytał Cathcart.

- Kilkaset - odpowiedział Landry. - Ale ani jednego na kasecie magnetofonowej, kasecie wideo, mechanizmie zegarowym, konsoli...

- A czy ktoś stara się zrobić coś z kasetą, by brzmiała po ludzku?

- Tak, chłopaki z laboratorium nad nią pracują - powiedział Dugan.

- A co jest na kasecie wideo? Zobaczmy ją.

Landry zawahał się, popatrzył na Krystal i siedzącą przy niej kobietę.

- Wie pan, nagranie jest dość drastyczne. Nie wiem, czy rodzina...

- Chcę to zobaczyć - przerwała mu Krystal, odzywając się po raz pierwszy.

- Krystal, na miłość boską - warknął Bruce, który chodził w tę i z powrotem za jej plecami. - Czemu chcesz oglądać coś takiego? Oficer przecież mówi ci...

- Chcę to zobaczyć - powtórzyła Krystal z naciskiem. - To moja córka.

- I chcesz widzieć, jak jakiś zboczeniec się na niej wyżywa? Bo to miał pan na myśli, prawda, Landry?

Landry zacisnął szczęki. Seabright prosił się o to, by dzielić go po mordzie. Tylko cudem uda mu się uniknąć tego przed końcem śledztwa.

- Powiedziałem, że kasetka jest brutalna. Nie sfilmowano gwałtu, ale Erin została ciężko pobita. Radziłbym, by pani tego nie oglądała, pani Seabright.

- Krystal, nie ma powodu... - zaczął Seabright.

Żona znów mu przerwała.

- To moja córka.

Krystal wstała, mocno zaciskając trzęsące się ręce.

- Chcę to zobaczyć, panie Landry. Chcę zobaczyć, co mój mąż zrobił mojej córce.

- Ja? - Bruce zrobił się czerwony na twarzy, wydał odgłos, jakby się czymś udławił lub miał zaraz dostać zawału serca. Spojrzał na stojących w pokoju policjantów. - Przecież ja również jestem tu ofiarą!

Krystal gwałtownie zwróciła się w jego stronę.

- Jesteś tak samo winny, jak ludzie, którzy ją zabrali.

- To nie ja wciągnąłem w to wszystko policję. Mówili przecież - żadnej policji.

- Ty nic byś nie zrobił - z wyrzutem powiedziała Krystal. - Nie powiedziałbyś mi nawet, że Erin została porwana.

Bruce wyglądał na zmieszanego. Usta drżały mu ze złości. Podeszedł do żony i znizowanym głosem powiedział:

- Krystal, to nie miejsce i czas, by o tym rozmawiać.

Zignorowała go, zwracając się wprost do Landry'ego:

- Chcę zobaczyć kasetę. To moja córka.

- Tak jakby cię to obchodziło - wymamrotał Bruce. - Kotki są lepszymi matkami.

- Myślę, że to ważne, by pani Seabright obejrzała przynajmniej część nagrania - kobieta z Biura Ochrony Ofiar dorzuciła swoje trzy grosze. - Zawsze możesz poprosić o zatrzymanie kasety, Krystal.

- Chcę to zobaczyć.

Krystal podeszła do przodu, stąpając niepewnie w wysokich szpilkach z imitacji lamparciej skóry. Wyglądała krucho, jak porcelanowa figurka, którą najlżejsze dotknięcie może roztrzaskać na tysiące barwnych odłamków. Landry chwycił ją pod ramię. Dopiero wtedy kobieta z Biura Ochrony Ofiar ruszyła grube dupsko i podeszła, by stanąć obok Krystal i zaferować jej swoją pomoc.

- Postępuje pani wbrew mojej dobrej radzie, pani Seabright - powiedział Dugan.

Krystal spojrziała na niego wściekle wytrzeszczonymi oczami.

- Chcę to zobaczyć! - wrzasnęła. - Ile razy mam wam powtarzać? Czy muszę wam to wykrzyknąć? Mam się postarać o nakaz sądowy? Chcę to zobaczyć!!

Dugan podniósł rękę, dając do zrozumienia, że rezygnuje z dalszego sporu.

- Puścimy kasetę. Proszę mi tylko powiedzieć, kiedy mam ją zatrzymać.

Kiwnął głową do Weissa, a Weiss wsunął kasetę do odtwarzacza stojącego na szafce przy drzwiach, pod dwudziestojednocalowym telewizorem.

Wszyscy bez słowa patrzyli w ekran, na którym pojawił się pokój, w czymś, co wyglądało na wnętrze przychodni mieszkalnej. Poznać to można było po małym, brudnym okienku w aluminiowej ramie. Ktoś palcem namazał w kurzu jedno słowo: POMOCY, w lustrzanym odbiciu, tak, by można go było odczytać z zewnątrz.

Była noc. Scenę oświetlała jedna, goła żarówka.

Erin Seabright siedziała nago na brudnym, poplamionym materacu, przykuta za nadgarstek do zardzewiałej ramy łóżka. Landry z trudem rozpoznawał w niej dziewczynę z fotografii. Dolna warga była pęknięta i oblepiona zaschniętą krwią. Rozmazany tusz tworzył wokół oczu sine kręgi. Ramiona i nogi były pokryte ranami i sińcami. Siedziała z podkulonymi nogami, starając się ukryć swoją nagość. Patrzyła wprost w kamerę oczami rozszerzonymi z przerażenia, po policzkach płynęły łzy.

- Dlaczego mi nie pomagasz? Prosiłam cię, żebyś mi pomógł! Dlaczego nie możesz po prostu zrobić tego, czego od ciebie chcę?! - zapytała drżącym głosem, pod którym wyczuwało się narastającą histerię. - „Czy aż tak mnie nienawidzisz? Czy nie wiesz, co on mi teraz zrobi? Dlaczego mi nie pomożesz?!

- O mój Boże - szepnęła Krystal. Dłonią zasłoniła usta. Do oczu napłynęły jej łzy i popłynęły w dół, po policzkach. - O mój Boże, Erin!

- Ostrzegaliśmy was - powiedział metalicznie brzmiący, zniekształcony głos, wyraźnie oddzielając słowa. - Złamaliście zasady. Dziewczyna zostanie ukarana.

Zza kamery na plan weszła postać ubrana na czarno od stóp do głów - czarna maska, czarne ubranie, czarne rękawiczki - i zaczęła zbliżać się do łóżka. Z ust Erin wydobyło się ciche skomlenie. Starata się uciec jeszcze dalej w głąb łóżka, wcisnąć w ścianę, zakryć głowę wolną ręką.

- Nie! Nie! - krzyczała. - To nie moja wina!

Zamaskowany człowiek uderzył ją szpicrutą. Landry poczuł, jak instynktownie kurczy się na dźwięk bata uderzającego o skórę. Szpicruta opadała ze świsem raz za razem, smagając jej ręce, nogi, plecy i pośladki. Dziewczyna krzyczała straszliwym, rozdzierającym głosem, który przesywał Landry'ego niczym lodowate ostrze.

Dugan zatrzymał taśmę bez niczyjej sugestii.

- Mój Boże - wyszeptał Bruce, odwrócił się i potarł twarz dłonią.

Krystal opadła w ramiona kobiety i próbowała płakać, ale z jej otwartych ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Landry wziął ją pod rękę z jednej strony, Weiss z drugiej i razem posadzili ją na krzesła.

Bruce Seabright stał, nie ruszając się z miejsca - dupek - patrzył na kobietę, którą poślubił, i wyglądał tak, jakby chciał natychmiast zażądać rozwodu.

- Mówiłem ci, że tylko cię to zdenerwuje - powiedział.

Krystal siedziała na krzesle zgięta wpół, z twarzą w dłoniach i podciągniętą sukienką.

Landry odwrócił się od niej, podszedł do Bruce'a i cicho wycedził przez zęby:

- Gdybyś mógł choć na chwilę przestać myśleć wyłącznie o własnym tyłku, odrobina udawanego współczucia byłaby teraz na miejscu.

Seabright miał w sobie dość buty, by przyjąć wyraz oburzenia.

- To nie ja tu zawiniłem! To nie ja zadzwoniłem po was, podczas gdy porywacze wyraźnie powiedzieli, by tego nie robić.

- Nie! - krzyknęła Krystal, unosząc głowę. - Bo ty nikogo byś nie wezwał! W ogóle nic byś nie zrobił!

- Erin już dawno byłaby w domu, gdyby ta detektyw nie wsadziła w to swojego nosa - powiedział Bruce ze złością. - Miałem wszystko pod kontrolą. Wypuściliby ją. Zrozumieliby, że nie poddam się ich terrorystycznym szantażom, i musieliby ją wypuścić.

- Ty jej nienawidzisz! - Piskliwie krzyczała Krystal. - Ty chcesz, żeby ona zginęła! Nie chcesz jej już nigdy widzieć!

- Na miłość boską, Krystal! Przecież ty też tego nie chcesz! - podniesionym głosem powiedział Bruce. - Jest niczym więcej, jak tylko żalonym śmieciem, takim samym, jakim byłaś ty, zanim cię znalazłem. Ale to nie znaczy jeszcze, że chcę, by zginęła.

- Wystarczy - powiedział Landry, podchodząc do Seabrighta. - Wychodzisz stąd. Już.

- Dałem ci życie, jakiego nigdy byś nie miała, o jakim mogłabyś tylko marzyć - mówił Seabright do swojej żony. - I nie chciałaś, żeby Erin coś w nim popsukała. Sama wyrzuciłaś ją z domu.

- Bo się bałam! - krzyknęła Krystal. - Bałam się!

Łkając, osunęła się z krzesła na podłogę i zwinęła w kłębek.

- Wyjdź! - krzyknął Landry, wskazując Seabrightowi drzwi.

Seabright odepchnął go i wyszedł na korytarz. Landry i Dugan wyszli za nim.

- Wnioś oskarżenie! - oświadczył Seabright, wściekły.

Landry popatrzył na Seabrighta, jakby ten postradał zmysły.

- Co?!

- Chcę, by ta kobieta stanęła przed sądem!

- Twoja żona?

- Estes! Nie doszłoby do tego wszystkiego, gdyby nie ona.

Dugan spojrział na Landry'ego.

- O czym on mówi?

Landry zignorował go i przystąpił do Seabrighta.

- Twoja pasierbica została porwana. W tym nie ma winy Estes.

Seabright wycelował w niego palec.

- Pozbawię ją licencji. Wzywam mojego adwokata. Nigdy nie chciałem, aby ktokolwiek z was w to się mieszał, a teraz proszę, do czego doszło. Pozwę cały ten wydział i Elenę Estes.

Landry pchnął go i przycisnął do ściany.

- Następnym razem zastanów się dwa razy, zanim zaczniesz rzucać takie pogrożki, ty tłusty kutasie!

- Landry! - krzyknął Dugan.

- Znajdę jedną jedyną rzecz, która wiąże cię z tą sprawą, i będziesz mógł się pożegnać z całym swoim zasranym życiem.

- Landry!

Dugan złapał go mocno za ramię. Landry odtrącił jego rękę i odsunął się, wciąż wściekle wpatrzony w Seabrighta.

- Proszę się przejść, detektywie Landry - powiedział Dugan.

- Niech go pan zapyta, co miała na myśli - powiedział Landry. - Niech go pan zapyta, co miała na myśli Erin, mówiąc, że prosiła go o pomoc. Kiedy prosiła? Dlaczego my nic o tym nie wiemy? Chcę dostać nakaz przeszukania jego domu. A zwłaszcza biura tego skurwysyna. Jeśli ukrywa dowody, niech zgnije w więzieniu.

- Proszę odejść - powtórzył Dugan. - Natychmiast.

Landry udał się w dół korytarzem do sali odpraw, podszedł do swojego biurka i wydobył z szuflady paczkę marlboro lightów. W zasadzie rzucił palenie, ale w pewnych sytuacjach czynił wyjątek. To była właśnie jedna z takich sytuacji. Wytrząsnął z paczki papierosa, wziął zapalniczkę i wyszedł przed budynek. Zapalił i zaczął nerwowo spacerować po chodniku.

Trząsał się. Chciał wrócić do środka i pobić Bruce'a Seabrighta do nieprzytomności. Skurwysyn. Córka jego żony została porwana, a jego sposób na rozwiązanie problemu to nic nie robić: niech umrze. Niech ją zgwałcą, zabiją i wrzucą do kanału. Chryste.

„Dlaczego mi nie pomagasz? Prosiłam cię, żebyś mi pomógł! Czy aż tak mnie nienawidzisz?”

Seabright nie wspominał, że rozmawiał z Erin osobiście. Landry był gotów założyć się o całą wypłatę, że ten dupek miał gdzieś schowaną jeszcze jedną kasetę. Kasetę, na której Erin błaga o pomoc. A Bruce Seabright nawet nie kiwnął palcem.

Ale przecież to nie przez niego Erin została ukarana.. Siedziała w tej brudnej przyczepie, przykuta nago do łóżka, i została pobita szpicrutą, ponieważ reguły zostały złamane i do sprawy włączyło się biuro szeryfa.

Być może to Estes zdradziła się przed kimś z tego gniazda szerszeni. Rozmawiała ze wszystkimi znajomymi Erin. Być może ktoś z nich domyślił się, że nie jest tym, za kogo się podaje - na przykład Van Zandt.

Wszyscy ludzie związani z Jade'em zostali przesłuchani w sobotę w związku z zabójstwem Jill Morone. W trakcie rozmów pojawiło się imię Erin. Jade mógł z tego wywnioskować, że policja zajmuje się sprawą jej porwania.

Może dom Seabrightów obserwował ktoś z okolicznych mieszkańców, w to jednak Landry wątpił. Przejrzał raporty o sąsiadach, znał ich rodziny, miejsca pracy, powiązania - i nic z nich nie wynikało.

Może porywacze założyli w domu podsłuch? Pomysł wydawał się jednak bardzo naciągany. Seabright nie był multimilionerem, by ktoś miał zadać sobie aż tyle trudu.

A może porywacze mieli informacje z samego źródła? Od tego chłopaka, syna Seabrighta. Albo od niego samego.

Co lepiej chroni przed podejrzeniami niż współpraca z policją, na którą można potem zwalić odpowiedzialność za niepowodzenie akcji? Seabright nigdy nie zainteresowałby się losem Erin, gdyby nie zmusiła go do tego Estes. Zrobiłby z pewnością to, co przewidywał Landry - zatrzymał wszystkie informacje dla siebie do chwili, gdy dziewczyna zostałaby znaleziona martwa, jeśli w ogóle kiedykolwiek zostałaby znaleziona. A wtedy powiedziałby żonie, że zrobił wszystko, co w jego mocy, wszystko, co uznał za najlepsze. Szkoda, że nic z tego nie wyszło, ale co tam, Erin była przecież tylko śmieciem, którego i tak należało się pozbyć.

Papieros się skończył. Landry rzucił niedopałek na chodnik, zgasił go obcasem, podniósł i wrzucił do kubła.

A jaka w tym wszystkim była rola Jade'a?

Estes dowiedziała się, że Seabright sprzedał ziemię Treyowi Hughesowi, a Don Jade pracował dla Hughesa. Dziewczyna zrobiłaby dużo lepiej, gdyby uciekła z domu, by żyć na ulicach Miami.

Estes powiedziała mu na początku, że wszystko kręci się wokół Jade'a. Wyglądało jednak na to, że wszystko kręci się wokół Treya Hughesa.

Landry wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer Dwyera, który pilnował Jade'a.

- Gdzie on jest?

- Je obiad w „Michael's Pasta”. Danie dnia: spaghetti puttanesca i risotto z owocami morza.

- Z kim tam siedzi?

- Z jakąś starszą babką z dużymi, sztucznymi cyckami i pomarańczowymi włosami. Mam go zwinąć?

- Nie.

- Co się stało podczas dostarczania okupu?

- Wystawili nas. Wiedzieli, że tam będziemy.

- Skąd?
- Mam pewne podejrzenia. Czy wiesz, gdzie są federalni?
- Siedzą na tyłku z założonymi rękami. Mówią, że Van Zandt przez cały dzień nie opuścił rezydencji. Jego mercedes stoi na podjeździe.
- A gdzie jest samochód tej kobiety, Carlton?
- Mnie o to nie pytaj. Ja wykonuję swoją robotę.
- Świetnie.

Landry żałował, że nie ma przy sobie drugiego papierosa, gdy patrzył, jak Dugan wyprowadza Seabrighta z budynku. Seabright przeszedł przez parking, wsiadł do swojego jaguara i odjechał. Brak jego żony na przednim siedzeniu był znaczący. Dugan odwrócił się i podszedł do Landry'ego.

- Muszę spadać - rzucił Landry do słuchawki i rozłączył się.
- Co wiesz o Elenie Estes? - zapytał go Dugan.
- Pracowała kiedyś w wydziale narkotyków.
- A co wiesz o jej pracy w charakterze prywatnego detektywa?
- Wiem, że nim nie jest.
- To czemu Seabright myśli inaczej?

Landry wzruszył ramionami.

- A czemu on w ogóle cokolwiek myśli tak, a nie inaczej? Bo jest pieprzonym dupkiem. Myśli na przykład, że nie ma nic złego w tym, że jacyś zboczeńcy przetrzymują osiemnastoletnią dziewczynę i obijają ją batem.

- Co masz mi do powiedzenia na temat Estes w związku z tą sprawą? - twarz Dugana była napięta od hamowanej złości.

- Tyle, że nie byłoby żadnej sprawy, gdyby do mnie nie przyszła i nie powiedziała mi, co się stało - odpowiedział Landry.

- Jest więc w to zamieszana.
- To wolny kraj.
- Nie aż tak wolny - powiedział Dugan. - Sprowadź ją tutaj.

XXXVII

Nagle zrozumiałam, że dom na wsi, w Loxahatchee, miał dużo sensu. To miejsce - położone na uboczu, z dala od tłumów koniarzy - było idealne, by prowadzić sekretny romans.

Najwyraźniej Jade nie był w swojej stajni jedyną osobą, która uprawiała gry sypialniane dla zysku. Jeśli Trey Hughes był w domu Paris w celu innym niż dyskusja na temat dzisiejszego występu jego konia, to Paris Montgomery złapała najbogatszego klienta Jade'a. Zapewne z premedytacją.

Może Jade o tym wiedział. Może nawet dał im swoje błogosławieństwo. Może Paris była gwarantem zainteresowania Hughesa stajnią Jade'a.

Ale instynkt podpowiadał mi, że jest inaczej. Wcześniej nie zauważyłam żadnych oznak bliskości między Paris i Treyem. Po tym, jak zachowywali się na co dzień, można było sądzić, że łączą ich jedynie sprawy zawodowe. Klient i trenerka.

Paris była dziewczyną bystrą i ambitną. Sądziła zapewne, że jeśli uczyni Treya szczęśliwym, to on stokrotnie jej to wynagrodzi. Wracając do Wellington, zastanawiałam się tylko, czy Paris wie, że Trey był wcześniej związany z żoną Michaela Berne'a, lecz nie zapewniło to Michaelowi posady w nowej, ekskluzywnej stajni Hughesa - Stelli Berne również nie.

Ciekawiło mnie również, od jak dawna trwa ich romans. Hughes przeniósł swoje konie do Jade'a przed mniej więcej dziewięcioma miesiącami, co oznaczało, że jego konie spędziły ostatnie lato w stajni w Hamptons. Trey prawdopodobnie również tam się udał, by popławić się trochę w tamtejszym towarzystwie. I wtedy między nim i Paris mogło coś zaискrzyć.

Z takimi myślami w głowie wróciłam do Wellington, przejeżdżając koło Sag Harbor Court. Mercedes, którego Trey Hughes użyczył Van Zandtowi, stał na podjeździe. Kilka metrów dalej, na parkingu dla gości, stał ciemny ford taurus, a w nim siedziało dwóch mężczyzn w koszulach i krawatach.

Federalni.

Zaparkowałam kawałek dalej i podeszłam do ich samochodu. Facet na siedzeniu kierowcy opuścił szybę.

- Do waszej informacji, panowie - powiedziałam. - Dziś rano widziałam, jak wysiadał z ciemnoniebieskiego chevroleta.

Facet w samochodzie popatrzył na mnie typowym, pozbawionym wyrazu wzrokiem policjanta.

- Słucham?

- Mówię o Tomasie Van Zandcie. Człowieku, którego podobno macie pilnować.

Popatrzyli na siebie, a potem znów na mnie.

- Przepraszam, kim pani jest? - zapytał kierowca.

- Kiedyś byłam przyjaciółką tego kutasa, Armedgiana. Przekażcie mu moje słowa.

Zostawiłam ich siedzących z minami dupków; przez cały dzień pilnowali samochodu, który nie ruszył się z podjazdu.

A Tomas Van Zandt był gdzieś na wolności.

„Do zobaczenia, Elle Stevens...”

Położyłam pistolet na siedzeniu dla pasażera i pojechałam do domu - czekać.

Gdy dojechałam do farmy, nie zauważyłam żadnych oznak włamania. Wiedziałam, że Sean nigdy nie podałyby Van Zandtowi kodu do bramy wjazdowej. Ale moje nerwy i tak były napięte jak postronki.

Zaparkowałam koło stajni i poszłam sprawdzić, co u koni. Poruszałam się wzdłuż boksów powoli, z pistoletem przygotowanym do strzału. Koło każdego zwierzęcia przystawałam, by poklepać je po głowie lub podrapać za uchem, a napięcie stopniowo opadało ze mnie przy kolejnych boksach. Oliver chciał zjeść pistolet. Feliki postawiła uszy, przypominając, że jest w końcu kłaczą alfa, a potem zażądała czegoś dobrego do jedzenia. D'Artagnan chciał tylko, by podrapać go po szyi.

Pomyślałam o Erin Seabright, którą widziałam na kasecie w sypialni Van Zandta, o tym, jak śmiała się do Stellara. Zastanowiłam się, czy te wspomnienia były dla niej pociechą, czy udręką tam, gdzie była teraz.

Chciałam zadzwonić do Landry'ego i dowiedzieć się, co wydarzyło się przy doręczaniu okupu, ale nie mogłam sobie na to pozwolić. Nie był moim przyjacielem ani powiernikiem, nie zrozumiałby tej prośby. Miałam nadzieję, że zatelefonuje do mnie Molly, ale nie spodziewałam się, że będzie wiedzieć cokolwiek o przebiegu akcji. Jakikolwiek był wynik operacji, w biurze szeryfa odbywała się teraz narada. W tym czasie z pewnością nikt nie pomyśli, by powiadomić Molly o tym, co się działo.

Nie miałam nic innego do roboty, jak tylko czekać. Przypomniało mi się, że w samochodzie mam telefon Paris Montgomery. Zabrałam go stamtąd w drodze do domu i usiadłam z nim przy biurku.

Była to nokia 3390. Ikonka na wyświetlaczu informowała, że Paris ma nowe wiadomości głosowe, ale nie miałam możliwości ich odsłuchać, gdyż nie znałam

jej hasła. Pamiętałam jednak, że ten model automatycznie przechowuje numery dziesięciu ostatnich rozmówców. Przewinęłam listę do ostatniego z nich - bingo, poczta głosowa. Powyżej: Jane L - komórka, Don - komórka.

Na podjeździe błysnęły światła samochodu.

To nie mógł być Sean. Nigdy nie widziałam go wjeżdżającego na farmę, gdyż zawsze jechał prosto do garażu położonego za głównym domem.

Może Irina.

A może nie.

Odłożyłam telefon, podniosłam glocka, wyłączyłam jedyną zapaloną lampę i wyjrzałam za okno.

Światło latarni świecącej nad stajnią nie dochodziło do samochodu. Ale gdy kierowca wysiadł i zaczął zbliżać się do mojego domu, po chodzie poznałam, że to Landry.

Serce zabiło mi szybciej. Mógł mieć jakieś wiadomości. Otworzyłam drzwi, zanim do nich podszedł. Zatrzymał się i podniósł ręce, patrząc na pistolet, który wciąż trzymałam w ręce.

- Nie zabijaj posłańca - powiedział.

- Złe wieści?

- Tak.

- Nie żyje?

- Z tego, co nam wiadomo, żyje.

Oparłam się o framugę drzwi i odetchnęłam z ulgą, czując jedną-cześnie, jak robi mi się niedobrze.

- To co się stało?

Opowiedział mi o dostawie, nagranej wiadomości uruchamianej zegarem i kasecie, na której Erin jest bita.

- Mój Boże - powiedziałam, pocierając rękami twarz. Czułam to tylko po jednej stronie. W tamtej chwili pragnęłam cała stracić czucie. - O mój Boże... Biedne dziecko.

„Złamaliście zasady. Dziewczyna poniesie karę”.

Złamanie zasad było moim pomysłem. W ten sposób działałam całe moje życie, nigdy nie zastanawiając się nad konsekwencjami - dopóki nie było za późno. I nigdy nie dało mi to żadnej nauczki. A teraz cenę płać Erin Seabright.

Powinłam była w którymś momencie postąpić inaczej. Gdybym nie nalegała, by do akcji włączyło się biuro szeryfa...

- Nie zdręczaj się, Estes - cicho powiedział Landry.

Zaśmiałam się.

- To jedna z niewielu rzeczy, które dobrze mi wychodzą.

- Nieprawda - zaprotestował miękko.

Był bardzo blisko. Nasze cienie na kamiennych płytach patio nachodziły na siebie, gdy staliśmy tak w świetle płynącym z wnętrza domu. Gdybym była inną kobietą, mogłabym w tym momencie zwrócić się do niego o pomoc, oprzeć się na jego ramieniu. Nie pamiętałam jednak, kiedy po raz ostatni z własnej woli okazałam przed kimś słabość. Nie wiedziałam nawet, jak się to robi. Nie byłam też pewna, czy Landry po prostu by się nie odsunął.

- Wina nie leży tylko po twojej stronie - powiedział. - Czasem sprawy po prostu same układają się tak, a nie inaczej.

Dwadzieścia cztery godziny temu użyłam tych samych słów.

- Wszystko, co powiem, może być - i jak słyszę, jest - użyte przeciwko mnie.

- Wszystko, co może pomóc.

- A tobie pomogło to, co powiedziałam?

Pokręcił głową.

- Nie, ale brzmiało niezłe.

- Dzięki.

- Nie ma za co.

Patrzyliśmy na siebie trochę za długo. Potem Landry potarł ręką kark i zajązwał w głąb mieszkania.

- Mogę skorzystać z twojej szkockiej? To był cholernie ciężki dzień.

- Pewnie.

Podszedł do kredensu i nalał sobie trochę whisky, która była chyba w tym samym wieku, co ja. Pociągnął ze szklanki mały łyk. Siadłam na poręczy krzesła i przyglądałam mu się.

- Gdzie był Jade w czasie zrzucenia okupu?

- W West Palm, na spotkaniu z rodzicami Jill Morone. Przylecieli dziś z Buttercrack w Wirginii i zażądali, aby Jade zobaczył się z nimi osobiście.

- AVanZandt?

Pokręcił głową, zaciskając zęby.

- Dziś rano pojawił się u nas twój przyjaciel z FBI.

- Mówisz o Armedgianie? To nie jest mój przyjaciel - przedzej twój.

- Nagle zjawił się tu, by „dawać wskazówki i doradzać”. Jego ludzie pilnują Van Zandta.

- Jego ludzie pilnują samochodu na podjeździe. A Van Zandt był tu dziś rano swoim chevroletem.

Landry spojrzał na mnie przenikliwie.

- Co on tu robił?

- Przyszedł mnie ostrzec, jak sądzę.

- Wie, że to ty byłaś w jego domu zeszłej nocy?

- Chyba tak.

- Nie podoba mi się to.

- A co ja mam powiedzieć?

Upił łyk szkockiej i zamyślił się na chwilę.

- Cóż... Nie było go przy dostarczeniu okupu.

- To jeszcze nie znaczy, że nie ma nic wspólnego z porwaniem. Jade też, skoro o tym mowa. Podłączenie taśmy do zegara pozwoliło porywaczom zapewnić sobie idealne alibi na ten czas.

- No i chcieli też ukarać Seabrighta.

- Musieli wiedzieć, że tam będziecie. Od początku nie mieli zamiaru się pokazać - ani z Erin, ani bez niej.

- Będziemy nad tym jeszcze pracować.

- Wiem. Ale od razu ci powiem, że dla Erin nie oznacza to nic dobrego. Wiedzą, że nie dostaną pieniędzy. Nic więc nie zyskują, trzymając ją przy życiu.

- Mogą wciąż uprawiać gry i zabawy z użyciem szpicruty - powiedział Landry. Patrzył w podłogę ze spuszczoną głową. - Jezu. Powinnaś to zobaczyć. Jeśli w ten sposób traktuje swoje konie, SPCA* powinno wsadzić go za kratki.

* SPCA (Society for the Prevention of Cruelty to Animals) - organizacja zajmująca się ochroną praw zwierząt.

- Masz na myśli Jade'a? - zapytałam. - Jestem pewna, że wiesz na jego temat coś, czego nie chcesz mi powiedzieć, ale mam poważne wątpliwości, czy to facet, którego szukamy.

- To ty mi powiedziałaś, że wszystkie ślady prowadzą do niego.

- W pewnym sensie tak jest. Ale z drugiej strony coś mi tu nie gra. Pracując dla Hughesa, jest w niezwykle dogodnej sytuacji: kupuje dla niego drogie konie i ma w perspektywie trenowanie ich w luksusowej stajni. Dlaczego miałby ryzykować to wszystko i brać udział w czymś tak chorym jak porwanie Erin?

- Erin wiedziała, że zabił tego konia.

- Więc czemu po prostu się jej nie pozbył? Jesteśmy w południowej Florydzie. Nigdzie na świecie nie pozbędziesz się trupa z większą łatwością. Po co maczać palce w brudnej aferze?

Landry wzruszył ramionami.

- Więc to psychol, który myśli, że może sobie na wszystko pozwolić.

- Mogłabym zgodzić się na to wyjaśnienie, gdybyśmy mówili o Van Zandcie. Ale nie wyobrażam sobie, że Jade przystaje na plan porwania i decyduje się na współpracę z nieobliczalnym świrem.

Landry pociągnął kolejny łyk ze szklanki, zastanawiając się - jak sądziłam - czy mi o czymś powiedzieć.

- Udało nam się ustalić, że jeden z numerów, które spisałaś u Seabrighta, należy do telefonu na kartę kupionego w „Radio Shack” - sklepie w Royal Palm Beach. Po zobaczeniu zdjęcia Jade’a żaden z pracowników nie potwierdził, że widział go ostatnio w sklepie. Ale jeden z nich przypomina sobie, że chyba jakiś czas temu odebrał telefon od kogoś, kto przedstawił się tym nazwiskiem, zadał pytania na temat telefonów i prosił, by odłożyć dla niego jakiś aparat.

- Dlaczego Jade miałby zrobić coś tak głupiego? To nie w jego stylu.

Landry wzruszył ramionami.

- Myślał pewnie, że telefon na kartę jest nie do wyśledzenia, więc nie ma znaczenia, że będzie o tym z kimś rozmawiał.

Wstałam i zaczęłam nerwowo chodzić w kółko.

- Jade nie doszedłby do tego, co ma, gdyby był idiotą. Jeśli chciał, żeby ten gość odłożył dla niego aparat, dlaczego nie podał zmyślnego nazwiska? Albo samego imienia? Nie, to nie ma najmniejszego sensu.

- Taki mamy trop - powiedział Landry obronnym tonem. - Nie mogę go zignorować. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że nawet bandyci czasem coś spieprzą. Robią się nieostrożni. Popołniają błędy.

- Taa... Tylko może tym razem ktoś zrobił ten błąd za niego.

- Twierdzisz, że ktoś może chcieć go zrobić?

- Na to chyba wygląda. Jade mógłby na tym więcej stracić niż zyskać.
- Ale przecież robił już takie rzeczy - przekręty ubezpieczeniowe, mordowanie koni.
- To co innego.
- Hieny nie zmieniają swych zwyczajów.
- Posłuchaj. Nie chcę go bronić. Myślę po prostu, że w tym koszyku jest więcej zgniłych jabłek i warto im się przyjrzeć. Co miał do powiedzenia Michael Berne o tamtej nocy, kiedy zginęła Jill?
- Był umówiony w „The Players” na drinka z klientem, który się nie pokazał. Wyszedł do holu, żeby do niego zadzwonić, i zobaczył scenę między Jill i Jade’em.
- A potem?
- Poszedł do domu i spędził wieczór z żoną. Przewróciłam oczami.
- Ach tak. Uczynna pani alibi.
- O czym ty mówisz? - Landry zaczął się irtypować. - Myślisz, że Berne to wszystko zaplanował? Dlaczego?
- Tego nie powiedziałam. Nadal nie mogę zrozumieć, dlaczego ktokolwiek miałby ryzykować wpadkę przy porwaniu. Ale Berne szczerze nienawidzi Jade’a i pała wolą zemsty - nie patrz tak na mnie, mówię poważnie. Berne wiele stracił, gdy Hughes przestał być jego klientem. Jest książkowym przykładem zgorzknienia. Mógł zabić konia. Może sądzi, że gdy Jade zniknie ze sceny, on wróci do łask Hughesa. A nawet gdyby do tego nie doszło, Berne miałby wystarczającą satysfakcję z samego zrujnowania Jade’owi życia.
- A czy Van Zandt pasuje na jego współnika? Bo wciąż chyba wierzysz, że to on zabił Jill, prawda?
- Tak, ale może Van Zandt w ogóle nie pasuje do tego scenariusza. Może zabił Jill z pobudek czysto seksualnych. A może jest współnikiem Berne’a. Lub Paris Montgomery, która - tak przy okazji - pieprzy się z Hughesem. Ale nie uwierzę w to, że Van Zandt jest współnikiem Jade’a. No właśnie, jest jeszcze Trey Hughes. Cały ten koszmar kręci się wokół niego.
- Jezu, co za burdel - mruknął Landry. Skończył szkocką i odstawił szklanekę na stolik.
- Na twoim miejscu nie wspominałbym o tym wszystkim poręcznikowi Duganowi.

- Czemu miałabym w ogóle z nim rozmawiać?

Odezwwał się pager Landry'ego. Spojrzała na niego, a potem na mnie.

- Bo właśnie wzywa cię do swojego biura.

Landry przytrzymał mi drzwi, gdy wchodziliśmy do budynku biura szeryfa. Nie byłam na tyle uprzejma, by mu podziękować. Moje myśli krążyły wokół spotkania, na którym miałam za chwilę się zjawić. Potrzebowałam dobrej strategii, bo inaczej Dugan i Armedgian odsuną mnie od sprawy bez dwóch zdań.

Czekali w biurze porucznika: Dugan, Armedgian i Weiss. Gdy weszliśmy do środka, Weiss rzucił mi spojrzenie - niby niewzruszone, ale pod jego powierzchnią kłębiła się ledwie powstrzymana nienawiść. Olałam go i podeszłam wprost do Dugana, patrząc mu prosto w oczy i podając dłoń.

- Poruczniku. Elena Estes. Powiedziałaabym, że mi miło, ale z pewnością tak nie będzie. - Odwróciłam się do Armedgiana. - Wayne, dzięki za info o Van Zandcie. Cała prawda byłaby dużo bardziej przydatna, ale co tam. I tak nikt nie lubił Jill Morone.

Twarz Armedgiana zaczerwieniła się.

- Nie mogę podawać poufnych informacji cywilom.

- Pewnie. I co, zadzwoniłeś od razu do porucznika Dugana? Ostrzegłeś go, że powinien natychmiast wysłać kogoś do pilnowania tego gościa?

- Nie mieliśmy podstaw sądzić, iż Van Zandt stanowi dla kogokolwiek bezpośrednie zagrożenie - bronił się Armedgian. - Nie zostałem poinformowany o porwaniu Seabright.

- Z pewnością będzie to duża pociecha dla rodziców Jill Morone.

- Pani troska o rodzinę jest doprawdy wzruszająca, panno Estes - powiedział Dugan. - Choć zaskakująca, zważywszy, jak potraktowała pani Seabrightów.

- Okazałam im należyty szacunek.

- Nie w opinii Bruce'a Seabrighta.

- Jemu szacunek się nie należy, jak z pewnością miał pan okazję zauważyć. Szczerze mówiąc, mam podejrzenia, czy to nie on stoi za tym porwaniem.

- Nie jestem zainteresowany pani teoriami, panno Estes - powiedział Dugan.

- To po co mnie pan tu zaprosił?
- Seabrightowie chcą wnieść na panią skargę. Chyba fałszywie przedstawiła się im pani jako prywatny detektyw.
- To nieprawda.
- A jest pani prywatnym detektywem?
- Nie. Seabrightowie sami poczynili błędne założenie.
- Niech mi pani nie mydli oczu semantyką. Jeśli chce się pani bawić w gierki słowne, to niech pani zostanie prawnikiem.
- Dziękuję za poradę zawodową.
- Szkoda, że nikt jej tego nie powiedział, zanim zabiła jednego z naszych - mruknął Weiss za moimi plecami.
Skupiłam uwagę na Duganie.
- Zajmuję się tą sprawą, żeby pomóc młodej dziewczynce, pełnej strachu o siostrę. Przyszła do mnie, ponieważ nikt - włączając w to pańskich pracowników - nie chciał jej słuchać. To mój jedyny cel, poruczniku. Jeśli Bruce Seabright w jakiś sposób czuje się moimi działaniami zagrożony, to może powinien pan zbadać, dlaczego.
- My się już wszystkim zajmujemy - powiedział Dugan. - Chcę, żeby pani się wycofała. Natychmiast.
Rozejrzałam się po pokoju.
- Uuu... Czy coś mnie ominęło? Znow jestem zatrudniona w policji? Bo jeśli nie, to z całą pewnością nie może pan mówić mi, z kim, gdzie i kiedy mam się spotykać. Jestem osobą prywatną.
- Przeszkadza pani w prowadzeniu policyjnego śledztwa.
- Gdyby nie ja, żadnego śledztwa w ogóle by nie było.
- Nie mogę pozwolić, by osoba prywatna robiła, co jej do głowy przyjdzie, włamywała się do domów i majstrowała przy dowodach rzeczowych...
- Włamanie jest przestępstwem - oznajmiłam. - Jeśli ma pan jakikolwiek dowód na to, że dopuściłam się przestępstwa, powinien mnie pan aresztować.
- Wystarczy jedno słowo, poruczniku - wtrącił Weiss. - Ja spełnię honory domu.
- Van Zandt to teraz nasz kłopot, Elena - powiedział Armedgian. - Szeryfa i FBI.
Spojrzałam na niego, znudzona.

- Aha. No to gratuluje. Van Zandt przyszedł dziś rano do mojego domu, by mi grozić. Gdzie byłeś wtedy, Wayne? I wiesz co? Założę się o sto dolarów, że nie masz pojęcia, gdzie Van Zandt jest teraz. Mam rację?

Jego wyraz twarzy mówił sam za siebie.

- Seabrightowie zamierzają ubiegać się w sądzie o orzeczenie wobec pani zakazu kontaktu z rodziną - powiedział Dugan. - Jeśli podejdzie pani do kogokolwiek z nich, w pobliżu ich domu lub miejsca pracy pana Seabrighta, będziemy musieli panią aresztować.

Wzruszyłam ramionami.

- Żeby mi o tym powiedzieć, wystarczyło przysłać do mnie zwykłego funkcjonariusza. Jeśli nie chce pan poważnie porozmawiać o tej sprawie, traci pan mój czas.

Dugan uniósł jedną brew.

- Ma pani coś ważnego do zrobienia?

Wyjęłam komórkę z kieszeni marynarki, znalazłam odpowiedni numer i wcisnęłam guzik. Wpatrywałam się w porucznika, słuchając sygnału po drugiej stronie słuchawki.

- Van Zandt? Tu Elle. Przepraszam, że tak szybko uciekłam dzisiejszego ranka. Zwłaszcza po tym, z jaką pasją na mnie wrzeszczałeś i ile starań włożyłeś, bym poczuła, że nie nadaję się nawet do jeżdżenia na rowerze, a co dopiero konno.

Po drugiej stronie panowała cisza. Słysząc było jedynie głośnie w tle. Jechał samochodem. Planowałam udawać, że z nim rozmawiam, nawet gdyby się rozłączył. Chciałam, żeby Dugan wiedział, że nie ma nade mną władzy, i żeby zrozumiał, że mogę mu się do czegoś przydać - bez względu na to, czy podoba mu się ten pomysł, czy nie.

- Myślisz, że byłem dla ciebie za ostry? - zapytał Van Zandt.

- Lubię ostro - powiedziałam, akcentując dwuznaczność.

Kolejna chwila ciszy, a potem śmiech.

- Nie znam nikogo takiego jak ty, Elle.

- To dobrze czy źle?

- Myślę, że to trzeba jeszcze sprawdzić. Jestem zaskoczony, że do mnie dzwonicz.

- Jak ćma do płomienia - powiedziałam. - Lubię przy tobie gimnastykować umysł, Zi. Sean i ja wybieramy się na późną kolację do „The Players”. Jesteś wolny?

- W tej chwili nie.
- Może później? - zasugerowałam.
- Nie wiem, czy mogę ci ufać, Elle.
- Czemu nie? Nie zrobię ci nic złego. Nie mam takiej władzy, jestem tu obca.
- Nie ufasz mi - powiedział. - Masz o mnie złe zdanie, zupełnie niesłusznie.
- Więc mnie przekonaj. Udowodnij, że jesteś dobrym człowiekiem. Nigdy nie jest za późno, żeby się zaprzyjaźnić. Poza tym, to tylko parę drinków. Przyprowadź swoją przyjaciółkę, Lorindę. Możesz sprzedać jej konia Seana przy deserre. Do zobaczenia! Ciao!

Zakończyłam rozmowę i wsunęłam telefon do kieszeni.

- Tak - zwróciłam się do Dugana. - Mam niecierpiącą zwłoki sprawę do załatwienia: muszę pójść na randkę z Van Zandtem.

Popatrzyłam na Wayne'a Armedgiana.

- Myślisz, że twoi ludzie wpadną na jakiś trop, obserwując samochód stojący cały dzień na parkingu?

Nie czekałam na odpowiedź.

- Nie było tak źle, panowie - pomachałam im ręką na pożegnanie i wyszłam z pokoju.

Kręciło mi się w głowie. Czułam się tak, jakbym właśnie podeszła do olbrzyma i splunęła mu w oko. Udało mi się za jednym zamachem zrazić do siebie szefa wydziału zabójstw i regionalnego przedstawiciela FBI.

Ale co tam. Mieli o mnie kiepskie mniemanie jeszcze zanim tam weszłam. Poza tym to oni wykluczyli mnie, a nie ja ich. Z radością powiedziałabym im wszystko, co wiem o tej sprawie, ale nie chcieli słuchać. Udało mi się jednak pokazać im, że niełatwo mnie zastraszyć. Znam moje prawa, znam przepisy. I w jednym na pewno się nie mylę: nie mieliby tej sprawy, gdybym nie wierciła o nią dziury w brzuchu Landry'emu i gdybym nie zadzwoniła do Armedgiana z prośbą o informację. Nie dam się im teraz poklepać po głowie i odstawić na boczny tor.

Chodziłam w tę i z powrotem po chodniku przed biurem szeryfa, wdychając gęste i ciepłe powietrze nocy. Zastanawiałam się, czy dobrze to rozegrałam i czy w ogóle ma to jeszcze jakieś znaczenie.

- Nieźle tam narozrabiałaś, Estes.

Landry podszedł do mnie z papierosem w jednej dłoni i zapalniczką w drugiej.

- Tak. Aż się dziwię, że nie oberwałam.

- Myślisz, że Van Zandt pokaże się w „The Players”? - zapytał, odpalając papierosa.

- Spodziewam się, że tak. Za bardzo lubi tę grę. A poza tym jest przekonany, że nic mu nie grozi. Wie, że nic na niego nie macie, bo inaczej już by siedział. Myślę, że przyjdzie przede wszystkim po to, żeby zrobić na złość tobie - i mnie.

Kierowana nagłym impulsem, wyjęłam papierosa z jego dłoni i zaciągnęłam się. Landry patrzył na mnie zagadkowo.

- Palisz?

- Nie - odparłam, wydychając dym. - Rzuciłam wieki temu.

- Ja też.

- Paczka z szuflady biurka?

Odebrał mi papierosa.

- Zostaje to albo butelka. Za palenie nie mogą mnie wyrzucić z roboty. Przy najmniej na razie.

- Weissa wyraźnie coś gryzie. I to coś naprawdę paskudnego.

- Jest niski - powiedział Landry w ramach wytłumaczenia.

- Wiem, że nikt nie się cieszy z mojego udziału w tej sprawie. Ale to ja ją zaczęłam, a poza tym wciąż mogę być bardzo pomocna.

- Tak, wiem. I właśnie rzuciłaś tym mojemu szefowi prosto w twarz.

Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Ten znak aprobaty był dla mnie zdecydowanie zbyt ważny.

- Delikatność jest przereklamowana - powiedziałam. - Poza tym nie mamy czasu na cholerne dreptanie w kółko.

Wzięłam od niego papierosa, by go skończyć i moje usta dotknęły miejsca, w którym przed chwilą były jego. Nie chciałam myśleć, że jest w tym coś erotycznego, ale oczywiście było, i Landry też to wiedział. Nasze spojrzenia spotkały się i nie mogliśmy ich od siebie oderwać, jakby między nami płynął prąd.

- Muszę lecieć - powiedziałam, cofając się.

Landry stał w miejscu.

- A co, jeśli Dugan będzie chciał cię widzieć z powrotem na górze?

- Wie, dokąd jadę. Może wpaść i postawić mi drinka.
Potrzęsnał głową z niedowierzaniem.
- Niezły z ciebie numer, Estes.
- Staram się tylko jakoś przetrwać - powiedziałam, odwróciłam się i poszłam do samochodu.

Gdy wyjeżdżałam z parkingu, światła mojego samochodu omiotły postać Weissa stojącego w drzwiach budynku. Mały kutas. Domyśliłam się, że wygarnie Landry'emu za wypalenie ze mną papierosa, ale to był już problem Landry'ego. Ja miałam własny - czekała mnie randka z mordercą.

XXXVIII

Kobiety. Głupie, niewdzięczne suki. Przez całe życie Van Zandt mizdrzył się do nich, schlebiał im - bez względu na ich wygląd - woził je, by mogły przyjrzeć się koniom, i doradzał. Potrzebowały go, by im mówił, co zrobić, co myśleć, co kupić. Lecz czy okazały mu kiedykolwiek wdzięczność? Nie. Przeważnie były samolubne, niemądre i miały całkiem pusto w głowie. Zasługiwały na to, by je oszukiwać. Zasługiwały na wszystko, co im robił.

Pomyślał o Elle. Ciągłe myślał o niej tym imieniem, choć wiedział, że jest fałszywe. Była inna niż pozostałe. Inteligentna, sprytna i odważna. Myślała z logiką mężczyzny i przebiegłością kobiety. Podniecało go to i prowokowało. Gra była warta świeczki.

I w jednym miała rację: w żaden sposób nie mogła mu zaszkodzić. Policja nie znalazła przeciw niemu żadnych dowodów, był więc wolnym człowiekiem.

Uśmiechnął się do tej myśli, bardzo z siebie zadowolony. Był sprytny, był lepszy od nich wszystkich.

Wyjął telefon, szybko wystukał numer rezydencji i czekał. Nikt nie odbierał, a jego nastrój pogarszał się z każdym sygnałem. Jeszcze jeden i połączy się z automatyczną sekretarką. Nie chciał rozmawiać z pieprzoną maszyną. Gdzie, do diabła, była Lorinda? Pewnie szwendała się gdzieś z tym swoim koszmarnym psem. Wstrętny, zapchlony kundel.

Odezwał się automat i Van Zandt zostawił oschłą wiadomość, by Lorinda dołączyła do niego później w „The Players”.

Zły, rozłączył się i rzucił telefon na fotel pasażera. Był zmuszony pożyczyć od Lorindy ten gówniany, tani samochód; nie chciał, by śledziła go policja. Jak powiedział Lorindzie - by jeździli za nim bez żadnego powodu. Jest niewinną ofiarą ich prześladowań. Uwierzyła mu, oczywiście, choć widziała zakrwawioną koszulę. To także jej wytłumaczył.

Głupia krowa. Nie mógł pojąć, dlaczego nie wynajmowała lepszego samochodu, skoro tyle podróżowała. Lorinda miała pieniądze odziedziczone po rodzinie z Wirginii. Tomas zadał sobie nieco trudu i dowiedział się o niej paru rzeczy. Trwonila majątek na pomoc dla bezdomnych psów i chorych koni, zamiast wydawać go na siebie. Żyła jak cyganka na rozległej farmie, która należała kiedyś do jej babki, odnajmowała jednak główny budynek, a sama - ze zgrają psów i kotów - zajmowała mały, drewniany domek, w którym nigdy nie sprzątała.

Tomas powiedział jej, że powinna zrobić sobie lifting i poprawić cycki, bo inaczej nigdy nie znajdzie bogatego męża, na co ona ze śmiechem zapytała, czemu miałyby szukać męża, skoro ma przecież jego, by o nią dbał.

Głupi babsztyl.

Kobiety. Zmora jego życia.

Jechał na wschód Bulwarem Południowym, myśląc o tej, którą miał zaraz spotkać. Sądziła, że może go szantażować. Powiedziała mu, że wie wszystko o zabitej dziewczynie. Co za bzdura. Już wcześniej przysporzyła mu kłopotów, rozpowiadając Amerykanom kłamstwa na jego temat. Wredna, mściwa kurwa. Ale tacy są wszyscy Rosjanie. Świat nie zna bardziej złośliwej nacji.

Za jej śmierć naturalnie będzie winna Sasza Kulak. Tomas przyjął ją, dał jej dach nad głową, pracę i szansę, by się przy nim uczyła, korzystała z jego ogromnej wiedzy - w stajni i w łóżku.

Powinna go była traktować z czcią i szacunkiem. Powinna by ta chcieć mu służyć i sprawiać przyjemność. Powinna była mu dziękować. Zamiast tego wbiła mu nóż w plecy, okradła go i porozpowiadała wszem wobec te wszystkie brzydkie historie o nim.

Podjął ogromny wysiłek i sam zadzwonił do wszystkich klientów, z którymi mogła się kontaktować po odejściu od niego. Ostrzegł ich i poinformował, co to

za jedna: złodziejka i prawdopodobnie narkomanka, a także, oczywiście, zapewnił o swojej niewinności.

A teraz musiał zająć się jej przyjaciółką, tą Rosjanką od Avadona. Avadon powinien był ją z miejsca zwolnić, gdy napadła na Tomasa w jego stajni. Nie do wiary, że Amerykanie tolerują takie rzeczy.

Miał dość Florydy. Był gotów wrócić do Belgii. Ustalił już nawet szczegóły - poleci samolotem wiozącym transport koni do Brukseli. Podając się za stajennego, nie będzie nawet musiał płacić; zawsze tak robił. Zostanie jeszcze jeden dzień, załatwi parę spraw, pokaże, że nie ma nic do ukrycia i że nie musi bać się policji. A potem wróci na jakiś czas do Europy i przyjedzie tu dopiero, gdy plotki na jego temat przycichną.

Zwolnił, szukając znaku. Zaproponował spotkanie się na tyłach terenów pokazowych, ale ona nalegała, by wybrać miejsce publiczne. I oto lokal, który wybrała: „U Magdy”, gówniany bar w przemysłowej części West Palm Beach. Zbita z desek, przeżarta przez korniki chałupa, która nawet po ciemku wyglądała, jakby wymagała gruntownego remontu.

Van Zandt zjechał na podjazd przed barem, musiał jednak okrążyć budynek w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania.

Znajdzie dziewczynę w barze, kupi jej drinka. Ukradkiem wsypie narkotyk. Prosta rzecz. Porozmawiają, on będzie starał się ją przekonać, że ta sprawa z Saszą to tylko nieporozumienie. Narkotyk zacznie działać. Gdy nadejdzie ten moment i ona nie będzie w stanie się bronić, wyprowadzi ją na dwór.

Będzie wyglądała na pijaną. Wsadzi ją do samochodu i zawiezie w miejsce, gdzie zabije ją i pozbędzie się ciała.

Znalazł miejsce do zaparkowania przy siatce dzielącej bar od złomowiska. Idealne miejsce, z dala od niepowołanych oczu. Załatwi ten problem szybko i sprawnie, a potem pojedzie do „The Players” na drinka z Eleną Estes.

Pojechałam do „The Players” sama. Jeśli Van Zandt przyjdzie z Lorindą, znajdę dla Seana jakąś wymówkę, nie chciałam dalej wciągać go w to zamieszanie.

Klub był pełen. Zwycięzcy dzisiejszych konkursów świętowali, przegrani topili smutki. Większość stajni jest zamknięta w poniedziałek, by wszyscy zdążyli

pozierać się po wydarzeniach weekendu. W niedzielę nikt więc nie musi wcześniej iść do łóżka.

Miejsce wyglądało jak scena teatralna z blisko setką aktorów. Kobiety prezentowały najnowsze kreacje projektantów z Palm Beach i reklamowały ostatnie osiągnięcia chirurgii plastycznej. Smagli gracze w polo z Ameryki Południowej zalecali się do bogatych Amerykanek. Lokalne znakomitości, goszczące akurat w mieście, nawiązywały znajomości z magnatami z Arabii Saudyjskiej.

Znalazłam mały stolik w kącie sali i usiadłam plecami do ściany, żeby mieć widok na cały bar. Zamówiłam tonik z cytryną, próbując jednocześnie uwolnić się od zalotów dawnego gwiazdora koszykówki, który koniecznie chciał się dowiedzieć, czy my się skądś nie znamy.

- Nie - odpowiedziałam, rozbawiona tym, że upatrzył sobie właśnie mnie. - I wcale byś tego nie chciał.

- Czemu?

- Bo ze mną są same kłopoty.

Wślizgnął się na wolne krzesło naprzeciwko mnie i nachylił przez stół. Jego uśmiech rozpromieniał wiele reklam tanich połączeń telefonicznych i kolorowej bielizny.

- Zła odpowiedź. Teraz jestem zaintrygowany.

- Poza tym czekam na kogoś.

- Szczęśliwy facet. Co on ma takiego, czego ja nie mam?

- Nie wiem - powiedziałam z nikłym uśmiechem. - Nie widziałam go jeszcze w bieliźnie.

Rozłożył ręce i uśmiechnął się szeroko.

- Nie mam nic do ukrycia.

- Nie masz za grosz wstydu.

- To prawda. Ale zawsze zdobywam dziewczynę, która wpadnie mi w oko.

Pokręciłam głową.

- Nie tym razem, mistrzu.

- Czy ten typ ci się naprzykrza, Elle?

Podniosłam wzrok i zobaczyłam Dona Jade'a stojącego nade mną z kieliszkiem martini w ręce.

- Nie, obawiam się, że to ja go dręcę.

- Właśnie - powiedział mój koszykarz, unosząc brwi z niedowierzaniem. - Nie powiesz mi chyba, że to na niego czekasz?

- Właściwie to tak.

- Nawet po tym, gdy widziałas mnie w bieliźnie?

- Lubię niespodzianki. Cóż więcej mogę powiedzieć?

- Powiedz, że go zaraz splawisz - powiedział, wstając. - Będę przy barze.

Patrzyłam za nim, zdziwiona, że ten krótki flirt dał mi tyle przyjemności.

- Nie bądź z siebie taka dumna - powiedział Jade, zajmując wolne krzesło. - Ten gość to kapelusz bez bydła, jak mówią w Teksasie.

- A ty skąd to wiesz?

Spojrzał na mnie wzrokiem niepasującym do trzymanego przezeń drinka. Był całkowicie trzeźwy.

- Byłabyś zdziwiona, ile rzeczy wiem, Elle.

Pociągnęłam łyk toniku, zastanawiając się, czy zna także prawdę o mnie, czy Van Zandt albo Trey coś mu powiedzieli, czy może celowo nie został wtajemniczony.

- Nie, nie byłabym wcale zdziwiona - powiedziałam. - Jestem przekonana, że mało co umyka twojej uwadze.

- Tak, raczej niewiele.

- Czy to dlatego spędziłeś wczoraj tyle czasu z policją? - zapytałam. - Tak dużo miałeś im do powiedzenia?

- Nie, obawiam się, że śmierć Jill Morone jest sprawą, o której nic nie wiem. A ty?

- Ja? Nic a nic. Może powinniśmy zapytać kogoś innego? Ma tu przyjść Van Zandt. Coś mi mówi, że mógłby nam opowiedzieć historie, od których włos jeżyłby się nam na głowie.

- Nie tak trudno skłonić ludzi do mówienia.

- Wiem, trudno jednak sprawić, by mówili prawdę.

- I tego właśnie szukasz? Prawdy?

- Znasz to powiedzenie: prawda cię wyzwoli. Sącząc martini, zapatrzył się gdzieś w pustkę.

- To wszystko zależy od tego, kim jesteś, nieprawda?

Dziewczyna stała pod lampą przy tylnym wejściu do baru. Jej nastroszone włosy wyglądały jak lwia grzywa. Miała na sobie czarne getry, ciasno opinające

długie nogi, i dżinsową kurtkę. W umalowanych ciemną szminką ustach trzymała papierosa.

Van Zandtowi wydawało się, że to dziewczyna od Avadona. Ale nie był pewny - one zawsze wyglądają inaczej poza stajnią.

Wysiadł, zastanawiając się, czy nie powinien od razu odciągnąć jej od budynku, zapakować do samochodu i odjechać. Ale ryzyko, że przypadkowy świadek wyjdzie na tyły baru, było zbyt duże. Gdy tylko o tym pomyślał, drzwi otworzyły się i w świetle lampy pojawił się duży mężczyzna. Stał jak ochroniarz, na rozstawionych nogach, z założonymi na piersi rękami. Dziewczyna spojrzała na niego, uśmiechnęła się uwodzicielsko i powiedziała coś po rosyjsku.

W połowie drogi między samochodem a wejściem do budynku Van Zandt ogarnęło uczucie niepokoju. Zwolnił kroku. Duży Rosjanin trzymał coś w ręce. Wyglądało jak pistolet.

Van Zandt usłyszał za plecami dźwięk otwieranego samochodu i szuranie nóg o spękany beton.

Zrozumiał, że popełnił duży błąd. Dziewczyna była już na tyle blisko, że mógł zobaczyć, jak patrzy na niego i uśmiecha się wyzywająco. Odwrócił się i chciał wrócić do samochodu. Przed nim stało trzech mężczyzn: dwóch zbudowanych jak konie pociągowe i między nimi niższy, w eleganckim, czarnym garniturze.

- Czy dochodzi pan właśnie do wniosku, że jednak nie powinien był tu przychodzić, panie Van Zandt? - zapytał mniejszy gość.

Van Zandt popatrzył na niego z góry.

- Czy my się znamy?

- Nie - odparł, podczas gdy jego kompani podeszli do Van Zandt i chwycili go za ramiona. - Ale moje nazwisko z pewnością zabrzmi dla pana znajomo. Kulak. Aleksej Kulak.

- Czy wierzysz w karmę, Elle? - zapytał Don Jade.

- Boże, nie.

Jade bawił się kieliszkiem. Ja piłam drugi tonik z cytryną. Randka skąpców. Siedzieliśmy tak już od piętnastu minut, a Van Zandt wciąż się nie zjawiał.

- Czemu miałabym wierzyć w coś takiego?

- Wszystko, co robimy, po pewnym czasie do nas wraca. Każdy dostaje to, na co zasłużył.

- Każdy? Ja też? Nie, dziękuję.

- Zrobiłaś kiedyś coś, za co musiałabyś ponieść karę?

- Zabiłam człowieka - powiedziałam tylko po to, żeby zobaczyć jego minę.

Był pewnie po raz pierwszy od dziesięciu lat zaskoczony. - Wolałabym, by los nie odplacił mi tym samym.

- Zabiłaś człowieka? - Starał się nie wyglądać na zszokowanego. - Zasłużył sobie na to?

- Nie, to był przypadek, jeśli wierzysz w przypadki. A jak jest z tobą? Wierzysz, że dopadną cię twe dawne postęпки, czy liczysz, że to kogoś spotka kara za przewinienia wobec ciebie?

Dokończył martini w chwili, gdy do baru weszła Susannah Atwood.

- Powiem ci, w co wierzę, Elle. Wierzę w siebie i w dzisiejszy dzień, i jeszcze w wartość dokładnego planowania.

Chciałam zapytać, czy zaplanował morderstwo Jill Morone i porwanie Erin Seabright. Czy jego plan obejmował także romans Paris Montgomery z Treyem Hughesem. Ale odwrócił już uwagę.

- Moja towarzyszka właśnie się zjawiała - powiedział, wstając. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się, na wpół rozbawiony, na wpół skonsternowany. - Dziękuję za rozmowę, Elle. Jesteś fascynującą osobą.

- Pomyślnej karmy - powiedziałam.

- Nawzajem.

Gdy patrzyłam w ślad za nim, zastanawiałam się, co go sprowokowało do tych filozoficznych wynurzeń. Jeśli był niewinny, to splot ostatnich wydarzeń mógł wydawać mu się karą za dawne nieodpokutowane grzechy. A może myślał to samo, co ja - że nie ma czegoś takiego jak pech, zbieg okoliczności albo karma. Jeśli podejrzewał, że konkretna osoba zaciska pętlę wokół jego szyi, to kogo podejrzewał?

Kątem oka dostrzegłam, że do miejsca opuszczonego przez Dona Jade'a zbliża się koszykarz. Wstałam i wyszłam, nie miałam ochoty na dalszy flirt. Chciałam, by już zjawił się Van Zandt - tylko po to, bym mogła zamachać przed nosem Duganowi i Armedgianowi moją oczywistą przydatnością.

Wierzyłam, że przyjedzie. Wierzyłam, że nie oprze się pokusie, by usiąść w miejscu publicznym, spokojny i zadowolony z siebie, i wdać się w rozmowę z osobą, o której wiedział, że podejrzewa go o morderstwo i nie może tego w żaden

sposób udowodnić. Poczucie władzy było dla niego na tyle upajające, że nie przepuści takiej okazji.

Ciekawe, jaką sprawę miał do załatwienia i czy była ona w jakikolwiek sposób związana z porwaniem. Zastanawiałam się, czy to on był tym mężczyzną w czerni, który w opowieści Landry'ego bił Erin batem na ostatniej taśmie. Chory sukinsyn. Łatwo mogłam sobie wyobrazić, jak rajcowałaby go taka zabawa. Uwielbiał dominować nad innymi.

Stojąc przed wejściem do „The Players”, wyobrażałam sobie Van Zandta w więzieniu, zmuszonego pogodzić się z absolutnym brakiem kontroli do końca swego życia.

Karma. Może jednak chciałam w nią wierzyć.

Bicie nie było najgorsze. Najgorsza była świadomość, że gdy ono się skończy, skończy się także jego życie. A może najgorsze ze wszystkiego było to, że całkowicie nie panował nad sytuacją. Władza była w rękach Alekseja Kulaka, kuzyna tej rosyjskiej dziwki, która w końcu doprowadziła go do zguby.

Podczas gdy wielki ochroniarz przy drzwiach pilnował, by nikt im nie przeszkodził, Kulak osobiście zakleił usta Van Zandta taśmą izolacyjną i związał ręce za plecami. Wrzucili go na tylne siedzenie wynajętego samochodu Lorindy Carlton i pojechali na teren złomowiska. Zatrzymali się dopiero w wielkim, głuchym garażu, pełnym śmieci. Tam dwóch drabów wyciągnęło go na zewnątrz.

Oczywiście próbował uciekać. Ze związanymi rękami poruszał się niezdarnie, a panika paraliżowała mu nogi. Gdy biegł w kierunku drzwi, miał wrażenie, że wciąż pozostają tak samo daleko. Dwóch osiłków złapało go i zawlokło na dużą, czarną płachtę rozłożoną na betonowej podłodze. Z boku przygotowano narzędzia, jak przy stole chirurgicznym: młot, łomy, cęgi. Łzy popłynęły mu z oczu, a pęcherz uwolnił ciepłą ciecz.

- Połamcie nogi temu tchórzowi - spokojnie nakazał Kulak - żeby nie mógł uciekać.

Największy z jego pachołków trzymał go, a inny podniósł młot. Van Zandt wił się i kopał. Rosjanin zamachnął się, ale nie trafił. Zaklął, gdy młot uderzył o posadzkę. Drugie uderzenie sięgnęło celu, miażdżąc kolano Van Zandta jak skorupkę jajka.

Taśma na ustach stłumiła krzyk. Nagła eksplozja bólu była jak wybuch supernowej, niemal rozsadziła mu głowę i rozeszła się po ciele niczym tornado. Zwieracze odmówiły mu posłuszeństwa; ohydny smród ekskrementów sprawił, że zaczął się krztusić. Trzecie uderzenie trafiło prosto w piszczel pod drugim kolanem, jego sita skruszyła kość, a młot wbił się głęboko w miękką tkankę.

Ktoś zerwał mu taśmę z ust. Odchylił się na bok i wymiotował konwulsyjnie, raz za razem.

- Deprawator młodych dziewcząt - powiedział Kulak. - Morderca. Gwałciciel. Amerykański wymiar sprawiedliwości jest dla ciebie za dobry. To wspaniały kraj, ale zbyt uprzejmy. Amerykanie mówią proszę i dziękuję i pozwalają mordercom biegać wolno, bo muszą oglądać się na jakieś prawne szczegóły. Sasza nie żyje przez ciebie. A teraz mordujesz kolejną dziewczynę, a policja nie może nawet wsadzić cię do więzienia.

Van Zandt potrząsnął głową, przejeżdżając twarzą po rzygach na płachcie. Łkał, dysząc ciężko.

- Nie. Nie. Nie. To nie ja... Wypadek... Nie moja wina.

Słowa wychodziły z niego w gwałtownych spazmach. Ból oblewał go palącymi jak ogień falami.

- Ty kłamliwy dupku - warknął Kulak. - Wiem o zakrwawionej koszuli. Wiem, że starałeś się zgwałcić dziewczynę, tak, jak zgwałciłeś Saszę.

Kulak przeklął go po rosyjsku i kiwnął na swoich pomocników. Odsunął się i ze spokojem patrzył, jak biją Van Zandta żelaznymi prętami. Bili po kolei, najpierw jeden, potem drugi, metodycznie wybierając cel. Co jakiś czas Kulak dawał im instrukcje po angielsku, tak by Van Zandt go rozumiał.

Mieli go nie bić po głowie. Kulak chciał, żeby zachował przytomność, by wszystko słyszał i czuł ból. Mieli go nie zabić - nie zasługiwał na szybką śmierć.

Uderzenia padały w starannie wybrane miejsca.

Van Zandt próbował mówić, błagać, tłumaczyć, odsunąć winę od siebie. To nie jego wina, że Sasza się zabiła. To nie jego wina, że Jill Morone się udusiła. Nigdy nie narzucał się kobiecie.

Kulak podszedł i kopnął go w usta. Van Zandt zadławił się krwią i zębami, kaszlał i zawodził żałośnie.

- Rzygać mi się chce od twoich wymówek - powiedział Kulak. - W twoim świecie za nic nie jest się odpowiedzialnym. W moim człowiek płaci za swoje winy.

Kulak zapalił papierosa i poczekał, aż z ust Van Zandta przestanie lać się krew, po czym owinał dolną część jego twarzy taśmą, zasłaniając usta kilkoma warstwami. Skleili jego połamane nogi i wrzucili go do bagażnika chevroleta wynajętego przez Lorindę Carlton.

Ostatnią rzeczą, jaką widział, była twarz Alekseja Kulaka, który nachylił się, by na niego splunąć, a potem kłapa bagażnika zatrzasnęła się. Świat Tomasa Van Zandta utonął w ciemności i rozpoczęła się potworny czas oczekiwania.

XXXIX

Po powrocie do stolika uważnie przyjrzałam wypełniającemu klub tłumowi, ale nigdzie nie dostrzegłam Tomasa Van Zandta. Przy barze usłyszałam, że pytała o niego jakaś kobieta. Wywnioskowałam, że może to być Lorinda Carlton: była grubo po czterdziestce i wyglądem przypominała Cher, ale w bardziej tandetnej wersji. Jeśli to była Lorinda, to Van Zandt musiał do niej zadzwonić i poinformować ją o umówionym spotkaniu. Sam się jednak nie pojawił.

Okolo jedenastej zauważyłam Irinę, wchodzącą do klubu w towarzystwie koleżanek - były jak stadko kopcuszków, które wyszły do miasta, by wydać po pięć dolarów na drinka i chwilę poflirtować z graczami w polo, zanim ich karety znów zmieniają się w dynie, a one będą musiały wracać do swych wynajętych pokoi i klitek nad stajniami.

Okolo północy koszykarz zdecydował się jeszcze raz spróbować szczęścia.

- Ostatni dzwonek, by tej nocy przeżyć mały romans - powiedział, przywołując na twarz uśmiech zwycięzcy i szelmowsko unosząc brwi.

- Co? - zapytałam, udając zdumienie. - Byłeś tu cały wieczór, a na twoim ramieniu nie wisi jeszcze żaden słodki kociak?

- Czekałem na ciebie.

- A mógłbyś mieć każdą.

- Czy wyglądam, jakbym tego chciał?
- Wyglądasz, jakbyś musiał spadać, przystojniaku - Landry podszedł bardzo blisko i machnął mu odznaką tuż przed twarzą.
- Koszykarz zerknął na mnie. Wzruszyłam ramionami.
- Mówiłam, że ze mną same kłopoty.
- Zjadłaby cię żywcem, chłopie - powiedział Landry, uśmiechając się paskudnie. - I nie wyobrażaj sobie, że byłoby to coś miłego.
- Koszykarz machnął ręką z rezygnacją i odszedł.
- Kto to był? - zapytał Landry, siadając naprzeciwko mnie. Wyglądał na zaniepokojonego.
- Dziewczyny muszą się czasem zabawić.
- A Van Zandt? Dałaś za wygraną?
- Powiedziałabym raczej, że zostałam oficjalnie wystawiona do wiatru. Wyszłam na idiotkę. Czy Dugan odwołał już psy?
- Pięć minut temu. Stawiał na ciebie. To dużo znaczy.
- Nigdy nie stawiaj na czarnego konia - odparłam. - Dziewięć razy na dieśięć podrzesz swój los na kawalki.
- Ale za dziesiątym odrobisz wszystkie straty - zauważył.
- Nie wydaje mi się, by Dugan miał pociąg do hazardu.
- Czemu w ogóle przejmujesz się tym, co on myśli? Nie odpowiadasz przed nim.

Nie zamierzałam się przyznawać, że zależy mi na odzyskaniu odrobiny szacunku, który utraciłam w momencie, gdy zakończyła się moja kariera, ani do tego, że chcę utrzyć nosa Armeđgianowi. Miałam dziwne uczucie, że nie muszę wcale tego mówić, bo Landry wie o mnie więcej, niżbym chciała.

- To był odważny krok, tak zadzwonić do Van Zandta - powiedział. - I mógł się opłacić. Co odpowiedział, gdy zapytałaś go, czy jest wolny?

- Powiedział, że musi zająć się pewną sprawą. Pewnie miał na myśli pozbycie się ciała Erin.

- Widziałem Lorinę Carlton - powiedział Landry. - Zatrzymałem ją, gdy stąd wychodziła.

- Długi warkocz z piórkiem? - zapytałam. - Styl podstarzałej hipiski?

Wyglądał na rozbawionego tym opisem.

- Miau... Masz ostre pazurki.
- Jeśli jest na tyle głupia, by uwierzyć w historyjki Van Zandta, to nie zasługuje na szacunek.
- Trzymam twoją stronę - powiedział. - Ta babka dostała ekstra dokładkę głupoty. Założę się o stówę, że widziała tę koszulę, a nawet pomogła Van Zandtowi jej się pozbyć - ciągle uważa, że ten gość to księżę z bajki.
- Czego się od niej dowiedziałeś?
- Sapnął.
- Nie zadzwoniłaby na pogotowie, choćbym nawet stanął przed nią w płomieniach. Uważa, że to ja jestem zły. Nic mi nie powiedziała. Nie sądzę jednak, że przyszła tu uganiać się za facetami. Sprawia wrażenie, jakby zamierzała zapalić kadzidło i całą noc czytać na głos wiersze.
- Zapytała barmana, czy widział Van Zandta - powiedziałam.
- Więc przyszła tu, bo spodziewała się, że go spotka. Widzisz? Prawie ci się udało.
- Bar już zamykano. Kelnerzy zbierali puste szklanki i ustawiali krzesła na stołach. Wstałam powoli, wciąż jeszcze obolała po przygodach ostatnich dni. Zostawiłam na stole dziesięć dolarów napiwku dla kelnerki.
- Landry popatrzył ze zdumieniem.
- Hojna jesteś.
- Wzruszyłam ramionami.
- Ona ma głównianą pracę, a ja fundusz powierniczy.
- Wyszliśmy razem. Chłopcy parkingowi poszli już do domu, więc musieliśmy sami udać się na parking. Samochód Landry'ego stał tuż koło mojego.
- Nie znam żadnego gliniarza z funduszem powierniczym.
- Nie rób z tego wielkiej sprawy, Landry. Poza tym, nie jestem już gliniarzem, o czym tak lubisz mi przypominać.
- Nie masz tylko odznaki - uściślił.
- Czy sobie schlebiam, czy był to kryptokomplement? - zapytałam, gdy staliśmy już przy swoich samochodach.
- Nie rób z tego wielkiej sprawy, Estes - powiedział, uśmiechając się pod nosem.
- Cóż, zachowam się jak dama i ładnie podziękuję, pomimo wszystko.

- Dlaczego zostałam policjantką? Mogłam przecież być kimkolwiek albo w ogóle nic nie robić.

Rozejrzałam się, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Noc była duszna i zmysłowa, księżyc rozświetlał wilgotne powietrze. Otulał nas zapach liści, mokrej ziemi i egzotycznych kwiatów.

- Zwolennik Freuda ziewnąłby i powiedział, że mój wybór był oczywiście buntem wobec ojca.

- I taka jest prawda?

- Tak, ale było w tym coś więcej - przyznałam. - Dorastałam, patrząc, jak mój ojciec wygina sprawiedliwość na wszystkie strony, niczym gumową lalkę, by zaoferować ją w końcu temu, kto da najwięcej. Pomyślałam, że warto, by ktoś przechylił szalę w drugą stronę, postarał się przywrócić świat do równowagi.

- Czemu więc nie zostałam prokuratorem?

- Za dużo układów, za dużo polityki. Może jeszcze nie zauważyłeś, ale na liście moich talentów nie ma dyplomacji i całowania tyłków. Poza tym, oskarżyciela rzadko ktoś bije lub do niego strzela. A ja lubię takie rozrywki.

Nie zaśmiał się. Popatrzył na mnie w ten swój sposób, który sprawiał, że czułam się naga.

- Jesteś kimś, Estes.

- Tak, kimś jestem - przytaknęłam.

Ale miałam na myśli co innego niż on. W ciągu ostatniego tygodnia straciłam pewność, kim właściwie jestem. Czułam się jak istota wydobywająca się dopiero z kokonu, nie wiedziałam jeszcze, w co przemienił mnie proces metamorfozy.

Landry dotknął mojej twarzy - lewej strony, gdzie czucie było raczej wspomnieniem. W jakiś sposób pasowało to do całości - nie mógł mnie naprawdę dotknąć, a ja nie potrafiłam poczuć go w ten szczególny, piorunujący sposób. Minęło wiele czasu, od kiedy pozwoliłam komukolwiek tak się do mnie zbliżyć, i nie wiedziałam nawet, czy w ogóle jestem jeszcze w stanie poddać się takim emocjom.

Podniosłam wzrok i spojrzałam mu w oczy, zastanawiając się, co on widzi w moich. Że czuję się bezbronna i wcale mi się to nie podoba? Że jestem pełna oczekiwania i przez to zdenerwowana? Że nie do końca mu ufam, ale i tak czuję do niego pociąg?

Landry nachylił się i zbliżył swoje usta do moich. Pozwoliłam mu na pocałunek, odwzajemniłam go nawet, ale z nieśmiałością, która mogła się wydawać sprzeczna z moim charakterem. Prawda była jednak taka, że Elena, która stała wtedy na parkingu, nigdy nie została pocałowana. Ten moment należał do lepszych czasów, do czasów przed wypadkiem i wydawał się tak odległy, jakbym dawno temu czytała o nim w książce.

Smakował kawą i dymem papierosowym. Jego usta były ciepłe i twarde. Pełne determinacji, jak mi się wydało. Miłe. Ekscytujące.

Zastanawiałam się, co on poczuł, czy sądzi, że jestem niewrażliwa, czy myśli o tym, jak zachowują się moje usta, a raczej o tym, że pozostają takie nieruchome. Byłam skrępowana.

Położyłam dłoń na jego piersi. Czułam, jak bije jego serce, i byłam ciekawa, czy czuje szalone tempo mojego.

Otworzył oczy i popatrzył na mnie. I czekał. Czekał. Czekał...

Nie przerwałam ciszy zaproszeniem. Jak rzadko, tym razem zastanowiłam się przed podjęciem decyzji. I uznałam, że choć może będę tego kiedyś żałować, choć mam dość śmiałości, by zabawiać się z mordercą i obrażać autorytet FBI, to na to nie jestem gotowa.

Kąciki jego ust uniosły się, gdy wydawał się czytać w moich oczach wszystko to, czego do końca sama nie byłam świadoma.

- Pojadę za tobą - powiedział. - Upewnij się, że Van Zandt nie czeka na ciebie pod domem.

Spojrzałam w bok i kiwnęłam głową.

- Dziękuję.

Bałam się spojrzeć mu w twarz - obawiałam się, że usta same mi się otworzą i poproszę go, by został na noc.

Odwróciłam się i wsiadłam do samochodu. Byłam bardziej przerażona niż tamtego ranka, gdy miałam świadomość, że być może będę musiała zabić człowieka, by ocalić siebie.

Na podjeździe przed domem Seana nic się nie działo. Okna głównego budynku były ciemne. Pojedyncze światło paliło się jedynie nad stajnią, w oknie mieszkania Iriny. Van Zandt nie czaił się nigdzie w pobliżu.

Landry wszedł do domku gościnnego i rozejrzał się wkoło. Potem, jak prawdziwy dzentelmen, podszedł do drzwi i znów czekał, bym coś powiedziała.

Pokręciłam się w miejscu, gryząc paznokcie, w końcu założyłam ręce.

- Ja... Hm... Poprosiłabym cię, byś został, ale jestem cała pochłonięta tą sprawą...

- Rozumiem - powiedział, patrząc mi w oczy głęboko i intensywnie. - Innym razem.

Nawet jeśli wiedziałam, co mu na to odpowiedzieć, słowa utkwiły mi w gardle. A za chwilę już go nie było.

Zamknęłam starannie drzwi na zamek, zgasiłam światła, poszłam do sypialni i się rozebrałam. Wzięłam prysznic, zmywając z włosów zapach dymu. Gdy się już wytarłam, stanęłam przed lustrem, przez dłuższą chwilę przyglądając się swojemu ciału i twarzy. Staralam się zobaczyć, kim teraz byłam, kim się stałam.

Po raz pierwszy od dwóch lat zdałam sobie sprawę z tego, że jestem kobietą. Patrzyłam na siebie w lustrze i widziałam kobietę - nie cień, nie maskę lub znie-nawidzoną skorupę - kobietę.

Przyglądałam się bliźniom tam, gdzie ciało zostało wydarte przez asfalt i zastąpione nowym. Zastanawiałam się, jaka byłaby reakcja Landry'ego, gdyby mógł zobaczyć ogrom tych zniszczeń z bliska, w dobrym świetle. Nie podobało mi się to, że czuję się przy nim tak słaba, zawstydzona i bezbronna. Chciałam wierzyć, że popatrzyłby na moje nagie ciało i nie byłby zszokowany, że nie powiedziałby na ten temat ani słowa.

Sam fakt, że w ogóle miałam takie myśli był dla mnie zadziwiający i równocześnie pokrzepiający - czułam odradzającą się we mnie nadzieję.

Nadzieja - rzecz, której nie chciałam i której bardzo potrzebowałam. Dla Erin, dla Molly... dla siebie też.

Może, pomyślałam, już zostałam wystarczająco ukarana. Może dalsze umartwianie się niczemu by nie służyło, a byłoby jedynie brakiem umiaru w samoudręczeniu. Nie ustrzegłam się błędów, spiesząc Erin z pomocą, ale starałam się postępować najlepiej, jak umiałam, a to już coś znaczy.

Poszłam do sypialni, otworzyłam szufladę i wyjęłam fiołkę vicodinu. Oszołomiona i zarazem pełna strachu wzięłam tabletki, poszłam do łazienki i wysypałam je na blat. Policzyłam, jedną po drugiej, tak jak niemal każdej nocy w ciągu ostatnich dwóch lat. Jedną po drugiej wrzuciłam do toalety i spuściłam wodę.

AKT III

Scena I

Światło.

Miejsce: Koniec parkingu przy dużym centrum handlowym, późno w nocy.

Parking jest prawie pusty. Kilka samochodów stoi przed całodobowym supermarketem. Pozostałe sklepy są zamknięte.

Dziewczyna biegnie w kierunku sklepu. Jej nogi są słabe i zmęczone. Płacze. Zamiast włosów splątana masa. Twarz poobijana. Na ramionach czerwone ślady uderzeń.

Dostrzega zaparkowane dwa radiowozy i skręca w ich kierunku. Stara się krzyczeć o pomoc, ale jej gardło jest wyschnięte i zdarte, nie wydobywa się z niego żaden głos.

Kilka kroków od samochodu potyka się i upada na kolana i dłonie.

DZIEWCZYNA

Pomocy. Pomóście mi. Proszę.

Wie, że policjant w wozie nie słyszy jej szeptu. Jest zaledwie metr od samochodu, ale nie ma siły wstać. Leży na betonie, łkając. Policjant zauważa ją i wysiada z samochodu.

POLICJANT

Proszę pani? Proszę pani? Czy coś się stało?

Dziewczyna patrzy na niego, wzdycha z ulgą.

Policjant klęka przy niej. Woła drugiego policjanta.

POLICJANT

Reeger! Wezwij karetkę!

Zwraca się do dziewczyny.

Proszę pani? Czy pani mnie słyszy? Jak się pani nazywa?

DZIEWCZYNA

Erin. Erin Seabright.

Światło gaśnie.

XL

- W jakim ona jest stanie? - zapytał Landry, wchodząc na ostry dyżur szpitala Palms West. Policjant, który przywiózł Erin, dreptał u jego boku.

- Ktoś ją nieźle pobił, ale jest przytomna i mówi.

- Napaść na tle seksualnym?

- Ginekolog właśnie ją bada.

- Gdzie ją znaleźliście?

- Stałem z Reegerem na parkingu przed „Publiksem”, zaraz tu, na końcu ulicy. Przybiegła nie wiadomo skąd - gestem wskazał Landry’emu właściwą salę.

- Czy powiedziała, skąd się tam wzięła?

- Nie. Była rozhisteryzowana, płakała.

- Widzieliście kogoś w pobliżu? Jakies pojazdy?

- Nie. Posłaliśmy tam teraz parę radiowozów, przeczesują teren.

Landry zastukał do drzwi i pokazał swoją odznakę pielęgniarce, która wychyliła głowę z sali.

- Prawie skończyliśmy - powiedziała.

- Jak to wygląda? - zapytał Landry.

- Powiedziałabym, że niejasno.

Kiwnął głową i odsunął się od drzwi, wyjmując telefon z kieszeni. Dugan poszedł zawiadomić Seabrightów osobiście. Weiss jeszcze się nie zjawił.

Wystukał numer Eleny i czekał, aż podniesie słuchawkę. Starał się nie wyobrazić jej sobie w łóżku. Nadal miał w pamięci smak jej ust.

- Halo? - jej głos wydał mu się raczej przestraszony niż senny.

- Estes? Tu Landry. Nie śpisz?

- Nie - odpowiedziała, wciąż nieufnie.

- Erin Seabright jest w szpitalu Palms West. Porywacze ją wypuścili albo im uciekła, nie wiem jeszcze, co się stało.

- Mój Boże. Widziałeś ją? Rozmawiałeś z nią?

- Jeszcze nie. Badają teraz, czy została zgwałcona.

- Dzięki Bogu, że żyje. Czy ktoś powiadomił rodzinę?

- Jest u nich teraz porucznik Dugan. Spodziewam się, że niedługo tu przyjadą. Słuchaj... - zaczął, ale w tej chwili zobaczył Weissa, który kręcił się niepewnie w pobliżu recepcji. - Muszę kończyć.

- Dobra. Landry?

- Tak?

- Dzięki za wiadomość.

- Tak, cóż... To przecież twoja sprawa - powiedział, rozłączył się i zawiesił telefon na pasku, patrząc na Weissa.

- To Dugan? - zapytał Weiss.

- Jest u rodziny.

- Rozmawiałeś już z dziewczyną?

Zanim Landry zdążył odpowiedzieć, z gabinetu wyszła lekarka i rozejrzała się wokoło. Landry podszedł do niej i pokazał odznakę.

- Oficerowie Landry i Weiss - przedstawił ich. - Jak ona się czuje?

- Przeżyła wstrząs, jak pewnie sobie panowie wyobrażają - odparła. Była matką Pakistanką; wielkie okulary trzykrotnie powiększały jej oczy. - Ma wiele drobnych ran - zacięć, otarć i stłuczeń - ale brak śladów połamanych kości. Wygląda na to, że została pobita jakimś prętem lub batem.

- Są ślady gwałtu?

- Niewielkie otarcia pochwy. Ślady na udach. Żadnej spermy.

Tak jak u Jill Morone, pomyślał Landry. Trzeba liczyć na inne źródło DNA, może włos łonowy.

- Czy cokolwiek powiedziała?

- Że była bita. Że się bała. Powtarza, że nie wierzy, że on mógł zrobić coś takiego.

- Podła jakieś imię? - zapytał Weiss.

Lekarka potrzęsnęła głową.

- Czy możemy z nią porozmawiać?
- Jest pod wpływem łagodnego środka znieczulającego, ale powinna odpowiedzieć na wasze pytania.

- Dziękujemy, pani doktor.

Erin wyglądała jak uciekiniarka z planu filmowego jakiegoś horroru. Blond włosy stanowiły jedną, spletaną masę. Jej twarz była posiniaczona, usta rozcięte i spękane. Gdy weszli do pokoju, popatrzyła na nich dzikim, przerażonym wzrokiem.

Landry znał ten wyraz twarzy. Przez parę lat pracował w wydziale przestępstw seksualnych. Szybko odkrył, że się do tego nie nadaje. Miał problem z kontrolowaniem emocji podczas przesłuchiwania podejrzanych.

- Erin? Jestem detektyw Landry, a to detektyw Weiss - powiedział cicho Landry, przysuwając sobie stół do łóżka. - Nawet nie wiesz, jak się cieszymy, że się znalazłaś. Szukało cię wiele osób.

- Dlaczego on po prostu im nie zapłacił? - zapytała z niedowierzaniem w oczach. W rękach trzymała plastikową butelkę z wodą i obracała ją bez przerwy, być może znajdując ukojenie w jednostajnej czynności. - To wszystko, co miał zrobić. Dzwonili do niego i dzwonili, wysyłali mu te kasety. Dlaczego po prostu nie zrobił tego, czego chcieli?

- Twój ojczym?

Łzy potoczyły jej się po policzkach.

- On tak strasznie mnie nienawidzi.

- Erin, musimy zadać ci parę pytań na temat tego, co się wydarzyło - powiedział Landry. - Czy sądzisz, że dasz radę teraz z nami porozmawiać? Chcemy jak najszybciej dotrzeć do ludzi, którzy ci to zrobili. Czy mnie rozumiesz?

Nie odpowiedziała i nie spojrzała mu w oczy. To częsty przypadek. Wolą udawać, że to wszystko nie wydarzyło się naprawdę. Nie chciała odpowiadać na pytania - zmuszały ją do ponownego przeżywania koszmaru, który już miała za sobą. Czuła złość, upokorzenie i wstyd. A zadaniem Landry'ego było wszystko z niej wyciągnąć.

- Czy możesz nam powiedzieć, kto ci to zrobił? - zapytał.

Patrzyła przed siebie, jej górna warga drżała. Drzwi gabinetu uchyliły się. Spojrzała w tamtą stronę i zaczęła płakać głośniej.

- To on - powiedziała, wlepiając wzrok w Bruce'a Seabrighta. - Ty mi to zrobiłeś! Ty skurwysynu!

Podniosła się na łóżku i rzuciła w niego butelką, woda rozprysła się naokoło, a Bruce Seabright podniósł ręce, by zasłonić głowę. Krystal krzyknęła, rzuciła się w stronę łóżka.

- Erin! Och, mój Boże, dziecinko!

Landry wstał, by ją przepuścić. Erin zwinęła się w kłębek u wezglowia, odsuwając się od swojej matki, patrząc na nią z urazą, złością i obrzydzeniem.

- Odejdź ode mnie! Zawsze brałaś jego stronę! Nigdy nie troszczyłaś się o mnie!

- Kochanie, ależ to nieprawda!

- To jest prawda! Dlaczego nie zmusiłaś go, by mi pomógł? Czy w ogóle cokolwiek dla mnie zrobiłaś?

Krystal łkała, wyciągając ręce do córki, ale jej nie dotykając, jakby każda z nich była zamknięta w osobnym polu siłowym.

- Przepraszam, tak bardzo przepraszam...

- Idź stąd! - krzyknęła Erin. - Wynoście się! Obydwoje!

Do pokoju wszedł szpitalny ochroniarz. Landry wziął Krystal pod ramię i wyprowadził ją za drzwi.

Weiss przewrócił oczami i mruknął:

- Nie ma to jak spotkanie rodzinne.

XLI

Wiadomość od Molly przyszła tuż po telefonie Landry'ego. Właśnie się ubierałam. Powiedziałam jej, że pojedę do szpitala, choć wiedziałam, że nie dopuszczą mnie w pobliże pokoju Erin. Gdyby zobaczył mnie Bruce Seabright, z pewnością zostałabym eskortowana za drzwi budynku. A jeśli znał odpowiednich ludzi i umiejętnie pociągał za sznurki, to ma już dla mnie sędziowski zakaz zbliżania się do jego rodziny nawet w niedzielną noc. W tym wypadku skończyłabym wieczór na posterunku. W końcu ostrzegali mnie.

Pomimo to ani przez chwilę nie zastanawiałam się, czy jechać.

Gdy weszłam do poczekalni, podbiegła do mnie Molly. Była blada ze strachu, ale jej oczy rozpromieniła radość - czuła ulgę z powodu odnalezienia siostry, ale jednocześnie niepokoiły ją jej stan i pobyt w szpitalu.

- Nie wierzę, że Bruce pozwolił ci przyjechać - powiedziałam.

- Nie pozwolił. Przyjechałam z mamą. Oni są teraz pokłóceni.

- Dobrze dla mamy - rzuciłam półgłosem, prowadząc Molly w kierunku kanapy pod ścianą. - O co się kłóca?

- Mama obwinia Bruce'a o to, że Erin jest ranna. A Bruce powtarza, że zrobił to, co uznał za najlepsze.

Najlepsze dla niego, pomyślałam.

- Będiesz mogła z nią porozmawiać? - zapytała Molly.

- Nie w najbliższym czasie.

- A ja?

Biedny dzieciak. Wyglądała na pełną nadziei, a zarazem bardzo bała się zawodu. Nie miała w tym całym zamieszaniu nikogo prócz mnie. Starsza siostra, którą ogromnie kochała, była dla niej jedyną prawdziwą rodziną. A kto wie, ile zostało z tej Erin, którą Molly знаła tydzień temu. Biorąc pod uwagę to, czego się dowiedziałam o Erin w toku poszukiwań, doszłam do wniosku, że Molly idealizowała ją już przed porwaniem.

Przypomniałam sobie, co pomyślałam w dniu, w którym Molly przyszła do mnie po raz pierwszy: przekona się, że życie jest pełne rozczarowań. I jeszcze to, że dowie się tego w taki sam sposób, jak my wszyscy: spotka ją zawód ze strony osoby, którą kocha i której zaufała.

Pragnęłam mieć siłę, która pozwoliłaby mi ją przed tym ochronić. Ale jedyną rzeczą, którą mogłam dla niej zrobić, to nie stać się kolejną osobą, która ją zawiedzie. Przyszła do mnie w czasie, kiedy nikt nie powinien się do mnie zwracać i - prosząc o pomoc - postawiła na czarnego konia, o którym wcześniej mówiłam Landry'emu.

- Nie wiem, Molly - powiedziałam, gładząc ją po głowie. - Pewnie nie pozwolą ci dziś do niej wejść. Może za dzień lub dwa.

- Czy myślisz, że została zgwałcona?

- Jest taka możliwość. Lekarz zbada ją i pobierze specjalne próbki...

- Spermy. Wiem. Oglądam „Nowych Detektywów”. Jeśli została zgwałcona, znajdą DNA, które będą mogli porównać z materiałem pobranym od podejrzanego.

Chyba że był szczególnie ostrożny i używał kondoma, i kazał jej później wziąć prysznic. Wtedy nic nie znajdują.

- Mamy Erin - powiedziałam. - To jedyna rzecz, która teraz się liczy. Może będzie w stanie zidentyfikować porywaczy. A nawet jeśli nie, to i tak złapiemy tych drani, Molly. Wynajęłaś mnie do tej pracy i wykonam ją do końca. A koniec będzie wtedy, gdy ja tak powiem.

Te słowa dobrze wtedy brzmiały. Później miałam jeszcze nieraz żałować, że je kiedykolwiek powiedziałam.

- Elena? - Molly patrzyła na mnie swymi poważnymi oczami. - Ciągłe się boję. Nawet teraz, gdy Erin już się znalazła, nie mogę przestać się bać.

- Wiem.

Objęłam ją i przyciągnęłam do siebie. To był jeden z tych krótkich momentów, o których wiedziałam, że zostaną w mojej pamięci na zawsze. Ktoś oczekiwał ode mnie pociechy, a ja byłam w stanie ją dać.

Z głębi korytarza dobiegł hałas, trzaśnięcie drzwiami, krzyk i podniesione głosy. Obejrzałam się przez ramię, w stronę, z której dochodziły, i zobaczyłam Bruce'a Seabrighta odsuwającego się od drzwi ze zdumieniem na twarzy. Potem z sali wyszedł Landry, prowadząc zapłakaną i rozhisteryzowaną Krystal. Nadszedł czas, bym znikła.

- Dowiem się wszystkiego, czego będę mogła - powiedziałam do Molly. - Zadzwoń do mnie rano.

Kiwnęła głową.

Przeszłam koło recepcji i wślizgnęłam się do damskiej toalety, zakładając, że Krystal idzie tuż za mną. Przyszła pół minuty później, opuchnięta od płaczu, z makijażem rozmazanym po całej twarzy.

Było mi jej żal. W pewnym sensie Krystal miała z dziecka więcej niż Molly. Całe życie marzyła, by mieć szanowanego męża i śliczny dom, wraz z całą otoczką bogactwa. Nie wyobrażała sobie pewnie, że życie lalki Barbie może nieść ze sobą nieszczęścia równie wielkie, co życie w ubóstwie. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że podejmowanie złych decyzji przy wyborze mężczyzny nie zależy od statusu społecznego.

Pochyliła się nad umywalką, z twarzą wykrzywioną cierpieniem.

- Krystal? Czy mogę ci jakoś pomóc? - zapytałam, doskonale wiedząc, że nie mogę.

Popatrzyła na mnie, ocierając dłonią oczy i nos.

- Co tu robisz?
- Molly do mnie zadzwoniła. Wiem, że Erin się odnalazła.
- Ona mnie nienawidzi. Nienawidzi mnie, a ja nie mogę jej za to winić - wyznała. Popatrzyła na siebie w lustrze i powiedziała do swojego odbicia: - Wszystko skończone. Wszystko skończone!

- Odzyskałaś córkę.

Krystal potrząsnęła głową.

- Nie. Wszystko skończone. Co ja teraz zrobię?

Ja zaczęłam od rozwodu z Bruce'em Seabrightem, ale jestem typem zgorzkniałym i mściwym. Postanowiłam nie dzielić się tą radą. Jakikolwiek decyzje miała podjąć ta kobieta, musiała dojść do nich sama.

- Obwinia Bruce'a - powiedziała Krystal.

- A ty nie?

- Ja też - wyszeptała. - Ale to tak naprawdę moja wina. To wszystko moja wina.

- Krystal, twoje życie to nie moja sprawa - powiedziałam. - I pewnie nie będziesz chciała mnie słuchać, ale powiem to i tak. Może to faktycznie tylko twoja wina. Może przez całe życie dokonywałaś samych złych wyborów. Ale twoje życie jeszcze się nie skończyło, tak jak życie Erin i Molly. Wciąż masz czas, żeby zrobić coś dobrego. Nie znasz mnie - kontynuowałam - więc nie wiesz, że jestem ekspertem, jeśli chodzi o rujnowanie własnego życia. Ale ostatnio odkryłam, że każdego dnia dostaję kolejną szansę. Tak samo będzie z tobą.

Psychologia z damskiej toalety. Czułam, że powinnam jeszcze podać jej płócienny ręczniczek dla otarcia łez, a ona zostawiłaby mi napiwek w koszyku przy wyjściu.

Postawna kobieta w czerwonej, hawajskiej sukni weszła i spojrzała na nas tak, jakbyśmy okupowały toaletę, by uprawiać lesbijski seks. Odwzajemniłam jej spojrzenie. Odwróciła się i weszła do jednej z kabin.

Wysłałam na korytarz. Bruce Seabright stał w poczekalni, niedaleko wyjścia, i spierał się o coś z Weissem i Duganem. Nigdzie nie widziałam Landry'ego. Zastanawiałam się, czy ktokolwiek poinformował Armedgiana o rozwoju sytuacji. Z pewnością będzie chciał brać udział w przesłuchaniu Erin, licząc na to, że dziewczyna wskaże na Van Zandta jako jednego z porywaczy.

Nie miałam nic do zrobienia dopóki wrogie siły nie opuszczą szpitala. Zdecydowałam się zająć pozycję na parkingu, w pobliżu samochodu Landry'ego. Jeśli się uda, przez chwilę porozmawiam z nim na osobności.

Odwróciłam się i poszłam korytarzem w poszukiwaniu kiepskiej szpitalnej kawy.

Lekarka zaproponowała Erin silniejszy lek uspokajający. Erin warknęła, by zostawiła ją w spokoju. Delikatny kwiatusek ma jednak kolce, pomyślał Landry. Trzymał się w kącie pokoju i nic nie mówił. Patrzył, jak dziewczyna każe lekarce wyjść z pokoju. Erin odwróciła się następnie do niego.

- Chcę tylko, żeby już było po wszystkim - powiedziała. - Chcę zasnąć, a potem się obudzić, i żeby było już po wszystkim.

- Obawiam się, że to nie takie proste, Erin - powiedział Landry, wracając na swoje miejsce przy łóżku. - Będę z tobą szczerzy. Jesteś dopiero w połowie tej męczarni. Wiem, że chcesz, żeby było po wszystkim. Więcej - wolałabyś, żeby to nigdy się nie stało. Ja też. Ale teraz masz pewne zadanie do wykonania. Musisz pomóc nam złapać tych, którzy zrobili ci krzywdę, by nie zrobili jej nikomu więcej. Wiem, że masz małą siostrę, której na imię Molly. Wiem, że bałabyś się nawet pomyśleć, że to, co stało się tobie, mogłoby przydarzyć się jej.

- Molly - powtórzyła imię siostry, na chwilę zamykając oczy.

- Molly to świetny dzieciak - powiedział Landry. - Jedyne, czego chciała od samego początku, to móc znowu cię zobaczyć, Erin.

Dziewczyna otarta spuchnięte oczy chusteczką i westchnęła drżącym głosem, szykując się do opowiedzenia mu całej historii.

- Czy wiesz, kto cię skrzywdził, Erin?

- Nosili maski - powiedziała. - Nigdy nie pokazali mi swoich twarzy.

- Ale mówili do ciebie? Słyszałaś ich? Może rozpoznałaś któregoś z nich po głosie albo jakimś charakterystycznym geście?

Nie potwierdziła, ale również nie zaprzeczyła. Siedziała bardzo cicho, z rękami starannie złożonymi na koldrze.

Landry czekał.

- Chyba wiem, kim był jeden z nich - powiedziała miękko. Pod wpływem wzbierających emocji łzy znów napłynęły jej do oczu. Z pewnością czuła zawód, smutek i cierpienie.

Dotknęła dłonią czoła, zasłoniła oczy, jakby chowała się przed prawdą.

- To Don - wyszeptała w końcu. - Don Jade.

XLII

Weiss pierwszy wyszedł ze szpitala i pognął do samochodu. Gdy przebiegał kolo mnie, zobaczyłam, że rozmawia przez komórkę. Coś zaczęło się dziać.

Dziesięć minut później nadjechał Armedgian i pobiegł do szpitala, by po minucie wyjść stamtąd w towarzystwie Dugana. Stali na chodniku, Armedgian zły i nabuzowany. Ich głosy unosiły się i opadały, tak że mogłam zrozumieć sens rozmowy, której strzępki dochodziły do mnie przez otwarte okno samochodu. Armedgian czuł się odsunięty, powinni go zawiadomić natychmiast, bla, bla, bla. Dugan odpowiedział mu krótko, że nie jest sekretarką FBI, i żeby się pozbierał, bo wszyscy razem w tym siedzą.

Poszli każdy do swojego samochodu i odjechali z zapalonymi kogutami.

Wysiadłam z samochodu i poszłam z powrotem na ostry dyżur, w stronę gabinetu, w którym badana była Erin. Landry wyszedł stamtąd z dużą, papierową torbą na dowody - ubrania Erin. Pojadą do laboratorium, gdzie fachowcy roz biorą je na pojedyncze nitki w poszukiwaniu próbek DNA.

- Co się dzieje? - zapytałam, próbując dotrzymać mu kroku.

- Erin mówi, że Jade był jednym z porywaczy.

- To pewne? - zapytałam z niedowierzaniem. - Zidentyfikowała go?

- Mówi, że obaj nosili maski, ale sądzi, że to on.

- Czemu? Jak poznała, że to on? Po głosie? Tatuażu? Jak?

- Elena, nie mam teraz na to czasu - powiedział zniecierpliwionym tonem. -

Weiss i paru mundurowych pojechało go zwinąć. Muszę wracać na posterunek.

- Czy powiedziała coś o Van Zandcie?

- Nie.

- To kim jest ten drugi?

- Nie powiedziała. Nie znamy jeszcze całej historii. Ale zabieramy Jade'a, zanim zdąży się ulotnić. Jeśli wie, że Erin uciekła, to wie też, że powinien stąd spadać. Jeśli przydusimy go teraz, może wyda swojego współnika.

Drzwi rozsunęły się i wyszliśmy na zewnątrz. Chciałam, żeby wszystko na chwilę się zatrzymało, żeby czas przestał płynąć, tak, bym mogła zastanowić się, zanim wydarzy się coś nowego. Wypadki potoczyły się w dziwną stronę, a ja nie nadążałam za ich biegiem. Landry jednakże nie miał najmniejszego zamiaru zwolnić.

- Gdzie ją trzymali? - zapytałam. - Jak uciekła?

- Później - powiedział Landry, wsiadając do samochodu.

- Ale...

Odpalił samochód. Musiałam odskoczyć, żeby mnie nie potrącił, gdy ruszył z piskiem opon.

Stałam tam jak idiotka, patrząc za samochodem i myśląc o tym, co się właśnie stało. Nie miało najmniejszego sensu, by Jade chciał podjąć ryzyko porwania kogokolwiek. To nie leżało w jego naturze. Wątpiłam również, by umiał porozumieć się z kimkolwiek w tak delikatnej sprawie.

Landry od dawna uznawał Jade'a za podejrzanego, miał przeciw niemu poszlakowe dowody i był żywotnie zainteresowany tym, by postawić go przed sądem w roli sprawcy.

Chciałam się dowiedzieć, co powiedziała Erin. Chciałam usłyszeć tę historię z jej ust. Chciałam zadawać pytania i interpretować odpowiedzi z mojej własnej perspektywy, opierając się na własnej wiedzy o tej sprawie i ludziach w nią uwikłanych.

Pod szpital zajechała karetka na sygnale, hamując gwałtownie w zatoczce przed wejściem. Kilku pracowników szpitala wybiegło, by pomóc w transporcie chorego. Z tyłu wozu wyciągnięto nosze na kółkach; leżąca na nich bardzo duża kobieta wrzeszczała wniebogłosy, wzywając wszystkich świętych. Z jej nogi tryskała fontanna krwi: wielokrotne, otwarte złamanie kości podudzia. Ktoś krzyknął, że zaraz będzie tu ofiara z drugiego samochodu.

Wślizgnęłam się z powrotem do szpitala, podążając za tłumem, który eskortował wrzeszczącą kobietę na oddział chirurgii urazowej. Personel biegł w kółko w ogólnym zamieszaniu. Poszłam prosto do gabinetu, w którym badano Erin.

Łóżko było puste, najwidoczniej przeniesiono ją już do normalnej sali. Pokój ciągle jednak pozostawał nieuprzątnięty. Na stalowym wózku koło łóżka wałał się w nieładzie zużyty sprzęt chirurgiczny i zakrwawione kawałki waty. W małym zlewie leżał wziernik, który lekarz odłożył tam po badaniu ginekologicznym.

Miejsce wyglądało tak, jakby właśnie skończyła się tu impreza, na którą ja nie byłam zaproszona. Landry zabrał ubrania Erin i wyniki testów. Nic tu na mnie nie czekało.

Westchnęłam i odsunęłam się od wózka, a mój nieobecny wzrok padł na podłogę. Na wpół schowana pod łóżkiem leżała tam srebrna bransoletka. Schyliłam się i podniosłam ją. Była wykonana z małych oczek w kształcie strzemion, które nachodziły na siebie. Do bransoletki przyczepiono dwa wisiorki - głowę konia i literkę E, jak Erin.

Rzecz w sam raz dla nastolatki zwariowanej na punkcie koni. Czy to prezent? Czy osoba, która dała go dziewczynie, była tą samą, która zdradziła ją w najokrutniejszy sposób?

Drzwi za moimi plecami otworzyły się. Odwróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z policjantem.

- Dokąd zabrano moją siostrzenicę? - zapytałam. - Erin Seabright?

- Na czwarte piętro, proszę pani.

- Czy będzie miała strażnika? Wie pan, co będzie, jeśli któryś z tych, co ją porwali, przyjdzie tutaj...?

- Ustawiliśmy kogoś przed drzwiami. Nie musi się pani martwić. Pani siostrzenica jest już bezpieczna.

- Co za ulga - powiedziałam bez entuzjazmu. - Dziękuję.

Przytrzymał mi drzwi, gdy wychodziłam z gabinetu. Byłam zawiedziona. Nie mogłam odwiedzić Erin. Nie mogłam dostać się do Jade'a. Nie wiedziałam, gdzie zaszył się Van Zandt. Była trzecia nad ranem, a ja znów czułam się całkiem odsunięta od sprawy.

Wsunęłam bransoletkę do kieszeni i postanowiłam wrócić do domu i pójść do łóżka.

Panowała cisza przed burzą.

XLIII

- Co ma pan do powiedzenia na ten temat, panie Jade?

Landry rozłożył przed nim zdjęcia, jedno przy drugim. Jade na koniu, uśmiechający się do aparatu. Jade w bryczesach i butach do jazdy stojący koło kolorowej przeszkody na parcourze, bokiem do kamery. Jade na innym koniu skaczący przez przeszkodę. Jade obejmujący Erin, której twarz została zamazana długopisem przez zazdrosną Jill Morone.

- Nie mam na ten temat nic do powiedzenia.

Landry sięgnął i odwrócił ostatnie zdjęcie, jak pokerowy gracz, który odsłania swego ostatniego asa.

- Zanim ktoś przekreślił tę dedykację, brzmiała ona „Dla Erin z miłością. Don”. Czy teraz ma pan coś do powiedzenia?

- Ja tego nie napisałem.

- Możemy wezwać eksperta, który porówna charaktery pisma.

- Proszę nie zaczynać ze mną bitwy na ekspertów, detektywie. - Głos Berta Shapiro brzmiał tak, jakby on sam zaraz miał umrzeć z nudy. Landry tego właśnie mu życzył. - Mam w zanadru lepsze sztuczki niż pan.

Bert Shapiro: chodzący, gadający, modnie ubrany kutas.

Landry popatrzył na prawnika zmrużonymi oczami.

- A jakie są pańskie powiązania z tymi ludźmi, panie radco?

- To wydaje się oczywiste, ale w końcu mamy do czynienia z biurem szeryfa - rzucił Shapiro do wszystkich zebranych, rozbawiony własną złośliwością. Wstrętny, mały fagas. - Jestem adwokatem pana Jade'a.

- Tak, to zrozumiałem. I adwokatem pana Van Zandta.

- Tak.

- I kogo jeszcze z tej szcurzej jamy? Treya Hughesa?

- Lista moich klientów jest poufna.

- Staram się tylko oszczędzić pański czas - powiedział Landry. - Hughes będzie następny, powie nam, co wie o Donie Jadzie. Więc jeśli on także jest pańskim klientem, może pan po prostu posiedzieć tu z nami, idiotami z biura szeryfa, przez resztę dnia. Niech pan korzysta z naszej gościnności i kiepskiej kawy.

Shapiro zmarszczył czoło.

- Czy ma pan jakiś konkretny powód, by marnować czas pana Jade'a, detektywie?

Landry rozejrzał się po pokoju, tak jak przed chwilą Shapiro.

- To powinno być oczywiste od momentu, w którym przeczytaliśmy panu Jade'owi jego prawa. Jest podejrzany o porwanie Erin Seabright.

Jade odsunął się od stołu, wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- To absurd. Nikogo nie porwałem.

- Jakie ma pan dowody na poparcie tego oskarżenia? - zapytał Shapiro. - I zanim pan odpowie, chciałbym tylko zauważyć, iż fotografowanie się z pracownikiem nie jest niezgodne z prawem.

Landry wpatrywał się w Jade'a, pozwalając, by oczekiwanie nabrało odpowiedniego ciężaru.

- Zgadzam się. Ale z pewnością bezprawiem jest przetrzymywać młodą kobietę w zamknięciu wbrew jej woli, przykuwać ją do łóżka i bić szpicrutą.

Jade wybuchnął:

- To śmieszne!

Landry na to właśnie czekał. Jade, zawsze chłodny i opanowany, teraz szalał, przyparty do muru pokazywał swój prawdziwy temperament.

- Erin uznała to za mało zabawne. Powiedziała nam, że to pan kierował jej porwaniem.

- Dlaczego miałyby powiedzieć coś takiego? - Jade był wyraźnie wzburzony.

- Zawsze okazywałem jej życzliwość.

Landry obojętnie wzruszył ramionami, tylko po to, żeby go zdenerwować.

- Może dlatego, że sterroryzował ją pan, pobił, zgwałcił...

- Nic takiego nie zrobiłem!

Shapiro położył rękę na ramieniu swojego klienta.

- Usiądź, Don. Dziewczyna widocznie się myli - zwrócił się do Landry'ego. - Jeśli była bita, jak pan mówi, kto wie, jakich rzeczy porywacze nakładli jej do głowy. Mogli przekonać ją, by uwierzyła w najróżniejsze herezje. Mogli podawać jej narkotyki...

- Czemu pan to mówi?

- Bo najwyraźniej nie jest w stanie trzeźwo myśleć, skoro twierdzi, że Don miał z tym coś wspólnego.

- Tutaj też ktoś ma problemy z trzeźwym myśleniem - zauważył Landry. - A może to tylko nieporozumienie. Gdy rozmawialiśmy z panem Jade'em ostatnim razem, zaprzeczył, jakoby utrzymywał z Erin relacje inne niż „czysto zawodowe”. Może pan Jade źle rozumiał termin „relacje zawodowe”. Na ogół w ich zakres nie wchodzi stosunki seksualne pracodawcy i pracownicy.

Jade głośno wypuścił powietrze.

- Już wam mówiłem, nigdy nie uprawiałem z Erin seksu.

Landry udał, że go nie słyszy. Przejechał palcem po fotografiach rozłożonych na stole.

- Znaleźliśmy te zdjęcia dziś rano - a właściwie wczoraj, w niedzielę - w mieszkaniu dzielonym przez Jill Morone - ofiarę morderstwa i napadu na tle seksualnym - i Erin Seabright - ofiarę porwania i napadu na tle seksualnym. Jill Morone widziano po raz ostatni podczas kłótni z panem, a pan sam przyznaje, że jest ostatnią osobą, która widziała Erin Seabright przed zniknięciem.

- Przyszła powiedzieć mi, że odchodzi z pracy - powiedział Jade. - Nie miałem pojęcia, że zagięła, dopóki wy mi o tym nie powiedzieliście.

- Relacje z pracownikami nie są twoją mocną stroną, prawda, Don? - zapytał Landry poufałym tonem. - Erin chce od ciebie odejść, więc przykuwasz ją do ramy łóżka. Jill cię rozczarowuje, więc wpychasz jej twarz w stertę gówna i ją dusisz...

- Mój Boże - powiedział Jade, ciągle chodząc w kółko. - Nikt chyba nie uwierzy, że mógłbym zrobić coś takiego!

- Ależ owszem - ci sami ludzie, którzy wierzą, że jesteś w stanie zabić konia, porażając go prądem, żeby wyłudzić pieniądze z ubezpieczenia.

- Nic takiego nie zrobiłem.

- Wiedziała o tym Erin, wiedziała o tym Jill. Jedna nie żyje, druga miała tylko trochę więcej szczęścia.

- To czyste spekulacje - powiedział Shapiro. - Nie ma pan przeciw panu Jade'owi cienia dowodu.

Landy zignorował go.

- Gdzie byłeś tydzień temu w niedzielę, Don? Późnym popołudniem, powiedzmy koło szóstej?

Shapiro spojrzął na swojego klienta ostrzegawczo.

- Nic nie mów, Don.

- Proszę więc pozwolić mi na spekulację. Może z przyjaciółką, panną Atwood, tak jak w ową czwartkową noc, gdy ktoś wypuścił konie Michaela Berne'a i pobił kobietę, zaledwie pięćdziesiąt metrów od twojej stajni?

Shapiro podniósł palec.

- Don, nie odpowiadaj.

Landry kontynuował.

- Tej czwartkowej nocy pannę Atwood widziano w towarzystwie na balu charytatywnym w Palm Beach. Myślałeś, że uwierzymy ci na słowo, Don? Albo jej?

- Spotkaliśmy się po balu.

- Don, nie...

- Aha - Landry pokiwał głową. - Masz na myśli porę, gdy bawiła się z przyjaciółmi w „Au Bar”?

Jade usiadł z powrotem na krześle i potarł czoło.

- Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było...

- Okazałbyś więcej sprytu, wybierając Jill na swoje alibi na czwartkową noc - zauważył Landry. - Chciała dla ciebie skłamać, a poza tym pewnie i tak cały wieczór przesiedziała w domu.

Shapiro podniósł się i stanął za swoim klientem.

- Pan Jade nie ma wam nic więcej do powiedzenia ani na ten temat, ani jakikolwiek inny. To wszystko.

Landry spojrzął na prawnika.

- Pański klient wciąż może sobie pomóc, panie Shapiro. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Siedzi po uszy w gównie, ale może jeszcze się z tego wygrzebać i wziąć prysznic. Jego współnik wciąż jest na wolności. Może to nie Don trzymał bat. Może ten cały pomysł nie był jego. Don mógłby się wybronić, podając imię swego współnika.

Jade zamknął na chwilę oczy, wciągnął i wypuścił powietrze, próbując się uspokoić.

- Staram się być pomocny, inspektorze Landry - powiedział, z trudem zachowując spokój. - Nie wiem nic na temat tego porwania. Dlaczego miałbym ryzykować i robić coś tak głupiego?

- Dla pieniędzy.

- Robię karierę. Mam świetny układ z Treyem Hughesem, będę pracował w jego nowej stajni. W żadnym wypadku nie brakuje mi pieniędzy.

Landry wzruszył ramionami.

- Więc może jesteś zwykłym psycholem. Słyszałem kiedyś o gościu, który zabił kobietę i wyciął jej język tylko po to, by sprawdzić, jaki jest długi.

- To obrzydliwe.

- Tak, to prawda, ale ja ciągle oglądam takie rzeczy - rzeczowo odpowiedział mu Landry. - A teraz mam przed oczami następujący układ: jedna dziewczyna nie żyje, druga zostaje porwana, koń ginie dla pieniędzy z ubezpieczenia - i to wszystko kręci się wokół ciebie, Jade.

- Ale to nie ma żadnego sensu - upierał się Jade. - Zarobiłbym wystarczająco dobrze na sprzedaży Stellara.

- Jeśli udałoby ci się znaleźć nabywcę. Słyszałem, że koń miał jakieś problemy.

- W końcu by mi się udało. A do tego czasu co miesiąc pobierałbym opłatę za jego trenowanie.

- Będziesz zarabiał również na trenowaniu jego następcy, o ile się nie mylę?

- Trey Hughes nie musi sprzedawać jednego konia, by kupić następnego.

- To prawda, ale z biegiem lat przekonałem się, że mało jest ludzi bardziej chciwych i mniej cierpliwych niż bogacze. A poza tym ty dostaniesz dużą prowizję za sprzedaż następcy Stellara, czyż nie?

Jade westchnął, zamknął oczy, zbierał się w sobie.

- Moim zamiarem jest przez długie lata utrzymywać dobre stosunki zawodowe z Treyem Hughesem. W tym czasie Trey sprzeda i kupi wiele różnych koni, a ja skorzystam na wszystkich tych transakcjach. Tak działa ten biznes. Dlaczego miałbym ryzykować to wszystko, porywając kogoś? Ryzykowałbym dużo więcej, niż mógłbym zyskać. Jeśli zaś będę wiódł życie wzorowego obywatela - kontynuował - mam zapewnioną pracę w pięknej, nowej stajni, wśród ludzi, którzy zapłacą mi bardzo dużo pieniędzy za trenowanie ich koni. Widzi pan więc, inspektorze Landry, nie ma pan podstaw, by wnosić przeciwko mnie oskarżenie.

- To nie do końca prawda, Don - powiedział Landry z udawanym smutkiem.

Jade spojrział na Shapiro.

- Co myślisz, że masz, Landry? - zapytał adwokat.

- Mam kilka nagrań telefonów z żądaniem okupu. Dzwoniono do domu Seabrightów z telefonu komórkowego na kartę kupionego przez Jade'a dwa tygodnie temu.

Jade wpatrywał się w niego osłupiały.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- A czy ma pan jakiegoś świadka, który potwierdzi, że pan Jade kupił ten telefon? - wtrącił się Shapiro.

- Nigdy nie kupiłem takiego telefonu - powiedział Jade.

Najwyraźniej wkurzyło go, że jego prawnik od razu zareagował tak, jakby Jade to zrobił.

Landry nie zdejmował wzroku z Jade'a.

- Mam Erin Seabright, pobitą, zakrwawioną, śmiertelnie przerażoną, która mówi mi, że ty ją tak urządziłeś. Nic mi więcej nie potrzeba, Jade.

Jade odwrócił się i potrząsnął głową.

- Nic takiego nie zrobiłem.

- Byłeś zbyt pazerny - powiedział Landry. - Jeśli chciałeś mieć Erin z głowy, bo wiedziała coś o Stellarze, powinieneś był ją po prostu zabić i wrzucić jej ciało do któregoś z kanałów. Bierzesz zakładnika, rzeczy wymykają się spod kontroli. Ludzie są nieprzewidywalni. Może to ty napisałeś scenariusz, ale nie wszyscy tak dobrze wypełniają polecenia, jak dziewczyna przykuta do łóżka, mam rację?

Jade nic nie powiedział.

- Czy ma pan jakąś posiadłość w pobliżu Wellington?

- To jest do sprawdzenia w urzędowych aktach - powiedział Shapiro.

- Chyba że posiadłość jest zarejestrowana na nazwisko partnera lub oddana w dzierżawę - sprecyzował Landry. - Czy podzieli się pan z nami tą informacją, czy każe nam pan jej szukać? A może powinienem zapytać o to pannę Montgomery, która zajmuje się „takimi szczegółami”?

- Nie rozumiem, jaki to ma związek ze sprawą?

Landry znów go zignorował, całą uwagę skupiając na Jadzie, obserwując każdy szczegół jego twarzy.

- Czy kiedykolwiek miał pan do czynienia z Bruce'em Seabrightem lub kimkolwiek z Gryphon Development?

- Wiem, że Gryphon Development zajmuje się sprzedażą ziemi w Fairfields, gdzie znajduje się nowa stajnia Treya Hughesa.

- Czy rozmawiał pan osobiście z jakimkolwiek pracownikiem firmy?

- Tak, raz albo dwa.

- Z Bruce'em Seabrightem?

- Nie przypominam sobie.

- Jak Erin Seabright dostała u pana pracę? - zapytał Landry.

- Trey wiedział, że potrzebuje stajennej, i powiedział mi o Erin.

- Od jak dawna prowadzi pan interesy z Treyem Hughesem?

- Znam go od bardzo dawna. W zeszłym roku przeniósł swoje konie do mojej stajni.

- Krótco po śmierci swojej matki?

- Tego już za wiele - oświadczył Bert Shapiro. - Jeśli ma pan ochotę połowić ryby, radzę wynająć łódkę. Chodźmy, Don.

- Tak się składa, że mam łódkę, panie radco - odparł Landry. - I gdy udaje mi się złapać coś pokaźnego, wciągam rybkę, filetuję i smażę. I nie oglądam się na to, kim jest ani jakich ma przyjaciół - ani nawet na to, ile czasu mi to zajmie.

- Wspaniale, gratuluję - powiedział Shapiro, otwierając drzwi.

Po drugiej stronie stał Dugan w towarzystwie Armedgiana i zastępcy prokuratora okręgowego.

- Pan jest wolny, panie Shapiro - powiedział Dugan. - Ale pański klient będzie miał okazję resztę nocy spędzić na koszt hrabstwa Palm Beach. Rozpatrzenie podania o kaucję odbędzie się jutro.

XLIV

- Powiedział, żebym się z nim spotkała przy tylnej bramie - wyznała cicho, ze spuszczoneymi oczami.

Landry przespał się na kanapie w biurze i o świcie wrócił do szpitala, by z niecierpliwością czekać, aż Erin Seabright się obudzi. Jade miał stawić się na przesłuchanie u sędziego nieco później tego ranka. Landry chciał, by zastępca prokuratora znał jak najwięcej szczegółów, dzięki którym uda mu się zatrzymać Jade'a za kratkami.

- Ludzie plotkują, zwłaszcza o Donie - powiedziała Erin. - Powiedział, że nie chce, żeby mówili coś o nas. Całkowicie to rozumiałam. A nawet wydawało mi się to ekscytujące, naprawdę. Nasz potajemny romans. Żalodne.

- Czy uprawiałaś z nim seks, zanim to się stało? - zapytał Landry.

Starał się nadać głosowi rzeczowy ton. Żadnych oskarżeń, żadnych emocji.

Zaprzeczyła.

- Flirtowaliśmy. Wydawało mi się, że jesteśmy przyjaciółmi. To znaczy, on był moim szefem, ale... Ale chciałam, żeby to było coś więcej, on też. Tak przy najmniej mi powiedział.

- Więc zaproponował, żebyś spotkała się z nim przy tylnej bramie. Czy byłaś pewna, że nikt was tam nie zobaczy?

- W dwóch ostatnich stajniach nie było w tamten weekend żadnych koni. W nich trzyma się konie do ujeżdżenia, jeśli są jakieś konkursy, ale w ten weekend ujeżdżenia nie było w planie. No i na dodatek była niedziela w nocy. Na ogół nikogo tam wtedy nie ma.

- Nie powiedziałaś panu Jade'owi, że rzucasz pracę i przenosisz się do Ocala?

- Nie, czemu miałabym to zrobić? Chciałam pracować dla niego. Byłam w nim zakochana.

- Co stało się potem, Erin? Poszłaś do tylnej bramy, by go spotkać...

- Spóźniał się. Bałam się, że zmienił zdanie. A potem podjechała ta furgonetka, wyskoczył z niej zamaskowany mężczyzna i... - i mnie chwycił.

Głos zamarł jej w gardle, z oczu popłynął kolejny potok łez. Landry podał jej pudełko chusteczek i czekał.

- Rozpoznałaś go?

Pokręciła głową.

- Czy poznałaś jego głos?

- Tak się bałam!

- Wiem. Trudno jest zapamiętać szczegóły, gdy się boisz i dzieje się z tobą coś tak strasznego. Ale musisz spróbować zatrzymać to wszystko, co tak szybko dzieje się w twojej głowie. Postaraj się skupić na poszczególnych momentach, zwróć uwagę na pojedyncze klatki w tym filmie.

- Próbuję.
- Tak, wiem, że się starasz - powiedział cicho. - Nie musimy się spieszyć. Jeśli chcesz zrobić sobie przerwę, po prostu mi powiedz, dobrze?
- Popatrzyła na niego i spróbowała się uśmiechnąć.
- Dobrze.
- Jeśli nigdy nie widziałaś ich twarzy, to dlaczego sądzisz, że Jade był jednym z porywaczy?
- Bo to on powiedział mi, że bym była wtedy przy tylnej bramie.
- Rozumiem, ale czy było coś szczególnego w zachowaniu tego porywacza, jakiś szczegół, który kazał ci myśleć, że to był Jade?
- Znam go - powiedziała z rosnącą frustracją. - Wiem, jak jest zbudowany. Wiem, jak się rusza. Jestem przekonana, że parę razy słyszałam jego głos.
- A co możesz powiedzieć o głosie tego drugiego mężczyzny? Czy brzmiał znajomo? Miał charakterystyczny akcent?
- Dziewczyna potrząsnęła głową i potarła oczy rękami. Była wyczerpana.
- Nie mówił dużo. A jeśli już, to szeptał albo bełkotał. I nigdy nie mówił nic do mnie.
- Czy wiesz, gdzie cię trzymali? Czy mogłabyś nas tam zaprowadzić?
- Wiem tylko, że to była przyczepa mieszkalna. Była straszna. Okropnie stara i brudna.
- Zauważyłaś może, czy to było w pobliżu ruchliwej drogi? Czy słyszałaś jakieś konkretne odgłosy?
- Nie wiem. Samochody, chyba w pewnej odległości. Nie wiem. Przez większość czasu byłam naćpana. Podawali mi ketę.
- Skąd wiesz, że to ten narkotyk?
- Odwróciła wzrok, zawstydzona.
- Brałam go wcześniej. Na jednej imprezie.
- Co się stało wczoraj w nocy? Jak udało ci się uciec?
- Jeden z nich - ten drugi - wyciągnął mnie z przyczepy i wsadził do furgonetki. Myślałam, że mnie zabije i wyrzuci gdzieś moje ciało, i nikt nigdy mnie nie znajdzie!
- Zatrzymała się, by złapać oddech, i spróbowała się uspokoić. Landry czekał.

- A potem po prostu jeździł w kółko. Nie wiem, jak długo. Dał mi porcję kety. Całkiem odjechałam. Czekałam tylko, aż furgonetka się zatrzyma, wiedząc, że gdy to się stanie, on mnie zabije.

- Nie widziałaś nic przez okno?

- Nie, leżałam na podłodze. A potem zatrzymaliśmy się i byłam tak przerażona! Otworzył drzwi i mnie wyciągnął. Kręciło mi się w głowie, nie mogłam ustać na nogach. Upadłam na ziemię, to była droga gruntowa. A on po prostu wsiadł z powrotem do samochodu i odjechał.

Wyrzucona na pobocze jak worek śmieci. Coś, czego użyli i co nie było im już potrzebne. I tak miała cholernie dużo szczęścia, pomyślał Landry.

- Nie wiem, jak długo tam leżałam - ciągnęła Erin. - W końcu wstałam i zaczęłam iść. Widziałam światła. Miasto. I po prostu poszłam w tamtym kierunku.

Przez chwilę Landry siedział w milczeniu. Pozwolił, aby opowieść Erin wybrzmiała do końca. Obracał ją w myślach na wszystkie strony, znajdując coraz więcej wątpliwości.

Więc Jade i jego towarzyszy zorientowali się, że nie dostaną okupu. Zdecydowali, że lepiej porzucić dziewczynę na skraju drogi niż stanąć później przed zarzutem popełnienia morderstwa. Jeśli jednak - jak zakładał Landry - to Van Zandt był współnikiem Jade'a, a Van Zandt wiedział przecież, że policja patrzy na niego uważnie, bo jest podejrzany o zamordowanie Jill Morone, to dlaczego miałby ryzykować, że Erin ich rozpozna? Czyżby obaj byli przekonani, że nie da rady przedstawić żadnych dowodów, które wskazałyby na nich w sposób wiążący? Czyżby zadali sobie trud wszelkich fizycznych dowodów, które mogłyby powiązać ich ze sprawą?

Oczywiście, to się jeszcze okaże. Skrawki ubrania, które nosiła Erin, były już w laboratorium, badane pod mikroskopem i w świetle fluorescencyjnym, tamponowane, poddawane działaniu odczynników i obracane pesetami na wszystkie strony.

Może wypuszczenie Erin było dla porywaczy kolejnym elementem gry. Niech ofiara żyje, i niech żyje ze świadomością, że nie może zrobić nic, by jej oprawcy zostali ukarani. Niech gliniarze wiedzą o ich winie, i niech nie będą w stanie w żaden sposób jej udowodnić. A oni będą upajać się poczuciem władzy. Słaby punkt tej teorii to udział Landry'ego, który nie zamierzał pozwolić, by komukolwiek udało się uniknąć kary.

- Erin, czy oni kiedykolwiek wspomnieli, dlaczego wybrali akurat ciebie?
Potrząsnęła głową, patrząc na dyktafon Landry'ego leżący na nocnej szafce, w którym powoli kręciła się taśma.

- Byłam ciągle pod wpływem narkotyków. Wiem, że chcieli pieniędzy. Wiedzieli, że Bruce ma pieniądze.

- I mówili „Bruce”?

- Rozmawiali z nim nie wiem ile razy...

- Nie, chodzi mi o to, jak mówili o nim - wyjaśnił Landry. - Czy, gdy o nim rozmawiali, używali jego imienia?

Erin skinęła głową, ale Landry nie sądził, by rozumiała wagę swej odpowiedzi.

- Czy to ty powiedziałaś im, jak ma na imię?

- Nie. Po prostu je znali.

Landry'emu wydało się dziwne, że przestępcy nazywali Bruce'a po imieniu. Bardzo bezpośrednio, jakby był ich znajomym.

- Mogłam przez niego umrzeć - powiedziała Erin gorzko. - Nie mogę uwierzyć, że moja matka z nim została. Jest taka słaba.

- Ludzie są skomplikowani - dorzucił Landry, czując się nieswojo.

Erin patrzyła na swoje złożone na kółdrze ręce i kręciła głową z niedowierzaniem.

- Erin, ile taśm nakręcili, gdy byłaś uwięziona w przyczepie?

- Nie wiem. Trzy albo cztery. To było takie upokarzające. Kazali mi błagać. Robili ze mną różne rzeczy. Bili mnie. - Znów zaczęła płakać. - To było straszne.

Sukinsyn, pomyślał Landry. Trzy lub cztery kasety. Seabright dał im jedną, nie licząc tej, którą znaleźli na miejscu dostawy okupu.

- Erin, czy którykolwiek z mężczyzn uprawiał z tobą seks?

Jej płacz stał się gwałtowniejszy.

- Oni c-ciągle d-dawali mi narkotyki. Nic nie mogłam na to poradzić. N-nie mogłam ich powstrzymać.

- Będziemy bardzo się starać i zrobimy wszystko, żeby to jak najszybciej zakończyć, Erin. Ty i ja będziemy pracować razem, żeby postawić ich przed sądem. Zgoda?

Spojrzała na niego oczami pełnymi łez i kiwnęła głową.

- Odpocznij teraz - powiedział Landry i ruszył do drzwi.

- Inspektorze Landry?

- Tak?

- Dziękuję.

Landry wyszedł. Miał nadzieję, że uda mu się wkrótce zrobić coś, za co Erin naprawdę będzie mu wdzięczna.

Stałam na końcu korytarza, gdy Landry wyszedł z sali Erin. Nie był zaskoczony tym, że mnie widzi. Zatrzymał się tuż za drzwiami, wyjął telefon i przez jakieś trzy minuty z kimś rozmawiał. Gdy skończył, obejrzał się w przeciwną stronę, rzucił okiem w kierunku pokoju pielęgniarek, a potem podszedł do mnie.

- I co mówi? - zapytałam, gdy szliśmy do wyjścia awaryjnego.

- Mówi, że to Jade, ale też że porywacze cały czas nosili maski i trzymali ją na ketaminie. W zasadzie ani razu nie widziała Jade'a. Drugiego gościa w ogóle nie rozpoznaje. Mówi, że rzadko się odzywał.

- To niepodobne do Van Zandta - zauważyłam. - Nie znam nikogo, kto upałby się dźwiękiem własnego głosu bardziej niż Van Zandt.

- Rozpoznałaby jego głos po akcencie - powiedział Landry. - Może jest mądrzejszy, niż się wydaje. - Landry potrząsnął głową i westchnął. - Nie będzie z niej dobry świadek.

Martwił się czymś i wiedziałam, że poświęca mi tylko część swojej uwagi. W głowie powtarzał sobie słowa Erin, starając się znaleźć jakiś ślad, dowód lub poszlakę.

- Ona nie musi być jeszcze na dodatek dobrym świadkiem - przypomniałam mu. - Masz wystarczająco dużo, by jakiś czas przetrzymać Jade'a w areszcie. Może w laboratorium znajdą jakieś dowody.

- Twój entuzjazm jest zaraźliwy - powiedział z lekką drwiną w głosie.

- Masz na Jade'a coś, o czym mi nie powiedziałeś? Znalazłeś coś w jego mieszkaniu?

Nic nie odpowiedział.

- Coś z mieszkania dziewczyny?

- Kilka zdjęć Jade'a. Jedno jego razem z Erin. Na odwrocie ktoś napisał „Dla Erin z miłością. Don”. Jill schowała je wszystkie u siebie. Z dedykacji na tym ostatnim wykreśliła imię Erin, a jej twarz zamazała długopisem.

- Wszystkie dziewczyny kochają Donnie'ego.
- Osobiście nie mam pojęcia, dlaczego - mruknął Landry.
- Wiesz już, czy posiada coś poza mieszkaniem? Domek? Działkę?
- Nie byłby na tyle głupi, żeby trzymać Erin w miejscu, które można by z nim powiązać - a ja nie mógłbym mieć aż tyle szczęścia.
- Jak uciekła?
- Mówi, że ją wypuścili. Doszli do wniosku, że nie dostaną okupu, więc wrzucili ją na tył furgonetki, a potem pozbyli się jej jak starej opony.
- Nie potrafi pewnie powiedzieć, gdzie ją trzymali?
- Nie. Wie tylko, że w przyczepie.
- Czy byliście w stanie odczytać coś z ostatniej taśmy? Jakies głosy w tle?
- Są jakieś hałasy, technicy starają się ustalić, co to takiego. Dla mnie to brzmi jak ciężkie maszyny.
- Erin mówiła coś na ten temat?
- Spojrzał za okno.
- Tylko tyle, że nie jest pewna, że ciągle była naćpana, bo dawali jej ketę. Łatwo ją dostać, zwłaszcza w środowisku, gdzie aż roi się od weterynarzy.
- Ale to nie jest środek, który podaje się koniom - powiedziała mu. - Powszechnie stosuje się go w leczeniu małych zwierząt.
- Wszystko jedno, dostęp i tak jest ułatwiony.
- A co z Chadem?
- Wczoraj w nocy ani na chwilę nie wyszedł z domu - powiedział Landry, znów wyjmując telefon. - Poza tym Chad i Erin byli razem. Myślisz, że nie rozpoznałaby go, gdyby ją gwałcił?
- Może on był tym cichym. Może tylko przyglądał się, jak to robi jego wspólnik. Może tak ją szprycowali, że nie rozpoznałaby świętego Mikołaja, gdyby się nad nią pochylał.
- Landry popatrzył na mnie gniewnie, podnosząc wzrok znad telefonu, w którym sprawdzał wiadomości.
- Wiesz co, Estes? Jesteś jak wrzód na dupie.
- Jakby to była dla ciebie jakaś nowość - zeskoczyłam z parapetu. - Słuchaj, Landry, a co tam. Zabij ich wszystkich i niech Bóg ich rozdzieli na dobrych i złych.

- Nie kuś mnie. Połowa ludzi zamieszanych w życie tej dziewczyny powinna znaleźć się w więzieniu, jeśli chcesz znać moje zdanie - burknął, odsłuchując wiadomości. - Jedziemy przeszukać dom Seabrightów. Dopilnuję, by Dugan włączył listę leków z ich apteczki do protokołu przeszukania.

- Czego jeszcze szukacie?

- Erin ciągle powtarza, że porywacze dzwoniли do Seabrighta wiele razy i że nakręcili w przyczepie więcej niż jeden film. Mówi o trzech albo czterech.

- Jezu, to co on z nimi robił? Sprzedawał na eBayu?

- Pewnie tak. I jeszcze będzie twierdził, że w ten sposób próbował zdobyć pieniądze na zapłacenie okupu - mruknął Landry. - Dupek.

Znów usiadłam na parapecie, pozwalając, by wczesne słońce grzało moje plecy. Zastanowiłam się nad możliwym zaangażowaniem Bruce'a Seabrighta w porwanie Erin.

- Załóżmy, że Seabright chciał się pozbyć Erin. Ustala plan porwania tak, by nigdy nie wchodziła się w nie policja, a Erin nigdy już nie wróciła do domu. Dlaczego więc od razu jej nie zabił? Mogli nagrać taśmy w ciągu godziny, zabić ją i pozbyć się ciała. Potem ja włączam się do sprawy i wciągam ciebie - ciągnęłam dalej. - Bruce musi mieć się na baczności. I znów: czemu nie posłał współnika, by ją zabił?

- Bo obaj widzą, że policja węszy, i zaczynają się bać.

- Więc wypuszczają Erin i pozwalają, by pomogła ci wnieść przeciw nim oskarżenie? - Potrząsnęłam głową. - To nie ma żadnego sensu.

- Gram takimi kartami, jakie mam w ręku, Estes - powiedział Landry ze zniecierpliwieniem. - Erin mówi, że to był Jade, więc tak muszę założyć. Byłbym głupi, gdybym zrobił inaczej. Jeśli okaże się, że Bruce Seabright też jest w to zamieszany, też będę się musiał z tym pogodzić. Występek sprzyja czasem powstawaniu dziwnych związków.

Nic nie powiedziałam. W rzadkich przypadkach udaje mi się docenić wagę dyskrecji. Landry miał podejrzanego i kilka poszlak, niepewną ofiarę i własne wątpliwości.

- Muszę lecieć - powiedział, wyłączając telefon. - Prokurator stanowy zażył sobie spotkania przed wstępną rozprawą Jade'a.

Miałam nadzieję, że po jego odejściu uda mi się na chwilę wejść do pokoju Erin, ale pilnujący jej policjant wrócił właśnie z przerwy na kawę.

- Landry? - zatrzymałam go, gdy już oddalał się korytarzem. - Van Zandt dał znak życia?

- Nie. W ogóle nie pokazał się w rezydencji - odwrócił się.

Zawołałam go jeszcze raz. Wyjęłam z kieszeni bransoletkę Erin i podałam mu ją.

- Znalazłam to na podłodze gabinetu, w którym wczoraj w nocy była badana Erin. Zapytaj ją o nią. Może to prezent od Dona Jade'a.

Wziął bransoletkę, przesuwał palcami po mojej ręce. Skinął głową.

- Dziękuję - powiedziałam - że informujesz mnie o tym, co się dzieje.

Landry przechylił głowę.

- To również twoja sprawa.

- Myślałam, że nie lubisz się dzielić.

- Zawsze jest ten pierwszy raz. Popatrzył na bransoletkę i odszedł.

Opuściłam szpital i przejechałam się po parkingu, rozglądając się za ciemnoniebieskim chevroletem, ale Van Zandt'a nigdzie nie było. Nie zauważyłam też ani białego lexusa Krystal, ani jaguara należącego do Bruce'a Seabrighta. Prawdziwie kochający rodzice - Erin powiedziała im, żeby sobie poszli, więc sobie poszli. I z głowy.

Nigdy nie rozumiałam ludzi, którzy mają dzieci, ale ich nie wychowują, nie pielęgnują i nie pomagają im wyrosnąć na dobrych ludzi. Jaki jest inny powód ich posiadania? Przekazanie nazwiska rodzowego? Zdobycie zapomogi? Nadanie sensu małżeństwu? Taki jest ustalony porządek rzeczy: w pewnym wieku ludzie po prostu muszą się pobrać i mieć dzieci. I nikt nie zadaje sobie pytania, dlaczego.

Niewiele wiedziałam o dzieciństwie Erin Seabright, ale wiedziałam, że nie znalazłaby się w obecnej sytuacji, gdyby była kochana. Z tego, co mówiła jej własna siostra, Erin była wściekła na cały świat i pełna goryczy.

Nie podobała mi się jej mglista historyjka. Z osobistego doświadczenia wiedziałam, że wściekle i zgorzkniale dziewczyny chcą, by za ich niepowodzenia zapłacili ludzie, którzy zranili je najmocniej. Zastanowiłam się, czy Erin mogła oskarżyć niewinnego człowieka. Może Jade jej nie kochał, może złamał jej serce. I w bólu, strachu, pod wpływem narkotyków nałożyła jego osobę na postać swojego prześladowcy.

A może któryś z porywaczy celowo naprowadził ją na taki tor myślenia.

Znów pomyślałam o Michaelu Bernie. Z łatwością mógł zadzwonić do „Radio Shack” i poprosić o odłożenie telefonu, a później posłać po niego jakiegoś maślaka. Jeśli wiedział o tym, że Erin kocha się w Jadzie, mógł posłużyć się tą wiedzą podczas porwania. Ale kto mógłby być jego współnikiem? Z tego, co wiedziałam, nie miał żadnego powiązania z Seabrightami, a jego relacje z Treyem Hughesem układały się nie najlepiej.

Trey Hughes, który trzymał numer telefonu do mojego ojca w swoim portfelu. Trey, mający oko na młode, ładne dziewczyny. Trey, powiązany z każdym wątkiem tej obrzydliwej sprawy.

Nie chciałam wierzyć, że mógłby być wplątany w coś tak ohydnego, jak krzywda, którą wyrządzono Erin. Wciąż stawiałam na Van Zandta.

Ale wydawało mi się, że mam przed sobą kawałki trzech różnych układanek. Sztuką było teraz stworzyć z nich ostateczny obraz, który nie byłby czystą abstrakcją.

XLV

Zastępca prokuratora stanowego nie przejął się faktem, że Erin nie widziała twarzy swoich porywaczy. Tak jak powiedziała Elena, mieli wystarczająco dużo dowodów, by wysunąć przeciwko Jade’owi oskarżenia, aresztować go i wnioskować o bardzo wysoką kaucję albo nawet brak zgody sędziego, na opuszczenie przez niego aresztu. Zgodnie z prawem stanu Floryda będą mieli sto siedemdziesiąt pięć dni na wniesienie sprawy do sądu. To wystarczająco dużo czasu, by przygotować linię oskarżenia, zakładając, że znajdą jakieś dodatkowe dowody.

Grupa krwi znalezionej w boksie, w którym zabito Jill Morone, została określona. Gdyby odpowiadała grupie Jade’a, to oprócz oskarżenia o porwanie będą mogli postawić mu zarzut morderstwa. Podważyli już alibi Jade’a na wieczór, gdy zginęła Jill. Nie miał alibi na noc, w którą zabito konia. Noc, która - zdaniem Eleny - zapoczątkowała późniejszy rozwój wypadków.

Landry pomyślał o Elenie, opuszczając gabinet prokuratora. Nie podobało mu się, że miała wątpliwości co do udziału Jade’a w całej tej sprawie, a jeszcze

bardziej nie podobało mu się to, że tak się przejmował jej zdaniem. To ona go w to wciągnęła i chciał, żeby wszystko było tak klarowne, jak jej początkowa teoria. Większość przestępstw była prosta. Za przeciętnym morderstwem stały pieniądze lub seks, i niepotrzebny był Sherlock Holmes, by znaleźć jego sprawców. Porwanie dla okupu - też prosta sprawa. Stara, dobra robota policyjna powinna doprowadzić do aresztowania i wyroku. Nie chciał, aby ta sprawa okazała się inna.

Wątpliwości Estes udzielały mu się również dlatego, że gdzieś w głębi ducha kołatały mu się podobne podejrzenia. Próbował się z nich otrząsnąć, idąc w dół korytarza. Z sali odpraw wyszedł Weiss.

- Jest tu Paris Montgomery. Przyszła specjalnie do ciebie - powiedział, przewracając oczami.

- Znaleźliście coś w domu Seabrightów?

- Garnek złota - odpowiedział Weiss. - Na półce w gabinecie Seabrighta schowana była jeszcze jedna kasetka. Nie uwierzysz w to. Nagranie pokazuje, jak dziewczyna jest gwałcona. Mamy Seabrighta w pokoju przesłuchań. Właśnie tam idę.

- Zaczekajcie na mnie - powiedział Landry, czując, jak wzbiera w nim furia. - Rozprawię się z tym skurwielem.

- Będzie kolejka - zapewnił go Weiss.

Paris Montgomery nerwowo krążyła po pokoju przesłuchań. Wyglądała na zdenerwowaną i smutną, ale wzburzenie nie powstrzymało jej przed nałożeniem makijażu i ułożeniem stylowej fryzury.

- Dziękuję, że pani przyszła, panno Montgomery - powiedział Landry. - Proszę usiąść. Czy mogę coś pani podać? Może kawę?

- O, nie - powiedziała, siadając. - Jeśli w mojej krwi znajdzie się jeszcze trochę kofeiny, to zacznę się kręcić jak bączek. Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Don w więzieniu. Erin porwana. Mój Boże. Czy z nią wszystko w porządku? Właśnie dzwoniłam do szpitala, ale nie chcieli mi nic powiedzieć.

- Jest mocno pokiereszowana - odpowiedział Landry - ale wyjdzie z tego.

- Czy będę mogła się z nią spotkać?

- Na razie dostęp ma tylko najbliższa rodzina. Może później.

- Czuję się okropnie z tym, co się stało. Rozumie pan, Erin pracowała ze mną. Powinnam była jej poszukać. - Jej duże, brązowe oczy wypełniły się łzami.

- Gdy Don powiedział, że rzuciła pracę i odeszła, powinnam była bardziej postarać się z nią skontaktować. Powinnam była wiedzieć, że coś jest nie tak.

- Dlaczego? Czy miała pani powód, by coś podejrzewać?

Spojrzała w bok; jej oczy zrobiły się szkliste i miała nieobecny wyraz twarzy, jak ktoś przyglądający się swym wspomnieniom.

- Erin wydawała się bardzo zadowolona z pracy. Wiedziałam o tym, że miała jakieś problemy miłosne, ale jaka dziewczyna w jej wieku ich nie ma? Po prostu... Nie powinnam była tak bezkrytycznie przyjąć wiadomości o jej wyjeździe. Ale musi pan zrozumieć, w czasie sezonu stajenni często się zmieniają. Dostają tyle propozycji - ktoś oferuje wyższą pensję, dodatkowy dzień wolny albo ubezpieczenie zdrowotne - i już ich nie ma.

Landry nie próbował jej pocieszać, nie dał jej swojego rozgrzeszenia. Ktoś, do cholery, powinien był zwrócić większą uwagę na to, co działo się z Erin Seabright. Nie miał ochoty nikogo zwalniać z odpowiedzialności.

- Czy zdawała sobie pani sprawę z tego, że między Erin a Donem coś się działo?

- Wiedziałam, że Erin się w nim durzy.

- Czy z tego, co pani wie, Don mógł to wykorzystać?

- Ja... cóż... Don jest bardzo charyzmatyczny.

- To znaczy tak czy nie?

- Don jest pociągającym mężczyzną. Kobiety do niego lgną. On o tym wie i sprawia mu to przyjemność. Lubi flirtować.

- Flirtował z Erin?

- No... tak, ale nie sądziłam, że mógłby posunąć się aż tak daleko. Dalej nie mogę uwierzyć, że ją wykorzystał.

- Ale byłoby to możliwe?

Wyglądała niepewnie, co było wystarczającą odpowiedzią.

- Czy Erin mówiła pani coś o śmierci Stellara?

- Była wstrząśnięta, tak jak my wszyscy.

- Czy sugerowała, że wie, jak to się stało?

Znów spojrzała w bok, przykładając dwa palce do pionowej zmarszczki rysującej jej czoło.

- Nie wierzyła, że to był wypadek.

- To ona opiekowała się koniem, prawda?
- Tak, i świetnie sobie z nim radziła - jak ze wszystkimi końmi. Poświęcała im dużo czasu. Czasem przyjeżdżała zajrzeć do nich jeszcze po pracy.

- Czy była w stajni tamtej nocy?

- Około jedenastej. I wszystko było w porządku.

- Dlaczego sądziła, że to nie był wypadek?

Paris Montgomery zaczęła płakać. Rozejrzała się po pokoju, jakby w poszukiwaniu jamy, w której mogłaby się zaszyć.

- Panno Montgomery, jeśli Don Jade zrobił to, co sądzimy, że zrobił, nie powinna pani czuć się zobowiązana do żadnej lojalności.

- Nie wierzyłam, że zrobił coś złego - powiedziała cicho, usprawiedliwiając bardziej siebie niż Jade'a.

- Co się stało?

- Erin powiedziała mi, że tamtego ranka Don był w stajni jeszcze przed nią. Było wcześniej, naprawdę wcześniej. Nasze konie miały na ów dzień zaplanowany występ i Erin przyszła o takiej porze, żeby zdążyć zapleść im grzywy i je oporzędzić. Powiedziała mi, że zobaczyła Dona w boksie Stellara, jak coś majstrował przy kablu od wiatraka elektrycznego. Podeszła do niego, by zapytać, co robi w stajni tak wcześniej.

Przerwała, starając się opanować i złapać oddech. Landry czekał.

- Zobaczyła, że Stellar leży. Don powiedział jej, że koń przegryzł kabel, i na dowód podniósł jeden z końców. Ale trzymał też coś w drugiej ręce. Erin mówiła, że było to jakieś narzędzie.

- Myśli pani, że przeciął kabel, żeby upozorować wypadek?

- Nie wiem! - Zatkąła, zakrywając twarz rękoma. - Nie chcę nawet myśleć, że Don mógłby zabić to biedne zwierzę!

- Teraz to chyba najmniejszy z jego występów - powiedział Landry.

Beznamiętnie popijał kawę, podczas gdy Paris Montgomery ronila łzy nad swym grzechem zaniedbania. Przyswajał nowe fakty. Erin mogła oskarżyć Jade'a o umyślne zabicie zwierzęcia i w ten sposób ściągnąć na siebie wyrok śmierci, tak samo jak Jill Morone. Ale dowody świadczące o wcześniejszym zakupie telefonu komórkowego mówiły, że porwanie zostało zaplanowane wcześniej, przed śmiercią konia. Jedna sprawa nie miała więc nic wspólnego z drugą.

- Co pani zrobiła, gdy Erin przyszła do pani z tą informacją?

Paris otarła oczy chusteczką.

- Zezłościłam się na nią. Powiedziałam, że to na pewno był wypadek. Don nie mógłby...

- Nawet jeśli zrobił to już parę razy wcześniej?

- Nigdy nie uwierzyłam w te pogłoski - powiedziała stanowczo. - Nic nie zostało udowodnione.

- Poza tym jedynie, że Don jest sprytny i biegły w unikaniu konsekwencji własnych czynów.

Nawet teraz stawiała w jego obronie.

- Przez trzy lata wspólnej pracy ani razu nie widziałam, by Don źle potraktował jakiegokolwiek zwierzę.

- Jaka była reakcja Erin, gdy jej pani nie uwierzyła?

- Początkowo była zdenerwowana. Ale długo rozmawiałyśmy i powiedziałam jej to, co przed chwilą panu, o moich doświadczeniach z pracy u Dona. Zapytałam ją, czy jest w stanie sobie wyobrazić, że Don mógłby kogokolwiek skrzywdzić. Zrobiło jej się wstyd.

- Więc gdy Jade później tego dnia powiedział pani, że Erin odeszła z pracy...

- Nie byłam zaskoczona.

- I nie próbowała pani do niej dzwonić?

- Próbowałam, ale nie odbierała telefonu. Zostawiłam wiadomość w skrzynce głosowej. Kilka dni później pojechałam do jej mieszkania, ale wyglądało na to, że się wyprowadziła.

Westchnęła dramatycznie i popatrzyła na Landry'ego sarnimi oczami, z niemałą prośbą o przebaczenie.

- Dałabym wszystko, by móc wrócić do tamtego dnia i wszystko zmienić.

- Tak - powiedział Landry. - Erin Seabright z pewnością też.

XLVI

Wróciłam myślą do dnia, w którym wszystko się zaczęło. Dnia, w którym Stellara znaleziono martwego w jego boksie. Dnia, w którym Erin Seabright porwano spod tylnej bramy centrum jezdzieckiego w Palm Beach. Wypisałam

sobie wszystko czarno na é cru, robiąc notatki na ekskluzywnej papeterii Seana. Zestawienie wydarzeń. Kiedy Jade rzekomo kupił telefon komórkowy. Kiedy Erin pokłóciła się z Chadem. Kiedy Stellar został zabity. Kiedy porwano Erin. Wszystkie znane mi fakty zapisałam na kartkach, które zgodnie z porządkiem chronologicznym rozłożyłam na podłodze sypialni.

Wcześniej skupiałam się na hipotezie, zgodnie z którą wszystko zaczęło się od śmierci Stellara, ale teraz, patrząc na moje zestawienie i jeszcze raz przyglądając się znanym mi faktom, zrozumiałam, że nie miałam racji. Ktoś wcześniej kupił telefon na kartę. Ktoś wcześniej przygotował przyczepę, w której miała być trzymana Erin, zebrał potrzebny sprzęt audio-wideo, zdobył ketaminę, którą później podawano dziewczynie, i załatwił furgonetkę użytą do porwania. Rozbudowany plan, w którym brały udział co najmniej dwie osoby.

Chciałam zrozumieć wszystko, co zdarzyło się owej niedzieli, gdy zamordowano Stellara, a następnie porwano Erin. Co zaszło wtedy między Erin i Jade'em? Gdzie byli Trey Hughes i Tomas Van Zandt?

Przyjrzałam się rozłożonym na podłodze kartkom, na których spisałam wszystkie znane mi fakty. Wpatrywałam się w nie, a najprostsze wytłumaczenie wciąż wydawało mi się złe. Znałam wielu ludzi, którzy byliby skłonni na nim poprzestać, a jednym z nich był Landry. Ale ja nigdy nie umiałam wybrać łatwiejszej drogi.

Poszłam do salonu, wyciągnęłam kasetę z porwaniem i włożyłam ją do odtwarzacza.

Erin stoi przy bramie, czeka. Patrzy na zbliżającą się furgonetkę. Stoi, gdy z samochodu wysiada zamaskowany mężczyzna. Krzyczy „Nie!”. Zaczyna biec. On ją łapie.

Przewinęłam taśmę i puściłam ją jeszcze raz.

Myślałam o rzeczach, które powiedziała Landry'emu, i o tych, których mu nie powiedziała.

Zastanawiałam się, kto stał się podejrzanym, a kto tego uniknął.

Don Jade siedział w więzieniu. Bruce Seabright znalazł się pod lupą. Tomas Van Zandt zniknął.

Podeszłam do biurka i przeszukałam leżące na nim papiery, robiąc okropny bałagan, lecz w końcu znajdując to, czego szukałam - kartkę ze śmietnika Van Zandta. Plan lotów dla koni wysyłanych do Brukseli. Jeden z transportów miał

opuścić Stany dziś o jedenastej wieczorem. Powinnam przekazać tę informację Landry'emu. Ale Landry przekaże ją Armedgianowi.

Pieprzyć to. Armedgian nic ode mnie nie dostanie. Zrobię wszystko, by wyszedł na idiotę. Po mojej porażce w „The Players” ani Armedgian, ani Dugan i tak nie będą się liczyli z moimi informacjami.

Zdecydowałam, że pojadę na lotnisko i sama zaczekam na Van Zandta, a kiedy przyjdzie, powiadomię Landry'ego. Jeśli Tomas Van Zandt myśli, że uda mu się uciec stąd bezkarnie, powinien zastanowić się jeszcze raz.

XLVII

Nie miał pojęcia, jak długo był w bagażniku. Noc zmieniła się w dzień. Poznał to po upale panującym w bagażniku. Pieprzone słońce Florydy nagrzewało samochód do nieznośnej temperatury.

Umrze w tym okropnym miejscu z powodu tej rosyjskiej dziwki. A w zasadzie ich dwóch. Ich twarze zlały się w jego głowie w jedno oblicze. Z bólu i gorąca raz po raz wpadał w delirium.

Chciał uciec, ale nie mógł się ruszyć. Nie wiedział, ile kości miał złamanych. Chciał krzyczeć, ale dolna część jego twarzy była szczelnie oklejona taśmą. W ciągu ostatnich godzin wiele razy bał się, że zwymiotuje i udławi się na śmierć.

Jak ta gruba stajenna. Mała, głupia dziwka. Była gotowa pieprzyć się z Jaded'em. Powinna była chcieć i z nim. Został pobity także za nią. Kulak wiedział o jej śmierci.

To był wypadek, nie morderstwo. Gdyby pozbył się ciała tak, jak planował, nikt by się nigdy nie dowiedział. Nikt by nie pytał, gdzie jest Jill. Bo kogo by obchodziło, co stało się z tą durną dziewczynką?

Gdyby nie dał się namówić, żeby ukryć ciało pod stertą nawozu, wiele z tego, co się później stało, nie miałoby pewnie miejsca. I teraz on może nie czekałby na śmierć.

Słyszał głosy na zewnątrz. Dźwięk pracujących maszyn, rozmowy mężczyzn: Rosjan mówiących po rosyjsku. Kurewskich Rosjan.

Coś uderzyło w samochód. Zakołysał się i zaczął sunąć do przodu. Dźwięk pracującej maszyny stał się głośniejszy, brzmiał jak głos piekielnego potwora,

który pożera wszystko, co stanie na jego drodze. Przód samochodu opadł, a hałas stał się ogłuszający, warkot bestii mieszał się z odgłosem gniecionej blachy.

Wiedział, co stanie się za chwilę. Wiedział i zaczął wrzeszczeć, choć jego głos rozbrzmiewał tylko w jego własnej głowie. Wykrzyczał imiona wszystkich kobiet, które kiedykolwiek zwróciły się przeciw niemu.

Kobiety. Głupie, niewdzięczne suki. Zmora jego życia. Powtarzał wiele razy, że w końcu przez nie umrze. Jak zawsze, miał rację.

XLVIII

Landry nigdy nie widział czegoś tak potwornego. Erin Seabright rozpostarta na łóżku, przywiązana za nadgarstki i kostki, krzyczała i płakała, gwałcona przez jednego z porywaczy.

On, Dugan, Weiss i Dwyer stali w półkolu z założonymi rękami, wpatrując się w ekran telewizora z kamiennym wyrazem twarzy. Bruce Seabright siedział z boku, błąd jak ściana.

Landry wyłączył taśmę i pięścią walnął w bok telewizora. Gwałtownie zwrócił się w stronę Seabrighta.

- Ty chory skurwielu!

- Nigdy w życiu nie widziałem tej kasety! - krzyknął Seabright, podnosząc się z krzesła.

- Landry... - rzucił Dugan ostrzegawczym tonem.

Ale Landry go nie słyszał, tak jak nie słyszał dzwoniącego telefonu Weissa. Ledwo zdawał sobie sprawę, że w pokoju są jacyś ludzie. Widział tylko Bruce'a Seabrighta i chciał zatłuc go na śmierć gołymi rękami.

- Co? Zostawiłeś ją sobie na później? Planowałeś mały festiwal filmowy?

Seabright gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie wiem, skąd wzięła się w moim biurze.

- Sam ją tam zaniósłeś - powiedział Landry.

- To nieprawda! Przysięgam!

- Porywacze przysłali ci ją, tak jak pierwszą.

- Nie!

- I jeśli zależałoby to od ciebie, nie zobaczylibyśmy żadnej z nich.

- To... To nieprawda.

- Ty śmierząca, zakłamana sterto gówna! - wrzasnął mu Landry prosto w twarz.

Dugan stanął między nimi, kładąc ręce na ramionach Landry'ego i próbując go odepchnąć.

- Detektywie Landry, proszę się odsunąć.

Landry wyminął go.

- Nie wystarczyło ci, że się jej pozbyłeś? Musiałeś jeszcze zobaczyć, jak ją torturują?

- Nie! Ja...

- Zamknij się! - wrzasnął Landry. - Do kurwy nędzy, zamknij się!

Seabright zrobił krok w tył, jego małe oczka rozszerzył strach. Uderzył o kant krzesła i niezgrabnie na nie opadł.

- Landry! - krzyknął Dugan.

Dwyer stanął przed nim, podnosząc rękę.

- James...

- Żądam adwokata - powiedział Seabright. - To wariat.

Landry uspokoił się, zwolnił oddech i popatrzył na Bruce'a Seabrighta.

- Lepiej skontaktuj się z Bogiem, Seabright - powiedział powoli. - Twój prawnik nie wystarczy, żeby wyciągnąć cię z tego gówna.

Przesłuchanie Jade'a w sprawie kaucji trwało dwadzieścia minut. Pięć minut zajęło załatwienie sprawy, resztę - Bert Shapiro, wsłuchujący się w dźwięk własnego głosu. Landry uważał, że skoro gość za godzinę swojej pracy bierze tyle, ile kosztuje dobry garnitur, to powinien przynajmniej spróbować dowieść, że nadaje się do czegoś więcej niż kawałek szmaty.

Landry stanął z tyłu i przyglądał się uczestnikom spotkania. Wciąż trząsał się z nadmiaru adrenaliny i nerwów, które poniosły go w pokoju przesłuchań. Dla uspokojenia, zamiast liczyć barany, liczył ludzkie głowy. Tłumek młodych prawników, praktykantów Shapiro, zastępca prokuratora stanowego, grupka reporterów i Trey Hughes.

Oskarżyciel, Angela Roca, wyjawiała swój zamiar postawienia podejrzanego przed ławą przysięgłych i zażądała kaucji w wysokości miliona dolarów.

- Wysoki sędzie - jęknął Shapiro - milion dolarów! Pan Jade nie jest tak bogaty jak jego klienci. Praktycznie rzecz biorąc, przychylenie się do tego żądania będzie oznaczało brak zgody na zwolnienie za kaucją.

- I bardzo dobrze, wysoki sędzie - powiedziała Roca. - Pan Jade został wskazany przez ofiarę jako porywacz i gwałcieciel. Biuro szeryfa podejrzewa go dodatkowo o dokonanie brutalnego morderstwa na jednej ze swoich pracownic.

- Z całym szacunkiem, wysoki sędzie, pan Jade nie może być ukarany za winę, której mu nie udowodniono.

- Tak, coś takiego mówili chyba w szkole - z sarkazmem przyznała sędzia Ida Green. Ida, drobna, rudowłosa kobieta, rodowita mieszkanka Nowego Jorku, należała do ulubionych sędziów Landry'ego. Nic nie robiło na niej wrazenia, nawet Bert Shapiro.

- Wysoki sędzie, stanowisko oskarżyciela...

- Niewiele mnie interesuje. Mamy przesłuchanie w sprawie kaucji, panie Shapiro. Czy muszę wyjaśniać panu sprawy tak podstawowe?

- Nie, wysoki sędzie. Coś sobie przypominam ze studiów prawniczych.

- To dobrze. Nie zmarnował pan pieniędzy swoich rodziców. Ustalam kaucję na pięćset tysięcy dolarów.

- Wysoki sędzie... - zaczął Shapiro.

Ida przerwała mu w pół słowa.

- Panie Shapiro, klienci pańskiego klienta wydają takie sumy bez mrugnięcia okiem na konie. Jestem przekonana, że jeśli są tak oddani panu Jade'owi, jak pan, to mu pomogą.

Shapiro wyglądał na wkurzonego.

Roca dostała palec, ale miała ochotę na całą rękę.

- Wysoki sędzie, biorąc pod uwagę, że pan Jade mieszkał przez pewien czas w Europie i ma tam wielu znajomych, obawiam się, że może próbować tam uciec.

- Pan Jade odda zatem swój paszport. Coś jeszcze, pani Roca?

- Wnosimy, by pan Jade dostał sądowy nakaz poddania się badaniu krwi i oddania próbki włosów w celów porównania ich z dowodami będącymi w posiadaniu policji, wysoki sędzie.

- Niech tak będzie.

- Wysoki sędzie - zaproponował Shapiro - to poważne naruszenie osoby mojego klienta.

- Poważnym naruszeniem byłoby endoskopowe badanie okrężnicy, panie Shapiro. Udzielam zgody na pozyskanie próbki krwi i włosów.

Posiedzenie zakończyło się niespodziewanym zwrotem wypadków. Trey Hughes wstał, podszedł do sędziowskiej ławy, wypisał czek - i Don Jade był wolnym człowiekiem.

XLIX

Jeszcze raz przewinęłam taśmę.

Zastanawiałam się, czy ludzie Landry'ego znaleźli w gabinecie Seabrighta więcej taśm, o których wspominała Erin. Jeśli tak, to miałam nadzieję, że zostanie aresztowany i postawiony w stan oskarżenia za cokolwiek - utrudnianie śledztwa, ukrywanie dowodów, współuczestnictwo, cokolwiek. Niezależnie od wyniku śledztwa, niezależnie od przyczyny wszystkich tych zdarzeń, Bruce Seabright był winny - winny patologicznej obojętności na los drugiego człowieka.

Pomyślałam o taśmie, na której Erin jest bita. Nie widziałam jej, ale według Landry'ego była szczególnie brutalna. Oko za oko, Bruce, pomyślałam.

Puściłam jedyną taśmę, jaka była w moim posiadaniu.

Nie pamiętałam, ile razy już ją widziałam. Wystarczająco dużo, bym poznała każdy jej szczegół, wciąż jednak czułam się w obowiązku włączyć ją kolejny raz w poszukiwaniu czegoś, co umknęło mojej uwadze. Oglądałam ją raz za razem, wciąż jednak coś nie dawało mi spokoju, coś, co niejasno przeczuwałam i czego nie mogłam jasno określić.

Zbliża się furgonetka. Erin stoi w miejscu.

Furgonetka zatrzymuje się. Erin dalej stoi.

Wyskakuje z niej zamaskowany mężczyzna. Erin krzyczy „Nie!”.

Próbuje uciekać.

Nacisnęłam pauzę. Szeroki, biały pasek szumu zasłaniał obraz w miejscu, gdzie znajdowały się twarze tych dwojga. Bez jej miny i jego maski to ujęcie

mogło oznaczać cokolwiek. Gdyby się nie znało kontekstu, to mogło ono przedstawiać parę kochanków goniących się dla zabawy albo dwoje ludzi niosących komuś pomoc. Pozbawieni twarzy byli dwoma popiersiami w spranych, dzinsowych kurtkach.

Powolność reakcji Erin była dla mnie zastanawiająca. Czy powodowało nią niedowierzanie? Strach? A może coś całkiem innego?

Puściłam taśmę, przyglądając się, jak mężczyzna łapie ją od tyłu i obraca do siebie. On kopie go mocno. On bije ją w twarz z taką siłą, że Erin prawie upada.

Potworne. Absolutnie straszne. Brutalność tej sceny była niezaprzeczalnie prawdziwa.

Patrzyłam, jak mężczyzna przewraca Erin i wciska jej twarz w piasek drogi, jak wbija jej igłę w ramię. Ketamina. Keta. Lek wybierany przez imprezowiczów, gwałcicieli i weterynarzy małych zwierząt.

Erin musiała brać ketaminę już wcześniej. Sama powiedziała Landry'emu, co podawali jej porywacze. Skąd by to wiedziała, jeśli nie z doświadczenia - o ile oczywiście uprzejmie jej nie poinformowali.

Zastanowiłam się nad tym, co Erin powiedziała Landry'emu, a co przemilczała, a także nad tym, że nie wszystkie elementy jej historii do siebie pasowały.

Miała pewność, że jednym z porywaczy był Jade, ale ani razu go w zasadzie nie widziała. Twierdziła z przekonaniem, że to był on - mężczyzna, w którym się kochała, dla którego podobno rzuciła Chada. I była gotowa uwierzyć, że to on bił ją i gwałcił, choć ani razu nie widziała jego twarzy. Dlaczego? Dlaczego tak pomyślała? Dlaczego potrafiła z pewnością stwierdzić, że mógł zrobić coś takiego?

Choć była stuprocentowo pewna, że jednym z porywaczy był Jade, to nie miała zielonego pojęcia, kim był ten drugi.

A potem, gdy już ją pobili, naszprycowali i zgwałcili, wsadzili ją do samochodu, powozili w kółko i pozwolili odejść. Tak po prostu. I nie tylko ją wypuścili - oddali jej również ubrania, a nawet bransoletkę.

Nie potrafiłam uwierzyć w jej historię, choć dałabym wiele, żeby pozbyć się tego uczucia niepewności. Chciałam zwątpić w swój instynkt, jak wątpiłam w niego od momentu, w którym zginął Hector Ramirez. Co za ironia losu - dzięki sprawie Erin odzyskałam wiarę w siebie, a teraz niczego nie chciałam bardziej, niż się mylić.

Pomyślałam o Molly i żałowałam, że nie mogę się rozplakać.

Mogłabym modlić się o to, by nie mieć racji, ale nigdy nie wierzyłam, by jakaś siła wyższa chciała mnie wysłuchać.

Czułam się okropnie. Pomimo to jeszcze raz przewinęłam kasetę i zmusiłam się do jej obejrzenia, tym razem przyglądając się nagraniu w zwolnionym tempie. Analizowałam je dokładnie, szukając czegoś, czego - jak się obawiałam - i tak nie znajduję.

Mój sprzęt był dość kiepski. Landry mógł zobaczyć o wiele więcej w policyjnym laboratorium dzięki nowoczesnej aparaturze. Jednak, wpatrując się w nagranie sekunda po sekundzie, i tak wiele zobaczyłam. Przez cały czas kamera skupiała się na Erin, która pozostawała w odległości nie większej niż dziesięć metrów od filmującego. Widziałam jej spięte włosy, krótką, czerwoną koszulkę, spod której widać było jej szczupły brzuch. Na dzinsach dostrzegłam małą, jasną plamkę.

Gdy porywacz złapał ją za rękę, zobaczyłam, że ma zegarek. Ale nie mogłam dostrzec tej jednej rzeczy, której tak bardzo wypatrywałam.

Chodząc w tę i z powrotem po pokoju, jak tygrys zamknięty w klatce, myślałam o ludziach uwikłanych w życie Erin: Bruce, Van Zandt, Michael Berne, Jill Morone, Trey Hughes, Paris Montgomery. Chciałam, by Bruce okazał się winny. Wiedziałam, że Van Zandt jest mordercą. Michael Berne chciał doprowadzić Jade'a do ruiny, ale podejrzewać go o porwanie nie miało sensu. Jill nie żyła. Wokół Treya Hughesa kręciło się życie większości tych osób. I była jeszcze Paris Montgomery.

Paris i jej dwuznaczna lojalność wobec Jade'a. Mogła zyskać na jego upadku tyle samo, ile Berne - a nawet więcej. Od trzech lat ciężko pracowała, pozostając ciągle w cieniu Jade'a. Sprawowała nadzór nad jego życiem i pracą, rozwiązywała za niego trudne sprawy. Paris - ze swoim uśmiechem modelki, pociąganiem do luksusu oraz pięknych przedmiotów, chęcią bycia w centrum uwagi.

Przypomniałam sobie te małe kompromitujące szczegóły na temat śmierci Stellara, które zdradziła mi, pozornie stając w obronie Jade'a. Jeśli potrafiła powiedzieć takie rzeczy obcemu, jakie wątpliwości musiała saczyć do ucha Treya Hughesa za każdym razem, gdy leżała koło niego w łóżku?

Tego ranka, gdy znaleziono ciało Jill Morone, Paris nadzorowała pracę Javiera przy sprzątaniu miejsca zbrodni. Dzwoniąc do firmy ubezpieczeniowej z informacją o zniszczeniach, jakich doznały rzeczy osobiste i garderoba Jade'a,

nie przestawała wydawać mu poleceń. Zastanowiłam się, czy wiadomość o śmierci Jill w ogóle była dla niej nowością.

Pomyślałam o rzekomym gwałcie i przypuszczeniu Landry'ego, że był to gwałt upozorowany. Pomyślałam o ciele Jill zakopanym w stercie nawozu koło stajni numer czterdzieści - w miejscu, w którym miało zostać znalezione. A gdy tak już się stało, kto był pierwszym podejrzanym? Oczywiście Don Jade.

Klienci mogli patrzeć przez palce na kilka drobnych skandali, ale morderstwo? Nigdy. Porwanie? Też nie. A gdyby Jade wypadł z gry, wspierany już tylko przez garstkę wiernych klientów, kto zyskałby najwięcej? Paris Montgomery.

Zadzwoiłam do Landry'ego i zostawiłam mu wiadomość. Potem wyłączyłam telewizor i wyszłam z domu.

Irina rozłożyła się na leżaku przy wejściu do stajni. Miała na sobie górę dwuczęściowego kostiumu i skąpe szorty, a jej oczy przesłaniały dramatyczne, czarne okulary.

- Irina! - krzyknęłam do niej w drodze do samochodu. - Jeśli zjawi się tu Tomas Van Zandt, dzwoń na dziewięćset jedenaście. Jest poszukiwany za morderstwo.

Leniwie podniosła rękę, dając znać, że mnie usłyszała, i odwróciła twarz w drugą stronę.

Pojechałam na tereny pokazowe do stajni Jade'a, by jeszcze raz spróbować spotkać się z Javierem. W poniedziałek prawdopodobieństwo, że ktoś zauważy naszą rozmowę, było niewielkie. Zamknięto dziś wszystkie stajnie. Trey Hughes i Paris nie mieli powodu się tam pojawiać. Może Javier poczuje się mniej skrępowany i podzieli się ze mną swoimi obserwacjami.

Ale w stajni Jade'a nie spotkałam nikogo. Boksy były nieuprzątnięte, a konie głośno domagały się jedzenia. Miejsce wyglądało na opuszczone, korytarz przypominał tor przeszkód, z beładnie porzuconymi widłami, grabiami i wiadrami na nawóz. Jakby ktoś opuścił to miejsce w pośpiechu.

Wpadłam do spizarni Jade'a i każdemu z koni przyniosłam garść świeżego siana.

- Coś podobnego. Teraz pani udaje stajenną?

Wyrzałam za namiot i ujrzałam stojącego tam Michaela Berne'a, w dżinsach i koszulce polo. Wyglądał na dużo szczęśliwszego, niż gdy spotkałam go po raz

pierwszy, na samym początku tego zamieszania. Wyraźnie był odprężony. Jego rywal siedział w więzieniu. Świat stał się lepszy.

- Jestem wszechstronnie utalentowaną jednostką - powiedziałam. - A jaki jest powód pańskiej obecności w tym miejscu?

Wzruszył ramionami. Dopiero teraz zauważyłam, że trzyma małe pudełko. Coś od weterynarza.

- Nie ma spoczynku dla znużonych.

- Ani dla bezbożników.

Sedalin. Jeden z leków uspokajających, często stosowany u koni. Wszyscy mają tu ten specyfik, powiedziała Paris, wspominając o substancji wykrytej we krwi Stellara.

- Wybiera się pan na imprezkę? - zapytałam, wymownie patrząc na pudełko.

- Jedno z moich zwierząt nie lubi podkuwania - odpowiedział Berne. - Potrzebuje odrobinę czegoś na uspokojenie.

- Czy Stellara też było trudno podkuwać?

- Nie. Czemu pani pyta?

- Bez powodu. Nie widział pan dziś przypadkiem Paris?

- Przyszła tu wcześniej - odparł. - Jej Gwatemalczyk był jednym z pierwszych, których zwinęli.

- Kto ich podkablował? Pan? - zapytałam wprost.

- Nie ja - odpowiedział. - Sam straciłem jednego z pracowników.

Urząd Imigracyjny robi nieoczekiwany nalot, a pracownik tajni numer dziewiętnaście jest jednym z pierwszych, którego łapią. Ostatnia osoba z otoczenia Jade'a, która mogła wnieść do śledztwa coś nowego, znika w chwili, gdy sprawa zaczyna nabierać rozpędu.

Trey widział, jak rozmawiałam z Javierem. Mógł powiedzieć o tym Paris. A może to Bert Shapiro pozbył się Gwatemalczyka, na wypadek gdyby ten wiedział coś kompromitującego o Jadzie?

- Słyszałem, że jest w więzieniu - powiedział Michael Berne.

- Jade? Tak. Chyba że wyszedł za kaucją. Postawiono mu zarzut porwania.

Wiedział pan o tym?

- A niby skąd?

- Może był pan tu, kiedy to się stało. Tydzień temu, późnym popołudniem, przy tylnej bramie.

Berne pokręcił głową i zaczął się oddalać.

- Nie, byłem w domu. Z żoną.

- Jest pan wiernym i wybaczącym mężem, panie Berne - powiedziałam.

- Tak, jestem - powiedział zadowolony z siebie. - To nie ja tu jestem przestępcą, pani Estes.

- Wiem.

- Jest nim Don Jade.

Nie, pomyślałam, gdy już odszedł, w to nie uwierzę.

L

Gdy szłam do samochodu, zadzwonił mój telefon.

- Spotkajmy się na lunchu - powiedział Landry.

- Twym rozmowom telefonicznym całkowicie brak ogłady - zaprotestowałam.

Rzucił nazwę pobliskiego baru szybkiej obsługi i rozłączył się.

- Erin Seabright przyłapała Jade'a nad martwym koniem - powiedział Landry. Siedzieliśmy w samochodzie, a między nami leżała torba jedzenia, wypełniająca samochód aromatem smażonego mięsa i frytek. Żadne z nas nawet do niej nie zajrzało. - Zobaczyła, jak kombinuje coś przy kablu od wiatraka.

- Erin ci tak powiedziała?

- Dopiero mam zamiar o to ją zapytać. Nie dotarliśmy jeszcze do sagi o martwym koniu. Dziś rano pytałem ją tylko o szczegóły porwania. Paris Montgomery sama z siebie przysłała na posterunek, by mi o tym powiedzieć. W porannych wiadomościach pojawiła się informacja o ucieczce Erin z rąk porywaczy i najwidoczniej wzbudziło to w pannie Montgomery bojaźń bożą.

- A mnie to raczej przypomina sępa krążącego nad umierającym zwierzęciem - powiedziałam. - Wyczula okazję. Mówi, że Erin przyłapała Jade'a, a pod koniec dnia on ją porwał? To bez sensu, Landry.

- Wiem. Plan porwania był już w toku od jakiegoś czasu.
- Jeśli to w ogóle było porwanie - powiedziałam. - Czy technicy dopracowali już obraz z pierwszej taśmy?

- Tak. Ale nie miałem jeszcze czasu się temu przyjrzeć. Czemu pytasz?

- Spróbuj znaleźć na nagraniu tę bransoletkę, którą dałam ci dziś rano.

- Co z nią?

- Myślisz, że porywacze dali jej ją jako prezent na pożegnanie? Obejrzałam tę kasetę z pięćdziesiąt razy i nie widziałam tej bransoletki, ale Erin miała ją na sobie wczoraj w nocy.

Landry spojrział na mnie z niedowierzaniem.

- Czy starasz się powiedzieć, że dziewczyna jest w to zamieszana? Straciłaś rozum, Estes. Nie widziałas jej. Zbito ją na kwaśne jabłko. Nie widziałas kasety, na której jeden z tych gości naciera na nią z batem. A dziś rano Weiss i Dwyer znaleźli kolejną taśmę w gabinecie Seabrighta. Dziewczyna jest na niej brutalnie gwałcona.

To ucięło moje spekulacje.

- Miał ją w domu? W swoim gabinecie?

- Upchniętą z tyłu na półce.

Nie wiedziałam, co na to powiedzieć. Na to właśnie liczyłam - że Seabright w końcu będzie musiał zapłacić za swoje winy. Ale wiadomość o nagrany gwałcie to całkiem inna rzecz.

- Czy wyglądało to autentycznie?

- Włosy na szyi stanęły mi dęba - odpowiedział Landry. - Miałem ochotę chwycić Seabrighta i dusić, aż oczy wyskoczą mu z czaszki.

- Gdzie on jest teraz?

- Siedzi w areszcie. Prokurator stanowy próbuje wymyślić, jaki postawić mu zarzut.

- Co stało się na rozprawie wstępnej?

- Trey Hughes wpłacił kaucję.

- Ciekawe, czy Paris o tym wiedziała.

- Założę się, że to on opłaca Shapiro.

- Przesłuchałeś go już? Mam na myśli Treya.

- Został poproszony o stawienie się, ale Shapiro nie wyraził zgody na przesłuchanie.

- Przepuść jego nazwisko przez system - powiedziałam. - Trey ma burzliwą przeszłość. Wczoraj wyjawiał mi, że korzystał kiedyś z porad mojego ojca. A ludzie nie zatrudniają Edwarda Estesa z powodu mandatów.

Landry pokręcił głową z obrzydzeniem.

- Ta banda jest jak worek pełen węży.

- Masz rację - powiedziałam. - Naszym zadaniem jest wykryć te jadowite.

Nic nie rodzi większej nienawiści niż poświęcenie, które pozostaje niezauważone. Jechałam w kierunku Loxahatchee, myśląc o Paris, która przyszła dziś do biura szeryfa i bez mrugnięcia okiem oskarżyła swego szefa o zabicie konia i oszustwo ubezpieczeniowe. Paris była dziewczyną z pierwszego rzędu, która przez długi czas musiała grać przy Jadzie drugie skrzydce, pomagając mu przyciągnąć najlepszą klientelę.

Z jednej strony cały czas go broniła, a drugą podkopywała fundament jego kariery.

Zastanowiłam się, czy to Paris zadzwoniła do Urzędu Imigracyjnego, by wydać im Javiera. Była z Treyem poprzedniej nocy - mógł jej powiedzieć, że podejrzewa mnie o bycie prywatnym detektywem i że przyłapał mnie na tym, jak w płynnym hiszpańskim konwersowałam z jedynym pracownikiem Jade'a, który mógł jeszcze wiedzieć coś cennego.

A może Trey sam do nich zadzwonił. Z powodów znanych tylko jemu. Staralam wyobrazić go sobie jako jednego z porywaczy. Czy lata rozpusty mogły skrzywić go do tego stopnia, by uważał porwanie dziewczyny za dobrą zabawę?

Popołudnie chyliło się ku końcowi, gdy zjechałam na drogę prowadzącą do domu Paris Montgomery. Na leśnych terenach Loxahatchee światło dnia już dawno zginęło w cieniu wysokich sosen.

Przejechałam obok domu Paris i zatrzymałam się w ślepej uliczce, gdzie wczoraj omal nie zastrzeliłam Jimmy'ego Manettiego. Robotnicy opuścili już okoliczne place budowy. Wyjęłam glocka ze skrytki i wysiadłam z samochodu. Ruszyłam z powrotem, chowając się w cieniu drzew.

Dom Paris przypominał ten, w którym mieszkała Eva Rosen - pseudohiszpańska willa, której białe niegdyś tynk pokrywała zieleń porostów, a drewniany

dach stał się grządką mchu. Bocznymi drzwiami weszłam do garażu, w którym właściciel przechowywał sprzęt ogrodniczy i ozdoby świąteczne. Nie zastałam w nim ciemnozielonego infiniti.

Drzwi do domu były zamknięte, a lampka na kontrolce alarmu pokazywała, że system został uruchomiony. Obejrzałam uważnie dom od frontu, szukając otwartych drzwi lub okien, ale nie miałam szczęścia.

Przez okna salonu zobaczyłam paskudny dywan, kiedyś pewnie biały i kosmaty, oraz kolekcję pseudośródziemnomorskich mebli, do których nikt z tamtej części globu z pewnością by się nie przyznał. Telewizor był prawie tej wysokości co ja. Podłączono do niego wszystkie urządzenia, jakie tylko się dało: wideo, DVD, system głośników i sprzęt grający, który wyglądał, jakby pochodził z laboratoriów NASA.

Przez boczny ogród przeszłam na tył domu. Rozciągało się tam, obowiązkowo ogrodzone, patio; pośrodku stała wielka, drewniana balia do gorących kąpiel, kilka tarasowych krzeseł i doniczki z uschniętymi roślinami. Furtka prowadząca na patio była otwarta, ale przeszklone drzwi do domu już nie. Na stole w jadalni leżała poczta: magazyny i rachunki.

Drugie szklane drzwi prowadziły do sypialni z pomarańczowymi, włochatymi dywanikami na podłodze. Zasłony były odsunięte, ukazując królewskich rozmiarów łóżko przykryte czerwoną, aksamitną kapą. Nad rzeźbionym wezłowiem ze sztucznego drewna wisiał obraz przedstawiający nagą kobietę z trzema piersiami i dwiema głowami. Na szafce w kącie pokoju stał telewizor. Rzuciłam okiem na tytuły kaset ustawionych na dolnej półce i zastanowiłam się, czy jestem jedyną osobą w południowej Florydzie, która nie ma w domu kolekcji filmów pornograficznych.

Gdzieś za ogrodem ktoś uruchomił silnik ciężkiej maszyny. Znając moje szczęście, na teren budowy wrócili robotnicy i zaraz skasują buldożerem mój samochód.

Ogród pokryły głębokie cienie, ale ponad czubkami drzew niebo wciąż było intensywnie niebieskie. Hałas silnika nie dochodził z miejsca budowy, ale właśnie zza drzew, zza ogrodu Paris Montgomery, od zachodu.

Wielki silnik rzeźił nieustannie, a towarzyszył mu chrzęst miażdżonych i druzgotanych przedmiotów, pożeranych przez maszynę. Młyn do kompostu, pomyślałam, i już miałam odejść. Nagle zatrzymałam się. Landry powiedział,

że w tle nagrania, na którym Erin jest bita, słychać odgłos ciężkiej maszyny. Odgłos, o którym Erin nie wspomniała, gdy zapytał ją, co pamięta z miejsca, w którym ją przetrzymywano.

Poszłam na tył posiadłości, zarośnięty młodymi drzewami i pędami dzikich bambusów, które oplatały wijące się pnącza. Koniec ogrodu był istną dżunglą, która - gdyby jej pozwolić - w końcu pochłonęłaby jego cywilizowaną część wraz z domem.

Głuchy odgłos pracy maszyny stał się wyraźniejszy. Słyszałam też silnik ciężarówki i ostrzegawczy dźwięk nawracającego samochodu.

Próbując przedrzeć się wzrokiem przez zarośla i dojrzeć posiadłość za płotem, prawie ją przeoczyłam. Ginęła pośród splątanej zieleni niczym ruiny starożytnej budowli. Szara, rdzewiejąca, niegdyś element obcy, z biegiem lat stała się organiczną częścią krajobrazu. Przyczepa. Kiedyś mogła być biurem szefa budowy. W tylnej ścianie miała jedno okno, od środka pokryte warstwą brudu. Ktoś palcem napisał na nim jedno słowo: POMOCY.

LI

Życie może się zmienić w ciągu jednego uderzenia serca.

Prawie ją przegapiłam. Jedno uderzenie serca dzieliło mnie od tego, by odwrócić się i odejść. Ale oto stał przede mną prawdziwy powód, dla którego Paris Montgomery zdecydowała się mieszkać w tym gównianym domu, daleko od terenów pokazowych. Sądziłam, że przyjechała aż tu, by uniknąć wścibskich spojrzeń niepowołanych oczu - i miałam rację. Ale romans z Treyem Hughesem nie był jedyną rzeczą, którą chciała ukryć.

Przyczepa zapadła się w poszycie i przypominała obraz ze złego snu. Jej widok przywołał wspomnienia, których wołałabym nie mieć.

Adrenalina krąży w moich żyłach jak paliwo raketowe. Serce uderza jak tłok. Jestem gotowa do startu.

Wyciągnęłam pistolet i posuwałam się wzdłuż przyczepy, blisko ściany. Dopiero gdy dotarłam do jej szczytu, dostrzegłam wydeptaną ścieżkę prowadzącą

do przerdzewiałych schodków wiszących z tyłu przyczepty.

Choć słońce od godziny już tu nie dochodziło i w zasadzie było chłodno, czułam, że oblewa mnie pot. Wydawało mi się, że słyszę własny oddech.

Mam czekać, stać w miejscu i się nie ruszać - ale wiem, że to zia decyzja... Tracić cenny czas... Ta sprawa jest moja. Wiem, co robię.

Czułam tę samą, dobrze znaną pewność. Moja sprawa. Moje odkrycie. Lecz także wahanie. Obawę. Strach. Gdy ostatnim razem podejmowałam podobną decyzję, okazała się zła. Śmiertelnie zła.

Oparłam się o ścianę przyczepty. Czekałam, aż moje serce przestanie bić tak szybko, starałam się uspokoić gnające myśli i stłumić uczucia, które miały więcej wspólnego z dawnym wstrząsem niż z chwilą obecną.

Paris wynajęła dom wiele miesięcy temu, pomyślałam. Jeśli wybrała to miejsce ze względu na odosobnienie i przyczepe w ogrodzie, to plan porwania powstał w jej głowie jeszcze przed rozpoczęciem sezonu. Zastanawiałam się, czy w takim razie Erin została przyjęta do, pracy jako stajenna, czy raczej jako potencjalna ofiara.

Trzęsłam się, lewą ręką wyciągając telefon. Wystukałam numer pagera Landry'ego i zostawiłam swój numer z dziewięćset jednaście na końcu. Następnie zadzwoniłam do niego na komórkę i nagrałam wiadomość, w której podałam adres Paris i poprosiłam, by przyjechał tak szybko, jak może.

A teraz co, pomyślałam, wkładając telefon do kieszeni. Czekać, aż Paris wróci do domu i zastanie mnie na swoim podwórku? Pozwolić okazji przeminąć wraz z dniem, w oczekiwaniu na Landry'ego?

To moja sprawa. Wiem, co robię.

Wiedziałałam, co powiedziałyby Landry. Kazałyby mi na siebie czekać. Pójść do samochodu i czekać tam jak grzeczna dziewczynka.

Nigdy nie byłam grzeczną dziewczynką.

Ta sprawa jest moja. Wiem, co robię...

Kiedy ostatni raz tak pomyślałam, bardzo się pomyliłam.

Teraz chciałam mieć rację.

Powoli weszłam po metalowych schodkach, które z biegiem lat zagłębiły się w piaszczystą glebę i odpadły od ściany, tak, że między nimi a przyczepeą powstała

wąska szczelina. Stałam obok drzwi, zapukałam i krzyknęłam: „Policja!”.

Nic się nie stało. Żadnego ruchu wewnątrz przyczepy. Żaden wystrzał nie przeszył drzwi.

Przyszło mi do głowy, że w środku może siedzieć Van Zandt, ukrywający się w oczekiwaniu na samolot do Brukseli. Może to on był współnikiem Paris Montgomery, pomagał jej pozbyć się Jade’a i zająć miejsce u boku Treya Hughesa, a przy okazji zaspokajał swą żądzę dominowania nad młodymi dziewczynami. Może okup miał być jego zapłatą za pomoc w doprowadzeniu Jade’a do ruiny.

A jaka była rola Erin w tej grze? Nie byłam pewna - po tym, co Landry powiedział mi o kasetach, na których widać, jak jest bita i gwałcona. Taśma z porwania, którą obejrzałam dziesiątki razy, kazała mi wątpić, że Erin naprawdę była w tym wszystkim ofiarą. A może Paris wciągnęła ją w swój plan, oferując możliwość ukarania rodziców? A gdy plan wszedł w stadium realizacji, oddała ją w szpony Van Zandía. Ta myśl przyprawiła mnie o mdłości.

Stojąc z boku, wstrzymałam oddech i lewą ręką uchyliłam drzwi.

Billy Golam szarpnięciem otwiera drzwi, obrzuca mnie dzikim spojrzeniem, jest naćpany metamfetaminą domowej produkcji, swoim własnym Kryształem. Ciężko oddycha. W ręce ma pistolet.

Kropła potu spłynęła między moimi brwiami i zatrzymała się na czubku nosa.

Torując sobie drogę glockiem, weszłam do środka i przesunęłam lufę pistoletu z lewa na prawo. W pierwszym pomieszczeniu nie było nikogo. Przelotnie przyjrzałam się meblom: stare, metalowe biurko, stojąca lampa, krzesło. Wszystko pokryte kurzem i pajęczynami. Na podłodze puszki po farbie. Duszący zapach wilgoci, kurzu, papierosów i grzyba rosnącego pod starym linoleum sprawił, że przez chwilę brakło mi tchu. Odgłos pracującej niedaleko maszyny zdawał się rezonować i wzmacniać w blaszanym pudle przyczepy.

Ostrożnie przesunęłam się do drugiego pomieszczenia, wciąż trzymając przed sobą pistolet.

Nie widziałam taśmy, na której Erin jest bita, ale z opowieści Landry’ego wiedziałam, że stało się to tutaj. Łóżko z metalową ramą stało pod tylną ścianą. Brudny, poplamiony materac bez pościeli. Ślady krwi.

Wyobraziłam sobie Erin, tak jak opisał ją Landry: nagą, posiniaczoną, przykutą za nadgarstek do ramy łóżka, krzyczącą, podczas gdy jeden z porywaczy bije ją szpicrutą. Wyobraziłam ją sobie jako ofiarę.

Metr od łóżka umieszczony był statyw z kamerą wideo, za nim stół zaśmiecony pustymi puszkami po napojach, na wpół opróżnionymi butelkami wody i napoczętymi paczkami chipsów, a pośród tego wszystkiego stała popielniczka pełna niedopałków. W pomieszczeniu były jeszcze dwa ogrodowe krzesła; na jednym z nich leżał otwarty magazyn „Style”, na drugim - niedbale rzucone ubrania, których część spadła na podłogę.

Plan filmowy. Scena chorego dramatu, którego ostatni akt miał dopiero zostać zagrany.

Hałas maszyny ustał. Wydawało mi się, że czuję ciszę tak, jakby właśnie weszła przez drzwi. Skóra na ramionach i karku napięła się w oczekiwaniu.

Przysunęłam się do ściany, chowając się za drzwi prowadzące do pierwszego pomieszczenia, z pistoletem gotowym do strzału.

Słyszałam, ale nie mogłam zobaczyć, jak otwierają się drzwi wejściowe do przyczepy. Czekałam.

Ruch w pierwszym pokoju. Odgłos butów szurających po starym linoleum. Grzechot kopniętej puszki. Zapach rozpuszczalnika.

Ciekawe, kogo zobaczę, gdy wyjdę z ukrycia. Paris? Van Zandta? Treya Hughesa?

Stanęłam w drzwiach i wycelowałam prosto w Chada Seabrighta.

- Stracisz za to miejsce w samorządzie uczniowskim.

Podniósł na mnie wzrok, stojąc w kałuży benzyny.

- Zapytałabym, co tutaj robisz, Chad, ale to chyba oczywiste.

- Nie - powiedział, potrząsając głową i patrząc na mnie wielkimi oczami. - To nie to, co pani myśli.

- Doprawdy? Czyli nie patrzę na to, jak właśnie niszczysz dowody przestępstwa?

- Nie miałem z tym nic wspólnego! Erin zadzwoniła do mnie ze szpitala. Błagała, żebym jej pomógł.

- A ty, osoba całkiem niewinna, rzuciłeś wszystko, by popełnić dla niej przestępstwo?

- Kocham ją - powiedział poważnie. - Spieprzyła sprawę, ale nie chcę, żeby poszła do więzienia.

- A czemu miałyby iść do więzienia, Chad? Podobno jest ofiarą.
- Bo jest - powiedział z naciskiem.
- Ale prosila, byś tu przyszedł i spalił to miejsce? Policjantom powiedziała, że nie wie, gdzie była trzymana. Skąd w takim razie ty wiedziałeś, dokąd przyjść?
- Trybiki w jego głowie pracowały na pełnych obrotach, gdy starał się wymyślić wiarygodną odpowiedź.
- Dlaczego Erin miałyby być w kłopotach, Chad? - zapytałam ponownie. - Detektyw Landry ma taśmy, na których Erin jest bita i gwałcona.
- To był jej pomysł.
- Dać się pobić i zgwałcić? To był pomysł Erin?
- Nie. Paris. Erin mówiła, że to nie miało być naprawdę. To miał być taki żart, tak jej powiedziała Paris. Chciała zrujnować Jade'a, żeby przejąć jego biznes. Ale wszystko wymknęło się spod kontroli. Paris odwróciła się przeciwko niej. Oni prawie ją zabili.
- Oni? Jacy oni?
- Odwrócił wzrok i westchnął, mocno zdenerwowany. Czoło pokrył mu rześisty pot.
- Nie wiem, Erin mówiła tylko o Paris. A teraz boi się, że Paris będzie chciała pociągnąć ją za sobą.
- Więc ty spalisz miejsce zbrodni i będzie po wszystkim? Tak to sobie wyobrażasz?
- Jego grydka podskoczyła, gdy przełknął ślinę.
- Wiem, jak to wygląda.
- Wygląda to tak, że tkwisz w tym po uszy, mały - powiedziałam. - Ręce na ścianę i rozstaw nogi.
- Proszę, niech pani tego nie robi - powiedział, mrugając oczami, żeby się nie rozplakać. - Nie chcę mieć problemów z glinami. Przyszłej jesieni mam iść do college'u.
- Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zgodziłeś się dokonać podpalenia.
- Ja tylko pomagam Erin - powiedział. - Ona nie jest złą osobą. Naprawdę. Ona tylko... tak jakoś... zawsze jej się dostaje. Dlatego chciała odbić sobie na moim ojcu.
- A ty nie?
- Wkrótce skończę szkołę. Nie będzie miało znaczenia, co on sobie myśli. Erin i ja będziemy mogli być w końcu razem.

- Stań pod ścianą - powtórzyłam.

- Czy nie może pani okazać trochę współczucia? - teraz już wyraźnie płakał.
Zrobił krok w kierunku ściany.

Weszłam dalej do pokoju, posuwając się za nim: powolny taniec niechętnych partnerów. Nadal celowałam w niego z pistoletu. Gdy przechodziliśmy koło otwartych drzwi, zerknęłam na zewnątrz.

Po schodach wchodziła właśnie Paris Montgomery.

Chad wykorzystał chwilę mojej nieuwagi i zaatakował mnie, z twarzą wykrzywioną gniewem.

Pistolet wystrzelił, gdy pchnął moje ramię, by zmienić kierunek strzału. Straciłam równowagę pod naporem jego ciała i potknęłam się o stare puszki i gazety leżące na podłodze. Cios był tak silny, że na chwilę pozbawił mnie oddechu, a przed oczami rozbłysły mi gwiazdy.

Glock wciąż tkwił w mojej prawej ręce, palec zablokował się o spust. Nie mogłam wystrzelić, gdyż pistolet ustawiony był w złej pozycji, a złamany palec wygiął się w nienaturalny sposób. Nie mogłam strzelać, więc podniosłam rękę z pistoletem i zaczęłam uderzać nim raz za razem w głowę Chada. Jęknął, gdy z rany na policzku popłynęła krew, i sięgnął dłonią do mojej krtani, próbując mnie udusić.

Zamachnęłam się i uderzyłam jeszcze raz. Tym razem trafiłam kolbą w prawe oko. Gałka oczna pękła, krew i mózgowy płyn rozprysły się w koło. Chad krzyknął i rzucił się na podłogę, zasłaniając rękami twarz.

Przeturlałam się na bok, prześlizgując się przez kałużę rozpuszczalnika. Po omacku szukałam rękami jakiegokolwiek podpory, która pomogłaby mi wstać.

- Ty suko! Ty pieprzona suko! - krzyczał za mną Chad.

Chwyliłam nogę metalowego biurka i podciągnęłam się do góry.

Obejrzałam się za siebie. Zobaczyłam Chada z jedną ręką przyciśniętą do oka. Drugą wymachiwał puszką po farbie. Puszka trafiła w mój lewy policzek i głowa poleciała mi w bok.

Upadłam na blat biurka, jedną ręką chwyciłam się krawędzi i trzymałam mocno, podczas gdy Chad ciągle bił mnie po głowie pustą puszką.

Upadłam na podłogę po drugiej stronie. Niezdarnie próbowałam wydostać złamany palec z pistoletu. Adrenalina blokowała ból. Pomyślałam, że poczuję go później - jeśli szczęście mi dopisze.

Spodziewałam się, że za chwilę ujrzę nad sobą Chada. Zamiast niego zobaczyłam jednak pomarańczowo-niebieski płomień po przeciwnej stronie pokoju, gdy opary podpalonego rozpuszczalnika buchnęły do góry.

Chwyliłam glocka lewą ręką, wstałam i wystrzeliłam, celując w Chada, który zdążył jednak wybiec z przyczepy i mocno zatrzaskać za sobą drzwi.

Drugi koniec pokoju stał w płomieniach. Ogień łakomie pochłaniał tanie obicia ścian, leżące na ziemi gazety, lizał już sufit. Szedł w moim kierunku. Szedł w kierunku drugiego pomieszczenia. Pochłonie w kilka minut całą przyczepę. I, na ile mogłam ocenić, nie było stąd żadnego wyjścia.

Od adresu podanego przez Elenę dzieliła Landry'ego jeszcze mila, gdy ujrzał płomień bijące w niebo. Wbrew zdrowemu rozsądkowi - nawet wtedy, gdy dodał gazu i włączył sygnał - łudził się jeszcze, że pożar wybuchł w innym miejscu. Przez radio popłynął głos dyspozytora wzywającego patrol do pożaru.

Landry zatrzymał się przed domem Paris, wyskoczył z samochodu i pobiegł na tył domu.

Mała przyczepa stała w płomieniach, na pomarańczowym tle widać było zarysy ścian i okien.

- Elena! - wrzasnął, starając się przekrzyczeć huk pożaru. - Elena...!

Boże, a jeśli ona jest w środku...

- Elena!

Pobiegł w kierunku przyczepy, ale bijący od niej żar kazał mu się cofnąć.

Jeśli jest w środku, nie żyje.

Kaszłąc, pobiegłam do drugiego pomieszczenia. Ogień postępował krok w krok za mną. Płomień trawił już ścianę, w której znajdowały się drzwi wejściowe. Czułam, że całe moje ubranie przesiąknięte jest benzyną. Jedno liźnięcie ognia i splonę.

Drugie, awaryjne wyjście umieszczone było w odległym kącie drugiego pokoju. Dym stał się na tyle gęsty, że ledwo mogłam je dostrzec. Potykając się o

krzesła, pobiegłam w tamtym kierunku, z rozpędu uderzyłam o drzwi, szarpnęłam za klamkę. Były zamknięte. Spróbowałam jeszcze raz. Nie chciały ustąpić.

Płomień przetoczył się po suficie jak fala.

Wsadziłam pistolet za pasek spodni, zdjęłam kamerę ze statywu i rzuciłam ją na łóżko. Trzymając statyw niczym pałkę do bejsbola, rąbnęłam nim z całej siły w szybę, na której ręka Erin Seabright wypisała POMOCY. Raz. Drugi. Szkło pękło, lecz nie wypadło z ram.

Uderzyłam, próbując wypchnąć szybę na zewnątrz. Przeraziła mnie myśl, że nawet jeśli uda mi się to zrobić, ogień buchnie w kierunku źródła tlenu, po drodze zwęgłając moją skórę i wypalając płuca. Jeśli nie zginę na miejscu, to przyjdzie mi tego żałować.

Widziałam zbliżające się płomienie i pomyślałam o piekle.

Właśnie teraz, kiedy miałam nadzieję odkupić swoje grzechy...

Ostatni raz uderzyłam statywem o szkło.

- Elena! - krzyczał Landry.

Jeszcze raz próbował podejść do przyczepy, ale wybuch w środku zwałił go z nóg. Z wybitego okna wystrzelił płomień, wyrzucając ku górze kłęby pomarańczowego dymu. W oddali słychać było syreny zbliżających się wozów strażackich. Za późno.

Wstrząśnięty i załamany podniósł się z ziemi i stał tam, niezdolny cokolwiek zrobić, cokolwiek pomyśleć.

Myślałam najpierw, że to Chad stoi w ogrodzie i z zadowoleniem przygląda się swemu dziełu, szczęśliwy, że udało mu się mnie zabić. Potem, kiedy ruszył w moim kierunku i mnie zawołał, poznałam Landry'ego.

Przyciskając kamerę wideo do piersi, próbowałam do niego podbiec, ale nogi miałam jak z waty, słabe z wysiłku i ulgi.

- Elena!

Chwycił mnie za ramiona i odciągnął od płonącej przyczepy.

- Jezu Chryste. - Posadził mnie na ogrodowym krześle i zaczął oglądać, wodząc po moim ciele drżącymi rękami. - Myślałem, że jesteś w środku.

- Byłam - powiedziałam, kaszląc. - Chad Seabright podłożył ogień. Siedzi w tym razem z Paris i Erin. Złapałeś go? Złapałeś ich?

Potrząsnął głową.

- W domu jest tylko jej pies.

Mały terier podskakiwał za szklanymi drzwiami prowadzącymi do ogrodu, szczekając bez ustanku.

Przed domem wyły syreny. Zza garażu wybiegł policjant. Landry wyszedł mu naprzeciw, z odznaką w uniesionej ręce. Siedziałam, starając się wykaszczyć dym z płuc, i patrzyłam, jak wskazuje na dom. Policjant przytaknął i wyciągnął pistolet z kabury.

- Nie jesteś ranna? - Landry wrócił do mnie i znów przykucnął przed krzesłem. Dotknął mojego policzka tam, gdzie trafiła puszka Chada. Nie czułam nic, więc nie wiedziałam, czy uszkodzenie jest poważne. Zgadłam, że nie, gdyż Landry, nic nie mówiąc, przeszedł do dalszej inspekcji.

- Złamałam palec - powiedziałam, podnosząc prawą rękę. Dotknął jej delikatnie i zaczął oglądać. - Przeżyłam już gorsze rzeczy.

- Ty cholerny uparciuchu! Dlaczego na mnie nie poczekałaś?

- Gdybym zaczekała, Chad wszystko by spalił...

- Ale przynajmniej bez ciebie w środku! - powiedział, wstając. - Pod żadnym pozorem nie powinnaś była tam wchodzić, Elena! Naraziłaś ważność dowodów...

- Mogliśmy nie mieć żadnych dowodów! - Odpowiedziałam podniesionym głosem, również wstając.

- My? - zapytał zaczepnie, zbliżając się do mnie i starając się mnie onieśmielić.

Stałam bez ruchu.

- To moja sprawa. Ja cię w nią wprowadziłam. A to oznacza, że prowadzimy ją razem. Nawet nie próbuj znowu mnie odepchnąć, Landry. Robię to dla Molly. Jeśli okaże się, że jej siostra brała w tym udział z własnej woli, uduszę ją własnymi rękami. A wtedy będziesz mógł mnie wsadzić za kratki i mieć z głowy na najbliższe dwadzieścia pięć lat.

- Przed chwilą prawie miałem cię z głowy raz na zawsze! - wydarł się Landry i machnął ręką w kierunku pożaru. - Czy myślisz, że tego właśnie chcę?

- Chce tego każdy w biurze szeryfa!

- Ja nie! Nie ja! Spójrz na mnie! Ja tego nie chcę!

Staliśmy tuż obok siebie. Popatrzyłam mu prosto w twarz. Odwzajemnił moje spojrzenie, jego twarz powoli stawała się coraz łagodniejsza.

- Nie - wyszeptał. - Nie, Elena. Nie chcę, żebyś odeszła z mojego życia.

Przez jeden krótki moment nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Śmiertelnie mnie przeraziłaś - powiedział miękko.

Ty mnie też, pomyślałam, mając na myśli to, co przed chwilą powiedział. Wołałam wrócić do bezpieczniejszego tematu.

- Powiedziałaś, że będziesz mnie wprowadzać, że będziemy się dzielić... To przede wszystkim moja sprawa, pamiętasz?

Landry kiwnął głową.

- Tak... tak, pamiętam.

Nadjechały wozy strażackie w Loxahatchee. Największy z nich właśnie wjeżdżał do ogrodu. Patrzyłam na strażaków z taką obojętnością, jakbym oglądała to na ekranie. Potem spojrzałam w dół, na swoje ręce. Wciąż trzymałam kamerę. Podałam ją Landry'emu.

- Udało mi się to wynieść. Będziecie mieć odciski palców.

- To tu ją trzymali? - zapytał, patrząc w stronę przyczepy.

- Chad powiedział, że początkowo Erin współpracowała z Paris, ale później Paris zwróciła się przeciwko niej. Ale jeśli tak było, to dlaczego Erin jeszcze żyje?

- Będziemy musieli zapytać o to Paris - powiedział. - A także Erin. Czy wiesz, czym jeździ Paris?

- Ciemnozielonym infiniti. Chad ma czarną toyotę pickupa. I brakuje mu jednego oka. Może pojawić się w jakimś szpitalu.

Landry uniósł brwi.

- Brakuje mu oka? Ty mu je wybiłaś?

Wzruszyłam ramionami i popatrzyłam w bok, a potworny obraz pękającej gałki ocznej stanął mi przed oczami, przyprawiając o mdłości.

- Dziewczyna musi sobie jakoś radzić.

Potał dłonią usta i z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Twarda jesteś, Estes.

W tamtej chwili z pewnością wcale na taką nie wyglądałam. Wyłaniająca się prawda o porwaniu Erin zaczynała mi ciążyć na sercu. Zastrzyk adrenaliny, towarzyszący przeczuciu bliskiej śmierci, przestawał działać.

- Chodź tu - powiedział Landry.

Spojrzałam do góry, w jego oczy, a on dotknął dłonią mojej twarzy - jej prawej strony, tej, która czuła. I tym razem jego dotyk przeniknął mnie całą, aż do serca.

- Cieszę się, że nie zginęłaś - wyszeptał. Miałam wrażenie, że nie mówi o tym, co stało się przed chwilą w przyczepie.
- Ja też - odparłam, opierając głowę na jego ramieniu. - Ja też.

LII

Landry zawiadomił wszystkie patrole, by szukały Paris Montgomery i Chada Seabrighta. Wszystkie wozy hrabstwa i stanu miały wypatrywać ciemnozielonego infiniti i czarnej toyoty pickupa. Dodatkowe ostrzeżenie posłał do straży wybrzeża, zawiadomił dwa najbliższe lotniska, a także kilka mniejszych portów znajdujących się w okolicy.

Jednym z powodów, dla których Floryda od zawsze sprzyjała przemytowi narkotyków, była gęsta sieć dróg, umożliwiająca szybką ucieczkę za granicę. Paris Montgomery znała wielu ludzi związanych z handlem końmi, wielu ludzi bogatych, którzy posiadali własne lodzie i samoloty.

I znała jednego, którego konie miały lecieć do Europy jeszcze tej nocy - Tomasa Van Zandta.

- Namierzyli go już? - zapytałam Landry'ego. Siedzieliśmy w jego samochodzie przed wynajętym domem Paris Montgomery.

- Nie. Ludzie Armedgiana zaliczyli wtedy porażkę stulecia.

Powiedziałam mu o koniach transportowanych do Europy.

- Stawiam na to, że oboje będą próbowali w ten sposób uciec z kraju dziś w nocy.

- Powiadomiliśmy już linie lotnicze.

- Nie rozumiesz. Samoloty transportowe to całkiem inna bajka. Są poza wszelką kontrolą.

- Dobra, w takim razie Weiss i federalni mogą pojechać na terminal lotów towarowych.

Komendant straży pożarnej z Loxahatchee podszedł do Landry'ego, gdy ten sięgał po telefon komórkowy. Był wysokim mężczyzną z bujnymi włosami.

- Proszę traktować to jak miejsce zbrodni, komendancie - powiedział Landry, wychylając się za okno.

- Pewnie. Podpalenie?

- Nie tylko. Czy zlokalizowaliście już właściciela posiadłości?
- Nie. Nie ma go w kraju. Skontaktowałem się z zarządcą. Obiecał dotrzeć do właściciela.

- Kto się tym zajmuje?

Komendant nachylił się do okna, by spojrzeć na mnie.

- Gryphon. Biuro zarządzania nieruchomościami z Wellington.

Spojrzałam na Landry'ego w momencie, gdy zadzwonił jego telefon.

- Pora odbyć kolejną pogawędkę z Bruce'em Seabrightem - powiedziałam. - Ciągłe siedzi w areszcie?

- Nie, wypuścili go. Landry, słucham? - powiedział do słuchawki. Nisko ściągnął brwi, a mięśnie jego twarzy napięły się. - Co to, do cholery, ma znaczyć, że znikła? Jak znikła? Gdzie był pieprzony strażnik?

Erin.

- Kiedy? - zapytał ostro. - No to, kurwa, pięknie. Powiedz temu policjantowi, że jak już wyjmie głowę z tyłka, to mu ją oderwę i wsadzę tam z powrotem!

Zatrzasnął kłapkę telefonu i popatrzył na mnie.

- Erin uciekła. Ktoś podpalił kubeł koło pokoju pielęgniarek i policjant pilnujący jej drzwi pobiegł zobaczyć, co się stało. Gdy wrócił, jej już nie było.

- Jest z Chadem.

- I razem uciekają - Landry zapalił silnik. - Podwiozę cię na pogotowie. Muszę spadać.

- Wysadź mnie przy moim samochodzie - powiedziałam. - Sama pojedę do szpitala.

- Elena...

- To tylko palec, Landry. Od tego się nie umiera.

Westchnął i zamknął usta.

Spędziłam na pogotowiu długi wieczór. Mój palec został prześwietlony i okazało się, że nie jest złamany, tylko wybity. Lekarz wstrzyknął mi w dłoń potężną dawkę lidokainy i ustawił go w odpowiedniej pozycji. Zrezygnowałam z niewygodnej szyny i poprosiłam, by przykleili mi go do środkowego palca. Lekarz wręczył mi receptę na środki przeciwbólowe, podziękowałam jednak i mu ją oddałam.

Wychodząc, zatrzymałam się przy recepcji, by zapytać, czy na pogotowie nie zgłosił się ktoś z poważnym urazem oka. Powiedziano mi, że nie.

Spojrzałam na zegarek. Pozostało pięć godzin do czasu, gdy samolot Van Zandta odleci najpierw na lotnisko Kennedy'ego w Nowym Jorku, a potem do Brukseli.

Każdy policjant w Palm Beach szukał jego, Erin, Chada i Paris. W tym czasie Don Jade pozostawał na wolności - wyszedł za kaucją, którą wpłacił Trey Hughes.

Wszystko kręciło się wokół Treya Hughesa - sprzedaż ziemi, śmierć Stellara, Erin - a z tego, co wiedziałam, nikt się nim nie interesował. Skoro pozostawał w centrum tych wydarzeń, może znał rozwiązanie całej zagadki.

Pamiętałam, że Trey miał kiedyś dom w Polo Club, na ogrodzonym osiedlu położonym w pobliżu terenów pokazowych, które powstało z myślą o bogatych ludziach związanych z końmi. Pojechałam w tamtym kierunku, wybierając boczne uliczki tak, by po drodze przejechać koło Fairfields.

Brama do Farmy pod Szczęśliwym Psem była otwarta. Zauważyłam, że koło przyczepy szefa budowy stoi zaparkowany samochód. Skręciłam i światłami samochodu omiotłam tył klasycznego porsche należącego do Treya Hughesa. Zgasiłam silnik i wysiadłam, trzymając glocka w lewej ręce.

Jedynym zapalonym światłem była jasna latarnia na słupie pośrodku placu budowy, jednak gdzieś w pobliżu rozlegała się muzyka: Jimmy Buffell śpiewał piosenkę o dobrych stronach nieodpowiedzialności.

Podążyłam za dźwiękiem muzyki. Przeszłam wzdłuż ogromnych, ciemnych stajni i skręciłam na końcu rzędu zabudowań. Nade mną znajdował się szeroki na całą ścianę balkon, z widokiem na parcours. Scenę oświetlały latarnie i świece. Zobaczyłam Treya Hughesa: tańczył z nieodłącznym papierosem w ustach. Jego żarzący się koniec świecił w ciemnościach na pomarańczowo.

- Wejdz na górę, moja droga! - zawołał. - Już myślałem, że nigdy tu nie dotrzesz. Zacząłem przyjęcie bez ciebie.

Weszłam po schodach, nie spuszcżając z niego wzroku. Był naćpany. Nie miałam pojęcia, co teraz brał. W latach osiemdziesiątych preferował kokainę. Pod sam koniec mojej kariery w wydziale narkotyków kokaina zaczęła wracać do łask, pewnie ze względu na nostalgię niepotrafiących dorosnąć niebieskich ptaków pokroju Treya.

- Co świętujemy, Trey? - zapytałam, stając na balkonie.

- Mój wspaniały, niebiański żywot - powiedział, nie przestając tańczyć. W jednej ręce trzymał butelkę tequili. Miał na sobie rozpiętą kwiecistą, hawajską koszulę i spodnie koloru khaki. Był boso.

Piosenka dobiegła końca, Trey oparł się o balustradę i pociągnął długi łyk z butelki.

- Czekałeś na mnie? - zapytałam.

- Nie, w zasadzie czekałem na kogoś innego. Ale tak naprawdę to nie ma znaczenia, nie sądzisz?

- Nie wiem, Trey. Myślę, że może to mieć znaczenie. Wszystko zależy od tego, jaki masz ku temu powód. Czy czekałeś na Paris?

Potarł twarz, drobinki popiołu żaru wokół jego głowy jak świetliki.

- Tak. Jesteś więc prywatnym detektywem? Szpiclem? Prywatnym psem? Choć to może niepoprawne politycznie... Chyba powinienem powiedzieć „prywatną suką”?

- Nie sądzę, by Paris tu przyjechała, Trey. Z całą pewnością coś ją dzisiaj zatrzyma.

- Tak? A co porabia?

- Ucieka przed prawem - powiedziałam. - Ona i Chad Seabright próbowali mnie dziś zabić.

Popatrzył na mnie, czekając na puentę żartu.

- Kochana, co ty paliłaś?

- Daj spokój, Trey. Byłeś w jej domu setki razy. Wiem o waszym romansie. Nie próbuj mi wmówić, że nie wiesz nic o przyczepie i o Erin.

- Erin? Ktoś ją porwał. Ten pieprzony świat stacza się do piekła.

Potrząsnęłam głową.

- To było przedstawienie, nie wiedziałeś? Przedstawienie zagrane dla ciebie.

Widziałam jego twarz w świetle świecy. Starał się przedrzeć przez mgłę w swojej głowie i zrozumieć, co do niego mówię. Albo nie wiedział, o co mi chodzi, albo starał się to sobie wmówić.

- Sztuka w trzech aktach - powiedziałam. - Oszustwa, podstępny seks i morderstwo. Szekspir by się nie powstydział. Nie znam jeszcze całego scenariusza, ale zaczyna się od poszukiwania ziemi obiecanej - Farmy pod Szczęśliwym Psem - i walki o przychyłność króla, czyli twoją.

Z jego twarzy zniknął ostatni cień jego zakłopotanego uśmiechu.

- Tyle na razie wiem: opowieść zaczyna się, gdy dziewczyna imieniem Paris postanowiła, że zostanie królową. Pragnęła tego tak bardzo, że zdecydowała się zrujnować osobę, która stała jej na drodze do szczęścia: Dona Jade'a.

To nie powinno być takie trudne, pomyślała, skoro Jade i tak ma już nadzarpniętą reputację. Ludzie uwierzą w najgorsze plotki na jego temat. Uwierzą, że zabił skoczka, który nie spisywał się na zawodach. Oszustwo ubezpieczeniowe? Raz już tego dokonał i uszło mu na sucho.

Znika jego stajenna. On jest ostatnią osobą, która ją widziała. Okazuje się, że dziewczyna została porwana. A gdy udaje jej się uciec, kogo oskarża? Dona Jade'a.

Z pewnością Trey go teraz porzuci, myśli Paris. Tak czy siak, Jade wkrótce wyląduje w więzieniu. A ona zostanie królową Farmy pod Szczęśliwym Psem.

- To mało zabawna opowieść - powiedział Trey. Zgasił papierosa o kamienną balustradę i rzucił niedopałek w ciemność.

- To prawda. I nie kończy się happy endem - powiedziałam. - A ty myślałeś, że będzie inaczej?

- Wiesz dobrze, Ellie, że staram się myśleć jak najmniej. Jestem jak papierowy kubek niesiony falą życia.

Pociągnął nosem i znów potarł twarz rękami. Przed otwartymi szklanymi drzwiami prowadzącymi do ciemnego pokoju stał okrągły stół. Palące się na nim świece rzucały blask na szklaną tacę, na której zobaczyłam równe działki kokainy. Obok tacy leżał pistolet, beretta kaliber trzydzieści dwa.

- Po co ci pistolet, Trey? - zapytałam, uspokojona ciężarem mojego glocka w ręce, nawet jeśli była to ta gorsza ręka.

- Na szczury - odparł, wyjmując z kieszeni kolejnego papierosa. Odpalił go i zaciągnął się, po czym wypuścił dym w nocne powietrze. - A może później zagramy w rosyjską ruletkę.

- Gra byłaby naprawdę krótka - powiedziałam. - To automat.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Tak wygląda całe moje życie: tkwię w grze, której wynik jest z góry znany.

- Tak, ciężki kawałek chleba. Ile odziedzyczyłeś, gdy zmarła Sallie? Osiemdziesiąt milionów? Sto?

- Każdy z nich obwarowany jakimś warunkiem - odparł.
- Cóż, jakoś nie powstrzymało cię to przed wydatkami?
- No nie.

Obrócił się i spojrzął na swoją posiadłość, choć mógł zobaczyć jedynie mozaikę w różnych odcieniach czerni.

- Dlaczego wykupiłeś Jade'a z więzienia, Trey? Dlaczego płacisz mu za Shapiro? - zapytałam, stając z nim przy balustradzie.

Uśmiechnął się.

- Bo twój ojciec był niedostępny.

- Wierność nigdy nie była twoją mocną stroną, Trey. Dlaczego tak się trzymasz Jade'a?

- Bo to on sprawił, że jestem dziś tym, kim jestem - powiedział, posyłając mi jeszcze jeden krzywy uśmiech.

- To on zabił Sallie, prawda? - powiedziałam. - Gdy ty byłeś z żoną Berne'a, pieprząc swoje alibi, Jade czekał w ciemnościach twego domu... I teraz nie możesz od niego odejść.

- Czemu miałbym odchodzić od tego wszystkiego? - zapytał, szeroko rozkładając ręce. Papieros kiwał się w jego ustach. - Jestem królem świata!

- Nie, Trey - powiedziałam. - Miałaś rację za pierwszym razem. Jesteś smutnym klaunem. Miałaś wszystko, a skończysz z niczym.

- Wiesz coś o tym, jak to jest, prawda, Ellie?

- Wiem o tym wszystko. Ale ja właśnie wydostaję się z tej dziury, a ty zostaniesz w niej pogrzebany.

Wyjęłam telefon z kieszeni dzinsów i próbowałam wykręcić numer Landry'ego, ale rękę wciąż miałam niesprawną i częściowo bezwładną, a pod znieczuleniem czaił się ból, który dopiero miał się w pełni ujawnić. Landry musiał wiedzieć, że Trey spodziewa się przyjscia Paris. Pewnie miała zamiar pożyczyć od niego samochód, który nie będzie poszukiwany przez policję. Może chciała od niego pieniędzy, za które mogłaby utrzymać się w Europie. A może liczyła na to, że uda jej się przekonać Treya, by wyjechał z nią. Bogaci uciekinierzy na wyprawie po europejskich stolicach mody i luksusu.

Odsunęłam się parę kroków od Treya, przekładając telefon do ręki, w której trzymałam pistolet, i wciąż go obserwując. Żaloszny playboy, Piotruś Pan zniszczony wpływem czasu i latami rozpusty.

Słyszałam już sygnał w telefonie Landry'ego, gdy z ciemności pokoju wyrzuciła się Paris Montgomery. Bez wahania chwyciła beretkę ze stołu i wymierzyła z niej prosto w moją twarz.

LIII

- Zarządzamy wieloma nieruchomościami, panie inspektorze - powiedział Bruce Seabright. - Z większością z nich nie mam nic wspólnego.

- Interesuje mnie jedynie, co ma pan wspólnego z tą konkretną - powiedział Landry.

Stali w domowym gabinecie Seabrighta. Seabright obrócił się, westchnął i popatrzył w sufit.

- Nic!

- Obydwoj wiemy, że to nieprawda.

- I nie mam pojęcia, skąd w moim gabinecie wzięła się tamta kaseta. Ktoś ją musiał podrzucić.

- Tak, pewnie. Niech się pan trzyma swojej wersji. Teraz pytam pana o posiadłość w Loxahatchee.

- Mam adwokata - odparł Seabright. - Niech pan z nim porozmawia.

- To nie jest związane z głównym tematem przesłuchań.

- Powiedziałem już panu, nie mam nic wspólnego z tamtym wynajętym domem.

- I chce pan, żebym uwierzył, że ktoś uwikłany w porwanie Erin przypadkowo wynajął go od pańskiej firmy? Tak samo jak przypadkiem ludzie, u których załatwił pan dla niej pracę, okazali się gwałcicielami, mordercami i Bóg wie kim jeszcze?!

- Nie obchodzi mnie, w co pan wierzy, a w co nie - powiedział Seabright, sięgając po telefon. - Nie miałem z tym nic wspólnego, mój syn też nie. A teraz proszę się wynosić z mojego domu albo wniosę skargę o nękanie.

- Niech ją pan sobie wsadzi w tyłek, Seabright - powiedział Landry. - Pan i pański zepsuty dzieciak razem traficie za kratki, już moja w tym głowa.

Landry wyszedł z gabinetu, myśląc, że wielką przyjemność sprawiłoby mu wywiezienie wszystkich tych ludzi na tereny safari i wsadzenie ich do klatki z jakimś dużym kotem.

Krystal Seabright stała w holu przy drzwiach do gabinetu. Po raz pierwszy wyglądała nie na wstawioną, lecz na zszokowaną. Wyciągnęła rękę, chcąc za-trzymać Landry'ego, i otworzyła usta, ale słowa zamarły jej w gardle.

- Czy mogę w czymś pomóc, pani Seabright?

- Ja to zrobiłam - powiedziała.

- Słucham?

- Ta kobieta przyszła do mojego biura. Ja wynajęłam jej dom. Pamiętam jej imię, Paris. Zawsze chciałam pojechać do Paryża.

Landry zauważył, że Krystal nie wie, jak powinna zareagować. Poczuciem winy? Niedowierzaniem? Oburzeniem?

- Skąd się u pani wzięła? - zapytał.

- Powiedziała mi, że przysłał ją przyjaciel. - Łzy popłynęły jej z oczu. Potrząsnęła głową i popatrzyła w kierunku gabinetu swego męża. - To on? Myśli pan, że to on?

- Nie wiem, pani Seabright - wyznał Landry. - Chyba musi go pani sama za-pytać.

- Chyba tak - szepnęła, wpatrując się w drzwi gabinetu. - Coś muszę zrobić.

Landry wyszedł z domu, zadowolony, że jest tylko gлина. Może po prostu wyjść i zostawić to wszystko za sobą. Krystal Seabright nie ma tyle szczęścia.

LIV

Gapiałam się na lufę pistoletu w rękach Paris Montgomery. Jimmy Buffett wciąż przygrywał w tle.

- Odłóż telefon i pistolet - powiedziała Paris.

Trzymałam teraz glocka w mojej niesprawnej, prawej ręce. Mogłam założyć, że blefuje, i spróbować go podnieść, ale nie udało mi się tego zrobić w przekonujący sposób. W razie potrzeby i tak nie mogłabym pociągnąć za spust.

Rozważałam swoje możliwości, gdy w telefonie odezwała się poczta głosowa Landry'ego.

Paris podeszła do mnie. Była zła i przestraszona. Jej zgrabny plan pruł się jak stara szmata.

- A plan wydawał się taki prosty, prawda, Paris? - powiedziałam. - Erin miała pomóc ci wrobić Jade'a. Ona i Chad przy okazji doprowadziliby Bruce'a do bankructwa. Wszystko poszłoby na medal, gdyby nie przyszła do mnie Molly Seabright.

- Odłóż telefon i pistolet - rozkazała ponownie.

Zawiesiłam telefon na pasku i popatrzyłam na Treya, który stał nieruchomo, z twarzą pozbawioną wyrazu.

- Czemu dopuściłaś do gry Van Zandta? - zapytałam. - A może wepchnął się na siłę?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- To w takim razie dlaczego mierzysz mi z pistoletu w twarz, Paris?

Rzuciła okiem na Treya.

- To wszystko robota Dona - powiedziała. - To on zabił Stellara. Porwał Erin. Zabił Jill. To wszystko on. Musisz mi wierzyć, Trey.

- Czemu? - zapytał. - Bo to też element twego planu?

- Bo cię kocham - powiedziała dobitnie, ale jej wzrok spoczywał na mnie. - Erin widziała, jak Don zabijał Stellara. Don zrobił straszne rzeczy, żeby ją ukarać. I zabił Jill.

- Nie, kochanie, to nieprawda - zmęczonym głosem powiedział Trey. - Wiem, że to nie on.

- Co ty mówisz?

- Miałś nocną wizytę w stajni tej nocy, gdy zginęła Jill. Wyszłaś ode mnie z łóżka, by tam pojechać. Tak samo jak poprzedniej nocy, gdy ktoś uwolnił konie Michaela Berne'a.

- Wszystko ci się miesza, Trey.

- To prawda. Na ogół jestem dość zdezorientowany. Życie jest wtedy prostsze. Ale nie w tej sprawie.

Zbliżyła się do mnie o kolejny krok.

- Odłóż ten cholerny pistolet!

Westchnęłam i powoli schyliłam się, udając, że chcę położyć go na podłodze. Skuliłam się i szybko przeturlałam w bok.

Paris wystrzeliła dwukrotnie. Jeden z pocisków trafił blisko mnie, odłupując kawałki marmuru.

Przełożyłam pistolet do lewej ręki, wstałam i rzuciłam się w jej kierunku, zanim zdążyła przygotować się do kolejnego strzału.

- Rzuć broń, Paris! Rzuć ją! Natychmiast!

Odwróciła się i pobiegła w stronę schodów na drugim końcu balkonu. Ruszyłam za nią. Musiałam się schylić, gdy, skręcając za róg, wypaliła za siebie. Ostrożnie się wychyliłam i spojrzałam w dół na puste schody, skąpo oświetlone blaskiem latarni. Mogła stać niżej, na półpiętrze, przyklejona do ściany, czekając tylko, aż pobiegnę w jej stronę. Wyobraziłam sobie, że skręcam na podeście i w tej samej sekundzie kula dosięga mojej piersi, a krew staje się jedynym kolorowym elementem tej czarno-białej sceny.

Podeszłam do brzegu balkonu i spojrzałam w dół. Nie było jej. Zbiegłam ze schodów. Paris uruchomiła silnik wozu Treya w chwili, gdy dotknęłam ziemi. W następnym momencie oślepiły mnie światła jadącego wprost na mnie samochodu.

Podniosłam pistolet, wystrzeliłam serię w przednią szybę i, uskokczyłam na bok.

Paris starała się zawrócić samochód, ale koła kręciły się w miejscu, wyrzucając w górę piasek i żwir. Samochód wpadł w poślizg i bokiem uderzył w betonową ścianę. Włączył się alarm.

Paris otworzyła drzwi, wypadła z samochodu, podniosła się i zaczęła biec w kierunku bramy, prawą ręką przyciskając do ciała lewe ramię. Potknęła się i upadła, wstała, podbiegła jeszcze parę kroków, potknęła się i upadła ponownie. Leżała na ziemi, łkając, tuż pod tablicą informacyjną budowy Farmy pod Szczęśliwym Psem.

- Nie, nie, nie, nie! - zawodziła bezustannie. Podeszłam do niej. Z rany na ramieniu sączyła się krew.

- Gra skończona, Paris - powiedziałam, patrząc na nią z góry. - Twoje szczęście się skończyło, suko.

LV

Molly siedziała skulona na swoim łóżku, z nogami podciągniętymi pod brodę. Trzęsła się i z trudem powstrzymywała od płaczu.

Wsluchiwała się w odgłosy trwającej na dole kłótni, w podniesione głosy dobiegające spod podłogi. Bruce krzyczał. Jakieś przedmioty roztrzaskiwały się z hukiem o podłogę. Głos matki był pełen nienawiści - krzyk ze złego snu, jakiego Molly nigdy dotąd nie słyszała, dziwny, przerażający pisk, który unosił się i opadał jak syrena. Jakby postradała zmysły. Bruce nazwał ją kilka razy wariatką.

Molly bała się, że Bruce może mieć rację. Może jakaś sprężyna, która dotąd pozwalała Krystal jakoś się trzymać, w końcu pękła i wszystko, co przez lata dusiła w sobie, teraz z niej wypływało.

Gdy jej wrzask znów się podniósł, Molly wyskoczyła z łóżka, zamknęła drzwi i z trudem przesunęła szafkę nocną, by je zablokować. Chwyciła telefon, który dała jej Elena, wróciła do swej pozycji na łóżku i wykreciła numer jej komórki.

Nie odbierała telefonu. Po policzkach Molly potoczyły się łzy.

Głosy na dole nagle zamarły i nastąpiła dziwna, straszna cisza. Molly wyteżyła słuch, starając się usłyszeć choćby najmniejszy dźwięk, ale w domu panowała cisza tak idealna, że Molly zaczęła się zastanawiać, czy to nie ona ogłuchła.

Aż nagle z przewodu wentylacyjnego dobiegł cichy, delikatny głos, jak z innego wymiaru:

- Chciałam mieć ładne życie... Chciałam tylko mieć ładne życie...

LVI

Landry nadjechał tuż po karetce, którą wezwano dla Paris. Moja kula przeszła jej ramię. Straciła trochę krwi, ale z pewnością dożyje jutrzejszego dnia, a potem następnego i następnego - a wszystkie je spędzi w więziennej celi.

Landry wysiadł z samochodu i podszedł do mnie, gestem ręki dając znać policjantowi, który zabezpieczał teren, żeby chwilę poczekał. Szeregowy Saunders, moja eskorta z nocy, której wypuszczono konie Michaela Berne'a, nie spuszczał ze mnie oka. Nie mogłem uwierzyć, że jestem niewinna.

Landry, cały czas patrząc na mnie uważnie, kazał mu odejść.

- Nic ci nie jest? Uśmiechnęłam się do niego lekko.

- Musisz być zmęczony zadawaniem mi w kółko tego samego pytania.

- Trudniej zabić ciebie niż kota - szepnął.

Opowiedziałam mu o tym, co się stało, co usłyszałam i jakie było moje zdanie na ten temat.

- Co cię w ogóle skłoniło, żeby tu przyjść?

- Nie wiem. Pomyślałam, że Paris może chcieć skontaktować się z Treyem.

Wszystko kręci się wokół jego osoby, jego pieniędzy i tego miejsca.

Spojrzałam na stajnię, na masywne ściany skąpane w kolorowych światłach karetki i wozów policyjnych. Właśnie prowadzono Treya - zakutego w kajdanki - do jednego z radiowozów.

- Sądzę, że Trey i Jade razem wymyślili plan zabicia Sallie Hughes, tak, by Trey mógł w końcu dorwać się do jej pieniędzy i wybudować stadninę. Zapytałam go o to wprost, a jemu nawet nie chciało się zaprzeczać. To dlatego był tak lojalny wobec Jade'a - nie miał wyboru. Paris z kolei chciała pozbyć się Jade'a i zgarnąć całą pulę. A na koniec wszyscy zostali z niczym - powiedziałam. - Wszystkie te oszustwa, przekręty, cały ból, który zadali tylu osobom - to wszystko na nic. Wszyscy tracą.

- Tak - powiedział Landry, patrząc na odjeżdżający ambulans, w ślad za którym ruszył radiowóz. - Gdy mam do czynienia z takimi sprawami, żałuję, że nie posłuchałem mojego staruszka. Chciał, żebym został budowniczym.

- A kim on był z zawodu?

Landry uśmiechnął się.

- Gliniarzem, a kim? Trzydzieści lat na posterunku w Baton Rouge.

- Znaleźliście już Van Zandta? - zapytałam, gdy szliśmy do samochodu.

- Jeszcze nie. Facet na terminalu towarowym powiedział nam, że konie Van Zandta dotarły na lotnisko jakiś czas temu, ale on sam jeszcze się nie pokazał. Myślisz, że siedział w tym razem z Paris?

- Nadal jestem przekonana, że to on zabił Jill. Ale Trey powiedział mi, że tamtej nocy Paris wyszła z jego łóżka, by pojechać do koni. Ciało Jill pozostawiono w takim miejscu, żeby łatwo było je znaleźć, i ktokolwiek je tam umieścił, wiedział, że pierwszym podejrzanym będzie Jade. Paris z pewnością by to opowiadało.

- Wiemy, że Van Zandt był owej nocy w „The Players” - powiedział Landry. - Przystawiał się do dziewczyny. Powiedzmy, że pojechał za nią, skłonny zadowoląć się okruchami ze stołu Jade’a. Może mu odmówiła, a on nie odpuszczał i dziewczyna skończyła martwa.

- Na scenę wkroczyła Paris i przekonała Van Zandta, by porzucił ciało w pojemniku na nawóz - ciągnęłam. - Ciekawe, czy po tym incydencie Van Zandt stał się częścią drużyny. Nie wiem. Chad starał się mnie przekonać, że ktoś faktycznie zgwałcił Erin, że Paris pozwoliła, by sprawy wymknęły się spod kontroli. Może Van Zandt przyłączył się do planu, może przejął nad nim kontrolę.

- Jeśli tak było, Paris z pewnością nam o tym opowie - powiedział Landry. - Ona jest w areszcie, a on na wolności. Nic nie demaskuje spisku szybciej niż strach przed więzieniem. Dobra robota, Estes.

- Spełniam tylko swój obywatelski obowiązek.

- Powinnaś mieć odznakę.

Rozejrzałam się wokoło.

- Twoje słowa to miód na moje serce. Jednak na twoim miejscu nie wypowiadałabym tej opinii w pobliżu pracowników biura szeryfa.

- Pieprzyć ich. Taka jest prawda.

Czułam się zażenowana tym, że jego pochwała tyle dla mnie znaczy.

- Jakież wieści o Erin i Chadzie? - zapytałam i w tym momencie zadzwonił mój telefon.

Landry pokręcił głową.

- Estes - powiedziałam do telefonu.

- Elena?

Drżenie w jej głosie sprawiło, że poczułam nagły strach, jak ukłucie setek szklanych igieł.

- Molly? Molly, co się stało?

Przyspieszyłam kroku, idąc z Landrym w kierunku jego samochodu. Widziałam na jego twarzy troskę, gdy szedł koło mnie.

- Elena, musisz przyjechać. Proszę, przyjeźdź!

- Już jadę. Co się dzieje?

W tle słyszałam hałas, jakby ktoś walił w drzwi.

- Molly?

A potem ostry, przejmujący głos, który wypowiedział jej imię.

- Pospiesz się! - powiedziała Molly.

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszałam, zanim w słuchawce nastąpiła cisza, był potwarzający się dziwny śpiew: „Chciałam mieć ładne życie... Chciałam tylko mieć ładne życie...”.

LVII

- Dobra - powiedział Landry - zrobimy tak. Ja wchodzę pierwszy, z mundurowymi.

Pozwoliłam mu mówić, ale nie zwracałam uwagi na jego słowa. Mało mnie obchodził jego plan. Mogłam myśleć tylko o Molly.

Jeśli ktoś skrzywdził to dziecko...

Przypomniałam sobie o tym, że Chad i Erin wciąż są na wolności. Jeśli wrócili do domu...

- Elena! Słyszysz, co do ciebie mówię?

Nie odpowiedziałam.

Wjechał na podjazd i zatrzymał się na trawniku. Tuż za nami stanął radiowóz. Wsiadłam z samochodu, zanim na dobre się zatrzymał.

- Niech cię szlag, Estes!

Drzwi frontowe były otwarte. Wszłam do środka, nie zważając na niebezpieczeństwo czające się być może tuż za drzwiami.

- Molly!

Landry szedł tuż za mną.

- Seabright! Tu Landry.

- Molly!

Biegłam po dwa schody na raz. Jeśli ktoś skrzywdził to dziecko...

Landry zbliżył się do drzwi gabinetu Seabrighta. W domu panowała dojmująca cisza. Jedyne głosy dochodziły właśnie zza tych drzwi.

- Seabright?!

Landry posuwał się wzdłuż ściany, z pistoletem gotowym do strzału. Kątem oka widział wbiegającą po schodach Elenę.

- Seabright?! - zawołał ponownie.

Dźwięk w pokoju stał się wyraźniejszy. Ktoś śpiewał. Dotarł do drzwi i wyciągnął rękę w kierunku klamki.

Śpiew. A raczej zawodzenie: „Chciałam mieć ładne życie... Chciałam tylko mieć ładne życie...”.

- Molly!

Nie miałam pojęcia, które z zamkniętych drzwi prowadzą do jej pokoju. Otworzyłam pierwsze z brzegu. Pokój Chada. Jeśli ktoś skrzywdził to dziecko... Otworzyłam następne drzwi. Pusta sypialnia. Jeśli ktoś skrzywdził to dziecko...

- Molly!

Jeśli ktoś skrzywdził to dziecko...

Uchyliłam trzecie drzwi. Ustały na centymetr, a potem w coś uderzyły. Pchnęłam mocniej.

- Molly!

Jeśli ktoś skrzywdził to dziecko...

Drzwi gabinetu otworzyły się, ukazując koszmarną scenę. Krystal Seabright stała za biurkiem męża, pokryta krwią. Jej włosy, twarz, śliczna różowa sukienka, w której Landry widział ją dzisiejszego ranka, były skąpane w czerwieni. Bruce Seabright leżał z twarzą na swym nieskazitelnym biurku, a z pleców sterczał mu rzeźnicki nóż. Na głowie, szyi i plecach widać było dziesiątki ran.

- Jezu - jęknął Landry.

Krystal spojrzała na niego.

- Chciałam mieć ładne życie... A on je zrujnował. On wszystko zrujnował.

Jeśli ktoś skrzywdził to dziecko...

Odsunęłam się, wzięłam głęboki oddech i szturmem uderzyłam w drzwi, tak mocno, jak tylko umiałam.

- Molly!

Blokada po drugiej stronie ustąpiła parę centymetrów. To wystarczyło, bym mogła wsunąć ramię uchylić drzwi mocniej. Ktoś ustawił pod nimi połowę mebli z pokoju.

- Elena!

Molly podbiegła do mnie i objęła mnie z całą siłą. Upadłam na kolana, złapałam ją w ramiona i przytuliłam do siebie tak mocno, jak jeszcze nikogo w życiu nie przytulałam. Trzymałam ją, gdy płakała, i jeszcze długo, długo potem.

Przytulałam ją, bo tego potrzebowała. Przytulałam ją, bo tego potrzebowałam ja sama.

LVIII

Jedyne, co mogłam powiedzieć Molly, to że już po wszystkim. „Już po wszystkim. Już po wszystkim. Już po wszystkim”. Ale było to tak wielkie kłamstwo, że wszystkie poprzednie wydawały się przy nim niewinnymi żartami. Dla Molly nie było po wszystkim. Jedyne, co się dla niej skończyło, to rodzina.

Krystal, chwiejna i krucha nawet w najlepszych dniach, załamała się pod naporem ostatnich wydarzeń. Obwiniała męża o to, co - jak sądziła - przydarzyło się Erin: porwanie, tortury i gwałt. Z tego, co mówił Landry, Krystal wierzyła, że Bruce celowo przysłał do niej Paris, której Krystal miała wynająć dom w Loxahatchee - ten sam, w którym później rozegrał się dramat.

Krystal znalazła się u kresu wytrzymałości. Można by sądzić, że motywy jej postępowania w tej ostatniej chwili okazały się szlachetne - ukarała męża za krzywdę córki. Z przykrością odrzuciłam tę tezę. Byłam przekonana, że zabijając Bruce'a, Krystal wymierzyła mu karę za zrujnowanie jej własnego, wymarzonego życia, a nie życia córki.

„Chciałam mieć ładne życie...”.

Zastanawiałam się, czy Krystal zostałaby z Bruce'em, gdyby dowiedziała się, że ciężką próbę, której wszyscy zostali poddani, zgotowała im między innymi jej córka. Podejrzywałam, że całą winę zrzuciłaby wtedy na Erin, całkowicie oczyszczając z zarzutów Bruce'a. Znalazłaby sposób na to, żeby wybaczyć

Bruce'owi jego grzechy i w ten sposób ocalić swoje ładne życie.

Umysł ludzki dysponuje niewyobrażalnym potencjałem racjonalizacji.

Landry wsadził Krystal do radiowozu, który zabrał ją do biura szeryfa, a sam odwiózł Molly i mnie na farmę Seana. Nie padło między nami ani jedno słowo na temat izby dziecka, która w takiej sytuacji była standardowym rozwiązaniem.

Większość drogi przejechaliśmy w milczeniu, pozbawieni energii i wyzuci z wszelkich emocji - porażeni ogromem tego, co się wydarzyło. Jedynym towarzyszącym nam dźwiękiem było trzeszczenie policyjnego radia - dobrze znany odgłos, który wzbudził we mnie nostalgię, jak przebój z lat młodości.

Gdy wjechaliśmy za bramę Avadonis Farm, Landry zadzwonił do Weissa, wciąż siedzącego na lotnisku. Van Zandt jeszcze się nie pojawił, choć samolot był już gotowy do startu.

Całkowicie wyczerpana Molly zasnęła na tylnym siedzeniu z głową na moim ramieniu. Landry wziął ją na ręce i zaniósł do domku dla gości. Wskazałam mu drogę do drugiej, mniejszej sypialni, zastanawiając się jednocześnie nad tym, jak dziwną rodzinę stanowimy w tej chwili.

- Biedny dzieciak - powiedział Landry, gdy wyszliśmy przed dom. - Dorośnie bardzo szybko.

- Ona już dorosła - powiedziałam, siadając na kutym szezlonku wyłożonym poduszkami. - Była dzieckiem może przez półtorej minuty. A ty masz dzieci?

- Ja? Nie. - Landry usiadł koło mnie. - A ty?

- Zawsze wydawał mi się to kiepski pomysł. Wiele razy widziałam, jak różnym ludziom udaje się spieprzyć życie ich dzieci. I z drugiej strony wiem, jak bardzo to boli.

Czułam, jak mi się przygląda, starając się odgadnąć moje myśli. Popatrzyłam na niebo i gwiazdy i pomyślałam, że znów okazuję mu swoją słabość.

- Ale Molly jest wspaniała - powiedziałam. - Wychowała się, oglądając Discovery i A&E.

- Byłem raz żonaty - wyznał Landry. - I przez jakiś czas żyłem z kobietą. Ale nic z tego nie wyszło. Wiesz, jak jest: ta praca, te godziny poza domem, ja jestem taki trudny we współżyciu i tak dalej.

- Ja nigdy nie próbowałam. Możemy przejść od razu do „jestem taka trudna we współżyciu i tak dalej”.

Uśmiechnął się zmęczonym uśmiechem i wyjął papierosy i zapalniczkę.

- Paczka z samochodu? - zapytałam.

- Muszę się pozbyć z ust tego trupiego smaku.

- Ja piłam - przyznałam się - dla przeplukania ust.

- Ale przestałaś?

- Rzuciłam wszystko, co uśmierza ból.

- Czemu?

- Uznałam, że na niego zasługuję. Potrzebowałam kary. Pokuty. Czyśćca. Nazwij to, jak chcesz.

- Nazwałbym to głupotą - stwierdził Landry. - Nie jesteś Bogiem, Estes.

- Prawdziwi wyznawcy zapewne przyjmą to z ulgą. A tak na serio, sądziłam chyba, że powinnam pomóc Mu w wymierzeniu sprawiedliwości.

- Popelniłaś błąd - powiedział. - Nawet papież nie jest nieomylny.

- Heretyk.

- Próbuję tylko powiedzieć, że masz w sobie zbyt dużo dobra, żeby z powodu jednego błędu zamykać się przed światem.

Uśmiechnęłam się kącikiem ust.

- Wiem - powiedziałam. - Teraz wiem. Dzięki Molly.

Landry obejrzał się przez ramię i popatrzył na dom.

- Co jej powiesz o Erin?

- Prawdę - odparłam z westchnieniem. - Nie pozwoli się okłamywać.

Perspektywa tej rozmowy kazała mi wstać. Choć czułam się wyczerpana, wciąż byłam niespokojna, sfrustrowana niesprawiedliwością losu Molly Seabright i własnym brakiem talentu do rozmawiania z ludźmi. Poszłam na skraj ogrodu.

- Pamiętam swoją myśl w dniu, w którym to wszystko się zaczęło: Molly wkrótce dostanie od życia nauczkę i zrozumie, że nie może polegać na nikim oprócz siebie, a przekona się o tym, gdy zdradzi ją najbliższa, najbardziej ukochana osoba. Teraz oddałabym wszystko, byle tylko oszczędzić jej tej lekcji.

Landry podszedł i stanął koło mnie.

- I możesz - powiedział. - W zasadzie już to zrobiłaś. Molly ci ufa. Nie zawiodłaś jej. I nigdy nie zawiedziesz.

Żałowałam, że sama nie jestem tego tak pewna. Rozległ się sygnał jego pagera. Sprawdził numer, wyciągnął telefon i oddzwonił.

- Landry.

Patrzyłam na jego twarz i czułam, jak rośnie w nim napięcie. Skończył rozmawiać i powiedział:

- Złapali Erin i Chada, przy Alligator Alley, w połowie drogi do Venice. Dziewczyna twierdzi, że została porwana.

LIX

- Masz osiemnaście lat - powiedział Landry - i w świetle prawa jesteś osobą dorosłą. Dokonałeś złych wyborów, które miały poważne konsekwencje, i teraz musisz za to zapłacić. Jest jedno pytanie: czy chcesz iść w zaparte i dalej robić problemy, czy zdecydujesz się uczynić życie łatwiejszym - nasze i swoje własne.

Chad Seabright wpatrywał się w ścianę. Duży opatrunek zakrywał miejsce, w którym jeszcze wczoraj było jego prawe oko.

- Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę - powiedział cicho.

Patrol stanowy zauważył czarnego pickupa jadącego z dużą prędkością po autostradzie znanej jako Alligator Alley, prowadzącej ze wschodniego wybrzeża w stronę Gulf Coast. Ruszył za nim pościg. W końcu zatrzymała go blokada drogowa. Parę uciekinierów przewieziono do gościnnych pomieszczeń należących do sądu Palm Beach, gdzie udzielono im pomocy lekarskiej.

Siedzieli teraz w osobnych pokojach przesłuchań, zastanawiając się zapewne, jaką historię wymyśli to drugie.

Landry był przekonany, że gdyby Bruce Seabright jeszcze żył, Chad miałby u swojego boku prawnika pokroju Berta Shapiro. Ale Bruce Seabright zginął i Chad miał do pomocy losowo przydzielonego obrońcę z urzędu.

Zastępca prokuratora stanowego Roca nerwowo stukala długopisem o blat stołu.

- Lepiej zacznij mówić, Chad. Twoja dziewczyna opowiedziała nam ciekawe rzeczy o tym, jak ją porwał, by wyłudzić pieniądze od ojca. Mamy nagranie, na którym brutalnie ją bijesz.

- Powiniennem zobaczyć to nagranie - powiedział obrońca Chada.

Roca spojrziała na niego.

- Jest bardzo przekonujące. A Erin chętnie wszystko potwierdzi.

- To kłamstwo - powiedział Chad obrażonym głosem, za którym czaił się strach. - Erin nie zrobiłaby mi czegoś takiego.

- Nie zrobiłaby czego? - zapytał Landry. - Nie opowiedziałyby nam, jak porwał ją ze szpitala, uprzednio podpalając kubek, żeby odciągnąć strażnika spod jej drzwi?

Chad zdecydowanie potrząsnął głową.

- I nie sądzisz, że Erin wyznałaby, jak ją szprycowałeś ketaminą i gwałciłeś? - zapytała Roca.

Obrońca z urzędu otwierał i zamykał usta jak wielka żaba, niezdolny wydać z siebie głosu.

Landry westchnął i wstał.

- Wiesz co, mam go już dość - powiedział do Roki. - Ten gnojek po prostu chce pójść siedzieć. No to mu pozwólmy. Jego ojciec był dupkiem. On też jest dupkiem. Wyłączmy go z puli genów. Pójdziemy na ugodę z dziewczyną. Przysięgli będą płakać, słuchając jej historii.

Roca udawała, że się zastanawia, po czym spojrziała na prawnika.

- Proszę porozmawiać ze swoim klientem. Postawimy mu zarzut porwania, gwałtu, usiłowania morderstwa i podpalenia. To całkiem spora kolekcja zbrodni.

- Nigdy nikogo nie zgwałciłem - powiedział Chad. - Poszedłem do tej przychwy tylko raz, wczoraj, żeby pomóc Erin.

- Żeby zniszczyć dowody przestępstwa, którego ona była głównym sprawcą? - zapytała Roca.

Chad zamknął swoje jedyne oko i odchylił głowę.

- Już wam przecież mówiłem. Erin początkowo brała w tym udział, ale później Paris obróciła się przeciwko niej. Ja nie miałem z tym nic wspólnego. Nic z tego nie zdarzyło się z mojej winy. Próbowałem tylko pomóc Erin. Dlaczego miałbym zostać za to ukarany?

Landry oparł się o stół i nachylił nad chłopakiem.

- Dwie osoby nie żyją, mały. Ty próbowałeś na dodatek zabić moją przyjaciółkę. Masz przesrane.

Chad schował twarz w dłoniach i zaczął płakać.

- To nie była moja wina.

- A co powiesz na temat taśmy, którą znaleźliśmy w gabinecie twojego ojca, Chad? Tej, na której został nagrany domniemany gwałt? Znaleźliśmy ją sprytnie ukrytą na półce. Jak się tam dostała?

- Nie wiem!

- A ja wiem - powiedział Landry. - Ty ją tam położyłeś.

- To nieprawda! Nie miałem z tym nic wspólnego!

Landry westchnął z obrzydzeniem.

- Wiesz co, Chad? Jestem przekonany, że było całkiem inaczej. Możesz albo wziąć odpowiedzialność za swoje czyny i przy okazji sobie pomóc, albo dalej kopać pod sobą dołek, głębszy z każdym kłamstwem, które wypływa z twoich ust.

Podszedł do okna fenickiego, podniósł rolety i włączył głośnik.

Roca wstała.

- Proszę to przemyśleć. Wygrywa ten, kto pierwszy się zdecyduje. Ten, kto się zawaha, traci.

- Dlaczego Chad miałby cię porywać ze szpitala, Erin? - zapytał Landry.

- To on musiał być drugim z porywaczy - odpowiedziała głosem cichutkim i potulnym, jak grzeczna dziewczynka. Oczy miała spuszczone, jakby była przestraszona lub zawstydzona. Łzy leciały po jej policzkach niczym szklane paciorki. - To dlatego nigdy nic nie mówił. Wiedział, że bym go rozpoznała.

- Więc dlatego przyszedł po ciebie do szpitala w środku dnia i porwał cię po raz drugi - żebyś w końcu mogła go zidentyfikować? - zapytał Landry ironicznie.

Zakryła usta trzęsącą się dłonią i załkała, lej obrońca z urzędu, puszysta i opiekuńcza Maria Onjo poklepała ją po ramieniu. Landry przyglądał się temu beznamiętnym wzrokiem.

- Chad powiedział nam, że się kochacie. Że pojechałaś z nim z własnej woli.

Erin opadła szczęka.

- Ależ nie! To nieprawda! Ja... My... byliśmy przez chwilę razem. Zanim wyprowadziłam się z domu - potrząsnęła głową nad własną głupotą - ale robiliśmy to tylko po to, żeby wkurzyć Bruce'a. Bruce nie mógł znieść myśli, że jego idealny syn związał się z kimś takim jak ja - powiedziała gorzko. - Chad był wściekły, gdy z nim zerwałam. Powiedział, że nie pozwoli mi odejść.

Maria Onjo podsunęła jej pudełko chusteczek higienicznych.

- Erin - powiedziała Roca - Chad twierdzi, że to ty uczestniczyłaś w zorganizowaniu porwania, nie on. Mówi, że wymyśliłaś całą sprawę, by zdyskredytować Dona Jade'a w oczach jego klientów, a twego ojczyma postawić w kłopotliwej sytuacji i wyciągnąć od niego pieniądze. Jednak plan wymknął się spod kontroli.

- Wymknął się spod kontroli? - zapytała Erin z niedowierzaniem i złością. - Zostałam zgwałcona!

- I nie zauważyłaś, że jednym z gwałcicieli był Chad? - zapytał Landry.

- Podawali mi narkotyki! Przecież to panu mówiłam. Dlaczego mi nie wierzycie?

- Ma to pewien związek z faktem, że lekarz, który cię badał tej nocy, gdy trafiłaś do szpitala, nie znalazł na twoim ciele żadnych oznak gwałtu.

- Co? Ale... Ale... Przecież widzieliście kasetę!

- Tak, widziałem ją - powiedział Landry. - I to, co na niej zobaczyłem, było straszne, brutalne i okrutne. Ale jeśli to było prawdziwe, powinnaś mieć rozległe rany pochwyt. A nie masz.

Wyglądała jak osoba uwięziona w koszmarze.

- Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę - wyszeptła do siebie. - Pobili mnie. Zgwałcili. Sami popatrzcie!

Podwinęła rękawy, by pokazać rany, jakie na jej skórze pozostawił bat.

- Tak - powiedział Landry. - To bardzo przekonujące. Dobrze. Więc chcesz, byśmy uwierzyli, że Don Jade i Chad byli współnikami, a na dodatek działali w zмовie z Paris. Skąd Chad zna Jade'a?

- Nie wiem.

- I czemu miałyby zgodzić się na współpracę z Jade'em, skoro to właśnie dla Jade'a go rzuciłaś? Nie rozumiem tego.

Widział, jak narastają w niej złość i frustracja. Jej oddech stał się przyspieszony i płytki.

Obrońca spojrziała na Landry'ego wymownie.

- Nie może pan oczekiwać, że Erin rozwiąże za pana całą sprawę, detektywie. Erin nie musi rozumieć motywów swoich oprawców.

- Tego od niej nie oczekuję, pani Onjo. Twierdzę jedynie, że Erin pozostawała w bliskiej zażyłości z Chadem i pracowała z Donem Jade'em, w którym na dodatek była ponoć zakochana. Sądzę zatem, że jeśli ktokolwiek może znać odpowiedź na te pytania, to właśnie ona.

Onjo położyła rękę na ramieniu dziewczyny.

- Erin, nie musisz nic mówić...

- Ja przecież nie zrobiłam nic złego! - krzyknęła na nią Erin. - Nie mam nic do ukrycia! To nie była moja wina!

Landry popatrzył na Rocę i przewrócił oczami.

- Więc jak Chad poznał Jade'a, Erin? Z tego, co wiem, jedynym łączącym ich ogniwem jesteś ty. Jakoś nie mogę wyobrazić ich sobie jako przyjaciół.

- Ich niech pan zapyta! - warknęła Erin. - Może są kochankami. Skąd ja mam wiedzieć?

- I byli w to zamieszani razem z Paris? Trzymali cię w przyczepie na tyłach jej domu.

Erin schowała ręce w dłoniach.

- Nie wiem!

- Erin jest w tym wszystkim ofiarą - powiedziała Onjo. - Jest ostatnią osobą, która powinna być teraz w więzieniu.

- Chad mówi co innego - stwierdziła Roca. - Paris także. Obydwoje twierdzą, że porwanie było pomysłem Erin. Paris zaplanowała zabicie konia i chciała zrobić w nie Jade'a. Erin namówiła ją do udawanego porwania, które miało na celu wyciągnięcie pieniędzy od jej ojczyma, wzniecenie konfliktu między nim a jej matką oraz jeszcze głębsze pograżenie Jade'a przez skierowanie na niego podejrzeń o udział w poważnym przestępstwie.

- I wie pani co? - powiedział Landry. - Ta wersja wydarzeń jest moim zdaniem dużo bardziej prawdopodobna niż pomysł, że Jade i Chad są psychopatyczną parą biseksualnych kochanków.

- To koszmarnie! - krzyknęła Erin. - Oni mnie zgwałcili!

Landry westchnął, wstał i rozprostował ręce, potarł twarz.

- Trudno mi w to uwierzyć, Erin.

Onjo odepchnęła krzesło i gwałtownie wstała. Kiedy stała, nie była wiele wyższa niż wtedy, gdy siedziała.

- To barbarzyństwo. Koniec przesłuchania! - zawołała do strażnika za drzwiami.

- Nie zostanie pani na filmie? - zapytał Landry, gestem wskazując na telewizor i magnetowid stojące na metalowym wózku w kącie pokoju.

Onjo wlepiała w niego wzrok.

- O czym pan mówi? Jaki film?

- Kręcili filmy - powiedziała Erin. - Kazali mi robić różne rzeczy. To było straszne.

- Ten, który chcemy puścić, nie był przeznaczony dla widzów - powiedziała Roca. - Może powinnaś zastanowić się nad swoją strategią, Erin? Jestem na ogół bardziej pobłażliwa dla osoby, która mówi prawdę.

Landry włączył wideo.

- Jesteś bardzo utalentowaną aktorką, panno Seabright - powiedział. - Gdybyś nie wkroczyła na ścieżkę zbrodni, kto wie, mogłabyś może zrobić karierę jako gwiazda porno.

Kaseta, którą właśnie włączył, była kopią taśmy z kamery wyniesionej przez Elenę z przyczepy. Znajdowały się na niej sceny zza kulis rzekomego porwania. Ścinki. Nagrania prób.

Na ekranie pokazała się Erin leżąca na łóżku w lubieżnej pozie, a wyzywającym uśmiechem. Do tego samego łóżka była przykuta na kasetach, które otrzymał Bruce Seabright. Na tym łóżku kulila się bezbronne w scenie, w której została pobita tak brutalnie, że nawet twardym policjantom cierpła skóra.

Maria Onjo patrzyła na nagranie, a krew z jej twarzy odpływała wraz z pomysłem na linię obrony.

Erin wodziła wzrokiem od Landry'ego do swojego obrońcy.

- Zmusili mnie. Musiałam robić dokładnie to, co mówili, bo inaczej mnie bili - łkała. - Czy myślicie, że chciałam to robić?

Jej własna postać patrzyła na nią z ekranu - dziewczyna dotyka się między nogami, a następnie oblizuje palce.

- Tak - powiedział Landry. - Tak właśnie sądzę.

Spoza kadru dobiega niewyraźny, męski głos, mówi coś, a potem mężczyzna i Erin razem się śmieją.

Erin odsunęła się od stołu, wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Zapędzone w kąt małe, wściekłe zwierzątko.

- Musiałam robić to, co mi kazali - powiedziała. - Bałam się, że mnie zabiją! Ludzie! Co z wami jest nie tak?! Czemu mi nie wierzycie? To był Chad. Wiem to. Chciał mnie ukarać.

Coś stuknęło o weneckie okno z drugiej strony. Erin i Onjo podskoczyły. Landry popatrzył na Rocę.

Na ekranie Chad wyszedł zza kamery i dołączył do Erin na łóżku. Klęczeli teraz twarzą w twarz na zaplamionym materacu.

- Jak lubisz, maleńka? - zapytał.

Erin popatrzyła na niego i uśmiechnęła się jak lisica.

- Wiesz, jak lubię. Ostro.

Oboje wybuchli śmiechem. Dwa rozbawione dzieciaki. Aktorzy powtarzający role.

Landry popatrzył w stronę weneckiego lustra i kiwnął głową do kogoś po drugiej stronie, po czym podszedł do drzwi i je otworzył, udając, że musi coś powiedzieć stojącemu za nimi strażnikowi.

- Ty pieprzona suko! - krzyknął Chad Seabright, wrywając się prowadzącemu go w kajdankach policjantowi. - A ja cię kochałem! Słyszysz? Kochałem cię!

Seabright wbiegł do pokoju i próbował splunąć Erin w twarz z odległości dziesięciu metrów. Landry odsunął się, marszcząc się z niesmakiem.

- Niektórym po prostu brak dobrego wychowania - skomentował, zamknąwszy drzwi.

Onjo napuszyła się.

- To oburzające! Terroryzuje pan moją klientkę, pozwalając, by jej oprawca...

- Proszę sobie dać spokój, pani Onjo - znużonym głosem powiedziała Roca. - Wystarczy, że ława przysięgłych rzuci okiem na to nagranie, i pani klientka może raz na zawsze pożegnać się z karierą filmową.

- Chcę ugody! - krzyczał Chad. - Chcę ugody!

Erin wstała z krzesła.

- Zamknij się! Do cholery, zamknij się!

- Zrobiłem to dla ciebie! Kochałem cię!

Erin patrzyła na niego zajadłym, pełnym pogardy wzrokiem. - Ty pieprzony idioto.

Landry wyszedł na zewnątrz, stanął na chodniku w ciepłe popołudniowe słońca i zapalił papierosa. Musiał się pozbyć smaku ich kłamstw, wypalić wspomnienie ich zbrodni.

Chad Seabright przyznał się do wszystkiego. Zrezygnował z dowodzenia swej niewinności, by zaszkodzić Erin. Twierdził, że to ona namówiła go do wzięcia udziału w tej szopce. Mieli ukartować jej porwanie i odebrać okup z rąk Bruce'a Seabrighta. Gdyby Bruce nie chciał zapłacić w ten sposób, zapłaciłby w inny: tracąc reputację i żonę. Przy okazji miał ucierpieć Don Jade - oskarżony, potępiony i zrujnowany - a Paris Montgomery dostałaby to, czego chciała: klientów Jade'a i posadę w stajni Hughesa.

Prosty plan.

We trójkę usiedli nad kartką i ułożyli scenariusz nagrań, jakby kręcili film na szkolnych zajęciach z reżyserii. Chad utrzymywał, że bicie było pomysłem Erin. Namówiła go, by bił ją szpicrutą w celu osiągnięcia większego realizmu.

To był pomysł Erin. I Paris. To nie była wina Chada.

Nic nie było niczyją winą.

Chad został oszukany i wykorzystany przez Erin. On był niewinny. Matka Erin nie wychowała jej odpowiednio. Bruce Seabright jej nie kochał. Paris Montgomery zrobiła jej pranie mózgu.

Paris Montgomery miała zostać przesłuchana później, ale Landry już obrażał sobie jej płacz i smutną opowieść, jak to ojciec ją molestował, gdy miała zaledwie trzy latka, a na studiach musiała dorabiać jako dziewczyna na telefon, i jak to wszystko tragicznie wpłynęło na jej charakter.

Chad nie słyszał nigdy o Tomasie Van Zandcie, nie wiedział też nic o śmierci Jill Morone. Landry przewidywał, iż w końcu okaże się, że to także nie była niczyja wina.

Landry bardzo chciał zrozumieć jedną rzecz: jeśli nikt nie był niczemu winny, to jak to się stało, że ktoś został zamordowany, że dziecko zostało sierotą, że zrujnowano tyle ludzkich istnień? Paris Montgomery, Erin Seabright i Chad

Seabright podjęli decyzje, które zraniły wielu ludzi, a innym odebrały życie. W jaki sposób nie była to ich wina?

LX

*W niepewną godzinę przed początkiem dnia
Prawie u kresu nieskończonej nocy.*

Znów przypominałam sobie ten wers, wygodnie siedząc w szezlongu przed moim domem, oglądając świt dzień po tym, jak Chad Seabright poszedł na ugodę z prokuratorem stanowym.

Chad zrzucił całą winę na Erin. Erin wskazała na Paris. Paris, starając się w ten sposób zyskać przychylność prokuratora, zeznała, że może poświadczyć, iż to Van Zandt zabił Jill Morone. Wszyscy oni powinni smażyć się w piekle.

Pomyślałam o Molly i spróbowałam odnieść słowa Eliota do tego, przez co teraz przechodziła, i do jej dotychczasowej podróży przez życie. Staralam się nie rozwodzić zbyt nad ironią faktu, iż to Molly walczyła, by scalić swoją rodzinę, zatrudniła mnie w celu odnalezienia Erin, a koniec końców została całkiem sama.

Bruce Seabright nie żył. Umysł Krystal rozpadł się na tysiąc kawałków. Jeśli matka kiedykolwiek stanowiła dla Molly podporę, to teraz należało wątpić, że jeszcze kiedykolwiek nią będzie. A Erin, starsza siostra, którą Molly tak kochała, przepadła dla niej stracona na wieki - jeśli nie z powodu czekającej ją odsiadki, to z powodu zdrady.

Życie może się zmienić w ciągu jednego uderzenia serca, w ułamku sekundy, w czasie, który jest potrzebny do podjęcia złej decyzji... albo dobrej.

Wczoraj w nocy opowiedziałam Molly o roli, jaką Erin odegrała w swoim porwaniu, a potem długo trzymałam ją w objęciach, gdy zasypiała zmęczona płaczem.

Przyszła Molly, owinięta wielkim zielonym pledem, i bez słowa usiadła koło mnie. Pogłaskałam ją po włosach i pomyślałam, że chciałabym, by ten moment trwał wiecznie.

Po chwili przerwałam ciszę.

- Więc co myślisz o swojej cioci Maxine?

Biuro szeryfa zlokalizowało jedyną żyjącą krewną Krystal Seabright. Była to wdowa w wieku około sześćdziesięciu lat, mieszkająca w West Palm Beach. Miałam zawieźć do niej Molly dziś popołudniu.

- Wydaje się w porządku - bez entuzjazmu stwierdziła Molly. - Jest taka... normalna.

- Cóż. Normalność powinna być bardziej doceniana.

Przez chwilę siedziałyśmy w ciszy, po prostu patrząc na wschodzące nad polami słońce. Niezdarnie szukałam odpowiednich słów.

- Molly, wiesz, że strasznie mi przykro z powodu tego wszystkiego, co się stało... Ale nie żałuję, że przyszedłaś do mnie tamtego dnia i poprosiłaś o pomoc. Dzięki znajomości z tobą stałam się lepsza. A jeśli nie spodoba mi się ta Maxine - dodałam - wracasz ze mną prosto do domu.

Molly popatrzyła na mnie przez swoje okulary w grubych oprawkach i uśmiechnęła się po raz pierwszy, od kiedy ją poznałam.

Cioteczna babcia Molly, Maxine, mieszkała w ładnym kompleksie domków i wydawała się dokładnie taka, jak scharakteryzowała ją Molly: normalna. Pomogłam Molly wnieść bagaże i zostałam na herbatę i świeże, domowe ciasteczka. I to też było normalne.

Molly wyszła na zewnątrz, żeby się ze mną pożegnać.

- Wiesz, że możesz do mnie zawsze zadzwonić, Molly, gdybyś czegokolwiek potrzebowała - powiedziałam. - A także, gdy nie będziesz niczego potrzebowała.

Uśmiechnęła się łagodnym, mądrym uśmiechem i skinęła głową. Za szklarni okularów jej szczerze, błękitne oczy były mokre od łez. Podała mi małą kartkę wyciętą z papeterii. Napisała na niej swoje imię, nowy adres i telefon, i nakleiła mały, różowy kwiatusek.

- Musisz mi przysłać rachunek - powiedziała. - Z pewnością jestem ci winna strasznie dużo pieniędzy. Będę musiała zwracać ci dług ratami. Jakoś to ustalimy.

- Nie - szepnęłam. - Nie jesteś mi nic winna.

Objęłam ją mocno i długo trzymałam w ramionach. Gdybym potrafiła, rozplakałabym się właśnie wtedy.

Gdy wróciłam na farmę Seana, dzień chylił się już ku zachodowi. Słońce roz-
lało się nad horyzontem jak płynne złoto. Zaparkowałam i poszłam do stajni.

Irina trzymała Feliki w uwięzie, nacierała jej nogi wyciągiem z leszczyny na
alkoholu i zawijała na noc w bandażu.

- Co słyhać? - zapytałam.

- Wszystko dobrze - odparła, całą uwagę skupiając na tym, by bandaż na
przedniej lewej nodze układał się tak samo jak ten na prawej.

- Przepraszam, że ostatnio mało ci pomagałam.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się łagodnie.

- Ależ Elena. To nieważne. Umiem ocenić, które rzeczy są ważne. Kusilo
mnie, by zapytać ją o sens życia.

Podeszła do tylnych nóg konia i zaczęła spryskiwać je wyciągiem.

- Czy policja znalazła już Belga? - zapytała.

- Nie. Wygląda na to, że po prostu zniknął wraz z wynajętym samochodem
Lorindy Carlton. Ale w końcu go złapią.

- Myślę, że on teraz płaci za swoje winy - powiedziała Irina. - Wierzę w kar-
mę. A ty?

- Nie wiem. Może.

- Myślę, że ty też.

Gdy wychodziłam ze stajni, Irina śpiewała.

Landry siedział na krześle przy basenie. Patrzył na zachodzące słońce przez
swoje przeciwsłoneczne okulary. Usiadłam obok, zasłaniając mu widok.

- O czym myślisz, Landry?

- Ludzie są podli.

- Nie wszyscy.

- To prawda. Ciebie lubię, Estes - powiedział. - Jesteś dobrym i porządnym
człowiekiem.

- Cieszę się, że tak myślisz. I cieszę się, że ja sama tak myślę - wyznałam,
choć nie sądziłam, że potrafi zrozumieć głębię znaczenia moich słów.

A może się myliłam.

- Trey Hughes wyspał dziś Jade'a - powiedział Landry. - Twierdzi, że zabicie
starszej pani dla spadku to był jego pomysł. Nie jest winny temu, że Jade zreali-
zował swój plan.

- Oczywiście, że nie. A co na to Jade?

Potrząsnął tylko głową.

- Odwiozłaś Molly na miejsce?

- Tak. Da sobie radę. Ale będę za nią tęsknić.

Landry sięgnął i wziął mnie za rękę.

- Ty też sobie poradzisz.

- Tak, wiem. Będzie dobrze. Już jest.

- Tak, wygląda na to, że wszystko z tobą w porządku - powiedział, ściskając moją dłoń. - Co byś powiedziała na to, byśmy teraz poznali się bliżej?

Uśmiechnęłam się połową ust i kiwnęłam głową. Wstaliśmy i poszliśmy do domku dla gości, trzymając się za ręce.

Życie może się zmienić w ciągu jednego uderzenia serca.

Podziękowania

Jak zwykle, winna jestem podziękowania kilku osobom, które pomogły mi podczas pisania tej książki, dzieląc się swym doświadczeniem zawodowym. Dziękuję więc porucznikowi Edowi Serafinowi z biura szeryfa Palm Beach, wydział kradzieży i zabójstw, Robertowi Craisowi, Eileen Dreyer, Jessie Steiner, Mary Phelps, a nade wszystko Betsy Steiner, prawdziwej przyjaciółce i współpracownicy w snuciu międzynarodowej intrygi.